

**Aleksander Dumas**

**ASCANIO**

# **Cześć 1**

## ROZDZIAŁ I

### ULICA I PRACOWNIA

Było to dziesiątego lipca roku pańskiego 1540 o godzinie czwartej po południu w Paryżu, na lewym brzegu Sekwany, gdzie rozsiadł się Uniwersytet, przy kropielnicy znajdującej się blisko wejścia do kościoła Augustianów.

Stał tam rosły i urodziwy młodzian o smagłej twarzy, długich włosach i wielkich, czarnych oczach, odziany z wytworną prostotą i uzbrojony tylko w niewielki sztylet o cudownie zdobionej rękojeści, a nabożna pokora sprawiła niewątpliwie, iż przez całe nieszpory tkwił w jednym miejscu; z pochylonym czołem i w postawie wyrażającej religijne skupienie szeptał coś, niechybnie modlitwy, ale słowa wypowiadał tak cicho, że chyba tylko Bóg i on sam wiedzieli, co mówi; lecz, jako że nabożeństwo zbliżało się do końca, podniósł głowę i wtedy najbliżej stojący mogli usłyszeć te oto słowa wypowiedziane półgłosem:

— Ależ, ci francuscy mnisi okropnie śpiewają! Nie mogliby się postarać przed Nią, która pewnie przywykła słuchać śpiewu aniołów? Och, ale nie w tym nieszczęście! Najgorsze, że nieszpory się skończyły. Boże mój. Boże, spraw, żeby mi się dzisiaj bardziej poszczęściło niż ostatniej niedzieli i żeby przynajmniej na mnie spojrzała!

Owa ostatnia modlitwa nie jest doprawdy niestosowna, jeśli bowiem ta, o której w niej mowa, podniesie oczy na zanoszącego modły, ujrzy młodzieńczą twarz tak zachwycającą, że nie zdołałaby sobie piękniejszej wymarzyć czytając urocze, niesłychanie wzięte w owych czasach, dzięki cudownym strofom mistrza Marota, baśnie mitologiczne, gdzie opowiedziana jest miłość Psyche i śmierć Narcyza. Jak już bowiem nadmieniliśmy, acz odziany w strój prosty i ciemny, przedstawiony tutaj kawaler przyciąga wzrok urodą i zadziwia wytwornością; z uśmiechu jego ponadto przebija nieskończona słodycz i wdzięk, a spojrzenie, lubo nie śmie być jeszcze zuchwałe, ma w sobie tyle żaru, ile tylko może pomieścić dwoje wielkich osiemnastoletnich oczu.

Ale oto gdy rozległ się dźwięk odsuwanych stołków oznajmiający koniec nabożeństwa, nasz zakochany (bo z kilku wypowiedzianych przezeń słów czytelnik poznał, iż ma on prawo do tego miana) odsunął się nieco na bok i patrzył na niemy tłum przechodzący mimo, złożony z pełnych godności prowizorów, z dostojnych matron w wieku narzucającym powściągliwość i z miłych dziewczątek. Aliści nie dla nich przyszedł do\* kościoła piękny młodzian, oczy mu bowiem, rozbłysły i żywo postąpił kijka kroków wtedy dopiero, kiedy ujrział, że nadchodzi cała w bieli panna w towarzystwie przyzwoitki, ale przyzwoitki z dobrego domu i wyglądającej, że, umie się znaleźć, przyzwoitki dość jeszcze młodej, dość wesołej i o prezencji doprawdy niezbyt pospolitej. Skoro dwie damy zbliżyły się do kropielnicy, nasz kawaler zamoczył palce w wodzie święconej i uprzejmie im ją podał.

Przyzwoitka obdarowała go najmiłszym z uśmiechów, złożyła jak najuprzejmiejszy dyg, dotknęła wyciągniętej dłoni i, ku jego wielkiemu rozczarowaniu, sama podała wodę święconą swej towarzysze, ta zaś, mimo gorącej modlitwy, jakiej kilka chwil wcześniej była

przedmiotem, bez ustanku oczy miała spuszczone, co dowodziło, iż wie o obecności kawalera; toteż gdy się już oddaliły, onże tupnął nogą, szepcząc:

— I znowu mnie nie widziała!

Co było dowodem, że urodziwy młodzian, jak już chyba wspomnieliśmy i nie liczył sobie więcej niż lat osiemnaście.

Gdy jednak pierwszy zawód minął, nieznajomy spiesznie zbiegł po schodach kościoła, a ujrawszy, że zamyślona piękna panna, ze spuszczoną już na twarz zasłoną i trzymana pod ramię przez przyzwoitkę, skręciła w prawo, ruszył za nimi, stwierdzając przy tym, iż jest mu po drodze. Panna doszła do mostu Saint-Michel, przeszła przez most, a naszemu nieznajomemu było dalej po drodze. Minęła następnie ulicę de la Barillerie i most au Change. A że młodzianowi było ciągle po drodze, szedł za nią niczym cień.

Cieniem każdej młodej panny jest zakochany. . Niestety! Przy Grand-Chatelet piękną gwiazda, której satelitą stał się nasz bohater, naraz zniknęła; furtka więzienia królewskiego jakby się sama otwarła, gdy tylko przyzwoitka w nią zastukała, po czym natychmiast się zamknęła.

Młodzian stał przez chwilę oniemiały, ponieważ jednak należał do ludzi zdecydowanych, gdy nie było w pobliżu pięknej panny pozbawiającej go pewności siebie, szybko postanowił, co ma czynić.

Przed bramą Chatelet majestatycznie przechadzał się uzbrojony strażnik z halabardą na ramieniu. Nasz nieznajomy uczynił jak ów czcigodny mąż i odszedłszy nieco dalej, aby go nie zauważono, ale na tyle blisko, by nie stracić z oczu furtki, bohatersko rozpoczął miłosne wartowanie.

Jeśliś, czytelniku, kiedykolwiek w życiu trzymał straż, musiałeś spostrzec, że jednym z najpewniejszych sposobów skrócenia tego obowiązku jest rozmowa z sobą samym. Nasz młodzian zatem niewątpliwie nawykł był do wartowania, ledwie bowiem stanął na straży, jął tak oto monologować:

— Na pewno tutaj .nic mieszka. Dziś rano po mszy i w dwie ostatnie niedziele, kiedy to nie śmiałem za nią spojrzeć — co ze mnie za głupiec! — nie szła w prawo, lecz w lewo, w stronę bramy Nesle i Pre-aux-Clerc. Do kroćset! Po co ona przychodzi do Chatelet? Pomyślmy, tylko, Może, odwiedza więźnia, najpewniej brata. Biedna! Jakże musi cierpieć, bp niechybnie jest równie dobra jak piękna. Do diaska! Wielką mam chęć podejść do niej, zapytać otwarcie o powód i ofiarować jej moje usługi. Jeśli to jej brat, wówczas zwierzę się mistrzowi i jego zapytam o radę. Kiedy ktoś, tak jak on, uciekł z zamku Świętego Anioła, na pewno wie, w jaki sposób ucieka się z więzienia. Postanowione, więc, że uratuję brata. Po takiej przysłudze brat staje się moim przyjacielem na śmierć i życie. Teraz on mnie zapytuje, co może uczynić dla mnie, swojego wybawcy. Wyznaję mu wtedy; że kocham jego siostrę. On mnie przedstawia, padam jej do stóp i wtedy się okaże, czy nie podniesie oczu!

Gdy już myśl zakochanego raz wejdzie na taki? tory, rozumie się, że trudno ją wtedy powstrzymać. Toteż młodzian niepomierne się zdumiał, gdy na zegarze wybiła czwarta i ujrzał że warta się zmienia.

Nowy strażnik zaczął służbę, a młodzian swoją pełnił dalej. Zastosowany sposób zbyt był dobry, aby go w dalszym ciągu nie wykorzystać, toteż podjął monolog, równie owocny jak poprzedni:

—Jaka ona piękna! Ile wdzięku w gestach! Jaka skromność w ruchach! Co za czystość linii! Na całym świecie tylko Leonardo da Vinci albo boski Rafael godni by byli wykonać podobiznę tej czystej i niewinnej, istoty, a i to będąc u szczytu talentu. Mój Boże, dlaczego nie jestem

malarzem zamiast być rytownikiem, rzeźbiarzem, emalierem, złotnikiem! Gdybym był malarzem, nie musiałbym przede wszystkim mieć jej przed oczami, żeby namalować portret. Bez ustanku bym widział te wielkie niebieskie oczy, piękne jasne włosy, białą skórę, wąską kibić. Gdybym był malarzem, umieszczałbym ją na każdym moim obrazie, jak Sanzio Fomarinę i Andrea del Sarto Lukrecję. A jaka różnica między nią a Fornariną! Wszak ani jedna, ani druga nic są godne bućków jej wiązać. Fornarina najpierw...

Młodzian nie skończył jeszcze porównywania na korzyść, rozumie się, swojej ukochanej, gdy rozległo się bicie zegara.

Po raz wtóry zmieniono straż. .

— Już szósta. Dziwne, jak ten czas umyka! — szepnął. — A skoro tak szybko mija, gdy na nią czekam, to co się musi dziać, gdy człowiek jest przy niej! Och, przy niej nie ma już czasu, to raj. Gdybym był z nią, tylko bym na nią patrzył i godziny, dni, miesiące, życie by mi na tym minęło. Mój Boże, jakie by to życie było szczęśliwe!

I młodzian zastygł w ekstazie, gdyż przed jego wzrokiem artysty ukochana, choć nieobecna, rzeczywiście się pojawiła.

Po raz trzeci zmieniono straż.

Zegary na wszystkich kościołach były godzinę ósmą i zaczynał napadać zmrok, bo wszystko pozwala nam przypuszczać, że trzysta lat temu w lipcu około ósmej robiło się szaro, zupełnie jak za naszych czasów: co jednak może bardziej zdumiewać, to niesłychana wytrwałość szesnastowiecznych kochanków! Wszystko było wtedy potężne, a duch młody i silny nie zatrzymywał się w pół drogi tak w miłości, jak w sztuce i walce

Ostatecznie cierpliwość młodego artysty — bo znamy już jego — profesję — została wreszcie nagrodzona, kiedy po raz dwudziesty otwarta; się furka Chatelet, tym razem jednak dając przejście tej, na którą czekał. U jej boku nadal kroczyła matrona, a dwóch pachołków w barwach prefektury maszerowało dziesięć kroków za nimi.

Wszyscy ruszali tą samą drogą c o kilka godzin, wcześniej, czyli mostem, au Change, ulicą de la Barillerie, mostem Saint-Michel i nabrzeżem; orszak minął jednak kościół Augustianów i trzysta; kroków dalej zatrzymał się na rogu przed olbrzymią bramą; obok której znajdowana się mała furka. Przyzwoitka zastukała, odźwierny otworzył. Dwaj pachołkowie skłoniwszy się nisko ruszyli w drogę powrotną do Chatelet a nasz artysta po raz wtóry został przed zamkniętą bramą.

I stałby, tam pewnie do rana, albowiem rozpoczął czwartą część marzeni przypadek jednak zrzucił, że jakiś podchmielony przechodzień stuknął weń głową.

— Hej, przyjacielu! — zawołał przechodzień.— Ktoś ty, jeśli łaska? Słup czy człowiek? Jeśliś słupem, wolno ci tak stać, i ja to uszanuję. Ale jeśliś człowiek, z drogi, bo przejść pragnę.

— Wybacz łaskawie — odrzekł młodzian z roztargnieniem — alem obcy w, Paryżu i...

— Aaa, to co innego. Francuzi są gościnnii i to ja proszę o wybaczenie, skoroś cudzoziemcem. Ponieważ powiedziałaś, ktoś ty, słusznie byłoby, abym ci rzekł, kim ja jestem. Masz przed sobą studenta, a zwie on się...

— Za pozwoleniem — przerwał artysta —zanim się dowiem, kim jesteś, chciałbym wiedzieć, gdzie się znajduję.

— Brama Nesle, drogi, przyjacielu, a oto zamek Nesle— rzekł student, wzrokiem wskazując na wielką bramę, z której cudzoziemiec nie spuszczał oczu.

— Ach, tak! A jak dojść — rzekł nasz zakochany, byle tylko coś powiedzieć i w nadziei, że pozbędzie się kompana — do ulicy Saint-Martin, gdzie mieszkam?

— Ulica Saint-Martin, powiadasz? Chodź ze mną, idę w tamtą stronę, a na moście Saint-Michel wskażę ci dalszą drogę. Słuchaj tedy, jestem studentem, wracam z Pretaux-Clercs i nazywam się...

— Wiesz może, do kogo należy zamek Nesle? — zapytał artysta.

— Ba, czy to się nie zna dzielnicy uniwersyteckiej? Zamek Nesle, młodzieńcze, należy do miłościwie nam panującego króla, a obecnie jest w rękach prewota Paryża, imię pana Roberta d'Estouteville.

— Go? To tutaj mieszka prewot Paryża? — zawołał cudzoziemiec. — Słowem jednym nie napomknąłem, synu, że tutaj mieszka prewot — podjął student. — Prewot Paryża mieszka w Grand-Chatelet;

— W Grand-Chatelet! A więc to tak! Ale jak to się dzieje, że prewot mieszka w Grand-Chatelet, a król zostawił mu jeszcze zamek Nesle?

— Opowiem ci tę historię. Widzisz, król dał ongiś zamek Negle naszemu sędziemu, mężowi niesłychanie szacownemu, który strzegł uniwersyteckich przywilejów i rozstrzygał spory iście po ojcowsku. Wspaniała to urzęd! Na nieszczęście ów doskonały sędzia był tak sprawiedliwy, tak sprawiedliwy... dla nas, że dwa lata temu zniesiono jego urząd pod pretekstem, że drzemał na posiedzeniach. Urząd zatem zniesiono, a nadzór nad Uniwersytetem znowu powierzono prewotowi Paryża. Na honor, przedni to protektor! Gdybyśmy się sami nie potrafiliby strzec... Otóż, ów prewot — słuchasz, moje dziecko? — ów prewot, niemożebnie chciwy, uznał, że skoro odziedziczył urząd sędziego, to i należą mu się jego posiadłości, i po cichutku objął we władanie Grand i Petit-Nesle przy poparciu pani d'Etampes.

— Ale z tego, co powiadasz, wynika, że on tu nie mieszka.

— Gdzie tam, stary kutwa, coś mi się jednak zdaje, że umieścił tutaj swoją córkę czy siostrzenicę, stary Kasander, piękne dziewczę, które zowią Colómbine czy Colombe, już nie pamiętam, a trzyma ją pod kluczem w jakimś zakamarku Petit-Nesle.

— Doprawdy — rzekł artysta, któremu aż dech zaparło, po raz pierwszy bowiem usłyszał imię ukochanej — taka uzurpacja wydaje mi się o pomstę do nieba wołającym nadużyciem! Jakże to! Takie zamczysko dla jednej panny i jej przyzwoitki!

— Skądże przybywasz, cudzoziemcze, że nie wiesz, iż zwyczajne to nadużycie: my, biedni akademicy, po sześciu mieszkamy we wstrętnych norach, a możny pan chwastom pozwala zarastać olbrzymie ogrody, dziedzińce, pilarnię.

— O, to i pilarnia tam jest?

— Wspaniała, synu, wspaniała!

— Ale, koniec końców, zamek Nesle należy do króla Franciszka Pierwszego?

— Bez wątpienia. Ale co byś chciał, żeby król Franciszek zrobił ze swoją posiadłością?

— Powinien ją dać komu innemu, skoro prewot w niej nie mieszka.

— Ha, poproś go o nią zatem.

— Dlaczego nie? Lubisz grę w piłkę?

— Uwielbiam!

— Zapraszam cię więc na partię w przyszłą niedzielę.

— Gdzie?

— Do zamku Nesle.

— Zgoda, panie namiestniku królewskich zamków. Ale, ale, dobrze by było, gdybyś znał przynajmniej moje nazwisko. Nazywam się...

Ponieważ jednak cudzoziemiec dowiedział się tego, co chciał; a reszta prawdopodobnie mało go obchodziła, nie dotarło do niego ani słowo z gadaniny towarzysza, który szczegółowo mu objaśnił, że nazywa się Jakub Aubry, że jest studentem Uniwersytetu, a teraz wraca z Preaux--Clercs, gdzie miał spotkanie z żoną swojego krawca, że kochanka nie

(popraw)

Toteż była chochlikiem domu, prawdziwym skowronkiem z racji cienkiego i jasnego głosu, wiodąc życie, w które dopiero wchodziła, na tyle spieszenie, ufnie i beztrąsko, by pasowało do niej jak ulał nadane przez mistrza przezwisko Scorzona, co po włosku wówczas, i teraz też, znaczyło coś jak „Dziczka”. Pełna wdzięku i uroku, po dziecinnemu niepohamowanie żywa, Scorzona była duszą pracowni; kiedy śpiewała, wszyscy milkli, gdy się śmiała, śmiali się razem z nią, skoro wydawała rozkazy, byli posłuszni, i to bez słowa sprzeciwu, zwłaszcza że zachcianek i żądań nie miała na ogół zbyt wygórowanych; a była tak szczerze i naiwnie szczęśliwa, że rozsiewała dokoła radość, każdy zaś cieszył się widząc, jak jest wesoła.

Jej' dzieje to stara historia, być może jeszcze do tego wrócimy: sierota pochodząca z ludu, w dzieciństwie została porzucona; Opatrzność jednak czuwała nad nią. Miała być igraszką dla wszystkich, lecz spotkała człowieka, dla którego stała się radością.

Znamy już nowe postacie, wróćmy zatem do naszej opowieści w miejscu, gdzieśmy ją przerwali.

— A skąd to przybywasz, włóczęgo? — spytał mistrz Ascania.

— Skąd przybywam? W waszym interesie się włóczyłem, mistrzu. — Od samego rana?

— Od samego rana.

— Powiedz raczej, żeś szukał miłosnej przygody.

— Jakiej przygody miałbym szukać, mistrzu? — szepnął Ascanio.

— A czy ja wiem?

— Och, też mi nieszczęście, nawet gdyby tak było! — rzekła Scorzona. — Choćby sum nie szukał przygód, to jest przecież wystarczająco gładkim chłopcem, żeby przygody jego szukały.

— Scorzona! — upomniał ją mistrz, marszcząc brwi.

— Nie będziecie chyba zazdrosny o to drogie dziecko! — I wzięła Ascania pod brodę. — Jeszcze by tego brakowało. Jezus Maria! Jakiś ty błady! Czyżbyś nie jadł wieczerzy, mości wagabundo?

— A nie—zawołał Ascanio. — Zapomniałem!

— Och, w takim razie przychyłam się do zdania mistrza: zapomniał o wieczerzy, na pewno jest zakochany. Ruberta! Ruberta! Szybko, wieczerza dla Ascania.

Służąca wniosła nakrycia z wyśmienitą wieczerzą, do której ochoczo zasiadł nasz młodzian mający prawo, po długim przebywaniu na powietrzu, odczuwać głód.

Scorzona i mistrz przyglądali mu się z uśmiechem, ona z siostrzaną czułością, on z miłością ojcowską. Siedzący z boku czeladnik podniósł głowę, gdy do pracowni wszedł Ascanio, ale, jak tylko Scorzona znów postawiła przed nim lampę zabraną, gdy biegła otworzyć drzwi, na nowo pochylił się nad pracą.

— Jak powiedziałem, mistrzu, w waszym interesie włóczyłem się cały dzień — podjął Ascanio spostrzegłszy kpiącą uwagę, z jaką spoglądali nań mistrz i Scorzona, i pragnąc skierować rozmowę na inne tory niż jego miłości.

— Jakże to włóczyłeś się w moim interesie cały dzień? No? — Czy nie powiedzieliście .wczoraj, mistrzu, że tutaj jest złe światło

i że potrzebna nam inna pracownia?

— Owszem.

— No właśnie, znalazłem pracownię.

— Słyszysz, Pagolo? — rzekł mistrz zwracając się do czeladnika.

— Tak, mistrzu? — powiedział ten, po raz wtóry podnosząc głowę.

— Ech. zostawże na chwilę te swoje rysunki i, chodź EW posłuchać. Znalazł nową pracownię, słyszysz?

— Wybaczcie mistrzu, ale stąd też będę dobrze słyszał, co powie nasz drogi Ascanio. Chciałbym skończyć ten szkic; chyba nic w tym złego, że dopełniwszy niedzielnego obowiązku chrześcijanina, poświęca się czas wolny jakiemuś pożytecznemu zajęciu: praca jest modlitwą.

— Drogi Pagolo — rzekł mistrz potrząsając głową, bardziej zasmucony niż zagniewany — wierz mi. że lepiej byś zrobił pilniej i z większą ochotą pracując przez cały tydzień, a w niedzielę, jak na dobrego kompana przystało, oddając się przyjemnościom, zamiast lenie się w dni powszednie i obłudnie wyróżniać się spośród innych, udając zapał w dni świąteczne. Ale wolna wola, rób jak uważasz. Ascanio — ciągnął głosem łagodnym i tkliwym — co to mówiłeś?

— Mówiłem, że znalazłem wspaniałą pracownię.

— Gdzie?

— Znacie zamek Nesle?

— Doskonale, to znaczy przechodziłem tamtędy, ale do środka nigdy nie zajrzałem.

— A jak wam się widzi z wyglądu? .

— Całkiem, całkiem, do diaska! Ale...

— Ale co?

— Nikt tam nie mieszka?

— Owszem, imć pan prewot Paryża, Robert d'Estouteville. który go zajął bezprawnie. Żebyście jednak sumienie mieli spokojne, zdaję mi się, że moglibyśmy zostawić mu Petit-Nesle, gdzie mieszka ktoś z jego rodziny, a sami zadowolili się Grand-Nesle z jego dziećmi, podwórcami, kręgielnią i pilarnią.

— Jest tam pilarnią?

— Piękniejsza niż w Santa-Croce we Florencji.

— *Per Bacco!* Toć to moja ulubiona gra!

— Wiem, mistrzu. W dodatku położenie jest cudowne: tyle powietrza! I to jakiego: wiejskiego! Nie tak jak w tej strasznej norze, gdzie pleśniejemy i gdzie słońce o nas zapomina. Z jednej strony mamy tam Pre-aux-Clercs. z drugiej Sekwanę, a króla, waszego wielkiego króla, o dwa kroki. w Luwrze

— Ale do kogo. u diabła, należy ten zamek?

— Do kogo? Przebóg! Do króla.

— Do króla?... Powtórz to, drogie dziecko: zamek Nesle należy do króla!

— We własnej osobie. Teraz tylko nie wiadomo, czy zgodzi się wam dać tak wspaniałą siedzibę.

— Kto, król? Jak on się zwie, Ascanio?

— Hm, myślę, że Franciszek Pierwszy.

— A to znaczy, że za tydzień zamek Nesle będzie mój.



— Może to rozgniewać przewota Paryża.

— Co mi do tego?

— A jeżeli nie zechce wypuścić z rąk tego, co trzyma? --- Jeżeli nie zechce! Ascanio, jak ja Się nazywam?

— Zwą was Benvenuto Cellini, mistrzu.

— Co oznacza, że jeśli dostojny przewot nie zechce się ugodzić po dobroci, to my go zmusimy siłą. A teraz spać. Jutro pomówimy jeszcze o tym. a ponieważ będzie jasno, przyjrzymy się temu lepiej,

Na te słowa mistrza wszyscy rozeszli się do swoich pokojów, z wyjątkiem Pagola, który przez chwilę jeszcze pracował w kątku. Ale gdy tylko stwierdzi, że całe towarzystwo jest w łóżkach; wstał, rozejrzał się, podszedł do stołu, nalał sobie do dużej szklanicy wina, wychylił je duszkiem, po czym również udał się na spoczynek.

## ROZDZIAŁ II

### SZESNASTOWIECZNY ZŁOTNIK

Ponieważ wymieniliśmy nazwisko i opisali Benvenuto Celliniego, pozwól, czytelniku — abyś mógł głębiej wniknąć w ze wszech miar artystyczny temat, o jakim mówimy — że uczynimy tu niewielką dygresję związaną z owym osobliwym człowiekiem od dwóch miesięcy przebywającym w Paryżu, któremu przeznaczone jest, jak, niestety, się domyślić, odegrać jedną z głównych ról w tej opowieści.

Przedtem jednak wyjaśnijmy, czym był złotnik w szesnastym wieku,

Jest we Florencji pewien most, zwany Starym, jeszcze dzisiaj zabudowany domami: domy te były sklepami złotników

Ale nie złotników w tym znaczeniu, jakie dzisiaj ma to słowo: złotnictwo teraz jest rzemiosłem, ongiś było sztuką.

Toteż trudno by znaleźć coś piękniejszego, nad te sklepy, a raczej nad wypełniające je przedmioty; znajdowały się tam krągłe puchary z onyksu, a wokół nich pięły się ogony smoków, głowy zaś i kadłuby tych bajkowych stworów, wznosząc się naprzeciw siebie, rozpościerały skrzydła złotem nakrapiane i z otwartą niby chimery paszczką groźnie na siebie patrzyły rubinowymi ślepiami. Były tam konwie z agatów, ich podstawę zaś otaczała girlanda bluszczu, która rosła na kształt uchwytu i wyginała się wysoko nad, brzegiem naczynia, a wśród jej liści ze szmaragdów krył się jakiś cudowny ptak tropikalny pokryty emalią — żywy, zda się, i zaraz, śpiewem napełni powietrze. Stały wazy z lapis lazuli a do nich się chyliły, niby gasząc pragnienie, dwie jaszczurki tak kunsztownie wyrzeźbione, że oko niemal widziało zmienne refleksy na złotym pancerzu i można by pomyśleć, iż przy najlżejszym dźwięku uciekną i skryją się w szczeliny ściany. Były kielichy, monstrancje i medale z brązu, srebra, złota; wszystko zdobione szlachetnymi kamieniami, jakby w owych czasach rubiny, topazy, almandyny i diamenty wyławiało się z rzeki albo zbierało na drodze. Nimfy, najady, bogowie i boginie, cały promienny Olimp wymieszany z krzyżami i krucyfikami; a dalej podobizny Matki Boskiej i Wenus, Chrystusa i Apollona, Jowisza miotającego gromy i Boga, tworzącego świat. Każdy przedmiot nie tylko kunsztownie wykonany, ale pełen poezji, nie tylko zachwycający juko klejnocik dla ozdoby buduaru ale i wspinały juko dzieło zdolne uwiecznić panowanie króla lub gemusz narodu.

Co, prawda złotnicy owych czasów zwali się Donatello Ghilberti. Ghirlandajo czy Benvenuto Collini.

Otóż Benvenuto Collini sam opowiedział w swoich pamiętnikach ciekawszych od najciekawszej powieści, pełne przygód życie artystów piętnastego i szesnastego wieku, kiedy to Tycjan malował w pancerzu. Michał Ahiol rzeźbił z mieczem u boku. Masaccio i Domenichino umarli Otruci, a Kosma 1 zamknął się, aby wynaleźć sposób harfowania stali mogącej ciąć porfir.

By zatem bliżej poznać owego człowieka, opowiemy tu jeden tylko epizod z jego życia: ten który go sprowadzi! do Francji.

Benvenuto przebywał w Rzymie, dokąd wezwał go papież Klemens VII, i z pasją pracował nad pięknym kielichem obstalowanym przez jego świątobliwość: ponieważ jednak pragnął szczególnie starannie wykonać cenne dzieło, praca posuwała się wolno. Benvenuto miał wszelako, rozumie się wielu zawistnych wrogów, tak z racji licznych zamówień, składanych przez książęta, królów i papieży, jak i wielkiego talentu, z jakim, owe zamówienia wykonywał. Znalazł się tedy pewien jego konfrater, niejaki Pompeo, który nie mając lepszego zajęcia jak rzucanie kalumnii, skwapliwie wykorzystał okazję, by Celliniemu szkodzić jak, tylko mógł w oczach papieża, i to codziennie bez ustanku, bez wytchnienia, raz szeptem, to znów na głos zapewniając iż Benvenuto nigdy nie skończy kielicha, ma bowiem: tyle pracy, że wykonuje wiele innych zamówień ze szkodą dla papieskich.

Dotąd podszeptował i judził ów dostojny Pompeo, aż pewnego dnia Benvenuto Cellini, widząc go, jak wchodzi do jego sklepu, poznał natychmiast po roześmianej minie, że przynosi mu niepomyślną nowinę.

— Drogi bracie— rzekł Pompeo — pomogłem ci w zrzuceniu ciężkiego Obowiązku: jego świątobliwość uznał, że skoro tak zwlekasz z wykończeniem jego kielicha, to nie ze względu na brak zapału, lecz czasu. W związku z tym Ojciec Święty pomyślał, że należy cię zwolnić z jakiejś codziennej troski i z własnej inicjatywy zdejmuję cię z urzędu rytownika stempli i mennicy. To dla ciebie raptem marne dziewięć złotych skudów, mniej, ale za to godzina czasu dziennie więcej.

Cellini poczuł głuchą a szaloną chęć, aby wyrzucić szydercę, przez okno pohamował się jednak. Pompeo zaś, widząc, iż w twarzy Benvenuta nie drgnął ani jeden mięsień, uznał, że cios był chybiony. — Poza tym — ciągnął dalej — nie wiem dlaczego, mimo że przemawiałem za tobą, jego świątobliwość domaga się natychmiastowego zwrotu kielicha w takim stanie, w jakim jest w tej chwili. Doprawdy obawiam się, drogi Benvenuto i po przyjacielsku cię uprzedzam, że chyba ma zamiar dać go do wykończenia komu innemu. ,

-O, co to, to nie! — zawołał złotnik, podskakując tym razem, jakby giez go ukąsił., — Kielich jest mój, jak mennica jest papieża. Jego świątobliwość może tylko zażądać zwrotu pięciuset skudów które mi wypłacił w zadatku, a ja z moją pracą zrobię, co mi się spodoba.

— Uważaj, mistrzu — ostrzegł Pompeo — bo skutkiem tej odmowy może być loch.

— Mości Pompeo, osioł jesteś — rzekł Benvenuto.

Pompeo odszedł wściekły.

Nazajutrz dwóch podkomorzych jego świątobliwości przyszło po Celliniego

— Papież nas do ciebie przysła — rzekł jeden — żebyś nam wydał kielich i żebyśmy cię odprowadzili do więzienia.

— Panowie — odparł Benvenuto — człowiek taki jak ja zasługuje co najmniej na takich siepaczy jak wy. Proszę bardzo, bierzcie mnie do więzienia. Uprzedzam jednak, nie przyspieszaj to pracy nad papieskim kielichem o jeden nawet ruch dłuta.

I Benvenuto poszedł z nimi do namiestnika Rzymu, który, otrzymawszy widać wcześniej odpowiednie instrukcje, zaprosił go do swojego stołu. Przez cały posiłek namiestnik przekonywał Benvenuta na wszelkie możliwe sposoby, by zadowolili papieża odnosząc mu swoją pracę, a zapewniał go przy tym, że jeśli ulegnie, to Klemensa VII, choć jest porywczy i uparty, natychmiast to uspokoi; Benvenuto odparł jednak, że już sześć razy pokazywał Ojcu Świętemu

zaczęty kielich i że na tym muszą się, skończyć papieskie żądania; że poza tym zna jego świętobliwość, że nie wolno mu ufać i że może skorzystać z okazji, iż on jest uwięziony, by odebrać mu kielich i dać do skończenia jakiemuś półgłówkowi, który go zepsuje. Oświadczył za to, że nadal jest skłonny zwrócić papieżowi pięćset skudów wręczonych mu jako zadatek.

To powiedziawszy Benvenuto na wszelkie prośby namiestnika odpowiadał chwaląc tylko jego kucharza i zachwycając się winami.

Po kolacji wszyscy ziomkowie, wszyscy najbliżsi przyjaciele, wszyscy czeladnicy prowadzeni przez Ascania przyszedli błagać mistrza, żeby nie ściągał na siebie zguby stawiając czoła Klemensowi VII; Cellini odrzekł na to, że od dawna już pragnął potwierdzić ową wielką prawdę, iż złotnik może być bardziej uparty niż papież; a ponieważ nadarzyła się okazja, że lepszej nie mógłby sobie wymarzyć, nie zaprzepaści jej w obawie, iż mogłaby się nigdy więcej nie powtórzyć.

Ziomkowie odeszli Wzruszając ramionami, przyjaciele twierdząc, iż oszalał, a Ascanio z płaczem.

Na szczęście Pompeo nie zapomniał o Cellinim i w tym czasie mówił do papieża:

— Ojcie. Święty, pozwól działać twemu słudze. Każę powiedzieć temu uparciuchowi, że skoro tak przy tym trwa, to niech mnie przekaże owe pięćset skudów, a ponieważ wielki z niego rozrzutnik i marnotrawca, na pewno nie znajdzie u siebie takiej sumy, wtedy zaś zmuszony będzie oddać mi kielich.

Klemens VII uznał sposób za wyborny i zezwolił, aby Pompeo postąpił wedle swego uznania. I tak jeszcze tego samego wieczoru, kiedy miano odprowadzić Celliniego do izby mu wyznaczonej, zjawił się podkomorzy mówiąc złotnikowi, iż Ojciec Święty przystaje na jego ultimatum i pragnie natychmiast otrzymać pięćset skudów lub kielich.

Benvenuto odparł, że wystarczy go odprowadzić do jego sklepu, u odda pieniądze.

Czterech Szwajcarów wiodło Benvenuta do domu, za nimi zaś kroczył podkomorzy. Wszedłszy do swej sypialni, Cellini wyjął z kieszeni klucz, otworzył nim niewielką żelazną szafkę wmurowaną w ścianę, zanurzył dłoń w wielkiej sakwie, wyciągnął stamtąd pięćset skudów, dał je podkomorzemu i wyrzucił go za drzwi razem ze Szwajcarami.

Ku chwale Benvenuta nadmienić wypada, że za fatygę obdarował czterema skudami Szwajcarów, ci zaś — winniśmy dodać ku ich chwale — odeszli całując go po rękach.

Podkomorzy pospieszył natychmiast do papieża i wręczył mu pięćset skudów, co wprawilo w rozpacz i rozsierdziło jego świętobliwość, tak że jął obrzucać obelgami Pompea.

— Ruszaj zaraz po mojego wielkiego rzeźbiarza do jego sklepu, bydlaku — zawołał. — Ugłaskaj go, jak tylko potrafisz w swojej bezdennej głupocie, i powiedz mu, że jeśli się zgodzi wykonać mój kielich, ja przystanę na wszelkie udogodnienia, jakich zażąda.

— Czy nie wystarczyłoby jednak, wasza świętobliwość, pójść tam jutro rano? — spytał Pompeo.

— Już dzisiaj jest za późno, durniu, a nie chcę, żeby Benvenuto zasypiał z urazą w sercu. Wykonaj więc natychmiast, co każę, a jutro rano masz mi przynieść dobrą nowinę.

Pompeo wyszedł zatem potulnie z Watykanu i ruszył do sklepu Benvenuto sklep był zamknięty.

Zerknął przez dziurkę od klucza, przez szpary w drzwiach, spojrzął na wszystkie okna po kolei, czy z któregoś nie pada światło; widząc jednak, że wszędzie jest ciemno, odważył się zastukać po raz wtóry, mocniej niż przedtem, i po raz trzeci jeszcze głośniejsze.

Wtedy otwarło się okno na piętrze i pojawił się w nim Benvenuto w koszuli i z arkebuzem w ręku.

— Kto tam znowu? — zapytał Cellini.

— To ja — odparł posłaniec.

— Co za ja? — pytał dalej złotnik, choć go bez trudu rozpoznał.

— Ja, Pompeo.

— Łiesz — oświadczył Benvenuto — dobrze znam Pompea, jest zbyt tchórzliwy, żeby się o tej porze odważył wyjść na ulice Rzymu.

— Ależ, drogi Cellini, przysięgam...

— Milcz. Jesteś rzezimieszkiem, który, się podszył pod tego nieboraka; ja ci otworzę drzwi, a ty mnie obrabujesz.

— Mistrzu Benvenuto, pragnę umrzeć...

— Jeszcze jedno słowo — krzyknął Benvenuto mierząc z arkebuzem w kierunku swego rozmówcy — a twemu życzeniu stanie się zadość!

Pompeo wziął nogi za pas z okrzykiem „Mordują!” i zniknął za rogiem najbliższej ulicy.

Benvenuto zamknął wtedy okno, zawiesił arkebuz na haku i wrócił do łóżka, śmiejąc się pod nosem z przerażenia, jakie wzbudził w biednym Pompeo.

Gdy nazajutrz Cellini zszedł do sklepu, od godziny już otwartego przez czeladników, zauważył po drugiej stronie ulicy Pompea, który od świtu stał na posterunku czekając na Benvenuta.

Widząc Celliniego. Pompeo pomachał mu ręką tak przyjaźnie, jak jeszcze nikomu.

— A. to ty, drogi Pompeo — rzekł Cellini. — Na honor, omal tej nocy nie ustrzeliłem jakiegoś hultaja za to, że miał czelność podszyć się pod ciebie.

— Doprawdy? — zdziwił się Pompeo z wymuszonym uśmiechem, krok za krokiem zbliżając się do sklepu. — Jak to było?

Benvenuto opowiedział zatem posłańcowi jego świątobliwości, co się, wydarzyło; ponieważ jednak w nocnej rozmowie Cellini, nazwał go tchórzem, Pompeo nie ośmielił się wyznać, że to był on we własnej osobie. Skończywszy swą opowieść, złotnik spytał Pompea, jakiej to szczęśliwej okoliczności zawdzięcza, iż ma przyjemność widzieć go tak wcześnie.

Pompeo wypełnił tedy polecenie, jakie mu dał Klemens VII. choć rozumie się, innymi słowami.

W miarę jak mówił, twarz Benvenuta się rozjaśniała. A więc Klemens VII ustąpił. Złotnik okazał się bardziej uparty niż papież; kiedy posłaniec skończył, Cellini rzekł;

— Przekaż jego świątobliwości, że szczęściem będzie dla mnie być mu posłusznym i uczynić wszystko, byle odzyskać jego łaskę, straconą nie z mojej winy, lecz przez zawiść innych. Co się ciebie tyczy, mości Pompeo, to w twoim interesie radzę ci, aby papież, ponieważ, nie brakuje mu sług, kogo innego w przyszłości do mnie przysyłał; dla własnego zdrowia nie mieszaj się więcej do tego, co mnie dotyczy. Miej litość nad sobą i nie wchodź mi więcej w drogę", a mając na uwadze zbawienie mojej duszy, proś Boga, żebym nie był twoim Cezarem.

Pompeo nie czekał dłużej, lecz z odpowiedzią Benvenuta ruszył do Klemensa VII. nie wspominając wszelako o ostatnich słowach.

W jakiś czas później, aby się zupełnie pogodzić z Benvenutem, Klemens VII zamówił u niego swój medal. Benvenuto wybił medal w brązie, srebrze i złocie, po czym wręczył go

papieżowi. Ów był nim tak oczarowany, że w podziwie zawołał, iż nawet starożytni nigdy nie wykonali równie pięknego.

— Tak to już jest, wasza świątobliwość — rzekł na to Benvenuto. — Gdybym wszak nie okazał kiedyś nieco stanowczości, bylibyśmy w tej chwili zupełnie skłóceni: bo nigdy bym wam nie wybaczył, a wy byście stracili oddanego sługę. I nie wadziłoby. Ojciec Święty — radził dalej Benvenuto — gdybyście niekiedy wspominali przysłowie ludzi o dużym rozsądku, którzy twierdzą, że należy siedem razy zaznaczyć miejsce, zanim się raz rąbnie. Dobrze byście też uczynili, nic dając tak posłuchu złośliwym, zawistnym i oszczercom. To wam radzę, Ojciec Święty, i więcej o tym nie mówmy,

Tak oto Benvenuto wybaczył Klemensowi VII. a z pewnością by tego nie zrobił, gdyby go mniej lubił; Jako jednak jego ziomek, mocno był don przywiązany.

Toteż wielka ogarnęła go rozpacz, gdy w kilka miesięcy po opisanych tutaj wydłużeniach papież nagle zmarł, Cellini. człek twardy jak z żelaza, na wieść o tym załżał się łzami i przez tydzień cały płakał niby dziecko.

Śmierć owa okazała się fatalna w skutkach dla biednego Benvenuto, w dzień pogrzebu papieża bowiem spotkał Pompeo. którego nie widział od chwili, gdy go poprosił, by mu oszczędził swojego widoku.

Należy zaznaczyć, że odkąd Cellini mu zagroził, nieszczęsny Pompeo nie śmiał wychodzić z domu inaczej, jak tylko w towarzystwie tuzina dobrze uzbrojonych ludzi, którym wypłacał taki sam żołd jak papież swojej Gwardii Szwajcarskiej, toteż każdy spacer po mieście kosztował go dwa, trzy skudy; a i to otoczony dwunastoma zbirami drżał, iż spotka Benvenuto, świadom, że gdyby z tego spotkania wynikła jakaś bijatyka i gdyby Celliniemu coś się przytrafiło, papież, darzący swego złotnika wielką życzliwością, dałby się Pompeowi we znaki; ale jak już powiedzieliśmy, Klemens VII właśnie zmarł, jego śmierć zaś przydała Pompeowi nieco odwagi,

Benvenuto udał się do świętego Piotra ucałować stopy zmarłego papieża i wracając ulicą dei Bianchi w towarzystwie Ascania i Pagola. znalazł się twarzą w twarz z Pompeem i jego dwunastoma zbirami. Na widok swego wroga Pompeo mocno zbladł; rozejrzawszy się jednak wokół stwierdził, że jest pod dobrą pieczęcią, podczas gdy Benvenuto ma ze sobą tylko dwóch wyrostków; nabrał tedy odwagi i zatrzymując się. drwiąco skinął Benvenutovi głową, a równocześnie prawą ręką bawił się rękojeścią sztyletu.

Na widok tej kompanii, zagrażającej jego mistrzowi. Ascanio sięgnął dłonią do szpady, Pagolo zaś udawał, że czemuś się przygląda; Benvenuto nie chciał jednak narażać ulubionego ucznia na nierówną walkę. Położył rękę na dłoni Ascania i wsuwając jego na wpół wyciągniętą broń do pochwy, ruszył w dalszą drogę, jakby niczego nie zauważył, jakby to. co widział, nic a nic go nie dotknęło. Ascanio nie poznawał mistrza, ale jako że on się wycofywał, wycofał się razem z nim.

Triumfujący Pompeo złożył Celliniemu głęboki ukłon i poszedł w swoją stronę otoczony zbirami, którzy naśladowali jego fanfaronady

Benvenuto w dudni gryzł wargi aż do krwi, lecz ? wierzchu wyglądał na zadowolonego. Dla znających porywczy charakter słynnego złotnika było to zaiste zgoła niepojęte.

Przeszedłszy jednak ledwie sto kroków, znalazł się przed sklepem jednego ze swoich konfratrów i wszedł do niego pod pretekstem, że chce obejrzeć starożytną wagę odnalezioną w etruskich grobach w Cometo, uczniom zaś rozkazał iść dalej obiecując, że za kilka minut przyjdzie do sklepu.

Był to, rozumie się, tylko pretekst, by oddalić Ascania bo ledwie stwierdził, że uczeń ze swoim towarzyszem — o którego mniej się niepokoił zważywszy iż miał pewność, że jego odwaga nie popchnie go za daleko — zniknęli za rogiem, odstawił wazę na półkę i wybiegł ze sklepu.

Kilkoma susami znalazł się na ulicy, gdzie spotkał Pompea; Pompea wszelako już tam nie było. Na szczęście, a raczej na nieszczęście, człowiek otoczony dwunastu zbirami nie mógł przejść niepostrzeżenie toteż kiedy Benvenuto zapytał, gdzie Pompeo skręcił, pierwsza osoba do której się zwrócił, wskazała mu drogę a Cellini, niczym ogar naprowadzony na trop, ruszył jego śladem.

Pompeo zatrzymał i się przed apteką na rogu skrzyżowania zwartego Chiavica i opowiadał szacownemu aptekarzowi o bohaterskich czynach, jakich właśnie dokonał wobec Celliniego, kiedy raptem ujrzał złotnika z płomieniem w oczach i czołem zlanym potem.

Dostrzegłszy go Benvenuto wydał radony okrzyk, a Pompeo urwał. Było oczywiste, że stanie się teraz coś strasznego.

Zuchowie Pompea ustawili się wokół niego w szyku i obnażyli szpady

Niedorzecznością było, żeby jeden człowiek zaatakował trzynastu, lecz Benvenuto należał, jak już powiedzieliśmy, do ludzi o lwiej naturze, co to nie rachują wrogów. Przeciwno grożącym mu trzynastu szpadom dobył tylko małego, ostrego sztyletu, który zawsze nosił u pasa i rzucił się między nieprzyjaciół jedną ręką wrywając dwie czy trzy szpady, drugą przewracając dwóch ludzi, tak że w mgnieniu oka znalazł się przed Pompeem i złapał go za kołnierz; zaraz wszakże został ciasno otoczony.

Powstał nieopisany zamęt, ponad który wybijały się wrzaski, a w górze migwały nagie szpady. Przez chwilę żywy kłęb toczył się po ziemi, bez kształtny i bezładny, potem ze zwycięskim okrzykiem jeden człowiek powstał i równie gwałtownie, jak wpadł między nich, teraz się wyrwał, cały we krwi, ale triumfalnie wymachując zakrwawionym sztyletem; był

Na ziemi ktoś leżał rzucając się w agonii. Otrzymał dwa ciosy sztyletem: jeden poniżej ucha, drugi za obojczykiem u dołu szyi. Kilka sekund później już nit żył był to Pompeo.

Kto inny, dokonawszy czegoś takiego, wziąłby zaraz nogi *za pas*, Benvenuto jednak przerzucił sztylet z prawej ręki do lewej, w prawą ujął szpadę i stanął wyczekująco przed tuzinem wrogów.

Oni jednak z Benvenutem nie mieli już żadnych porachunków. Ten, który im płacił, leżał martwy, a w związku z tym nie mógł im więcej płacić. Toteż rozbiegli się jak stado przerażonych owiec, zostawiając zwłoki Pompea.

W tejże chwili zjawił się Ascanio i rzucił się do swego mistrza nie dał się nabrać na etruską wazę i zawrócił. Choć jednak biegł co sił w nogach i tak spóźnił się o kilka sekund.

## ROZDZIAŁ III

### DEDAL

Benvenuto odszedł z Ascaniem dość zaniepokojony, jednak nie trzema otrzymanymi ranami — były zbyt lekkie, by się nimi trapić — lecz następstwami tego, co zaszło. Pół roku wcześniej zabił niejakiego Guascontiego, mordercę swego brata, lecz zdołał wybrnąć z tarapatów dzięki protekcji papieża Klemensa VII; tamto zabójstwo było zresztą swego rodzaju odwetem; wszelako teraz protektor Benvenuto nie żył i sprawa się komplikowała.

Celliniemu do głowy nawet nie przyszło, rzecz jasna, żeby mieć wyrzuty sumienia.

Niechaj czytelnik z tego powodu nie myśli źle o naszym czcigodnym złotniku, który zabiwszy człowieka — ba! — zabiwszy dwóch ludzi, a może i — gdyby tak dobrze poszukać w jego przeszłości — trzech, boi się straży, lecz, ani trochę nie drży przed Bogiem.

Mąż ów bowiem, żyjący w roku pańskim 1540, jest zwykłym człowiekiem. Cóż w tym dziwnego zatem? Śmiercią nikt się w owych czasach nie przejmował, toteż i zabić kogoś stanowiło zgoła bagatelkę; my jesteśmy śmiałkami, oni byli zuchwalcami; my jesteśmy ludźmi dojrzałymi, oni byli młodzieńcami. Życie w tamtej epoce było tak bujne, że je tracono i zabierano z głęboką beztróską i lekce je sobie wazono.

Żył wtedy pewien pisarz, przez długi czas oczerniany, którego nazwisko stało się synonimem zdrady, okrucieństwa, krótko mówiąc — wszystkiego, co wiąże się z nikczemnością, i trzeba było wieku dziewiętnastego, najbardziej obiektywnej z epok, jakie przeżyła ludzkość, by zrehabilitować owego pisarza, wielkiego patriotę i człowieka niezwykle poczciwego. A tymczasem jedynym przewinieniem Mikołaju Machiavellego było to, że należał do epoki, w której siła i triumf były wszystkim, w której ceniono czyny, a nie słowa, w której nie zaprzatając sobie głowy podstępami ni rozmyślaniami, prosto do celu dążyli tacy jak władca Cezar Borgia. myśliciel Machiavelli artysta Benvenuto Cellini.

Razu jednego znaleziono na rynku w Cesenie poćwiartowane zwłoki; było to ciało Ramira d'Orco. A jako że ów d'Orco był wysoko postawioną w Italii osobistością, Republika Florencka zapragnęła poznać powód jego śmierci. Rada Ośmiu seniorii wystosowała zatem pismo do Machiavellego, swojego ambasadora, aby zaspokoił ich ciekawość.

Machiavelli odparł krótko:

*Dostojni Panowie*

*Jedyne, co mogę wam rzec na temat śmierci Ramira d'Orco, to że Cezar Borgia jest księciem, który najlepiej potrafi pozyskiwać sobie i pozbywać się ludzi podle ich zasług.*

*Machiavelli*



Benvenuto wcielał w życie teorię wyrażoną przez słynnego sekretarza Republiki Florenckiej. Genialny Cellini, książę Cezar Borgia uważali, iż z racji wielkości nie obowiązują ich żadne prawa. Postępki; sprawiedliwe i niesprawiedliwe były dla nich równoznaczne z tym, co mogli uczynić, a czego nie; nie znali pojęcia obowiązku i prawa. Skoro ktoś *im* przeszkadzał, to się go pozbywali. Obecnie cywilizowany świat czyni zaszczyt takiemu człowiekowi kupując go.

Wtedy jednak tyle krwi wrzało w żyłach młodych narodów, że przelewano ją dla zdrowia. Walczono instynktownie, w niewielkim stopniu z miłości do ojczyzny lub do kobiety, a głównie po to, by się bić — naród z narodem człowiek z człowiekiem Benvenuto toczył wojnę z Pompeem podobnie jak Franciszek I z Karolem V— Francja i Hiszpania walczyły ze sobą to pod Marignano, to znów pod Pawią; a wszystko odbywało się w sposób naturalny, bez długich przygotowań gadania ni lamentów,

Geniusz uważano za zdolność przyrodzoną, za władzę absolutną, za godność królewską przynależną z prawa boskiego; sztuka była w szesnastym wieku czymś najzwyczajszym w świecie.

Nie należy się tedy dziwić owym ludziom, których nic nic dziwiło, by wyjaśnić popełniane przez nich, zabójstwa ich zachcianki i wybryki, wystarczy jedno powiedzenie, tłumaczące i usprawiedliwiające wszystko w naszym, kraju, a zwłaszcza w naszych czasach:

*Tak się robiło.*

Benvenuto uczynił zatem po prostu to co się robiło: Pompeo przeszkadzał Celliniemu Cellini usunął Pompea.

Niekiedy wszakże policja usiłowała dowiedzieć się czegoś p owym usuwaniu; wystrzegała się pilnowania człowieka za jego życia ale czasami, raz na dziesięć razy zachciewało jej się pomścić go po śmierci.

Takie właśnie, pragnienie naszło ją w wypadku Benvenuta Celliniego. Skoro wróciwszy do domu wrzucił jakieś papiery do ognia, do kieszeni wsunął parę skudów, wpadli papiescy siepacze i odstawili go do zamku Świętego Anioła. ,co Benvenuta nieco pocieszyło jako że tam wtrącano szlachtę.

Co innego jeszcze, pocieszyło Celliniego nie mniej skutecznie, kiedy wkroczał do zamku Świętego Anioła, a mianowicie myśl, iż człowiek obdarzony tak bujną wyobraźnią jak on musi w taki czy inny sposób niebawem stamtąd wyjść.

Toteż wchodząc do kasztelana zamku, siedzącego za stołem nakrytym zielonym kobiercem i zajętego porządkowaniem rozlicznych dokumentów, powiedział:

— Mości kasztelanie, choćbyś potroił rygle, kraty i strażę; ,choćbyś mnie zamknął w najwyższej celi albo najgłębszym lochu, choćbyś czuwał w dzień i nie spał w nocy, uprzedzam, że mimo to ucieknę.

Kasztelan podniósł wzrok na więźnia, przemawiającego doń z taką niesłychaną czelnością, i poznał Benvenuta Celliniego, którego trzy miesiące wcześniej miał zaszczyt gościć przy swym stole.

Mimo tej znajomości, a może właśnie z jej powodu, przemowa Ben-venuta wprawiła czcigodnego kasztelana w najgłębsze zdumienie: był to florentczyk, dostojny Giorgio, kawaler z rodu Ugolinich, wspaniały człowiek, lecz o niezbyt tegiej głowie. Niebawem ochłonął jednak ze zdziwienia i rozkazał zaprowadzić Benvenuta do najwyższej położonej w zamku komnaty. Dach owej komnaty był tarasem: spacerowała po nim straż, a u stóp muru taras otaczającego również trzymano wartę.

Kasztelan zwrócił więźniowi uwagę na te szczegóły, a gdy uznał, iż więzień je należycie ocenił, rzekł:

— Drogi panie, można otworzyć zamki, można wyważyć drzwi, zrobić podkop w podziemnej celi, przebić mur, można przekupić strażę, uspić dozorców, ale bez skrzydeł z tej wysokości zejść nie można.

— Ja jednak zejść — oświadczył Benvenuto.

Kasztelan spojrział mu w twarz, zaczynając podejrzewać, iż jego więzień jest niespełna rozumu.

— A więc odleciś, panie?

— Dlaczego nie? Zawsze uważałem, że człowiek, może latać, brakowało mi tylko czasu na doświadczenia. Tutaj będę miał dość czasu i do kroćset! chcę zyskać wreszcie pewność. Przygoda Dedala to historia, a nie bajka,

~ Bacz na słońce, mój panie — odparł szyderczo kasztelan. — Bacz na słońce !

— Polecę w nocy — rzekł na to Cellini.

Takiej odpowiedzi kasztelan się nie spodziewał, nie znajdując tedy właściwej riposty, wyszedł mocno rozszereżony.

Benvenuto musiał istotnie uciec za wszelką cenę. Kiedy indziej, Bogu dzięki, nie martwiłby się, że zabił człowieka, i zdążyłby iść w procesji w sierpniowe święta Matki Boskiej odziany w kaftan i płaszcz z niebieskiego aksamity. Ale nowy papież, Paweł III. był diabelnie mściwy, Benvenuto zaś, kiedy ów siedział jeszcze na biskupstwie Farnese, poróżnił się z nim z powodu srebrnego kielichy, którego nie chciał mu dostarczyć bez zapłaty, a który jego ekscelencja pragnął odebrać siłą, co zmusiło Benvenuta do poturbowania ludzi ekscelencji; poza tym Ojciec Święty był zazdrosny o to, że Król Franciszek I prosił go już przez biskupa de Montluc, swojego ambasadora przy Siedzibie Apostolskiej, o przysłanie mu Benvenuta. Dowiedziawszy się o uwięzieniu Benvenuta, biskup de Montluc, sądząc, iż odda przysługę nieborakowi, tym bardziej hastawał; wielce się jednak pomylił co do charakteru nowego papieża, jeszcze bardziej upartego niż jego poprzednik, Klemens VII. Paweł III przysiągł bowiem oto, iż Benvenuto zapłaci mu za swoją eskapadę, i chociaż złotnikowi nie groziła śmierć — papież, w owych czasach dobrze by się zastanowił, nim by kazał powiesić tej miary artystę — ale miał wszelkie szanse, by zostać zapomnianym w więzieniu. W tym wypadku Benvenuto musiał przeto sam o sobie pamiętać, dlatego też postanowił uciec nie czekając na śledztwo i sąd, do których nigdy by mogło nie dojść, jako że papież, poirytowany nastawieniem króla Franciszka I, nie chciał już nawet słyszeć nazwiska Benvenuta Celliniego. Więzień o tym wszystkim dowiedział się od Ascania, który prowadził jego sklep i po długich naleganiach otrzymał pozwolenie na odwiedzanie mistrza; wizyty te odbywały się, rzecz jasna, przez podwójną kratę i w obecności świadków czuwających nad tym, aby Czeladnik nie podał mistrzowi ani pilnika, ani sznura, ani noża.

Toteż gdy tylko za kasztelanem zamknęły się drzwi, Benvenuto zabrał się do oględzin celi.

A oto co się znajdowało w czterech ścianach jego nowego mieszkania: łóżko, kominek, gdzie można było rozpalić ogień, stół i dwa krzesła; dwa dni później Benvenuto otrzymał glinę i narzędzie do modelowania. Kasztelan w pierwszej, chwili odmówił więźniowi owych przedmiotów, przeznaczonych dla wypełnienia czasu, lecz zmienił zdanie po zastanowieniu, zajmując bowiem myśli artysty, odwróci może jego uwagę od pomysłu ucieczki, którym zdawał się być opętany; tego samego dnia Benvenuto zaczął modelować olbrzymią Wenus.

Nie było to wiele; gdy dodać jednak do tego wyobraźnię, cierpliwość i werwę, rzecz znacznie urastała.

Pewnego grudniowego dnia, kiedy było bardzo zimno i u Benvenuto rozpalono ogień na kominku, zmieniono mu także pościel i zapomniano zabrać brudną; jak tylko drzwi się zamknęły, Benvenuto podbiegł do łóżka, wyrwał z siennika dwie duże garście liści kukurydzianych, z których Włosi robią sienniki, wcisnął na ich miejsce zapomniane prześcieradła, usiadł z powrotem przy posągu, wziął w rękę narzędzie i zabrał się znów do pracy. W tejże chwili do celi wszedł posługacz po zapomnianą pościel, obejrzał wszystkie kąty pytając Benvenuto, czy jej nie widział; lecz Benvenuto, niby pochłonięty modelowaniem, odparł niechętnie, że pewno przyszedł po nią ktoś inny albo że posługacz nie pamięta, iż zali brał ją wcześniej. W posługaczu nie zrodziło się żadne podejrzenie, tak krótki czas dzielił jego wyjście i powrót tak naturalnie Benvenuto odegrał swoją rolę; a ponieważ pościel się nie odnalazła, pilnie baczył, by rzecz się nie wydała w obawie, iż musiałby za prześcieradła zapłacić albo wyrzucono by go na ulicę.

Człowiek nie zdaje sobie sprawy, ile straszliwych chwil i przejmujących obaw składa się na doniosłe wydarzenia. Wtedy to najbardziej banalne wypadki życiowe stają się okolicznościami, które budzą w nas radość bądź rozpacz. Po wyjściu posługacza Benvenuto rzucił się na kolana i podziękował Bogu za wsparcie go w potrzebie.

Ponieważ zaś po posłaniu łóżka nikt go nie dotykał aż do następnego rana, zostawił w spokoju prześcieradła zwinięte w sienniku.

Gdy zapadła noc, zabrał się do cięcia prześcieradeł — na szczęście nowych i dosyć grubych — na pasy szerokości trzech, czterech cali po czym jął je mocno splatać; następnie rozciął brzuch glinianego posągu, wydrążył go, wepchnął do środka swój skarb pokrył przecięcie odrobiną gliny, którą wygładził tak dokładnie, że najbardziej wprawne oko by nie dostrzegło, iż biedna Wenus poddana właśnie została cesarskiemu cięciu.

Nazajutrz rano kasztelan, zgodnie ze swym zwyczajem, wszedł niespodziewanie do celi, ale jak zwykle zastał więźnia siedzącego spokojnie przy pracy. Każdego ranka nieborak, szczególnie niespokojny co do nocy, drżał, że zastanie celę pustą. I pochwalając jego szczerą przyznac należy, że nie krył radości widząc co rano w celi jej mieszkańca.

— Wyznać muszę, że niepokoisz mnie straszliwie, panie Benvenuto — rzekł do więźnia nieborak kasztelan. — Zaczynam jednak wierzyć, że czcze były twoje pogrożki, iż uciekniesz.

— Ja ci nie grożę, mości Giorgio — odparł Benvenuto. — Ja tylko uprzedzam.

— Ciągłe więc masz nadzieję, że stąd wyfruniesz?

— Na szczęście to nic jest zwykła nadzieja, lecz, do kroćset, pewność!

— Ależ, *demonio!* jak chcesz to uczynić? — zawołał kasztelan, którego prawdziwa czy udawana ufność Benvenuto co do sposobu ucieczki wprawiała w przerażenie. .

— To tajemnica, mości panie. Uprzedzam jednak, moje skrzydła rosną. '

Kasztelan machinalnie spojrzął na ramiona więźnia.

— Tak to już jest, mości kasztelanie — podjął Cellini modelując przez cały czas posąg, którego uda właśnie formował w taki sposób, że można by sądzić, iż chce stworzyć rywalkę Afrodyty Kallipygos. — Między nami walka z wyzwaniem. Ty masz olbrzymie wieże, grube drzwi, silne zamki, setki straży w pogotowiu. Ja mam głowę i te oto ręce i po prostu uprzedzam, że i tak cię pokonam, mój panie. Ponieważ jednak człek z ciebie zmyślny, ponieważ przedsięweźmiesz wszelkie środki ostrożności, po moim odejściu będziesz miał na pociechę świadomość, że to nie twoja wina, mości Giorgio, że nie masz sobie nic do zarzucenia, mości Giorgio, i że niczego nie zaniedbałeś, aby mnie zatrzymać, mości Giorgio. A co pan teraz powiesz na to udo, boś przecie, jak wiem, amatorem sztuki?

Tyle pewności siebie doprowadzało do rozpaczyny biednego kasztelana. Więzień stał się jego myślą prześladowczą, mącił mu w głowie; posmutniał z tego powodu, stracił apetyt i bezustannie się zrywał niby człowiek nagle przebudzony. Pewnej nocy Benvenuto usłyszał dobiegającą z tarasu wielką wrzawę; po chwili przeniosła się do korytarza, a następnie zatrzymała przed drzwiami jego celi; po czym drzwi się otwarły i w towarzystwie czterech dozorców i ośmiu strażników ujrzał odzianego w szlafrok i szlafmycę mości Giorgia, który podbiegł do jego łóżka ze zmienioną twarzą. Benvenuto usiadł na łóżku i roześmiał mu się w nos. Kasztelan, nie dbając o ów śmiech, odetchnął niczym nurek wypływający na powierzchnię,

— Chwała Bogu! — zawołał. — Jesteś jeszcze, nieszczęsny! Słusznie powiada przysłowie: sen mara — Bóg wiara,

— Co się dzieje? — spytał Cellinii. — I czemu zawdzięczam przyjemność oglądania cię o tej porze, mości Giorgio?

— Jezus Maria! Nic się nie dzieje, jeszcze raz skończyło się na strachu, Śniło mi się, że ci wyrosły te przekłete skrzydła, olbrzymie skrzydła, i spokojnie się unosiłeś nad zamkiem mówiąc do mnie: „Żegnaj, drogi kasztelanie, żegnaj! Nie chciałem odejść bez pożegnania, teraz już lecę. Mam nadzieję, że się więcej nie zobaczymy.”

— Co? Ja tak mówiłem, mości Giorgio?

— To twoje własne słowa... Och, Benvenuto, na moje nieszczęście tu się zjawiłeś!

— No, nie uważasz mnie chyba, mój panie, za tak ile wychowanego. Dobrze, że to tylko sen, inaczej nigdy bym ci tego nie wybaczył.

— Na szczęście nic się nie stało. Mam cię dalej, przyjacielu, a choć twoja kompania nie sprawia mi wielkiej przyjemności, spodziewam się trzymać cię jeszcze długo.

— Nie sądzę — odrzekł Benvenuto z owym pewnym siebie uśmiechem, który wyprowadzał z równowagi jego gospodarza.

Kasztelan odszedł posyłając Benvenuta do wszystkich diabłów, a nazajutrz wydał rozkaz, aby w dzień i w nocy co dwie godziny zaziarać do celi. Te inspekcje trwały miesiąc; po miesiącu wszelako, jako że nic nie wskazywało na to, iż Benvenuto myśli choćby o ucieczce, dozór osłabł.

Ten miesiąc Cellini wykorzystał na morderczą wręcz pracę.

Jak już powiedziano, Benvenuto zaraz po wejściu do celi dokładnie obejrzał całe pomieszczenie i od tej chwili miał ustalony sposób ucieczki. Okno było okrętowane, a kraty zbyt mocne, by je wyrwać rękami lub obluźować za pomocą narzędzia, do modelowania, jedyne go przedmiotu z żelaza, jaki posiadał. Kominiek zaś zwęzał się tak bardzo, że więzień musiałby mieć możliwość zamiany w węża niczym wróżka Meluzyna, by przezeń przejść. Pozostawały tylko drzwi.

A tak! Drzwi! Przyjrzyjmy im się bliżej. Drzwi były dębowe, grube na dwa palce, zamknięte na dwa zamki i cztery rygle, a wewnątrz obite arkuszami blachy zamocowanymi u gór; i u dołu ćwiekami.

Przez te właśnie drzwi należało przejść.

Benvenuto zauważył, że kilka kroków od owych drzwi, w prowadzącym do celi korytarzu, znajdowały się schody, którymi straż wchodził na taras. Co dwie godziny słyszał zatem dźwięk kroków, straży wchodzących po stopniach; później rozlegały się kroki schodzących z warty po czym miał dwie godziny zupełnego spokoju.

Należało tedy po prostu znaleźć się po drugiej stronie owych drzwi dębowych, grubych ha dwa palce, zamkniętych na dwa zamki zaryglowanych na cztery zasuwę i na dodatek pokrytych

wewnątrz jak już powiedziano, arkuszami blachy zamocowanymi u góry i u dołu ćwiekami. Przez miniony miesiąc Benvenuto oddawał się takiej oto pracy: Za pomocą żelaznego narzędzia do modelowania jedną po drugiej usunął główki ćwieków z wyjątkiem czterech u góry i czterech u dołu, które zostawił sobie na ostatni dzień: następnie, ażeby nie spostrzeżono ich braku, zastąpił je identycznymi główkami zrobionymi z gliny i pokrytymi opiłkami żelaza, tak że najbardziej nawet wprawnym okiem nie można było odróżnić prawdziwych od fałszywych. Ponieważ, zaś w górze i w dole znajdowało się po sześćdziesiąt ćwieków, a zdjęcie każdej główki zabierało godzinę, niekiedy dwie, łatwo pojąć, ile pracy więzień musiał w to włożyć.

Z kolei co wieczór, gdy wszyscy już spali i Benvenuta dobiegał tylko dźwięk kroków przechadzających się nad jego głową straży rozpałał w kominku wielki ogień i wzdłuż arkuszy blachy układał stertę żarzących się głowni; żelazo rozgrzewało się do czerwoności i powoli zwęglało drewno, do którego było przymocowane, przy czym po drugiej stronie nie dostrzegłbyś śladu zwęglenia.

Przez miesiąc, jak powiedziano, Benvenuta pochłaniała ta praca, ale też po miesiącu dobiegła końca i więzień czekał już tylko na sprzyjającą ucieczce noc. Potrwało to jeszcze kilka dni gdyż w chwili zakończenia pracy była pełnia księżyca.

Benvenuto zrobił z ćwiekami, co należało. ogrzewał więc dalej drzwi i drażnił kasztelana. Jednego dnia kasztelan wszedł doń przejęty bardziej niż kiedykolwiek.

— Drogi mój więźniu — rzekł poczciwiec, który ciągle powracał do prześladowanej go myśli — czy nadal masz zamiar stąd odlecieć? No, powiedz szczerze:

— Bardziej niż kiedykolwiek, drogi gospodarzu — odparł Benvenuto.

— Posłuchaj pan — powiedział kasztelan — możesz i opowiadać, co chcesz, ale prawdę mówiąc uważani, że to niemożliwe.

— Niemożliwe; mości Giorgio, niemożliwe! rzekł na to artysta. -Wiesz przecie dobrze, że takie słowo nie istnieje dla mnie, który upodobałem sobie, wykonywanie najbardziej niemożliwych dla ludzi rzeczy, i to z powodzeniem. Niemożliwe! A czyż nie bawiło mnie wprawianie od czasu do czasu zazdrość przyrody, gdy ze złota, szmaragdów i diamentów tworzyłem jakiś kwiat piękniejszy niż prawdziwe, perlące się od rosy? Sądzisz, że ten, co robi kwiaty, nie może zrobić skrzydeł?

— Na Boga! — zawołał kasztelan. — Ta twoja bezczelna pyszałkowatość doprowadzi mnie do obłądu! No, ale żeby takie skrzydła mogły cię utrzymać w powietrzu, co, przyznam, wydaje mi się zgola niewykonalne, jaki byś im dał kształt?

— Dużo nad tym myślałem, co łatwo zgadnąć, jako że bezpieczeństwo mojej osoby zależy od kształtu skrzydeł.

— A zatem?

— A zatem, zbadawszy wszystkie latające istoty, gdybym chciał odtworzyć dzieło, jakie otrzymały w darze od Boga, z powodzeniem mógłbym naśladować jedynie nietoperza.

— Czy jednak, panie Benvenuto — podjął kasztelan — gdybyś miał możliwość zrobienia sobie pary skrzydeł, nie brakłoby ci odwagi w decydującej chwili?

— Daj mi, mości kasztelanie, wszystko co trzeba, by je wykonać, a odpowiem ci przy odlocie.

— A co ci do nich trzeba?

— Och, mój Boże, doprawdy niewiele: małe ognisko kowalskie, kowadło, pilniki, szczypce i obcęgi, by wykonać sprężyny, oraz jakieś dwadzieścia pasów na woskowanego płótna, żeby zastąpić błony.

— Doskonale, doskonale — rzekł mości Giorgio — trochę mnie to uspokoiło, bo nigdy, choćbyś był najmądrzejszy, nie zdołasz tego tutaj zgromadzić.

— Już tego dokonałem — oświadczył spokojnie Benvenuto.

Kasztelan podskoczył na krzesło, lecz w tej samej chwili uzmysłowił sobie, że to fizycznie niewykonalne. Wszelako, choć zgoła niemożliwe, ani na chwilę nie dawało mu to spokoju. Kiedy ptak przelatywał przed jego oknem, wyobrażał sobie zaraz, że to Cellini, tak wielki ma wpływ umysłowość silna na przeciętną.

Tego samego dnia Giorgio posłał po najzręczniejszego mechanika w Rzymie i rozkazał mu wymierzyć dla siebie skrzydła nietoperza. Zdumiony mechanik spojrział bez słowa na kasztelana, nie bez racji przypuszczając, że mości Giorgio oszalał.

Ponieważ jednak Giorgio nie ustępował, ponieważ był bogaty, a gdy popełniał szaleństwa, miał środki, by za nie zapłacić, mechanik zabrał się, do zleczonej mu pracy i tydzień później przyniósł wspaniałe skrzydła, które mocowano do ciała za pomocą żelaznego gorsetu i które dzięki niezwykle pomysłowemu układowi sprężyn poruszały się z budzącą zaufanie miarowością.

Giorgio zapłacił mechanikowi umówioną cenę, zmierzył przestrzeń jaką zajmował ów aparat, udał się do celi Benvenuta i bez słowa przewrócił ją do góry nogami, zajrzał pod łóżko, pogrzebał w kominku, obmacał siennik, zerknął do najciemniejszych zakamarków. Po czym wyszedł, ciągle bez słowa, przekonany, że o ile Benvenuto nie jest czarownikiem, to żadną miarą nie zdoła ukryć w celi skrzydeł podobnych do jego.

Stawało się oczywiste, że umysł nieszczęsnego kasztelana coraz bardziej szwankuje.

W domu imć pan Giorgio zastał mechanika; człek ów zawrócił, by go jeszcze powiadomić, że na końcu każdego skrzydła znajduje się żelazna obręcz przeznaczona do podtrzymywania nóg człowieka lecącego w pozycji poziomej.

Zaledwie mechanik wyszedł, Giorgio zamknął się, przywdział gorset, rozłożył skrzydła, zamocował obręcze na nogach i położywszy się na brzuchu, spróbował ulecieć.

Jednakże mimo wysiłków nie zdołał się wznieść nad ziemię.

Po dwóch czy trzech próbach raz jeszcze posłał po mechanika.

— Wypróbowałem twoje skrzydła — rzekł — lecz nie działają.

— Jak je próbowałeś, panie?

Giorgio opowiedział ze szczegółami swoje trzykrotne doświadczenie. Mechanik wysłuchał go z uwagą, po czym rzekł:

— Nic w tym dziwnego. Leżąc na ziemi, panie, nie możesz nabrać w skrzydła wystarczającej ilości powietrza: musiałbyś wejść na zamek Świętego Anioła i stamtąd odważnie wyruszyć w przestrzeń.

— I sądzisz, że wtedy bym poleciał?

— Jestem pewien — odparł mechanik.

— Skoro zatem jesteś tego pewien — ciągnął kasztelan — to czy nie wyszłoby na to samo, gdybyś ty je wypróbował?

— Skrzydła są przystosowane do ciężaru twojego ciała, panie, a nie do mojego — odparł mechanik. — Skrzydła dla mnie musiałyby mieć rozpiętość o półtorej stopy większą.

Mechanik skłonił się i wyszedł.

— Do diabła!— zawołał mości Giorgio.

Przez cały dzień można było dostrzec w myślach imć pana Giorgia pewne zaburzenia, co wskazywało, iż jego rozum, niczym rozum Orlanda, oddali się coraz bardziej w krainę ułudy.

Wieczorem, gdy miał się już kłaść, wezwał całą służbę, wszystkich dozorców i strażników.

— Jeżeli się dowiecie — powiedział — że imć pan Cellini chce odfrunąć, pozwólcie mu odlecieć i tylko mnie powiadomcie, bo potrafię

nawet nocą dogonić go bez trudu, zważywszy, że jestem prawdziwym nietoperzem, podczas gdy on, cokolwiek by mówił, jest nietoperzem fałszywym.

Biedny kasztelan całkowicie popadł w obłęd; ponieważ jednak spodziewano się, że noc przyniesie mu niejaki ukojenie, postanowiono poczekać do rana z powiadomieniem papieża.

W dodatku noc była okropna, deszczowa i ciemna, nikt zatem nie miał ochoty wychodzić na taką pogodę. Nikt z wyjątkiem Benvenuto Celliniego; który niewątpliwie przez przekorę tę właśnie noc wybrał na ucieczkę. Toteż gdy tylko usłyszał, że zegar wybił godzinę dziesiątą i że zmieniono wartę, padł na kolana i pomodliwszy się gorąco, przystąpił do dzieła. W pierwszym rzędzie usunął cztery pozostałe główki świeców, jedyne, które podtrzymywały arkusze blachy. Ostatnia odpadła z wybiciem północy.

Benvenuto usłyszał kroki rontu wchodzącego na taras; przywarł bez tchu do drzwi, po czym ront zszedł, kroki ucichły w oddali i znów wszystko ogarnęła cisza.

Deszcz się wzmógł i Benvenuto z bijącym z radości sercem słuchał, jak strumienie wody łomoczą w okna.

Spróbował wreszcie oderwać arkusze blachy, i arkusze, niczym już nie zamocowane, ustąpiły; Benvenuto poustawiał je zatem jeden przy drugim pod ścianą.

Następnie położył się na brzuchu i za pomocą narzędzia do modelowania, zaostzonego przezeń jak sztylet i osadzonego w kawałku drewna, zabrał się do drzwi. Dół drzwi nie stawiał oporu: dębowe drewno było całkowicie zwęglone. Po krótkiej chwili Benvenuto wydrążył w dole drzwi otwór wystarczająco duży, by się przezeń precyzyjnie.

Wtedy rozplątał ponownie brzuch posągu, wyjął splecione pasy płótna, owinał się nimi w tali i uzbrojony w swoje narzędzie, z którego, jak powiedziano, zrobił sztylet, raz jeszcze ukląkł, by się pomodlić.

Następnie przesunął przez otwór głowę, potem ramiona, resztę ciała — i znalazł się w korytarzu.

Podniósł się, lecz nogi tak pod nim drżały, że musiał się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść. Serce omal mu z piersi nie wyskoczyło, a głowa płonęła. Spływał potem i ścisnął w garści rękojeść swego sztyletu, jakby się bał, że ktoś mu go zabierze.

Ponieważ jednak wokół panował spokój, ponieważ nie rozlegał się żaden dźwięk, ponieważ wszystko trwało w bezruchu, Benvenuto niebawem się uspokoił i dotykając ręką muru szedł korytarzem, dopóki nie poczuł, że ściana się skończyła. Wysunął wtedy stopę i namacał pierwszy stopień schodów, a raczej drabiny prowadzącej na taras.

Wstępował na kolejne stopnie, drżąc przy każdym skrzypnięciu drewna, wreszcie owiało go świeże powietrze, krople deszczu spadły mu na twarz, głowa wynurzyła się ponad poziom tarasu, a jako że od kwadransa, przebywał w głębokich ciemnościach, natychmiast zdołał ocenić,; jakie mógł żywić obawy i nadzieje.

Szala przechyliła się na stronę nadziei.

Straż, by się schronić przed deszczem, weszła do budki wartowniczej. Ponieważ zaś żołnierze trzymający wartę na szczycie zamku Świętego Anioła znajdowali się tam nie po to, by strzec tarasu, lecz aby pilnować fosy i badać wzrokiem przedpole, ślepa ściana budki znajdowała się dokładnie na wprost schodów, którymi wyszedł Benvenuto.

Cellini na czworakach zbliżył się bezszelestnie do najbardziej oddalonego od budki wartowniczej punktu tarasu. Tam zamocował do starożytnej cegły, wystającej na jakieś sześć cali z muru, swój sznur, po czym po raz trzeci padł na kolana i szepnął:

— Boże, pomóż mi, skoro sam sobie pomagam! --- *Po* tej modlitwie jął się opuszczać po sznurze na rękach, nie bacząc na zadrapania na czole i kolanach ocierających się od czasu do czasu o mur, i tak zsunął się na dół.

Kiedy pod nogami poczuł ziemię, ogarnęło go niezmiernie uczenie radości i dumy. Spojrzał na niebotyczną ścianę, z której szczytu zdołał zejść, i patrząc tak, nie mógł się powstrzymać, by nie rzec półgłosem: „A więc 'jestem wolny!'” Ta nadzieja trwała jednak krótko.

Odwrócił się i nogi się pod nim ugięły: przed nim wznosił się niedawno postawiony mur, o którym nie wiedział. Był zgubiony. Zdało mu się, że wszystko przepadło, i zrozpaczony rzucił się na ziemię; padając uderzył o coś twardego: była to długa belka; uradowany i zdumiony, zakrzyknął z cicha: jest uratowany!

Nie zdajemy sobie nawet sprawy, ile w jednej minucie życia ludzkiego może się pomieścić ulatujących radości i nadziei.

Benvenuto chwycił belkę niczym rozbiitek łapie maszt, który ma go utrzymać na wodzie. W normalnych warunkach dwóch ludzi z trudem by ją uniosło; Benvenuto przeciągnął ją pod mur i oparł o niego.

Wspiął się po belce na szczyt muru, ale gdy tam dotarł, zabrakło mu sił, by ją wyciągnąć i spuścić po drugiej stronie. Ogarnął go na chwilę zawrót głowy, zamknął oczy i odniósł wrażenie, że miota się w morzu płomieni.

Naraz pomyślał o splecionym przez siebie sznurze, dzięki któremu zszedł z tarasu.

Zjechał z powrotem po belce i pobiegł tam, gdzie zostawił zwisający sznur, przywiązany jednak na tarasie tak solidnie, że nie zdołał go zerwać z cegły, do której był zamocowany.

Zrozpaczony Benvenuto uwiesił się na końcu sznura ciągnąc ze wszystkich sił w nadziei, że pęknie. Na szczęście jeden z czterech łączących pasy płótna węzłów rozluźnił się i Benvenuto upadł na plecy z kawałkiem liny długości około dwunastu stóp.

Tego mu właśnie było trzeba: podniósł się rozradowany i pełen nowych sił, wspiął się raz jeszcze po belce, usiadł na murze i przywiązał sznur do belki.

Zsunąwszy się do końca liny, na próżno szukał stopą ziemi; spojrzawszy w dół i zobaczywszy, iż dzieli go od niej zaledwie sześć stóp: puścił sznur i znalazł się na ziemi.

Położył się wtedy na chwilę. Był wyczerpany, ręce i nogi miał odarte ze skóry. Przez kilka minut przyglądał się bezmyślnie swoim krwawiącym kończynom; ale oto wybiła piąta, ujrzał, że gwiazdy zaczynają blednąć.

Wstał; kiedy się jednak podnosił, szyldwach, którego nie dostrzegł, a który bez wątpienia widział co on uczynił, postąpił kilka kroków w jego kierunku. Benvenuto pojął, że jest zgubiony i że albo musi zabić, albo sam zostanie zabity. Wyjął zza pasa sztylet i ruszył tak zdecydowanie w stronę wartownika, że ten niechybnie zrozumiał, iż oprócz silnego mężczyzny, będzie jeszcze miał przeciw sobie jego wielką rozpacz. Benvenuto był zdecydowany nie cofnąć się ani o krok, lecz oto naraz szyldwach odwrócił się doń plecami, jakby go w ogóle nie zauważył. Więzień pojął, co to oznacza.



Biegiem ruszył do następnego szańca. Szaniec ów leżał w pobliżu fosy i wznosił się na jakieś dwanaście, piętnaście stóp. Skok z takiej wysokości nie mógł zatrzymać człowieka pokroju Benvenuto Celliniego, zwłaszcza gdy dotarł już tak daleko, a ponieważ jedną część sznura zostawił zawieszoną na cegle, drugą na belce i nie miał się już po czym opuścić, a w dodatku czasu mu zgoła nie zbywało, zawisł na rękach na pierścieniu osadzonym w murze i modląc się w myśli, skoczył.

Skoczył i upadł zemdlony.

Upłynęła blisko godzina, zanim się ocknął; chłód zwiastujący świtanie przywrócił mu zmysły. Przez chwilę jeszcze leżał ogłuszony, po czym przesunął dłonią po czole i wszystko sobie przypomniał.

Głowa sprawiała mu nieznośny ból i widział krople krwi niby pot spływające po jego twarzy i kapiące na kamienie, na których leżał. Pojął, że zranił się w czoło. Po raz wtóry podniósł doń rękę, by zbadać rany: nic były poważne — przecięta skóra, lecz kość nienaruszona. Benvenuto uśmiechnął się i spróbował wstać, ale opadł z powrotem: prawą nogę miał złamaną trzy cale nad kostką. Tak mu spuchła, że w pierwszej, chwili nie poczuł bólu.

Zdjął koszulę, podarł ją na pasy i złożywszy kości najlepiej, jak potrafił, mocno kończyne obandażował, prowadząc od czasu tło czasu pas płótna pod stopą, aby kości się nie przesunęły. Po czym na czworakach ruszył ku bramie Rzymu znajdującej się pięćset kroków dalej.

Kiedy po półgodzinie okrutnych męczarni dotarł do niej, okazało się, że jest zamknięta. Zauważył jednak pod bramą duży kamień; wyciągnął go bez większego trudu i przeczołgał się przez dziurę.

Lecz zaledwie posunął się o trzydzieści kroków, gdy sfera bezdomnych, wygłodzonych kundli, po zapachu krwi, wyczuwszy, iż jest ranny, rzuciła się na niego. Dobył sztyletu i jednym ciosem rozpruł bok największego i najbardziej zajadłego. Pozostałe psy rzuciły się na zabitego towarzysza.

Benvenuto dowłókł się aż do kościoła Transpontina; tam napotkał woziwodę, który właśnie objuczył swego osła świeżo nabraną wodą: Przywołał go do siebie.

— Słuchaj, dobry człowieku — rzekł — byłem u kochanki i z pewnych względów, wszedłszy do niej drzwiami, wyjść musiałem oknem: wyskoczyłem z pierwszego piętra i zламаłem sobie nogę. Zanieś mnie na schody Świętego Piotra, a dam ci złotego skuda.

Woziwoda bez słowa zarzucił sobie rannego na plecy i zaniósł go n wskazane miejsce. Otrzymawszy zaś obiecaną monetę, poszedł swoją drogą nie oglądając się nawet za siebie.

Benvenuto poczołgał się wtedy do domu biskupa de Montluc, ambasadora Francji, mieszkającego kilka kroków dalej.

Biskup de Montluc zakrzętnął się zaraz tak gorliwie, że po miesiącu Benvenuto był już zdrowy, po dwóch otrzymał ułaskawienie, a po czterech wyruszył z Ascaniem i Pagolem do Francji.

Co się zaś tyczy nieszczęsnego kasztelana, to postradał zmysły, żył w szaleństwie i w szaleństwie umarł, cały czas wierząc, iż jest nietoperzem, i nieustannie dokładając wszelkich starań, aby się wzbić w przestworza.

## ROZDZIAŁ IV

### SCORZONA

Kiedy Cellini przybył do Francji, Franciszek I przebywał z całym dworem w pałacu Fontainebleau; Cellini zatrzymał się więc w mieście, każąc powiadomić kardynała Ferrary o swoim przyjeździe. Kardynał, wiedząc, jak niecierpliwie władca oczekuje Benvenuto, natychmiast wieść tę przekazał jego królewskiej mości. Tego samego dnia król przyjął Benvenuto i zwracając się doń w owym słodkim i jędrnym języku, którym artysta tak świetnie władał w piśmie, rzekł:

— Masz kilka dni, panie Benvenuto, by nabrać ducha po strapieniach i trudach, spędź je wesoło, pokrzep się i zabaw, a my się tymczasem zastanowimy nad zamówieniem u ciebie czegoś pięknego.

Ulokowawszy go następnie w pałacu, Franciszek I rozkazałaby mu na niczym nie zbywało.

Benvenuto znalazł się zatem Od pierwszej chwili w samym centrum francuskiej kultury, w tym czasie pozostającej w tyle za kulturą włoską, ale walczącej już z nią o prymat i mającej ją wkrótce wyprzedzić. Gdy patrzył dookoła, mogło mu się zdać, że nie opuścił stolicy Toskanii, znajdował się bowiem w otoczeniu sztuki i artystów znanych mu z Florencji, po Leonardzie da Vinci zaś i mistrzu Rosso nastąpiła era Primaticcia.

Benvenuto powinien był zatem pójść śladem swoich słynnych poprzedników i przed najwytworniejszym w Europie dworem wynieść sztukę rzeźbiarską równie Wysoko, jak ci trzej mistrzowie wynieśli sztukę malarską. Toteż Cellini zdecydował sam wyjść naprzeciw pragnieniom króla nie czekając, aż władca zamówi u niego obiecane dzieło, lecz wykonując je z własnej woli i łożąc na nie swoje środki. Bez trudu zauważył, jak drogą była królowi rezydencja, gdzie się spotkali; postanowił tedy dogodzić jego upodobaniu wykonując posąg, który zamierzał nazwać Nimfą z Fontainebleau.

Pięknym miał być dziełem ów posąg, otoczony zarazem dębami, zbożem i winoroślą; Fontainebleau przylega bowiem do pól, ocienia je las i otoczone jest winnicami. Wymarzona przez Celliniego nimfa powinna zatem mieć w sobie cechy Cerery, Diany i Erigone złane w całość, trzech cudownych postaci, które różniąc się tak przecież, winny tworzyć jedność; poza tym na postumencie miały się znajdować atrybuty trzech bogiń, a kto widział urocze figurynki na posągu Perseusza, wie, jak florentyński mistrz potrafił wycyzelować te cudowne szczegóły.

Jednym z wielkich nieszczęść artysty jest wszelako to, że nosząc w sobie poczucie piękna idealnego, dla zmaterializowania swego dzieła potrzebuje nadto ludzkiego modelu. A gdzie tu znaleźć taki model, który by posiadał odrębną urodę trzech bogiń? Gdyby oczywiście, jak w czasach starożytnych, jak w czasach Fidiaszy i Apellesów, współczesne piękności o królewskich kształtach z własnej woli chciały artyście pozować, Benvenuto znalazłby na dworze to, czego szukał; był tam cały Olimp w kwiecie wieku: Katarzyna Medycejska mająca wówczas zaledwie

dwadzieścia jeden lat; Małgorzata de Valois, królowa Nawarry, zwana Czwartą Gracją i Dziesiątą Muzą; diuszesa d'Etampes, która wiele jeszcze razy pojawi się na kartach tej opowieści, zwana najpiękniejszą z mądrych i najmądrzejszą z pięknych. Było to więcej, niżby artysta pragnął; lecz, jak rzekliśmy, czasy owe różniły się od czasów Fidiaszy i Apellesów.

Benvenuto musiał szukać gdzie indziej.

Z wielkim przeto zadowoleniem przyjął wieść, że dwór przenosi się do Paryża; na nieszczęście, jak to sam Benvenuto określił, dwór w owych czasach podróżował, niczym kondukt żałobny. Poprzedzany dwunastoma, piętnastoma tysiącami konnych, stawał w miejscu, gdzie znajdowało się ledwie dwa, trzy domy, co wieczór tracił cztery godziny na rozbijanie namiotów i tyleż rankiem na ich zwijanie, tak że chociaż rezydencję od stolicy dzieli zaledwie szesnaście *lieues*, podróż z Fontainebleau do Paryża zajęła pięć dni.

Wielokrotnie w drodze Cellini miał chęć ruszyć przodem, za każdym jednak razem kardynał Ferrary powstrzymywał go przed tym mówiąc, iż gdyby król nie widział złotnika przez cały dzień, z pewnością by zapytał, co się z nim stało, a dowiedziawszy się, że odjechał, potraktowałby ów odjazd bez zezwolenia jako uchybienie dworskiej etykiety. Benvenuto powściągał tedy niecierpliwość i podczas długich popasów próbował zabić czas wykonując rysunki do Nimfy z Fontainebleau.

Wreszcie dotarł do Paryża. Pierwszą wizytę złożył Primaticciowi, któremu po Leonardzie da Vinci i mistrzu Rosso powierzono prowadzenie w Fontainebleau rozpoczętego przez tamtych dzieła. Mieszkający od dawna w Paryżu Primaticcio powinien go od razu naprowadzić na trop tego, czego szukał, i powiedzieć mu, gdzie może znaleźć modele.

Zatrzymajmy się na chwilę przy Primaticciu.

Signor Francesco Primaticcio, od miejsca urodzenia zwany również Bologna, uczeń Giulia Romano, pod którego kierunkiem pracował przez sześć lat, ósmy rok już mieszkał we Francji, gdzie wezwał go Franciszek I za radą markiza Mantui, swego wielkiego „werbownika” artystów. Był to człowiek, co widać po samym Fontainebleau, niezwykle płodny, o śmiałych i imponujących środkach wyrazu, nieskazitelnej czystości linii.

Primaticcia długo nie doceniano, jego rozległej wiedzy, nieograniczonego talentu, który obejmował wszelkie rodzaje malarstwa, a za trzy wieki niesprawiedliwości pomściła go dopiero nasza epoka. Z inspiracji religijnej powstały jego, obrazy dla kaplicy w Beauregard; tematyka moralna znalazła swój wyraz w personifikacji głównych cnót chrześcijańskich przedstawionych w pałacu Montmorency; na koniec rozległe Fontainebleau wypełniają jego dzieła: zdobienia Złotej Bramy i Sali Balowej pokazują najbardziej wdzięczne tematy mitologiczne i alegoryczne; w Galerii Ulissesa i w salonie Ludwika Świętego Primaticcio stał się za Homerem poetą epickim i przełożył na język malarski „Odyseję” i część „Iliady”. Następnie od czasów legendarnych przeszedł do wieków heroiczych i czerpał tematy z historii. Główne wydarzenia z życia Aleksandra i Romulusa oraz poddanie Hawru zostały przedstawione na obrazach zdobiących Wielką Galerię i komnatę przylegającą do Sali Balowej; przyroda znalazła odbicie w wielkich pejzażach z Gabinetu Osobliwości. Gdybyśmy chcieli tedy poznać miarę jego talentu, zróżnicowanie, podsumować jego dzieło, okaże się, że na dziewięćdziesięciu ośmiu dużych obrazach i stu trzydziestu mniejszych przedstawiał pejzaże, flotę, historię, portrety, tematy religijne, alegoryczne i epickie.

Jak zatem widzimy, był to człowiek mogący pojąć Celliniego, Toteż zaledwie Benvenuto przybył do Paryża, z szeroko otwartymi ramionami ruszył do Primaticcia; ten zaś powitał go równie radośnie.

Po pierwszej szczerzej pogawędce dwóch przyjaciół, którzy się zeszli na obcej ziemi, Benvenuto otworzył przed Primaticciem swoje teki, wyjaśnił mu zamysły, pokazał wszystkie szkice i zapytał, czy wśród jego modeli nie ma takiego, co by spełniał wymagane przezeń warunki.

Primaticcio potrząsnął głową ze smutnym uśmiechem.

Nie znajdowali się wszak w Italii, będącej córą Grecji, rywalką swej matki. Francja była wówczas, jak i obecnie, krajem wdzięku, uroku i kokieterii; próżno by jednak szukać na ziemi Walezjuszy olśniewającej piękności, którą na brzegach Tybru i Arno inspirowali się Michał Anioł i Rafael, Giovanni da Bologna i Andrea del Sarto. Niewątpliwie, gdyby malarz czy rzeźbiarz mógł, jak już powiedziano, wybrać model spośród arystokracji, szybko by znalazł to, czego szukał; lecz jak cienie zatrzymane po drugiej, stronie Styksu, musiał poprzestać, na oglądaniu spacerujących po Polach Elizejskich — gdzie wstęp miał wzbroniony — pięknych i szlachejnych kształtów, niezmiennych przedmiotów jego artystycznej edukacji.

Benvenuto było zrozpaczony, ale oto pewnego wieczoru — wracając z kolacji z trzema ziomkami spotkanymi w Paryżu, a mianowicie z panern Pierem Strozzi, jego szwagrem hrabią dell'Anguillara oraz Galeottem Pico, siostrzeńcem słynnego Giovanniego Pico delia Mirandola — gdy szedł samotnie ulicą des Petits-Champs, ujrzał przed sobą piękną i pełną wdzięku dziewczynę. Benvenuta przebiegł dreszcz radości: dotąd nie napotkał nikogo, kto by lepiej niż ta kobieta ucieleśnienie jego marzenia. Ruszył przeto za nią. Kobieta podążyła przez wzgórze des Orties, obok kościoła Świętego Honoriusza i weszła na ulicę du Pelican. Znalazłszy się tam, zerknęła za siebie, by sprawdzić, czy nadal ktoś za nią idzie, a ujrawszy o kilka kroków Benvenuta, mocno pchnęła jakieś drzwi i zniknęła. Benvenuto doszedł do drzwi i również je pchnął; drzwi ustąpiły w samą porę, by dojrzał jeszcze na zakręcie schodów oświetlonych dymiącym kagankiem rąbek sukni owej kobiety.

Znalazł się na piętrze; jedyne drzwi były uchylone, a w izdebce zobaczył tę, za którą szedł.

Nie tłumacząc jej powodów swej artystycznej wizyty, słowem się nawet nie odzywając, Benvenuto, aby się upewnić, że kształty ciała odpowiadają rysom twarzy, obszedł dwa czy trzy razy zdziwioną dziewczynę, bezwiednie mu powolną, jakby, okrążał antyczny posąg, każąc jej podnieść ramiona nad głowę, w tej pozycji zamierzał bowiem przedstawić swoją Nimfę z Fontainebleau.

W modelu, jaki Benvenuto miał przed sobą, niewiele było z Cerery, jeszcze mniej z Diany, ale dużo z Erigony. Mistrz postanowił zatem, świadom niemożliwości połączenia tych trzech typów, pozostać przy bachantce.

Do bachantki znalazł jednak doprawdy to, czego szukał: płomienny wzrok, koralowe usta, zęby jak perły, pięknie osadzona szyja, krągłe ramiona, wąska talia i bujne biodra; wreszcie wąska w przegubie ręka i w kostce noga oraz długie palce nosiły w sobie znamię arystokratyczne, co ostatecznie wpłynęło na decyzję artysty.

— Jak cię zwą, panienko? — zapytał z cudzoziemskim akcentem popadającą w coraz większe zdumienie dziewczynę.

— Katarzyna, do usług waszej miłości — odparła,

— A więc, panno Katarzyno — ciągnął Benvenuto — oto masz złotego skuda za trud, jaki sobie zadałaś; przyjdź do mnie jutro, do pałacu kardynała Ferrary przy ulicy Saint-Martin; i za to samo dostaniesz jeszcze jednego skuda.

Dziewczyna wahała się chwilę, sądząc, iż cudzoziemiec dworuje sobie z niej. Ale złoty skud świadczył, że mówił poważnie; toteż po krótkim namyśle zapytała:

— O której?

— O dziesiątej. Odpowiada ci ta pora?

— Owszem.

— Mogę więc na ciebie liczyć? — Przyjdę na pewno.

Benvenuto skłonił się przed nią niczym przed księżną i wrócił do domu z sercem przepelnionym radością. Zaraz po powrocie wrzucił w ogień wszystkie wymarzone szkice i zabrał się do rysowania rzeczywistych. Gdy już z tym skończył, przyniósł krąg wosku, położył go na postumencie, a wosk w jego silnych dłoniach błyskawicznie przybrał kształt wyśniewanej przezeń nimfy; kiedy zaś Katarzyna nazajutrz stanęła w drzwiach pracowni, praca była częściowo wykonana.

Katarzyna nic a nic nie pojmowała z zamiarów Benvenuta, Toteż wielce się zdumiała, kiedy zamknąwszy za nią drzwi, pokazał jej rozpoczęty posąg i wyjaśnił, po co ją sprowadził.

Katarzyna była wesołym dziewczęciem: pełną piersią roześmiała się ze swojej omyłki, po czym dumna, iż ma być modelem posągu bogini przeznaczonego dla króla, zrzuciła odzienie i sama przybrała pozę rzeźby, i tą z takim, wdziękiem i wycuciem, że mistrz, odwróciwszy się i ujrzawszy ją tak doskonale i naturalnie ustawioną, aż zakrzyknął z ukontentowania.

Benvenuto przystąpił do pracy: jak już powiedziano, miał wzniosłą i silną naturę artysty, który czerpie natchnienie z dzieła i podniętę z czynu. Zrzucił kaftan i z rozpiętą pod szyją koszulą, podwiniętymi rękawami, chodząc od modelu do kopii, od natury do sztuki, zdawał się, niby Jowisz, wszystko rozjarzać dotknięciem. Katarzyna, przywykłą do bezecnych postępów ludzi z gminu lub młodych panków, dla których była zabawką, z nie znanym jej zdumieniem spoglądała na tego człowieka o natchnionym oku, gorącym oddechu, wezbranej piersi. Ona sama zdawała się urastać do poziomu mistrza; jej wzrok promieniał: natchnienie przechodziło od mistrza do modelu.

Seans trwał dwie godziny, po czym Benvenuto wręczył Katarzynie obiecane skuda i żegnając się z nią z takim samym uszanowaniem jak w przeddzień, wyznaczył jej spotkanie na dzień następny o tej samej porze.

Katarzyna wróciła do domu i przez cały dzień nie wychodziła. Nazajutrz była w pracowni dziesięć minut przed wyznaczoną godziną.

Wszystko odbyło się podobnie: tego dnia Benvenuto także jaśniał wzniosłym natchnieniem; pod jego ręką, niczym pod ręką Prometeusza, ziemia zaczynała oddychać. Głowa bachantki była już wymodelowana i zdawała się być żywą głową wynurzającą się z bezkształtnej masy. Katarzyna uśmiechała się do swej boskiej siostrzycy zrodzonej na jej obraz i podobieństwo; nigdy nie była tak szczęśliwa, i rzecz zadziwiająca, nie potrafiła rozeznaczyć afektu, który ją takim szczęściem napelniał.

Następnego dnia mistrz i modelka spotkali się znowu o tej samej godzinie; wszelako Katarzyna, za sprawą uczucia, jakiego w poprzednich dniach nie doświadczała, rozbierając się zdała sobie sprawę, że rumieniec zalewa jej twarz. Dziewczynę ogarniała miłość, przynosząc ze sobą wstyd.

Dzień następny okazał się jeszcze gorszy, aż Benvenuto był zmuszony kilkakrotnie zwrócić jej uwagę, że nie modeluje Wenus Medycejskiej, lecz Erigone upojoną winem i pożądaniem. Wystarczyło jednak uzbroić się w cierpliwość: za dwa dni model będzie skończony.

Wieczorem tego dnia Benvenuto, po raz ostatni musnąwszy dłonią posąg, podziękował Katarzynie za jej uprzejmość i dał jej cztery skudy; ona jednak wypuściła złoto z ręki. Dla biednego dziewczęcia wszystko się oto skończyło: od tej chwili musiała wrócić do swego

uprzedniego stanu; a od dnia, gdy weszła do pracowni mistrza, stan ów napełniał ją odrazą. Benvenuto, nie odgadując, co się dzieje w sercu dziewczyny, podniósł pieniądze, ponownie je podał ściskając jej przy tym dłoń i rzekł, że gdyby kiedykolwiek mógł jej w czymś pomóc, ma się do niego natychmiast zwrócić; następnie przeszedł do pracowni swoich robotników po Ascania chcąc mu pokazać ukończony posąg.

Kiedy Katarzyna została sama, ucałowała kolejno narzędzia, których mistrz używał, po czym wybiegła z placzem.

Nazajutrz weszła do pracowni, gdy Benvenuto sam się w niej znajdował, a skoro, zdziwiony jej widokiem, miał zapytać, co ją sprowadza, podbiegła do niego, padła na kolana i spytała, czy nie potrzebuje służącej.

Benvenuto miał serce artysty, czyli wrażliwe; odgadł, co się musi dziać w duszy dziewczyny, podniósł ją zatem i pocałował w czoło.

Od tej chwili Katarzyna była częścią pracowni, którą rozweselała, jak już powiedziano, swoją dziecięcą radością i ożywiła nieustannym bieganiem. Toteż stała się niemal niezbędną wszystkim, a Benvenutovi bardziej niż komu innemu. Ona właśnie wszystko robiła, wszystkim zarządzała, besztając Rubertę i schlebiając słudze, która na jej przyjście zrazu patrzyła z przerażeniem, a w końcu polubiła ją jak cała reszta.

Erigone nic na tym nie straciła. Mając odtąd model pod ręką, Benvenuto poprawiał ją jeszcze i wykończył tak pieczołowicie, jak chyba żadną inną rzeźbę; następnie zaniósł ją Franciszkowi I, którego posąg oczarował, zamówił przeto u Benvenuta odlew w srebrze; długo następnie gawędził ze złotnikiem, wypytując go, jak znajduje swoją pracownię, gdzie jest położona i czy są tam piękne przedmioty; po czym pożegnał Celliniego obiecując sobie, że któregoś ranka najdzie go niespodziewanie, o swoim zamiarze nic mu jednak nie powiedział.

Wróćmy teraz do chwili, gdy przerwana została nasza opowieść: Benvenuto jest oto zapracowany, Katarzyna rozśpiewana, Ascanio rozmarzony, a Pagolo rozmodlony.

Następnego dnia po tym, jak Ascanio wrócił tak późno z powodu wyprawy w okolice zamku Nesle, w pracowni usłyszano gwałtowne kołatanie do bramy; Ruberta podniosła się zaraz i ruszyła w kierunku drzwi, lecz Scorzona (jak pamiętamy, Benvenuto tak przezwał Katarzynę) szybciej wybiegła z izby.

Chwilę później rozległ się jej krzyk, na pół rozradowany, na pół przerażony:

— Och, mój Boże! Mistrzu! To król! Król we własnej osobie przyszedł zobaczyć waszą pracownię!...

I biedna Scorzona, zostawiając za sobą wszystkie drzwi otwarte na , oścież, błada i drżąca stanęła w progu izby, gdzie Benvenuto pracował w otoczeniu swych uczniów i czeladników.

## ROZDZIAŁ V

# GENIUSZ I KRÓL

W rzeczy samej, za Scorzoną pojawił się na dziedzińcu król Franciszek I ze swoją świtą. Dłoń podawał diuszecie d'Etampes. Król Nawarry szedł za nimi z małżonką delfina, Katarzyną Medycejską. Dalej kroczył delfin, którym był Henryk II, ze swoją ciotką, Małgorzatą de Valois, królową Nawarry. Towarzyszyła im niemal cała szlachta dworska.

Benvenuto wyszedł gościom naprzeciw i bez zakłopotania ni zmieszania powitał królów, księżęta, wielkich panów i piękne damy, jak przyjaciel wita przyjaciół. A przecież były to najszacowniejsze nazwiska Francji i najbardziej olśniewające piękności świata! Małgorzata zachwycała, pani d'Etampes Urzekała, Katarzyna Medycejską zadziwiała, Diana de Poitiers olśniewała. Cóż z tego! Benvenuto wszak przyzwyczaił się był do najczystszych kształtów starożytności i włoskiego szesnastego wieku, a jako ulubiony uczeń Michała Anioła nawykł do obecności władców.

— Będziesz musiała przystać, pani, że zachwycać się tu będziemy nie tylko tobą — rzekł Franciszek do diuszesy d'Etampes, która się uśmiechnęła.

Anna de Pisseleu, diuszesa d'Etampes, od chwili powrotu króla z niewoli, hiszpańskiej ciesząca się jego względami w miejsce hrabiny de Chateaubriand, jaśniała w tym czasie pięknnością istic królewską. Prosta i zgrabna, wąska w kibici, nosiła uroczą główkę z kocią godnością i wdziękiem, mającymi w sobie zarazem coś z kotki i z pantery, ale też nachodziły ją czasem nieoczekiwane odruchy i krwiożercze apetyty tego drapieznika; przy tym wszystkim królewska kurtyzana potrafiła przybierać niewinny wygląd, który najbardziej podejrzliwych wprowadziłby w błąd Trudno o coś bardziej ruchliwego i przewrotnego niż fizjonomia tej kobiety o białych wargach, raz Hermiony, raz Galatei, o uśmiechu niekiedy wyzywającym, to znów przerażającym, spojrzeniu czasami pieszczotliwym i obiecującym, a chwilę później rzucającym ogień i gniewnym, Powieki unosiła zawsze tak powoli, że nigdy nie było wiadomo, czy odsłonią wzrok tęskny czy grożący. Wyniosła i władcza, podporządkowywała sobie Franciszka I, oszłamiając go; pyszna i zazdrosna, wymogła na nim, żeby zażądał od hrabiny de Chateaubriand zwrotu podarowanego jej ongiś złota, a piękna, melancholijna hrabina zaprotestowała przeciwko takiej zniewadze, odsyłając je przetopione w sztabki. Wreszcie giętka i obłudna, diuszesa nieraz przymykała oczy, kiedy kapryśny król zdawał się wyróżniać jakąś młodą i ładną dwórkę, którą niebawem porzucał, by powrócić do swej pięknej i władczej czarodziejki.

— Spieszno mi było ujrzeć cię, panie Benvenuto — rzekł władca — bo oto wkrótce miną dwa miesiące, jak przybyłeś do naszego królestwa, a kłopoty państwowe nie dawały mi dotąd pomyśleć o wzniosłych sprawach sztuki. Obwiniac możesz o to mojego cesarskiego brata i kuzyna, który nie zezwala mi ani chwilę spocząć.

— Jeśli chcesz, sire, napiszę do niego i poproszę, żeby pozwolił ci być wielkim przyjacielem sztuki, skoroś mu już wykazał, że jesteś wielkim wodzem.

— Czyżbyś znał Karola Piątego? — spytał król Nawarry.

— Miałem honor, miłościwy panie, cztery lata temu w Rzymie wręczyć jego cesarskiej wysokości wykonany przeze mnie mszał i wygłosić przed nim przemowę, którą wydał się mocno wzruszony.

— I cóż ci powiedział jego cesarska wysokość?

— Że już mnie znał, widział bowiem trzy lata wcześniej na papieskiej kapie guz będący moim dziełem, które przynosi mi chwałę.

— Ho, ho, widzę, żeś mocno rozpieszczony komplementami władców— odezwał się Franciszek I.

— To prawda najjaśniejszy panie, że miałem szczęście zadowolić licznych kardynałów, książęta i królów.

— Pokaż mi zatem twoje piękne dzieła, bym widział; czy nie będę Surowszym od innych sędzią.

— Najjaśniejszy panie, niewiele miałem czasu; oto jednak srebrny kielich i misa, dopiero zaczęte, lecz nie są może zbyt niegodne uwagi waszej wysokości. .

Król przez blisko pięć minut bez słowa oglądał podane przedmioty. Wydawało się, że, dzieło sprawia, iż zapomniał o jego twórcy; wreszcie, kiedy zaciekawione damy jęły go otaczać, zawołał:

— Patrzcie, moje panie, cóż'to-za cudo! Kształt kielicha nowy i jakże śmiały! Jakie to misterne i kształtne! Te płaskorzeźby i wypuklorzeźby! Szczególnie podziwiam piękno linii; i spójrzcie, jak różnorodne i naturalne są pozy figur! O, ta na przykład wznosi ręce nad głową; ten ulotny gest jest tak wiernie uchwycony, aż dziw bierze, iż nie wykonuje dalej tego ruchu. Doprawdy, pewien jestem, że starożytni nie zrobili nic równie pięknego. Znam najlepsze dzieła antyku i wykonane przez najrzęczniejszych włoskich artystów, ale Żadne nie wywarło na mnie tak potężnego wrażenia jak to. Och, spójrz, pani — zwrócił się do Małgorzaty de Valois — na to śliczne dziecko zagubione w kwiatach i tę stópkę fikającą w powietrzu. Jakie to wszystko jest żywe, wdzięczne i ładne!

— Mój wielki, panie — zawołał Benvenuto —prawiono mi wiele pochwał, ale ty jeden mnie rozumiesz!

— Co jeszcze masz? — rzekł król pożądlivym głosem.

— Oto wykonany dla kardynała Gabriela Cesariniego medal przedstawiający Ledę i jej łabędzia; to pieczęć, gdzie płaskorzeźba przedstawia świętego Jana i świętego Ambrożego; oto emaliowany relikwiarz.

— Coś takiego? Pan bijesz medale? — zdziwiła się pani d'Etampes.

— Jak Cavadone z Mediolanu, pani.

— Emalujesz złoto? — spytała Małgorzata.

— Jak Amerigo z Florencji.

— Grawerujesz pieczęcie? — rzekła Katarzyna.

— Jak Lautizio z Perugii. Czyżbyś sądziła, pani, że mój talent ogranicza się do misternych klejnotów ze złota i dużych przedmiotów ze srebra? Potrafię robić niemal wszystko, dzięki Bogu! Jestem niezłym inżynierem wojennym i dwukrotnie przeszkodziłem w zdobyciu Rzymu. Dość dobrze składam wiersze, i niech wasza wysokość zamówi u mnie poemat, byle na swoją cześć, a



zobowiązuję się wykonać go, jakbym się zwał Klemens Marot. Co się tyczy muzyki, którą ojciec wpajał mi kijem, metoda ta zaowocowała, gram przeto na flecie i na rogu z talentem wystarczającym, aby w wieku dwudziestu czterech lat Klemens VII zaliczył mnie do swoich muzyków. Poza tym odkryłem tajemnicę produkowania doskonałego prochu, mogę też robić świetne rusznice i narzędzia chirurgiczne. Jeżeli wasza wysokość będzie toczyła wojnę i zechce mnie najać jako żołnierza, przekonasz się, pani, że nie jestem niezręczny i że potrafię równie dobrze posługiwać się arkebuzem i mierzyć ze śmigownicy. Jako myśliwy zabijam dwadzieścia pięć pawi w jeden dzień, jako artylerzysta uwolniłem cesarza od diuka Orańskiego, a miłościwego pana od konetabla de Bourbon, co dowodzi, że zdrajcy nie mają do mnie szczęścia.

— I co cię wprawia w większą dumę — przerwał młody delfin — zabicie konetabla czy upolowanie dwudziestu pięciu pawi?

— Ani jedno, ani drugie nie wprawia mnie w dumę, panie. Zręczność, jak każdy inny talent, pochodzi od Boga, a ja wykorzystałem swoją zręczność.

— Doprawdy nie wiedziałem, że oddałeś mi już tak wielką przysługę — rzekł król — przysługę, którą zresztą moja siostra Małgorzata z trudem ci wybaczy. Więc to ty zabiłeś konetabla de Bourbon? Jak to się stało?

— Mój Boże, to proste. Wojska konetabla stanęły niespodzianie pod Rzymem i przypuściły atak na mury. Wybierałem się z kilkoma przyjaciółmi przyjrzeć się temu. Wychodząc z domu, machinalnie zarzuciłem arkebuz na ramię. Przybywszy na mury stwierdziłem, że nie mam tam czego szukać, Pomyślałem wszelako, że nie może to być, żebym przyszedł na darmo. Wycelowałem tedy z arkebuza w miejsce, gdzie widziałem grupę walczących liczniejszą i bardziej zwartą, i wymierzyłem właśnie w tego, który przewyższał innych o głowę. Tamten padł i naraz powstał wielki zamęt spowodowany moim strzałem. Zabiłem powiem Burbona. Jak się potem dowiedziałem, był to właśnie człowiek górujący wzrostem nad innymi.

Podczas gdy Benvenuto z absolutną beztroską opowiadał, krąg pań i panów nieco się poszerzył wokół niego, a wszyscy z respektem i nieomal przerażeniem spoglądali na tego bohatera mimo woli. Franciszek I sam wreszcie został u boku Celliniego.

— Widzę zatem, mój drogi — powiedział król — że zanim jeszcze oddałeś mi swój geniusz, użyczyłeś mi swej odwagi,

— Sire — rzekł, na to wesoło Benvenuto — myślę, że urodziłem się twoim sługi}. Pewne zdarzenie z wczesnego dzieciństwa zawsze mi taką myśl nasuwało. W swoim herbie masz, miłościwy panie, salamandrę, czyż nie?

— Owszem, z dewizą: *Nutrisco et extinguo*.

— No właśnie. Mając jakieś pięć lat, pewnego razu byłem z ojcem w izdebce, gdzie skończono akurat pranie i gdzie płonął jeszcze wielki ogień z młodych polan dębowych. Panował duży ziąb. Spojrzawszy przypadkiem w ogień, ujrzałem wśród płomieni niewielkie zwierzątko podobne do jaszczurki, które wylegiwało się w najgorętszym miejscu. Pokazałem je ojcu, a on (wybacz, panie, ten często spotykany szczegół nieco brutalnego zwyczaju z mojej ojczyzny) wymierzył mi silny policzek, mówiąc z czułością: „Nie uderzyłem cię dlatego, żeś uczynił źle, drogi chłopcze, ale po to. abyś zawsze pamiętał, że ta mała jaszczurka, którą widziałeś w ogniu, to salamandra. Żadna znana osobistość przed tobą tego zwierzątka nie widziała.” Czyż nie jest to, sire, znak losu? Myślę, że człowiekiem kieruje niekiedy przeznaczenie. Jako dwudziestolatek miałem wyjechać do Anglii, kiedy rzeźbiarz "Piero, Torrigiani, który chciał mnie z sobą zabrać, opowiedział mi, jak to w dzieciństwie podczas zwady przy pracy uderzył w twarz Michała Anioła. No i stało się: nawet za książęcą koroną nie pojechałbym z człowiekiem, który podniósł

rękę na mojego wielkiego mistrza, Zostałem w Italii, a z Italii, zamiast jechać do Anglii, przybyłem do Francji.

— Francja, dumna, że ją właśnie wybrałeś, panie Benvenuto, sprawi, że nie będziesz czuł żalu za ojczyznę.

— Och, moją ojczyznę jest sztuka; moim władcą zaś ten, kto mi rozkaże wykonać najbogatszy puchar.

— Czy myślisz może o jakim dziele?

— O, tak, panie, O Chrystusie. Ale nie o Chrystusie ukrzyżowanym, lecz w pełni chwały i jaśniejącym, a wzorem mi będzie możliwie najwierniejsze odtworzenie nieskończonej piękności, w jakiej mi się ukazał;

— Co? — roześmiała się sceptycznie Małgorzata. — Oprócz władców ziemskich widzisz się także z władcami niebieskimi?

— Tak, pani — odparł Benvenuto z prostotą.

— Och, opowiedz nam o tym, proszę — powiedziała królowa Nawarry.

— Z chęcią, pani — zgodził się Cellini z ufnością wskazującą, że nawet przez myśl mu nie przeszło, iżby można powątpiewać w jego opowieść.

— Jakiś czas przed tym — rozpoczął swoją opowieść Benvenuto — ujrzałem szatana i wszystkie legiony Diabła, które wywołał przede mną pewien znajomy ksiądz nekromanta, i doprawdy sporośmy się natrudzili, żeby je przepędzić precz; lecz straszliwe wspomnienie tej piekielnej wizji znikło na zawsze z moich myśli, kiedy w odpowiedzi na gorące modły ukazał mi się, by mnie pokrzepić w więziennej niedoli, Zbawca pośrodku słońca i otoczony jego promieniami.

— I naprawdę jesteś pewien — spytała królowa Nawarry — bez cienia wątpliwości, że ukazał ci się Chrystus?

— Nie wątpię w to, pani.

— W takim razie, Benvenuto, zamawiam u ciebie Chrystusa do naszej kaplicy — rzekł Franciszek I, jak zwykle w dobrym humorze.

— Panie, bądź tak łaskaw i zamów co innego, a ja jeszcze odłożę Wykonanie tego dzieła.

— A to dlaczego? .

— Ponieważ przyrzekłem Stwórcy, że wykonam ten posąg tylko dla niego, dla żadnego innego władcy.

— Doskonale. Cóż, Benvenuto, potrzebuję dwanaście świeczników na mój stół.

— O, to inna rzecz, i w tej materii będę ci posłuszny, sire.

— Chcę, żeby te świeczniki były srebrnymi posążkami.

— Panie, to będzie wspaniałe.

— Posągi będą przedstawiały sześć bogiń i sześciu bogów i będą dokładnie mojego wzrostu.

— Zgoda, twojego wzrostu, sire.

— Ależ zamawiasz, panie, cały poemat — wtrąciła diuszesa d'Etam. pes— cudo doprawdy zadziwiające, czyż nie, panie Benvenuto?

— Nigdy się nie dziwię, pani. ,

— A mnie by zdziwiło — rzekła z urazą diuszesa — gdyby rzeźbiarze inni niż starożytni poradzili sobie z takim dziełem.

— Ja wszelako żywię nadzieję, że uda mi się je skończyć równie dobrze, jak by to zrobili starożytni — odparł spokojnie Cellini.

— Ho, ho, czy to nie przechwałki, mistrzu Benvenuto?

~ Nigdy się nie przechwalam, pani.

Mówiąc ze spokojem te słowa, Cellini spoglądał na panią d'Etampes i dumna diusza, wbrew swej woli, spuściła oczy pod tym wzrokiem stanowczym, pewnym siebie, ale bez krzty gniewu. Anna poczuła głuchą niechęć do Celliniego za tę jego wyższość, której doświadczała nie ulegając jej i nie pojmując, na czym się ona zasadza, Dotychczas wierzyła, że największą moc ma piękno; zapomniała o geniuszu.

— Jakich bogactw by trzeba — rzekła z goryczą — żeby zapłacić za talent tej miary co twój?

— Moje na pewno nie wystarczą — odezwał się Franciszek I — a skoro o tym mowa, Benvenuto, jak pamiętam, otrzymałeś dopiero pięćset złotych skudów na powitanie. Czy zadowoli cię pensja, jaką dawałem mojemu malarzowi, Leonardowi da Vinci, to znaczy siedemset złotych skudów rocznie? Oprócz tego płacił ci będę za wszystkie dzieła, które dla mnie wykonasz.

W Najjaśniejszy panie, twoja propozycja godna jest króla tej rangi co Franciszek Pierwszy i, śmiem powiedzieć, artysty takiego jak Cellini. Ośmielę się jednak zanieść przed waszą wysokość jeszcze jedną prośbę.

— Zgadzam się z góry, mości Benvenuto. .

— Sire, niewygodnie i ciasno mi w tym pałacu. Jeden z moich uczniów znalazł miejsce lepiej się niż to nadające do wykonywania wielkich dzieł, jakie król będzie mógł mi zlecić. Ta posiadłość należy do waszej wysokości. To Orand-Nesle. Dysponuje nią prewot Paryża ale tam nie mieszka; zajmuje tylko Petit-Nesle, który chętnie mu zostawię.

— Niech tak będzie, Benvenuto — przystał Franciszek I — zamieszkać w Grand-Nesle, a mnie wystarczy tylko przejść Sekwanę, żeby z tobą pogwarzyć i podziwiać twoje dzieła.

— Jakże to, sire? — przerwała pani d'Etampes. — Bez powodu odbierasz dobra należące do człowieka, w dodatku szlachcica, który jest mi oddany?

Benvenuto spojrział na nią i Anna po raz wtóry spuściła oczy pod jego nieruchomym a przenikliwym wzrokiem. Cellini podjął z taką samą prostotą, z jaką mówił o swoich objawieniach:

— Ależ ja także jestem szlachcicem, pani: moja rodzina wywodzi się od pewnego męża o wykwinnych manierach, znakomitego wodza Juliusza Cezara, niejakiego Florinusa pochodzącego z Cellino niedaleko Monte Frascone, który obdarzył swym imieniem Florencję, podczas gdy twój prewot i jego przodkowie, pani, o ile mnie pamięć nie myli, żadnej miejscowości jeszcze swego nazwiska nie dali. Wszelako — ciągnął Benvenuto zwracając się do Franciszka I i zmieniając zarazem ton głosu i spojrzenie — być może okazałem się zbyt zuchwały, być może wzbudzę ku sobie wielką nienawiść, która, mimo protekcji miłościwego pana, zniszczy mnie w końcu. Prewot Paryża, jak słyszałem, ma zbrojnych na swoje rozkazy.

— Ktoś mi opowiadał — przerwał mu król — że pewnego dnia w Rzymie niejaki Cellini, złotnik, zatrzymał nie zapłacony srebrny kielich, który zamówił u niego monsignore Farnese, wówczas kardynał, dzisiaj papież.

— To prawda, panie.,

— Opowiadano dalej, że cała służba kardynała przypuściła z bronią w ręku szturm na sklep złotnika, by siłą odebrać kielich.

— To także prawda.

— Ale ów Cellini zasadził się za drzwiami z arkebuzem w garści i dzielnie się broniąc, rozgonił ludzi monsignora, a nazajutrz kardynał zapłacił mu, co był winien.

— Wszystko to, najjaśniejszy panie, jest szczerą prawdą.

— No i cóż? Czy to nie ty jesteś owym Cellinim?

— Owszem, panie, i niech tylko wasza królewska mość darzy, mnie swymi łaskami, a nic nie zdoła mnie przerazić.

— Zmierzaj tedy prosto przed siebie — rzekł król uśmiechając się pod wąsem — wszak jesteś szlachcicem.

Pani d'Etampes milczała, ale zaprzysięgła w tej chwili Celliniemu śmiertelną nienawiść, nienawiść znieważonej kobiety.

— Najjaśniejszy panie, o jeszcze jedną łaskę proszę — dodał Cellini. — Nie mogę ci przedstawić wszystkich moich robotników: jest ich dziesięciu, Francuzi i Niemcy, dzielni a zręczni towarzysze; ale oto dwóch moich uczniów, którzy przyjechali ze mną z Italii, Pagolo i Ascanio. Podejdźże, Pagolo., i podnieś głowę i wzrok, nie zuchwale, lecz jak człek uczciwy, który nie musi się rumienić za popełniony występki. Brakuje mu może, sire, inwencji, a także zapału, ale to dokładny i sumienny artysta; pracuje powoli, lecz dobrze, doskonale moje myśli pojmuje i wiernie je odtwarza. A oto Ascanio, mój szlachetnie urodzony i wdzięczny uczeń oraz ukochany syn. Niewątpliwie nie posiada siły twórczej, która by na płaskorzeźbie postawiła w szranki dwa wojska lub lwim pazurom albo tygrysim zębom kazała się wczepić w brzeg kielicha. Nie posiada też oryginalnej wyobraźni, która tworzy monstrualne chimery i niesamowite smoki; ale za to jego dusza, podobna do jego ciała, ma poczucie ideału, że tak powiem, boskiego. Załadaj, panie, żeby ci upozował anioła lub ustawił grupę nimf, a nikt go nie doścignie w wyszukanej poezji i wykwintnym wdzięku. Dzięki Pagolowi mam cztery ręce, dzięki Ascaniowi dwie dusze; w dodatku on mnie kocha i szczęśliwy Jestem mając przy sobie serce równie czyste i oddane jak jego.

Podczas gdy mistrz mówił, Ascanio stał przy nim, nieśmiały, lecz nie zakłopotany, w wytwornej postawie, pani d'Etampes zaś nie mogła Oderwać wzroku od młodziutkiego i uroczonego Italczyka o czarnych oczach i włosach, przypominającego żywą podobiznę Apollina.

— Jeżeli Ascanio — rzekła — tak dobrze się rozumie na pięknych rzeczach, to gdyby zechciał zająć do mojego pałacu któregoś ranka, dam mu kamienie i złoto, aby w jego rękach rozkwitł jakiś cudny kwiat.

Ascanio skłonił się spoglądając z wdzięcznością.

— A ja — odezwał się król — przyznaję mu, podobnie jak Pagolowi, sto złotych skudów rocznie.

— Sam dopilnuję, panie, żeby te pieniądze uczciwie zarobili — przy\* rzekł Benvenuto.

— A cóż to za piękne dziewczę o długich rzęsach, co się kryje w kątku? — spytał Franciszek I, teraz dopiero dostrzegłszy Scorzonę.

— Och, sire, nie zwracaj na nią uwagi — powiedział Benvenuto marszcząc brew. — Jedyne to w mojej pracowni, czym nierad się chwale.

— O, zazdrosnyś, mości Benvenuto?

— Mój Boże, po prostu nie lubię, sire, żeby ruszano, co do mnie należy; a mówiąc bez ogródek, to tak jakby ktoś odważył się myśleć o pani d'Etampes: byłbyś mocno zagniewany, panie; Scorzorłf to moja diuszesa.

Przypatrująca się Ascaniowi diuszesa, której tak raptownie przeszkodzono, zagryzła wargi. Wielu dworzan nie powstrzymało uśmiechu, a wśród dam rozległy się szepty. Król zaś roześmiał się gromko,

— Na honor, masz prawo do zazdrości, mości Benvenuto, a artysta z królem się rozumie. Żegnaj, przyjacielu, a pamiętaj o moich posągach. Zacziesz, rzecz jasna, od Jowisza, kiedy zaś skończysz model, pokażesz mi go. Żegnaj, i powodzenia w zamku Nesle!

— Zbyt wcześnie powiedziane, sire, że ci pokażę posąg. Jakie bowiem dostanę się do Luwru?

— Otrzymają w bramach twoje imię wraz z rozkazem wprowadzenia cię do mnie.

Cellini skłonił się i z Pagolem oraz Ascaniem odprowadził króla i jego świtę aż do bramy. Tam ukląkł i ucałował dłoń Franciszka I.

— Miłościwy panie — rzekł wzruszonym głosem — uratowałeś mnie już za pośrednictwem jego eminencji de Montluc od więzienia, a może i od śmierci; obdarzyłeś mnie bogactwami, zaszczyciłeś moją ubogą pracownię swoją obecnością; ale to wszystko nic, sire, nie wiem bowiem, jak ci dziękować za co innego: za to, że tak cudownie wychodzisz moim marzeniom naprzeciw. Zazwyczaj pracujemy tylko dla pewnej rasy wybranej, rozproszonej na przestrzeni wieków, ja zaś będę miał szczęście za życia mieć sędziego zawsze obecnego, zawsze światłego. Dotychczas przyszłości służyłem, pozwól, sire, bym się zwał odtąd złotnikiem waszej królewskiej mości.

— Moim sługą, moim złotnikiem, moim artystą i przyjacielem, Benvenuto, jeśli ten ostatni tytuł nie wydaje ci się gorszy od innych. Żegnaj, a raczej do widzenia.

Nie trzeba dodawać, iż wszyscy książęta i panowie, z wyjątkiem pani d'Etampes, za przykładem króla obsypali Celliniego wyrazami przyjaźni i pochwałami.

Kiedy już wszyscy odeszli i Benvenuto został sam na dziedzińcu ze swymi dwoma uczniami, obaj mu podziękowali — Ascanio wylewnie, Pagolo niemal z przymusem.

— Nie dziękujcie mi, dzieci, nie warto. Ale wiecie, jeśli naprawdę uważacie, iż winniście mi wdzięczność, pragnę, ponieważ temat ten w rozmowie już raz się dzisiaj pojawił, poprosić was o przysługę; bardzo mi to leży na sercu. Słyszeliście, co powiedziałem królowi na temat Katarzyny; odpowiedź ta wyraża me najskrytsze uczucia. To dziewczę jest mi niezbędne do życia, mili moi, do życia artysty, ponieważ tak radośnie, o czym wiecie, godzi mi się służyć za model; do tycia mężczyzny, ponieważ, jak sądzę, kocha mnie. Proszę was tedy, choć jest piękna, a wy młodzi jak i ona, nie kierujcie ku niej swoich myśli; jest wiele innych ładnych dziewcząt na świecie. Nie rańcie mi serca, nie nadużywajcie mojej przyjaźni, rzucając na Scorzonę zbyt zuchwałe spojrzenia, a nawet strzeżcie jej pod moją nieobecność i służcie radą jak bracia. Zaklinam was, bo znam siebie, wiem, na co mnie stać, i klnę się na Boga, że gdybym spostrzegł, iż Katarzyna grzeszy, zabiłbym ją i jej współnika.

" — Mistrzu — odezwał się Ascanio — szanuję was jako mojego nauczyciela i kocham jak ojca; możecie być spokojny.

— Dobry Jezu! — zawołał Pagolo składając dłonie. — Niech Bóg mnie strzeże, żebym choćby pomyślał o podobnej niegodziwości! Czyż nie wiem, że wszystko wam zawdzięczam i czyż nie byłoby straszliwą zbrodnią nadużyć świętej ufności, jaką mnie darzycie, odwdzięczając się za wasze dobrodziejstwa tak nikczemną zdradą?

— Dziękuję, drodzy moi — rzekł Benvenuto ściskając im dłonie — tysiącrotne dzięki. Rad jestem i wierzę wam. A teraz, Pagolo, wracaj do pracy, jako że obiecałem panu de Villeroi na jutro pieczęć, co, nad nią pracujesz. My z Ascaniem zaś pójdziemy obejrzeć posiadłość podarowaną nam przez króla, którą w przyszłą niedzielę dla wychnienia, po dobroci lub po złości, obejmiemy w posiadanie.

A Zwracając się do Ascania, dodał:

— Chodźmy zobaczyć, czy ten osławiony zamek Nesle który wydał ci się tak odpowiedni z zewnątrz, wewnątrz ma godne swojej reputacji.

I zanim Ascanio zdążył cokolwiek powiedzieć, Benvenuto zerknął jeszcze do pracowni, czy wszyscy są na swoich miejscach, poklepał Scorzonę w kragły, rumiany policzek, po czym biorąc ucznia pod rękę, pociągnął go ku bramie i razem wyszli.

## ROZDZIAŁ VI

### DO CZEGO SŁUŻĄ PRYZWOITKI

Zaledwie przeszli ulicą dziesięć kroków, spotkali blisko pięćdziesięcioletniego mężczyznę niedużego wzrostu, lecz o ruchliwej i delikatnej twarzy.

— Właśnie szedłem do ciebie, Bervenuto — rzekł napotkany, którego Ascanio przywitał z szacunkiem pomieszanym z uwielbieniem, a Benvenuto serdecznie uścisnął mu dłoń.

— Czy to coś ważnego, Francesco? — spytał złotnik. — Jeśli tak, to wracam z tobą. Jeśli zaś chciałeś mnie po prostu zobaczyć, chodź ze mną.

— Szedłem, żeby ci dać dobrą radę, Benvenuto.

— Słucham. Należy przyjmować dobre rady, kiedy wychodzą od przyjaciół.

— Wszelako rada, którą chcę ci dać, jest tylko dla ciebie.

— Ten młodzian jest moim drugim ja, Francesco; możesz mówić.

— Już bym to uczynił, gdybym uważał, że mogę — odparł przyjaciel Celliniego.

— Wybaczcie, mistrzu — odezwał się Ascanio, dyskretnie odchodząc. — Sam pójdź w takim razie tam, gdzie zamierzałem iść za tobą, drogi chłopcze — rzekł Benvenuto. — Wiesz przecie, że co ty obejrzysz, to jakbym sam widział. Przyglądniej się wszystkiemu z najdrobniejszymi szczegółami; zwróć uwagę, czy pracownia będzie miała dobre światło, czy dziedziniec będzie wygodny do robienia odlewów, czy da się oddzielić naszą pracownię od pracowni reszty robotników. Nie zapomnij o pilarni.

I Benvenuto wsunął dłoń pod ramię przyjaciela, skinął ręką Ascanio-wi i ruszył z powrotem, zostawiając młodzieńca znieruchomiałego na środku ulicy Saint-Martin.

Polecenie bowiem, jakie wydał mu mistrz, wystarczyło, żeby do głębi poruszyć Ascania. Jego wzburzenie było już niemałe, kiedy Benvenuto zaproponował, że razem złożą tę wizytę. Pomyślmy tedy, co się z nim mogło dziać, skoro się okazało, że ma ją odbyć sam.

Tak oto on, który przez dwie kolejne niedziele wpatrywał się w Colombe nie śmiąc za nią iść, a w trzecią poszedł za nią nie śmiąc do niej przemówić, musiał się u niej stawić — j to po co? żeby obejrzeć zamek Nesle, który Benvenuto zamierzał następnego niedzieli dla wytchnienia odebrać po dobroci lub po złości ojcu Colombe.

Sytuacja była niezręczna dla każdego, dla zakochanego zaś wręcz okropna,

Na szczęście ulica Saint-Martin leżała dość daleko od zamku Nesle. Gdyby tylko o dwa kroki była, Ascanio nigdy by ich nie uczynił; ale musiał przebyć dwa kilometry, ruszył tedy w drogę.

Nic nie oswaja bardziej z niebezpieczeństwem jak czas lub odległość, która nas od niego dzieli. Dla każdego człowieka silnego ducha lub szczęśliwego refleksja jest potężnym sojusznikiem. Do tej ostatniej kategorii należał Ascanio. W owych czasach ludzie nie mieli jeszcze w zwyczaju udawać zniechęconych życiem, zanim w nie na dobre weszli. Wszelkie

uczucia były szczere i otwarcie się przejawiały: radość — śmiechem, cierpienie — łzami. Zmanierowanie było czymś prawie nieznanym tak w życiu, jak i w sztuce, a gładkiego dwudziestolatka wcale nie upokarzało przyznanie się, że jest szczęśliwy.

Poruszenie Ascania zawierało pewną dozę szczęścia. Sądził, że zobaczy Colombe dopiero następnej niedzieli, i oto miał ją ujrzeć jeszcze tego dnia. Zyskiwał zatem sześć dni, a sześć dni oczekiwania to dla zakochanego, jak wiadomo, sześć wieków.

Toteż w miarę jak się zbliżał do celu, wszystko wydawało mu się coraz prostsze: owszem, za jego to radą Cellini poprosił króla o zamek Nesle na pracownię, czyż jednak Colombe mogła mu mieć za złe, że pragnął się znaleźć bliżej niej? Wprowadzenie florenckiego złotnika do dawnego zamku panów Amaury mogło się odbyć, co prawda, jedynie ze szkodą dla ojca Colombe traktującego go jako swoją własność, ale czy istotnie było to ze szkodą, skoro imć pan d'Estouteville am nie mieszkał? Benvehuto miał zresztą tysiące sposobów, żeby za to zapłacić: obdarowanie prewota pucharem, córki naszyjnikiem (a Ascanio podejmował się go wykonać) mogły i powinny były w owym wieku sztuki wiele załatwić. Ascanio widział już książęta, królów i papieży gotowych sprzedać koronę, berło czy tiarę, byle nabyć któryś z cudownych klejnotów wychodzących spod palców mistrza. W ostatecznym tedy rozrachunku, zakładając, że sprawy tak właśnie się ułożą, imć pan Robert będzie jeszcze dłużnikiem Celliniego — mistrz był bowiem tak szczodry, że gdyby prewot uprzejmie się zachował, Ascanio wierzył, iż Benvenuto znalazłby się isticie po królewsku.

Dotarłszy do końca ulicy Saint-Martin Ascanio czuł się zwiastunem pokoju wybranym przez Boga, aby utrzymać harmonię między dwiema potęgami. Wszelako mimo takiego przekonania, nie mając nic przeciwko temu, aby — zakochani są doprawdy zadziwiającymi istotami! — wydłużyć o dziesięć minut drogę, ruszył brzegiem Sekwany, zamiast przepłynąć ją łodzią, i przeszedł na drugą stronę mostem aux Moulins. Wybrał tę trasę być może dlatego, że poprzedniego dnia tędy właśnie podążał za Colombe. Niezależnie jednak od przyczyny, dla której dokonał takiego wyboru, po około dwudziestu minutach stanął przed zamkiem Nesle.

Kiedy się tam jednak znalazł, kiedy ujrzał gotycką furkę, przez którą musiał przejść, kiedy zobaczył uroczy gotycki pałacyk z górującymi ponad murem strzelistymi dzwonniczkami, kiedy pomyślał, że za półprzy-mkniętymi z powodu upału okiennicami przebywa piękna Colombe, całe rusztowanie wspaniałych marzeń, jakie wznosił po drodze, runęło niczym budowle z chmur burzone jednym podmuchem wiatru: zajrzał oto w oczy rzeczywistości, a rzeczywistość jego zdaniem wcale nie napawała otuchą.

Jednakże po kilkuminutowym postoju, postoju tym dziwniejszym, że Ascanio tkwił sam jeden na ulicy w palącym słońcu, pojął, że powinien coś zrobić. A nie pozostawało mu nic innego, jak wejść do zamku. Podszedł tedy do bramy i uniósł kołatkę. Bóg jeden wie, czy by ją opuścił, gdyby w tej właśnie chwili przypadkiem brama się nie otworzyła i gdyby nie stanął twarzą w twarz z kimś w rodzaju trzydziestoletniego totumfackiego, z wyglądu pół na pół lokaja i wieśniaka. Był to ogrodnik imć pana Roberta d'Estouteville.

Ujrzawszy się, obaj krok w tył postąpili.

— Czego waść sobie życzysz? — spytał ogrodnik.

Ascanio, zmuszony do ataku, przywołał całą swoją odwagę i mężnie odparł:

— Chcę obejrzeć zamek.

— Jakże to? Obejrzeć zamek? — zdumiał się ogrodnik. — A to w czyim imieniu?

— W imieniu króla! — rzekł Ascanio.



— W imieniu króla! — zawołał ogrodnik. — Jezus Maria! Czyżby król chciał go nam odebrać?

— Być może — przyznał Ascanio.

— Jakże to?

— Chyba sam rozumiesz, przyjacielu — powiedział Ascanio pewnym głosem, za co sam siebie podziwiał — że nie tobie muszę z tego zdawać sprawę?

— Oczywiście, panie. Z kim wasza miłość chce mówić?

— Czy imć pan rewot jest? — spytał Ascanio, doskonale wiedząc, że rewota na zamku nie ma.

— Nie, jaśnie panie. Jest w Chatelet.

— A pod jego nieobecność kto go zastępuje?

— Jego córka, panią Colombe. Ascanio poczuł, że rumieni się po same uszy.

— I jest jeszcze — ciągnął ogrodnik — jejmość Perrine. Jaśnie pan chce mówić z jejmością Perrine czy z panią Colombe?

Pytanie było zgoła naturalne, wywołało jednak straszliwą walkę w sercu Ascania. Otworzył usta, by powiedzieć, że chce mówić z panią Colombe, a tymczasem, jak gdyby równie śmiało słowa nie mogły mu przejść przez usta, poprosił o rozmowę z jejmością Perrine.

Orodnik, daleki od przypuszczenia, iż jego pytanie, które uważał za całkiem zwyczajne, wywołało tak wielkie zamieszanie, skłonił głowę ulegle i ruszył przodem przez dziedziniec w stronę bramy prowadzącej do Petit-Nesle. Ascanio poszedł za nim.

Musiał minąć jeszcze jeden dziedziniec, potem następną bramę, potem jeszcze niewielki kwiatnik, wejść po schodach, przejść przez długi korytarz. Wreszcie ogrodnik otworzył drzwi i rzekł:

— Panno Perrine, przyszedł jakiś młody pan, chce obejrzyć zamek w imieniu króla.

I odsunawszy się, zrobił miejsce Ascaniowi, który stanął w progu.

Ascanio oparł się o ścianę, mgła zasnęła mu oczy; oto bowiem — rzecz całkowicie naturalna, wszelako jej nie przewidział — jejmość Perrine była razem z Colombe, znalazł się przed nimi obydwoma.

Jejmość Perrine siedziała przy kołowrotku i przędła, Colombe siedziała przy krosnach i tkła. Obie jednocześnie podniosły głowy-i spojrzały w stronę drzwi.

Colombe natyhomiasz rozpoznała Ascania. Czekala nań, choć rozsadek jej mowil, ze nie moze przyjsc. A on, kiedy ujrzał spoglądające nań oczy dziewczyny, choć ze wzroku jej przebijała nieskończona łagodność, myślał, że wyzionie ducha.

Wszystko zaś dlatego, że przewidywał tysiączne trudności, śnił o milionach przeszkód, nim dotrze do milej; przeszkody miały go podniecać, trudności umacniać, a tu proszę, przeciwnie, wszystko potoczyło się zupełnie zwyczajnie, jak gdyby naraz Bóg, poruszony czystością ich uczucia, natchnął go odwagą i pobłogosławił mu; stanął oto przed nią w chwili, kiedy, się tego najmniej spodziewał, tak że z całej pięknej przemowy, jaką sobie ułożył, a której żarliwa elokwencją miała ją zadziwić i wzruszyć, nie znajdował ani zdania, ani słowa, ani jednej nawet sylaby.

Colombe zaś siedziała bez ruchu i w milczeniu. Te dwie młode i niewinne istoty, które — jakby niebiosa dopełniły już ich zaślubin — czuły, że są sobie przypisane i że raz się tylko zbliżywszy do siebie, muszą się złączyć, stworzyć jedno niczym Salmakis i Hermafrodyta;

przerażeni zaś tym pierwszym spotkaniem, drżeli, wahali się i nie znajdowali słów stojąc naprzeciw sobie.

Wreszcie jejmość, Perrine, na wpół się uniósłszy z krzesła, wyjęła kądziolkę zza stanika, wsparła się o kołowrotek i pierwsza przerwała milczenie.

—Cóż ten prostak Rimbault znowu wygaduje? — zawołała. — Słyszałaś, moja gołąbko? — A ponieważ Colombe nie odpowiedziała, niewiasta postąpiła kilka kroków w stronę Ascania i rzekła: --Czego sobie waść życzysz? Na Boga! — zawołała raptem poznając młodzieńca, z którym już się zetknęła. — Toć to przecie! ten grzeczny kawaler, co przez ostatnie trzy niedziele tak dwornie mi podawał wodę święconą u wejścia do kościoła! Czego sobie życzysz, kawalerze?

— Chciałbym mówić z tobą, pani — wybąkał Ascanio.

— Tylko ze mną? — spytała wdzięcząc się jejmość Perrine.

— Tylko... z tobą, pani...

I Ascanio wypowiadając te słowa pomyślał, że jest straszliwym głupcem.

— Proszę zatem tędy, kawalerze, proszę — rzekła jejmość Perrine otwierając boczne drzwi i dając znak Ascaniowi, by szedł za nią.

Ascanio poszedł, lecz po drodze rzucił w stronę Colombe przeciągłe spojrzenie, jakim zakochany potrafi wiele wyrazić, a które ostatecznie, choć niepojęte dla osób postronnych, zawsze zostaje zrozumiane przez adresatkę. Colombe niewątpliwie nie straciła ani słowa z tego, co ono wyrażało, gdy bowiem oczy jej napotkały — choć sama nie wiedziała jak — wzrok młodzieńca, pokraśniała na twarzy, a skoro poczuła, że się rumieni, spuściła oczy na robótkę i zaczęła wypruwać jakiś Bogu ducha winny kwiatek. Ascanio dostrzegł ów rumieniec i zatrzymując się naraz, postąpił krok ku Colombe, w tejże jednak chwili jejmość Perrine go zawołała, więc musiał za nią podążyć. Zaledwie przekroczył próg, Colombe opuściła igłę, zwiesiła ramiona po obu stronach krzesła odrzucając głowę do tyłu i wydała głębokie westchnienie, w którym, za sprawą jednej z owych niewytłumaczalnych tajemnic serca, mieszał się żal, iż Ascanio odszedł, z pewnym zadowoleniem, że nie ma go już w pobliżu.

Co się tyczy Ascania, to był doprawdy zły: zły na Benvenuta, że mu polecił tak niezwykłą sprawę; zły na siebie, że nie potrafił lepiej wykorzystać okazji; a zwłaszcza zły na jejmość Perrine, która zawiniła wyprowadzając go z komnaty dokładnie w chwili, gdy zdawało mu się, że oczy Colombe prosiły, by tam został.

Toteż kiedy Perrine znalazła się sama z Ascaniem i spytała o cel jego wizyty, odpowiedział głosem bardzo pewnym, zamierzając się na niej zemścić za własną nieudolność:

— Celem mojej wizyty jest, mości dobrodziejko, prosić cię o pokazanie mi zamku Nesle, i to ze wszystkimi zakamarkami.

— Pokazać zamek! — zawołała Perrine. — A dlaczego to chcesz go, kawalerze, oglądać?

— Żeby zobaczyć, czy nam będzie odpowiadał, czy będzie dość wygodny i czy warto się trudzić z przeprowadzką.

— Jak to: z przeprowadzką? Czyżbyś go wynajął u pana przewota?

— Nie, jego królewska mość dał go nam

— Jego królewska mość wam dał! — wykrzyknęła Perrine coraz bardziej zdumiona.

— Na własność — odparł Ascanio.

— Tobie, kawalerze? " —. Niezupełnie, droga pani, mojemu mistrzowi.

— A kto jest twoim mistrzem, młodzieńcze, jeśli wolno spytać? Pewno jakiś możny cudzoziemiec?

— To za mało powiedziane: wielki artysta przybyły z Florencji specjalnie, żeby służyć miłościwemu panu

— Ho. ho! —, rzekła jejmość niezbyt dobrze to pojmując. — A co robi ten twój mistrz, kawalerze?

— Co robi? Wszystko: pierścionki, żeby je wkładać młodym dziewczętom na palce; szpile, żeby je kłaść na królewskich stołach; posągi, żeby je ustawiać w świątyniach; a w wolnych chwilach oblega lub broni miasta, zależnie od tego, czy pragnie nastraszyć jakiegoś władcę, czy uspokoić papieża.

— Jezus Maria!, — wykrzyknęła Perrine. — A jak się ten twój mistrz zwie?

— Nazywa się Benvenuto Cellini.

— Dziwne, nie znam takiego nazwiska — szepnęła. — A jaką ma profesję?

— Jest złotnikiem.

Jejmość Perrine spojrzała na Ascania szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.,

— Złotnikiem! — szepnęła. — Złotnik! I myślisz, kawalerze, że pan prewot tak łatwo ustąpi z zamku przed... przed... jakimś... złotnikiem?

— Jeśli nie ustąpi, sami go sobie weźmiemy.

— Siłą?

— Owszem.

— Ale twój mistrz nie ośmielił się, tuszę, stawić czoła panu prewotowi?

— Stawił już czoła trzem książętom i dwóm papieżom.

— Jezus Maria! Dwóm papieżom! Ale chyba nie jest heretykiem?

— Jest katolikiem, tak samo jak ja i ty, pani; uspokój się, nie mamy też w szatanie sprzymierzeńca; z braku jednak diabła, stoi za nami król.

— Ach, tak! Ale za panem prewotem stoi ktoś potężniejszy.

— Kto taki?

— Pani d'Etampes.

— A więc siły są równe — rzekł Ascanio.

— A jeżeli imć pan d'Estouteville się nie zgodzi?

— Mistrz Benvenuto zdobędzie zamek.

— A jeśli pan prewot zamknie się w twierdzy?

— Mistrz Cellini będzie ją oblegał.

— Pamiętaj, kawalerze, że pan prewot ma dwudziestu czterech zbrojnych pachołków.

— Mistrz Benvenuto ma dziesięciu czeladników: jak więc widzisz, moja pani, siły są dalej równe.

— Ale wierz mi, kawalerze, pan d'Estouteville to groźny przeciwnik; na turnieju z okazji zaślubin miłościwego pana był jednym z rycerzy wyzywających do walki, a wszyscy, którzy ośmielili się z nim zmierzyć, legli na placu.

— Takiego właśnie człowieka szukał Benvenuto, nigdy bowiem nie spotkał lepszego od siebie w robieniu bronią i podobnie jak imć pan d'Estouteville, zwyciężał wszystkich swoich przeciwników, z tą jednak różnicą, że dwa tygodnie później ci, których pokonał pan prewot, byli

na nogach, weseli i w dobrym zdrowiu, podczas gdy ci, co mieli do czynienia z moim mistrzem, nigdy nie wyzdrowieli, lecz trzy dni później leżeli już w grobie..

— To się źle skończy! To się źle skończy! — szepnęła jejmość Perrine. — Powiadają, kawalerze, że straszne rzeczy dzieją się w miastach wziętych szturmem.

— Bądź spokojna, pani — roześmiał się Ascanio — będziesz miała do czynienia z łaskawymi zwycięzcami.

— Mówię tak, mój chłopcze — rzekła jejmość Perrine, która by pewno nie miała nic przeciwko temu, aby sobie przygotować protekcję wśród napastników — gdyż drzę, aby nie doszło do przelewu krwi; bo sam rozumiesz, kawalerze, że wasze sąsiedztwo byłoby doprawdy miłe, jako że brak nam trochę towarzystwa na tym odludziu, gdzie pan d'Estouteville nas zesłał, swoją córkę i mnie, niby dwie biedne mniszki, choć żadna z nas nie składała ślubów. Bogu dzięki! Albowiem nie jest dobrze, żeby człowiek był sam, powiada Pismo, a kiedy Pismo mówi „człowiek”, rozumie także kobietę; nie uważasz, młodzieńcze?

— To oczywiście. '

— A my jesteśmy takie samotne, przez to zaś niesłuchanie nam smutno w tym wielkim zamczysku.

— Nikt was tu nie odwiedza? — spytał Ascanio.

— Jezus Maria! Żyjemy tu gorzej niż mniszki, jak mówiłam. Mniszki mają przynajmniej rodzinę, przyjaciół, z. którymi się widują przez kratę, mają refektarz, gdzie się gromadzą, gawędzą. Wiem, że to nie takie znowu radosne; ale zawsze coś. A my mamy tylko pana prewota, który od czasu do czasu przychodzi besztać swą córkę za to, jak mniemam, że coraz bardziej pięknieje; bo to jedyne jej przewinienie. I mnie jeszcze przy okazji łaje za to, że nie strzegę jej dość surowo. Na Boga, toć ona nie widuje żywej duszy, a wyjąwszy słowa, którymi się do mnie zwraca, usta otwiera chyba tylko po to, żeby się pomodlić. Toteż proszę cię, kawalerze, nie mów nikomu, żeś tu został wpuszczony, żeś obejrzał ze mną Grand-Nesle i że potem wróciłeś do Petit-Nesle na krótką pogawędkę.

— Jak to? — zawołał Ascanio. — Po obejrzeniu Grand-Nesle wrócę więc z tobą, pani, do Petit? Będę więc... — Ascanio urwał widząc, że radość zbyt go ponosi.

— Nie uważam, żeby było uprzejme, młodzieńcze, skoro widziałeś się już z panią Colombę, która ostatecznie pod nieobecność ojca jest panią domu, i skoro poprosiłeś mnie o rozmowę, nie uważam, żeby było uprzejme, powiadam, gdybyś odszedł stąd nie pożegnawszy się z nią. Lecz jeśli to ci nie odpowiada, twoja wola, pojmujesz, możesz odejść prosto z Grand-Nesle, jest osobne wyjście.

— Ależ, nie, nie! — wykrzyknął Ascanio. — Do kroćset, pani dobrodziejko, szczyć się równie dobrym wychowaniem jak każdy inny i potrafię się dwornie zachować wobec dam. Ruszajmy jednak, pani, na oględziny zamku niezwłocznie, gdyż bardzo mi spieszno.

Teraz bowiem, kiedy Ascanio wiedział, iż wracał będzie przez Petit-Nesle, pragnął się szybko uwinąć z Grand-Nesle. A jako że i jejmość Perrine ciągle żywiła skrywane obawy, że prewot zaskoczy ją w chwili, gdy się najmniej tego spodziewała, nie chciała zbyt długo zatrzymywać Ascania? toteż zdjęła pęk kluczy zawieszony za drzwiami i ruszyła przodem.

Przyjrzyjmy się teraz razem z Ascaniem zamkowi Nesle, gdzie będą się odtąd rozgrywały główne wydarzenia naszej opowieści.

Zamek, a raczej dom Nesle, jak go wtedy potocznie zwano, leżał

o czym wiadomo już czytelnikowi — na lewym brzegu Sekwany, w miejscu, gdzie wzniesiono później pałac Nevers, a jeszcze później mennicy i. Instytut Francji. Tam kończyła się południowo-zachodnia część Paryża, za murami zamku bowiem widniała już tylko fosa miejska i zielone łąki Pre-aux-Clercs. Zbudowany został przez niejakiego Amaury, pana na Nesle w Pikardii, w końcu ósmego wieku. Filip Piękny kupił go od niego, w roku 1308 i uczynił zeń zamek królewski. W roku 1520 wieżę Nesle, słynną z rozwiązłości jej mieszkanek i przelanej tam krwi, oddzielono od zamku nabrzeżem, mostem przez fosę i bramą Nesle, tak że ponura baszta pozostała na brzegu rzeki, samotna i posepna niczym pokutująca grzesznica.

Jednakże sama posiadłość była na szczęście wystarczająco rozległa, aby to pomniejszenie nie rzucało się w oczy. Wielkością dorównywała osadzie; wysoki mur z szeroką gotycką bramą i furtką dla służby bronił jej od strony rzeki. Najpierw wchodziło się na obszerny dziedziniec otoczony murem; ten drugi mur, czworokątny, miał jedną bramę na lewo, i drugą w głębi. Wchodząc, tak jak Ascanio, bramą z lewej strony, widziało się uroczy budynek w czternastowiecznym stylu gotyckim: był to! Petit-Nesle mający od strony południowej oddzielny park. Jeśli zaś wszedł bramą w głębi, po prawej stronie ukazywał się Grand-Nesle cały z kamienia, flankowany dwiema basztami o ostrych dachach otoczonych balustradą, z nieforemną fasadą, wysokimi, oknami, kolorowymi szybka-karni, i dwudziestoma chorągiewkami skrzypiącymi na wietrze: znalazłoby się tam dosyć miejsca, by pomieścić trzech dzisiejszych bankierów. Idąc dalej, człowiek mógł się zgubić w rozmaitych ogrodach; gdzie natykał się na pilarnię, teren do gry w gonitwę do pierścienia, kuźnię zbrojownię; dalej znajdowały się podwórza, obory, owczarnie i stajnie miejsca wystarczająco dużo, by pomieścić trzech dzisiejszych gospodarzy.

Wszystko to, należy przyznać, było dość zaniedbane, przeto w stanie bardzo złym, Raimbault bowiem i jego dwaj pomocnicy ledwie sobie dawali radę z utrzymaniem Ogrodu w Petit-Nesle, gdzie Colombe pielęgnowała kwiaty, a jejmość Perrine sadziła kapustę. Całość była jednak rozległa, dobrze oświetlona, solidnie zbudowana i przy niewielkich staraniach i wydatkach można by zamek przekształcić w najwspanialszą na świecie pracownię.

A nawet gdyby miejsce to w o wiele niniejszym stopniu spełniało wymagania, Ascanio i tak byłby nim równie oczarowany, jako że najbardziej liczyła się bliskość Colombe.

Wizytacja tedy nie trwała długo: w mgnieniu oka ruchliwy młodzian wszystko oglądał, zwiedzał, oceniał. Widząc to, jejmość Perrine, która daremnie próbowała za nim nadążyć, wręczyła mu po prostu pęk kluczy, a po skończonym przeglądzie Ascanio je uczciwie zwrócił.

— Teraz jestem, moja pani, na twoje rozkazy — rzekł.

— Wstąpmy zatem na chwilę do Petit-Nesle, kawalerze, skoro i ty uważasz, że tak wypada.

— Jakże by nie! Wielkim nietaktem byłoby, gdybym postąpił inaczej.

— Ale przy Colombe sza! o celu twojej wizyty, młodzieńcze.

— Boże mój! o czym w takim razie będę z nią rozmawiał? — zmartwił się Ascanio.

— No, proszę, jak cię to zakłopotalo, piękny kawalerze! Mówiłeś wszak, żeś złotnikiem.

— A tak.

— Rozmawiaj więc z nią o klejnotach; ten temat zawsze raduje serce najmądrzejszej nawet panny. Albośmy córami Ewy, albo nie, a skoro jesteśmy, kochamy wszystko, co błyszczące. Biedne dziecko, ma przecież tak mało rozrywek w tej pustelni, że zaiste błogosławieństwem jest, gdy ją kto nieco rozweseli. Co prawda rozrywką odpowiednią w jej wieku byłoby dobre

zamażpójście. Toteż kiedy imć pan Robert przychodzi tutaj, nie obejdzie się nigdy, żebym mu nie szepnęła na ucho: Wydadz za mąż, panie, to biedne dziewczę, wydaj ją za mąż!

I nie zauważając, że wyjawienie takiej poufałości mogło w gościu wzbudzić pewne domysły co do jej funkcji u imć pana prewota, jejmość Perrine zawróciła do Petit-Nesle i z Ascaniem podążającym w tyle wesała do komnaty, gdzie zostawili Colombe.

Colombe siedziała nadal zamyślona i rozmarzona w tej samej pozycji, w jakiejśmy ją zostawili. Tylko że dwadzieścia może razy uniosła głowę i spojrzenie utkwiała w drzwiach, przez które wyszedł gładki kawaler, tak że ktoś, kto by śledził jej wzrok, mógłby mniemać, iż go oczekuje. Ledwie jednak ujrzała, jak drzwi się otwierają, wróciła do swego zajęcia z takim pośpiechem, że ani jejmość Perrine, ani Ascanio nie mogli się domyślić, iż pracę przerwała.

W jaki sposób odgadła, że młodzieniec idzie za Perrine, można by wyjaśnić tylko za pomocą fenomenu magnetyzmu, gdyby w owych czasach już go znano.

— Przyrowadzam ci z powrotem tego, co nam wodę święconą podaje, moja duszko, bo to on we własnej osobie, nie pomyliłam się. Miałam go odprowadzić do bramy Grand-Nesle, skoro spostrzegł, że się z tobą nie pożegnał. Słusznie zauważył, bo przedtem nie wyrzekliście do siebie ani słówka. A przecież żadne z was nie jest nieme. Bogu dzięki!

— Moja Perrine... — przerwała zmieszana Colombe.

— No co? Nie trzeba się tak rumienić. Pan Ascanio to przyzwoity kawaler, tak jak ty jesteś skromną panienką. Poza tym zdaje się, że to dobry artysta, że złota i szlachetnych kamieni wyrabia rozmaite ozdóbki, w których młode panny na ogół się lubują.

— Nic mi nie trzeba — szepnęła Colombe.

— W tej chwili to możliwe; musisz jednak liczyć się z tym, że nie umrzesz jak pustelnica w tej przeklętej samotni. Mamy szesnaście lat, moja gołąbko, i przyjdzie dzień, kiedy zostaniesz piękną narzeczoną, której ofiarowuje się najprzeróżniejsze klejnoty; a potem wielką damą, ta zaś potrzebuje rozlicznych garniturów. Lepiej zatem dać pierwszeństwo temu kawalerowi niż wyrobom jakiegoś innego artysty, który z pewnością mu nie dorówna.

Colombe cierpiała katusze. Ascanio, niezbyt rad z przewidywań Perrine, spostrzegł to i przyszedł z pomocą biedactwu, bezpośrednia bowiem rozmowa w mniejsze ją wprawiała zakłopotanie niż ten monolog czcigodnej niewiasty.

— Och, panno Colombe — rzekł — nie odmawiaj mi łaski obejrzenia moich wyrobów; mam teraz wrażenie, jakbym je dla ciebie wykonał, a robiąc je, myślał o tobie. O tak, uwierz, proszę, bo my, złotnicy, do złota, srebra, szlachetnych kamieni dodajemy niekiedy własne myśli. Do diademów zdobiących wasze główki, do bransolet skuwających wasze ramiona, do naszyjników pieszczących wasze szyje, do kwiatów, ptaków, aniołów, chimer, które brzęczą wam u uszy, dorzucamy czasami pełne szacunku uwielbienie.

I tu, jako kronikarz, przyznać musimy, że na te słodkie słowa serce Colombe rosło, bo Ascanio, tak długo milczący; przemówił wreszcie, i to. przemówił w sposób, jaki ona sobie wyśniła, albowiem nie podnosząc wzroku dziewczyna czuła na sobie jego gorące spojrzenie, a dziwnego uroku tym słowom, nowym i Colombe nie znanym, dodawał nawet obcy . akcent głosu, akcent głęboki i uwodzicielski prostego i melodyjnego języka miłości, który młode panny rozumieją, zanim jeszcze zaczną nim mówić.

— Wiem dobrze — ciągnął Ascanio ze wzrokiem ciągle utkwionym w Colombe — że urody waszej nie powiększamy. Nie czyni się Boga bogatszym, ozdabiając jego ołtarz. Ale przynajmniej otaczamy wasz urok wszystkim tym, co jak on jest cudowne i piękne, a kiedy zmroku naszych otchłani patrzymy, ubodzy i pokorni wyrobownicy magii j blasku, jak nas mijacie

w świetności, pociechą za to, że stoimy o wiele niżej niżli wy, jest świadomość, że sztuką swoją jeszcze was wyżej wynosimy.

— Twoje piękne dzieła, kawalerze — odparła zmieszana Colombe — będą mi niechybnie zawsze obce, a przynajmniej zbędne; żyję w odosobnieniu i zapomnieniu, a ten stan rzeczy nie tylko mi nie ciąży, lecz przyznaję, radam z tego, pragnęłabym tu na zawsze pozostać, choć nie kryję, że bardzo bym chciała obejrzeć twoje ozdoby, nie z myślą o sobie, lecz o nich; nie po to, by je włożyć, ale podziwiać.

I przestraszona, że już za dużo powiedziała i że powie jeszcze więcej, Colombe, rzekłszy te słowa, złożyła ukłon i wyszła tak szybko, iż dla mężczyzny bardziej obeznanego w tej materii wyjście owo wyglądałoby na najzwyczajszą ucieczkę.

— No, doskonale! — rzekła jejmość Perrine. — Nareszcie pojawia się w niej trochę zalotności. Atoli prawdą jest, kawalerze, że prawisz niby z książki. Zda się, zaiste, że w twoim kraju znacie tajemnicę urzekania ludzi; dowodem to, że od razu zaczęłam ci sprzyjać, i na honor, życzę ci, żeby imć pan prewot nie dał ci się zbyt we znaki. No to do zobaczenia, młodzieńcze, a szepnij swemu mistrzowi, żeby na siebie uważał. Uprzedź go, że imć d'Estouteville to okrutnie twardy człek i ma na dworze mocne poparcie. I gdyby twój mistrz mi zawierzył, zrezygnowałby z zamieszkania w Grand-Nesle, a zwłaszcza z zajęcia go siłą. A ciebie przecie zobaczymy jeszcze? Colombe zaś nie wierz: sam spadek, po jej zmarłej matce jest o wiele większy, niżby trzeba, żeby się wyrzekać o wiele kosztowniejszych kaprysów od tych, które ty jej oferujesz. Aha, przynieś także parę tańszych przedmiotów: może wpadnie jej do głowy, żeby mi coś podarować? Bogu dzięki, nie jestem jeszcze w takim wieku, żeby się wyzbyć całkiem zalotności. Słyszałeś, kawalerze, co?

I aby lepiej być zrozumianą, uznała, że lepiej do słów dołączyć gest i położyła dłoń na ramieniu młodzieńca. Ascanio drgnął jak człowiek nagle przebudzony. Bo i zdawało mu się, że to wszystko było tylko snem. Nie mógł pojąć, że jest u Colombe, nie wierzył, że ta biała zjawa, której melodyjny głos jeszcze szeptał mu do ucha, której lekka postać przemknęła mu dopiero przed oczami, była naprawdę tą, dla której jednego spojrzenia, poprzedniego dnia i nawet tego ranka oddałby życie.

Toteż przepełniony szczęściem chwili i nadzieją na przyszłość obiecał Perrine wszystko, czego pragnęła, nie słuchając nawet, o co prosi. Nie miało to dlań znaczenia. Wszak gotów był oddać całe swoje mienie, byle tylko znów ujrzeć Colombe!

Stwierdziwszy zaś, że wizyty nie wypada już przedłużać, pożegnał się z jejmością Perrine obiecując, iż zjawi się nazajutrz,

Kiedy wychodził z Petit-Nesle, stanął niemal twarzą w twarz z dwoma mężczyznami zamierzającymi tam wejść. Bardziej po spojrzeniu, jakim jeden z nich go obrzucił, niż po stroju Ascanio poznał, że musi to być prewot.

Przypuszczenia niebawem zmieniły się w pewność, gdy ujrzał, że kołaczą do bramy, z której dopiero co wyszedł; poczuł wtedy żal, iż nie zabrał się stamtąd wcześniej, bo kto wie, czy przez jego brak rozważa nie ucierpi Colombe?

Aby nie wyglądało, że przywiązuje jakąś wagę do tej wizyty — zakładając, że prewot by to spostrzegł — Ascanio oddalił się nie odwróciwszy nawet głowy w stronę owego zakątka, jedyne w tej chwili na całym świecie miejsca, gdzie chciałby sprawować rządy.

Wróciwszy do pracowni, zastał Benvenuta bardzo strapionego. Człowiekiem, co ich przedtem zatrzymał na ulicy, był Primaticcio, spieszący jako dobry konfrater uprzedzić

Celliniego, iż podczas porannej wizyty Franciszka I nierozważny artysta zdążył sobie, zrobić z diuszesy d'Etampes śmiertelnego wroga.



## ROZDZIAŁ VII

### NARZECZONY I PRZYJACIEL

Jednym z ludzi wchodzących do zamku Nesle, gdy Ascanio go opuszczał, był w rzeczy samej imię pan Robert d'Estouteville, prewot Paryża. Co do drugiego zaś, to niebawem się dowiemy, kto zacz.

Pięć minut po odejściu Ascania, gdy pogrążona, jeszcze w marzeniach Colombe nasłuchując bacznie stała w swoim pokoju, gdzie się schroniła, weszła tam spieszenie jejmość Perrine i oznajmiła, że ojciec dziewczyny czeka na nią.

— Ojciec! — przeraziła się Colombe. Po czym dodała szeptem: —Boże mój!. Boże! Czyżby się spotkali?

— Tak, drogie dziecko, twój ojciec — rzekła Perrine, odpowiadając na tę część zdania, którą usłyszała — a z nim jakiś starszy wielmoża i wystaw sobie, że go nie znam.

— Starszy wielmoża! — rzekła Colombe drżąc instynktownie. —Mój Boże! Och, Perrine, co to może znaczyć? Po raz pierwszy od dwóch czy trzech lat ojciec nie przychodzi sam.

Choć zatrwożona, dziewczyna musiała jednak usłuchać — znała bowiem porywczy charakter swego ojca — zebrała tedy całą odwagę i z uśmiechem na ustach weszła do pokoju, z którego tak niedawno wybiegła, bo mimo swej qbawy, odczuwanej po raz pierwszy i nieuświadomionej, kochała imię pana d'Estouteville prawdziwą miłością, a lubo prewot nie okazywał jej! zbytnio uczuć, to dni, kiedy odwiedzał zamek Nesle, różniły się od dni smutnych i jednostajnych niby świąteczne.

Colombe podeszła z wyciągniętymi rękoma, otwartymi ustami, lecz prewot nie dał jej czasu, by go uściskała lub wyrzekła choć słowo. Wziął ją jedynie za rękę i poprowadził ku nieznanemu, który stał oparty o duży kominek zastawiony kwiatami, i rzekł:

— Drogi przyjacielu, przedstawiam ci moją córkę. — A zwracając się do córki, powiedział: — Colombe, oto hrabia d'Orbec, królewski skarbnik i twój przyszły małżonek.

Colombe wydała cichy okrzyk tłumiąc go natychmiast, by nie gwałcić, konwenansu; czuła wszakże, iż uginają się pod nią nogi, wsparła się przeto o poręcz krzesła.

Ażeby bowiem zrozumieć, zwłaszcza w nastroju, w jakim się znajdowała Colombe, jak straszliwie zabrzmiała w jej uszach ta nieoczekiwana prezentacja, należałoby bliżej poznać hrabię d'Orbec.

Pan Robert d'Estouteville nie grzeszył z pewnością urodą; gęste brwi, które marszczył przy najmniejszej przeciwności natury fizycznej czy duchowej, przydawały jego twarzy srogości, a przysadzista postać miała w sobie coś ciężkiego i niezręcznego, co w niewielkim stopniu budziło doń sympatię; ale przy hrabim d'Orbec wyglądał jak Michał Archanioł przy smoku. Kwadratowa twarz i ostre rysy prewota wyrażały przynajmniej stanowczość i siłę, przenikliwe oczy, szare i

żywe, znamionowały inteligencję; lecz hrabia d'Orbec, wąty, chudy i kościsty, z pajęczymi kończynami, komarzym głosem i ślimaczą ruchliwością, był nie tylko brzydki, ale wstrętny: brzydota zarazem zwierzęca i nikczemna. Przechylona na ramię głowa, zwieszona lekko, na twarzy niegodziwy uśmiech i fałszywe spojrzenie.

. Toteż na widok tej przerażającej istoty przedstawionej jako jej przyszły małżonek, kiedy w sercu Colombe, jej myślach i oczach trwał jeszcze obraz gładkiego młodziana, który dopiero co wyszedł z tego samego pokoju, dziewczyna, jak już powiedziano, zdołała wprawdzie zdławić krzyk, lecz na tym wyczerpały się jej siły i stała blada i zmrożona, spoglądając na ojca z przerażeniem.

— Proszę o wybaczenie córce mej, drogi przyjacielu — ciągnął prewot — jej zakłopotania; to mała dzikuska, która od dwóch lat stąd nie wychodzi, bo klimat czasów nie sprzyja, o czym wiesz, urodziwym pannom; poza tym, prawdę powiedziawszy, popełniłem błąd nie uprzedzając jej o naszych planach, co było zresztą zbędne, zważywszy, iż to, co postanowiłem, nie wymaga niczyjej aprobaty; przy tym Colombe nie wie, ktoś ty i że z twoim nazwiskiem, majątkiem i przychylnością pani d'Etam-pes jesteś w stanie zdobyć wszystko, aliści kiedy córka moja się zastanowi, doceni zaszczyt, jaki nam czynisz godząc się na połączenie twojej pradawnej świetności z naszym młodym szlacheństwem; dowie się że będąc naszym przyjacielem od lat czterdziestu...

— Och, dosyć już, dosyć, przyjacielu — przerwał hrabia; po czym zwrócił się do Colombe z pewnością siebie poutała i obelżywą, tak bardzo kontrastującą z nieśmiałością Ascania: — No, no, uspokój się, panienczko, i przywołaj na policzki te śliczne rumieńce, które tak do ciebie pasują. Mój Boże, dobrze wiem, co to panna, a nawet co to kobieta, bo już dwa razy byłem żonaty, dziecinko. Och, po co to zmieszanie, chyba nie boisz się mnie, co? — dodał pyszałkowato prostując się i przyglądając rzadkie wąsy i lichą bródkę przyciętą w szpic. — Bo też twój rodzic niepotrzebnie nadał mi tak szybko tytuł małżonka, co zawsze wzrusza nieco młode serduszek, kiedy go usłyszysz po raz pierwszy; ale przywykniesz, moja mała, a w końcu sama będziesz to słowo wymawiała tymi ślicznymi usteczkami. Oho, jeszcześ przybladła... Na Boga! Ona zaraz zemdleje.

I d'Orbec wyciągnął ręce, by podtrzymać Colombe, ona się jednak wyprostowała i cofnęła o krok, jakby się bała jego dotknięcia na równi z dotknięciem węża, znalazła wszakże siły, by jęknąć kilka słów

— Wybacz, panie, wybacz i ty, ojcze... To nic... Ale myślałam... miałam nadzieję...

— I cóż to myślałaś, na co miałaś nadzieję? No, mów szybko! — rozkazał prewot utkwivszy w córce spojrzenie małych oczek, bystrych i poirytowanych.

— Że pozwolisz mi, ojcze, być zawsze przy tobie — rzekła Colombe. — Od śmierci biednej mateczki pozostała ci tylko moja miłość, moja opieka, więc myślałam..

— Zamilcz, Colombe — przerwał rozkazująco prewot. — Nie jestem jeszcze w wieku, żeby mi potrzebna była opiekunka; ty za to jesteś w wieku, kiedy Czas się ustatkować.

— Boże mój — odezwał się d'Orbec, znów się wtrącając do rozmowy — bierz mnie za męża bez tyłu ceregieli, moja duszko. Ze mną będziesz szczęśliwa, że bardziej być nie można, jakoż niejedna ci pozazdrości, przysięgam. Jestem bogaty, do diaska, i mniemam, że przyniesiesz mi zaszczyt: znajdziesz się na dworze; i to w klejnotach, które wywołają zazdrość nie powiem, że królowej, ale samej pani d'Etampes.

Trudno powiedzieć, jakie myśli obudziły w Colombe ostatnie słowa hrabi\* dość że rumieńce pojawiły się na jej policzkach i mimo surowego spojrzenia prewota, odpowiedziała:

— Panie, poproszę przynajmniej mego ojca, by mi dał czas do zastanowienia nad twoją propozycją.

— Co to ma znaczyć? — zawołał gwałtownie imć pan d'Estoutevil-le. — Ani godziny, ani minuty, Jesteś od tej chwili narzeczoną hrabi słyszysz? I już dzisiaj byłabyś jego żoną, gdyby nie musiał za godzinę wyjechać do swego hrabstwa w Normandii, a wiesz, że moja wola jest rozkazem. Zastanowić się! Do kroćset! d'Orbec, zostawmy, tę gaskę. Odtąd należy do ciebie, przyjacielu, a zabierzesz ją sobie, skoro tylko zechcesz. Chodźmy teraz obejrzyć twój przyszły dom.

D'Orbec chciał jeszcze zostać i coś dodać do słów, które już był powiedział; prewot jednak wsunął rękę pod-jego ramię i pociągnął go za sobą mruczając; hrabia złożył więc tylko przed Colombe ukłon ze swym nieprzyjemnym uśmiechem i wyszedł z imć panem Robertem.

Zaraz też w drzwiach w głębi pokoju pojawiła się jejmość Perrine: słyszała, jak prewot podniósł głos, przybiegła tedy odgadując, że jak to zwykle bywało, zbeształ córkę. Nadeszła w samą porę, aby złapać Colombe w ramiona.

— Och, mój Boże, mój Boże ! — zawołała dziewczyna zasłaniając dłonią, oczy, jakby nie chciała patrzeć na odrażającego hrabię, choć jego już nie było, — Mój Boże Czyżby to miało się tak skończyć? Och, moje słodkie marzenia! Rzewne nadzieje! Wszystko przepadło, zniknęło, tylko śmierć pozostała!

Łatwo się domyślić, że taki wybuch w połączeniu z zasłabnięciem i bladością Colombe przeraziły Perrine, ale i pobudziły jej ciekawość. A ponieważ Colombe musiała sobie ulżyć, opowiedziała swej czcigodnej opiekunce, lejąc łzy gorzkie jak nigdy dotąd, co zaszło między jej ojcem, hrabią d'Orbec i nią. Jejmość Perrine przyznała, że narzeczoney nic jest ani młody, ani urodziwy, ale ponieważ, w jej mniemaniu, największe nieszczęście, jakie może dotknąć kobietę, to że pozostanie panną, oświadczyła zatem, że koniec końców lepiej mieć męża Starego i szpetnego, niż nie mieć w ogóle. Teoria ta jednak tak poruszyła serce Colombe, że dziewczyna zamknęła się w swoim pokoju, a żywa wyobraźnia Perrine jęła budować tysiące planów na przyszłość, kiedy to z rangi opiekunki panny d'Estouteville wyniesiona zostanie do rangi damy do towarzystwa hrabiny d'Orbec.

Tymczasem prewot i hrabia zaczęli oględziny Grand-Nesle, czego godzinę wcześniej dokonali jejmość Perrine z Ascaniem.

Zabawne by było, gdyby mury, które —; jak ludzie mówią — mają uszy, miały także oczy i język i opowiadały wchodzącym, co zobaczyły i usłyszały od wychodzących.

Ponieważ jednak mury milczały i patrzyły na prewota i skarbnika, śmiejąc się może na swój sposób, przeto mówił skarbnik.

— Doprawdy — prawil mijając dziedziniec prowadzący z Petit do Grand-Nesle — bardzo mi się podoba ta mała; to żona, jakiej mi trzeba, drogi d'Estoutevnię, posłuszna, naiwna i dobrze wychowana. Po pierwszej burzy pogoda się ustali, wierz mi. Znam się na tym; wszystkie dziewczątka marzą o mężu młodym, pięknym, dowcipnym i majątnym. Mój Boże, posiadam wszak przynajmniej połowę wymaganych cnót. Niewielu mężczyzn może to o sobie powiedzieć, a to już dużo. — Po czym, zostawiwszy temat przyszłej małżonki, a przechodząc na temat przyszłego domu, ciągnął nadal tym samym piskliwym i pożądlwym głosem: — Na honor, ależ ten stary zamek to wspaniała siedziba, powinszować, powinszować. Będzie nam się tu cudownie żyło, mojej żonie, mnie i skarbcowi. Tutaj nasze mieszkanie, tutaj biura, tutaj służba. Trochę to tylko podniszczone. Ale przy niewielkich wydatkach, na które z pewnością w jakiś sposób namówimy jego królewską mość, dobrze na tym wyjdziemy. A propos, d'Estouteville, pewien jesteś, że ta

posiadłość nadal do ciebie należy? Powinieneś uregulować prawo do zamku: o ile dobrze pamiętam, król ci go ostatecznie nie dał.

— Nie dał mi, to prawda — zaśmiał się prewot — ale pozwolił mi go sobie wziąć, a to prawie to samo.

— Owszem, lecz gdyby tak ktoś spletał ci figła i poprosił o niego zgodnie z przyjętymi zasadami?

— Och, zapewniam, że godnie bym go przyjął, gdyby się zjawił, by dochodzić swoich praw, a będąc pewnym poparcia pani d'Etampes i twojego, zmusiłbym go do ciężkiego odpokutowania swoich roszczeń. Nie tym się nie troskam, zamek Nesle należy do mnie, to również pewne, przyjacielu, jak to, że moja córka jest twoja; wyjeżdżaj tedy w spokoju i wracaj szybko.

Kiedy prewot wypowiadał te słowa, w których prawdziwość żaden z rozmówców nie miał powodu wątpić, trzecia osoba, prowadzona przez ogrodnika Raimbaulta, pojawiła się w bramie wiodącej z czworokątnego dziedzińca do ogrodów Grand-Nesle. Był to wicehrabia de Marmagne.

On również ubiegał się o rękę Colombe, ale mu się nie powiodło. Był to wielki nicpoń o ognistorudej czuprynie i różowym licu, zarozumiały, butny, gadatliwy, pełen pretensji wobec dam, którym często służył za płaszczyk, by mogły ukryć swoje prawdziwe miłości, niesłuchanie dumny z funkcji królewskiego sekretarza, pozwalającej mu dostępować do jego królewskiej mości w taki sposób, w jaki zbliżały się doń ogary, papugi i małpy. Prewot nie dał się zwieść pozornym względem i powierzchownej poufałości, jaką się wicehrabia cieszył u króla, względem i poufałości, które zawdzięczał, jak zapewniano, jedynie niezbyt moralnemu rozszerzeniu pełnionej funkcji. Wicehrabia de Marmagne już dawno przejadł zresztą całą ojcowiznę i nie miał innej fortuny oprócz szczodrości Franciszka I. Otóż szczodrość ta mogła z dnia na dzień ustać, a imć pan Robert d'Estouteville nie był tak głupi, żeby w 'sprawach tej wagi zdać się na kapryśność króla mocno kapryśnego. Odrzucił zatem delikatnie prośbę wicehrabi de Marmagne, wyjawiając mu w zaufaniu i w największej tajemnicy, iż ręką jego córki od dawna już jest przyrzeczona komu innemu. Dzięki temu zwierzeniu, motywującemu odmowę prewota wicehrabią de Marmagne i imć pan Robert d'Estouteville na pozór pozostali najlepszymi w świecie przyjaciółmi, lubo wicehrabia nie mógł ścierpieć od tej pory prewota, prewot zaś nie ufał za grosz wicehrabi, który pod życzliwością i uśmiechami nie potrafił skryć urazy przed człowiekiem równie jak mości Robert nawykłym do czytania w mrokach dworów i zakamarkach serc. Za każdym razem, gdy pojawiał się miły i nadskakujący wicehrabia, prewot spodziewał się jak najgorszych wieści, które ów miał zwyczaj wyjawiać ze łzami w oczach i z bólem, udawanym i wyrachowanym, jakby po kropli sączył truciznę na ranę.

Co się tyczy hrabi d'Orbec, to wicehrabia de Marmagne niemal z nim zerwał stosunki: panowała nawet między nimi nienawiść dworaków widoczna gołym okiem, D'Orbec gardził Marmagne'em, ponieważ Marmagne nie miał majątku i, nie mógł utrzymać odpowiedniej pozycji towarzyskiej. Marmagne gardził cTORbekiem, ponieważ d'Orbec był stary i w związku z tym stracił przywilej podobania się kobietom; obaj się wreszcie serdecznie nienawidzili, gdyż kiedykolwiek się spotkali, jeden pozbawiał czegoś drugiego.

Toteż gdy tylko się spostrzegli, skłonili się sobie z owym sardonycznym i zimnym uśmiechem spotykanym wyłącznie w antyszambkach pałaców, który znaczy:— Ach, gdybyśmy nie byli obaj takimi tchórzami, to już od, dawna jederi z nas by nie żył!

Niemniej, jako że obowiązkiem kronikarza jest wyjawiać tak to, co dobre, jak i to, co złe, przyznać należy gwoli sprawiedliwości, że poprzestali na owym ukłonie i uśmiechu i hrabia

d'Orbec, nie zamieniwszy ani słowa z wicehrabią de Marmagne, odprowadzony przez prewota zaraz wyszedł tą samą bramą, którą wkroczył jego wróg.

Spieszmy tu dodać jeszcze, że mimo dzielącej ich nienawiści, ci dwaj ludzie w razie konieczności gotowi byli chwilowo połączyć swe siły, by zaszkodzić komuś trzeciemu.

Skoro hrabia d'Orbec odszedł, prewot znalazł się sam ze swoim przyjacielem, wicehrabią de Marmagne. Z zadowoleniem na twarzy podszedł do gościa, który czekał nań z zasmuconą miną.

— Cóż to, drogi prewocie — odezwał się Marmagne, pierwszy przerywając milczenie — wygląda, żeś bardzo kontent.

— Ty zaś, panie Marmagne — odparł prewot — minę masz bardzo smutną.

— Bo widzisz, drogi d'Estouteville, nieszczęścia moich przyjaciół smuć mnie równie jak moje własne.

— O, tak, tak, znam twoje serce — rzekł prewot.

— A kiedy ujrzałem cię, panie, tak radosnego z przyszłym zięciem, hrabią d'Orbec, bo małżeństwo twojej córki z nim przestało być tajemnicą, czego winszuję, drogi d'Estouteville...

— Już ci dawno powiedziałem, drogi Marmagne, że ręka Colombe jest przyrzeczona.

— Tak, doprawdy nie wiem, jak możesz się zgodzić na rozłąkę z tak czarującym dzieckiem.

— Och, to nie będzie rozłąka — wyznał imé pan Robert. — Mój zięć, hrabia d'Orbec, przeniesie na drugą stronę Sekwany cały skarbiec i zamieszka w Orand-Nesle, ja zaś w wolnych chwilach będę mieszkał w Petit.

— Biedny przyjacielu! — odezwał się Marmagne, potrząsając głową z głęboko zasmuconą miną, i jedną rękę położył na ramieniu prewota, a drugą podniósł do oczu, by otrzeć nie istniejącą łzę.

— Jak to, biedny przyjacielu? — rzekł mości Robert. — Ach, tak, o czym to mnie znowu powiadomisz?

— Czyżbym ja pierwszy przynosił ci tę smutną wieść? — Jaka? No, gadaj!

— Wiesz, drogi panie Robercie, na tym padole trzeba być filozofem,, a jest pewne stare przysłowie, które ludzka rasa powinna bez ustanku sobie powtarzać, bo zawiera ono całą mądrość narodów.

— Cóż to za przysłowie? Mówże.

— Człowiek strzela, drogi przyjacielu, człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi,

— A gdzie to ja strzelałeni, a Pan Bóg kulę doniósł? No, powiedz pan wreszcie i kończmy z tym.

— Przeznaczyłeś stary zamek Nesle zięciowi i córce?

— Owszem; przeprowadzą się tam, mniemam, przed upływem trzech miesięcy.

— Mylisz się, drogi prewocie, mylisz się. Zamek Nesle w tej chwili już do ciebie nie należy. Wybacz, że cię zasmucam; pomyślałem jednak, znając twoją popędliwą nieco naturę, że lepiej, aby tę wieść przyniósł ci przyjaciel, który, uczyni to oględnie, niżby miał ci ją przynieść jakiś gbur, który uradowany twoim nieszczęściem, w twarz ci ją rzuci bez osłonek. Niestety, mój drogi, Grand-Nesle już do ciebie nie należy!

— A kto mi go zabrał, jeśli łaska?

— Miłościwy pan. — Miłościwy pan!

— We własnej osobie. Widzisz zatem, że nieszczęścia nie da się już odwrócić.

— Kiedy to się stało?

— Dzisiejszego ranka. Gdyby mnie służba w Luwrze nie zatrzymała, dowiedziałbyś się o tym wcześniej.

-Wprowadzono cię w błąd, Marmagne, to plotka, którą moi wrogowie z uciechą rozpowiadają, i ty się dałeś na nią nabrać.

— Bardzo bym pragnął, żeby tak było, ale, nieszczęściem, wcale mi tego nie powiedziano, ja słyszałem.

— Co słyszałeś?

— Słyszałem, jak król ofiarował stary zamek komu innemu. — Komu?

— Pewien włoski awanturnik, jakiś złotnik o nazwisku może ci nieobcym, intrygant, niejaki Benvenuto Cellini, przybyły przed dwoma miesiącami z Florencji, w którym król nie wiem dlaczego się zadurzył i którego dzisiaj odwiedził, razem z całą świtą w pałacu kardynała Ferrary, gdzie ów rzekomy artysta ma pracownię.

— I byłeś przy tym, wicehrabio, jak król darował Grand-Nesie temu nędznikowi?

— Byłem — odparł de Marmagne, kładąc nacisk na każdą sylabę i wymawiając je powoli i z lubością.

— Ach, tak! — rzekł przewot. — Cóż, czekam zatem na tego twojego awanturnika, niech sobie weźmie królewski dar!

— Co? Czyżbyś miał zamiar się sprzeciwić?

— Owszem.

— Królewskiemu rozkazowi?

— Nawet boskiemu, nawet diabelskiemu, wszelkim rozkazom, które będą miały za cel usunięcie mnie stąd.

— Strzeż się, przewocie, strzeż się — podjął wicehrabia — bo nie dość, że narażasz się na gniew króla, to jeszcze ten Cellini jest groźniejszy, niż przypuszczasz. .

— Czy ty wiesz, wicehrabio, kim ja jestem?

— Przede wszystkim tamten cieszy się wszelkimi względami króla, może chwilowo, ale jednak.

— Czy wiesz, że ja, przewot Paryża, reprezentuję jego królewską mość w Chatelet, zasiadam na trybunie w krótkim kaftanie, płaszczu z kołnierzem, z mieczem u boku, w przybranym piórami kapeluszu na głowie, trzymając w ręku buławę pokrytą niebieskim aksamitem?

— Musisz też wiedzieć, drogi przyjacielu, że ten przekłety Italczyk z chęcią godzi się na walkę, jak równy z równym, ze wszelkiego rodzaju księżętami, kardynałami i papieżami.

— Czy wiesz, że mam osobistą pieczęć potwierdzającą autentyczność aktorów?

— Mówią jeszcze, że piekielny zawadiaka rąbie i zabija każdego, kto mu staje na przeszkodzie.

— Czyżbyś zapomniał, że dwudziestu czterech pachołków jest dzień i noc na moje rozkazy?

— Słyszałem, że zarąbał jakiegoś złotnika, który mu się naraził, w otoczeniu kopy ludzi tamtego.

— Pamiętaj, że zamek Nesle jest ufortyfikowany, ma blanki na murach i machikuły nad bramami, nie licząc umocnień miejskich, które z jednej strony czynią go niezdobytym.

— Podobno zna się na oblężeniach niczym Bayard czy Antonio de Leyra.

— To się jeszcze okaże. boję się go.

— A ja na niego czekam.

— Drogi przyjacielu, czy chcesz, bym ci dał pewną radę?

— Mów, wicehrabio, byle krótko.

— Nie próbuj, panie d'Estouteville, walczyć z silniejszym od siebie.

— Jakiś italski złotniczyzna silniejszy ode mnie! Irytujesz mnie, wicehrabio.

— Na honor, wszak możesz tego gorzko pożałować. Wiem, co mówię.

— Wicehrabio, wyprowadzasz mnie z równowagi. — Pomyśl, że ten człek ma za sobą króla.

— I cóż? Za mną stoi pani d'Etampes.

— Miłościwy pan może mieć za złe, że ktoś sprzeciwia się jego woli.

— Ja to już zrobiłem, mój panie, w dodatku z powodzeniem. — Tak, wiem, to była sprawa myta na moście Mantes. Ale... — Ale co?

— Aje nic się nie ryzykuje, a przynajmniej niewiele, kiedy się stawia opór królowi słabemu i dobremu, podczas gdy wszystko się kładzie na szalę podejmując Walkę przeciwko człowiekowi silnemu i okrutnemu, jakim jest Benvenuto Cellini,

— Tam do kata! Wicehrabio, chcesz mnie doprowadzić do obłądu!

— Przeciwnie, pragnę ci przemówić do rozsądku.

---Dosyć, wicehrabio, dosyć! Och, przysięgam, że ten cham drogo mi zapłaci za chwilę, które dzięki twojej przyjaźni przeżyłem.

— Wola boska, przewocie, wola boska!

— Dobrze już; dobrze! Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

— Nie, nie, nie sędzę — rzekł wicehrabia, jakby szukał w myślach, jeszcze jakiejś wieści pasującej do tamtej.

— To do zobaczenia! — zawołał przewot.

— Do zobaczenia, biedny przyjacielu!

— Bywaj!

— Przynajmniej cię uprzedziłem.

— Żegnaj!

— Nie będę miał sobie nic do wyrzucenia, to mnie pociesza.

— Żegnaj, żegnaj!

— Powodzenia! Aliści muszę wyznać, iż wątpię, żeby to życzenie się spełniło.

— Żegnaj już, do widzenia!

— Żegnaj!

I wicehrabia de Marmagne, wdychając raz po raz, z twarzą zmienioną z boleści, uściskawszy przewotowi dłoń, jakby się z nim żegnał na zawsze, odszedł, wznosząc ramiona ku niebu.

Prewot ruszył za nim i osobiście zawarł bramę od ulicy.

Rozumie się, że ta przyjacielska rozmowa wzburzyła imię pana d'Estou-teville i doprowadziła go do wściekłości. Toteż rozglądał się, na kim by tu wyładować złość, kiedy naraz przypomniał sobie młodzieńca, którego widział, jak wychodził z Grand-Nesle w chwili, gdy on miał tam wejść z hrabią d'Orbec. A ponieważ Raimbault był w ogrodzie, nie musiał daleko szukać kogoś, kto by go poinformował o owym nieznanym, i władczy, nie dopuszczającym dyskusji gestem przywoławszy ogrodnika, zapytał, co wie o młodzieńcu.

Ogrodnik odparł, iż człowiek ów zjawił się w imieniu króla, aby obejrzyć Grand-Nesle, Raimbault nie chciał brać tego na siebie, poprowadził go tedy do jejmości Perrine, a ona uprzejmie wszystko mu pokazała.

Prewot rzucił się do Petit-Nesle, aby zażądać wyjaśnień od szacownej niewiasty; na nieszczęście właśnie wyszła, by dokonać cotygodniowych sprawunków.

Pozostawała Colombe, ponieważ jednak imć panu Robertowi nawet przez myśl nie przeszło, że widziała się z młodym cudzoziemcem po tym, jak prewot wydał jejmości Perrine kategoryczny zakaz dotyczący młodych gładyszów, więc nawet jej o tym nie mówił.

Jako że obowiązki wzywały go do Grand-Chńtelet, poszedł tam, przykazując Raimbaultowi pod groźbą wyrzucenia go za drzwi, żeby nikogo i w niczym imieniu nie wpuszczał ani do Petit ani do Grand-Nesle, a zwłaszcza owego nędznego awanturnika, który zdołał się tam już raz wedrzeć.

Toteż kiedy nazajutrz Ascanio, pomny zaproszenia Perrine, stawiał się ze swymi klejnotami, Raimbault uchylił tylko małego okienka w bramie i przez kraty rzekł mu, iż zamek Nesle zamknięty jest dla wszystkich, a dla' niego w szczególności.

Ascanio, jak nietrudno zgadnąć, odszedł zrozpaczony; atoli przyznać należy, że ani przez chwilę nie winił Colombe za to niezwykle przyjęcie; dziewczyna raz tylko podniosła na niego wzrok, raz tylko się odezwała, lecz w jej spojrzeniu było tyle nieśmiałej miłości, a w słowach pobrzmiwała taka miłosna melodia, że od tej chwili w sercu Ascania śpiewały anielskie chóry.

Słusznie się tedy domyślił; że ponieważ imć pan d'Estouteville go spostrzegł, on to właśnie wydał ów okrutny rozkaz; którego ofiarą padł Ascanio.



## ROZDZIAŁ VIII

### PRZYGOTOWANIA DO ATAKU I OBRONY

Zaledwie Ascanio wrócił do pracowni i zdał sprawę Benvenutovi z części swej wyprawy dotyczącej wyglądu zamku Nesle, złotnik widząc, iż siedziba, ta odpowiada mu w każdym calu, natychmiast pospieszył do pierwszego sekretarza królewskich finansów, pana de Neuville, by mu wypisał akt darowizny. Pan de Neuville poprosił o jeden dzień, aby się upewnić, czy mistrz Benvenuto rości sobie słuszne pretensje, u lubo złotnik Uznał za impertynencję, że nie wierzy mu się na słowo, to jednak pojął zasadność owej prośby i przystał na nią, lecz postanowił, że nazajutrz nie zgodzi! się ani na pół godziny zwłoki.

Toteż następnego dnia stawił się punktualnie co do minuty. Natychmiast go wprowadzono co uznał za pomyślną wróżbę.

— I cóż, mości panie? — zagadnął. — Italczyk jest kłamcą czy powiedział prawdę?

— Rzetelną prawdę, drogi panie.

— Całe szczęście.

— I król rozkazał wystawić na twoje imię stosowny akt darowizny.

— Będzie mile przyjęty. — Wszelako... — ciągnął z wahaniem sekretarz.

— No, co takiego?

— Wszelako gdybyś, raczył, panie, przyjąć dobrą radę...

— Dobrą radę! Do kroćset! To rzecz rzadko spotykana, mości sekretarzy; słucham, słucham.

— Radziłbym poszukać na pracownię innej posiadłości niż Grand-Nesle.

— Doprawdy? — odparł Benvenuto z drwiącą miną. — Czyżbyś mniemał, że zamek nie jest odpowiedni?

— Przeciwnie! Zmuszonym nawet przyznać, że niemało trudu musiałbyś sobie zadać, aby znaleźć lepsze miejsce,

— Dlaczego zatem?

— Bo Nesle należy do zbyt wysoko postawionej osobistości, aby ci to uszło bezkarnie.

— Ja sam należę do miłościwego króla Francji — odrzekł Cellini — i nic cofnę się, ani o krok, dopóki działał będę w jego imieniu.

— Tak, tylko że w naszej ojczyźnie, mistrzu Benvenuto, każdy jest panem w swoim domu, a próbując wyrzucić przewota z zamku, który zajmuje, ryzykujesz życiem.

— Wcześniej czy później umrzeć trzeba — odparł sentencjonalnie Cellini.

— Jesteś tedy gotów...

— Zabić diabła, zanim diabeł mnie zabije. W tej materii zdaj się na mnie, panie sekretarzu. Niech się imć pan prewot ma na baczości, a z nim każdy, kto się ośmieli sprzeciwić woli króla, zwłaszcza kiedy mistrz Cellini wziął na siebie wolę tę spełnić.

Na takie słowa pan Mikołaj de Neufville poniechał swoich filantropijnych uwag i udał, że zanim wyda akt darowizny, musi dopełnić rozmaitych formalności; Benvenuto jednak spokojnie usiadł i oświadczył, iż nie wyjdzie stąd, dopóki nie otrzyma aktu, i gdyby nawet przyszło mu tu spać, będzie spał, przewidziawszy to bowiem, uprzedził swoich domowników, że być może nie wróci.

Wobec tego imć pan de Neufville zdecydował się wreszcie, nie bacząc więcej na skutki, i wydał Celliniemu akt darowizny, uprzedził wszelako pana d'Estputeville o tym, co musiał uczynić, częściowo z woli króla, częściowo przez upór złotnika.

Benvenuto zaś wrócił do domu nikomu nie mówiąc, co zrobił, zamknął akt w skrzyni, gdzie trzymał szlachetnie kamienie, po czym spokojnie zasiadł do pracy.

Przekazana prewotowi przez sekretarza finansów wieść potwierdzała, że Benvenuto, jak powiedział wicehrabia de Marmagne, trwa przy swoim planie zawładnięcia po dobroci lub po złości zamkiem Nesle. Prewot miał się tedy na baczości, sprowadził swoich dwudziestu czterech pachołków, rozstawił posterunki na murach, a do Chatelet udawał się wtedy tylko, kiedy naprawdę zmuszały go obowiązki.

Dni tymczasem mijały, a Cellini, ze spokojem oddający się rozpoczętym pracom, nie przedsiębrał żadnego ataku. Prewot był jednak przekonany, że ten pozorny spokój jest podstępem i że wróg chce uspić jego czujność, by go potem niespodziewanie zaskoczyć. Toteż imć pan Robert oczy miał szeroko otwarte, ucho nastawione, żył w ciągłym napięciu nie wyzbywając się wojowniczych zamiarów, co w tym stanie rzeczy, nie będącym ani pokojem, ani wojną, wywołało w nim gorączkę oczekiwania, niepokój, gdyby zaś taka sytuacja dłużej potrwała, groziło doprowadzeniem go do obłądu jak kasztelana zamku Świętego \ Anioła: przestał jeść, nie sypiał i chudł w oczach.

Niekiedy wyciągał nagle szpadę z pochwy i nacierał na mur, wołając:

— Niech już przyjdzie! Niech przyjdzie ten łajdak! Niech przyjdzie, czekam!

Benvenuto nie przychodził.

Pan d'Estouteville miewał chwile spokoju, kiedy to sam siebie przekonywał, że złotnik ma język dłuższy niż szpada i że nigdy się nie ośmieli wcielić w czyn swoich niecných zamiarów. W takiej właśnie chwili raz jednego Colombe, przypadkiem wyszedłszy ze swego pokoju, ujrzała, owe przygotowania wojenne i spytała ojca o ich powód.

— Trzeba ukarać pewnego nicponia — krótko odparł prewot.

A ponieważ do prewota należało karanie, Colombe nawet nie spytała, kim jest ów nicpoń, gdyż sama była zbyt zmartwiona, żeby jej nie zadowoliło to krótkie wyjaśnienie.

Imć pan Robert dokonał bowiem straszliwej zmiany w życiu córki: życie, dotąd tak błogie, tak proste, szare, i na uboczu, życie o dniach tak spokojnych i nocach cichych, stało się naraz podobne do jeziora, które wzburzył huragan. Colombe dotychczas odczuwała czasami mgliście, że dusze ma uszpanowaną i serce puste, ale uważała, że smutek nachodzi ją z powodu samotności, a uczuciową pustkę przypisywała temu, że wcześniej straciła matkę; i oto naraz okazuje się, że jej istnienie, myśli, jej serce i dusza są wypełnione, lecz bólem.

O, jakże żałowała tamtych czasów nieświadomości i spokoju, kiedy to pospolita, lecz troskliwa przyjaźń jejmości Perrine niemal wystarczała jej do szczęścia, tych czasów nadziei i

wiary, kiedy liczyła na przyszłość, jak liczy się na przyjaciela, tych czasów ufności wreszcie, kiedy wierzyła w uczucie swojego ojca. Niestety! Przyszłość oznaczała teraz ohydłą miłość hrabi d'Orbec; czułość ojca była ambicją przysłoniętą rodzicielskim uczuciem. Dlaczego zamiast urodzić się jako jedyna dziedziczka szlacheckiego nazwiska i wielkiej fortuny, nie przyszła na świat jako córka prostego mieszczanina, który, by się o nią troszczył i kochał ją? Mogłaby wtedy spotkać tego młodego artystę, co to potrafił mówić z takim uczuciem i tak pięknie, urodziwego Ascania, co zdawał się mieć tyle szczęścia do ofiarowania, tyle miłości.

Kiedy jednak bicie serca, rumieniec na policzkach ostrzegały Colombe, iż obraz cudzoziemca zbyt długo już zaprzęta jej myśli, zmuszała się do odegnania słodkich marzeń, a udawało jej się to przez przywoływanie smutnej rzeczywistości: w dodatku, odkąd ojciec wyjawiał zamiar wydania jej za męż. Colombe specjalnie zabroniła jejności Perrine przyjmowania Ascania pod jakimkolwiek pretekstem, grożąc, iż wszystko powie ojcu. Jeśli nie będzie posłuszna, a ponieważ niewiasta, w obawie, że zostanie oskarżona o współudział, uznała za wskazane zdradzić jej wrogie zamiary Ascaniowego mistrza, biedna Colombe wносиła, że od tej strony jest dobrze chroniona.

Nie należy sądzić wszelako, iż łagodne dziewczę, jakieśmy poznali, uległo zamierzano się stać ofiarą rozkazów ojca. Nie, całym swoim jestestwem buntowała się na myśl o związku z człowiekiem, którego z pewnością darzyłaby nienawiścią, gdyby to uczucie nic było jej obce. Toteż pod pięknym bladym czołem tłoczyło się tysiące nie znanych dotąd myśli, myśli buntu i sprzeciwu, a gdy się pojawiały, traktowała je jak przestępstwo i na klęczkach prosiła Boga, by jej wybaczył. Myślała wtedy, czyby nie paść na kolana przed Franciszkiem. Słyszała jednak, jak opowiadano szeptem, że w sytuacji z innego powodu strasznej taka sama myśl przyszła do głowy Dianie de Poitiers i że zapłaciła za to własną Czcją. Pani d'Etampcs również mogła ją ochronić, uratować, gdyby zechciała. Tylko czy zechce? Czy nie uśmiechnie się na dziecinne skargi? Lekceważący i kpiący uśmiech widziała już na ustach ojca, kiedy go błagała, by jej pozwolił przy nim zostać, i uśmiech ów sprawił dziewczynie okrutny ból.

Jedyną jej ostoją pozostał tedy Bóg; toteż dziesiątki razy dziennie modliła się przy klęczniku, zaklinała Pana Wszechrzeczy, by zesłał jej ratunek, nim upłynie kwartał dzielący ją jeszcze od wstrętnego narzeczonego, albo, jeżeli ludzka pomoc jest niemożliwa, żeby pozwolił jej przynajmniej połączyć się z matką.

Co się tyczy Ascania, to w jego życiu również zapanował niepokój, podobnie jak w życiu tej, którą miłował. Po wielokroć od chwili, gdy Raimbault powiadomił go o poleceniu zabraniającym mu wstępu do , zamku Nesle, z rana, gdy nikt jeszcze nie wstał, wieczorem, kiedy wszyscy już spali, krążył rozmarzony pod wysokim murami, które dzieliły go od życia. Ani razu jednak, czy to jawnie, czy skrycie, nie próbował wtargnąć do zakazanego ogrodu. Tkwił w nim jeszcze ów chroniący ukochaną kobietę przed miłością młodzieńczy szacunek, czyli to, czego później będzie się obawiać.

Lecz Ascaniowi, gdy rzeźbił w złocie, opracował perły, osadzał diamenty, nie przeszkadzało to snuć szalonych marzeń, nie mówiąc już o tych, jakie mu chodziły po głowie podczas porannych i wieczornych przechadzek bądź gdy zapadał w niespokojny sen. Marzenia te skupiały się głównie na dniu, którego najpierw się obawiał, a potem oczekiwał, kiedy to Benvenuto weźmie we władanie zamek Nesle, Ascanio znał bowiem swojego mistrza, a ten pozorny spokój był spokojem wulkanu przed samym wybuchem. Cellini oświadczył, iż wybuch będzie miał miejsce w najbliższą niedzielę; Ascanio przeto nie wątpił, że w najbliższą niedzielę Benvenuto doprowadzi do skutku swe zamiary.

Wszelako zamiary te, na ile zdołał ocenić podczas przechadzek-wokół zamku, nie spełnią się bez przeszkód z powodu bezustannej straży wystawionej na murach; wszystko wskazywało na to, że zamek przemieniono w warownię. Jeżeli dojdzie do napaści, będzie też obrona; a że forteca nie wyglądała na taką, -co skapituluje, oczywiste było, że zostanie Wzięta szturmem.

W tej właśnie decydującej chwili rycerskość Ascania powinna znaleźć pole do popisu. Będzie walka, zrobią wyłom może wybuchnie, pożar! Och, czegoś takiego właśnie potrzebował! Najlepszy byłby pożar! Pożar, który by zagroził życiu Colombe! Wtedy on się rzuca na trzeszczące już schody, wbiega między płonące belki, ogarnięte ogniem mury. Słyszy jej głos wołający pomocy; dociera do niej, umierającą i półprzytomną porywa w ramiona, unosi wśród morza ognia, tuląc ją do siebie, czując jej serce przy swoim, chłonąc jej oddech. Wreszcie po karkołomnej wędrówce, tysiącnych niebezpieczeństwach, składa miłą u zrozpaczonego ojca, który w nagrodę za, jego odwagę oddaje ją wybawicielowi. Albo też w drodze po chwiejnej kładce przerzuconej nad ogniem stopa mu się ześlizguje obydwójce spadają i umierają w uścisku, łącząc swoje serca w ostatnim tchnieniu, w pierwszym i ostatnim pocałunku. Taka ostateczność była nie do pogardzenia dla kogoś, kto miał nie więcej nadziei niż Asca-nio; albowiem największym szczęściem po rozkoszy życia obok siebie jest wspólna śmierć. . . ,

Wszyscy nasi bohaterowie, jak widać, przeżywali zatem nader niespokojne dni i noce, z wyjątkiem Benvenuto, który zdawał się zupełnie nie pamiętać o wrogich zamiarach wobec zamku Nesle, oraz Scorzony, która o niczym nie wiedziała. .

I tak minął cały tydzień na rozmaitych emocjach, aż Benvenuto, sumiennie przeprowadzając sześć dni i niemal skończywszy gliniany model Jowisza, około piątej po południu w sobotę włożył kolczugę, na wierzch narzucił kaftan, po czym poprosił Ascania, żeby mu towarzyszył, i ruszyli w kierunku zaniku Nesle. Kiedy się znaleźli pod murami, Cellini obszedł warownię, badając jej słabe punkty i rozważając plan oblężenia.

Atak nastęczał wiele trudności zgodnie z tym, co powiedział prewot wicehrabi de Marmagne, co potwierdził Ascanio, do czego wreszcie sam Benvenuto doszedł. Zamek posiadał blanki i machikuły, podwójny mur od strony rzeki i miejskie umocnienia od strony Pre-aux-Clercs; było to solidne i okazałe domostwo feudalne, z tych, co to mogą się doskonale bronić dzięki samej swej masywności, byle tylko bramy były dobrze\*za-warte, odpierać bez pomocy z zewnątrz napaści rzezimieszków j złodziei, a także, w razie potrzeby, ataki ludzi króla. Tego właśnie wymagała owa zabawna epoka, kiedy to najczęściej człowiek musiał sam sobie być policją i strażą.

Skoro zwiad, podle wszelkich reguł strategii starożytnej i nowoczesnej, dobiegł końca, Benvenuto uznając, iż powinien wezwać fortecę do poddania, nim rozpocznie oblężenie, zastukał do furtki, przez którą Ascanio raz już był wszedł. I tym razem, jak kiedyś przed Ascaniem, otwarło się tylko okienko; teraz jednak zamiast spokojnego ogrodnika pojawił się wojowniczy pacholek.

— Czego sobie życzysz, panie? — spytał pacholek cudzoziemca, który dobijał się do bramy Nesle.

— Objąć w posiadanie zamek przyznany na własność mnie, Benvenuto Cejliniemu — odparł złotnik.

— Zaczekaj, panie — odparł, dzielny strażnik" i zgodnie z otrzymanym rozkazem pospieszył uprzedzić imię pana d'Estouteville.

Po krótkiej chwili wrócił w towarzystwie prewota, który nie pokazując się, otoczony częścią swej załogi, ze wstrzymanym tchem podsłuchiwał z boku, aby lepiej ocenić powagę sytuacji.

— Nie pojmujemy, panie, co powiadasz — rzekł pacholek.

— Przekaż tedy, człowieku — powiedział Cellini — ten pergamin imię panu prewotowi: to potwierdzona kopia aktu darowizny.

I podał dokument przez okienko.

Strażnik powtórnie zniknął; ponieważ jednak tym razem wystarczyło wyciągnąć rękę, aby podać kopię prewotowi, okienko otwarło się niemal natychmiast.

— Oto odpowiedź — oznajmił strażnik, podając przez kratę podarty pergamin.

— Doskonale — rzekł na to Cellini z największym spokojem. — Do zobaczenia tedy.

I rad z uwagi, z jaką Ascanio śledził dokonywane przezeń oględziny warowni i z wypowiedzianych przez młodzieńca trafnych uwag na temat zamierzonego uderzenia, wrócił do pracowni oznajmiając uczniowi, iż byłby wielkim wodzem, gdyby nie zostało mu przeznaczone zasłynąć jako jeszcze większy artysta, co w oczach Celliniego znaczyło dużo więcej.

Nazajutrz na horyzoncie wzeszło wspaniałe słońce. Benvenuto poprzedniego dnia poprosił swoich robotników, by się stawili w pracowni, choć to była niedziela, i nikogo nie brakło na wezwanie.

— Moje dzieci — rzekł mistrz — nająłem was, żebyście pracowali jako złotnicy, a nie walczyli. Ale przebywając razem od dwóch miesięcy, znamy się już wystarczająco dobrze, żebym mógł na was polegać, jak i wy wszyscy możecie zawsze polegać na mnie. Wiecie, w czym rzecz: jest nam tu niewygodnie; brak powietrza i przestrzeni, nie mamy swobody działania, by przedsięwziąć duże prace, a nawet nieco silniej kuć. Byliście świadkami mi, jak król raczył mi dać pomieszczenia rozleglejsze i wygodniejsze; zważywszy jednak, że brak mu czasu, by się zajmować takimi drobiazgami, mnie pozostawił troskę o rozgoszczenie się tam. I oto nic Chęć ustąpić z tak wspaniałomyślnie ofiarowanego mi domu; należy go sobie przeto wziąć; Prewot Paryża, który go zatrzymuje wbrew rozkazom króla (wygląda na to, że tak się w tym kraju robi), nie wie, z kim ma do czynienia: kiedy ktoś się nie zgadza, ja żądam; kiedy ktoś mi stawia opór, odbieram. Czy chcecie mi pomóc? Nie kryję, że będzie to niebezpieczne: to Wydana bitwa, to Wdzieranie się na mury i inne niezbyt niewinne igraszki, Nie musimy się obawiać policji ni straży, mamy przyzwolenie króla; ale może się zdarzyć, że ktoś polegnie, moje dzieci, Niechaj tedy ci, co chcą odejść, nie robią sobie ceregieli, niechaj ci, co chcą zostać w domu, mówią bez ogródek; potrzebni mi tylko śmiałkowie. Jeśli zostanę sam z Pagolem tylko i Ascaniem, możecie się tym nie martwić. Nie wiem, jak postąpię; ale wiem na pewno, że nie będę się z tego powodu wstydził. Lecz, na rany Chrystusa, jeśli mi oddacie swoje serca i ramiona, jak się spodziewam, niech się prewot i prefektura mają na baczności! A teraz, skoro już wiecie wszystko dokładnie, rzeknijcie: czy chcecie iść ze mną?

Odpowiedź padła chóralna.

— Wszędzie, mistrzu, wszędzie, gdzie nas poprowadzisz!

— Brawo, dzieci! A więc wszyscy chcecie poigrać?

— Wszyscy!

— W takim razie, do stu tysięcy piorunów, godnie się zabawimy! — zawołał Benvenuto, który znalazł się wreszcie w swoim żywiole. — Już dość długo śniedzieję. Zbierać odwagę i szpady! Ha, Bogu dzięki, zadamy więc i odparujemy parę niezgorszych pchnięć! Dalej, drogie dzieci, dalej, przyjaciele! Czas się zbroić, czas ułożyć plan, czas przygotować atak! Szykujcie się do fechtowania i wiwat radość! Daję wam wszystką broń, jaką posiadam, oprócz zawieszanej na ścianach, wybierajcie do woli. Ach, zdałoby nam się dobra śmigownica, ale cóż! w zamian

drobniejsze sztuki: arkebuzy, rusznice, piki, szpady i sztylety. A tu kolczugi, hełmy i pan\* cerze. Jazda, szybko, szybko ubierajmy się na bal; muzykantów płaci przewot.

— Hurra! — zawołali wszyscy.

I w pracowni zapanował ruch, zamęt, przyjemny dla oka rozgardiasz: werwa i zapał mistrza ożywiały wszystkie serca i twarze, Przymierzano półpancerze, wymachiwano szpadami, dobywano sztyletów, wybuchały śmiechy i śpiewy — można by sądzić, że to przygotowania do maskarady lub balu. Benvenuto chodził od jednego do drugiego, biegał, temu pokazał pchnięcie, tamtemu zapiął pas, czując, że krew się w nim rozpala i żywiej krąży, jakby odkrył swe prawdziwe powołanie.

Robotnicy zaś żartowali bez końca ze swoich wojowniczych min i mieszczańskiej niezręczności.

— Hej mistrzu! Popatrzcie tylko — wołał jeden. — Popatrzcie na Szymona Mańkuta! Szpadę przypiął sobie z tej strony co my! Z prawej, durni! Z prawej!

— I na Jehana zerknijcie; mistrzu! — dodał Szymon. — Trzyma w garści halabardę jak biskup pastorał.

— A Pagolo — dopowiadał Jehan — wkłada podwójną kolczugę!

— Dlaczego nie? — rzekł na to Pagolo. — Herman Niemiec odziewa się niby rycerz z czasów cesarza Barbarossy.

W rzeczy samej, ten, którego nazwano Hermanem Niemcem — co już jest lekkim pleonazmem, jako że samo imię z racji germańskiego brzmienia wskazywało, iż noszący je pochodzi z jednego z krajów Świętego Cesarstwa — Herman, powiadamy, od stóp do głów okrył się żelazem i przypominał gigantyczny posąg, jakie w tej epoce sztuki rzeźbiarze zwykli stawiać na grobach. Toteż Benvenuto, mimo że siła dzielnego towarzysza zza Renu stała się w pracowni przysłowiowa, zauważył, że być może zamknięty w takiej skorupie będzie miał pewne trudności z poruszaniem się, a jego siła, zamiast na tym zyskać, z pewnością straci. Za całą odpowiedź Herman wskoczył na warsztat tak lekko, jakby był odziany w aksamity, a zdjawszy z haka olbrzymi młot, zakręcił nim młynka nad głową i po trzykroć rąbnął w kowadło tak silnie, że za każdym uderzeniem kowadło zagłębiało się o cal w ziemię. Na to odpowiedzi żadnej nie było: Benvenuto skłonił się z szacunkiem unosząc dłoń do czoła na znak, że jest kontent.

Jeden Ascanio czynił przygotowania do bitwy w milczeniu i na uboczu; gnębił go lekki niepokój co do skutków podejmowanej wyprawy; bo ostatecznie Colombe może mu nie wybaczyć, iż dokonał napaści na jej ojca, zwłaszcza gdyby w walce doszło do jakiegoś nieszczęścia, a wtedy zamiast przybliżyć się do niej, znajdzie się jeszcze dalej.

Scorzona, na wpół uradowana, na wpół niespokojna, z jednej strony się śmiała, z drugiej zaś płakała; zmiana i walka odpowiadały jej, lecz nie odpowiadały pchnięcia i rany; przygotowania do bitwy przyprawiały o wesołość figlarce, skutki zmagania wprawiały w drżenie kobietę,

Benvenuto ujrzał ją taką właśnie, zapłakaną i roześmianą jednocześnie; podszedł ku niej i rzekł:

— Ty zostaniesz w domu, Katarzyno, razem z Rubertą, i przygotujecie szarpie dla rannych i dobrą wieczerzę dla zdrowych.

— Och, nie, nie! — zawołała Scorzoria. — Pójdę z wami, mistrzu! Przy tobie nie boję się nawet przewota i jego sługusów, ale sama, tylko z Rubertą, umrę z niepokoju i strachu.

— O, co to, to nie, na to się nie zgadzam — odparł Benvenuto — zbytnio bym się niepokoił myślą, że mogłoby ci się przydarzyć coś złego. Czekaając, drogie dziecko, będziesz się za nas modliła.

— Posłuchaj, mistrzu..—odezwała się dziewczyna, jakby ją myśl jakaś oświeciła — pojmujesz, że nie zniosłabym, gdyby przyszło mi tu siedzieć, podczas gdy ty byś tam był, może ranny. Ale jest sposób, żeby wszystko pogodzić: zamiast modlić się w pracowni, pójdę do kościoła położonego najbliżej miejsca walki. W ten sposób nic mi nie będzie groziło i natychmiast się dowiem zarówno o zwycięstwie, jak i o porażce.

— Niech i tak będzie — zgodził się Benvenuto. — I tak zresztą nie pójdziemy zabijać innych albo ginąć sami, nie wysłuchawszy przedtem mszy. A więc postanowione: idziemy do kościoła Augustianów, najbliższego zamku Nesle, i tam cię zostawimy, moja mała.

Skoro to zostało ustalone, a przygotowania dobiegły końca, każdy łyknął po kielichu wina burgundzkiego. Do broni ofensywnej i defensywnej dodano jeszcze młoty, szczypcy, drabiny i sznury, po czym wszyscy odmaszerowali, nie zbrojną grupą jednak, lecz po dwóch i w dość dużej odległości, aby nie ściągać na siebie uwagi.

Nie znaczy to, że w tamtych czasach nieoczekiwany atak był czymś rzadziej spotykanym niż dzisiaj zamieszki lub zmianą ministra; atoli prawdę powiedziawszy, na ogół nie wybierano niedzieli ani pory południowej, by się oddawać tego rodzaju rozrywkom, i trzeba było zuchwałości Benvenuta Celliniego popartej jeszcze poczuciem, iż jest w swoim prawie, żeby się na taką próbę odważyć.

Kolejno tedy nasi bohaterowie doszli do kościoła Augustianów, a złożwszy broń i narzędzia u zakrystiana, znajomka Szymona Mańkuta, udali się, by pobożnie wysłuchać mszy i prosić Boga o pomoc w wyekspediowaniu na tamten świat jak największej liczby micjskich pachółków.

Należy tu jednak powiedzieć, że mimo powagi sytuacji, mimo wielkiej pobożności i znaczenia modłów, jakie miał zanieść do Boga, Benvenuto, zaledwie wszedł do kościoła, przejawiać jął wielkie roztargnienie; a to dlatego, że nieco z tyłu, w przeciwległej nawie, czytała iluminowany modlitewnik dziewczyna o tak cudnym licu, że doprawdy zakłóciłaby skupienie świętego, więc tym bardziej rzeźbiarza. W takich okolicznościach artysta niesłychanie przeszkadza chrześcijaninowi, Toteż, pocziwy Cellini nie mógł się powstrzymać, by się nie podzielić z kimś swoim podziwem, a jako że znajdującą się po jego lewej stronie. Katarzyna z pewnością, zbyt surowo by potraktowała roztargnienie mistrza, Cellini odwrócił się do Ascania, stojącego po prawicy, z zamiarem pokazania mu owej uroczej dziewiczej główki.

Ale tego czynić wcale nie musiał: gdy tylko młodzieniec wszedł do kościoła, utkwiał wzrok w dziewczynie i już go ani na chwilę nie odwrócił.

Benvenuto ujrzawszy, że czeladnik oddaje się takiej samej kontemplacji, trącił go tylko łokciem.

— Tak, to Colombe — rzekł Ascanio — Prawda, mistrzu, jaka ona piękna?

Była to istotnie Colombe, której ojciec, nie spodziewając się ataku w samo południe, pozwolił, nie bez trudności zresztą, iść się pomodlić do augustianów. Colombe bardzo przy tym obstawała, była to bowiem jedyna dla niej pociecha. U swego boku miała jejmość Perrine. — a cóż to za Colombe? — zapytał całkiem naturalnie Benvenuto.

— Och, to prawda, nie znacie jej, mistrzu. To córką przewota, imć pana Roberta d'Estouteville. Prawda, że piękna? — spytał po raz wtóry.

— Nie, nie — zaoponował Benvenuto~ to nie jest Colombe. Widzisz Ascanio, to Hebe, bogini młodości, Hebe, którą wielki Franciszek Pierwszy u mnie zamówił, Hebe, o jakiej marzę, o jaką prosiłem Boga i która w odpowiedzi na moje modły zstąpiła na ten padół.

I nie spostrzegłszy się, jak dziwną mieszaniną był obraz Hebe czytającej modlitewnik i powierzającej swe serce Jezusowi, Benvenuto dalej wygłaszał hymn ku jej urodzie, modląc się

równocześnie i układając wojenne plany: złotnik, katolik i strateg panowali kolejno nad jego myślą.

— Ojczy nasz, któryś jest w niebie... Patrz, Ascanio, jaki delikatny i subtelny profil twarzy! Święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, jako w niebie tak i na ziemi... Jakie urocze kształty ma falista linia jej ciała! Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... I powiadasz, że to urocze dziewczę jest córką tego łajdaka przewota, którego własnoręcznie zamierzam zabić? I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym Winowajcom... Choćbym miał zamek; podpalić, zrobię to, Amen!

I Benvenuto przeżegnał się; nie mając wątpliwości, że wygłosił doskonałe kazanie niedzielne.

Msza dobiegła końca pośród takich właśnie różnorodnych zajęć, które człowiekowi z innej epoki i o innej naturze mogłyby się wydać nieco zbyt świeckie, ale były całkowicie naturalne u kogoś tak porywczego jak Cellini i w czasach, gdy Klemens Marot składał wytwornym wierszem siedem psalmów pokutnych.

Kiedy rozległo się „Ite missa est”. B'envenuto i Katarzyna uścisnęli sobie dłonie. Dziewczyna otarła łzę i została na swoim miejscu, gdzie miała czekać na wynik walki. Cellini i Ascanio zaś, ze wzrokiem utkwionym w Colombe, która nie podniosła oczu znad modlitewnika, podeszli, a za nimi ich kompani, do misy z wodą święconą; następnie rozdzielili się, by na powrót się połączyć w ślepej uliczce położonej mniej więcej w połowie drogi między kościołem i zamkiem Nesle.

Katarzyna, jak ustalono, została na sumie, tak samo Colombe i jejmość Perrine, które po prostu przyszły wcześniej i pierwszej mszy wysłuchały jako przygotowania do mszy uroczystej; nie przypuszczały zresztą, że B.envenuto i jego czeladnicy lada chwila odetną im drogę do tak nieopatrznie opuszczonego domu.



## ROZDZIAŁ IX

### NIEOCZEKIWANA NAPAŚĆ

Nadeszła, decydująca chwila. Benvenuto podzielił swoich dziesięciu ludzi na dwie grupy: jedna miała podjąć wszelkimi możliwymi sposobami próbę sforsowania bramy zamku, zadaniem drugiej była ochrona działań pierwszej i trzymanie z dala od murów strzałami z arkebuzów lub szpadą obleganych, gdyby się pojawili na blankach albo próbowali wypadu. Benvenuto osobiście objął dowództwo nad drugą grupą, swoim zastępcą mianując Ascania; na czele pierwszej grupy postawił naszego starego znajomego, Hermana, owego poczciwego i dzielnego Niemca, potrafiącego żelazną sztabę spłaszczyć jednym uderzeniem młota i powalić człowieka jednym ciosem pięści. Herman wziął sobie do pomocy małego Jehana, piętnastoletniego huncwota, zwinnego jak wiewiórka, złośliwego jak małpka i zuchwałego jak paż, którego Goliat darzył wielką przyjaźnią, niewątpliwie dlatego, że filuterny chłopiec nieustannie dokuczał poczciwemu Germanowi. Mały Jehan stanął tedy dumnie u boku swego dowódcy, co wielce rozgniewało Pagola, w podwójnym pancerzu sztywnością ruchów niewiele się różniącego od posągu Komandora.

Dokonawszy rozdziału ról i ostatniego przeglądu broni i żołnierzy. Benvenuto skierował jeszcze kilka słów do dzielnych ludzi, którzy tak chętnie ruszali dla niego ku niebezpieczeństwu, a może i śmierci; po czym uściśnął każdemu dłoń, przeżegnał się pobożnie i zawołał: „Naprzód!” Obydwie grupy natychmiast ruszyły wzdłuż ulicy des Augustins, pustej o tej godzinie i w tym miejscu, i trzymając się cały czas w pewnej od siebie odległości, po krótkiej chwili dotarły do zamku Nesle.

Wtedy Benvenuto, nie chcąc atakować wroga nie dopełniwszy uprzednio wszelkich; reguł rycerskości stosowanych' w takich razach, z białą chusteczką na czubku szpady podszedł sam do furtki zamkowej, przed którą stanął już poprzedniego dnia, i zastukał. Jak w przeddzień przez zakratowane okno zapytano go, czego sobie życzy. Benvenuto powtórzył ten sam ceremoniał mówiąc, iż przybywa objąć w posiadanie zamek ofiarowany mu przez króla. Nie dopisało mu jednak szczęście, albowiem tym razem nie zaszczycono go nawet odpowiedzią.

Wówczas głosem donośnym i stanowczym, stojąc twarzą do furty, rzekł:

— Ja, Benvenuto Cellini, złotnik, rzeźbiarz, malarz, inżynier i mechanik. powiadamiam ciebie, Roberta d'Estouteville pana na Villebon, prewota Paryża, że jego królewska mość Franciszek Pierwszy, bez przymusu i będąc w swoim prawie, podarował mi na własność dom Grand-Nesle. A jako że masz czelność go przetrzymywać, i wbrew królewskiej woli odmawiasz oddania mi go, przeto oświadczam ci, Robercie d'Estou-teville, panie na Villebon, prewocie Paryża, że przybywam, aby dom zabrać siłą. Broń się tedy, a jeśli twoja odmowa sprowadzi jakieś nieszczęście, wiedz, że ty będziesz za to odpowiadał na ziemi i w niebie, przed ludźmi i przed Bogiem;

Benvenuto przerwał, czekając; za murami jednak panowała cisza. Nabił tedy arkebuz i rozkazał swoim ludziom przygotować oręż; zebrawszy następnie dowództwo na naradę, to znaczy Hermana, Ascania i Jehana. rzekł:

— Sami widzicie, moje dzieci, nie da rady uniknąć walki, Jak się do tego zabierzemy?

— Ja wyważę bramę.— odezwał się Herman — a wy pójdziecie za mną, ot co.

— Czym wyważysz, mój ty Samsonie? — spytał Cellini.

Herman rozejrzał się wokół i na ulicy spostrzegł belkę, którą czterech normalnych mężczyzn z trudem by podniosło.

— Tą belką — rzekł.

I ze spokojem podszedł do belki, ujął ją pod pachę, ulokował niczym taran w maszynie, po czym wrócił do swojego wodza.

Tymczasem zaczynał się gromadzić tłum i Benvenuto. podniecony obecnością gapiów, miał wydać rozkaz, by ruszono do ataku, kiedy naraz kapitan łuczników królewskich, uprzedzony z pewnością przez jakiegoś konserwatywnego mieszczanina, pojawił się na zakręcie ulicy w towarzystwie pięciu czy sześciu konnych. Kapitan, ów był przyjacielem przewoźnika i choć z pewnością wiedział, w czym rzecz, zbliżył się do Benvenuto żywiąc nadzieję niewątpliwie, iż go onieśmieli, i podczas gdy jego ludzie zastępowali Hermanowi drogę, on rzekł:

— Czego chcecie i dlaczego zakłóacie spokój w mieście?

— Człowiekiem, który naprawdę zakłóca spokój --odparł Benvenuto — jest ten, Wio się sprzeciwia królewskim rozkazom, a nie ten, kto je wykonuje.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał kapitan.

— Oto akt jego królewskiej mości, w należytej formie wystawiony przez pana de Neufville, sekretarza finansów, akt darowizny zamku Grand-Nesle. Wszelako zamknięci tam ludzie odmawiają uznaniu tego aktu, a co za tym idzie, pozbawiają mnie mojej własności. Tak czy owak jednak uważam, że skoro Biblia mówi, iż co cesarskie należy oddać cesarzowi, Benvenuto Cellini ma prawo zabrać, co należy do Benvenuto Celliniego.

— Ech, zamiast przeszkadzać nam w zdobyciu naszego zamku, lepiej byście nam pomogli, panie — zawołał Pagolo.

— Milcz, łobuzie— rzekł Benvenuto, tupiąc nogą — nie potrzebuję niczyjej pomocy, słyszysz?

— Prawnie masz słuszość panie — odezwał się kapitan — ale faktycznie jesteś w błędzie.

— Jakże to?— zdziwił się Cellini, czując że krew mu zaczyna uderzać do głowy.

— Masz słuszość, chcąc wejść w posiadanie swojej własności, ale jesteś w błędzie, pragnąc uczynić to w ten sposób;nic dobrego z tego bowiem nie. wyniknie, powiadam ci. gdy szpada będziesz zdobywał mury Jeśli wolno dać ci radę, przyjacielską radę, to wierz mi, panie Benvenuto, winienes się zwrócić do sądu i wnieść skargę na przykład do przewoźnika Paryża. Żegnaj tedy i powodzenia '

I kapitan królewskich łuczników odjechał z szyderczym śmiechem;co sprawiło, że gapiów na widok drwin władzy również ogarnęła wesołość.

— Ten się dobrze śmieje, kto się śmieje ostatni — rzekł Cellini. — Naprzód, Herman! Naprzód!

Herman podniósł belkę i podczas gdy Cellini, Ascanio i że trzech jeszcze co zręczniejszych strzelców z arkebuzem w ręku stali gotowi ostrzelać mury, on niczym żywa katapulta zbliżył się do furty, którą uznano za łatwiejszą do wyważenia niż bramę.

Kiedy się jednak znalazł blisko murów, nagle runęła z góry lawina głazów, przy czym nikogo nie było widać, prewot bowiem rozkazał poukładać kamienie na samym szczycie szańców, niby drugi mur postawiony na pierwszym, i teraz wystarczyło tylko pchnąć je palcem, żeby spadając zmiażdżyły oblegających.

Napastnicy, widząc syjącą się na nich lawinę, odstepili o krok. I choć taka obrona całkiem ich zaskoczyła, nikt nie został poturbowany oprócz Pagola, który obciążony, podwójnym pancerzem nie zdołał się usunąć tak szybko jak inni i kamień trafił go w piętę.

Herman zaś nie bardziej się przejął deszczem kamyków niż dąb gradem i dalej zmierzał ku furcie, a ustawivszy się odpowiednio, zaczął tak w nią walić, że oczywiste się stało/iż brama, choć mocna, długo tych uderzeń nie wytrzyma.

Benvenuto z resztą ludzi stali tymczasem z arkebuzem w dłoni, gotowi strzelać do każdego, kto by się pojawił na murach; nikt się jednak nie pojawiał. Zdawało się, że Grand-Nesle broni niewidzialna załoga. Benvenuto do pasji doprowadzało, iż nie może przyjść z pomocą dzielnemu Niemcowi. Ale oto naraz wzrok jego padł na starą wieżę Nesle, która, jak już powiedziano, stała po drugiej stronie ulicy i samotnie moczyła fundamenty w Sekwanie.

— Zaczekaj, Herman — krzyknął Cellini —zaczekaj, chłopcze, zamek jest nasz, jakem Cellini.

I gestem nakazując Ascaniowi oraz jego dwóm kompanom, by za nim ruszyli, pobiegł w kierunku wieży, Herman zaś; posłuszny rozkazowi mistrza, cofnął się o cztery kroki i stawiając belkę niczym szwajcar bardę, czekał poza zasięgiem kamieni na skutki obietnicy swego wodza.

W rzeczy samej, jak Benvenuto przypuszczał, prewot zapomniał obsadzić wieżę: bez oporu ją tedy złotnik zajął: przeskakując po cztery stopnie, w jednej chwili znalazł się na tarasie; taras ów górował nad, murami Grand-Nesle niczym dzwonnica nad miastem, tak że oblężeni, dopiero co skryci za murami, raptem zostali odsłonięci.

Huk strzału z arkebuz, gwizd kuli, padający z hukiem strażnik uświadomiły prewotowi, że według wszelkiego prawdopodobieństwa stan rzeczy lada chwila się zmieni.

Równocześnie Herman, pojmując, że będzie oto miał swobodę działania, znów podniósł belkę i jął na nowo walić w bramę, którą oblężeni zdążyli podczas tego niby zawieszenia broni podeprzeć.

Co się tyczy gapiów, to cudownym instynktem samozachowawczym, jaki tłum posiada, zrozumiawszy, że dojdzie do strzelaniny i że widzowie bliskiej już tragedii narazić się mogą na krwawe obrażenia, po strzale Benvenuta z arkebuz i po krzyku wydanym przez ranionego pachołka rozpięzchli się niczym stado gołębi.

Została tylko jedna osoba.

Osobą tą był nasz dobry znajomy, Jakub— Aubry, student, który w nadziei, że rozegra partię w piłami, zjawił się na spotkanie wyznaczone poprzedniej niedzieli przez Ascania.

Wystarczyło, że rzucił okiem na pole walki, a w jednej chwili pojął, w czym rzecz,

Znając charakter Jakuba, możemy nie mieć cienia wątpliwości co do decyzji, jaką podjął. Grać w piłkę czy w arkebuz, to przecież wszystko gra; domyślając się, że swych przyjaciół winien szukać wśród napastników, natychmiast się do nich przyłączył.

— Cóż to, moje dzieci? — rzekł podchodząc do grupki czekającej, aż brama zostanie wyważona! by się rzucić do warowni. — Oblężonko sobie tu robimy? Do kroćset! To nie szopa i ciężkie macie przed sobą zadanie, zważywszy, że ludzi mało, a forteca silna.

— Nie jesteśmy sami — odezwał się Pagolo zajęty bandażowaniem pięty, wskazując dłonią Benvenuto i jego trzech czy czterech kompanów, którzy tak gęsto ostrzeliwali mury, że kamienie spadały nieskończenie rzadziej niż na początku.

— Rozumiem, rozumiem, wielmożny panie Achillesie — przytaknął Jakub Aubry — bo masz, mój panie, oprócz masy innych podobieństw, w które nie wątpię, to jeszcze, żeś w to samo miejsce ranion. Rozumiem; o; proszę, oto mój kompan Ascanio, a obok pewnie sam mistrz, tam, na szczycie wieży.

— Zgadza się — rzekł Pagolo.

— A ten, co tak wali w bramę, to także wasz człowiek, co?

— To Herman — z dumą w głosie oznajmił mały Jehan.

— Do kroćset! Dobrze sobie radzi! — przyznał student; — Muszę mu powinszować.

I z rękami w kieszeniach, zupełnie się nie przejmując kulami gwizdzącymi mu nad głową, podszedł do dzielnego Niemca, który trudził się nadal z miarowością maszyny wprawionej w ruch przez doskonały mechanizm.

— Potrzebujesz czegoś, drogi Goliacie? — spytał Aubry. — Oddaję się na twoje usługi.

— Chce mi się pić — rzekł Hernian nie przerywając.

— Do kroćset!. Nic dziwnego, wszak wściekle, pracujesz, i chciałbym tu mieć dla ciebie beczułkę piwa.

— Wody! — wydyszał na to Herman. — Wody!

— Zadowolisz się takim napitkiem? Doskonale. Jest rzeka, to i, za minutę będziesz obsłużony.

Jakoż ruszył biegiem do Śekwany, napełnił wodą czapkę i przyniósł -ją Niemcowi. Herman odłożył belkę, duszkiem wypił całą wodę i oddając studentowi pustą czapkę, rzekł:

— Dziękuję — po czym na nowo ujął belkę i wrócił do swego zajęcia.

Po krótkiej chwili powiedział:

— Powiadom mistrza, że widać postępy, niech będzie gotów.

Aubry poszedł w stronę wieży i zaraz był przy Ascaniu i Benvenucie, którzy z arkebuzów tak gęsto strzelali, że wykluczyli już z walki dwóch czy trzech ludzi. Strażnicy imć pana prewota dobrze się teraz zastanawiali, zanim weszli na mury.

Wszelako, zgodnie z wiadomością podaną przez Hermana, brama mogła lada chwila ustąpić, prewot postanowił tedy spróbować jeszcze jednego wysiłku i tak zagrzał do walki swoich ludzi, że znów posypał się z murów grad kamieni; niemal natychmiast padły jednak dwa strzały z arkebuzów studząc zapał obleganych, którzy mimo napomnień i obietnic poczynionych przez imć pana Roberta, przycupnęli w ukryciu: co widząc, prewot sam ujął w ręce olbrzymi kamień i gotował się spuścić go na Hermana.

Benvenuto nie był wszelako człowiekiem, który by się dał zaskoczyć. Zaledwie ujrzał, że ktoś niebacznie wychynął tam, gdzie nikt się już nie śmiał pojawić, podniósł arkebuz do ramienia; i byłoby już po imć panie Robercie, gdyby w chwili, kiedy Cellini miał nacisnąć na spust, Ascanio nie krzyknął i dłonią nie podbił luty: broń wystrzeliła w powietrze. Ascanio bowiem poznał ojca Colombe..

W momencie, gdy wściekły Benvenuto miał zażądać od Ascania wyjaśnienia jego postępków, kamień, z całej siły ciśnięty przez prewota, spadł prosto na hełm Hermana, jakakolwiek była siła nowożytnego Tytana, nie zdołał się oprzeć temu Pelionowi; wypuścił z rąk belkę, rozłożył

ramiona, jakby szukał oparcia, a nie znalazłszy żadnego, ze straszliwym łoskotem runął zemdlony.

Oblegani i oblegający wydali jednocześnie donośny krzyki mały Jehan z kilkoma kompanami znajdującymi się w pobliżu rzucili się do Hermana, by go odciągnąć od murów i udzielić mu pomocy; lecz równocześnie otworzyły się obydwie bramy zamku i przewot na czele piętnastu pachołków ruszył na rannego, sam się narażając, kłując i rąbiąc szpadą na równi ze swymi ludźmi, tak że Jehan i jego trzech towarzysze, mimo zachęcających okrzyków Benvenuta wołającego, by się trzymali, gdyż biegnie im z odsieczą, musieli się cofnąć. Prewot wykorzystał tę chwilę: ośmiu ludzi chwyciło zemdlonego Hermana, jedni pod ramiona, inni za nogi, siedmiu zaś stanęło na przedzie, by osłaniać odwrót, i podczas gdy Cellini, Ascanio, Aubry i reszta ich towarzyszy zbiegali z czterech czy pięciu pięter wieży dzielących taras od ulicy, Herman i niosący go ludzie zniknęli w Grand-Nesle, a kiedy Cellini z arkebuzem w ręku stanął w bramie wieży, brama zamku już się zamykała za ostatnim strażnikiem przewota.

Nie dało się ukryć, że była to porażka, i to porażka nie byle jaka. Cellini, Ascanio i ich towarzysze wyłączyli wprawdzie z walki kilku obłożonych, atoli strata tych paru ludzi była dla przewota niczym w porównaniu z tym, czym dla Celliniego stało się porwanie Hermana.

Oblegających na chwilę opanowało zdumienie.

Naraz Cellini i Ascanio spojrzeli po sobie.

— Mam pomysł — rzekł Cellini patrząc na lewo, to znaczy w kierunku miasta.

— Ja też — powiedział Ascanio zerkając na prawo, czyli w kierunku pól.

— Znalazłem sposób wywabienia z zamku załogi.

— Jeśli wy, mistrzu, wywabicie załogę, ja mam sposób na otwarcie . bramy.

— Ilu ludzi potrzebujesz?

— Jeden mi wystarczy.

— Wybieraj.

— Jakubie — zwrócił się Ascanio do Aubry'ego — chcesz ze mną iść?

— Choćby na koniec świata, drogi przyjacielu, choćby na koniec świata. Rad bym jednak mieć przy sobie jakąś broń, powiedzmy ułomek szpady czy kawałek sztyletu, ot, cztery, pięć cali żelaza, żeby je gdzieś wbić, gdyby się nadarzyła okazja.

— Zabierz więc — rzekł Ascanio — szpadę Pagola, zważywszy, że nie może się już nią posługiwać, bo prawą ręką trzyma się za piętę, a lewą się żegna.

— A żebyś był w pełni uzbrojony — dodał Cellini — oto mój sztylet. Zadawaj nim ciosy, młodzieńcze, nie zapomnij go jednak wyjąć z rany, bo zbyt piękny byłby to podarek dla ranionego, jako że sam go rzeźbiłem i rękojeść jak nic warta jest sto złotych skudów.

— A ostrze? — spytał Aubry. — Rękojeść niewątpliwie, jest wiele warta, ale w tych okolicznościach cenię sobie zwłaszcza ostrze.

— Ostrze jest bezcenne — odparł Benvenuto, — Nim właśnie zabiłem mordercę mojego brata.

— Wiwat! — zawołał student. --Ascanio, ruszajmy!

— Gotowym — rzekł Ascanio. opasując się kilkoma sążniami sznura i na ramię zarzucając drabinę.

Po czym dwaj śmiałkowie przeszli około stu kroków, ulicą, skęcili w lewo i zniknęli za rogiem murów Grand-Nesle.

Zostawmy teraz Ascania a przyjrzyjmy się działaniom Celliniego.

Kiedy spoglądał na lewo, czyli w kierunku miasta — podczas gdy Ascanio, jak powiedziano, zerkał na prawo, a więc w stronę pól — patrzył na sporą grupkę gawiedzi trzymającą się w pewnej odległości i zdało mu się, że rozpoznaje tam dwie kobiety: córkę prewota i jej opiekunkę.

Była to w rzeczy samej Colombe i jejmość Perrine, które po mszy wracały do Petit-Nesle i przerażone tym, co powiadano o oblężeniu zamku, oraz tym, co widziały na własne oczy, stanęły drżące w tłumie.

Lecz zaledwie Colombe się zorientowała, że między walczącymi nastąpiło chwilowe zawieszenie broni zostawiające jej wolną drogę, mimo próśb jejmości Perrine, która ją błagała, by nie wchodziła na teren walki. Colombe, pchana niepokojem o ojca, postąpiła zdecydowanie w stronę zamku, pozostawiając jejmości Perrine całkowitą swobodę pójścia za nią lub pozostania na miejscu; w głębi duszy jednak jejmość Perrine czule kochała Colombe, więc choć przerażona, postanowiła jej towarzyszyć.

Wyszły z tłumu, kiedy Ascanio i Jakub Aubry znikali za rogiem murów.

Plan Berivenuta staje się teraz zrozumiały.

Gdy tylko ujrzał, że obydwie kobiety idą w kierunku zaniku, wyszedł im naprzeciw i dwornie podając ramię Colombe, powiedział:

— Pani, niczego się nie obawiaj, a jeśli zechcesz przyjąć moje ramię, zaprowadzę cię do ojca.

Colombe się zawahała, lecz jejmość Perrine, ujmując drugie ramię Celliniego, które zapomniał jej podać, rzekła:

— Przyjmij to ramię, moja gołąbko, przyjmij, i zgódźmy się na opiekę tego szlachetnego kawalera. Spójrz tylko, pan prewot wychyla się zza murów, na pewno niespokojny o nas.

Colombe wzięła Benvenuta pod ramię i we trójkę podeszli na dwa kroki do bramy.

Cellini tam stanął i przytrzymując mocniej pod ramionami dłonie Colombe i jejmości Perrine, odezwał się donośnym głosem:

— Panie prewocie, twoja córka chce wrócić do domu; żywię nadzieję, iż otworzysz jej bramę, chyba że zechcesz zostawić w rękach wroga tak uroczego zakładnika.

Po wielokroć w ciągu ostatnich dwóch godzin prewot, ukryty za murami, myślał o córce, której nieopatrznie pozwolił wyjść, a teraz nie bardzo wiedział, jak ją wpuścić. Miał nadzieję, iż na czas uprzedzona.

pomyśli o Grand-Chatelet i tam zaczeka, kiedy naraz ujrzał, że Cellini odchodzi od swych towarzyszy i zbliża się do dwóch niewiast — rozpoznał w nich Colombe i jejmość Perrine.

— Ależ ona głupia! — wymamrotał pod nosem. — Lecz nie mogę jej przecież zostawić wśród tych bezbożników.

I otwierając okienko w bramie i przystawiając twarz do kraty, głośniejszym głosem rzekł:

— A czegoż to żądasz, waść?

— Oto co proponuję — odparł Benvenuto. — Pozwolę wejść panience Colombe i jej opiekunce, ale ty, panie, wyjdiesz ze swoimi ludźmi i będziemy walczyć poza zamkiem i bez osłony, kto wytrwa na polu walki, dostanie zamek, pokonani zaś sami sobie będą winni! *Vae victis*, jak mawiał twój ziomek Brennus.

— Zgoda, ale pod jednym warunkiem — przystał prewot..

— Jakim?

— Odsuniesz się, mości Benvenuto, ze swoimi ludźmi, żeby córka moja miała czas wejść do zamku, a moi pachołkowie wyjść.

— Niech i tak będzie! — rzekł Cellini. — Ale wy najpierw wyjdźcie, panna Colombe wejdzie później. Gdy już się znajdzie za bramą, wówczas żeby sobie odciąć odwrót, rzucisz, panie, klucz za mury.

— Zgoda — przystał prewot.

— Słowo?

— Słowo szlachcica! A twoje?

— Słowo Benvenuta Celliniego.

Po tej wymianie przysięg otworzyła się brama; ludzie prewota wyszli i ustawili się przed bramą w dwóch rzędach z imć panem Robertem na czele. Było ich jeszcze dziewiętnastu. Benvenuto zaś, pozbawiony Ascania, Hermana i Jakuba Aubry, miał tylko ośmiu ludzi, a i to Szymon Mańkut był raniony, szczęściem w prawą rękę; Cellini nie należał jednak do tych, co rachują wrogów, on, który napadł na Pompea otoczonego tuzinem zbirów. Z radością dotrzymał tedy przyrzeczenia, bo niczego bardziej nie pragnął, jak otwartej i decydującej walki.

— Możesz teraz wejść, panno d'Estouteville — rzekł do uroczej branki. Colombe przebiegła przestrzeń dzielącą obydwie obozy i przerażona rzuciła się ojcu w ramiona.

— Ojcze! Ojcze! Na Boga! Nie narażaj się! — zawołała z płaczem.

— Dostyć tego, wejź! — rzekł szorstko prewot ujmując ją za rękę i prowadząc ku bramie. — Przez twoją głupotę do tego doszło.

Colombe weszła, a za nią jejmość Perrine, której przerażenie nie przypięło wprawdzie skrzydeł, jak jej ślicznej towarzysze, ale przywróciło szybkość w nogach, choć sądziła, że straciła ją już przed dziesięciu laty.

Prewot zamknął za nimi bramę.

— Klucz! Klucz! — przypomniał Cellini,

Wierny danemu słowu, prewot wyjął klucz z zamka przerzucił go przez mury na dziedziniec zamkowy.

— A teraz — wykrzyknął Benvenuto rzucając się na prewota i jego drużynę — każdy robi swoje. Bóg baczy na wszystkich.

Wszczął się wtedy okrutny zamęt, bo zanim pachołcy zdążyli, opuścić strzelby i dać ognia, Benvenuto ze swoimi siedmioma robotnikami spadł między nich, siekąc na prawo i lewo straszliwą szpadą, którą tak doskonale władał, a która, przez niego samego hartowana, niewiele napotykała kolczug i pancerzy zdolnych się jej oprzeć. Strażnicy odrzucili przeto precz zbędne teraz arkebuzy, wyciągnęli szpady i jęli również dzielnie nimi robić: Ale mimo liczby, mimo siły, w jednej chwili rozproszyli się po placu walki, a dwóch czy trzech najdzielniejszych, tak zranionych, że nie mogli dalej walczyć, musiało się wycofać.

Prewot dostrzegł niebezpieczeństwo, a jako że był to człek dzielny, w swoim czasie odnoszący, jak już powiedziano, triumfy wojenne, rzucił się ku owemu przerażającemu Celliniemu. przed którym ustępował kto żyw.

— Do mnie! — zawołał. — Do mnie, niecny łotrze! Niech wszystko się zważy między nami! Dalej!

— Na honor!. Niczego bardziej nie pragnę, mości Robercie — odparł Benvenuto. — Racz powiedzieć swoim, żeby nam nie przeszkadzali, a jestem do usług.

— Trzymajcie się z dala! — rozkazał prewot.

— Niech nikt się nie rusza! — krzyknął Cellini.

I walczący zamarli na swoich miejscach w milczeniu, niczym owi wojownicy Homera, którzy przerywali walkę, by nic nie stracić ze zmagania dwóch sławnych wodzów.

Wtedy prewot i Cellini, z obnażonymi szpadami w dłoni, rzucili się na siebie.

Prewot zręcznie władał bronią, ale Cellini szermierzem był znakomitym. Od dziesięciu czy dwunastu lat prewot nie miał okazji dobyć szpady z pochwy. Benvenuto przeciwnie, od dziesięciu czy dwunastu lat nic przeżył jednego chyba dnia, żeby nie skrzyżować z kimś szpady. Po pierwszych wypadach prewot, który zbyt sobie ufał, spostrzegł przewagę przeciwnika.

Inna rzecz, że i Benvenuto, natykając się na opór, jakiego się po urzędniku nie spodziewał, rozwijał całą swoją energię, szybkość i przebiegłość. Cudowny to był widok, gdy jego szpada, podobna rozszczępiemu na troje językowi węzła, mierzyła jednocześnie w głowę i serce, przeskakując z miejsca w miejsce, ledwie pozostawiając adwersarzowi czas na odparowanie i nie pozwalając na zadanie ciosu. Toteż prewot, pojawiwszy, że ma do czynienia z silniejszym od siebie, zaczął się uginać, broniąc się nadal co prawda, ale ustępując terenu. Na swoje nieszczęście imię pan Robert plecy miał rwrócone ku murom, tak że po kilku krokach oparł się o bramę, której instynktownie szukał, choć pamiętał przecie, że klucz przerzucił na drugą stronę.

Znalazłszy się tam, poczuł, że jest zgubiony; toteż niczym odyniec osaczony przez ogary, zebrał wszystkie siły i zadał kilka tak szybkich pchnięć, że teraz z kolei Benvenuto musiał parować; i oto zbyt późno, złożył się do parady, przez co szpada przeciwnika drasnęła go w ramię mimo doskonałej kolczugi; wszelako jak raniony lew, który pragnie szybkiej zemsty, ledwie Benvenuto poczuł ostrze w ciele, zebrał się w sobie i byłby straszliwym pchnięciem przedziurawił prewota na wylot, gdyby w tej właśnie chwili furta się nie otworzyła, a imię pan Robert nie upadł na plecy, szpada zaś trafiła w, tego kto go uratował otwierając tak nieoczekiwanie bramę.

Przeciwnie jednak do naszych domniemań, raniony zachował milczenie, Benvenuto zaś wydał przerażający okrzyk. W człowieku, którego zranił, rozpoznał Ascania.

Nie widział Hermana ani Jakuba Aubry stojących za rannym. Jak oszalały rzucił się młodzieńcowi na szyję, wzrokiem, dłońmi, ustami szukając rany i wołając:

— Zabity! Zabity! I to ja! Ascanio, chłopcze, to ja cię zabiłem! — i ryczał a płakał przy tym, jak chyba rycząci płaczą lwy.

Herman w tym czasie wyciągnął całego i zdrowego prewota spod nóg Ascania i Celliniego i wzięwszy go pod pachę jak dziecko, zaniósł imię pana Roberta do niewielkiej szopy, gdzie Raimbault trzymał narzędzia ogrodnicze, zamknął jej drzwi, dobył szpady i ustawił się tak, by bronić więźnia, gdyby ktokolwiek zamierzał go uwolnić.

Jakub Aubry zaś jednym skokiem przeniósł się z dziedzińca na mury i na znak zwycięstwa wymachując sztyletem, wołał: --Hurra! Hurra! Mamy Grand-Nesle!

Jak doszło do tych doprawdy zadziwiających wydarzeń, czytelnik dowie się w następnym rozdziale.



## ROZDZIAŁ X

### O WYŻSZOŚCI MIAST UFORTYFIKOWANYCH

Zamek Nesle od strony przylegającej do Pre-aux-Clercs był podwójnie chroniony; przez mury i fosę miejską, tak że od tej strony uchodził za niezdobyty. Otóż Ascanio słusznie wywnioskował; że człowiek rzadko pamięta, aby strzec tego, co nie może być zdobyte, toteż postanowił spróbować ataku w punkcie, gdzie wcale o obronie nie pomyślano.

W tym właśnie celu wyruszył z Jakubem Aubry, nie przypuszczając, że w chwili, gdy on zniknął z jednej strony, z drugiej pojawiła się jego ukochana Colombe, dostarczając Benvenutovi sposobu na zmuszenie przewota do wyjścia, co imć pana Roberta napawało taką odrazą.

Wykonanie planu Ascania było ryzykowne; a jego następstwa groźne. Należało przebyć głęboką fosę, wspiąć się na wysokie na dwadzieścia pięć stóp mury, a wreszcie wpaść być może w sam środek nieprzyjaciół. Toteż dopiero kiedy znalazł się na brzegu fosy — a zatem w punkcie początkowym swego przedsięwzięcia — pojął wszystkie trudności, jakie będzie miał ze sforsowaniem jej i realizacją zamierzeń. I choć tak był zdecydowany, zachwiał się w swoim postanowieniu.

Jakub Aubry tymczasem stanął spokojnie dziesięć kroków za przyjacielem, spoglądając kolejno to na mury, to na fosę. Wymierzywszy zaś jedno i drugie na oko, rzekł:

— Ech, mój drogi, bądź łaskaw mi powiedzieć, po jakiego diabła przyprowadziłeś mnie tutaj? Chyba że mamy łapać żaby. Ach, tak! zerkasz na drabinę... Doskonale. Pojmuję. Tylko że twoja drabina ma dwanaście stop, a mury wysokie są na dwadzieścia pięć, fosa zaś szeroka na dziesięć: to daje dwadzieścia trzy stopy różnicy, jeśli się nie mylę.

Ascanio stał chwilę ogłuszony prawdziwością tych obliczeń; naraz klepnął się w czoło.

— Hej, mam pomysł! — zawołał. — Patrz!

— Gdzie?

— Tam! Tam!

— Nie pokazujesz mi pomysłu, tylko dąb — oświadczył student.

W rzeczy samej, olbrzymi dąb wyrastał z ziemi, niemal na zewnętrznym brzegu fosy, i ciekawie zerkał ponad murami na teren posiadłości Nesle.

— Jakże to? Nie pojmujesz? — obruszył się Ascanio.

— Owszem, owszem! Coś mi zaczyna świtać. Tak, to jest to. Pojmuję Dąb i mury tworzą część łuku mostu, który może uzupełnić drabina, ale w dole jest przepaść, bracie i to przepaść pełna błota. Do diabła! Trzeba uważać. Człowiek włożył najlepszy przyodziewek, a tu małżonek mojej Simonne nie bardzo chce dłużej udzielać mi kredytu.

— Pomóż mi ustawić drabinę — powiedział Ascanio — tylko o to cię proszę.

— No pewnie, a ja zostanę na dole — rzekł student. — Piękne dzięki! I obaj uchwyciwszy się równocześnie jednej gałęzi dębu. w kilka chwil znaleźli się na drzewie. Jednocząc siły, wciągnęli drabinę i dotarli z nią do wierzchołka dębu. Znalazłszy się tam, spuścili drabinę niczym most zwodzony i z radością ujrzeni, że podczas gdy jeden jej koniec spoczywa pewnie na grubej gałęzi, drugi wspiera się na szczycie muru wystając poza niego o dobre dwie trzy stopy.

— A co będzie — rzekł Aubry — kiedy już się znajdziemy na murach?

— Cóż, wtedy przyciągniemy do siebie drabinę i po niej zejdziemy.

— Niewątpliwie. Jest tylko jedna trudność: mury mają dwadzieścia pięć stóp wysokości, a drabina tylko dwanaście.

— Przewidziano — oznajmił Ascanio rozwijając sznur, którym był opasany; jeden koniec przywiązał następnie do pnia drzewa, a drugi przerzucił nad murem.

— Och, wielki mężu! Wszystko pojmuję — zawołał Jakub — i szczęśliwym a dumny, mogąc skrócić sobie kark w twojej kompanii.

— Co ty znowu robisz?

— Przechodzę — odparł Aubry, szykując się do pokonania odległości dzielącej go od murów.

— O, nie — sprzeciwił się Ascanio — ja pierwszy..

— Gramy w mokry palec — rzekł Aubry wystawiając dłoń z dwoma palcami wyprostowanymi i trzema zagiętymi.

— Zgoda — przystał Ascanio i dotknął jednego z dwóch otwartych palców studenta,

— Wygrałeś — stwierdził Jakub. — Przechodź, ale spokojnie, na zimno, słyszysz?

— Nie martw się — odparł Ascanio.

I wszedł na powietrzny most. który Jakub Aubry utrzymywał w równowadze obciążając go na końcu: drabina była krucha, lecz śmiałek niewiele ważył, Student ledwie oddychał, miał wrażenie, że Ascanio zawahał się przez chwilę. On jednak przebiegł ostatnie cztery kroki i znalazł się na murach cały i zdrowy. Ale i tam groziło mu jeszcze wielkie niebezpieczeństwo, gdyby dojrzał go ktoś z obłązonych; nie pomylił się wszelakow swych przewidywaniach, a rzuciwszy szybkie spojrzenie do ogrodu zamkowego, zawołał:

— Nikogo tu nic ma!

— A zatem dalejże w tany na sznurze!

I Aubry ruszył wąską i chwiejną ścieżką, podczas gdy Ascanio przytrzymując drabinę, zrewanżował mu się za przysługę. Jakub, nie mniej zręczny i zwinny od swego towarzysza, po chwili znalazł sięobok niego.

Usiedli obaj okrakiem na murze i przyciągnęli do siebie drabinę, następnie przymocowali do niej sznur, drugim końcem mocno przywiązany do dębu, i spuścili ją. po murze dobrze ustawiając, aby stanowiła pewne oparcie; wreszcie Ascanio, który zyskał przywilej dokonywania prób, ujął sznur w obie dłonie i zsunął się po nim aż do drabiny: sekundę później stanął na ziemi.

Jakub równie szczęśliwie poszedł jego śladem i oto dwaj przyjaciele znaleźli się w ogrodzie.

Skoro już tam dotarli, najlepiej było działać szybko. Cała ta operacja zajęła im trochę czasu i Ascanio drżał na myśl, że ich nieobecność działa ze szkodą dla mistrza; dobywając szpady pobiegli przeto w stronę bramy prowadzącej na pierwszy dziedziniec, gdzie powinna była się znajdować załoga, zakładając oczywiście, że nie przeniosła się gdzie indziej. Stanąwszy u bramy, Ascanio przytknął oko do dziurki od klucza i oto ujrzał pusty dziedziniec.

— Benvenutowi się udało! — zawołał. — Załoga wyszła. Zamek jest nasz! — i chciał otworzyć bramę, lecz była zamknięta na klucz.

Zaczęli nią z całej siły szarpać.

— Tędy! Tędy! — ozwał się naraz głos, który przeniknął do głębi serce młodzieńca. — Tędy, panie!

Ascanio się odwrócił i w oknie na przyziemiu zobaczył Colombe. Dwoma susami znalazł się przy niej.

— Ho, ho! — zdziwił się Jakub idąc za nim. — Wygląda na to, że w warowni mamy sprzymierzeńca. No, nic mi o tym nie mówiłeś, mości milczku.

— Och, panie Ascanio, ratuj mojego ojca! — zawołała Colombe, wcale nie zdziwiona, że młodzian się tam znalazł, jakby jego obecność była rzeczą zupełnie naturalną.— Biją się, słyszysz? Tam, za bramą, i to o mnie, z mojego powodu! Och, mój Boże, mój Boże!-Nie pozwól, żeby go zabili!

— Nie kłopotz się, pani — rzekł Ascanio wbiegając do domu mającego wyjście na mały dziedziniec. — Nie kłopotz się, polegaj na mnie.

— Nie kłopotz się, pani — przywtórzyl Jakub Aubry idąc tą samą drogą — nie kłopotz się, polegaj na nas.

Dotarłszy do bramy, Ascanio po raz wtóry usłyszał, że ktoś go woła, choć głos nie był tak słodki jak pierwszy.

— Kto mnie woła? — spytał Ascanio.

— To ja, przyjacielu — powtórzyl ten sam głos z bardzo wyraźnym akcentem germańskim.

— Do diaska! — wykrzyknął Jakub Aubry, — Toć to nasz Goliat! Co u diabła robisz w tym kurniku, wielkoludzie?

Przez małe okienko w szopie rozpoznał bowiem Hermana.

— Nie wiem, jak się tu znalazłem. Odsuńcie rygiel, to wyjdę. Szybko, szybko. Ręka mnie swędzi.

— Proszę bardzo! — rzekł student przystępując do oddania Hermanowi przysługi, o którą prosił.

Ascanio tymczasem podszedł do bramy prowadzącej na ulicę, skąd dobiegał straszliwy szczęk broni. Skoro od walczących dzieliło go już tylko drewno wrót, ogarnął go strach, że ukazując się tak niespodziewanie, wpadnie w ręce wrogów, toteż zerknął najpierw przez zakratowane okienko. I ujrzał na wprost siebie Celliniego, podminowanego, rozjuszonego, zawziętego; pojął tedy, że imć pan Robert jest zgubiony. Podniósł leżący na ziemi klucz, szybko otworzył bramę, myśląc tylko o obietnicy złożonej Colombe, i jak już powiedziano, otrzymał w ramię cios, który, gdyby nie Ascanio, nieuchronnie by przeszył przewota na wylot.

Wiadomo, jaki był ciąg dalszy tego zajścia. Zrozpaczony Benvenuto rzucił się do Ascania; Herman zamknął przewota w więzieniu, które sam właśnie opuścił, a Jakub Aubry wskoczył na mury, gdzie wymachiwał rękami i głosił zwycięstwo.

Zwycięstwo było bowiem całkowite; pachołcy przewota, widząc, że ich pan jest uwięziony, nie próbowali dalej walczyć i złożyli broń.

Robotnicy Benvenuta weszli tedy na dziedziniec Grand-Nesle, będącego odtąd ich własnością, i zawarli za sobą bramę, zostawiając na ulicy pachołków i strażników.

Benvenuto zaś nie brał udziału w tym, co się działo; trzymał cały czas Ascania w ramionach, zdjął mu kolczugę, rozerwał kaftan i wreszcie dostawszy się do rany, ocierał płynącą z niej krew własną chustką.

— Ascanio, chłopcze mój! — powtarzał bez ustanku. — Ranny, ranny z mojej ręki! Co powie na to twoja matka w niebie? Wybacz; Stefano, wybacz. Cierpisz? Odpowiedz: czy moja ręka cię uraża? Czy ta krew nigdy nie przestanie płynąć? Chirurga, szybko!... Pójdzie ktoś wreszcie po chirurga?

Jakub Aubry ruszył pędem.

— To nic, drogi mistrzu, to nic — odparł Ascanio — tylko zadraśnięte ramię. Nie rozpaczajcie tak, mówię przecie, że to nic.

W rzeczy samej chirurg przyprowadzony pięć minut później przez Jakuba oświadczył, że rana, choć głęboka, nie jest groźna, i zaczął nakładać opatrunek.

— Och, jaki ciężar zdejmujesz mi z serca, mości medyku! — rzekł Cellini. — Drogi chłopcze, nie będę zatem twoim mordercą! Ale co ci to, Ascanio? Puls ci szybciej bije, krew uderza do twarzy... Och, mości medyku, trzeba go stąd zabrać, gorączka go opada!

— Nie, nie, mistrzu — zaoponował Ascanio — przeciwnie, jest mi lepiej. Och, zostawcie mnie tutaj, zostawcie, błagam!

— A mój ojciec? — rozległ się naraz za Benvenutem głos, od którego zadrżał. — Coście zrobili z moim ojcem?

Benvenuto odwrócił się i ujrzał Colombe, bladą i nieruchomą, szukającą przewota wzrokiem i równocześnie pytającą o niego.

— Cały i zdrowy, panno Colombe! Cały i zdrowy, dzięki Bogu! — zawołał Ascanio.

— Dzięki temu chłopcu, który przyjął cięcie jemu przeznaczone — rzekł Benvenuto. — Bo musisz waść przyznać, że ten dzielny młodzieńczyk uratował ci życie. Gdzie to się podziałeś, panie Robercie? — zdziwił się Cellini, również się rozglądając za przewotem, którego zniknięcia nie mógł zrozumieć.

— Jest tutaj, mistrzu — odezwał się Herman.

— To znaczy gdzie?

— Tutaj, w więzieniu.

— Och, panie Benvenuto! — zawołała Colombe i pośpieszyła ku szopie, czyniąc gest zarazem błagalny i pełen wyrzutu.

— Otwórz, Herman — rozkazał Cellini.

Herman otworzył i w drzwiach pojawił się przewot, nieco upokorzony niemłą przygodą. Colombe rzuciła mu się w ramiona.

— Och, ojcze! Ojcze! — zawołała. — Czyś nie raniony? Czy nic ci się nie stało? — a mówiąc to spoglądała, na Ascania.

— Nie — odparł przewot swoim szorstkim głosem — nie, dzięki Bogu ! Nic mi się nie stało.

— A czy... czy to prawda, ojcze — spytała z wahaniem Colombe — że ten kawaler..

— Nie mogę zaprzeczyć, że przybył w samą porę.

— Tak, tak — ozwał się Cellini — żeby przyjąć cięcie szpadą tobie przeznaczone, panie przewocie. Tak, panno Colombe — ciągnął — temu to dzielnemu chłopcu zawdzięczasz życie rodzica, a jeśli pan przewot nie poświadczy tego głośno, będzie nie tylko łgarzem, ale i niewdzięcznikiem.

— Nie zapłaci za to zbyt drogo, mam nadzieję — odparła Colombe, rumieniąc się na słowa, które się ośmieliła wypowiedzieć.

— Och, panno Colombe — zawołał Ascanio — całą krwią moją mógłbym to okupić!

— Patrz tylko, mości prewocie — rzekł Cellini — jaką to miłość wzbudzasz w ludziach. No, ale mój Ascanio mógłby zbyt osłabnąć. Opatrunek ma już nałożony, dobrze by tedy było, mniemam, gdyby zażył nieco odpoczynku.

To, co Benvenuto powiedział prewotowi o przysłudze, jaką mu oddał 'raniony, było szczerą prawdą, a jako że prawda w oczy kole, prewot przyznawał w duchu, że zawdzięcza życie Ascaniowi; dość łatwo się z tym pogodził i podchodząc do rannego rzekł:

— Młodzieńcze, oddaję do twojej dyspozycji apartament w moim zamku..

— W twoim zamku, mości Robercie! — odezwał się ze śmiechem Cellini, któremu Wracął dobry, humor, w miarę jak przestawał drżeć o Ascania. — W twoim zamku? Tak bardzo więc chcesz, żeby waśń znów się zaczęła? «

— Co? — wykrzyknął prewot. — Zamierzasz mnie więc z córką stąd wyrzucić, panie Benvenuto?

— Doprawdy nie, panie. Zajmujesz Petit-Nesle, więc go zatrzymaj i będziemy żyć jak dobrzy sąsiedzi. Co się zaś nas tyczy, to wiedz, mości Robercie, że Ascanio zamieszka od tej chwili w Grand-Nesle, gdzie się sprowadzamy jeszcze dzisiaj. A jeśli wolisz wojnę...

— Och, ojczy! — zawołała Colombe.

— Nie; nie, pokój! — rzekł prewot.

— Nie ma pokoju bez warunków pokojowych, mości prewocie — oświadczył Benvenuto.— Bądź przeto łaskaw iść ze mną do Grand-Nesle albo bądź tak uprzejmy i zaprosz mnie do Petit, byśmy spisali traktat.

— Pójdę z tobą, panie.

— Zgoda! — rzekł Cellini.

— Córkę — rzekł do Colombe imć pan d'Estouteville — wróć do siebie, z łaski swojej, i czekaj tam, aż wrócę.

Colombe, mimo tonu, jakim wyrażone zostało polecenie, nadstawiła ojcu czoło do pocałunku, po czym spojrzeniem żegnając wszystkich, aby i Ascanio miał prawo do swej części, odeszła.

Ascanio śledził ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła. A ponieważ teraz nic go już na dziedzińcu nie trzymało, sam poprosił, by mu wolno było odejść. Herman wziął go jak dziecko na ręce i poniósł do Grand-Nesle.

— Na honor, mości Robercie — również ruszając rzekł Benvenuto, który także śledził wzrokiem dziewczynę, dopóki nie zniknęła— wielceś słusznie uczynił, każąc odejść mojej byłej brance i jakem Cellini, dzięki ci za tę przezorność: obecność panny Colombe mogłaby, powiadam ci, zaszkodzić moim interesom, czyniąc mnie zbyt słabym, i sprawić, że zapomniałbym, iż jestem zwycięzcą, a przypominać tylko, że artystą, to znaczy miłośnikiem doskonałych kształtów i boskiej piękności.

Imć pan d'Estouteville odpowiedział na ten komplement niezbyt uprzejmym grymasem; poszedł wszelako za złotnikiem nie okazując otwarcie złego humoru, mamrotał jednak pod nosem jakieś stłumione pogrożki; toteż Cellini, aby go do reszty rozsierdzić, poprosił, by razem obejrżeli jego nowy dom. Zaproszenie wyrażone zostało tak uprzejmie, że nie było sposobu

odmówić. Chcąc nie chcąc iprewot poszedł tedy za sąsiadem, ten zaś mu nie przepuścił żadnego zakątka ogrodu, żadnej komnaty zamku. .

— Wspaniała posiadłość — oświadczył Benvenuto, kiedy skończyli przechadzkę, którą każdy odbył ze zgoła odmiennymi uczuciami. — Teraz pojmuję i wybaczam ci, mości prewocie, twoją niechęć do opuszczenia tego zamku; lecz nie muszę chyba dodawać, że zawsze będziesz jak najmilej widziany, gdy zapragniesz, jak dzisiaj, uczynić mi zaszczyt i odwiedzić mój niegodny dom.

— Zapominasz, panie Benvenuto, że dzisiaj jestem tu jeno po to, aby przyjąć twoje warunki i przedstawić ci swoje. Słucham zatem.

— Jakże, mości Robercie! Ależ to ja jestem na twoje rozkazy. I jeśli pozwolisz, przedstawię ci najpierw moje życzenia, a potem wysłucham twoich.

— Mów, panie.

— Najpierw warunek główny.

— Jaki?

— Oto on:

„Artykuł 1. Pan Robert d'Estouteville, prewot Paryża, uznaje prawa Benvenuta Celliniego do posiadłości Grand-Nesle, oddaje mu ją bez przymusu i zrzeka się jej na zawsze na rzecz jego i jego ludzi.”

— Zgadza się — przystał prewot. — Tylko jeżeli król zapragnie ci odebrać to, co mnie był odebrał, i dać komu innemu, nie będę, rzecz jasna, ponosił za to winy.

— Hmm, za tym musi się coś kryć — powiedział Cellini. — Ale nic to, panie prewocie; potrafię utrzymać to, co zdobyłem. Idźmy dalej.

— Teraz moja kolej — rzekł prewot.

— Słusznie — przyznał Cellini.

„Artykuł 2. Benvenuto Cellini zobowiązuje się nie podejmować żadnych działań przeciwko Petit-Nesle, który jest i będzie własnością Roberta d'Estouteville; co więcej, nie będzie nawet próbował tam wchodzić jako sąsiad i pod pozorami przyjaźni.”

— Niech będzie — zgodził się Benvenuto — choć warunek to niezbyt uprzejmy; jeśli jednak ktoś otworzy mi drzwi, rozumiem się, że nie będę tak niegrzeczny, żeby odmówić wejścia.

— Wydaj stosowne polecenia — oznajmił prewot.

— Co dalej?

— Kontynuuję.

„Artykuł 3. Pierwszy dziedziniec, położony między Grand i Petit-Nesle, będzie wspólny.”

— To aż nadto słuszne — rzekł Benvenuto — i zadośćuczynisz pan doprawdy sprawiedliwości wierząc, że jeśli panna Colombe zechce wyjść, nie uczynię z niej branki.

— Och, bądź spokojny, panie Benvenuto, moja córka będzie wchodziła i wychodziła bramą, którą każę przebić. Chcę sobie tylko zapewnić wjazd dla karet i wozów dostawczych.

— Czy to wszystko? — spytał Benvenuto.

— Tak — odparł imć pan Robert. — Ale, ale — dodał — mam nadzieję, że pozwolisz mi zabrać meble. :

— Słusznie. Tak twoje meble należą do ciebie, jak Grand-Nesle do mnie... I jeszcze, panie prewocie, ostatni punkt traktatu, punkt absolutnie dobrowolny.

— Słucham.

„Artykuł 4 i ostatni. Pan Robert d'Estouteville i Benvenuto Cellini wyzbywają się wszelkiej urazy i ustanawiają między sobą uczciwy i szczerzy pokój.”

— Proszę bardzo — rzekł prewot — o ile tylko nie zobowiązuje mnie to do udzielania pomocy tobie, panie Benvenuto, r występowania prze ciwko tym, co się na ciebie targną. Zgadzam się w drogę ci nie wchodzić, ale nie przyrzekam być względem ciebie uprzejmy.

— Jeśli o to chodzi, panie prewocie, to dobrze wiesz, że potrafię się sam obronić, czyż nie? Skoro tedy masz tylko taką obiekcję — dodał Cellini podającym pióro— to podpisz, panie prewocie, podpisz.

— Podpisuję — rzekł z westchnieniem prewot. Podpisał i każda ze stron zachowała kopię traktatu.

Potem imć pan d'Estouteville wrócił do Petit-Nesle, spieszo mu bowiem było zbesztać Colombe za jej nieopatrzne wyjście. Colombe spuściła głowę i pozwoliła mu mówić, nie słysząc wszelako niczego z tych łajań, gdyż przez cały czas dręczyło ją jedno tylko pragnienie, a mianowicie zasięgnąć u ojca wieści o Ascaniu. Na próżno się jednak starała — mimo jej wysiłków imię rannego nie mogło mu przejść przez usta.

Tymczasem po drugiej stronie muru odbyło się wprowadzenie do Grand— -Nesle Katarzyny, która niemożebnie rozradowana, rzuciła się Celliniemu w ramiona, uściskała dłoń Ascania, wieszowała Hermanowi, podkpiwa-ła sobie z Pagola, śmiała się, płakała, śpiewała, wypytywała, wszystko naraz; bo i ona przeżyła straszliwe obawy, huk strzałów z arkebuzów dobiegał aż do niej i wieje razy przerywał modlitwę, Ostatecznie jednak wszystko się ułożyło, wszyscy, z wyjątkiem czterech zabitych i trzech rannych, wyszli cali i zdrowi z walki, i Scorzona wybuchami wesołości zdołała obdzielić i zwycięzców, i zwycięstwo.

Kiedy gwar, jaki wzbudziło przybycie Katarzyny, nieco ucichł, Ascanio przypomniał sobie o przyczynie, jaka sprowadziła studenta w samą porę, żeby im przyjść z pomocą, i zwracając się do Benvenuta, rzekł: , — Mistrzu, oto Jakub Aubry, z którym miałem rozegrać dzisiaj partię w piłkę. Uczciwie powiadam, nie jestem w stanie być mu partnerem. Tak mężnie nam jednak pomagał, że ośmielam się prosić, byście mnie zastąpili.

— Z największą chęcią — powiedział Benvenuto — tylko musisz się mocno trzymać, mistrzu Aubry.

— Spróbujemy, spróbujemy, mistrzu.

— Ponieważ jednak potem zasiądziemy do kolacji, winienes wiedzieć,

że zwycięzca będzie musiał wypić dwie butelki wina więcej niż zwyciężony. — Co oznacza, że wyniosą mnie od was, mistrzu Benvenuto, pijanego na umór. Niech żyje radość! To mi odpowiada. O, do diabła! A tu Simonne na mnie czeka! Ech, ja na nią czekałem zeszłej niedzieli, trudno, dzisiaj na nią kolej.

I wzięwszy piłki i rakiety pobiegli do ogrodu.

## ROZDZIAŁ XI

### SOWY, SROKI I SKOWRONKI

Ponieważ tego dnia była niedziela, Benvenuto pograł tylko w piłkę, odświeżył się potem i obejrzał swój nowy dom; nazajutrz jednak zaraz rozpoczęła się przeprowadzka i dzięki pomocy jego dziewięciu robotników dwa dni później została zakończona; trzeciego dnia Benvenuto wrócił do pracy tak spokojnie, jakby nic nie zaszło.

Skoro prewot zdał sobie ostatecznie sprawę z tego, że jest pobity, skoro się dowiedział, że pracownia Benvenuta, robotnicy i wyposażenie są już w Grand-Nesle, znów ogarnął go gniew i jęły trawić myśli o odwecie. Płonął doprawdy żądzą zemsty, kiedy rankiem trzeciego dnia, to znaczy we środę, spotkał się z wicehrabią de Marmagne. Marmagne nie potrafił sobie odmówić próżnej satysfakcji, jaką człowiek lubi się napawać wobec cierpień i porażek przyjaciół, gdy sam jest tchórzem i głupcem.

— A nie mówiłem, drogi panie prewocie? — odezwał się podchodząc do imię pana d'Estouteville.

— A, to ty, wicehrabio. Witam — odparł prewot.

— I co, nie miałem racji?

— Niestety tak! Jak się miewasz?

— Nie mam sobie nic do zarzucenia, przynajmniej w tej przeklętej sprawie: uprzedzałem cię przecie.

— Czy król już wrócił do Luwru?

— Głupstwo, powiadałeś pan: robotnik, człek bez znaczenia, zdziwiłbym się! I zdziwiłeś się, biedny przyjacielu.

— Pytałem, czy jego królewska mość wrócił z Fontainebleau.

— Owszem, i bardzo żałował, że nie zdążył do Paryża w niedzielę, żeby z którejś wieży Luwru widzieć zwycięstwo swojego złotnika nad prewotem.,

— Co mówią na dworze?

— Powiadają, że zostałeś całkowicie rozgromiony.

— Hmm, hmm — chrząknął prewot, którego ta rozmowa zaczynała mocno niecierpliwieć.

— Jakże to, tak sromotnie cię pobił? — ciągnął Marmagne.

— Ależ...

— Zabił ci dwóch ludzi, czy tak?

Zdaje się, że tak.



— Jeśli chcesz kogoś na ich miejsce, mości prewocie, polecam ci dwóch dzielnych Italczyków, skończonych zawadiaków; każą sobie płacić trochę słono, ale to pewni ludzie. Gdybyś ich miał wcześniej, wszystko by się może inaczej potoczyło.

— Zobaczymy: nie mówię nie. Jeśli nie mnie, to przydadzą się może mojemu zięciowi, hrabi d'Orbec.

— Jednakże cokolwiek ludzie mówili, nie mogłem uwierzyć, że ten Cellini zdoła ci osobiście sprawić cięgi,

— Kto tak mówił?

— Wszyscy, Jedni się oburzają jak ja, inni się śmieją jak król.

— Dosyć! To jeszcze nie koniec.

— 'Toteż zrobiłeś błąd, gdy Się powaśniłeś, z tym gburem; i to o co! O taką bzdurę!

— Teraz będę walczył o honor.

— Gdyby to chodziło o kochankę, no, niechby; ostatecznie mógłbyś dobyć szpady przeciw takim ludziom, ale o dom...

— Zamek Nesle to dom książęcy!

— Owszem, ale dla książęcego domu narażać się na pokonanie przez chama!

— Och, mam pewną myśl, Marmagne — rzekł prewot doprowadzany do ostateczności. — Do diaska, jesteś mi tak przychylny, że teraz ja chcę ci oddać przyjacielską przysługę, i rad jestem, że nadarza się właśnie sposobność. Będąc szlachcicem i królewskim sekretarzem, doprawdy nie najlepiej mieszkasz przy ulicy Huehette, drogi wicehrabio. Otóż całkiem niedawno poprosiłem diuszese d'Etampes, która niczego, jak wiesz, mi nie odmawia, o dom dla pewnego przyjaciela, do jego wyboru, w jednej z królewskich posiadłości. Nie bez trudu udało mi się to uzyskać, lecz tak się składa, że mój protegowany został w interesach nagle wezwany do Hiszpanii, Jestem przeto w posiadaniu królewskich listów, które nadają prawo do domu. Nie mogę tego wykorzystać dla siebie, ale może ty byś chciał? Byłbym szczęśliwy mogąc w ten sposób odwdziżyć ci się za wyświadczone przysługi i szczerą przyjaźń, — progi d'Estouteville, jakże to uprzejme z twojej strony! To prawda, że mieszkam niewygodnie i wiele już razy skarżyłem; się, na to królowi.

— Stawiam jeden warunek.

— Jaki?

— Ponieważ do ciebie należy wybór królewskiego zamku, wybierzesz... --No, dokończ, czekam.

— Zamek Nesle.

— Ach, więc to podstęp!

— Nic podobnego, a na dowód oto akt własności podpisany przez króla z wołnym miejscem na nazwisko i zamek. Proszę, wpisuję tu Grand-Nesle, a ty wstaw nazwisko, jakie chcesz,

— Ale co z tym przeklętym Cellinim?

— Ani trochę się nie pilnuje, uspokojony traktatem, jakiśmy podpisali. Kto będzie chciał tam wejść, zastanie bramy otwarte, a jeśli zjawi się w niedzielę, znajdzie puste komnaty. Nie chodzi zresztą o wyrzucenie Benvenuta, lecz o dzielenie z nim Grand-Nesle, który jest wystarczająco duży, żeby pomieścić trzy lub cztery rodziny. Benvenuto posłucha głosu rozsądku. No więc co zrobisz, wicehrabio?

— U góry aktu wpisuję moje nazwiska i tytuły, o, widzisz, drogi prewocie?

— Strzeż się jednak, bo Cellini jest może groźniejszy, niż przypuszczasz.

— Zostawię sobie moich dwóch zawadiaków i zaskoczmy go w Którąś niedzielę.

— Co? Chcesz się waśnić z jakimś chamem o taką bzdurę?

— Zwycięzca ma zawsze słuszość, poza tym pomszczę przyjaciela.

— A zatem powodzenia. Uprzedziłem cię, Marmagne.

— Po dwakroć dziękuję: raz za prezent i raz za ostrzeżenie. I uradowany Marmagne włożył akt własności w kieszeń i śpiesznie odszedł, by zatrzymać swoich zawadiaków.

— Świetnie — zacierając ręce i śledząc go wzrokiem rzekł imć pan d'Estouteville. — Idź, wicehrabio, i stanie się jedno z dwóch: albo ty pomścisz zwycięstwo Benvenuta nade mną, albo Benvenuto mnie pomści za twoje szyderstwa; w każdym razie ja zyskuję. Czynię nieprzyjaciółmi moich wrogów, niech się biją, niech się zabijają, wszystkiemu przyklasnę, bo wszystko to sprawi mi przyjemność.

Podczas gdy nienawiść prewota mierzy w mieszkańców Grand-Nesle, przejdźmy na drugą stronę Sekwany i popatrzmy, w jakim nastroju oczekują jej skutków. Benvenuto, ufny w swą siłę, spokojnie wrócił, jak już powiedzieliśmy, do pracy, nie domyślając się urazy imć pana d'Estouteville ani się nią kłopotując. Oto jak wyglądał jego dzień: wstawał o świcie i udawał się do niewielkiej samotnej izdebki, którą odkrył w ogrodzie nad odlewnią, a której okno wychodziło, ukośnie na przyziemie Petit-Nesle, Tam modelował mały posążek Hebe. Po obiedzie, to znaczy o pierwszej po południu, robił obchód pracowni, gdzie trwała praca nad Jowiszem; wieczorem, aby się odprężyć, grał w piłkę albo spacerował. A oto jak wyglądał dzień Katarzyny: krzątała się, szyła, tryskała życiem, śpiewała, czuła się o wiele lepiej w Grand-Nesle niżli w zamku kardynała Ferrary. Ascanio zaś, któremu rana nie pozwalała wrócić do zajęć mimo aktywności umysłu, wcale się nie nudził — marzył.

A jeśli teraz, korzystając z uzurpowanego przez złodziei przywileju przechodzenia przez mury, wejdziemy do P.etit-Nesle, oto co tam zobaczymy. Najpierw Colombe w swoim pokoju, rozmarzona jak i Ascanio; niech nam będzie wolno na razie na tym poprzestać. Możemy jeszcze tylko powiedzieć, że marzenia Ascania są barwy różowej, biednej Colombe zaś mroczne jak noc. A oto i jejmość Perrine, która wychodzi po sprawunki, i powinniśmy pójść kawalek za nią.

Już od dość dawna, zdaje się, straciliśmy z oczu pocziwą białogłową; przyznać należy, iż odwaga nie była jej główną zaletą, toteż podczas niebezpiecznych utarczek z własnej woli usunęła się i trzymała w cieniu; ponieważ jednak pokój znów zaczynał kwitnąć, rumieńce na jej policzkach także na powrót wykwitły i tak jak Benvenuto wrócił do zajęć artystycznych, tak i ona odzyskała dobry humor, gadatliwość, plotkarską ciekawość, jednym słowem przystąpiła do wszystkich swoich domowych obowiązków.

Jejmość Perrine, udając się po sprawunki, musiała przejść przez wspólny dla obu zamków dziedziniec, gdyż nowa brama w Petit-Nesle nie została jeszcze przebita. I oto, najzupełniej przypadkowo, tak się złożyło, że Ruberta, stara służąca Benvenuta, dokładnie w tej samej chwili wychodziła po zakupy dla swojego pana. Te dwie szacowne damy miały aż nadto godności, aby wnikać w szczegóły życia prywatnego swoich chlebobawców. Poszły tedy razem w jak najlepszej zgodzie, a ponieważ droga jest o połowę krótsza, kiedy się gawędzi, przeto gawędziły.

Ruberta wypytała najpierw jejmość Perrine o ceny wiktuałów i o kupców w dzielnicy, po czym przeszły do bardziej intymnych i ciekawszych tematów rozmowy.

— Wasz mistrz jest więc tak groźnym człowiekiem? — spytała jejmość Perrine.

— Kiedy nikt mu się nie sprzeciwia, jest łagodny jak baranek; ale gdy się nie robi tego, co on chce, ha! muszę przyznać, że wtedy nie jest z nim łatwo. On bardzo, ale to bardzo lubi, żeby wszyscy robili to, co on chce. Taki już dziwak z niego, a jak tylko coś sobie ubzdura, i sto tysięcy

diabłów nie wybije mu tego z głowy; da się nim jednak kierować jak dzieckiem, jeżeli człowiek udaje, że jest mu posłuszny, i mistrz okazuje się wtedy nawet całkiem miły. Trzeba słyszeć, jak mówi: „Moja Ruberto (woła na mnie z cudzoziemska Ruberta, chociaż naprawdę nazywam się Ruberte, do usług), moja Ruberto, co za doskonały, udziec, w sam raz upieczony; moja Ruberto, twój bób jest wspaniale przyprawiony; moja Ruberto, tyś królową gospodyń", a mówi to tak słodko, że mnie aż wzruszą.

— To i dobrze! Ale podobno zabija ludzi!

— O, tak, kiedy mu się sprzeciwiają, świetnie to robi. To taki zwyczaj w jego kraju; ale wtedy tylko, gdy go atakują i musi się bronić. Poza tym jest wesoły i bardzo miły.

— Nigdy go nie widziałam. Ma rude włosy, prawda?

— Ależ skąd! Czarne jak wy i ja, to znaczy jak miałam kiedyś. Nigdyście go nie widzieli? No to przyjdźcie niby coś ode mnie pożyczyć, to go wam pokażę. To piękny mężczyzna, wspaniały byłby z niego łucznik.

— Skoro mowa o pięknych mężczyznach, jak się miewa ten miły kawaler? No, wiecie, ten ranny, ten młody czeladnik, tak! wdzięczny z wyglądu, który przyjął straszliwe cięcie szpada, żeby uratować życie panu prewotowi?

— Ascanio? To, wy go znacie?

— Czy go znam! Obiecał mojej panience Colombe i mnie pokazać swoje klejnoty. Przypomnijcie mu o tym, proszę, moja droga. Tylko że dalej niceście mi o nim nie powiedzieli, a Colombe będzie rada, gdy się dowie, że wybawcy jej ojca nic już nie grozi.

— Och, możecie jej powiedzieć, że miewa się dobrze. Dzisiaj nawet wstał z łóżka. Tylko że chirurg zabroni mu wychodzić z domu, a tymczasem dobrze by mu zrobiło, gdyby zaczerpnął nieco powietrza. Ale przy takim palącym słońcu to niemożliwe. Ten ogród przy Grand-Nesle to prawdziwa pustynia. Ani skrawka cienia. Pokrzywy i ciernie to jedyne warzywa i cztery czy pięć bezlistnych drzew za całą zieleń. Jest rozległy, lecz niezbyt przyjemny do przechadzek. Nasz mistrz pociesza się przynajmniej grą w piłkę, ale mój biedny Ascanio nie da rady odbić piłki i musi się okrutnie nudzić. Jest taki żywy, drogi chłopiec... Mówię tak o nim, bo to mój ulubieniec, zawsze grzeczny wobec starszych. Nie jak ten niedźwiedz Pagolo albo trzpiotka Katarzyna.

— Powiadacie więc, że ten biedny młodzieniec...

— Ani chybi śmiertelnie się nudzi, będąc całe dnie przykutym do fotela w izbie.

— Ależ, miły Boże! — ozwała się litościwa jejmość Perrine — powiedzcież mu przecie, żeby przyszedł do Petit-Nesle, gdzie jest tak cieniście. Otworzę mu jak najchętniej bramę, chociaż pan prewot wyraźnie zakazał. Ale co tam! Kiedy oddaje się przysługę jego wybawcy, nieposłuszeństwo jest cnotą. Mówicie też o nudzie. Ależ my tu usychamy z nudów. Grzeczny kawaler nas zabawi, opowie nam o swoim kraju, pokaże naszyjniki i bransolety, pogawędzi z Colombe. Młodzi lubią się widywać, rozmawiać ze sobą, a w samotności usychają. A więc postanowione, powiedzcie waszemu beniapinkowi, żeby przyszedł sam albo, rzecz jasna, z wami, Ruberto, wsparty na waszym ramieniu. Zastukajcie cztery razy, trzy razy ciszej i raz głośniej; będę wiedziała, co to znaczy, i przyjdę wam otworzyć.

— Dziękuję w imieniu Ascania i swoim; nie omieszkałam powtórzyć mu waszego uprzejmego zaproszenia, a on nie omieszka z niego skorzystać.

— Wielcem z tego rada, droga Ruberto.

— Do widzenia, moja Perrine! Szczęście to dla mnie, że poznała tak miłą osobę.

— I wzajemnie, Ruberto.

Skloniły się głęboko i rozeszły zachwycone sobą. Ogrody Nesle były w rzeczy samej, jak powiedziała Ruberta, w jednej części suche i spalone niczym wrzosowisko, w drugiej zaś świeże i cieniste jak las. Skapstwo przewota sprawiło, że nie dbano o ogród w Grand-Nesle, którego utrzymanie zbyt drogo by kosztowało, a imć pan Robert nie był na tyle pewien swojego tytułu właściciela, aby na korzyść być może następcy sadzić drzewa, wycięte zaraz po objęciu w posiadanie zamku. Obecność córki w Petit-Nesle zmusiła go do pozostawienia tam cienistych drzew i krzewów, jedyne wychnienia, jakie miała biedna dziewczyna. Raimbault i jego dwaj pomocnicy wystarczali, aby utrzymać, a nawet upiększyć ogród Colombe.

Ogród był bardzo piękny i składał się z kilku części. W głębi znajdował się warzywnik, królestwo jejmości Perrine; dalej, wzdłuż murów Grand-Nesle, leżały klomby, gdzie panna d'Estouteville pielęgnowała kwiaty, a który jejmość Perrine nazywała aleją Poranku, ponieważ padały tam promienie wschodzącego słońca i właśnie zazwyczaj o świtanu Colombe podlewała swoje złocenie i róże. Dodajmy przy okazji, że z izdebki położonej nad odlewnią w Grand-Nesle można było niepostrzeżenie obserwować każdy ruch pięknej ogrodniczki. Znajdowała się tam jeszcze, zgodnie z geograficznym podziałem jejmości Perrine, aleja Południa zakończona zagajnikiem, gdzie Colombe lubiła czytać lub haftować w najgorętszych godzinach dnia. Na drugim krańcu ogrodu leżała aleja Wieczorna — obsadzona potrójnym rzędem lip, które utrzymywały przyjemny chłodek — ulubione miejsce wieczornych przechadzek młodej panny,

Tę właśnie aleję poczciwa jejmość Perrine uznała za najbardziej sprzyjającą powrotowi do zdrowia i przyspieszeniu rekonwalescencji rannego Ascania. Baczenie się jednak strzegła, aby nie wyjawić Colombe swych miłosiernych zamierzeń. Dziewczyna, zbyt uległa poleceniom ojca, nie zgodziłaby się może przyłożyć ręki do nieposłuszeństwa opiekunki. I co by wtedy pomyślała Ruberta o autorytecie i wpływach sąsiadki? Nie, skoro już zrobiła pierwszy krok, być może nieco lekkomyślnie, należało iść teraz dalej. Trzeba to doprawdy wybaczyć poczciwej białogłowie, gdy się pomyśli, że od rana do wieczora nie miała przy sobie oprócz Colombe nikogo, z kim by mogła porozmawiać; a i to jeszcze Colombe, pogrążona w myślach, najczęściej nie odpowiadała.

Nietrudno pojąć, jaka była radość Ascania, kiedy się dowiedział, że jego raj stoi dlań otworem, i jakimi błogosławieństwami obsypał Rubertę. Chciał natychmiast wykorzystać przypadek mu w udziale szczęście i Ruberta natrudziła się niemało, zanim mu wytłumaczyła, że powinien zaczekać przynajmniej do wieczora., Wszystko przemawiało za tym, że zaproszenie od jejmości Perrine otrzymał za zgodą Colombe, a to sprawiało, iż szalał z radości. Z jaką tedy niecierpliwością, przemieszana z niepojętym ivkiem, liczył zbyt wolno płynące godziny! Wreszcie wybiła piąta. Robotnicy się rozeszli; Benvenuta od południa nie było w pracowni; przypuszczano, że udał się do Luwru.

Wtedy to Ruberta uroczyście rzekła czeladnikowi, który patrzył na nią wzrokiem, jakim nikt jej od dawna nie obdarzył:

— A teraz, gdy nadeszła pora, chodź ze mną chłopcze. Przeszedłszy z Ascaniem dziedziniec, zastukała do bramy Petit-Nesle.

— Nie mówcie o tym mistrzowi, droga Ruberto — poprosił Ascanio, wiedząc, że Cellini jest wielkim kpiarzem i niedowiarkiem, jeśli idzie o miłość, a nie chciał, by drwinami profanowano jego niewinna namiętność.

Ruberta miała właśnie spytać o powód dyskrecji, która ją zawsze sporo kosztowała, kiedy otwarła się brama i na progu stanęła jejmość Perrine.

— Wejdz, kawalerze — rzekła. — Jak się miewasz? Patrzcie tylko, do twarzy mu z tą błądzą, aż miło na niego spojrzeć. Wejdzcie i wy, Ruberto. Idź tą alejką na lewo, młodzieńcze.

Colombe zaraz wyjdzie do ogrodu, to pora jej przechadzki, i postaraj się, żeby mnie zbytnio nie zbesztiała, że cię tu wpuściłam.

— Jak to? — zawołał Ascanio. — Więc panna Colombe nie wie... — 'Pewno, że nie! Myślisz, że by się zgodziła na nieposłuszeństwo

wobec ojca? Wpoilałam jej wszak zasady! Ja byłam nieposłuszna za nas dwie. Trudno, nie można przecież ciągle żyć jak pustelnica, Raimbault niczego nie zauważy, jeśli zaś zauważy, mam na niego sposób, żeby milczał, a gdyby co, to już się wprawiłam w stawianiu czoła imć panu prewotowi!

Jejmość Perrine mogła mówić i mówić na temat swego chlebobdawcy, ale tylko Ruberta śledziła jej wynurzenia. Ascanio stał zasłuchany w bicie własnego serca.

Dotarły doń jednak słowa, które oddalając się wymówiła jejmość Perrine:

— W tej alei Colombe co wieczór się przechadza, na pewno niebawem przyjdzie. Widzisz, kawalerze, że słońce ci tu nie dokuczy.

Ascanio podziękował gestem, postąpił kilka kroków, po czym znów popadł w rozmarzenie i leniwą zadumę oczekiwania pełnego obaw i niecierpliwości.

Usłyszał wszelako jeszcze słowa, jakie jejmość Perrine skierowała mimochodem do Ruberty:

— To ulubiona ławka Colombe.

Zostawiając tedy dwie kumy, by dalej same spacerowały i gawędziły, Ascanio usiadł powoli na tej świętej ławce.

Czego pragnął? Do czego zmierzał? Sam nie wiedział. Szukał towarzystwa Colombe, ponieważ była młoda a piękna jak i on. Ani mu powstała w głowie jakakolwiek ambitna myśl. Zbliżyć się do niej — oto jego jedyny zamiar; resztę pozostawiał na łaskę Boga, a raczej tak daleko w przyszłość myślał nie sięgał. W miłości niema jutra.

Colombe zaś wbrew sobie nieraz rozmyślała o młodym cudzoziemcu, który objawił się w jej samotni niczym Gabriel Maryi. Ujrzeć go jeszcze raz było od pierwszego dnia skrytym marzeniem dziewczęcia dotychczas nie mającego pragnień. Jednakże pozostawiona przez nieprzewidującego ojca pod opieką jej własnego rozsądku, była zbyt szlachetna, by nie stosować wobec samej siebie surowości, od której szlachetne dusze czują się zwolnione wtedy dopiero, gdy się je zniewala. Dzielnie odsuwała przeto od siebie myśli o Ascaniu, ale one z uporem przez potrójne sztańce wzniesione wokół serca Colombe przedzierały się łatwiej, niż Ascanio wdarł się na mury Grand-Nesle. Toteż przez trzy albo cztery minione dni Colombe targały zmienne uczucia: to drżała, że nie zobaczy więcej Ascania, to znów bała się spotkania z nim. Jedyną pociechą były jej marzenia podczas zajęć czy przechadzek. W dzień zamykała się sama, ku wielkiej rozpaczycy jejmości Perrine, skazując się na wieczny monolog w otchłani myśli. A kiedy minęły najgorętsze godziny dnia, przychodziła do chłodnej, cienistej alei ochrzczonej przez jejmość Perrine poetycznym mianem alei Wieczoru; i tam, siedząc na ławce, na której teraz spoczął Ascanio, czekała, aż zapadnie noc, wstaną gwiazdy, wsłuchując się we własne myśli i odpowiadając im, dopóki jejmość Perrine nie przysłała po nią, kiedy czas było wracać.

I oto o zwykłej godzinie młodzian ujrzał naraz na zakręcie alei Colombe z książką w ręku. Czytała „Żywoty świętych”, zgubną opowieść o wie. rze i miłości, która może i przygotowuje do straszliwych cierpień żywota, ale z pewnością nie do nieubłaganej rzeczywistości świata. Colombe nie spostrzegła w pierwszej chwili Ascania, widząc jednak nieznaną niewiastę u boku Perrine, uczyniła gest zdziwienia. W tej decydującej chwili jejmość Perrine; niczym gotowy na wszystko wódz, dzielnie przystąpiła do samego sedria sprawy.

— Droga Colombe— rzekła — wiem, żeś taka dobra, toteż sądziłam, iż nie trzeba mi twojego pozwolenia, żeby pozwolić odetchnąć w cieniu drzew biednemu rannemu, który poświęcił się dla twojego ojca. Wiesz, że przy Grand-Nesle nie ma drzew, a chirurg nie ręczył za życie tego kawalera, jeśli nie będzie mógł codziennie odbywać godzinnej przechadzki.

Podczas gdy wygłaszała to życziwe kłamstwo grubymi nićmijszyte, Colombe z daleka rzuciła na Ascanio spojrzenie i żywy rumieniec naraz zabarwił jej policzki. Czeladnik zaś, gdy Colombe nadchodziła, znalazł jedynie tyle siły, by wstać.

— Nie mojej zgody, Perrihe, było tu trzeba — rzekła wreszcie dziewczyna — lecz mojego ojca.

Powiedziawszy to ze smutkiem, ale i stanowczo, Colombe doszła do kamiennej ławy, gdzie siedział Ascanio. Usłyszał jej słowa i składając ręce, rzekł:

— Wybacz, pani, sądziłem... miałem nadzieję... że łaskawie wyraziłaś zgodę na uprzejme zaproszenie pani Perrine. Ale skoro tak nie jest — mówił ze słodyczą w głosie przemieszana z dumą — błagam o wybaczenie mojej bezwiednej zuchwałości i pozwól, że odejdę.

— Ależ nie ja tu decyduję — żywo zaprzeczyła wzruszona Colombe. — Nie jestem panią domu. Zostań przynajmniej dzisiaj, panie, nawet gdyby zakaz mego ojca dotyczył również jego wybawcy; zostań, chociażby po to, by przyjąć moje podziękowania.

— Och, pani — szepnął Ascanio — to ja ci dziękuję z całego serca. Czy jednak zostając nie zakłócę twojej przechadzki? Zresztą źle wybrałem miejsce, by usiąść.

— Żadną miarą — odparła Gotombe siadając bezwiednie, tak była poruszona, na drugim końcu ławy.

W tej chwili jejmość Perrine, która po upokarzającym napomnieniu Colombe tkwiła cały czas obok, zakłopotana wreszcie swoim bezruchem i milczeniem młodej pani wzięła pod rękę Rubertę i powoli odeszły.

Młodzi zostali sami.

Colombe, z oczami utkwionymi w książkę, nie od razu spostrzegła odejście opiekunki, chociaż nie czytała, gdyż mgła spowila jej wzrok. Była jeszcze poruszona, oszołomiona. Jedyne, co mogła uczynić niejako instynktownie, to ukryć wzruszenie i powściągnąć przyspieszone bicie serca. Ascanio także stracił głowę, bardzo go też zabolalo, kiedy Colombe chciała go wyprosić, potem zaś szalonej doznał radości, gdy zdało mu się, że dojrzał zmieszanie ukochanej, a wszystkie te emocje przy jego osłabieniu wprawiły go w uniesienie i zarazem wyczerpały. Był jakby omdlały, jednakże myśli goniły mu po głowie i następowały po sobie z niespotykanym doprawdy nateżeniem i szybkością. „Gardzi mną! Kocha mnie!” — przemykało mu na zmianę. Patrzył na milczącą i nieruchomą Colombe i nie czuł nawet, że spływają mu łzy po policzkach. Nad ich głowami w gałęziach drzewa śpiewał ptak. Wiatr ledwie poruszał liśćmi. Od kościoła Augustianów w spokojnym powietrzu niósł się łagodny dźwięk dzwonów bijących na „Anioł Pański”. Nigdy jeszcze lipcowy wieczór nie był tak spokojny i cichy. Była to jedna z owych podniosłych chwil, kiedy dusza wkracza w nową sferę, chwila, gdy dwadzieścia lat mieści się w jednej minucie, chwila, którą wspomina się przez całe życie. Tej parze ludzi młodych, pięknych, stworzonych dla siebie, tak już sobie bliskich, wystarczyło wyciągnąć tylko dłonie, by je połączyć, a jakby przepaść między nimi istniała.

Po kilku chwilach Colombe podniosła głowę.

— Ty płaczesz, panie! — zawołała w porywie silniejszym od woli.

— Nie płaczę — odparł Ascanio opierając się o ławę; uniósłszy jednak dłonie do twarzy, odjął je mokre od łez.

— To prawda — powiedział — płacę.

— Dlaczego? Co ci jest? Zawołam kogoś., Czy cierpisz?

— Cierpię z powodu jednej tylko myśli.

— Jakiej?

— Powiadam sobie, że być może lepiej by było, gdybym wtedy zginął.

— Gdybyś zginął? Ile masz lat, żeby mówić o śmierci?

— Dziewiętnaście. Ale czas nieszczęścia powinien być czasem śmierci! — A rodzice? Przecież by po tobie płakali! — ciągnęła Colombe,

nieświadomie żadna zgłębienia przeszłości człowieka, którego przyszłość, jak niejasno przeczuwała, cała będzie do niej należeć.

— Nie mam ojca ani matki i nikt by mnie nie opłakiwał, chyba jeden mistrz Benvenuto. .

— Och, sierotą jesteś!

— Tak, sierotą. Ojciec, mnie nigdy nie kochał, a matkę straciłem, gdy miałem dziesięć lat, gdy zaczynałem rozumieć jej uczucie do mnie i odwzajemniać je, Ojciec! Ale o czym ja mówię, cóż może cię obchodzić moja matka i ojciec?

— O, nie, mów dalej, Ascanio,

— Święci pańscy! Pamiętasz moje imię!

— Mów, mów — szepnęła Colombe, zasłaniając rumieniec dłońmi.

— Ojciec mój był złotnikiem, a kochana matka córką złotnika z Elorenacji, Raffaella, del Moro, należącego do szlachty włoskiej. Bo w Italii., w naszych republikach, praca nie przynosi nikomu ujmę i wiele byś ujrzała starych i słynnych nazwisk na szyldach sklepów. Na przykład mój mistrz Cellini jest szlachcicem równym samemu królowi Francji, może go nawet przewyższa Urodzeniem. Raffaello del Moro był ubogi, wydał więc swoją córkę Stefanę, wbrew jej woli, za złotnika równego mu prawie wiekiem, lecz bogatego. A tu moja matka i Benvenuto Cellini kochali się, lecz żadne nie miało majątku. Benvenuto przemierzał świat, żeby zdobyć sławę i zarobić trochę złota. Był daleko, nie mógł się sprzeciwić temu związkowi. Gismondo Galdi (tak brzmiało nazwisko mego ojca), lubo nigdy się nie dowiedział, że kochała innego, znenawidził żonę, ponieważ jego nie darzyła uczuciem. Porywczy i gwałtowny człek był z mego ojca. Niech mi wybaczy, że go oskarżam, ale prawość dzieci jest pamiętliwa. Często matka przed gwałtownością ojca szukała przy mojej kolebce schronienia, które nie zawsze potrafił uszanować. Niekiedy bił ją, wybacz mu, Boże, gdy mnie trzymała na rękach, i przy każdym uderzeniu, aby mniej czuć razy, matka mnie całowała. Och, pamiętam, podwójnym echem w sercu mi się odzywały jednocześnie razy, jakie otrzymywała moja matka, i pocałunki, jakimi mnie obsypywała.

Sprawiedliwy Bóg dosięgnął mego ojca w tym, co było mu najdroższe, w jego bogactwie. Kolejno dotknęło go kilka bankructw. Skonał z bólu, że nie ma pieniędzy, a matka zmarła kilka dni potem, gdyż sądziła, że nie jest już kochana.

Zostałem sam na świecie. Wierzyście ojca przyszli, by zająć wszystko, co zostawił, i szperając wszędzie, żeby niczego nie pominąć, nie zauważyli płaczącego dziecka. Dawna służąca, która mnie lubiła, z litości dawała mi jeść przez dwa dni, ale staruszka sama żyła z miłosierdzia innych i nie miała za wiele chleba dla siebie.

Nie wiedziała, co ze mną począć, Kiedy naraz do izby wszedł okryty kurzem człowiek, wziął mnie na ręce, ucałował płacząc, po czym dał nieco grosza staruszce i zabrał mnie ze sobą. Był to

Benvenuto Ceilini, przybyły specjalnie po mnie z Rzymu do Florencji. Pokochał mnie, nauczył swojej sztuki, zatrzymał przy sobie na zawsze i powiadam, on jeden by płakał po mojej śmierci.

Colombe słuchała ze spuszczoną głową, ściśniętym sercem sierocych dziejów, które z racji osamotnienia były jej dziejami, a życie nieszczęsnej matki być może przypadnie jej w udziale; bo i ona miała z musu poślubić człowieka, który ją znienawidzi za to, że nie będzie go kochała.

— Niesprawiedliwyś wobec Boga — rzekła do Ascania. — Twój mistrz cię przynajmniej kocha i znałeś swą matkę. Ja nie pamiętam pieśczoł mojej; zmarła wydając mnie na świat. Wychowywała mnie siostra ojca, zgryźliwa i szorstka, ale i tak bardzo płakałam, kiedy ją straciła dwa lata temu, bo z braku innego uczucia przywiązałam się do niej niczym bluszcz do skały. Od dwóch lat mieszkam w tym zamku z jejmością Perrine i mimo osamotnienia, choć ojciec rzadko do nas zagląda, te dwa lata były i będą najszczęśliwszym okresem w moim życiu.

— Dużo wycierpiałas, patii, to prawda — przyznał Ascanio — *ale* skoro przeszłość była tak bolesna, dlaczego wątpisz w przyszłość? Wszak twoja przyszłość zapowiada się wspaniale. Jesteś szlachcianką, bogatą i piękną, a cienie młodych lat lepiej tylko podkreślają blask reszty życia,

Colombe ze smutkiem potrzęsnęła głową.

— Och, matko moja, matko! — szepnęła.

Kiedy wznosząc się myślą ponad czas, traci się z oczu drobne, wymogi chwili, w przeblyskach, które rozjaśniają i streszczają w sobie całe życie, przyszłość i przeszłość, dusza doświadcza niekiedy groźnego upojenia, i niebezpiecznych uniesień, gdy zaś wspomni człowiek tysiączne cierpienia, gdy przeczuwa niezliczone obawy, serce doznaje często straszliwych wzruszeń i śmiertelnych słabości. Trzeba być bardzo silnym, by nie upaść, skoro cały ciężar przeznaczenia spadnie na serce. Tym młodym, którzy tyle już w życiu wycierpieli, którzy zawsze żyli w osamotnieniu, wystarczyło może jedno tylko słowo wyrzec, aby z ich osobnych przeszłości uczynić wspólną przyszłość; by jednak to słowo wymówić, ona była zbyt czysta, on zbyt przepelniony szacunkiem.

Ascanio patrzył jednak na Colombe z nieskończoną czułością, a ona z boską ufnością pozwalała się sobie przyglądać; ze złożonymi rękami i głosem, jakim chyba zanosił modły do Boga, czeladnik rzekł:

— Jeżeli czegoś pragniesz, Colombe, jeśli wisi nad tobą jakaś niedola, to gdyby życzenie owo można spełnić oddając całą krew, niedolę odwrócić poświęcając życie, powiedz tylko słowo, Colombe, jak bratu, a uszczęśliwisz mnie.

— Wielkie ci dzięki — odparła Colombe. — Na jedno moje słowo wspaniałomyślnie już naraziłeś życie, wiem. Ale tym razem jeden Bóg może mnie uratować.

Nie zdążyła nic więcej powiedzieć, gdyż w tej chwili stanęły przy nich Perrine i Ruberta.

Sąsiadki czas wykorzystały równie dobrze jak dwoje zakochanych i związały się już serdeczną przyjaźnią opartą na wzajemnej sympatii. Jejmość Perrine poradziła Rubercie, jak leczyć odmrożenia, Ruberta zaś, by nie być jej dłużną, podała jejmości Perrine sposób przechowywania, śliwek. Nietrudno zgadnąć, że przyjaźń była odtąd na śmierć i życie i bia łąłowy solennie sobie obiecały widywać się za wszelką cenę.

— I cóż, moja gołąbko — ozwała się jejmość Perrine podchodząc do ławy ~ dalej masz do mnie żal? Czy to nie byłby wstyd, gdybyśmy zabroniły wstępu do domu temu, bez którego pomocy dom nie miałby już pana? Czy nie należy wyleczyć tego kawalera z rany, jaką otrzymał za nas? Ale patrzcie tylko, Ruberto, czy on już nie wygląda lepiej i czy nie jest mniej blady, niż gdy przyszedł tutaj?



— Prawdę powiadacie — przyznała Ruberta — nawet gdy był zdrow, nigdy nie miał tak żywych rumieńców.

— Pomyśl, Colombe — ciągnęła Perrine — zbrodnią byłoby przerwać tak dobrze rozpoczętą rekonwalescencję. Cóż, cel uświęca środki. Pozwolisz mi go zaprosić na jutro o zmierzchu? Dla ciebie to też będzie rozrywka, moje dziecko, rozrywka całkiem niewinna, Bogu dzięki! Poza tym jejmość Ruberta i ja jesteśmy tutaj. Doprawdy, powiadam ci, moja gołąbko, że potrzebujesz rozrywki. A kto tam pójdzie do pana prewota, żeby mu opowiadać, jak to złagodziłyśmy nieco jego surowe rozkazy? W dodatku jeszcze przed tym wszystkim pozwoliłaś Ascaniowi przyjść pokazać nam swoje klejnoty, a dzisiaj o nich zapomniał, musi więc przynieść je jutro. .

Colombe spojrzała na Ascania; pobladł i z drżeniem czekał na jej odpowiedź.

Biednej dziewczynie, tyranizowanej i trzymanej w zamknięciu, ta pokora wielce pochlebiała. A więc jest ktoś na świecie, kto od niej jest uzależniony i kogo jednym słowem może uszczęśliwić lub zasmucić! Każdy lubi czuć swoją władzę. Bezwstydne miny hrabi d'Orbec upokorzyły niedawno Colombe, Biedną, pustelnica — wybaczymy jej! — nie oparła się pragnieniu, żeby ujrzeć w oczach Ascania błysk radości, i rumieniąc się rzekła z uśmiechem:

— Moja Perrine, do czego ty mnie zmuszasz!

Ascanio chciał coś powiedzieć, ale zdołał tylko wymownie złożyć ręce; nogi się pod nim ugiwały.

— Dziękuję, piękna panienko — rzekła Ruberta z głębokim ukłonem. — Chodźmy, Ascanio, słabyś jeszcze, czas wracać. Podaj mi ramię i idziemy.

Czeladnik ledwie znalazł dosyć sił, by się pożegnać i podziękować; do słów dodał jedno spojrzenie, lecz włożył w nie całą swoją duszę, po czym posłusznie odszedł ze służącą, serce mając przepelnione radością.

Colombe na powrót usiadła na ławie, głęboko zamyślona i pełna upojenia, które sobie wyrzucała, bo nie była doń przyzwyczajona.

— Do jutra! — rzekła triumfującym tonem jejmość Perrine rozstając się w bramie z gośćmi. — Możesz, kawalerze, jeśli chcesz, przychodzić tu co dzień przez trzy miesiące.

— A dlaczego tylko przez trzy miesiące? — spytał Ascanio, który marzył, że będzie przychodził już zawsze.

—No tak — odparła Perrine — bo za trzy miesiące Colombe poślubi hrabię d'Orbec.

Ascanio musiał wyteńczyć całą siłę woli, aby nie upaść.

— Colombe poślubia hrabię d'Orbec! — Wyszepiał. — Och, mój Boże, mój Boże! Pomyliłem się więc! Colombe nie kocha mnie!

Ponieważ jejmość Perrine zamykała w tej chwili za nim bramę, a Ruberta szła przodem, żadna go nie usłyszała.

## ROZDZIAŁ XII

# WŁADCZYNI KRÓLA

Powiedzieliśmy, że Benvenuto wyszedł z pracowni około jedenastej rano nie mówiąc, dokąd zmierza. Udał się do Luwru, by odwzajemnić wizytę, jaką Franciszek I złożył mu w pałacu kardynała Ferrary.

Król dotrzymał słowa. Nazwisko Benvenuta Celliniego zostało wszędzie podane i otwarły się przed nim wszystkie drzwi; ostatnie wszelako pozostały zamknięte: były to drzwi do sali rady. Franciszek I rozważał tam sprawy państwowe i choć rozkazy króla były wyraźne, nie ośmielono się wprowadzić Celliniego w trakcie poważnej narady, nie otrzymawszy na to zgody jego królewskiej mości.

Sytuacja Francji była bowiem bardzo trudna. Dotychczas niewiele mówiliśmy tu o sprawach państwowych, przekonani, że nasi czytelnicy, a zwłaszcza czytelniczki wolą problemy sercowe od politycznych; nadeszła jednak właśnie chwila, kiedy nie możemy się przed tym cofnąć i jesteśmy zmuszeni rzucić okiem — co postaramy się uczynić możliwie szybko — na Francję i Hiszpanię, a raczej na Franciszka I i Karola V, bo w szesnastym wieku władca znaczył naród.

W okresie stanowiącym tło opisywanych wydarzeń, z powodu wahań politycznej wagi, których skutków tak często obaj władcy doświadczali, sytuacja Franciszka się polepszyła, a Karola pogorszyła. Nastąpiły bowiem znaczne zmiany od czasu słynnego traktatu w Cambrai, którego negocjatorami były dwie kobiety: Małgorzata Austriaczka, ciotka Karola V, i diuszesa d'Angouleme, matka Franciszka I. Traktat ów, będący uzupełnieniem do traktatu madryckiego, postanawiał, że król Hiszpanii odda Burgundię królowi Francji, ten zaś w zamian zrezygnuje ze zwierzchnictwa nad Flandrią i Artois. Poza tym dwaj królewicze, trzymani zamiast ojca jako zakładnicy, mieli mu zostać zwróceny za sumę dwóch milionów złotych skudów. Na koniec dobra królowa Eleonora, obiecana najpierw konetablowi w nagrodę za jego zdradę, później wydaną za Franciszka I na znak pokoju, miała wrócić na dwór francuski z dwójką dzieci, którym tak czule zastępowała matkę; wszystko to przebiegało uczciwie tak z jednej, jak i z drugiej strony.

Rozumie się jednak, że rezygnacja Franciszka I z księstwa Mediolanu wymuszona na nim, gdy przebywał w niewoli, była tylko chwilowa.

Zaledwie znalazł się na wolności, zaledwie wrócił do władzy, zaledwie odzyskał siły, znów skierował wzrok w stronę Italii. I właśnie w celu zyskania na dworze rzymskim poparcia dla swoich roszczeń ożenił swego syna Henryka — delfina od śmierci jego starszego brata Franciszka — z Katarzyną Medycejską, siostrzenicą papieża Klemensa VII.'

Na nieszczęście w chwili, gdy wszystkie przygotowania do zaplanowanej wyprawy zostały ukończone, papież Klemens VII zmarł, a jego następcą został Aleksander Farnese, który wstąpił na tron Piotrowy pod imieniem Pawła III.

I oto Paweł III postanowił, że w swojej polityce nie pozwoli się przeciągnąć ani na stronę cesarza, ani na stronę króla Francji, lecz, będzie utrzymywał równowagę między Karolem V i Franciszkiem I.

Bezpieczny od tej strony, cesarz przestał się niepokoić przygotowaniem Francji i sam wyszykował wyprawę przeciwko Tunisiowi, opanowanemu przez słynnego korsarza Chajr ad-Dina, szeroko znanego pod imieniem Barbarossy, który wypędziwszy Mulej-Hassana, zawładnął tym krajem i stamtąd pustoszył Sycylię.

Wyprawa udała się i Karol V, spaliwszy trzy albę cztery okręty admirała Sulejmana, wkroczył triumfalnie do portu w Neapolu.

Tam dotarła doń wieść jeszcze bardziej uspokajająca: oto Karol III, książę sabaudzki, choć wuj Franciszka I, za radą swej nowej żony Beatrix, córki Emmanuela, króla Portugalii, wystąpił ze stronnictwa króla francuskiego; tak że kiedy Franciszek I, na podstawie dawnych traktatów zawartych z Karolem III, zażądał przepuszczenia swego wojska przez Sabaudię, książę odpowiedział odmownie, w związku z czym władca Francji został zmuszony do zdobywania straszliwego przejścia przez Alpy, które, jak sądził, dzięki swemu sojusznikowi i krewniakowi zostanie otwarte.

Lecz oto Karol V zniemacka stracił poczucie bezpieczeństwa. Bo król z taką szybkością poprowadził swoje wojska na Sabaudię, że kraj został zajęty, zanim jego władca zdążył pomyśleć, iż dokonano najazdu. Brion, dowódca wojsk, zajął Chambery, stanął na szczytach Alp i zagroził Piemontowi akurat w chwili, gdy Francesco Sforza, niewątpliwie ogarnięty przerażeniem na wieść o takich sukcesach, zmarł nagle, pozostawiając księstwo Mediolanu bez dziedzica, a w związku z tym nie tylko ułatwiając Franciszkowi I dochodzenie swych roszczeń, ale i dając mu do nich dodatkowe prawo.

Brion wkroczył do Italii i zajął Turyn. Dotarłszy tam, zatrzymał się, rozłożył obozem na brzegu Sesii i czekał.

Karol V tymczasem opuścił Neapol i udał się do Rzymu. Zwycięstwo odniesione nad odwiecznymi wrogami Chrystusa zapewniło mu triumfalny wjazd do stolicy świata chrześcijańskiego. Wjazd ów tak upoił cesarza, że wbrew swoim zwyczajom, przebrał wszelką miarę i oskarżył na konsystorz.u Franciszka I o herezję, oskarżenie swe opierając na poparciu, jakiego król udzielał protestantom, oraz na sojuszu zawartym z Turkami. Streściwszy dodatkowo wszystkie ich dawne waśnie, w których, jego zdaniem Franciszek zawsze pierwszy zawiniął, zaprzysiągł swemu szwagrowi krwawą wojnę.

Minione nieszczęścia uczyniły Franciszka I równie ostrożnym, jak wcześniej był zuchwałym. Toteż skoro tylko spostrzegł, że jest zagrożony, zarówno przez siły hiszpańskie, jak i Cesarstwa, zostawił Annebauta na straży Turynu, a Briona wezwał, rozkazując mu bronić jedynie granic.

Wszyscy ci, co znali rycerską i przedsiębiorczą naturę Franciszka, zupełnie nie pojęli tej decyzji sądząc, że od chwili, gdy uczynił krok w tył, uważa się za z góry pokonanego. Takie mniemanie dodało pewności siebie Karolowi V; osobiście stanął na czele swoich wojsk i postanowił najechać Francję od południa.

Znamy skutki tej próby: Marsylia, która się oparła konetablowi de Bourbon i Pescaire'owi, dwóm największym wodzom owych czasów, bez trudu stawiała czoła Karolowi V, wielkiemu politykowi, lecz miernemu dowódcy. Karol wcale się tym nie przejął, lecz zostawił Marsylię za sobą i chciał iść na Awinion; jednakże Montnłorency między rzeką Durance i Rodanem rozłożył się niezdobytym obozem, który Karol daremnie próbował atakować. W końcu po sześciu tygodniach próżnych starań cesarz, odpierany od czoła, niepokojony na flankach, zagrożony

odcięciem od tyłu, zarządził odwrót mocno zaiste przypominający ucieczkę, i omal nie wpadłszy w ręce wroga, z wielkim trudem zdołał dotrzeć do Barcelony, gdzie się znalazł bez ludzi i pieniędzy.

Wówczas wszyscy, co oczekiwali rozwiązania sprawy, by się opowiedzieć, stanęli przeciwko Karolowi. Henryk VIII odtrącił swą żonę, Katarzynę Aragońską, by poślubić kochankę, Annę Boleyn. Sulcjman zaatakował Królestwo Neapolu i Węgry. Niemieccy książęta protestancy zawiązali tajną ligę przeciwko cesarzowi. Na koniec mieszkańcy Gandawy, zmęczeni podatkami, jakie na nich nieustannie nakładano, by pokryć koszty wojny z Francją, zbuntowali się naraz i wysłali do Franciszka I ambasadorów z prośbą, aby wziął ich pod swe berło.

Atoli pośród tego powszechnego zamieszania, zagrażającego losom Karola V, między nim i Franciszkiem wznowione zostały rozmowy. Władcy wyznaczyli sobie spotkanie w Aigues-Mortes i Franciszek, zdecydowany na pokój, którego, jak czuł, Francja bardzo potrzebowała, wiele sobie obiecywał, lecz nie po walce zbrojnej, a po przyjaznych rokowaniach.

Uprowadził tedy Karola V o propozycji, jaką otrzymał z Gandawy, oferując mu jednocześnie przejście, przez Francję do Flandrii. W tej właśnie sprawie zebrała się rada, kiedy Benvenuto zastukał do drzwi, a wierny danemu słowu Franciszek, uprzedzony o przybyciu swego wielkiego złotnika, rozkazał, by go wprowadzono. Benvenuto mógł się tedy przysłuchać końcowi rady.

— Tak, panowie — mówił Franciszek I — tak, podzielam zdanie pana de Montmorency, a moim marzeniem jest zawrzeć trwałą sojusz z cesarzem, wynieść nasze dwa trony ponad całe chrześcijaństwo i obalić wszystkie te związki, gminy, zgromadzenia ludowe, które roszczą sobie prawa do narzucenia granic królewskiej władzy odmawiając nam to ręk, to znów pieniędzy naszych poddanych. Moim marzeniem jest zmusić do powrotu na łono religii i pod papieską zwierzchność herezji, które głęboko martwią nasz Święty Kościół. Moim marzeniem jest wreszcie zebrać wszystkie siły przeciwko wrogom Chrystusa, wypędzić tureckiego sultana z Konstantynopola, chociażby po to, by udowodnić, że nie jest, jak niektórzy powiadają, moim sojusznikiem, i stworzyć w Konstantynopolu drugie cesarstwo, rywalizujące z pierwszym siłą, wspaniałością i rozległością. Oto moje marzenie, panowie, a nazwałem je marzeniem, aby nie dać się zbyt ponieść nadziejom na sukces, aby nie poczuć się zbyt załamany, kiedy przyszłość wykaże mi może jego nierealność. Gdyby się jednak konetablowi udało, gdyby mu się tylko udało, gdybym miał Francję i Turcję, Paryż i Konstantynopol, Zachód i Wschód, przyznajcie, panowie, że byłoby to piękne, że byłoby to wielkie, wspaniałe!

— A zatem, najjaśniejszy panie — odezwał się książę de Guise — nieodwołalnie postanowione jest, że odmawiasz przyjęcia zwierzchnictwa, jakie ci ofiarowuje Gandawa, że zrzekasz się dawnych posiadłości domu burgundzkiego?

— Postanowione; cesarz zobaczy, że jestem równie prawym sojusznikiem, jak rzetelnym wrogiem. Przedtem jednak i nade wszystko, pojmijcie to dobrze, chcę i żądam, aby oddano mi księstwo Mediolanu; mam do niego prawo jako spadkobierca i na mocy inwestytury cesarzy, i będzie moje, słowo szlachcica, ale żywię nadzieję, że dopnę swego nie zrywając przyjaźni z moim bratem Karolem.

— I proponujesz, najjaśniejszy panie, Karolowi Piątemu przejście przez Francję, by ukarał zbuntowanych Flarnandów? — dodał Poyet.

— Tak, mości kanclerzu — odparł król. — Wyślij jeszcze dzisiaj pana de Frejus, by go o to prosił w moim imieniu. Pokażmy mu, żeśmy do wszystkiego skłonni, byle zachować pokój. Ale jeśli chce wojny...

Gest straszliwy i władczy towarzyszył tym słowom urwanym na chwilę, bo Franciszek spostrzegł swego artystę, skromnie stojącego przy samych drzwiach.

— Ale jeśli chce wojny — podjął — to, na mojego Jowisza, o którym wieści przynosi mi Benvenuto, przysięgam, że będzie ją miał, krwawą, okrutną, zażartą. I cóż, Benvenuto, jak tam mój Jowisz?

— Sire — odparł Cellini — przynoszę ci model twojego Jowisza. Ale czy wiesz, panie, o czym marzyłem patrząc na ciebie i słuchając cię? Marzyłem o fontannie w Fontainebleau; o fontannie, nad którą by górował olbrzymi posąg, na sześćdziesiąt stóp wysoki, ze złamaną włócznią w prawej ręce; z lewą wspartą na gardzie miecza. Ten posąg, najjaśniejszy panie, przedstawiałby Marsa, to znaczy waszą królewską mość: bo tyś uosobieniem odwagi, a odwagi używasz sprawiedliwie i dla świętej obrony twojej chwały. Zaczekaj, sire, to nie wszystko; w czterech rogach cokołu będą siedziały cztery postacie: Poezja, Malarstwo, Rzeźba i Szczodroblliwość. Oto o czym marzyłem, patrząc na ciebie i słuchając cię, miłościwy panie,

— I wcielisz to marzenie w marmur albo w brąz, Benvenuto; to moje życzenie — rzekł król rozkazującym tonem, ale uśmiechając się z serdeczną łagodnością.

Wszyscy członkowie rady temu przyklasnęli, każdy bowiem uważał króla godnym takiego posagu, a posąg — godnym króla.

— Na razie — podjął król — zobaczmy Jowisza.

Benvenuto wyciągnął model spod płaszcza i postawił go na stole, wokół którego dopiero co rozstrzygały się losy świata.

Franciszek chwilę patrzył nań z podziwem — co do tego nie było mowy o pomyłce.

— Wreszcie — zawołał król — wreszcie znalazłem więc człowieka wedle, serca mego. — Po czym klepnął Benvenuta w ramię i rzekł: — Przyjacielu, nie wiem, kto doświadcza większej radości; czy książę, który znalazł artystę wedle serca swego, a więc takiego jak ty, czyli też artysta, który spotkał księcia zdolnego go zrozumieć. Myślę, że doprawdy moja radość jest większa.

— O, nie, wybacz, sire — zaprotestował Cellini — z pewnością moja radość jest większa.

— No nie, Benvenuto, moja.

— Nie śmiem sprzeciwiać się waszej królewskiej mości, wszelako...

— Powiedzmy, przyjacielu, że jednak się cieszymy.

— Sire, nazwałeś mnie swoim przyjacielem — rzekł Benvenuto — a wartość tego słowa stokrotnie mi wynagradza wszystko, co już zrobiłem dla waszej królewskiej mości i co mogę jeszcze wykonać.

— Pragnę ci dowieść, Benvenuto, że nie jest to słowo, które mi się nieopatrznie wyrwało, i że skorom cię nazwałem moim przyjacielem, to znaczy, żeś nim istotnie. Przynieś mi mojego Jowisza, skończ go jak najszybciej, a czego zażadasz oddając mi go, słowo szlachcica, że jeśli tylko królewska dłoń może po to sięgnąć, będzie twoje. Słyszycie, panowie? A gdybym zapomniał d mojej obietnicy, wy mi o niej przypomnicie.

— Najjaśniejszy panie — wykrzyknął Benvenuto — jesteś' wielkim i szlachetnym władcą i wstyd mi, że tak mało mogę zrobić dla ciebie, co tyle czynisz dla mnie.

I ucałowawszy podaną mu dłoń, Cellini schował posąg Jowisza pod płaszczy i opuścił salę rady z sercem przepelnionym dumą radością.

Wychodząc z Luwru spotkał Primaticcia, który jam akurat zdązał.

— Dokąd to biegiesz taki radosny, drogi Benvenuto? — odezwał się Primaticcio do Celliniego, ten go bowiem nie spostrzegł.

— A, to ty, Francesco! — zawołał Cellini. — Słusznie powiadasz, jestem radosny, bo dopiero co widziałem naszego wielkiego, naszego szlachetnego, naszego boskiego Franciszka...

— A widziałeś panią d'Etampes? — spytał Primaticcio.

— I wiesz, Francesco, powiedział mi takie rzeczy, że nie śmiem ich powtarzać, chociaż ludzie utrzymują, że skromność nie jest moją mocną stroną.

— Ale co powiedziała ci pani d'Etampes?

— Nazwał mnie swoim przyjacielem, pojmujesz, Francesco? Mówił do mnie po imieniu, jak do swoich marszałków. Na koniec mi powiedział, że kiedy skończę Jowisza, będę mógł od niego żądać, czego tylko zapragnę, a z góry mam to zapewnione.

— A co ci obiecała pani d'Etampes?

— Co za dziwny z ciebie człek, Francesco! — A to dlaczego?.

— Pytasz ciągle o panią d'Etampes, gdy ja ci mówię o królu,

— Bo znam dwór lepiej niż ty, Benvenuto; bo jesteś moim ziomkiem i przyjacielem; bo przywiozłeś mi wiew powietrza z naszej pięknej Italii i wdzięczny za to, pragnę cię uratować od wielkiego niebezpieczeństwa. Słuchaj, Benvenuto, diuszesa d'Etampes jest twoim wrogiem, wrogiem śmiertelnym; już ci to mówiłem kiedyś, bo wtedy się tego bałem; ale dzisiaj jestem pewny. Uraziłeś tę kobietę i jeśli jej nie ułagodzisz, ona cię zgubi. Benvenuto, pani d'Etampes, słuchaj uważnie, co powiem: pani d'Etampes jest władczynią króla.

— Dobry Boże, co ty opowiadasz! — zawołał ze śmiechem Cellini, — Ja, ja uraziłem panią d'Etampes? A to jakim sposobem?

— Och, znam cię, Benvenuto, i domyślałem się oczywiście, że będziesz Wiedział nie więcej niż ja, nie więcej niż ona o przyczynie jej uprzedzenia do ciebie. Ale co począć? Kobiety takie już są: nienawidzą i kochają nie wiedząc dlaczego. Cóż, diuszesa d'Etampes cię nienawidzi.

— Co chcesz, bym uczynił?

— Co chcę? Chcę, żeby dworzanie uratował rzeźbiarza.

— Ja dworzanie kurtyzany?

— Jesteś w błędzie, Benvenuto — rzekł z uśmiechem Primaticcio — jesteś w błędzie; pani d'Etampes Jest bardzo piękna i każdy artysta musi to przyznać.

— Toteż ja przyznaję — powiedział Benvenuto.

— Tedy powiedz jej to, jej, a nie mnie. Nie wymagam więcej, żebyście się stali najlepszymi w świecie przyjaciółmi. Przez kaprys artysty zraniłeś ją; do ciebie należy pierwszy krok,

— Jeśli ją zraniłem — rzekł Benvenuto — to stało się to nieumyślnie, a raczej bez złośliwości. Powiedziała mi parę kąśliwych słów, na które nie zasługiwałem; przywołałem ją do porządku, na co sobie zasłużyła.

— Nieważne, nieważne! Zapomnij, co powiedziała, Benvenuto, i spraw, żeby. zapomniała twoją odpowiedź. Powtarzam ci, ona jest władca, jest zaborcza i panuje nad sercem króla, króla, który kocha sztukę, ale jeszcze, bardziej miłość. Każe ci odpokutować za twoją zuchwałość, Benvenuto; przysporzy ci wrogów; przecież to ona natchnęła już odwagę przewota, żeby ci stawił czoła. I popatrz, wyjeżdżam do Italii; na jej rozkaz udaję się do Rzymu. Ta podróż, Benvenuto, wymierzona jest przeciwko tobie, i nawet ja, twój przyjaciel, muszę diuszecie służyć za narzędzie zemsty.

— Co będziesz robił w Rzymie?

— Co będę robił? Obiecałeś królowi, że przewyższysz starożytnych, a wiem, żeś człkiem zdolnym dotrzymać obietnicy; diuszesa uważa jednak, że były to czcze przechwałki i niewątpliwie po to, aby cię pognać, wysłała mnie, malarza, bym wykonał kopie najpiękniejszych starożytnych posągów, Laokoona, Wenus, Szlifierza i sam nie wiem, czego jeszcze!

— Okrutne to w rzeczy samej wyrażenie w nienawiści — przyznał Benvenuto, który mimo dobrej opinii o sobie samym doznawał niejakiego lęku na myśl, o porównaniu swojego dzieła z dziełem największych mistrzów. — Ale ustąpić kobiecie? — dodał zaciskając pięści. — Nigdy! Nigdy!

— Kto mówi o ustępowaniu! Słuchaj, poddam ci myśl. Spodobał się jej Ascanio; chce mu polecić jakąś robotę i mam mu powiedzieć, żeby zaszedł do niej. A nic prostszego, jak żebyś poszedł ze swoim uczniem do pałacu Etampes i sam go przedstawił pięknej diuszecie. Wykorzystaj to, zabierz ze sobą uroczy klejnocik, jakie tylko ty potrafisz robić; najpierw go pokaż, Benvenuto, a kiedy ujrzyś, że na jego widok błyszczą jej oczy, podaruj go jako haracz ledwo diuszecie godny. Ona go przyjmie, uprzejmie ci podziękuje, — w zamian da ci jakiś upominek godzien ciebie i przywróci cię do łask. Jeśli zaś przeciwnie, z kobiety tej będziesz miał wroga, możesz się już pożegnać z wielkimi dziełami, o których marzysz. Cóż, i ja musiałem się ugiąć na czas jakiś, żeby się potem wyprostować na całą wysokość. Do tego czasu wszyscy woleli tego pacykarza Rossa; zawsze i wszędzie przedkładano go nade mnie. Mianowano go intendentem korony.

— Nie jesteś względem niego sprawiedliwy, Francesco — ozwał się Benvenuto, niezdolny skrywać myśli. — To wielki malarz.

— Tak sądzisz? — Jestem pewien.

— Ech, i ja tego jestem pewien — rzekł Primaticcio — i właśnie z tego powodu go nienawidzę. Cóż, posługiwano się nim, żeby mnie pognać; połącztałem ich nędzną próżność i teraz jestem wielkim Primaticciem, a mną się z kolei posługują, żeby ciebie zniszczyć. Uczyniłem, zatem, Benvenuto, jak ja uczyniłem, nie będziesz żałował, że poszedłeś za moją radą, błagam cię o to dla ciebie i dla siebie, błagam cię w imię twojej sławy i przyszłości, bo jedno i drugie zaprzepaścisz, jeśli będziesz trwał w uporze.

— To trudne! — powiedział Cellini, który wyraźnie zaczynał ustępować.

— Jeśli nie dla siebie, Benvenuto, uczyni to dla naszego wielkiego króla. Chcesz mu złamać serce, stawiając go wobec konieczności dokonania wyboru pomiędzy kochanką, którą miłuje, i artystą, którego podziwiał?

— Niech tedy będzie! Dla króla gotowym to uczynić! — zawołał Cellini, ucieszony, że znalazł wystarczające rozgrzeszenie wobec miłości własnej.

— Całe szczęście! — rzekł Primaticcio. — Rozumiesz także, że gdyby choć jedno słowo z tej rozmowy dotarło do diuszecie, byłbym zgubiony.

— Och, mam nadzieję, że co do tego jesteś spokojny — powiedział Benvenuto.

— Daj parol, Benvenuto, i nie wracajmy do tego.

— Masz moje słowo.

— Żegnaj więc, bracie.

— Szczęśliwej podróży!

— Powodzenia!

I dwaj przyjaciele, uściskawszy sobie po raz ostatni dłonie, rozeszli się, czyniąc gest, w którym streszczała się ich umowa.



## ROZDZIAŁ XIII

### KOBIETA CZĘSTO ZMIENNĄ JEST

Pałac Etampes nie leżał zbyt daleko od zamku Nesle. Czyelnicy nie uznają tedy za dziwne, że przeniesiemy się z jednego do drugiego.

Pałac znajdował się blisko ulicy des Augustins i ciągnął się wzdłuż ulicy Gilles-le-Gueux, którą później przemianowano na ulicę Git-le-Coeur. Główna brama wychodziła na ulicę Hirondelle. Franciszek I podarował go swej kochance, aby się zgodziła zostać żoną Jakuba Desbrosses, hrabiego de Penthièvre, podobnie jak ofiarował księstwo Etampes i namiestnictwo Bretanii Jakubowi Desbrosses, hrabiemu do Penthièvre, ażeby się zgodził poślubić jego kochankę.

Król postarał się zresztą o to, aby podarunek stał się godny pięknej Anny d'Heilly. Kazał urządzić stary pałac zgodnie z najnowszymi gustami. Na ciemnej i surowej fasadzie jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wykwitły, niby namiętne myśli, delikatne kwiaty renesansu. Starania, jakie król podjął, by ozdobić tę siedzibę, jasno wskazywały, że zamierzał tam mieszkać niemal równie często jak diuszesa d'Etampes. Komnaty wyposażono z ładu królewskim przepychem, dom zaś został zaopatrzony niczym dla prawdziwej królowej, a z pewnością o wiele dostatniej niż dom wspaniałej i skromnej Eleonory, siostry Karola V i prawowitej małżonki Franciszka I, o której tak rzadko mówiono na świecie, a nawet na dworze.

Jeżeli teraz, o późnym poranku, wejdziemy niedyskretnie do komnaty diuszesy, znajdziemy ją półleżącą na kanapie; uroczą główkę ma wspartą na jednej pięknej dłoni, drugą przeczesując niedbale pasma kasztanowych włosów o złotym połysku. Nagie stopy Anny wydają się jeszcze mniejsze i bielsze we wsuniętych na nie szerokich pantoflach z aksamitu, a zwiewna i niedopięta suknia dodaje zalotnej damie nieodpartego uroku.

Jest tam bowiem król, stoi przy oknie, ale nie patrzy na swoją diuszęsę. Miarowo bębni palcami w szybę zdaje się głęboko rozmyślać. Bez wątpienia zastanawia się nad poważnym problemem przejazdu Karola V przez Francję.

— Co ty tam robisz, panie, tyłem do mnie? — spytała wreszcie zniecierpliwiona diuszesa.

— Układam wiersze dla ciebie, moja duszko, i jak mi się zdaje, już je skończyłem — odparł Franciszek.

— Och, powiedz je szybko, jeśli łaska, mój piękny koronowany poeto,

— Proszę bardzo — rzekł król z pewnością siebie, jaką mieć może poeta dzierzący w ręku berło. — Słuchaj:

*Samem stał przy oknie, skoro wstawał dzień,*

*Jutrzenka natenczas drogę wskazywała*

*Febusowi jasnemu po lewicy mej,*

*Z drugiej zasię strony miła ma siedziała  
A złocistą główkę dłonią swą czesała.  
I ujrzałem oto promienne jej oczy.  
Jedno spojrzeniem błysnie tak uroczym,  
Aiem wartko musiał wołać gromkim głosem:  
Gdy ona, bogowie, piękność swą roztoczy,  
Nie wam się z nią równać, wróćcie ku niebiosom!*

— Och, uroczy wiersz — rzekła diuszesa klaszcząc. — Przypatruj się Aurorze, panie, wiele ci się spodoba; nie będę już o nią zazdrosna, skoro zawdzięczam jej tak piękne wiersze. Powiedz je raz jeszcze, sire, proszę.

Franciszek powtórzył łaskawie jej i sobie dworny wiersz okolicznościowy, Anna jednak milczała.

— Cóż ci to, moja piękna? — spytał Franciszek, który spodziewał się kolejnej pochwały.

— A to mi, najjaśniejszy panie, że z większą pewnością powtórzę ci rano to, co mówiłam wczoraj wieczorem: poeta ma jeszcze mniej wymówek niż rycerski król, żeby pozwolić zuchwale znieważać swoją damę, bo jest mu zarazem kochanką i muzą.

— Ty ciągle o tym, niedobra! — odezwał się król z gestem zniecierpliwienia. — Uważać to za zniewagę, dobry Boże! Twój gniew musi być doprawdy nieprzejednany, moja ty wszechwładna nimfo, skoro uraza sprawia, iż zapominasz o moich wierszach.

— Panie mój, tak samo nienawidzę, jak kocham.

— No, a gdybym cię tak bardzo poprosił, żebyś nie żywiła dłużej urazy do Benvenuto, tego postrzeleńca, który nie wie, co mówi, który mówi tak, jak się bije, na oślep, i który, ręczę, nie miał zamiaru cię zranić? Wiesz przecie, że łaskawość jest przywilejem bogów, droga bogini, wybacz tedy postrzeleńcowi w imię miłości do mnie!

— Postrzeleniec! — powtórzyła szeptem Anna.

— Och, wzniosłemu postrzeleńcowi, co prawda — mówił dalej Franciszek. — Widziałem się z nim wczoraj i obiecał mi cuda. To człowiek, który, jak mniemam, nie ma sobie podobnego w swojej sztuce i który okryje mnie sławą w przyszłości tak samo jak Andrea del Sarto, Tycjan i Leonardo da Vinci. Wiesz, jak kocham moich artystów, droga Anno, bądź tedy łaskawa i pobłażliwa dla niego, zaklinam cię. Ech, mój Boże, kwietniowy deszcz, niewieści kaprys i przechwałka artysty niosą moim zdaniem więcej uroku niż troski. No, wybacz mojemu ulubieńcowi, ty, moja ukochana.

— Jestem twoją poddaną i będę ci posłuszna, sire.

— Dziękuję. W zamian za łaskę, jaką mnie obdarza kobieca dobroć, możesz żądać, co tylko ci się spodoba od książęcej władzy. Ale niestety, oto. robi się późno, trzeba cię opuścić. Mam jeszcze, dzisiaj radę. Co za nuda! Och, mój brat Karol Piąty doprawdy utrudnia mi sprawowanie władzy. Posługuje się chytrą w miejsce rycerskości, piórem zamiast szpada; to wstyd. Myślę, że trzeba będzie wynaleźć nowe słowa, aby nazwać całą tę sztukę i przebiegłość w rządach. Żegnaj, moja biedna ukochana, postaram się być bystry i zręczny. Szczęśliwaś, że wystarczy, byś ' była tylko piękna, i że nieba ci to zapewniły. Żegnaj, nie wstawaj, paż czeka na mnie w przedpokoju. Do zobaczenia i myśl o mnie.

— Zawsze, panie.

I dłonią przesyłając jej ostatni gest pożegnania, Franciszek uniósł kotarę i wyszedł zostawiając piękną diuszese, która wierna obietnicy, zaczęła natychmiast myśleć o czymś zupełnie innym.

Bo też pani d'Etampes była osobą czynną, niespokojną, ambitną. Kiedyś usilnie starała się zdobyć miłość króla i podbiła jego serce, lecz wkrótce przestało to wystarczać jej niespokojnej naturze, zaczęła się przeto nudzić. Admirał Brion i hrabia de Longueval, których czas jakiś kochała, Diana de Poitiers, której zawsze nienawidziła, nie zajmowali jej wystarczająco; aliści od tygodnia pustka, jaką czuła w sobie; nieco się Wypełniła, i znów zaczęła żyć dzięki nowej nienawiści i nowej miłości; Nienawidziła Celliniego i kochała Ascania, a rozmyślała o jednym i drugim, podczas gdy dworki kończyły ją ubierać.

Kiedy pozostało ją tylko uczesać, zaansowano rewolucję Paryża i wicehrabię de Marmagne.

Obaj należeli do najbardziej oddanych zwolenników diuszesy przy istniejących na dworze dwóch stronnictwach: kochanki delfina, Diany de Poitiers, i jej własnym. Przyjaciół przyjmuje się dobrze, kiedy rozmyśla się o wrogu. Z wielkim tedy wdziękiem pani d'Etampes podała dłoń do ucałowania zaszewionemu rewolucjonistowi i uśmiechniętemu wicehrabi. — Mości panowie — rzekła z gniewem zgoła nie udawanym i współczuciem nie mającym w sobie nic obelżywego — dowiedzieliśmy się o tym, jak haniebnie obszedł się tobą ten italski gbur, z tobą, naszym najlepszym przyjacielem, i jesteście tym doprawdy dotąd oburzeni.

— Pani — odparł d'Estouteville, nawet z porażki korzystając, by wyrazić pochlebstwo — wstyd by mi było, gdyby mój wiek i urząd zostały oszczędzone przez niegodziwca, którego nie powstrzymała twoja uroda i łaskawość.

— Och, myślę tylko o tobie, przyjacielu — powiedziała Anna — a jeśli chodzi o moją osobistą zniewagę, to król, który jest doprawdy zbyt wyrozumiały dla tych zuchwałych cudzoziemców, zaklinał mnie, bym zapomniała o tym, zapominam przeto.

— Skoro tak, pani, to prośba, z jaką przyszliśmy do ciebie, zostałyby niewątpliwie źle przyjęte, pozwól tedy, że odejdziemy nie wyjawiając jej.

— Jakże to, panie d'Estouteville? Czyż nie jestem ci oddana w każdym czasie i cokolwiek się stanie? Mówże, mów! Albo się pogniewam na tak nieufnego przyjaciela.

— Oto, pani, w czym rzecz. Sądziłem, iż mogę zadysponować na korzyść wicehrabi de Marmagne prawem zamieszkania w jednym z królewskich zamków, otrzymanym dzięki twojej wspaniałomyślności, i wzrok nasz padł oczywiście na zamek Nesle, który dostał się w tak nieodpowiednie ręce.

— Ach, tak — rzekła diuszesa. — Słucham bacznie.

— Wicehrabia, pani, najpierw się skwapliwie zgodził; teraz jednak, po zastanowieniu, waha się, z przerażeniem myśli o owym strasznym Benvenucie.

— Wybacz, szanowny przyjacielu — przerwał wicehrabia de Marmagne — wybacz, ale — ile wykladasz sprawę. Nie obawiam się Benvenuta, obawiam się gniewu króla. Nie boję się, że polegnę z ręki tego italskiego gbura, używając twoich słów, pani, co tam! Ale boję się, że tak powiem, że go zabiję i że doznam krzywdy za to, iż pozbawiłem najjaśniejszego pana sługi, na którym, zdaje się, bardzo mu zależy.

— Ośmieliłem się przeto, pani, zrobić mu nadzieję, że w razie potrzeby nie odmówisz wicehrabi swojej protekcji.

— Nigdy nie odmówiłam protekcji przyjaciołom — rzekła diuszesa — a zresztą czyż nie stoi za wami lepsza niż ja przyjaciółka: sprawiedliwość? Czyż nie działacie zgodnie z pragnieniem króla?

— Jego królewska mość — odparł Marmagne — nie wskazał osobiście zamku Nesle na mieszkanie dla kogo innego niż ów Benvenuto, a nasz wybór, nie można tego kryć, będzie miał wszelkie pozory zemsty. A co będzie, jeżeli zabiję tego Celliniego, czego jestem pewien, zabiorę bowiem z sobą dwóch pewnych ludzi?

— Och, mój Boże! — rzekła diuszesa odsłaniając białe ząbki w uśmiechu. — Król dobrze chroni żywych; ale myślę, że niezbyt by się kwapił do pomszczenia martwych, a ponieważ wtedy jego uwielbienie dla sztuki nie będzie się mogło więcej przejawiać, spodziewam się, że będzie pamiętał tylko o swoim afekcie do mnie. Ten człek mnie publicznie tak straszliwie znieważył! Marmagne, zapominasz o tym?

— Ależ, pani — odezwał się przezorny wicehrabia — dowiedz się dokładnie, czego będziesz musiała bronić.

— Och, wicehrabio, doskonale cię pojmuję,

— Nie, nie, pozwól, pani, chcę, abyś o wszystkim wiedziała. Możliwe, że z tym diabelskim człkiem siła nie zda się na nic. Wyznam ci, że wtedy uciekniemy się do podstępu; gdyby uszedł moim śmiałkom w środku dnia na zamku, przypadkiem spotkają go któregoś wieczoru w bocznej uliczce i... oni mają nie tylko szpady, pani, mają też sztylety.

— Pojmuję — rzekła diuszesa, przy czym najmniejsza nawet bladość nie pokryła jej pięknego lica na słowa zapowiadające morderstwo.

— No właśnie, pani.

— No właśnie, wicehrabio, widzę że przezorny z ciebie człek i nie jest dobrze, do licha, być twoim wrogiem!

— A co się tyczy samej sprawy, pani?

— Sprawa jest w istocie poważna i warto by się nad nią może zastanowić; wszelako, co już powiedziałam, wszyscy wiedzą i sam król jest tego świadom, że ten człowiek dotkliwie uraził moją dumę. Nienawidzę go... równie mocno jak mojego męża i Diany de Poitiers i, na honor, myślę, że mogę wam obiecać... Co się dzieje, Isabeau? Dlaczego nam przeszkadzasz?

Ostatnie słowa diuszesy skierowane były do jednej z pokojowych, która weszła przerażona.

— Mój Boże!, Pani — rzekła Isabeau — proszę o wybaczenie, ale ten florencki artysta, ten Benvenuto Cellini jest tutaj z najpiękniejszą, jaką można sobie wyobrazić, złoconą misą. Bardzo grzecznie powiedział, że przyszedł ją podarować waszej wysokości i że usilnie prosi, byś łaskawie z nim porozmawiała minutę.

— Ach, tak, no, no! — rzekła diuszesa z satysfakcją ułagodzonej dumy. — I co mu odpowiedziałas?

— Że pani jeszcze nie jest ubrana i że pójdę ją uprzedzić.

— Bardzo dobrze. Zdaje się — dodała diuszesa zwracając się do skonsternowanego prewota. — że nasz wróg się zmienia na lepsze i zaczyna rozumieć, cośmy warci i co możemy. Wszystko jedno, nie wyłga się tanim kosztem, jak mu się zdaje, i nie przyjmę ot, tak, natychmiast jego przeprosin. Musi lepiej odczuć swoją zniewagę i nasz gniew. Isabeau, powiedz mu, że mnie uprzedziłaś i że ma czekać.

Isabeau wyszła.

— Powiedziałam więc, wicehrabio — podjęła diuszesa, wnosząc lekką zmianę do swego gniewu — że sprawa, o której mówisz, jest poważna i że ostatecznie nie mogę ci obiecać pomocy w zasadzce i morderstwie.

— Zniewaga była tak oczywista! — zaryzykował prewot. .

— Zadośćuczynienie będzie, mam nadzieję, równie oczywiste, mój panie. Ten groźny pyszałek; który opierał się monarchom, czeka w moich przedpokojach na przyzwolenie kobiety, a dwie godziny tego czyśca doprawdy zmażą zuchwałe słowo, Nie można też być bezlitosnym, przewocie. Wybacz mu, jak i ja mu za dwie godziny wybaczę,: czyż moja władza nad tobą miałaby być mniejsza niżli króla nade mną?

— Zechciej nam tedy pozwolić teraz, pani, pożegnać się — rzekł prewot z ukłonem — bo nie chciałbym składać mojej prawdziwej władczyni obietnicy, której nie dotrzymam.

— Chcecie odejść? Och, nie — zaprotestowała diuszesa, pragnąc mieć za wszelką cenę świadków triumfu. — Życzę sobie, mości przewocie, żebyś był obecny przy upokorzeniu swojego wroga i żebyśmy w ten sposób razem zostali pomszczeni. Ofiarowuję wam, tobie i wicehrabi, te dwie godziny: nie dziękujcie. Powiadają, że wydajesz córkę za hrabię d'Orbec, czy tak? Doprawdy, piękna partia. Mówię piękna, choć powinna bym powiedzieć: dobra; ależ usiądź, panie. Czy wiesz, że aby doszło do tych zaślubin, potrzebna jest moja zgoda? Ty o nią jeszcze nie prosiłeś, lecz ja ci ją daję. D'Orbec jest mi równie oddany jak ty. Mam nadzieję, że wreszcie zobaczymy i poznamy twą piękną córkę i że jej małżonek nie będzie na tyle nierozważny, żeby jej nie wprowadzić na dwór. Jakże ją zwiesz?

— Colombe, pani.

— Ładne i słodkie imię. Podobno ludzie mają pewien wpływ na los; jeśli tak jest, to biedne dziecko powinno mieć czułe serce i będzie cierpiało. No, co tam, Isabeau?

— Nic, pani, powiedział, że zaczeka.

— Ach, tak, doskonale. Zapomniałam już o nim. Tak, tak, powtarzam, bacz dobrze na Colombe, mości d'Estoutevilhr, hrabia będzie mężem tego samego pokroju co mój, jest równie ambitny, jak diuk d'Etamt pes chciwy, i tak samo zdolny zamienić żonę na jakiegokolwiek księstwo. Uważaj też na mnie! Zwłaszcza jeśli jest tak ładna, jak się utrzymuje! Przedstawisz mi ją, nieprawdaż, panie? Powinnam się postawić w stan gotowości do obrony.

Diuszesa, promienna w oczekiwaniu triumfu, długo i ze swadą tak mówiła, podczas gdy jej niecierpliwa radość przebijała z najmniejszego gestu.

— No, jeszcze dwa kwadransy — rzekła wreszcie — i miną dwie godziny; zwolnimy Benvenuto z piekielnych mąk. Postawmy się w jego sytuacji, musi straszliwie cierpieć, nie przywykł do takiego wartowania, Luwr stoi przed nim otworem i król go zawsze przyjmuje. Lubo zasłużył na to, żal mi go doprawdy. Musi zaciskać pięści, prawda? I nie może przy tym okazać złości! Ha, ha, ha, długo się z tego będę śmiała, Mój Boże, a to co? Co to za krzyki... ten hałas!

— Czyżby potępiony nudził się w czyścu? — odezwał się prewot, nabierając na nowo nadziei.

— Bardzo bym to chciała ujrzeć — rzekła pobladła diuszesa. — Chodźcie ze mną, panowie, chodźcie.

Benvenuto, zdecydowany (ze znanych nam przyczyn) zawrzeć pokój ze wszechmocną faworytą, nazajutrz po rozmowie z Primaticieiem wziął niewielką misę, ze złoczonego srebra — cenę spokoju — i podtrzymując pod ramię Ascania, bardzo słabego i bladego po nocy pełnej obaw, ruszył w kierunku pałacu Etampes. Najpierw natknął się na lokajów, którzy odmówili zaanonsowania go tak wcześnie swej pani, i dobre pół godziny stracił na pertraktacje. Zirytowało go to już dość mocno. Przyszła wreszcie Isabeau i zgodziła się uprzedzić panią d'Etampes. Gdy wróciła, powiadomiła Benvenuto, że diuszesa się ubiera i że Cellini musi trochę poczekać.

Uzbroił się przeto w cierpliwość i usiadł na zydlu obok Ascania, który wyczerpany drogą, gorączką i myślami odczuwał pewne osłabienie.

Tak minęła godzina Benvenuto zaczął rachować minuty. Ostatecznie jednak, myślał, toaleta diuszesy to rzecz ważna i z powodu czekania o kwadrans dłużej czy krócej nie będę zaprzepaszczał korzyści z podjętego kroku. Mimo jednak tej filozoficznej refleksji jął liczyć sekundy.

Ascanio tymczasem bladł coraz bardziej: pragnął ukryć przed mistrzem swoje cierpienie, toteż bez słowa heroicznie poszedł z nim; z rana wszelako nic nie jadł i choć nie chciał się do tego przyznać, czuł, że siły go opuszczają. Benvenuto nie mógł usiedzieć, zaczął tedy chodzić wielkimi krokami wzdłuż i wszerz przedpokoju.

Znów minął kwadrans.

— Cierpisz, chłopcze? — spytał Cellini Ascania.

— Nie, naprawdę nie, mistrzu; to raczej wy cierpicie. Błagam was, uzbrojcie się w cierpliwość, to na pewno nie potrwa już długo.

W tej chwili znów się pojawiła Isabeau.

— Twoja pani coś zwleka — zauważył Benvenuto.

Złośliwa dziewczyna podeszła do okna i spojrzała na zegar na dziedzińcu.

— Wszak czekacie dopiero półtorej godziny — rzekła. — Na co się więc żalicie?

A ponieważ Cellini zmarszczył brew, uciekła chichocząc.

Benvenuto wielkim-wysiłkiem woli opanował się jeszcze. Musiał tylko na powrót usiąść i ze skrzyżowanymi ramionami trwał w milczeniu i powadze. Zdawał się być spokojny; ale wrzał w nim cichy gniew. Dwóch służących stojących bez ruchu przy drzwiach przypatrywało mu się z powagą, która wyglądała na szyderstwo.

Zegar oddzwonił kwadrans; Benvenuto rzucił okiem na Ascania i ujrzał, że jeszcze bardziej pobladł i jest bliski omdlenia.

— O, co to, to nie! — wykrzyknął, nie mogąc tego dłużej wytrzymać. — Ona to robi umyślnie! Chciałem uwierzyć w to, co mi mówiono, i z grzeczności zaczekać; ale skoro chce się mnie, tu znieważać, a tak do tego nie nawykłem, że nawet mi to przez myśl nie przeszło; skoro mnie tedy znieważają, ja na to nie pozwolę, nawet jeśli to kobieta, odchodzę przeto. Chodź, Ascanio.

Mówiąc te słowa Benvenuto mocarną dłonią uniósł niegościnnie zydel, na którym uraza księżnej — choć on o tym nie wiedział — przez blisko dwie godziny go upokarzała, i rzucił nim, aż się roztrzaskał. Lokaje postąpili ku niemu, lecz Cellini sięgnął po sztylet i tym ich powstrzymał. Ascanio, lękając się o mistrza, chciał wstać, lecz wzruszenie do cna wyczerpało jego siły i upadł bez czucia. Benvenuto nie od razu to spostrzegł.

W tejsze chwili w drzwiach stanęła, diuszesa, blada i zagniewana.

— Tak, odchodzę — podjął gromkim głosem Benvenuto, który zauważył jej obecność — i powiedzcie tej kobiecie, że zabieram mój prezent i dam go komukolwiek, pierwszemu żebrakowi, jakiego spotkam, bo bardziej go będzie jednak godny niżli ona. Powiedzcie jej też, że jeśli mnie wzięła za takiego lokaja jak wy, to się pomyliła, i że my, artyści, nie sprzedajemy naszego posłuszeństwa i szacunku, jak ona sprzedając miłość! Przepuścić mnie teraz! Idziemy, Ascanio!

Odwrócił się ku ukochanemu uczniowi i ujrzał, że siedzi oparty o ścianę, zamkniętymi oczami, przechyloną głową, blady.

— Ascanio! — wykrzyknął Benvenuto, — Ascanio. chłopcze mój, zemdłał, może umiera! Och, kochany Ascanio, i to znów przez nią... — Odwrócił się z grożącym gestem ku diuszecie schylając się, by wziąć Ascania na ręce.

Ona zaś, przepelniona gniewem i przerażeniem, nie zdołała dotąd uczynić kroku ani wyrzec słowa. Widząc wszelako Ascania białego jak marmur, z przechyloną głową, rozrzuconymi długimi włosami, tak pięknego z tą bladością, tak wdzięcznego w omdleniu, w nieodpartym porywie rzuciła się ku niemu i niemal na klęczkach znalazła się naprzeciw Benvenuto, jak i on ściskając w rękach dłoń Ascania.

— Ależ to dziecko umiera! Jeśli go zabierzesz, panie, zabijesz go. Może mu trzeba natychmiast pomocy. Jeremiaszu, biegnij po mistrza Andrzeja. Nie chcę, żeby wyszedł stąd w takim stanie, słyszysz, panie Benvenuto? Ty możesz odejść lub nie, ale jego zostaw.

Benvenuto spojrział na diuszecę badawczo, a na Ascania z niepokojem. Pojął, że chłopcu nie się nie stanie, jeśli go zostawi pod opieką pani d'Etampes, może mu natomiast zagrozić nieostrożne przenoszenie. Jak zwykle szybko postanowił, co począć, gdyż błyskawiczne i nieodwołalne podejmowanie decyzji było jedną z zalet, a może wad Celliniego.

— Ty za niego odpowiadasz, pani! — rzekł.

— Własnym życiem! — zawołała diuszesa.

Pocałował lekko czeladnika w czoło i owijając się płaszczem, z ręką na sztylcie, wyszedł dumnie, zamieniwszy jeszcze z diuszesa nienawistne i pogardliwe spojrzenie. Na dwóch lokajów nie raczył nawet popatrzeć.

Anna płonącym z wściekłości wzrokiem śledziła swego wroga, dopóki mogła; potem wyraz jej oczu uległ zmianie i spuściła je z niespokojnym smutkiem na wdzięczną postać chorego; gniew zastąpiła miłość, tygrysica znów się stała gazelą.

— Mistrzu Andrzeju — zwróciła się do nadbiegającego właśnie medyka — zbadaj go, ratuj, jest ranny i umierający.

— To nic takiego — rzekł mistrz Andrzej — przelotna słabość. — I wlał Ascaniowi w usta kilka kropel kordiału, który zawsze nosił ze sobą.

— Przychodzi do siebie — zawołała diuszesa — poruszył się! Teraz mu trzeba spokoju, mistrzu, prawda? Przenieście go do tej komnaty na kanapę — rozkazała lokajom. Po czym zniżając głos, aby oni dwaj tylko ją słyszeli, dodała: — Jeśli jedno słowo wam się wymknie na temat tego, coście tu widzieli i słyszeli, głową zapłacicie za długi język.

Drżący lokaje skłonili się i podniósłszy ostrożnie Ascania, wynieśli go.

Zostawszy sama z prewotem i wicehrabią de Marmagne, rozważnymi świadkami doznanej zniewagi, pani d'Etampes zmierzyła obu, a szczególnie ostatniego, pogardliwym wzrokiem, zdławiła jednak ten odruch.

— Mówiłam więc, wicehrabio — podjęła z goryczą, lecz spokojnie — mówiłam więc, że sprawa, o której mi powiedział, jest poważna; to bez znaczenia, nie zastanowiłam się. Mam wystarczającą władzę, jak sądzę, aby pozwolić sobie na zadanie ciosu zdrajcy, wystarczy mi jej też w razie potrzeby, aby osiągnąć niedyskretnych. Tym razem król, spodziewam się, zgodziłby się na karę; ale ja chcę zemsty. Kara wyjawilaby zniewagę; zemsta ją pogrzebie. Mielicie dość rozważli, panowie, że odłożyliście zemstę, by jej nie zaprzepaścić, i za to was chwale; radzę także mieć dość rozumu, żeby wam się nie wymknęła, i czyńcie tak, abym nie musiała się do nikogo innego uciekać. Wicehrabio, żądasz, by ci powiedzieć wyraźnie. Zapewniam ci taką bezkarność, jaką ma kat; lecz jeśli chcesz znać moje zdanie, radzę tobie i twoim zabijakom zrezygnować ze

szpad, a pozostać przy sztyletach jeno. A teraz już nic nie mówcie, lecz działajcie, i to żwawo: to będzie najlepsza odpowiedź. Żegnajcie, panowie.

Rzekłszy te słowa głosem ostrym i urywanym, diuszesa wyciągnęła rękę, jakby dwóm wielmożom pokazywała drzwi. Skłonili się niezdarnie, w kontuzji nie potrafiąc odmówić, po czym wyszli oniemiałi.

— Och, być tylko kobietą i potrzebować takich tchórzy! — rzekła Anna patrząc za nimi z ustami wykrzywionymi niesmakiem. — O, jakże gardzę tymi wszystkimi mężczyznami, królewskim kochankiem, sprzedajnym mężem, lokajem w kaftanie, lokajem w liberii, wszystkimi z wyjątkiem jednego, którego wbrew sobie podziwiam, i drugiego, którego szczęśliwie kocham.

Weszła do komnaty, gdzie leżał uroczy chory. W chwili gdy diuszesa się doń zbliżała, Ascanio otworzył oczy.

— To nie było nic poważnego — rzekł mistrz Andrzej do pani d'Etampes. — Ten młodzieniec jest ranny w ramię, a zmęczenie, trochę wzruszeń, może nawet głód spowodowały chwilowe omdlenie, które jak widzisz, pani, dzięki kordiałom zupełnie minęło. Przyszedł już całkiem do siebie i dobrze zniesie drogę do domu w lektyce.

— Wystarczy, mistrzu! — powiedziała diuszesa wręczając sakiewkę mistrzowi Andrzejowi, ten zaś skłonił jej się nisko i wyszedł.

— Gdzie ja jestem? — spytał Ascanio, który przyszedłszy do siebie próbował zebrać myśli.

— Jesteś przy mnie, u mnie, Ascanio — odparła diuszesa.

— U ciebie, pani? Ach, poznaję cię, ty jesteś pani d'Etampes, I już sobie przypomniałem... Gdzie Benvenuto? Gdzie mój mistrz?

— Nie ruszaj się, Ascanio; twój mistrz jest bezpieczny, bądź spokojny; o tej porze posila się u siebie w domu.

— Ale jak to się stało, że mnie tu zostawił?

— Straciłeś przytomność, więc zostawił cię pod moją opieką.

— I powiadasz, pani, że nie grozi mu żadne — niebezpieczeństwo, że wyszedł stąd bez szwanku?

— Raz jeszcze oświadczam, Ascanio, że nigdy nie był równie bezpieczny jak w tej chwili. Niewdzięczniku, to ja czuwam nad tobą, troszczę się o ciebie, ja, diuszesa d'Etampes. z siostrzaną troską, a ty mówisz tylko o swoim mistrzu!

— Och, wybacz, pani, i wielkie ci dzięki! — powiedział Ascanio.

— Doprawdy, najwyższy czas! — rzekła diuszesa z lekkim uśmiechem, potrząsając śliczną główką.

I pani d'Etampes zaczęła mówić, a każdemu jej słowu towarzyszyła czuła modulacja głosu, zwyczajnym wyrazom nadawała najsztubtelniejszy odcień, każde pytanie stawiała z jakąś chciwością i z respektem słuchała każdej odpowiedzi, jak gdyby od tego zależał jej los. Była pokorna, łagodna i przymilna niczym kotka, przygotowana na wszystko i baczna jak dobra aktorka na scenie, łagodnie sprowadzała Ascania do właściwego tonu, jeśli się zeń wyłamywał, jemu przypisując wszystkie myśli, które ona przygotowała i wyraziła; wydawała się powątpiewać w siebie, a jego słuchała jak wyroczeni; wyteżala światły i zachwycający umysł, który, jak już powiedzieliśmy, sprawił, że ją nazywano najpiękniejszą z mądrych i najmądrzejszą z pięknych. Na koniec z rozmowy tej uczyniła najsłodsze pochlebstwo i najrzęczniejsze, uwiedzenie; a kiedy młodzieniec po raz trzeci czy czwarty zbierał się do odejścia, powiedziała, zatrzymując go jeszcze:



— Opowiadasz' mi, Ascanio, z taką swadą i ogniem o pięknej sztuce złotniczej, że staje się to dla mnie objawieniem i odtąd widzieć będę myśl tam, gdzie dotąd widziałam jeno ozdobę. Według ciebie tedy Benvenuto jest mistrzem w tej sztuce.

— Pani, on przewyższył samego Michała Anioła.

— Mam żal do ciebie. Pomniejszasz urazę, jaką mam do niego za to jego przykre wobec mnie zachowanie.

— Och, pani, nie trzeba baczyć na jego szorstkość. Pod opryskliwością kryje się najzarliwsza i oddana dusza; ale Benvenuto jest zarazem najbardziej niecierpliwym i zapalczwym duchem. Sądził, że kazałaś mu czekać bez powodu i ta zniewaga...

— Powiedz raczej figiel — przerwała diuszesa z udawanym zakłopotaniem rozpieszczonego dziecka. — Prawda jest taka, że kiedy twój mistrz przyszedł, nie byłam jeszcze ubrana i przedłużyłam tylko trochę toaletę. Źle zrobiłam, bardzo źle! Widzisz, że ci się ze wszystkiego zwiergam. Nie wiedziałam, żeś z nim przyszedł — dodała żywo.

— Tak, pani, tyle że Cellini, z pewnością nie będąc zbyt przenikliwym, a w dodatku raz już oszukany, uważa cię — tobie, takiej uprzejmej i dobrej, mogę to powiedzieć — uważa cię za bardzo złośliwą i odpychającą, toteż w dziecinnej psocie dopatrywał się zniewagi.

— Tak sądzisz? — spytała diuszesa, nie mogąc całkiem ukryć kpiącego uśmiechu.

— Och, wybacz mu, pani! Gdyby cię znał, uwierz mi, on, tak szlachetny i wspaniałomyślny, na kolanach by cię błagał o wybaczenie swo— jej pomyłki.

— Nie mów już nic! Czyżbyś zamierzał sprawić, bym go teraz polubiła? Ja chcę mieć do niego żal, powiadam, a na początek stworzę mu rywala.

— To będzie trudne, pani.

— Nie, Ascanio, bo tym rywalem będziesz ty, jego uczeń. Pozwól przynajmniej złożyć pośredni hołd nienawistnemu mi wielkiemu geniuszowi. No, czyż ty, którego wyobraźnię wychwała sam Cellini, odmówiłbyś oddania tej poetyczności na moje usługi? A skoro nie podzielasz uprzedzeń twego mistrza do mojej osoby, czy nie dowiedziesz tego, no, powiedz, godząc się mnie przystroić?

— Pani, co tylko mogę i umiem, oddaję na twoje rozkazy. Jesteś mi tak życzliwa, z takim zajęciem wypytywałaś mnie o moją przeszłość, o moje nadzieje, żeni ci oddany całym sercem i duszą.

— Dziecko! Nic jeszcze nie uczyniłam i na razie proszę cię tylko o odrobinę twego talentu. Powiedz, czyś widział może w wyobraźni jakiś cudowny klejnot? Mam wspaniałe perły; w jaki bajkowy deszcz chciałbyś je przekształcić, mój uroczy magiku? Chcesz wiedzieć, jaką ja mam myśl? Przed chwilą, kiedy leżałaś blada i ze zwieszoną głową, zdawało mi się, że widzę piękną lilię z łodygą przygiętą na wietrze. Zrób mi taką lilię z pereł i srebra, żebym ją nosiła u stanika — rzekła czarodziejka, kładąc dłoń na sercu.

— Och, pani, tyle dobroci...

— Ascanio, czy chcesz się odwdzińczyć za tę, jak powiadasz, dobroć? Obiecuj mi tedy, że będę twoją powiernicą, przyjaciółką, że niczego, co robisz, nic będziesz przede mną skrywał, żadnych zamiarów, trosk, bo widzę przecie, żeś smutny. Obiecuj, że do mnie przyjdiesz, gdy będziesz potrzebował pomocy i rady.

— Ależ to nowe względy, którymi mnie obdarzasz, pani, a nie dowód Wdzięczności.

— No więc obiecujesz?

— Niestety, pani; jeszcze wczoraj bym ci to obiecał; jeszcze wczoraj w odpowiedzi na twą wspaniałomyślność mógłbym powiedzieć, że jej potrzebuję: dzisiaj nikt już nic zdoła mi pomóc.

— Kto wie?

— Ja wiem, pani.

— Ach, ty cierpisz, cierpisz, Ascanio, widzę przecie. Ascanio ze smutkiem potrząsnął głową.

— Nie jesteś szczerzy z przyjaciółką, Ascanio; to niedobrze, niedobrze — ciągnęła diuszesa ujmując dłoń młodzieńca i lekko ją ściskając.

— Mój mistrz pewnie się niepokoi, pani, i lękam się, że ci natrętem. Czuję się już całkiem dobrze. Pozwól, że odejdę.

— Ależ ci spieszno opuścić mnie! Zaczekaj przynajmniej, aż przygotują lektykę. Nie sprzeciwiaj się, to polecenie medyka, to mój rozkaz.

Anna przywołała, służącego i wydała mu stosowne polecenia, po czym kazała Isabeau przynieść perły i kilka kamieni szlachetnych, które dała Ascaniowi.

— Zwracam ci teraz wolność — rzekła. — Kiedy już jednak wyzdrowiejesz, moja lilia będzie pierwszą pracą jaką się zajmiesz, czy tak? Na razie zastanów się nad tym, proszę, a gdy skończysz rysunek, przyjdź go pokazać.

— Tak, pani.

— A czy nie chciałbyś, abym i ja pomyślała o jakiej przysłudze dla ciebie i skoro ty robisz to, czego ja pragnę, żebym i ja uczyniła coś, czego sobie życzysz? No, Ascanio, czego byś pragnął, chłopcze? Bo w twoim wieku na próżno powściąga się serce, odwraca wzrok, zaciska usta, zawsze czegoś się pragnie. Sądzisz przeto, że mam tak małą władzę i znaczenie, że wzgardzasz mną jako swą powiernicą?

— Wiem, pani — odparł Ascanio — że masz całą władzę, jaka ci się należy. Ale żadna ludzka moc nie jest w stanie pomóc mi w położeniu, w jakim się znajduję.

— Ale powiedz przecie! — rzekła diuszesa.— Życzę sobie tego! — A łagodząc uwodzicielsko głos i minę dodała: — Błagam!

— Ach, pani! — zawołał Ascanio, przejęty bólem. — Skoro mówisz do mnie z taką dobrocią, skoro moje odejście ukryje przed tobą mój wstyd i łzy, uczynię nie tak jak wczoraj, kiedy to zaniósłbym prośbę do księżnej, lecz zwierzę się kobiecie. Wczoraj byłbym ci powiedział: Kocham Colombe i jestem szczęśliwy!... Dzisiaj mówię: Colombe mnie nie kocha, pozostaje mi więc tylko umrzeć! Żegnaj, pani, i współczuj mi!

Ascanio spiesznie ucałował dłoń diuszesy, milczącej i nieruchomej, po czym uciekł.

— Rywalka! Rywalka! — rzekła Anna, jakby się budząc ze snu. — Ale go nie kocha, a on pokocha mnie, chcę tego!... Och, przysięgam, że mnie pokocha i że zabiję Benvenuta!

## ROZDZIAŁ XIV

# O TYM, ŻE PODSTAWĄ LUDZKIEGO ŻYWOTA JEST CIERPIENIE

Niechaj czytelnik raczy nam wybaczyć gorycz i mizantropię tytułu. Myślą przewodnią rozdziału tego bowiem, musimy wyznać, będzie wyłącznie cierpienie, zupełnie jak w życiu. Stwierdzenie to nie jest nowe, powiedziałyby pewna znana postać z wodewilu, za to pocieszające, jako że posłuży nam może za wymówkę wobec czytelnika, którego poprowadzimy niczym Wergiliusz Dantego od rozpaczyny do rozpaczyny.

Co nie uwłacza ani czytelnikowi, ani Wergiliuszowi.

W tym miejscu opowieści przyjaciele nasi bowiem, od Benvenuta poczynając, a na Jakubie Aubry kończąc, pogrążeni są w smutku, i zobaczymy niebawem,, jak cierpienie, wzbierająca posępna fala, powoli ich kolejno ogarnia.

Zostawiliśmy Benvenuta mocno niespokojnego o losy Ascania. I przysięgam, że po powrocie do Grand-Nesle wcale nie rozmyślał o gniewie pani d'Etampes. Jedyne, co go troskało, to ukochany uczeń, Toteż wielce się uradował, kiedy otworzyła się brama i pojawiła się w niej lektyka, po czym Ascanio, lekko zeskoczywszy na ziemię, uściskał mu dłoń i zapewnił go, że ma się nie gorzej niż z rana. Wszelako po pierwszych słowach czeladnika czoło Benvenuta się zachmurzyło i ze szczególnym smutkiem na twarzy słuchał, co młodzieniec mówi:

— Mistrzu, będziecie musieli naprawić wyrządzoną krzywdę i wiem, że mi dziękujecie, zamiast mieć do mnie żal. Pomyliliście się co do pani d'Etampes; ona przeciwnie, szanuje was i podziwia i trzeba przyznać, żeście szorstko ją potraktowali, ją, kobietę, ją, diuszese. Mistrzu, pani d'Etampes jest nie tylko piękna jak bogini, jest także dobra jak anioł, skromna i serdeczna, otwarta i szlachetna i zachwycająca duchem. To, co uznaliście rano za obraźliwą pychę, było tylko dziecinną złośliwością. Was, który nie lubicie być niesprawiedliwym, ja, którego dna ugościła i otoczyła staraniem z tak ujmującym wdziękiem, proszę; nie trwajcie dłużej w tej krzywdzącej pogardzie. Ręczę, że niewiele zachodu wam sprawi, żeby zapomniała;.. Ale nie odpowiadacie, drogi mistrzu. Potrząsacie głową. Czyżbym wam ubliżył?

— Posłuchaj, moje dziecko — odrzekł poważnie Benvenuto — często ci powtarzałem, że moim zdaniem na świecie jedno jest tylko wiecznie piękne, wiecznie młode, wiecznie płodne: mianowicie boska sztuka.

I sądzę, wiem, mam nadzieję, że niektóre wrażliwe natury zdolne są darzyć uczuciem wielkim, głębokim i mogącym uczynić życie szczęśliwym, ale to się zdarza rzadko. Bo czymże jest zazwyczaj miłość? Jednodniowym kaprysem, radosnym związkiem, w którym ludzie nawzajem się oszukują, i to zwykle w dobrej wierze. Często szydę z takiej miłości, wiesz o tym, Ascanio: kpię z jej wymagań i języka. Ale nie oczerniam jej. Prawdę powiedziałwszy, ten właśnie

rodzaj mi się podoba; niesie z sobą w pomniejszeniu wszystkie radości, wszystkie uroki i cienie wielkiej pasji, ale ran po sobie nie zostawia śmiertelnych. Komedię czy tragedię po jakimś czasie człowiek pamięta już tylko jak przedstawienie teatralne. Bo widzisz, Ascanio, kobiety są urocze, lecz moim zdaniem prawie wszystkie zasługują wyłącznie na te złudzenia, tylko to są zdolne pojąć. Dać im więcej, to oszukańcza gra albo nieostrożność szaleńca. Patrz, na przykład Scorzona': gdyby wtargnęła do mojej duszy, na pewno by się przeraziła. Trzymam ją na progu i weseli się, śmieje, śpiewa, jest szczęśliwa. A do tego, Ascanio, niestałe związki mają tę samą trwałą podstawę, która zupełnie artyście wystarczy: kult kształtu i podziw dla czystego piękna. To element powagi, i on to sprawia, że uczucia tego nie oczerniam, choć je wyśmiewam. Ale słuchaj, Ascanio, jest jeszcze inny rodzaj miłości, i ten mnie wcale nie śmieszy, lecz przeraża: miłość straszliwa, nedorzeczna, niemożliwa jak marzenie,

„Och, mój Boże — pomyślał Ascanio — czyżby się dowiedział czegoś o moim szalonym uczuciu do Colombe?!”

— Taka miłość — ciągnął Cellini — nie sprawia przyjemności, nie daje szczęścia, a mimo to zagarnia cię całego; to wampir, który wysysa z ciebie powoli życie, pożera po trochu twoją duszę; nieuchronnie łapie cię w swoje szpony i już nie można się z nich wyrwać. Ascanio, Ascanio, strzeż się tego. Człowiek jasno widzi, że to tylko chimery i że niczego na tym nie zyska, a jednak ciałem i duszą ulega im i niemal z radością wyrzeka się życia.

„No, tak! Wie o wszystkim” — pomyślał Ascanio.

— Synu drogi — mówił dalej Benvenuto — jeśli jest jeszcze czas, zerwij te więzy, które cię spętają na zawsze; będziesz nosił po nich ślad, ale spróbuj przynajmniej wykraść im swoje życie.

--A kto wam powiedział, że ją kocham?— spytał czeladnik.

— Bogu dzięki, jeśli jej nie kochasz! — rzekł Benvenuto, sądząc, iż Ascanio przeczy, podczas gdy on tylko pytał. —Ale skoro tak, to uważaj, bo dziś rano widziałem, że ona cię kocha.

— Dziś rano! O kim wy, mówicie? Co to znaczy?

— O kim-mówię? O parli d'Etampes.

O pani d'Etampes!— powtórzył zdumiony czeladnik. — Ależ mylicie się, mistrzu, to zgoła niemożliwe. Powiadacie, że widzieliście, że pani d'Etampes mnie kocha?

—Ascanio, przeżyłem czterdzieści lat i wiem. Po spojrzeniach, jakie tą kobietą czasem na ciebie rzucała, po sposobie, w jaki potrafiła ci się pokazać, klnę się: poznaję, że cię kocha; a zapał, z jakim jej przed chwilą broniłeś, sprawia, że lękam się, iż ty także ją miłujesz. A w takim razie, drogi Ascanio, byłbyś zgubiony: wystarczająco płomienna, by wszystko w tobie strawić, miłość ta, gdyby przeminęła, zostawiłaby cię wyzutego z marzeń, z wiary, z nadziei, a jedynym na to sposobem byłoby, abyś ty z kolei pokochał miłością nikczemną i zgubną, abyś w innych sercach dokonał spustoszeń, jakie w twoim uczyniono.

— Mistrzu — odezwał się Ascanio — nie wiem, czy pani d'Etampes mnie kocha, ale wiem na pewno, że ja nie kocham pani d'Etampes.

Benvenuta częściowo tylko uspokoiła szczerość na twarzy Ascania, myślał bowiem, że czeladnik sam siebie może oszukiwać. Nie wracał przeto więcej do tego, a w następnych dniach często ze smutkiem spoglądał na ucznia.

Powiedzieć jednak należy, że chyba nie troskał się o Ascania. Wyglądał, jakby miał własne strapienia. Odeszła go żywiołowa radość, niegdysiejsze oryginalne kaprysy. Co dzień z rana zamykał się w izdebce nad odlewnią i wyraźnie zakazał, by mu wtedy przeszkadzano. Przez resztę dnia pracował ze zwykłą werwą nad olbrzymim posągim Marsa, atoli przestał o nim

mówić z uprzednią serdecznością. Zwłaszcza w obecności Ascania wydawał się posepny, zakłopotany i jakby zawstydzony. Sprawiał wrażenie, że unika swego ucznia niczym wierzyciela lub sędziego. Słowem, nietrudno było spostrzec, iż jakieś wielkie cierpienie, straszliwa namiętność opanowała tę silną naturę i trawi ją.

Ascanio wcale nie czuł się szczęśliwszy; był przekonany, jak powiedział pani d'Etampes, że Colombe go nie kocha. Hrabia d'Orbec, znany mu tylko z nazwiska, dla opanowanego zazdrością czeladnika był młodym i wytwornym panem, córka zaś imć pana d'Estouteville, szczęśliwa narzeczona pięknego szlachcica, ani przez chwilę nie pomyślała o prostym artyście, a gdyby nawet zachował mglistą i ulotną nadzieję, która nigdy nie opuszcza serca przepelnionego miłością, sam zaprzepaścił już wszelkie swoje szanse wyjawiając pani d'Etampes — jeśli prawdą było, że go kocha — imię jej rywalki. Małżeństwo, któremu by może zdołała przeszkodzić, teraz postara się przyspieszyć ze wszystkich sił; całą mocą swej nienawiści prześladować będzie biedną Colombe. Tak, Benvenuto miał słuszość: miłość tej kobiety była doprawdy straszna i zabójcza, lecz miłość Colombe powinna być owym szlachetnym i boskim uczuciem, o którym najpierw mówił mistrz r— cóż, kiedy całe związane z nim szczęście przeznaczono innemu.

Ascanio popadł w rozpacz; uwierzył w przyjaźń pani d'Etampes, a ta zwodnicza przyjaźń okazała się zgubną miłością; spodziewał się miłości po Colombe, a ta fałszywa miłość okazała się tylko obojętną przyjaźnią. Czuł, że jest bliski znieawidzenia obu kobiet, co tak opacznie odwzajemniały wszystkie jego marzenia, każda pałając uczuciem, jakim pragnąłby, aże,by go obdarzyła druga.

Pogrążony w posepnym zwątpieniu, nie myślał nawet o lili zamówionej przez panią d'Etampes i ogarnięty zazdrosnym rozczarowaniem nie chciał więcej chodzić do Petit-Nesle mimo błagań i wyrzutów Ruberty, której niezliczone pytania pozostawiał bez odpowiedzi. Niekiedy wszelako żałował pochopnych postanowień, okrutnych niewątpliwie tylko dla niego. Chciał zobaczyć Colombe, poprosić ją, żeby się wytłumaczyła, tylko z czego? Z jego własnych niedorzecznych urojeń! Ale przynajmniej by ją zobaczył, myślał w chwilach wzruszenia; tym razem wyznałby jej swą miłość jako zbrodnię, a ona, taka dobra, pocieszyłaby go może jak w nieszczęściu. Co tu jednak powiedzieć o tym, że nie przychodził, jak się wytłumaczyć przed dziewczyną?

Ascaniowi pośród tych prostodusznych i bolesnych rozmyślań upływał czas, a on nie śmiał podjąć decyzji.

Colombe czekała na Ascania ze strachem i radością następnego dnia po tym, jak jejmość Perrine przybiła czeladnika straszliwą wieścią; daremnie jednak liczyła godziny i minuty; daremnie jejmość Perrine nastawiała ucha: Ascanio, na czas przyszedłszy do siebie po omdleniu, mógł skorzystać z pozwolenia Colombe, lecz nie zastukał z Rubertą po czterokroć w bramę Petit-Nesle, jak umówiono. Co to mogło znaczyć?

To mogło znaczyć, że Ascanio jest chory, może umierający, w każdym razie zbyt słaby aby przyjść. Tak przynajmniej myślała Colombe; cały wieczór spędziła na kolanach na klęczniku, płacząc i modląc się, a kiedy przestała się modlić, spostrzegła, że dalej płacze. Obawa ściskająca jej serce stanowiła dla niej coś nowego. A było się czym przerazić, gdyż w niecały miesiąc Ascanio opanował jej myśli do tego stopnia, że zapomniała o Bogu, o ojcu, o własnym nieszczęściu.

Ale to przecież było najważniejsze! Ascanio cierpiał tam, dwa kroki od niej; umierał, a ona nie mogła go zobaczyć! Nie była, to odpowiednia chwila, by się zastanawiać, lecz płakać, ciągle płakać. Kiedy on wyzdrowieje, wtedy Colombe się zastanowi.

Następnego dnia było jeszcze gorzej. Perrine czyhała na Rubertę, a kiedy ujrzała, że wychodzi, wybiegła co żywo, bardziej po zapasy wieści niż po zapasy żywności. Otóż Ascanio wcale nie miał się gorzej; Ascanio oświadczył po prostu, że nie pójdzie do Petit-Nesle, nie odpowiadając na skwapliwe pytania Ruberty inaczej, jak upartym milczeniem. Kumom pozostały tylko domysły. Było to bowiem dla nich całkowicie niepojęte.

Colombe zaś nie zastanawiała się długo, natychmiast pomyślała: „Wie o wszystkim; dowiedział się, że za trzy miesiące będę żoną hrabi d'Orbec i nie chce mnie więcej widzieć.”

W pierwszej chwili była nawet wdzięczna ukochanemu za jego gniew i uśmiechnęła się. Kto chce, niech tłumaczy tę tajemną radość, my tylko opowiadamy. Ale zastanowiwszy się, wkrótce poczuła do Ascania żal, iż mógł przypuścić, że jej nie wprawia w rozpacz podobny związek. „Gardzi więc mną” — pomyślała. Wszystkie te nastroje oburzenia bądź czułości były bardzo niebezpieczne: odsłaniały serce nieświadome własnych uczuć. Colombe na głos mówiła, że nie chce więcej Ascania widzieć, ale po cichu czekała nań, aby się usprawiedliwić. I cierpiała mając skrupulatne sumienie; cierpiała, bo nie poznano się na jej miłości.

Nie jedyna to miłość, na której się Ascanio nie poznał. Była jeszcze inna, silniejsza, bardziej niecierpliwa, by się ujawnić, i która śniła skrycie o szczęściu, tak jak nienawiść śni o zemście.

Pani d'Etampes nie wierzyła, nie chciała uwierzyć w głębokie uczucie Ascania do Colombe. „Chłopię, które nie wie, czego pragnie — myślała — podkochuje się w pierwszej ładnej pannie, jaką ujrzała, natrafił na wzgardę pysznego i głupiutkiego dziewczątka i jego dumę podnieciła przeszkoda. Och, kiedy poczuje, co to prawdziwa miłość, miłość gorąca i trwała, kiedy się dowie, że ja, diuszesa d'Etampes, której kaprys rządzi królestwem, kocham go!... Musi o tym wiedzieć!”

Wicehrabia de Marmagne i prewot Paryża cierpieli z nienawiści tak samo, jak Anna i Colombe cierpiały z miłości. Śmiertelnie znienawidzili Benvenuto, szczególnie Marmagne.. Benvenuto sprawił, że kobieta nim wzgardziła i upokorzyła go, Benvenuto zmuszał go do odwagi, gdyż przed sceną, jaka się rozegrała w pałacu Etampes, wicehrabia mógłby kazać swoim ludziom zasztyletować złotnika na ulicy, teraz jednak musiał go zaatakować w jego domu, a Marmagne na myśl o tym drżał z przerażenia, nigdy się zaś nie wybacza komuś, kto spowodował, że człowiek poczuł się tchórzem.

Wszyscy tedy cierpieli, nawet Scorzona. Scorzona-trzpiotka. Scorzona-szalona przestała się śmiać, przestała śpiewać, a oczy nierzadko miała czerwone od łez. Benvenuto już jej nic kochał, Benvenuto był ciągle zimny, a niekiedy opryskliwy wobec niej.

Biedną Scorzoną stale dręczyła jedna tylko myśl, która przerodziła się w obsesję: pragnęła zostać żoną Benvenuto. Kiedy po raz pierwszy przysła do niego sądząc, iż posłuży mu za zabawkę, on zaś potraktował ją ze względami niczym damę, a nie kochankę, biedne dziewczę ujrzało się naraz wyniesione przez ów nieoczekiwany respekt i niespodziewane honory, a równocześnie poczuło głęboką wdzięczność dla swego dobroczyńcy, naiwną dumę dostrzegłszy, że jest tak wysoko oceniona. Odtąd, i to nie na rozkaz, lecz na prośbę Celliniego, z radością zgodziła się służyć mu za model, a widząc siebie tyle razy odtwarzaną i podziwianą w brązie, srebrze i złocie, jęła po prostu sobie przypisywać połowę sukcesów złotnika, ponieważ, koniec końców, te piękne kształty, tak często chwalone, należały bardziej do niej niż do mistrza. Chętnie się rumieniła, kiedy wieszowano Benvenutovi czystości linii tego czy tamtego posągu; wmawiała sobie z upodobaniem, że jest absolutnie niezbędna dla sławy swego kochanka i że stała się częścią jego chwały, tak samo jak stała się częścią jego serca.

Biedne dziecko! Nie miała pojęcia, że przeciwnie, nigdy nie była dla artysty owym sekretnym duchem, ową ukrytą boskością, której każdy twórca przyzywa i która czyni zeń

twórcę; ponieważ jednak Beiwenuto zdawał się kopiować jej pozy i wdzięk, w prostocie swej wierzyła, że zawdzięcza jej wszystko, i tak się powoli rozzuchwiała; że zaczęła myśleć, iż wyniósłszy kurtyzanę do rangi swej kochanki, kochankę wyniesie do rangi żony.

Ponieważ zaś nie potrafiła niczego skrywać, szczerze wyznała mu swoje roszczenia. Cellini poważnie jej wysłuchał i odpowiedział:

— Zobaczmy.

A w rzeczywistości wolałby wrócić do zamku Świętego Anioła, narażając się na powtórne złamanie nogi przy ucieczce. Nie żeby gardził swoją drogą Scorzoną: kochał ją czule, a nawet nieco zazdrośnie, co widzieliśmy, przede wszystkim jednak kochał sztukę i jego prawdziwą i prawowitą panią była najpierw rzeźba. A gdyby się ożenił, czyż małżonek by nie przytłumił radości cygana? Czy ojciec rodziny by nie stanął na przeszkodzie rzeźbiarzowi? A w dodatku gdyby musiał poślubić wszystkie swoje modelki, przynajmniej po stokroć dopuściłby się już bigamii.

— Kiedy przestanę kochać i rzeźbić Scorzonę — mówił sobie Benvenuto — znajdę jej jakiegoś dzielnego chłopca o wzroku zbyt krótkim, aby zaglądać w przeszłość i zerkać w przyszłość, a który będzie tylko widział ładną kobietę i ładny posag, jaki jej dam. W ten sposób zaspokoję trawiące Scorzonę mieszczańskie pragnienie, aby nosić nazwisko męża.

Bo Cellini był przekonany, że Scorzona pragnie przede wszystkim męża. A kto nim będzie, nie miało znaczenia.

Na razie pozwalał ambitnej dziewczynie karmić się do woli złudzeniami. Jednakże od przeprowadzki do Grand-Nesle nie było się co dłużej ludzi i Scorzona, widząc, że nie jest tak niezbędna Benvenuto do życia i pracy, jak myślała, nie potrafiła już rozwiać wesołością mgiełki smutku, jaką pokryło się jej czoło; a tu jeszcze Cellini zaczął modelować w wosku Hebe, do której nie pozowała. Aż strach pomyśleć! Biedna mała próbowała kokietować Ascania w obecności Celliniego, lecz najłżejsze gniewne zmarszczenie brwi nie świadczyło o zazdrości mistrza. Czy miała się zatem pożegnać z tyloma pięknymi marzeniami i pozostać jedynie biedną dziewczyną upokarzaną jak dawniej?

Co się tyczy Pagola, to jeśli czytelnik ciekaw jest zgłębić zakamarki jego duszy, powiedzieć trzeba, że nigdy jeszcze Pagolo nie był bardziej posępny i milczący.

Pomyślisz, czytelniku, że przynajmniej wesoły student Jakub Aubry, nasz stary znajomy, zdołał nie narazić się smutkiem? Nic podobnego: on także miał swoją część cierpienia. Simonne, nie doczekawszy się go w niedzielę, kiedy oblegano Nesle, wróciła zagniewana do mężowskiego domu i nie chciała więcej pod żadnym pretekstem widzieć zuchwałego studenta. On zaś, aby się zemścić, zrezygnował z usług męża kapryśnicy; okropny krawiec jednakże na wieść o tym nie okazał żadnego innego uczucia poza żywym zadowoleniem; bo o ile Jakub Aubry nader szybko i rozrzutnie niszczył odzienie (kieszenie wolniej), należy dodać, iż jego ekonomiczną zasadą było nigdy nie płacić za nie. A kiedy nie .Mało wpływu Simonne, aby zrównoważyć brak pieniędzy, samolubny krawiec uznał, że zaszczyt ubierania Jakuba Aubry nie bilansuje strat, jakie ponosi ubierając go za nic.

Tak więc naszego biednego przyjaciela dotknęło naraz wdowieństwo i brak odzienia. Na szczęście mogliśmy spostrzec, że nie był to młodzian, którego by długo dręczyła melancholia. Niebawem spotkał uroczą pocieszycielkę zwaną Gervaise. Jednakże Gervaise była naszpikowana wszelkiego rodzaju zasadami, co on uważał za bardzo dziwaczne; bez ustanku mu się wymykała, a on szalał, żeby znaleźć sposób na.-przyłapanie kokietki. Stracił od tego chęć do picia i jedzenia,

tym bardziej że jego niegodziwy karczmarz, krewniak niecnego krawca, nie chciał mu dłużej udzielać kredytu.

Wszyscy, których imiona wymieniono na tych stronicach, byli zatem nieszczęśliwi, poczynając od króla, niespokojnego, czy Karol V zechce czy nie zechce przejechać przez Francję, a kończąc na Perrine i Rubercie, bardzo zmartwionych, że nie mogą wieść swoich pogwarek; i gdyby nasi czytelnicy, niczym starożytny Jowisz, mieli prawo i ochotę poznać wszystkie skargi i życzenia śmiertelników, mogliby usłyszeć taki oto płaczliwy Chórek:

Jakub Aubry: — Gdyby Gervaise przestała śmiać mi się w nos!

Scorzona: — Gdyby Benvenuto choć przez chwilę znów był zazdrosny!

Pagolo: — Gdyby Scorzona mogła znienawidzić mistrza!

Marmagne: — Gdybym miał szczęście zaskoczyć tego Benvenuta samego!

Pani d'Etampes: — Gdyby tylko Ascanio wiedział, że go kocham!

Colombe: — Gdybym go zobaczyła na minutę, tyle, żeby się wytłumaczyć!

Ascanio: — Gdyby się wytłumaczyła!

Benvenuto: — Gdybym się ośmielił wyznać moją mękę przynajmniej Ascaniowi!

Wszyscy: — Ach! ach! ach!



## ROZDZIAŁ XV

### O TYM, ŻE RADOŚĆ JEST TYLKO CIERPIENIEM, KTÓRE ZMIENIA NAZWĘ

Wszystkie te tak gorące pragnienia miały zostać spełnione przed upływem tygodnia. Tyle że ich spełnienie uczyni tych, co je wyrazili, jeszcze bardziej nieszczęśliwymi i smutnymi niż dotąd. Tak to już jest: każda radość nosi w sobie zalążek nieszczęścia.

Najpierw Gervaise przestała się Jakubowi śmiać w nos. Jak pamiętamy, zmiany tej student gorąco pragnął, Jakub znalazł bowiem złote kajdany, które miały skuć kapryśną dziewczynę, kajdanami tymi stał się cudny pierścień rzeźbiony przez samego Benvenuta, a przedstawiający dwie złączone dłonie.

Należy tu wyjaśnić, że od dnia bitwy Jakub bardzo polubił florenckiego artystę za jego swobodną i wszechwładną potęgę. Nie przerywał mu, kiedy mówił, rzecz niesłychana! Patrzył nań i słuchał go z szacunkiem, do czego profesorowie nigdy nie potrafili studenta zmusić. Podziwiał jego dzieła z zapalem jeśli nie światłym, to przynajmniej bardzo szczerym i gorącym. Z drugiej zaś strony, zacność, odwaga i dowcip Jakuba spodobały się Celliniemu. W grze w piłkę był akurat tak mocny, aby się bronić, ale przegrywać. Mógł wieść przy stole pojedynki na butelki prawie jak równy z równym. Krótko mówiąc, złotnik i Jakub Aubry stali się najlepszymi w świecie przyjaciółmi i Cellini, szczodry, bo wiedział, że jego bogactwo jest niewyczerpane, zmusił go pewnego dnia, by przyjął ów niewielki pierścionek, tak cudownie wyrzeźbiony, że w braku jabłka skusiłby Ewę, a także wywołał niezgodę podczas godów Tetydy i Peleusa.

Nazajutrz po tym, jak pierścionek przeszedł z rąk Jakuba do rąk Gervaise, Gervaise na nowo spoważniała i student uznał, iż ją zdobył. Biedny głupiec! To ona jego zdobyła!

Scorzona, zgodnie ze swym pragnieniem, zdołała wykrzesać w sercu Benvenuta iskierkę zazdrości. A oto jak to się stało.

Jednego wieczoru, kiedy jej zalotność i wdzięczenie znów się na nic zdały wobec nieprzeniknionej powagi mistrza, ona z kolei przybrała uroczystą minę.

— Benvenuto — rzekła — zdaje mi się, że nic a nic nie myślisz o swoich zobowiązaniach wobec mnie.

— O jakich zobowiązaniach, moja mała?— spytał Benvenuto patrząc w sufit, jakby tam szukał wyjaśnienia tego zarzutu.

— Czy nie obiecywałeś mi setki razy, że mnie poślubisz?

— Nie przypominam sobie — odparł Benvenuto,

— Nie przypominasz sobie?

— Nie, wydaje mi się, że odpowiedziałem tylko: zobaczymy.

— No i co? Zobaczyłeś?

— Tak.

— Co zobaczyłeś?

— Że jestem jeszcze za młody, aby już teraz być kim innym niż twoim kochankiem, Katarzyno. Wrócimy do tego za jakiś czas.

— A ja nie jestem już taka głupia, mój panie, żeby się zadowolić tak mglistą obietnicą i wiecznie na ciebie czekać.

— Rób, jak uważasz, moja mała, a jeśli ci się spieszy, idź naprzód.

— Ale co ty w końcu masz przeciwko małżeństwu? Co to zmieni w twoim życiu? Uszczęśliwisz tylko biedną dziewczynę, która cię kocha, to wszystko.

— Co to zmieni w moim życiu? — powtórzył z powagą Cellini. — Widzisz tę świecę, której słaby blask lekko rozjaśnia dużą izbę? Kładę gasidło na płomyk i jest zupełnie ciemno. Małżeństwo to takie właśnie gasidło. Zapal tę świecę, Katarzyno, nie znoszę ciemności.

— Pojmuję! — zawołała Scorzona wybuchając płaczem. — Nosisz zbyt słynne nazwisko, żeby je dać nic nie wartej dziewczynie, którą tobie dała całą swoją duszę, całe życie, wszystko, co miała, co tylko mogła ci dać, która jest gotowa wszystko dla ciebie znieść, która oddycha tylko dzięki tobie, która kocha tylko ciebie...

— Wiem o tym, Katarzyno, i zapewniam, że jestem ci doprawdy niesłychanie wdzięczny.

— Która z chęcią dzieliła twoją samotność i rozweseliła ją, która wiedząc, żeś zazdrosny, nie przygląda się już pięknym kawalkadom łuczników i straży miejskich, która zawsze zamykała uszy na słodkie słówka, choć je słyszała, nawet tutaj.

— Nawet tutaj? — przerwał Benvenuto,

— Tak, tutaj, właśnie tutaj, słyszysz?

— Scorzona! — zawołał Cellini. — Mam nadzieję, że to nie któryś z moich towarzyszy ośmielił się do tego stopnia znieważyć swego mistrza!

— On by mnie poślubił, gdybym chciała — ciągnęła Scorzona, przypisując nawrotowi miłości wybuch gniewu Benveriuata.

— Scorzona, mów zaraz! Kim jest ten zuchwalec?... Mam nadzieję, że to nie Ascanio?

— Jest taki jeden, co setki razy mi mówił: Katarzyno, mistrz cię wykorzystuje; nigdy cię nie poślubi, ciebie, taką dobrą i ładną; jest na to ca dumny. Och, gdyby cię kochał tak, jak ja cię kocham, albo gdybyś zechciała mnie pokochać tak, jak kochasz jego!

— Imię, imię tego zdrajcy! — wybuchnął gniewnie Benvenuto.

— Tyle że ja go wcale nie słuchałam — ciągnęła uradowana Scorzona. — Przeciwnie, wszystkie te słodkie słówka szły na marne i groziłam mu, że wszystko ci powiem, jeżeli nie przesianie. Kochałam tylko ciebie. byłam ślepa, a zalotnik daremnie próbował mi dusery i robił słodkie oczy. Tak, tak, przybieraj sobie obojętną minę, udawaj, że mi nie wierzysz; a tymczasem to wszystko prawda.

— Nie wierzę ci — rzekł Benvenuto, spostrzegłszy się, że jeśli chce poznać imię rywala, musi użyć zupełnie innego sposobu niż ten, który stosował dotąd.

— Co? Nie wierzysz mi? — zawołała zaskoczona Scorzona.

— Nie.

— Myślisz zatem, że kłamię?

— Myślę, że jesteś w błędzie.

— A więc twoim zdaniem nikt mnie już nie może pokochać?

— Tego nie powiedziałem.

— Tak sądzisz?

Benvenuto uśmiechnął się, gdyż pojął, iż znalazł sposób, żeby zmusić Scorzonę do mówienia.

— A jednak ktoś mnie kocha, taka jest prawda — podjęła. Benvenuto znów uczynił powątpiewający gest.

— Ktoś mnie kocha bardziej, niż ty mnie kiedykolwiek kochałeś, bardziej, niż mnie kiedykolwiek będziesz kochał, słyszysz, mój panie?

Benvenuto zaniósł się śmiechem.

— Ciekaw jestem— powiedział — kim jest ów Medor.

— On się nie nazywa Medor — odparła Katarzyna.

— No więc jak? Amadis?

— Ani Amadis, Nazywa się.

— Galaor?

— Nazywa się Pagolo, skoro już tak bardzo chcesz wiedzieć.

— Aaa, więc to mój Pagolo!— szepnął Benvenuto,

— Tak, to Pagolo — rzekła Scorzona dotknięta pogardliwym tonem, jakim Cellini wymówił imię swego rywala — porządny chłopiec z dobrej rodziny, spokojny, cichy, pobożny i który byłby doskonałym mężem.

— Tak uważasz, Katarzyno?

— Tak, tak właśnie uważam,

— I nigdy mu nie dałaś żadnej nadziei?

— Nawet go nie słuchałam. Och, byłam bardzo głupia! Ale teraz...

— Masz słuszność, trzeba go wysłuchać i dać *mu* odpowiedź.

— Jak to? Co też ty mówisz?

— Mówię ci, żebyś słuchała, kiedy będzie mówił o swojej miłości, i nie odtrącała go. Reszta to moja sprawa.

— Ależ.

— Ależ bądź spokojna, mam w tym swój cel.

— To i dobrze. Spodziewam się jednak, że nie ukarzesz za bardzo tego nieboraka, który wygląda, jakby wyznawał grzechy, kiedy mówi: Kocham cię. Możesz mu wypłatać figła, skóro chcesz, ale nie szpadą. Proszę o łaskę dla niego.

— Będziesz rada z zemsty, Katarzyno, bo zemsta obróci się na twoją korzyść.

— Jak to?

— Tak, dzięki niej spełni się jedno z twoich najgorętszych pragnień.

— Co to ma znaczyć, Benvenuto?

— To moja tajemnica.

— Och, gdybyś wiedział, jaką robi śmieszna minę, kiedy chce być czuły — podjęła szalona dziewczyna, niezdolna trwać w smutku nawet przez pięć minut. — A więc, niedobry, zajmuje cię nadal, że ktoś zaleca się do twojej śmieszki? Kochasz jeszcze choć trochę biedną Scorzonę?

— Tak. Ale musisz mnie ślepo słuchać, jeśli chodzi o Pagola, i dokładnie wypełniać instrukcje, jakie ci daję.

— Och, nie martw się, potrafię grać komedię jak każda inna. Niedługo mi powie: I co, Katarzyno, dalej taka okrutna? A ja na to rzeknę: Cóż to, ty znowu, panie Pagolo? Tylko, rozumiesz, głosem bardzo zagniewanym, ale dość zachęcającym. Jak zobaczy, że nie jestem już sroga, poczuje się zdobywcą świata. A co ty mu zrobisz, Benvenuto? Kiedy zaczniesz się na tiim mścić? Czy to długo potrwa? Będzie zabawne? Pośmiejemy się?

— Pośmiejemy się — przytaknął Cellini.

— I zawsze będziesz mnie kochał?

Benvenuto złożył na jej czole twierdzący pocałunek, czyli najlepszą z odpowiedzi, zważywszy, że mówi wszystko i nie mówi nic.

Biedna Scorzona nie przypuszczała, że pocałunek Celliniego to początek zemsty.

Wicehrabia de Marmagne, zgodnie ze swym życzeniem, spotkał Benvenuta samego. Oto jak do tego doszło.

Pobudzony gniewem prewota, podniecony wspomnieniem pogardy pani d'Etampes, a zwłaszcza ukłuty ostrogą ogromnej chciwości, wicehrabia, zdecydowany napaść przy pomocy swoich dwóch zbirów lwa w jego jamie, wybrał na tę wyprawę dzień świętego Eligiusza, święto cechu złotników, kiedy pracownia miała być pusta, Szedł tedy ulicą z podniesioną głową, bijącym sercem, swoich zabijaków mając dziesięć kroków, z tyłu.

— Oto gładki wielmoża — rozległ się u jego boku jakiś głos — który rusza na miłosny podbój, dzielną minę niosąc dla swej damy, dwóch zbirów wiodąc dla jej męża.

Marmagne odwrócił się sądząc, że to odezwał się doń ktoś z przyjaciół, lecz ujrzał jedynie nieznanomego w tę samą zmerzającą stronę, a którego w zamyśleniu wcale nie zauważył.

— Idę o zakład, że dobrze odgadłem, szlachetny panie — ciągnął nieznanomego, przechodząc od monologu do dialogu. — Stawiam moją sakiewkę przeciwko twojej, nie wiedząc nawet, co w niej jest, bo mi to obojętne, że czeka cię miłosa przygoda. Och, nic nie mów, panie, miłość wymaga dyskrecji. Jeśli o mnie chodzi, zwą mnie Jakub Aubry; jestem ze studenckiego stanu i zmierzam właśnie na spotkanie z moją kochanką, Gervaise-Perrette Poppinot, ładną panną, ale, mówiąc między nami, straszliwie cnotliwą, która jednak złożyła broń w obliczu pierścionka; co prawda pierścionek ten to klejnocik, klejnocik cudnej roboty, dzieło Benvenuta Celliniego, ni mniej, ni więcej!

Dotąd wicehrabia de Marmagne ledwie słuchał zwierzeń zuchwałego gaduły i nie raczył mu odpowiadać. Na dźwięk wszelako nazwiska Benvenuta Celliniego obudziła się w nim czujność.

— Dzieło Benvenuta Celliniego! Do licha! To doprawdy nazbyt cenny podarunek jak na studenta.

— Och, pojmujesz, drogi baronie... Jesteś baronem, panie, hrabią czy wicehrabią?

— Wicehrabią — odparł Marmagne, zagryzając usta na zuchwałą poufałość, na jaką sobie student wobec niego pozwalał, pragnął bowiem coś z niego wyciągnąć.

— Pojmujesz, drogi wicehrabio, że go nie kupiłem. Nie, choć artysta, nie wydaję pieniędzy na takie głupstwa. Benvenuto mnie nagroził w podzięce za pomoc, jakiej mu udzieliłem w ostatnią niedzielę, gdy odbierał prewotowi Grand-NesLe.

— Jesteś tedy przyjacielem Celliniego? — spytał Marmagne.

— Najbliższym, wicehrabio, i szczyć się tym. Między nami mówiąc, jesteśmy przyjaciółmi na śmierć i życie. Znasz go niewątpliwie również, prawda?

— Owszem.

— Szczęśliwys tedy. Nadzwyczajny geniusz, czyż nie, mój drogi? Przepraszam, mówię do ciebie, panie: mój drogi, to taki zwrot, a poza tym zdaje się, że i ja jestem szlachcicem; matka tak przynajmniej powiadała do ojca za każdym razem, gdy ją bił. Jestem więc, jak wspomniałem, wielbicielem, powiernikiem, bratem wielkiego Benvenuto Celliniego, a w związku z tym przyjacielem jego przyjaciół, wrogiem jego wrogów, bo wrogów mojemu wspaniałemu złotnikowi nie brakuje. Najpierw pani d'Etampes, dalej prewot Paryża, stary nudziarz; potem niejaki Marmagne, wielki niezgraba, którego może znasz, a który chce podobno zawładnąć Grand-Nesle. Do kroćset! Przyjęty będzie godnie!

— Benvenuto domyśla się więc jego zamiarów? — spytał Marmagne, coraz bardziej zaciekawiony paplaniem studenta.

— Został uprzedzony, ale... pst! nie należy o tym mówić, żeby wspomniany Marmagne otrzymał nauczkę, na jaką zasłużył.

— Z tego, co widzę, Benvenuto ma się na bacności? — indagował dalej wicehrabia.

— Na bacności? Przede wszystkim Benvenuto zawsze ma się na bacności. Nie wiadomo ile razy omal nie został zamordowany w swojej ojczyźnie i, dzięki Bogu, zawsze się z tego wykaraskał.

— A co w takim razie znaczy na bacności?

— Och, nie znaczy to, że utrzymuje całą załogę jak ten stary tchórz prewot; nie, nie, przeciwnie: w tej chwili nawet jest całkiem sam, jako że jego towarzysze poszli świętować do Vanvres. Miałem nawet zagrać dzisiaj partię w piłkę z droгим Benvenutem. Na nieszczęście Gervaise stanęła do współzawodnictwu z moim wielkim złotnikiem i naturalnie, jak sam pojmujesz, dałem jej pierwszeństwo.

— Ja cię w takim razie zastąpię — rzekł Marmagne.

— O, bardzo proszę, spełnisz chwalebny uczynek; śmiało, drogi wicehrabio, a powiedz ode mnie mojemu przyjacielowi, że mu złożę wieczorem wizytę. Wiesz, trzy dość silne stuknięcia do bramy to umówiony znak. Zastosował środek ostrożności z powodu tego opryska Marmagne'a, który, jak Benvenuto sądzi, gotów jest spłatać mu złośliwego figla. Znasz może wicehrabię de Marmagne?

— Nie.

— Cóż, trudno! Opisałbyś mi go.

— Po co?

— Żeby, jeśli go spotkam, zaproponował mu partyjkę na pałki; nie wiem dlaczego, mój drogi, ale nigdy go nie widziawszy, wyjątkowo jakoś brzydzę się tym Marmagne'em i jeśli kiedykolwiek będę go miał pod ręką, zamierzam mu spuścić tęgie lanie. Ale wybaczn, drogi panie, oto jesteśmy przy Augustianach i muszę cię opuścić. Ale, ale jak brzmi twoje nazwisko?

Wicehrabia oddalił się, jak gdyby wcale pytania nie usłyszał.

— Ho, ho! — mruknął Jakub Aubry, patrząc za odchodzącym. — Zdaje się, drogi wicehrabio, że pragniemy zachować incognito: oto prawdziwa rycerskość, albowiem kiep. Twoja wola, drogi wicehrabio, twoja wola.

I Jakub, z rękami w kieszeniach i jak zwykle kołyszącym krokiem, pogwizdując żakowską piosenkę skręcił w ulicę du Battoir, przy której końcu mieszkała Gervaise.

Wicehrabia de Marmagne zaś podążył dalej w kierunku Grand-Nesle.

I w rzeczy samej, jak powiedział Aubry, Benvenuto był sam: Ascanio poszedł marzyć nie wiadomo gdzie, Katarzyna udała się z Rubertą w odwiedziny do swojej przyjaciółki, a robotnicy świętowali dzień Eligiusza w Vanvres.

Mistrz znajdował się w ogrodzie — gdzie pracował nad glinianym modelem ogromnego posągu Marsa, którego wielka głowa wystawała ponad dachami Grand-Nesle i spoglądała na Luwr — kiedy mały Jehan, tego dnia trzymający straż przy bramie, zmylony stukaniem wicehrabi de Marmagne i wzięwszy go za przyjaciela, wpuścił go wraz z jego dwoma zbirami.

Choć Benvenuto nie pracował, jak Tycjan, w pancerzu na grzbiecie, ale przynajmniej, jak Salvatore Rosa, miał szpadę u boku i strzelbę pod ręką. Marmagne stwierdził tedy, że niewiele wygrał na tym, iż zastał złotnika samego, zastał bowiem człowieka uzbrojonego.

Wicehrabia mimo to spróbował ukryć tchórzostwo pod płaszczykiem bezczelności i kiedy Cellini, rozkazującym tonem, który wykluczał zwlekanie z odpowiedzią, zapytał, w jakim to celu zjawia się u niego, Marmagne odparł:

— Nie mam sprawy do waszmości; jestem wicehrabia de Marmagne, królewski sekretarz a oto rozkaz najjaśniejszego pana — dodał wymachując papierem nad głową — który mi nadaje część Grand-Nesle. Przychodzę tedy wydać dyspozycje, aby urządzono zgodnie z moimi upodobaniami przydzieloną mi część zamku, gdzie odtąd będę mieszkał.

Mówiąc to Marmagne, z następującymi mu na pięty zbirami, podszedł do drzwi zamku.

Benvenuto chwycił strzelbę, którą, jako rzekliśmy, miał zawsze pod ręką, i jednym susem znalazł się na szczycie schodów przed drzwiami.

— Stać! — zawołał straszliwym głosem. I wyciągając prawą dłoń w stronę Marmagne'a dodał: — Jeszcze krok i zginiesz!

Wicehrabia stanął jak wryty, choć po tym wstępie można by się spodziewać zażartej walki.

Istnieją jednak ludzie mający dar przerażania. Jakaś niepojęta groza emanuje z ich spojrzenia, z gestu, postawy, niczym ze spojrzenia, gestu i postawy lwa. Ich wygląd napawa strachem; już z daleka czuć przede wszystkim ich siłę. Tupnie taki nogą, zaciśnie pięści, zmarszczy brew i najodważniejsi zaczynają się wahać. Dziki zwierz, skoro jego małe się atakuje, wystarczy, że zjeży sierść i głośno zasapie, a już wprawia w strach. Ludzie, o których mówimy, to chodząca groźba. Dzielni rozpoznają w nich sobie podobnych i mimo skrywanej emocji, stają im zaraz naprzeciw. Ale słabi, nieśmiali, tchórzliwi drżą i cofają się na ich widok.

Otóż Marmagne, jak łatwo się domyślić, nie należał do odważnych, a Benvenuto wyglądał groźnie.

Toteż kiedy wicehrabia usłyszał głos straszliwego złotnika i ujrzał rękę władczym gestem wyciągniętą w swoją stronę, pojął, że strzelba, szpada i sztylet, w które był uzbrojony, znaczą śmierć dla niego i jego zbirów.

Na dodatek mały Jehan spostrzegłszy, że mistrzowi grozi niebezpieczeństwo, chwycił za oszczep.

Marmagne poczuł, że przegrał i że będzie aż nadto szczęśliwy, jeśli cały i zdrowy zdoła ująć z pułapki, w jaką sam się wpakował.

— Dobrze już, dobrze, mości złotniku — rzekł. — Jedyne, czego chcemy, to wiedzieć, czy zamierzasz słuchać rozkazów najjaśniejszego pana. Nie liczysz się z jego rozkazami, nie chcesz ich uznać! Doskonale! Zwrócimy się do tych, co potrafią cię do tego zmusić. Nie licz jednak, że uczynimy ci zaszczyt wchodząc z tobą w waśń! Żegnam!

— Żegnam! — odparł Benvenuto z gromkim śmiechem. — Jehan, odprowadź panów.

Wicehrabia ze swoim zbirami wyszli zawstydzeni z Grand-Nesle, onieśmieleni przez mężczyznę i odprowadzeni przez dziecko.

Do takiego oto smutnego końca doprowadziło życzenie wicehrabi: Gdybym mógł zastać Benvenuto samego!

Jako że dotkliwiej został oszukany w swoich pragnieniach przez los aniżeli Jakub Aubry i Scorzona, którzy z początku nie dostrzegli ironii przeznaczenia, nasz waleczny wicehrabia dyszał gniewem.

— Pani d'Etampes miała słuszość — mówił sobie — i widzę, że trzeba mi pójść za jej radą: muszę złamać szpadę, a naostrzyć sztylet; ten piekielny człek jest istotnie taki, jak powiadają, bardzo niecierpliwy i nie kwapi się do zgody. Wyraźnie widziałem w jego oczach, że gdybym postąpił jeszcze krok, zginąłbym; ale po każdej przegranej jest rewanz. Strzeż się, mistrzu Benvenuto! Strzeż się!

I jął obwiniać swoich zbirów, ludzi sprawdzonych przecież, którzy niczego bardziej nie pragnęli, jak uczciwie zarobić pieniądze zabijając lub dając się zabić, a wycofując się posłuchali tylko rozkazu chlebodawcy. Obiecali mu tedy, że lepiej im się powiedzie w zasadzce; lecz ponieważ Marmagne, aby zachować honor, utrzymywał, iż niepowodzenia doznał z ich winy, oznajmił, że w zasadzce nie będzie im towarzyszył i że będą musieli sobie radzić sami. Tego właśnie najbardziej pragnęli.

Po czym, zaleciwszy im milczenie na temat wyprawy, udał się do , prewota Paryża i oświadczył mu, że ostatecznie, aby oddalić wszelkie podejrzenia, uznał za pewniejsze odłożyć ukaranie Benvenuta aż do dnia, kiedy z jakąś sumą pieniędzy albo cennym dziełem zapuści się, co mu się często zdarzało, w wyludnioną i leżącą na uboczu uliczkę. W ten sposób każdy będzie sądził, że Benvenuta zamordowali złodzieje.

Teraz pozostaje nam się jeszcze dowiedzieć, w jaki sposób pragnienia pani d'Etampes, Ascania i Celliniego również spełniły się cierpieniem.

## ROZDZIAŁ XVI

### DWÓR

Ascanio tymczasem wykończył rysunek lilii i czy to z ciekawości, czy przez skłonność, jaka wabi nieszczęśliwych ku tym, co się nad nimi litują, natychmiast udał się do pałacu Etampes. Dochodziła druga po południu, a o tej właśnie porze diuszesa królowała otoczona prawdziwym dworem; ale podobnie jak w Luwrze co do osoby Celliniego, tak w pałacu Etampes wydano rozkazy co do Ascania. Zaraz też został wpuszczony, po czym służebna poszła uprzedzić diuszęsę. Pani d'Etampes zadrżała z radości na myśl, że młodzian, ujrzy ją w całej wspaniałości, i szeptem wydała polecenia Isabeau, która jej wieść tę przyniosła. Isabeau przysła zatem po Ascania i ujawszy go bez słowa za rękę, poprowadziła korytarzem, uniosła kotarę i lekko go popchnęła. Ascanio znalazł się w salonie diuszesy, za foteleni pani domu, która domyślając się jego obecności bardziej po dreszczu, jaki ją przebiegł, niż po szeleście kotary, przez ramię — a w pozycji, w jakiej się znajdował, ramienia dotykał niemal ustami — podała mu „swą piękną dłoń do ucałowania.

Uroczą diuszęsę, jak powiedzieliśmy, otaczał prawdziwy dwór. Po jej prawicy siedział diuk de Medina-Sidonia, ambasador Karola V; pan de Montbrion, guwerner Karola Orleańskiego, drugiego syna króla, znajdował się po lewicy; reszta towarzystwa stała kręgiem u jej stóp.

Obok głównych osobistości królestwa, wojskowych, dyplomatów, urzędników, artystów, znajdowali się tam jeszcze przywódcy „stronnictwa protestanckiego, któremu pani d'Etampes w sekrecie sprzyjała; sami wielmoże — im schlebiano, a oni „stali się dworakami faworyty. Wspaniały to tłum: a jego widok w pierwszej chwili olśniewał. Rozmowę ożywiały wszelkiego rodzaju drwiny na temat Diany de Poitiers, kochanki Delfina i nieprzyjaciółmi, pani d'Etampes. Anna włączała się jednak do tego szermowania kpiną tylko kilkoma słowami rzuconymi przypadkiem, jak na przykład: „No, no, panowie, nie obgadujcie Diany, Endymion by się rozgniewał" albo „Biedna Diana, wychodziła za mąż w dniu, kiedy się urodziłam".

Oprócz tych iskierek, jakimi rozjaśnia pogawędkę, pani d'Etampes rozmawia tylko z siedzącymi u jej boków; czyni to półgłosem, lecz z ożywieniem, a przy tym na tyle głośno, żeby ją słyszał Ascanio, nieśmiały i zagubiony wśród tylu sławnych wielmożów.

— Tak, panie de Montbrion — mówiła poufnie piękna diuszesa do siedzącego po jej lewicy — musimy wychować twojego ucznia na wspaniałego księcia: on to w przyszłości będzie prawdziwym królem. Mam ambicje co do drogiego dziecka i już teraz widzę jego niezależne królestwo, gdyby Bóg zabrał nam jego ojca, Henryk II — biedny władca, między nami mówiąc — owszem, będzie królem Francji. Ale nasz król będzie królem francuskim, zostawimy jego starszemu bratu *madame* Dianę i Paryż. Zabierzemy jednak ze sobą, z naszym Karolem, ducha Paryża. Dwór będzie tam, gdzie ja się znajduję, panie de Montbrion; przeniosę słońce, będziemy



mieli wielkich malarzy jak Primaticcio, czarujących poetów jak Klemens Marot, który wierci się w swoim kącie bez słowa co najlepiej dowodzi, że chciałby nam powiedzieć swoje wiersze.

. Wszyscy, ci ludzie są w głębi ducha bardziej pyszni niż interesowni, bardziej żądni chwały niż złota. Pójdą nie za tym, kto ma największe bogactwa, lecz za tym, kto wygłosi najwięcej pochwał. A ten, za kim, pójdą, będzie zawsze wielki, zważywszy, że stworzy świetność miasta, gdzie oni będą promienieli. Delfin lubi tylko turnieje: cóż, on zachowa oszczepy i miecze, a my chwycimy za pióra i pędzle. Och, możesz być spokojny, panie de Montbrion, nigdy nie pozwolę, aby przewyższyła mnie Diana, domniemana królowa. Niech cierpliwie czeka na władzę zależną od czasu i przypadku; ja w tym czasie dwakroć będę panować. Co pan powiesz o księstwie Mediolanu? Nie miałbyś stamtąd daleko do swoich genewskich przyjaciół: bo wiem, żeś nie jest obojętny wobec nowych doktryn przychodzących do nas z Niemiec. Sza! jeszcze o tym pomówimy i wtedy powiem ci rzeczy, które cię zadziwią. Trudno; dlaczego *madame* Diana Stała się protektorką katolików? Ona ich broni, ja protestuję, ot co."

Władczy gest i głębokie spojrzenie towarzyszyły tym zamykającym /wierzenia pani d'Etampes słowom, które oszołomiły wychowawcę Karola Orleańskiego. Chciał coś odpowiedzieć, lecz diuszesa już się odwróciła do diuka de Medina-Sidonia.

Jak powiedzieliśmy, Ascanio wszystkiego słuchał.

— I cóż, mości ambasadorze — rzekła pani d'Etampes — czy cesarz zdecyduje się wreszcie przejechać przez Francję? Nie może wszak inaczej postąpić, prawdę powiedziawszy, a zawszeć to sieci lepsze od morskich otchłani. Jego krewniak Henryk Ósmy porwałby go bez skrupułów, a jeśli ujdzie Anglikowi, wpadnie w ręce Turka; na lądzie zaś książęta protestanczy nie zgodziliby się na jego przejazd. Cóż tedy począć? Trzeba przejechać przez Francję albo też — okrutne wyrzeczenie! — poniechać ukarania rebelii Flamandów, drogich mu ziomków. Bo nasz wielki cesarz Karol to mieszczanin z Gandawy. Można to zresztą poznać po pewnym respekcie, jaki zachował wobec jego królewskiej mości. Te właśnie wspomnienia czynią go dzisiaj onieśmielonym i podejrzliwym, panie de Medina. Och, doskonale to rozumiemy! Boi się, żeby król Francji nie pomścił więźnia Hiszpanii i żeby więzień Paryża nie zapłacił reszty okupu jeńcowi Escorialu. Mój Boże, niechże się uspokoi; jeśli nie pojmuje naszej rycerskiej prawości, spodziewam się, że przynajmniej słyszał o niej.

— Niewątpliwie, wasza wysokość — odparł ambasador — znamy prawość Franciszka Pierwszego, gdy decyduje sam, lecz obawiamy się...

Diuk urwał.

— Lecz obawiacie się nieproszonych doradców, czyż nie? — dokończyła diuszesa. — Hm, tak, tak! Dobrze .wiem, że rada, która by wyszła z ładnych usteczek, rada, Ijtóra by przybrała dowcipną i zartobliwą formę, nie pozostałaby bez wpływu na króla. Do ciebie należy o tym pomyśleć, mości ambasadorze, i podjąć środki ostrożności. W końcu tyś powinien mieć pełnomocnictwa, a w ich braku jakieś podpisy in blanco, gdzie można wyrazić wiele w niewielu słowach. Wiemy, jak to się odbywa. Studiowaliśmy dyplomację, a nawet poprosiłam króla, żeby i mnie mianował ambasadorem, jako że wyraźnie mam upodobanie do negocjacji. Tak, czuję, że byłoby straszne dla Karola Piątego, gdyby musiał oddać kawałek swojego cesarstwa, aby wykupić samego siebie albo zapewnić sobie nietykalność. Z drugiej strony. Flandria to najwspanialszy klejnot w jego koronie; to całe jego dziedzictwo po kądzieli, dziedzictwo po Marii Burgundzkiej, a ciężko jest jednym pociągnięciem pióra pozbyć się, spuścizny po przodkach, kiedy owa spuścizna, będąc najpierw dużym księstwem, mogłaby się stać małą monarchią. Ale o czymże ja mówię, mój Boże! I to ja, którą przeraża polityka, bo podobno pozbawia urody — kobiety, rzecz jasna, Co prawda od czasu do czasu wymyka mi się

nieopatrznie jakieś słowo na temat spraw państwowych, ale jeśli jego królewska mość nastaje i chce dokładniej poznać moją myśl, błagam go, żeby mi oszczędził tej nudy, aniekiedy nawet decyduję się uciec i zostawiam go, by sobie marzył. Tyś, panie, zręczny dyplomata i znasz ludzi, powiesz przeto, że właśnie słowa rzucone w powietrze kielkują w umysłach tej miary co naszego króla i że — choć można by pomyśleć, iż uleciały z wiatrem — prawie zawsze wywierają większy wpływ aniżeli długie przemowy, których się nie słucha. Możliwe, panie, możliwe; ja jestem tylko zwykłą kobietą bez reszty pochłoniętą świecidełkami i głupstwami, a ty się sto razy lepiej rozumiesz na tych wszystkich poważnych sprawach; jednakże lew może potrzebować mrówki, łódź może uratować załogę statku. Skorośmy się już znaleźli na tej ziemi, trzeba dojść do porozumienia, mości ambasadorze, i wyłącznie w tym rzecz.

— Gdybyś tylko zechciała, pani — rzekł diuk — szybko by to nastąpiło.

— Kto dzisiaj daje, dostanie jutro. — ciągnęła diusza nie odpowiadając wprost, — Mój kobiecy instynkt zawsze mnie będzie skłaniał, aby doradzać Franciszkowi czyny wielkie i szlachetne, ale często instynkt nie idzie w parze z rozsądkiem. Trzeba także myśleć o korzyściach, o korzyściach dla Francji, rzecz jasna. Ale ja ci ufam, panie de Medina, będę cię pytać o zdanie i koniec końców sądzę, że cesarz uczyni dobrze polegając na słowie króla.

— Ach, gdybyś ty nam sprzyjała, pani, na pewno by się nie wahał.

— Mistrzu Marot — odezwała się diusza przerywając naraz rozmowę, jakby nie słyszała słów ambasadora — mistrzu Marot, czy masz powiesz nam przypadkiem jakiegoś miłego madrygału albo przyjemnego dla ucha sonetu?

— Pani — rzekł poeta — sonety i madrygały to pod twoimi stopami naturalne kwiaty, które rosną w słońcu twych pięknych oczu; toteż tylko na nie patrząc, ułożyłem pewien dziesięciowiersz.

— Doprawdy mistrzu? A więc słuchamy. Och, mości prewocie, witaj i wybac, że nie od razu cię zobaczyłam; czy masz jakoweś wieści od przyszłego zięcia, a naszego przyjaciela, hrabi d'Orbec?

— Tak, pani — odparł imię pan d'Estouteville — powiadomił mnie, że musi przyspieszyć powrót i spodziewam się, iż go wkrótce ujrzymy.

Na wpół zduszone westchnienie sprawiło, że pani d'Etampes zadrżała; nie odwracając się jednak ku temu, który je wydał, rzekła:

— Wszyscy serdecznie go przywitamy. I jak tam, wicehrabio de Marmagne — ciągnęła — odnalazłeś pochwę swojego sztyletu?

— Nie, pani, ale jestem na jej tropie i wiem już, gdzie i jak ją odnaleźć.

— Powodzenia zatem wicehrabio, powodzenia. Czyś gotów, mistrzu Marot? Zamieniamy się w słuch.

— To o księstwie Etampes — powiedział Klemens Marot.

Rozległ się szmer aprobaty i poeta zaczął deklamować melodyjnym głosem ten oto dziesięciowiersz:

*Owa cudna dolina, którą Tempe zowią,  
Co w tylu opowieściach pięknem nas cieszyła,  
Słodka taka i ciepła, oblewana wodą,  
Hen, w uroczej Tesalii ongi przecie była.  
Lecz gdzie indziej Jowisza przeniósł ją siła  
I odtąd nie Tesalia, a Francja nią słynie,*

*W jej imieniu litery przemienił jedynie,  
Bo zamiast Tempe, pragnie, by się Etampes zwała,  
Jowisza lei tyczenie, aby w tej dziedzinie  
Najpiękniejszej we Francji kwitła wieczna chwała.*

Pani d'Etampes pochwaliła brawami i uśmiechem, a za nią przyklasnęły wszystkie ręce i usta.

— Ha, widzę — rzekła — że wraz z Tempe Jowisz przeniósł do Francji Pindara.

Mówiąc to diuszesa wstała i wszyscy podnieśli się razem z nią. Kobieta owa słusznie uważała się za prawdziwą królową. Królewskim gestem pożegnała się ze swoją świtą i każdy odchodząc, niczym królowej złożył jej ukłon.

— Zostań tutaj — szepnęła do Ascania.

Ascanio posłuchał.

Kiedy jednak wszyscy wyszli, już nie pogardliwa wyniosła królowa; lecz pokorna i namiętna kobieta odwróciła się do młodzieńca.

Ascanio, zrodzony w ukryciu, wychowany z dala od świata, w niemal klasztorным półmroku pracowni, Ascanio nienawykły do wizyt w pałacach, gdzie rzadko zabierał go mistrz, już był oszołomiony, zmieszany, olśniony tym blaskiem, ruchem, gwarem. W głowie jakby mu się zakręciło, kiedy słyszał, jak pani d'Etampes normalnie, a raczej zalotnie rozmawia o zamiarach tak poważnych i w jednym zwyczajnym zdaniu zawiera losy królów i dzieje monarchii. Ta kobieta, niczym Opatrzność, niejako obdzieliła każdego jego częścią radości i cierpień, tą samą dłonią potrzęsnęła łańcuchami i strąciła korony. I oto władczyni tego, co na ziemi najdonioślejsze, tak pyszna przy swoich wysoko urodzonych pochlebcach, szła do niego nie dość, że ze spojrzeniem kochającej kobiety, ale i z błagalną miną przestraszonego niewolnika. Naraz Ascanio ze zwykłego widza przeradzał się w głównego bohatera sztuki. .

Zalotna diuszesa na dodatek zręcznie wyrachowała i odmierzyła ten efekt. Ascanio poczuł wpływ, jaki mimo jego woli wywierała nań owa kobieta i jak dziecko, którym przecież był, uzbroił się w chłód i powagę, by ukryć zakłopotanie. Poza tym między sobą i diuszesa ujrzał być może przemykający cień czystej Colombe w białej sukni i z promieniejącym czołem.

## ROZDZIAŁ XVII

### MIŁOŚĆ NAMIĘTNA

— Pani — ozwał się do diuszesy d'Etampes Ascanio — prosiłaś mnie o lilię, czy pamiętasz? Kazałaś przynieść jej rysunek, jak tylko będzie gotowy, Skończyłem go dziś rano i oto on.

— Mamy czas, Ascanio — syrenim głosem rzekła uśmiechnięta diuszesa. — Usiądź, proszę. I cóż, miły gościu, jakże tam twoja rana?

— Jestem już zupełnie zdrow, pani — odparł Ascanio.

— Zdrowy na ciele; a tutaj? — rzekła diuszesa kładąc dłoń na sercu młodzieńca ruchem pełnym wdzięku i uczucia.

— Błagam cię, pani, byś zapomniała o tych głupstwach, wyrzucam sobie bowiem, że zanudzałem nimi waszą wysokość.

— Mój Boże! Co znaczy ta niepewna mina? Pochmurne czoło? Surowy głos? Ci ludzie cię nudzili, prawda, Ascanio? A jak mnie! Nienawidzę ich, nie cierpię; ale się ich boję. Och, jakże mi spieszno było zostać tylko z tobą; i widziałeś, jak ich zręcznie odprawiłam?

— Słusznie mówisz, pani czułem się nieswojo w tak szlachetnym towarzystwie, ja, biedny artysta, przybyły po prostu, aby ci pokazać tę lilię.

— Tak, tak, Ascanio, ale to za chwilę — ciągnęła diuszesa potrząsając głową. — Tak oziębłe i poważnie rozmawiasz z przyjaciółką. Kiedyś byłeś taki wylewny i czarujący! Skąd ta zmiana, Ascanio? To niewątpliwie sprawa twojego mistrza, który nie może mnie ścierpieć. I ty słuchasz tego, co on mówi o mnie. Ascanio? No, bądź szczerzy: rozmawiałeś z nim o mnie, prawda? I powiedział ci, że niebezpiecznie jest mi zaufać; że przyjaźń, jaką ci okazałam, skrywa jakąś pułapkę powiedział ci może, no, przyznaj, że cię nienawidzę?

— Powiedział mi, że mnie kochasz, pani — odparł Ascanio wpatrując się w diuszese.

Pani d'Etampes zamilkła na chwilę pod wpływem tysiąca myśli, jakie się zakotłowały w jej głowie. Pragnęła niewątpliwie, żeby Ascanio się dowiedział o jej uczuciu, ale wolałaby mieć trochę czasu, aby go do tego przygotować i powoli — udając, że nie przykłada do tego wagi — zniszczyć jego miłość do Colombe. Teraz, gdy zastawioną przez nią pułapkę odkryto, pozostawało jej tylko zwyciężyć w otwartej walce.

— A tak, owszem — rzekła. — Kocham cię. Czy to zbrodnia albo grzech? Czy człowiek może panować nad swoją miłością bądź nienowici — ścia? Nigdy byś się nie dowiedział, że cię kocham. Bo i po co ci to mówić, skoro kochasz inną? Lecz ten człowiek wszystko ci wyjawiał. pokazał ci moje serce i dobrze uczynił, Ascanio. Wejrzyj w nie tedy. a zobaczysz uwielbienie tak wielkie, że będziesz tym wzruszony. I teraz twoja kolej, Ascanio, żebyś mnie pokochał.

Anna d'Etampes, natura wybitna i silna, pogardliwa z rozsądku. ambitna z nudów, miała dotąd kilku kochanków, ale sama nigdy nie kochała. Uwiodła króla, admirał Brion ją zadziwił,

hrabia de Longueval jej się podobał, wszelako we wszystkich tych intrygach głowa odgrywała zawsze rolę serca. Aż wreszcie pewnego dnia znalazła miłość młodzieńczą i prawdziwą, czułą i głęboką. po tylekroć przyzywaną, dotychczas nie znaną, i oto inna kobieta stawiała jej na drodze. Ach, tym gorzej dla tej kobiety! Tamta nie zdawała sobie sprawy, z jak niepohamowaną namiętnością ma do czynienia. Całą stanowczość, całą siłę ducha Anna wniosie do swego uczucia. Tamta kobieta nie wiedziała jeszcze, jak fatalne może się okazać rywalizowanie z diuszcą d'Etampes, która pragnęła Ascania tylko dla siebie, która jednym spojrzeniem, jednym słowem, jednym gestem mogła, tak wielka była jej potęga, zgnieść wszystko, co stało między nią i nim. I oto kości zostały rzucone — ambicja, uroda królewskiej kurtyzany będą służyć już tylko jej miłości do Ascania i zazdrości o Colombe.

Biedna Colombe, pochylona właśnie nad haftem, siedząca przy kołowrotku czy modląca się przy kłęczniku!

Ascania zaś ta miłość, tak otwarta i groźna, jednocześnie urzekła, porywała, przerażała. Benvenuto mu przedtem powiedział, a Ascanio teraz to pojmował: nie chodziło tu o kaprys; ale brakowało mu nie sił do walki, lecz doświadczenia, które zwodzi i ujarzmi. Miał zaledwie dwadzieścia lat, był zbyt niewinny, aby udawać: wyobrażał sobie — biedny chłopiec — że wspomnienie Colombe, imię szczerzej dziewczyny sianie się jego bronią defensywną, i ofensywną, mieczem i tarczą, podczas gdy, przeciwnie, miało to jeszcze głębiej wbić grot w serce pani d'Etampes, którą miłość bez rywalizacji i walki może by wkrótce znudziła.

— No, Ascanio — podjęła spokojniej diuszesza widząc, że młodzieniec milczy, przestraszony może jej słowami — zapomnijmy dzisiaj o mojej miłości, którą jedno twoje niebaczne słowo nie w porę obudziło. Myślmy teraz tylko o tobie, Och, kocham cię bardziej z myślą o tobie niż o sobie, przysięgam. Chcę przydać blasku twojemu życiu, jak ty przydałeś mojemu. Jesteś sierotą, uznaj mnie za matkę. Słyszałeś, co mówiłam do Montbrioria i Mediny i mniemasz, że zżera mnie ambicja. To prawda, jestem ambitna, ale, tylko dla ciebie. Od jak dawna, marzę o utworzeniu dla *jednego* z synów Francji niezależnego księstwa w samym sercu Włoch? Odkąd cię kocham. Jeśli ja zostanę tam królową, to kto będzie taktycznym królem? Ty. Dla ciebie zamienię miejscami cesarstwo i królestwo! Och, Ascanio, ty mnie jeszcze nie znasz, nie wiesz, jaką jestem kobietą. Sam widzisz, że mówię ci szczerą prawdę, przed tobą roztaczam w pełni moje zamiary. Twoja teraz kolej, Ascanio, musisz mi się zwierzyć. Jakie są twoje pragnienia, bym je mogła spełnić? Jakie masz namiętności, abym mogła im służyć?"

— Pani, chcę być równie szczerzy i uczciwy jak ty, chcę ci powiedzieć prawdę, jak ty ją powiedziałaś. Nie mam żadnych pragnień, żadnych życzeń, niczego nie chcę oprócz miłości Colombe.

— Ale przecież ona cię nie kocha, sam powiedziałeś!

— Byłem wtedy pogrążony w rozpacz. Ale dzisiaj, kto wie?... — Ascanio spuścił wzrok i zniżył głos: — Ty mnie kochasz, pani.

Diuszesę napełniła smutkiem ta oczywista prawda instynktownie odgadnięta. Przez chwilę panowało milczenie; ale ta chwila wystarczyła, by pani d'Etampes się opanowała.

— Ascanio — rzekła — nie mówmy dzisiaj o sprawach serca. Już cię o to prosiłam i ponawiam prośbę. Bo widzisz, miłość dla was, mężczyzn, nie jest wszystkim. Czy nigdy na przykład nie pragnąłeś zaszczytów, bogactw, sławy?

— O, lak, tak! Od miesiąca gorąco tego pragnę — odparł Ascanio, ciągle wbrew sobie opanowany tą samą myślą.

Znowu zapadło milczenie.

— Czy kochasz. Italię? — spytała wreszcie Anna z wysiłkiem.

— Tak, pani — odparł Ascanio. — Są tam kwitnące drzewka pomarańczowe, pod którymi tak słodko, się gawędzi! Błękitna przestrzeń otacza, pieści i zdobi niezmacone piękno.

— Och, zabrać cię tam dla mnie, tylko dla mnie! Być wszystkim dla ciebie, jak ty byłbyś wszystkim dla mnie! Mój Boże, mój Boże! — zawołała diuszesa, również nieodparcie wracająca do swego uczucia. Zaraz jednak, w obawie, że bardziej przerazi Ascania, opanowała się i ciągnęła: — Sądziłam, że przede wszystkim kochasz sztukę.

— Przede wszystkim Kocham. Kochać! — powiedział Ascanio. — Nie, nie ja, lecz mój mistrz Cellini całym sobą oddaje się swoim dziełom. Wielki, wspaniały, wzniosły artysta to on. Ja jestem tylko zwykłym czeladnikiem. Przyjechałem z nim do Francji nie po to, aby zdobyć bogactwa, zyskać sławę, ale tylko dlatego, że go Kocham i nie mogłem się z nim rozstać, bo wtedy był dla mnie wszystkim. Nie posiadam własnej woli, wcale nie mam niezależnej siły. Zostałem złotnikiem, aby mu się przypodobać i ponieważ tego pragnął, podobnie jak zostałem rytownikiem, gdyż on jest entuzjastą rytownictwa wyszukanego i delikatnego.

— Och, posłuchaj — rzekła diuszesa — żyć w Italii wszechmocny niemal jak król; popierać artystów, w pierwszym rzędzie Celliniego; dawać mu brąz, srebro, złoto, żeby je rzeźbił, kuł, odlewał; powiedz, Ascanio, czyż to nie wspaniałe marzenie?

— To raj, pani, jeśli Colombe, którą Kocham, odwzajemni moją miłość.

— Znowu Colombe, stale Colombe! — wykrzyknęła diuszesa.

Dobrze więc, skoro ten temat uparcie wraca do naszej rozmowy i do naszych serc, ponieważ ta twoja Colombe stale jest z nami, skoro wciąż ją masz przed oczami, ciągle w sercu, mówmy o niej i o mnie szczerze i bez obłudy; wiesz dobrze, że ona cię nie Kocha.

— Och, sam już nie wiem, pani.

— Ale ma przecież poślubić innego! — zawołała diuszesa..

— Może ojciec ją do tego/zmusza — odparł Ascanio.

— Ojciec ją zmusza! A czy sądzisz, że gdybyś mnie Kochał tak, jak Kochasz ją, i gdybym ja była na jej miejscu, sądzisz, że znalazłaby się na świecie siła, wola, moc, która by nas zdołała rozdzielić? Och, rzuciłabym wszystko, uciekłabym od wszystkiego, przybiegłabym do ciebie, tobie bym oddała moją miłość, cześć i życie! Nie, nie, powiadam ci, ona cię nie Kocha, a jeśli chcesz, powiem więcej: ty także jej nie Kochasz!

— Ja! Ja nie Kocham Colombe! Zdaje się, że powiedziałaś, pani, iż jej nie Kocham!

— Nie, nie Kochasz jej. Sam siebie oszukujesz. W twoim wieku za miłość bierze się potrzebę Kochania. Gdybyś najpierw mnie ujrzał, zamiast niej Kochałbyś właśnie mnie. Och, jak pomyśle, że mogłeś mnie pokochać! Ale nie, nie! Lepiej, żebyś mnie sam wybrał. Nie znam tej Colombe, jest piękna, jest czysta, jest wszystkim, czego pragniesz; lecz młode panny nie *potrafią* Kochać. Ta twoja Colombe nie powiedziała ci tego, co przed chwilą ode mnie usłyszałeś, ode mnie, którą gardzisz; zbyt wiele dumy by w sobie miała, zbyt wiele powściągliwości, może i wstydu. Ale moja miłość jest prosta i przemawia prosto. Gardzisz mną, uważasz, że zapominam o mojej roli kobiety, a wszystko dlatego, że nie jestem obłudna. Kiedyś, gdy lepiej poznasz świat, gdy sięgniesz tak głęboko w życie, że dotrzesz do cierpień, wtedy wyzbędziesz się niesprawiedliwych sądów; i wtedy będziesz mnie podziwiał. Lecz ja nie chcę, żebyś mnie podziwiał, Ascanio, chcę, żebyś mnie Kochał. Powtarzam ci raz jeszcze: gdybym cię nie tak mocno Kochała, mogłabym być fałszywa, przebiegła, zalotna; zbyt jednak miłuję, aby cię uwodzić. Chcę otrzymać twoje serce, a nie wykradać je. Do czego doprowadzi twoja miłość do tego dziewczęcia? Odpowiedz. Będziesz cierpiał, Kochany, i to wszystko. A ja w niejednym mogę ci się przydać. Wycierpiałam' się już za

dwoje i może Bóg da, że moja nadwyżka cierpień policzy się tobie; i jeszcze moje bogactwo, moją władzę, doświadczenie, wszystko tobie rzucam do stóp. Złączę moje życie z twoim, oszczędzę ci wszelkich błędów i zepsucia: Aby zdobyć fortunę, a nawet sławę, artysta często musi stać się podły, służalczy, nikczemny. Nie będziesz się przy mnie musiał tego wszystkiego obawiać. Będę cię nieustannie wynosić, będę twoim podnóżkiem. Przy mnie pozostaniesz dumnym, szlachetnym, czystym Ascaniem.

— A Colombe, pani? Czy ona również nie jest perłą niepokalaną?

— Moje dziecko, wierz mi — odparła diuszesa przechodząc od uniesienia do melancholii — ta czysta, niewinna Colombe uczyni twoje życie jałowym i monotonnym. Obydwoje zbyt jesteście doskonali Bóg nie stworzył aniołów po to, aby je ze sobą łączyć, lecz aby złych ludzi uczynić lepszymi.

Diuszesa powiedziała to z tak wymownym ożywieniem, że Ascanio poczuł, jak mimo woli ogarnia go serdeczna litość.

— Cóż, pani — odezwał się — widzę, że bardzo mnie lubisz i jestem tym doprawdy wzruszony; ale jeszcze lepiej jest kochać!

— Och, jakże prawdziwe jest to, co mówisz! Wolę twoją wzgardę od najczulszych słówek króla. Och, pierwszy raz kocham; pierwszy raz, przysięgam!

— A król? Nie kochasz go więc, pani?

— Nie! Jestem jego panią, ale on nie jest moim panem.

— Lecz on cię nadal kocha!

~ Boże mój! — zawołała Anna wpatrując się w Ascania i ujmując jego dłonie w swoje. — Boże mój! Czyżbym miała to szczęście, żeś o mnie zazdrośny? Czyżby król budził w tobie zazdrość? Posłuchaj: dotąd byłam dla ciebie diuszesa, bogatą, wysoko urodzoną, możną, gotową dla ciebie korony strącać i trony obalać. Wolisz może zwykłą samotną kobietę, nie bywającą w towarzystwie, odzianą w prostą białą suknię i z polnym kwiatem, we włosach? Wolisz taką, Ascanio? Opuśćmy tedy Paryż, towarzystwo, dwór. Wyjedźmy, skryjmy się w jakimś zakątku twojej Italii pod wysokimi sosnami Rzymu, nad twoją piękną Zatoką Neapolitańską. Jestem gotowa. Och, Ascanio, czy naprawdę schlebia twojej dumie, że dla ciebie poświęcam koronowanego kochanka?

— Pani — rzekł Ascanio, czując wbrew sobie, że topnieje w ogniu tak potężnej miłości — mam serce zbyt dumne i wymagające: nie możesz mi dać przeszłości.

— Przeszłości! Och, oto cali wy, mężczyźni, zawsze okrutni! Prze-' szłość! Ale jakże nieszczęsna kobieta ma odpowiadać za swoją przeszłość, skoro na ogół wydarzenia i sprawy ją przerastające przeszłość tę tworzyły? Załóżmy, że jakaś burza cię porywa, zawierucha unosi do Italii; kiedy wrócisz za rok, za dwa, trzy lata, czy będziesz miał żal do tej twojej Colombe, którą tak bardzo teraz kochasz, że była posłuszna rodzicom, że poślubiła hrabię d'Orbec? Będziesz jej wyrzucał zalety? Ukarasz ją za to, że wypełniła Boże przykazanie? A jeśli nie zachowa o tobie wspomnienia, wyobraź sobie, że cię nigdy nie znała; jeśli zmęczona nudą, przygnieciona cierpieniami, zapomniana na chwilę przez Boga, zapragnęła zakosztować tego raj, którego bramy przed nią zamknięto, a który zwie się miłością? Jeśli pokochała innego ni mąż, bo jego pokochać nie mogła? Jeśli w chwili zapomnienia oddała swoją duszę innej duszy — oto kobieta zgubiona w twoich oczach, pozbawiona czci w twoim sercu; oto kobieta, która nie może już mieć nadziei na to szczęście, bo nie może ci dać swej przeszłości w zamian za twoje szczęście), Och, powtarzam, to właśnie jest niesprawiedliwe, to jest okrutne!

— Pani...

— Skąd wiesz, że to nie jest właśnie moja historia? Wysłuchaj więc, co ci mówię, uwierz w to, co oświadczam. Powtarzam, że wycierpiałam za dwoje. I kobiecie, co tyle wycierpiała. Bóg przebacza, a ty nie. Nie pojmujesz, że więcej znaczy wydostać się z otchłani, kiedy się tam wpadło, aniżeli przejść obok niej nie widząc jej oczami przesłoniętymi szczęściem? O, Ascanio, Ascanio! Sądziłam, że jesteś lepszy od innych, boś młodszy, boś piękniejszy...

— Och, pani!

— Wyciągnij do mnie rękę, Ascanio, a jednym krokiem przeskoczę z dna otchłani do twojego serca. Chcesz, to jutro zerwę z królem, z dworem, z towarzystwem. Och, kochając nie lękam się niczego. Nie chcę zresztą zyskać większego znaczenia niż mam. Wierz mi, nie tak wiele poświęcę dla ciebie. Wszyscy ci ludzie nie są warci jednego twojego spojrzenia. Gdybyś mi jednak ufał, drogi chłopcze, pozwoliłbyś mi zachować wpływy i robić, co zamierzyłam, dla ciebie i dla mnie. Uczyniłabym cię wielkim, a wy, mężczyźni, przez miłość dążycie do sławy; jesteście ambitni, wcześniej czy później, ale jesteście. Jeśli chodzi o króla, to nie" musisz się kłopotać: skieruję to uczucie w stronę innej, której da serce, podczas gdy ja zachowam jego ducha, Wybieraj więc, Ascanio. Twoja potęga dzięki mnie i ze mną albo moje ubóstwo dzięki tobie i z tobą. O, widzisz, przed chwilą siedziałam tu, na tym fotelu i najpotężniejsi na dworze byli u moich stóp. Chcę, żebyś usiadł na moim miejscu; usiądź, a ja będę u twoich stóp. Och, Ascanio, jakże mi tu dobrze! Jakże jestem szczęśliwa, będąc z tobą i przyglądając ci się! Ty bledniesz, Ascanio! O, gdybyś mi tylko chciał powiedzieć, że mnie pokochasz, kiedyś, później, dużo później!

— Pani! Pani! — zawołał Ascanio; ukrył twarz w dłoniach i zasłonił sobie oczy i uszy czując, jak bardzo widok i głos syreny go urzekają.

— Nie mów do mnie pani, nie mów do mnie takie Anno — rzekła diuszesa odciągając mu od twarzy dłonie — mów do mnie Luizo. To również moje -imię, imię, którym nikt mnie nie wołał, imię, którego będziesz tylko ty używał. Luiza... Luiza... Czy nie uważasz, Ascanio, że *to* słodkie imię?

— Znam jeszcze słodsze — powiedział Ascanio.

— Miej się na baczności, Ascanio! — wykrzyknęła zraniona lwica. — Jeśli przez ciebie zbyt będę cierpiała, być może dojdzie do tego, że znienawidzę cię równie mocno, jak cię kocham!

— Boże mój, pani! — odparł młodzieniec potrząsając głową, jakby odganiał urok. — Wszak to ty mieszasz mi rozum i wprowadzasz zamęt w duszę! Czym szalony? Mam gorączkę? A może śnię? Jeśli ci mówię przykre słowa, wybacz, sam siebie pragnę obudzić. Widzę ciebie u moich stóp, ciebie, piękną, uwielbianą, królową! To nie może być, żeby istniały podobne pokusy, chyba tylko po to, aby gubić dusze. O, tak, sama powiedziałaś, żeś w otchłani; ale zamiast wyjść z niej, mnie jeszcze tam wciągasz; zamiast wspiąć się wraz ze mną, chcesz, bym rzucił się z tobą. Ach, nie wystawiaj mojej słabości na podobną próbę!

— Nie ma w tym próby, pokusy ni snu: jest tylko wspaniała rzeczywistość dla nas dwojga; kocham cię, Ascanio, kocham!

— Kochasz mnie, pani, ale kiedyś, w przyszłości, będziesz żałować tego, będziesz mi wymawiać to, coś z moim życiem uczyniła albo to, co ja zniszczyłem w twoim.

— O, nie znasz mnie — zawołała diuszesa — skoro sądzisz, żeś na tyle słaba, aby żałować! Chcesz na to gwarancję?

I Anria żywo usiadła przy stoliku, na którym znajdował się atrament i papier, a schwyciwszy pióro, w pośpiechu skreśliła kilka słów.



— Masz — powiedziała — i wątpij dłużej, jeśli masz śmiałość. Ascanio ujął papier i przeczytał:

*Ascanio, kocham cię, podążaj wszędzie za mną albo pozwól mnie iść za tobą*

*Anna a"Helly*

— Och, to nie może być, pani! Zdaje mi się, że moja miłość przyniosłaby ci wstyd.

— Wstyd! — wykrzyknęła diuszesa. — A czy ja znam wstyd? Jestem na to za dumna. Moja duma jest moją cnotą!

— Ach, znam słodsza i bardziej święta — westchnął Ascanio, z rozpaczliwym wysiłkiem czepiając się wspomnienia Colombe.

Cios trafił prosto w serce. Diuszesa się poderwała na nogi drząc z oburzenia.

— Jesteś upartym i okrutnym dzieckiem, Ascanio — rzekła urywanym głosem. — Chciałam ci oszczędzić wielu cierpień; widzę jednak, że tylko ból może cię nauczyć życia. Wrócisz do mnie, Ascanio, wrócisz zraniony, krwawiący, rozdarty i wtedy zdasz sobie sprawę, co jest warta twoja Colombe i co ja byłam warta. Wybaczę ci, bo cię kocham; ale tymczasem wydarzą się rzeczy straszne! Do zobaczenia.

I pani d'Etampes wybiegła pałając nienawiścią i miłością, zapomniawszy, że zostawiła w rękach Ascania to, co napisała w chwili zapomnienia.

## ROZDZIAŁ XVIII

### MIŁOŚĆ — MARZENIE

Gdy tylko pani d'Etampes zostawiła swego gościa, przemożny wpływ, jaki kobieta owa na wszystkich wywierała, rozwiął się i Ascanio jasno wejrzał w siebie i wokół siebie, pamiętał dwie rzeczy, które powiedział. Colombe mogła go kochać, skoro kochała go diusza d'Etampes. Odtąd jego życie przestało doń należeć, instynkt dobrze mu się przysłużył podszeptując te dwie myśli lecz skłaniając go do wyrażenia ich, wyrządził mu niedźwiedzią przysługę. Gdyby uczciwy i prawy młodzieniec .zdolny był do obłudy, nic by się nie stało, lecz.on ostrzegł złośliwą i groźną diuszese. Oznaczało to wojnę tym straszliwszą, że zagrażała tylko Colombe.

Wszelako gwałtowna i ryzykowna scena z Anną na coś się Ascaniowi przydała. Wyniósł z niej jakieś uniesienie i ufność. Umysł jego, upojony tym, czego był świadkiem i własnymi wysiłkami, ogarnęła wola działania i odwaga; mężnie zatem postanowił się dowiedzieć, na co może liczyć w swoich nadziejach, i wejrzeć w duszę Colombe, choćby nawet miał tam znaleźć tylko obojętność. Jeśli rzeczywiście Colombe kocha hrabię d'Orbec, po cóż w takim razie walczyć z diuszese d'Etampes? Ona z łatwością odmieni wedle swoich pragnień życie jałowe, szare, złamane, przegrane. Będzie ambitny, stanie się ponury i zły — i cóż z tego? Przed wszystkim jednak musiał się pozbyć wątpliwości i zdecydowanie sięgnąć dna swego przeznaczenia. Obietnica pani d'Etampes była rękojmią jego przyszłości..

Ascanio decyzję tę podjął idąc ulicą i patrząc na słońce, które ogniście zachodziło za czerniejącą na tle nieba wieżą Nesle. Dotarłszy do zamku,, bez zwłoki i wahania wybrał najpierw nieco klejnotów, po czym zdecydowanie zastukał po czterokroć w bramę Petit-Nesle.

Jejmość Perrine znajdowała się szczęśliwie w pobliżu. Ogarnięta zdumieniem i ciekawością, pospieszyła mu otworzyć. Ujrawszy jednak czeladnika, uznała, że powinna go przyjąć ozięble.

— A, to ty, panie Agcanio — rzekła— Czego sobie życzysz?

— Chcę, moja dobra Perrine, natychmiast pokazać te klejnoty pannie Colombe. Czy jest w ogrodzie?

— Tak, jest w swojej alejce, Ale zaczekaj no, młodzieńcze! Ascanio, który nie zapomniał drogi, szedł szybkim krokiem nie myśląc już o niej,

„Zaraz, zaraz — pomyślała Perrine stając, by się głęboko zastanowić — myślę, że najlepiej będzie ich teraz zostawić i pozwolić Colombe swobodnie wybrać, co ma kupić dla siebie i na podarunki. Nie wypada, żebym tam była, skoro prawdopodobnie odłoży dla mnie jaki drobiażdżek. Przyjdę, kiedy skończy zakupy, a wtedy oczywiście nie przystoi mi odmówić. Tak, tak, zostanę i nie wprawiamy w zakłopotanie dobrego serduszka kochanego dziewczęcia:"

Jak widać, poczciwa jejmość rozumiała się na subtelnościach.

Colombe od dziesięciu dni przestała się zastanawiać, czy myśl o Ascaniu stała się jej najdroższa. Ufne i czyste dziewczę nie wiedziało, co to miłość, lecz miłość wypełniała jej serce. Mówiła sobie, że źle czyni, znajdując upodobanie w tych marzeniach; ale usprawiedliwiała się tym, że z pewnością nie zobaczy więcej Ascania i nie zazna pociechy usprawiedliwienia się przed nim.

Pod tym pretekstem wszystkie wieczory spędzała na ławce, gdzie kiedyś razem siedzieli, i mówiła do niego, słuchała go, całą duszą skupiała się na tym wspomnieniu; a kiedy mrok zaczynał gęstnieć i głos Perrine nawoływał do powrotu, piękna marzycielka wracała wolnym krokiem, a otrząsając się z zamyślenia przypominała sobie — lecz dopiero wtedy — polecenia ojca, hrabię d'Orbec i uciekający czas. Bezsenne noce były okrutne, nie na tyle jednak, by przysłonić urok wieczornych marzeń.

Tego wieczoru jak zwykle w myślach Colombe odżywała słodka godzina spędzona z Ascaniem, gdy oto podniósłszy wzrok, dziewczyna krzyknęła.

On stał przed nią i przyglądał się jej w milczeniu.

Wydała mu się zmieniona, lecz jeszcze piękniejsza. Bładość i smutek pasowały do jej idealnych rysów. Wyglądała, jakby w jeszcze mniejszym stopniu należała do istot ziemskich. Toteż w Ascaniu, podziwiającym ją bardziej czarującą niż kiedykolwiek, na powrót odżyły obawy, które miłość pani d'Etampes na chwilę rozproszyła. Jakże ta boska istota mogłaby go kiedykolwiek pokochać?

Stało naprzeciw siebie dwoje uroczych dzieci, które od tak dawna kochały się nawzajem nie mówiąc sobie tego i które przysporzyły sobie już tylu cierpień. Niewątpliwie będąc razem powinni w jednej chwili przebyć przestrzeń, jaką pokonali osobno, krok po kroku, w swoich marzeniach. Mogli teraz najpierw wyjaśnić sobie wszystko, zaraz potem pomówić z serca do serca, po czym w pierwszym porywie radości dać upust wszystkim uczuciom z takim trudem dotąd tłumionym.

Obydwoje byli jednak zbyt nieśmiali i chociaż, gdy się ujrzeli, wzruszenie ich zdradziło, potrzebowali czasu, aby ich anielskie dusze się połączyły.

Colombe, milcząca i zarumieniona, poderwała się nagle na nogi. Ascanio, błądzący z emocji, drżącą dłonią hamował bicie serca.

Jednocześnie się odezwali.

— Wybacz mi pani, lecz pozwoliłaś pokazać sobie kilka klejnotów. A ona rzekła:

— Cieszę się widząc, żeś już całkiem zdrow, panie Ascanio.

Przerwali równocześnie i choć zmieszały się ich słodkie głosy, doskonale się nawzajem usłyszeli, bo Ascanio, ośmielony mimowolnym uśmiechem, jaki przywołał na usta dziewczyny, odparł z większą pewnością:

— Jesteś więc, pani, tak łaskawa, że pamiętasz jeszcze o moim zranieniu?

— Byłyśmy niespokojne i zdumione, jejmość Perrine i ja, że się nie pokazujesz — odparła Colombe.

— Miałem tu więcej nie przyjść.

— A to dlaczego?

Ascanio w tej decydującej chwili musiał się oprzeć o drzewo, po czym zebrał wszystkie siły i całą odwagę i zduszonym głosem powiedział:

— Dzisiaj mogę ci już wyznać: kochałem cię.

— A teraz?

Ten okrzyk wyrwał się z ust Colombe; rozproszyłyby wszelkie wątpliwości człowieka bardziej doświadczonego niż Ascanio; lecz w nim obudził tylko nieco nadziei.

— Teraz... Cóż — ciągnął — zmierzylem przepaść, jaka nas dzieli, wiem, że jesteś szczęśliwą narzeczoną hrabi.

— Szczęśliwą! — przerwała Colombe z gorzkim uśmiechem.

— Co? Wielki Boże, czyżbyś nie kochała hrabi? Och, mów, czy nie jest ciebie godzien?

— Jest bogaty, wpływowy, wyżej urodzony niż ja; ale czyś go kiedy widział?

— Nie i boję się pytać. Nie wiem zresztą dlaczego, ale pewien byłem, że jest młody i przystojny i że ci się podoba.

— Jest starszy od mojego ojca i budzi we mnie lęk — rzekła Colombe kryjąc twarz w dłoniach gestem odrazy, którego nie mogła opanować.

Ascanio, nieprzytomny z radości, padł na kolana ze złożonymi rękami, blady i z oczami półprzymkniętymi, lecz pod powieką błyszczało uszczęśliwione spojrzenie, a na pobladłych wargach rozlał się wniebowzięty uśmiech,

— Co ci jest, Ascanio? — spytała przerażona Colombe.

— Co mi jest! — wykrzyknął młodzieniec, w wybuchu radości odnajdując odwagę, którą wcześniej dało mu cierpienie. — Co mi jest! Ależ ja cię kocham, Colombe!

— Ascanio! Ascanio! — szepnęła Colombe z akcentem wyrzutu i upojenia, czułym, co prawda, niczym wyznaniem.

Ale zrozumieli się; serca ich się złąły i nim się spostrzegli, złączyły się ich usta.

— Drogi mój — odezwała się Colombe łagodnie odpychając Ascania. Patrzyli na siebie niczym w ekstazie; dwa anioły się odnajdywały. W życiu taka chwila się nie powtarza.

— A więc nie kochasz hrabi d'Orbec — rzekł Ascanio — możesz kochać mnie.

— Drogi mój — powiedziała Colombe swoim poważnym i słodkim głosem — dotąd jedynie ojciec całował mnie w czoło, i to niestety, zbyt rzadko! Panna ze mnie nieuczona i nie wiedząca nic o życiu; ale po dreszczu, jaki wywołał we mnie twój pocałunek, poczułam, że moim obowiązkiem odtąd jest należeć albo do ciebie, albo do Boga. Tak, gdyby się stało inaczej, pewna jestem, że byłoby to zbrodnią! Twoje usta uczyniły ze mnie twoją narzeczoną i żonę, i gdyby nawet ojciec mój powiedział nie, wierzyłabym jedynie głosowi Boga, który mówi mi tak. Oto moja ręka, należy do ciebie.

— Wszyscy święci w niebie, słuchajcie jej i zazdroście mi! — wykrzyknął Ascanio.

Ekstazy nie da się namalować ani opisać. Niechaj ci, co zdołali zapamiętać, przypomną sobie, Nie można opowiedzieć słów, spojrzeń, uścisków dłoni tych dwojga czystych i pięknych dzieci. Ich nieskalane dusze łączyły się ze sobą, jak mieszają się dwa przejrzyste źródła, nie zmieniając właściwości i barwy. Ascanio nawet cieniem zdrożnej myśli nie musnął niewinnego czoła ukochanej; Colombe z ufnością wspierała się na ramieniu narzeczonego.

Gdy człowiek zaczyna kochać, spieszo mu zawrzcę w miłości co tylko może ze swojego życia, teraźniejszego, przeszłego i przyszłego. Kiedy byli już w stanie mówić, Ascanio i Colombe opowiedzieli sobie wszystkie cierpienia, wszystkie nadzieje ostatnich dni. Było to czarujące. Jedno mogło opowiedzieć historię drugiego., Wiele wycierpieli, a wspominając swe cierpienia, obydwójce się uśmiechali.

Ale oto zaczynają mówić o przyszłości i poważnieją, i ogarnia jch smutek. Co z łaski Boga przyniesie im jutro? Wedle praw boskich, byli stworzeni dla siebie; lecz ludzkie konwenanse określały ich związek jako niedobry, przeciwny naturze. Co począć? Jak przekonać hrabię

d'Orbec, by zrezygnował z ożenku? Jak przekonać przewota Paryża, by oddał córkę rzemieślnikowi?

— Ach, drogi mój — odezwała się Colombe — przyrzekłam, że będę należeć do ciebie albo do Boga i widzę, że Bogu się oddam.

— Nie — rzekł na to Ascanio — będziesz moja. Tacy młodzi jak my nie zdołaliby we dwoje poruszyć świata w posiadach, ale pomówię o tym z moim drogim mistrzem, z Benvenutem Celliriim. On jest potężny, Colombe, patrzy na wszystko z góry. On działa na ziemi tak, jak Bóg chyba rozkazuje w niebie, a wszystko, czego zapragnie, spełnia się. On sprawi, że będziesz moja. Nie wiem, jak to robi, lecz jestem tego pewien. Przeszkody, on je uwielbia. Pomówi z miłościwym panem, przekona twego ojca. Jedyne, czego on by nie zdołał dokonać, ty sama uczyniłaś, boś mnie pokochała, Reszta nie będzie trudna. Widzisz, kochana, teraz wierzę w cuda.

— Drogi mój, skoro ty masz nadzieję, to i ja ją mam. Chcesz, żebym i ja spróbowała coś zrobić? Powiedz. Jest ktoś, kto ma wielki wpływ na mego ojca. Chcesz, żebym napisała do pani d'Etampes?

— Pani d'Etampes! — zawołał Ascanio. — Boże mój, zapomniałem o niej!

I Ascanio, prosto i bez pyszałkowatości opowiedział, jak po raz pierwszy ujrzał diuszese, jak ona go pokochała, jak tegoż właśnie dnia, godzinę wcześniej, oświadczyła, iż jest śmiertelnym wrogiem tej, którą on miłuje; ale co tam! Zadanie Benvenuta będzie przez to nieco tylko trudniejsze, ot co. Jeden przeciwnik więcej go nie przerazi.

— Przyjacielu — powiedziała Colombe, — ty wierzysz w swojego mistrza, a ja wierzę w ciebie. Porozmawiaj z Cellinim, jak tylko będziesz mógł najszybciej, i niech pokieruje naszym losem.

— Zaraz jutro ze wszystkiego mu się zwierzę. On mnie tak kocha! Na pewno mnie zrozumie. Ale co tobie, najdroższa? Posmutniałaś!

Każde słowo opowieści Ascania dawało Colombe odczuć jej miłość wbijając się szpilką zazdrości w serce, i nieraz konwulsyjnie ścisnęła jego dłoń, którą trzymała w swoich.

— Ascanio, pani d'Etampes jest taka piękna; kocha ją potężny król. Boże mój, czy nie wywarła na tobie żadnego wrażenia?

— Kocham cię! — odparł Ascanio.

— Zaczekaj tu chwilę — rzekła Colombe, Wróciła niebawem z piękną i świeżą białą lilią.

— Kiedy będziesz pracował nad lilią ze złota i szlachetnych kamieni dla tej kobiety — powiedziała — popatrz czasem na zwykłą lilię z ogrodu Colombe.

I równie zalotnie, jak by to uczyniła pani d'Etampes, złożyła na kwiatku pocałunek i podała lilię czeladnikowi.

W tej chwili na końcu alei pojawiła się jejmość Perrine.

— Bywaj i do zobaczenia! — rzekła pospiesznie Colombe, kładąc dłoń na ustach ukochanego gestem ukradkowym i pełnym wdzięku.

Perrine podeszła do nich.

— I cóż, moja panienko? — rzekła do Colombe. — Czyś mocno zbeształa naszego gościa i wybrała piękne klejnoty?

— Proszę, moja Perrine — powiedział Ascanio wkładając jej w ręce kasetkę z klejnotami, którą przyniósł, ale nie zdążył nawet otworzyć — postanowiliśmy, panienko Colombe i ja, że wybierzesz sama, co wam będzie najlepiej odpowiadało, a ja jutro przyjdę po resztę.

Po czym odszedł ze swoją radością, rzuciwszy jeszcze na Colombe ostatnie spojrzenie, które mówiło wszystko, co chciał jej powiedzieć.

Colombe zaś, z rękami skrzyżowanymi na piersi, jakby chciała nimi ogarnąć przepelniające ją szczęście, stała bez ruchu, podczas gdy jejmość Perrine przebierała wśród cudniek przyniesionych przez Ascania. Niestety! Biedne dziewczę zostało okrutnie przebudzone ze swoich słodkich marzeń. Przyszła mianowicie pewna kobieta w towarzystwie jednego z ludzi przewota.

— Jego wysokość hrabia d'Orbec, który wraca pojutrze — rzekła owa kobieta — oddaje mnie od dzisiaj na usługi panienki. Znam najnowsze i najpiękniejsze modele strojów i otrzymałam rozkaz od jego wysokości hrabi d'Orbec i od pana przewota uszycia panience wspaniałej sukni z brokatu, ponieważ pani d'Etampes ma przedstawić panienkę jej królewskiej mości w dniu wyjazdu królowej do Saint-Germain, czyli za cztery dni.

Nietrudno zgadnąć, jaką rozpacz po scenie przedstawionej właśnie czytelnikowi wzbudziły w Colombe te dwie nowiny.

## ROZDZIAŁ XIX

### MIŁOŚĆ IDEALNA

Nazajutrz o wschodzie słońca Ascanio, zdecydowany złożyć swój los w ręce mistrza, skierował się do odlewni, gdzie Cellini pracował każdego ranka. W chwili jednak, gdy miał zastukać do drzwi izby, którą Benvenuto nazywał swoją celą, usłyszał głos Scorzony: Pomyślał, że Katarzyna pozuje, i dyskretnie się wycofał, by przyjść nieco później. Czekając, jał się przechadzać po ogrodzie Grand-Nesle i zastanawiać, co powie Cellinie-mu i co Cellini mu odpowie.

Scorzona tymczasem wcale nie pozowała. Nigdy dotąd jej noga nawet nie powstała w izdebce, gdzie, ku jej wielkiej rozpaczycy z powodu nie zaspokojonej ciekawości, nikt jeszcze nie wszedł, gdyż Benvenuto nie pozwalał, żeby mu tam przeszkadzano. Toteż mistrz wpadł w straszny gniew, kiedy odwracając się ujrzał za sobą Katarzynę otwierającą szerzej niż kiedykolwiek swe wielkie bystre oczy. Pragnienie wścibskiej osóбки, aby tam zajrzeć, niewielką zresztą znalazło satysfakcję. Kilka rysunków na ścianach, zielona zasłona w oknie, zaczęty posążek Hebe i zestaw narzędzi rzeźbiarskich stanowiły całe wyposażenie izby,

— Czego chcesz, mała żmijko? Po co tu przychodzisz? Na Boga, będziesz mnie ściagać do samego piekła — zawołał Benvenuto na widok Katarzyny.

— Ach, mistrzu — rzekła Scorzona najśłodszym głosem — zapewniam, że nie jestem żmijką. Przyznaję, że aby cię nie opuścić, poszłabym za tobą chętnie, gdyby było trzeba, nawet do piekła, a przychodzę tutaj, ponieważ to jedyne miejsce, gdzie można z tobą pomówić w tajemnicy.

— No więc szybko! Co masz mi do powiedzenia?

— Och, mój Boże! Benvenuto — powiedziała Scorzona, ujrawszy zaczęty posążek — jaka cudowna postać! To twoja Hebe. Nie myślałam, że już tak dużo zrobiłeś; jaka piękna!

— Prawda? — z zadowoleniem rzekł Benvenuto.

--O tak, bardzo piękna, i jak widzę, nie chciałeś, żebym ci do niej pozowała. Ale kto ci posłużył Za model? — ciągnęła niespokojnie Scorzona. — Nie widziałam, żeby tu wchodziła albo wychodziła jakaś kobieta.

— Zamilcz, Więc jak, moja mała, na pewno nie przyszłaś tu, żeby rozmawiać o rzeźbiarstwie.

— Nie, mistrzu, chodzi o naszego Pagola. No więc posłuchałam cię, Benvenuto. Wczoraj wieczorem skorzystał, że cię nie było, żeby mi prawić o swojej wiecznej miłości i jak kazałeś, wysłuchałam go do samego końca.

— No, proszę! Zdrajca! I co ci powiedział?

— Ach, można umrzeć ze śmiechu i nie wiem, co bym dała, żebyś przy tym był. Musisz wiedzieć, że aby nie wzbudzić żadnych podejrzeń, obłudnik mówiąc do mnie, wykańczał złotą zapinkę, którą kazałeś mu zrobić, i trzymane w ręku dłuto niemało patosu dodawało jego przemowie. „Droga Katarzyno, mówił, umieram z miłości do ciebie; kiedy się wreszcie zlitujesz nad moją męką! Jedno słowo, proszę tylko o jedno słowo. Zobacz, na co się dla ciebie narażam: gdybym nie skończył tej zapinki, mistrz by się czegoś domyślił, a gdyby się czegoś domyślił, zabiłby mnie bez litości; ale gotowym na wszystko dla twoich pięknych oczu. Jezus Maria, ta przeklęta praca nic się nie posuwa. No, powiedz, Katarzyno, na co ci się zda kochać Benvenuto? Wcale ci nie okazuje wdzięczności, ciągle jest wobec ciebie obojętny. A ja bym cię kochał miłością tak gorącą i ostrożną zarazem! Nikt by tego nie spostrzegł, nigdy byś nie została skompromitowana, ba! i zawsze byś mogła liczyć na moją dyskrecję. Wiesz — dodał ośmielony moim milczeniem — znalazłem kryjówkę absolutnie pewną, gdzie bez obawy mógłbym cię trzymać.” Ha, ha, ha! Nigdy byś nie zgadł, Benvenuto, jaką to kryjówkę wybrał ten spryciarz; stawiam sto, tysiąc przeciw jednemu; tylko takie pochylone czoło i łypiące spośród oczu potrafią odkryć podobne zakamarki: chciał naszą miłość ulokować, wiesz gdzie? w głowie twojego wielkiego posągu Marsa. Można tam wejść, powiedział, po drabinie. Zapewniał, że jest tam całkiem ładna izdebka, gdzie nikt by nas nie widział, a skąd jest wspaniały widok na pola.

— Pomysł jest doprawdy przedni — stwierdził Benvenuto ze śmiechem. — I co mu na to odpowiedziałas?

— Odpowiedziałam wielkim wybuchem śmiechu, którego nigdy nie potrafię powstrzymać, co mocno zawiodło mojego Pagola. I zaraz zaczął się nad sobą rozczulać, robić mi wyrzuty, że nie mam serca i że pragnę jego śmierci, i tak dalej, i tak dalej. Cały czas wymachując młotkiem i dłutem, gadał tak przez pół godziny, bo straszny z niego gaduła, jak już zaczęnie.

— A co mu ostatecznie odpowiedziałas?

— Co mu odpowiedziałam? W chwili, gdy stukałeś do bramy, a on kładł na stole zapinkę wreszcie skończoną, wzięłam go za rękę z powagą i powiedziałam: „Pagolo, mówiłeś niby w natchnieniu!” Dzięki, czemu wchodząc, Benvenuto, wytknąłeś mu głupią minę.

— Hmm, źle zrobiłaś, Katarzyno: nie należało go tak zniechęcać.

— Powiedziałeś, żebym go wysłuchała, więc go słuchałam. Nie myśl, że to takie łatwe słuchać ładnych kawalerów! A jeśli kiedyś dojdzie do nieszczęścia?

— Nie tylko powinnaś go słuchać, moje dziecko, ale także mu odpowiadać, to nieodzowne do mojego planu. Odzywaj się do niego najpierw bez gniewu, potem wyrozumiale, a wreszcie życzliwie. Kiedy będziesz na tym etapie, powiem ci, co masz dalej robić.

— Ale to może daleko zaprowadzić, wiesz? Powinieneś przynajmniej być przy tym. '

— Nie frasuj się, Katarzyno, pojawię się w odpowiednim momencie. Polegaj tylko na mnie i wykonuj dokładnie moje polecenia. A teraz idź już skarbie, i daj mi pracować.

Katarzyna wyszła podskakując i śmiejąc się zawczasu z przedniego figła, jakiego Cellini wypłata Pagolowi, mimo że nie potrafiła odgadnąć, co będzie jego początkiem.

Bertvenuto tymczasem, kiedy został sam, nie zabrał się do pracy, jak zapowiedział dziewczynie: żwawo podbiegł do okna wychodzącego ukośnie na ogród przy Petit-Nesle i jakby się pograżył w kontemplacji. Stukanie do drzwi wyrwało go naraz z marzeń.

— Do pioruna! — zawołał z gniewem. — Kto tam znowu?—Nicch to wszyscy diabli, nie mogą mnie zostawić w spokoju!

— Wybacz, mistrzu — rozległ się głos Ascania —jeśli wam przeszkadzam, odejdę.



— Co? To ty, chłopcze? Nie, nie, nigdy mi nie przeszkadzasz. Co się stało i czego chcesz ode mnie?

Benvenuto sam pospieszył otworzyć ulubionemu uczniowi.

— Naruszam waszą samotność i przeszkadzam w pracy — rzekł Ascanio.

— Nie, Ascanio, ty jesteś zawsze mile widziany.

— Mistrzu, chciałbym zwierzyć wam się z pewnej tajemnicy i poprosić o przysługę.

— Mów. Chcesz mą sakiewkę? Chcesz moje ramię? Chcesz mój rozum?

— Być może będę potrzebował wszystkiego naraz, drogi mistrzu.

— Tym lepiej! Jestem ci oddany ciałem i duszą, Ascanio. Ja także zresztą muszę ci się z czegoś wyświadczyć, tuż, wyświadczyć się, bo nie ponosząc, jak sądzę, winy, czułbym wyrzuty sumienia, dopóki nie dasz mi rozgrzeszenia. Ale mów najpierw ty.

— A więc, mistrzu... Ale, wielki Boże. co to jest? — zawołał Ascanio, Spozregł właśnie zaczęty posążek Hebe, a w nim rozpoznał Colombe.

— To Hebe — odparł Benvenuto, którego oczy zaślniły — to bogini młodości. Uważasz, że jest piękna?

— Och, cudowna! Ale te rysy, przecież je znam, to nie złudzenie!

— Niedyskretny! Ponieważ jednak sam uchyliłeś rąbek tajemnicy, muszę odsłonić ją całkowicie i zdaje się wobec tego, że twoje zwierzenia nastąpią po moich. Cóż, siądź tutaj, Ascanio, bez trudu będziesz czytał w moim sercu. Powiadasz, że ci potrzebny; ja także potrzebuję, abys mnie wysłuchał. Wystarczy, byś o wszystkim wiedział, a ogromnie mi ulży.

Ascanio usiadł bledszy niżli ten, któremu mają odczytać wyrok śmierci.

— Jesteś Florentczykiem, Ascanio, i nie muszę cię pytać, czy znasz historię Dantego Alighieri. Pewnego dnia ujrzał na ulicy dziewczę imieniem Beatrice i pokochał je. Dziewczę zmarło, a on je ciągle miłował, gdyż pokochał duszę, a dusze nie umierają; włożył jej tylko na głowę wieniec z gwiazd i umieścił ją w Raju. Uczyniwszy to jał zgłębiać uczucia, badać poezję i filozofię, a kiedy oczyszczony cierpieniem i rozmyślaniami znalazł się u wrót Raju, gdzie Wergiliusz, czyli mądrość, musiał go opuścić, nie zatrzymał się z braku przewodnika, bo na progu zastał czekającą nań Beatrice, czyli miłość.

Ascanio, ja także miałem moją Beatrice. nieżyjącą jak tamta, jak tamta uwielbianą. Dotąd było to tajemnicą znaną Bogu, jej i mnie. Nie potrafię się opierać pokusom; ale przy wszystkich drożnych namiętnościach, jakie przeżyłem, moje uwielbienie pozostało nietknięte, umieściłem moją gwiazdę zbyt wysoko, aby błoto mogło jej dosięgnąć. Mężczyzna nurzał się beztrudnie w rozkoszach, artysta był wierny tajemnym zrękwom. i jeśli cokolwiek uczynił dobrze, Ascanio, jeśli bezkształtna materia, srebro czy glina, potrafi przybrać pod moimi palcami formę i życie, jeśli udało mi się czasem tchnąć piękność w marmur i życie w brąz, to dzięki temu, że od dwudziestu lat moja promieniejąca wizja służy mi za doradcę, podporę, nauczyciela.

Nie wiem, Ascanio, ale jest może różnica między poetą i złotnikiem, między rzeźbiarzem myśli i rzeźbiarzem złota. Dante marzy; ja muszę widzieć. Jemu wystarcza imię Maryi; ja muszę widzieć twarz Madonny. Jego dzieła ludzie czują; moich dotykają. Oto dłaczego, być może, moja Beatrice nie wystarczała, a raczej zbyt wiele znaczyła dla mnie, rzeźbiarza. Zapęniała moją myśl, lecz musiałem jeszcze znaleźć formę. Anielska kobieta, która przyświecała memu życiu, była niewątpliwie piękna, zwłaszcza piękna duchem, lecz nie spełniała warunków tego typu wiecznej piękności, jaki tkwił w moich wyobrażeniach. Czułem się zmuszony szukać gdzie indziej, wymyślać.

I teraz powiedz, Ascanio, gdyby ten rzeźbiarski ideał pojawił mi się żywy na ziemi i gdybym przelał nań część mego uwielbienia, czy byłbym niewdzięczny i niewierny wobec mego ideału poety? Czy sądzisz, że wtedy moja boska zjawa przestałaby mnie odwiedzać i że anioł stałby się zazdrosny o kobietę? Jak myślisz? Pytam o to ciebie, Ascanio. i kiedyś dowiesz się, dlaczego właśnie do ciebie kieruję to pytanie, dlaczego z drżeniem czekam twojej odpowiedzi, jak gdyby odpowiedzieć mi miała moja Beatrice.

— Mistrzu — z powagą i smutkiem odparł Ascanio — jestem za młody, żeby wypowiadać się mi tak doniosłe tematy; w głębi serca uważam jednak, żeście jednym z wybrańców wiedzionych przez Boga i że wszystko, co na swej drodze napotykanie, nie jest przypadkowe, Bóg tak chciał,

— To twoje przekonanie, nieprawdaż, Ascanio? Uważasz, że ziemski anioł, spełnione moje piękne marzenie, jest wysłany przez Pana i że tamten anioł, boski, nie miałby mi za złe zaniedbania go. Ech, mogę ci teraz powiedzieć, że odnalazłem moje marzenie, że ono żyje, że je widzę, dotykam niemal. Ascanio, model najwyższej piękności, najwyższej czystości, typ nieskończonej doskonałości, do jakiej my, artyści, dążymy, jest blisko mnie, oddycha, mogę go co dzień podziwiać. Ach, wszystko, co dotąd zrobiłem, będzie niczym wobec tego, co zrobię. Ta Hebe, którą uważasz za piękną i która, co prawda, jest moim największym dziełem, jeszcze mnie nie zadowala. Moje ożywione marzenie stoi obok swego obrazu i wydaje mi się po stokroć wspanialsze; ale dopnę swego! Dopnę swego! Ascanio, setki białych posągów, podobnych do siebie, powstają już i przesuwały się w mojej myśli. Widzę je, czuję i kiedyś się narodzą.

Chcesz teraz, Ascanio, żebym ci pokazał mojego pięknego ducha budzącego natchnienie? Powinien się jeszcze znajdować niedaleko nas. Co rano w porze, gdy słońce wypływa na niebo, on jaśnieje na ziemi. Patrz.

Benvenuto odchylił zasłonę w oknie i palcem pokazał czeladnikowi ogród przy Petit-Nesle.

Zieloną alejką szła Colombe wolnym krokiem, z głową wspartą na dłoni.

— Jaka ona piękna, prawda? — rzekł Benvenuto z zachwytem. — Fidiasz i stary Michał Anioł nie stworzyli niczego, co by było żywsze, a starożytni co najwyżej dorównują tej młodej i wdzięcznej główce. Jaka ona piękna!

— O, tak, bardzo piękna! — szepnął Ascanio, który usiadł na powrót bez sił i z pustką w głowie.

Przez chwilę trwało milczenie; Benvenuto w tym czasie podziwiał swoje szczęście, Ascanio zaś mierzył swą boleść.

— Ale powiedzcie, mistrzu — odważył się spytać ze strachem czeladnik — do czego was doprowadzi ta namiętność artysty? Co zamierzacie uczynić?

— Widzisz, Ascanio — rzekł Cellini — ta, która nie żyje, nie należała i nie mogła do mnie należeć. Bóg mi ją tylko pokazał, lecz nie dał memu sercu ludzkiej do niej miłości. Dziwna rzecz! Nie dał mi nawet odczuć, czym dla mnie była, dopóki jej nie zabrał z tego świata. Jest w moim życiu tylko wspomnieniem, niewyraźnym obrazem, który przede mną przemknął. Ale jeśliś mnie dobrze pojął, Colombe tkwi bliżej mego życia, bliżej serca; śmiem ją kochać; śmiem myśleć: będzie moja!

— Ona jest córką prewota Paryża — rzekł drżący Ascanio.

— Gdyby nawet była córką króla, wiesz, co może moja wola. Osiągnąłem zawsze wszystko, co chciałem, a niczego goręcej nie pragnąłem. Nie wiem, jak dopnę swego, ale ona musi zostać moją żoną!

— Żoną! Colombe waszą żoną!

— Zwrócę się do mojego wielkiego władcy — ciągnął Benvenuto. — Jeśli zechce, zapelnę mu Luwr i Chambord posągami. Stoły zarzucę mu dzbanami i kandelabrami, a skoro za całe wynagrodzenie poproszę o Colombe, nie byłby Franciszkiem Pierwszym, gdyby mi odmówił. Och, przepelnia mnie nadzieja, Ascanio, nadzieja! Udam się do niego, kiedy będzie otoczony całym dworem. O, za trzy dni, gdy będzie wyjeżdżał do Saint-Germain, pójdiesz Ze mną. Zaniesiemy mu skończoną srebrną solniczkę i rysunki bramy Fontainebleau. Wszyscy będą je podziwiali, bo są piękne, i on będzie podziwiał, zdumieje się bardziej niż inni. I takie niespodzianki będę mu sprawiał co tydzień. Nigdy dotąd nie czułem w sobie tak twórczych i płodnych sił. Dzień i noc w głowie mi się kotłuje: ta miłość, Ascanio, spotęgowała moje siły i zarazem odmłodziła mnie. Kiedy król ujrzy, że jego życzenia są realizowane, gdy tylko się zrodzą, ach, wtedy nie będę już prosił, będę żądał; on uczyni mnie wielkim, a ja zdobędę bogactwo i prewot Paryża, lubo jest prewotem, będzie zaszczycony tym związkiem. Ech, doprawdy, Ascanio, ja chyba tracę zmysły! Gdy myślę o tym, przestaję nad sobą panować. Ona moja! Boskie marzenia! Pojmujesz to, Ascanio? Ona moja! Uściskaj mnie, chłopcze, bo odkąd ci wszystko wyznałem, śmiem słuchać głosu nadziei. Czuję teraz spokój duszy; uprawomocniłeś jakby moją radość. To, co ci dzisiaj mówię, zrozumiesz kiedyś później. Na razie zdaje mi się, że bardziej cię kocham, odkąd ci się zwierzyłem; pocziwyś, żeś mnie wysłuchał. Uściskaj mnie, drogi chłopcze!

— Nie pomyśleliście jednak, mistrzu, że ona was może nie kocha.

— Och, zamilcz, Ascanio! Pomyślałem o tym i zacząłem ci zazdrościć urody i młodości. Ale uspokaja mnie to, co mówiłeś o rządzeniach boskich. Ona czeka na mnie! Bo kogóż by mogła kochać? Jakiegoś dworskiego pyszałka, niegodnego jej! Kimkolwiek by zresztą był ten, którego jej przeznaczono, jestem równie dobrym jak on szlachcicem, a w dodatku genialnym.

— Podobno jej narzeczonym jest hrabia d'Orbec.

— Hrabia d'Orbec? Tym lepiej! Znam go. Jest królewskim skarbpik'em i u niego właśnie pobieram czy to złoto i srebro potrzebne do prac, czy to pieniądze, które miłościwy pan mi przyznaje. Hrabia d'Orbec, stary kutwa, tępawy, zniszczony i skwaszony, tacy się nie liczą i niewielka to chwała zająć miejsce takiego stwora. Ona mnie kocha, Ascanio, nie dla mnie samego, ale dla siebie, bo ja, będę niby dowód jej urody, bo będzie się czuła zrozumiana, wielbiona, uwieczniona. Powiedziałem zresztą: tak chcę! A zawsze, gdy te słowa wymówiłem, powtarzam ci, Ascanio, osiągnąłem, co chciałem. Nie ma takiej ludzkiej siły, która by się oparła sile mojej namiętności. Jak zawsze pójdę prosto do celu z niewzruszonością przeznaczenia. Ona będzie moja, powiadam ci, choćbym musiał poruszyć królestwo w posiadach, a gdyby tak przypadkiem jakiś rywal chciał mi zagrozić drogę, demonio! Znasz mnie, Ascanio, niech się strzeże! Zginie z tej ręki która teraz ścisła twoją. Boże mój, Ascanio, wybacz. Ależ ze mnie egoista, zapominam, że ty też chcesz mi coś zwierzyć, prosić o jakąś przysługę. Nigdy ci się nie odwdzięczę, drogi chłopcze, ale mówże już, mów. Dla ciebie także mogę wszystko, czego zapagnę.

— Mylicie się, mistrzu, istnieją rzeczy, które są jedynie w mocy Boga, i teraz wiem, że mogę liczyć tylko na Niego. Niech więc moja tajemnica pozostanie między moją słabością i jego potęgą.

Po czym Ascanio wyszedł.

Cellini zaś, ledwie Ascanio zamknął za sobą drzwi, zaciągnął zieloną zasłonę i przysunąwszy do okna podstawkę, zabrał się do modelowania Hebe z sercem przepelnionym terażniejszą, radością i spokojem na przyszłość. .

# **Część 2**

## ROZDZIAŁ I

### HANDLARZ SWOIM HONOREM

Oto dzień, w którym Colombe ma być przedstawiona królowej.

Jesteśmy w jednej z komnat Luwru; zebrał się tu cały dwór. Po mszy wszyscy mają wyjechać do Saint-Germain, a teraz czekają tylko na króla i królową, by przejść do kaplicy. Jedyne kilka dam siedzi, pozostali stoją i przechadzają się gawędząc: suknie z jedwabiu i brokatu szeleszczą, szpady, uderzają o siebie, krzyżują się spojrzenia czule bądź nienawistne, wszyscy się umawiają na miłosne schadзки lub pojedynki; to oszałamiający zgiełk, wspaniałe zamęt; pyszne stroje uszyte zgodnie z najnowszą modą; urocze twarze; na tle bogatych i najróżniejszych strojów, odcinają się, paziowie, odziani na modłę włoską lub hiszpańską, stojący bez ruchu z dłonią wspartą na biodrze i szpadą u boku. Obraz to pełen blasku, życia, przepychu, i cokolwiek byśmy o nim powiedzieli, byłoby tylko nieudolną i bladą namiastką. Wskrześ, czytelniku, wytwornych a dowcipnych kawalerów, przywróć do życia błyskotliwe a swawolne damy z kart Brantome'a czy z „Heptameronu”, włóż w ich usta szesnastowieczną mowę szybką, wyszukaną, prostą i w najwyższym stopniu francuską, a będziesz miał pojęcie o owym uroczym dworze, zwłaszcza jeśli wspomnisz słowa Franciszka I: „Dwór bez dam to jak rok bez wiosny albo wiosna bez kwiatów”. A dwór Franciszka I był wieczną wiosną, gdzie pyszniły się najpiękniejsze i najszlachetniejsze kwiaty ziemi.

Po pierwszym olśnieniu, spowodowanym zamieszaniem i gwarem, kiedy dało się już odróżnić poszczególne grupy, z łatwością można było dostrzec, że tłum dzieli się na dwa obozy; pierwszy, odcinający się kolorami liliowymi, był obozem pani d'Etampes; drugi, noszący barwy niebieskie, należał do Diany de Poitiers; skryci zwolennicy reformy należeli do pierwszego obozu, fanatyczni katolicy do drugiego. W tym właśnie stronnictwie widziało się pospolitą, bez wyrazu twarz delfina; twarz jasna, bystra i wesoła Karola Orleańskiego, drugiego syna króla, pojawiała się w szeregach stronnictwa przeciwnego. Dodaj, czytelniku, do tych sprzeczności politycznych i religijnych kobiecą zazdrość i, rywalizację artystów, a otrzymasz w miarę kompletny Układ nienawiści, wyjaśniający — skoro cię to dziwi — owe krocie pogardliwych spojrzeń i groźnych gestów, których przed wzrokiem obserwatora nie zdoła ukryć nawet dworska obłuda.

Dwie nieprzyjaciółki, Diana i Anna, siedziały w przeciwległych końcach sali, a jednak, mimo odległości, nawet pięciu sekund nie trzeba było, aby każda drwina przebiegła z ust jednej do uszu drugiej, riposta zaś, niesiona przez tych samych posłańców, wracała równie szybko tą samą drogą.

Pośród krzyżujących się dowcipnych słów. pomiędzy wielmożami odzianymi w jedwabie i aksamity przechadzał się także — obojętny i poważny w długiej sukni doktora, — Henn Estienne, sercem oddany stronnictwu reformy, o dwa kroki zaś odeń, równie obojętny na wszystko, co go otaczało, stał Piero Strozzi, blady i melancholijny uciekinier z Florencji, który, wsparty o kolumnę, oczami duszy spoglądał niewątpliwie na daleką ojczyznę, gdzie miał wrócić jako

więzień i gdzie spokój nie czekał go wcześniej jak w grobie. Rozumie się, iż szlachetny uciekinier włoski, spokrewniony po kądzieli z Katarzyną Medycejską, mocno był związany ze stronnictwem katolickim.

Dalej przechodzą — rozprawiając o poważnych sprawach państwowych i często stając twarzami do siebie, jakby rozmowie dodawali wagi — stary Montmorency, któremu król niecałe dwa lata wcześniej powierzył urząd konetabla, nie obsadzony, odkąd Bourbon popadł w niełaskę, i kanclerz Poyet, niesłychanie dumny z ustanowionego właśnie przezeń podatku od loterii oraz z układu niedawno podpisanego w Villers-Cotterets.

Nie przyłączając się do żadnej grupki, nie mieszając się do żadnej rozmowy, benedyktyn i franciszkanin Franciszek Rabelais, z uśmiechem zbrojnym w biel zębów, rozglądał się, obserwował, słuchał, drwił, podczas gdy Triboulet, ulubiony błazen jego królewskiej mości, łąził między nogami spacerujących i rzucał oszczerstwa, a także korzystał ze swego wzrostu basseta. by niegroźnie i prawie bezboleśnie tu i ówdzie kogoś ukąsać.

Klemens Marot zaś, wspaniały w nowiutkim stroju królewskiego pokojowca, wydawał się równie zakłopotany jak w dniu odwiedzin w pałacu Etampes. Miał — snadź jakiś nowo powstały dziesięciowiersz, jakiś sonet, i szukał okazji, by go powiedzieć jako złożony na poczekaniu. Lecz wiadomo, niestety, że natchnienie nie spada z nieba i człowiek nie ma nad nim władzy. Uroczy pomysł zrodził mu się w głowie na temat imienia Diana, Walczył z tym, wszelako muza nie jest kochanką, lecz władczynią: nie wiadomo jakim cudem wiersze same się ułożyły, rymy splotły ze sobą. Krótko mówiąc, ów nieszczęsny dziesięciowiersz martwił go bardziej, niżby można wyrazić. Marot oddany był niewątpliwie pani d'Etampes i Małgorzacie z Nawarry; niezaprzeczalnie skłaniał się ku stronnictwu protestanckiemu. Być może nawet szukał jakiegoś epigramu przeciwko Dianie, a tu nasunął mu się ów nieszczęsny madrygał na jej cześć; ale przecież mu się nasunął. Jak tu teraz nie ulec, gdy już wspaniałe wiersze zrodziły się w jego głowie na cześć katoliczki, mimo zapału, jakim płonął dla sprawy protestantów, jakże tu się powstrzymać przed zwierzeniem ich do ucha wykształconego przyjaciela?

To właśnie uczynił nieszczęsny Marot. Lecz niedyskretny kardynał de Tournon, którego pieczy powierzył swe wiersze, znalazł je tak pięknymi.

tak wspaniałymi, tak cudownymi, że je mimo woli powtórzył jego wysokości diukowi Lotaryngii, ten zaś natychmiast powiedział o tym pani de Poitiers, W jednej chwili w stronnictwie niebieskich zaczęto szeptać i przywołano Marota, zażądano, poproszono, by wiersze owe wygłosił. Liliowi, widząc, iż Marot przeciska się przez tłum i podchodzi do Diany, także się zbliżyli i ciasno otoczyli poetę, zarazem uradowani i przestraszeni. Wreszcie sama diuszesa d'Etampes wstała zaciekawiona, aby zobaczyć, rzekła, jak ten łobuz Marot, który ma tyle dowcipu, zabierze się do opiewania pani de Poitiers.

Klemens Marot, niebożę, w chwili gdy miał zacząć, złożony pierwszy ukłon uśmiechającej się doń Dianie de Poitiers, odwrócił się lekko, by rzucić dookoła wzrokiem, i ujrzał panią d'Etampes, która się również uśmiechała; lecz uśmiech jednej był uprzejmy, drugiej zaś przerażający. Toteż Marot, z jednej strony zagrzewany, z drugiej mrożony, drżącym i niepewnym głosem powiedział taki oto wiersz!

*Jakie Febusem pragnąłbym zostać!  
Nie żeby, jak on, znad każde ziele,  
Bo w sercu mym ból ma taką postać,  
Że moc żadnego nie zda się na wiele.*

*O miejsce wśród bogów zgoła nie stoję,  
Przeciw królowi nie chce wykroczyć,  
To i z Amorem nie dla mnie boje.  
Pragnę Febusem zostać, aby oczy  
Piękna Diana zwróciła na mnie swoje.*

Zaledwie ostatnia sylaba wdzięcznego madrygału padła z ust Marota, wśród niebieskich wybuchły oklaski, podczas gdy liliowi zachowywali grobową ciszę. Poeta, zachęcony aprobatą i urażony krytyką, mężnie ofiarował swe dzieło Dianie de Poitiers.

— Dla pięknej Diany — rzekł z cicha, składając jej ukłon. — Pojmujesz, pani: pięknej, pięknej w całym tego słowa znaczeniu i bez porównania.

Diana podziękowała mu najśłodszym spojrzeniem i Marot się oddalił.

— Można składać wiersze ku czci pięknej, złożywszy pierwej ku czci najpiękniejszej — rzekł w charakterze tłumacza biedny poeta, przechodząc obok pani d'Etampes. — Pamiętaj, pani: „we Francji najpiękniejszej”.

Anna w odpowiedzi spiorunowała go wzrokiem.

Dwie znane grupki trzymały się z dala od tego incydentu: jedną stanowili Ascanio z Cellinim. Benvenuto miał tę słabość, że wołał „Boską Komedie” od wierszy okolicznościowych. Druga grupka składała się i hrabi d'Orbec, wicehrabi de Marmagne, imć pana d'Estouteville i Colombe, która ubłagała ojca, by się nie mieszał w ten tłum, widziany przez nią po raz pierwszy i budzący w niej tylko strach. Hrabia d'Orbec dwornie nie opuścił narzeczonej, którą przewót miał po mszy przedstawić królowej.

Ascanio i Colombe, choć bardzo przejęci, natychmiast się wzajem spostrzegli i ukradkiem od czasu do czasu na siebie zerkali. Tych dwoje czystych i nieśmiałych dzieci, wyrosłych w samotności rodzącej wielkie serca, czułoby się bardzo opuszczonymi i zagubionymi w wytwornym i zepsutym tłumie, gdyby nie mogli na siebie spoglądać i wzrokiem dodawać sobie ducha.

Nie widzieli się zresztą od dnia wyznania. Daremnie Ascanio po wielekroć próbował wejść do Petit-Nesle. Nowa służąca, przysłana Colombe przez hrabię d'Orbec, zawsze się pojawiała zamiast Perrine, kiedy pukał, i surowo go odprawiała. Ascanio nie był ani dosyć majątny, ani dosyć zuchwały, by próbować przekupić ową kobietę. Nie przynosił zresztą ukochanej nic oprócz smutnych wieści, a o tych zawsze będzie miała czas się dowiedzieć. Te smutne wieści to wyznanie uczynione mu przez mistrza o jego miłości do Colombe, a co za tym idzie świadomość, że muszą sobie nie tylko radzić bez jego pomocy, lecz może nawet walczyć z nim.

Co się zaś tyczy działania, to Ascanio, jak powiedział Celliniemu, czuł, że teraz jeden Bóg może go uratować. Toteż, pozostawiony własnym siłom, czeladnik w swej prostocie ducha postanowił spróbować ułagodzić i wzruszyć panią d'Etampes. Kiedy nadzieja, na jaką się liczyło, zawodzi, człowiek skłonny jest chwytać się najrozpaczliwszych sposobów. Nie dość, że Ascaniowi brakło wszechmocnej siły Benvenuta, to jeszcze niewątpliwie zwróci się ona przeciwko niemu. Ascanio zamierzał tedy, ufny, jako że młody, odwołać się do tego, co — jak mu się zdało — było wielkością, szlachetnością i oddaniem w diuszecie, aby wzbudzić ku swemu cierpieniu litość w tej, która go miłowała. Gdyby zaś ta ostatnia i krucha gałązka wymknęła mu się z rąk, cóż mu — samemu i słabemu — pozostanie, jeśli nie pozwolić rzeczom biec własnym trybem i czekać? Oto dlaczego poszedł z Berwenutem na dwór.

Diuszesa d'Etampes wróciła już na swoje miejsce, Ascanio wmieszał się przeto między dworzan i dotarł z tyłu w pobliże jej fotela. Odwróciwszy się ujrzała go.

— A, to ty, Ascanio — rzekła dość chłodno.

— Tak, wasza wysokość. Towarzyszę mojemu mistrzowi, a ośmieliłem się zbliżyć do ciebie, pani, bo zostawiwszy kiedyś w pałacu Etarnpes rysunek lilii, którą raczyłaś u mnie zamówić, chciałbym się dowiedzieć, czyś z niego aby zadowolona.

— Owszem, doprawdy całkiem ładnym go znajduję — odrzekła pani d'Etampes nieco udobruchaną — i znawcy którym rysunek ów pokazałam, a zwłaszcza ten oto pan de Guise, zgodzili się ze mną w zupełności; czy tylko wykonanie będzie równie doskonałe jak rysunek? I jeśli uważasz, że możesz już powiedzieć, to czy wystarczą moje kamienie?

— Tak, pani, spodziewam się, że wystarczą; wszelako na słupku kwiatu pragnąłbym umieścić duży diament, który by drzał niby kropla rosy. lecz będzie to może nadmierny wydatek przy pracy powierzonej tak skromnemu artyście jak ja.

— Cóż, możemy sobie na to pozwolić.

— Bo to diament tej wielkości wart będzie jakieś dwa tysiące skudów, pani.

— Pomyślimy o tym. Ale — dodała diuszesa zniżając głos — oddaj mi pewną przysługę, Ascanio,

— Jestem na twoje rozkazy, pani.

— Przed chwilą, słuchając pospolitych komplementów tego Marota, zauważyłam w drugim końcu sali hrabię d'Orbec. Dowiedz się o niego, proszę, powiedz mu, że pragnę z nim mówić.

— Ależ, pani... — ozwał się Ascanio, blednąc na dźwięk nazwiska hrabi.

— Czy nie powiedziałaś, żeś na moje rozkazy? — rzekła wyniośle pani d'Etampes. — Proszę zresztą o to, albowiem winna cię obchodzić rozmowa, jaką chcę odbyć z hrabią, i może da ci ona do myślenia, o ile zakochani myślą.

— Będę ci posłuszny, pani — rzekł Ascanio, bojąc się wywołać niezadowolenie tej, od której spodziewał się ratunku.

— I dobrze. Zechciej, zwracając się do hrabi, mówić po włosku, mam ku temu swoje powody, i wróc z nim do mnie.

Ascanio, aby nie rozjątrzyć bardziej i nie urazić znowu swej groźnej nieprzyjaciółki, oddalił się i zapytał jakiegoś młodego panka w liliowej szarfie, czy widział hrabię d'Orbec i gdzie on jest.

— O, tam — padła odpowiedź — to ten stary małpison, co gwarzy z przewotem Paryża i stoi koło tej uroczej panny.

Uroczą panną była Colombe, której się wszyscy wytwornisie z ciekawością przyglądali. Co się tyczy starego małpisona, to istotnie wydał się Ascaniowi równie odrażający, jak tylko rywal mógłby sobie życzyć. Poświęciwszy jednak krótką chwilę owym oględzinom, zbliżył się i ku wielkiemu zdziwieniu Colombe przystąpił do niego, prosząc po włosku, by poszedł z nim ku pani d'Etampes. Hrabia przeprosił narzeczoną i przyjaciół i pospieszył spełnić rozkaz diuszesy z nie odstępującym go Ascaniem, który nim odszedł, porozumiewawczym spojrzeniem uspokoił niebogę Colombe, wzburzoną, gdy usłyszała owo dziwne polecenie, a zwłaszcza skoro zobaczyła posłańca.

— Ach, witaj, hrabio — rzekła pani d'Etampes ujrawszy skarbnika korony — rada jestem, że cię widzę, ważne mam ci bowiem rzeczy do powiedzenia. Panowie — dodała zwracając się do tyoh, co ją otaczali — niewątpliwie jeszcze dobry kwadrans poczekamy na ich królewskie wysokości; jeśli tedy pozwolicie, wykorzystam ten czas na rozmowę ze starym przyjacielem, hrabią d'Orbec.



Wszyscy wielmoże stłoczeni wokół diuszesy z pośpiechem dyskretnie się odsunęli na taką bezceremonialną odprawę i zostawili ją samą z hrabią we wgłębieniu okna rozległym niby dzisiejsze salony. Ascanio zamierzał uczynić jak inni, lecz na znak diuszesy został.

— Cóż to za młodzian? — spytał hrabia.

— To włoski paż, nie rozumie ani słowa po francusku; możesz przeto mówić przy nim, hrabio, to tak, jakbyśmy byli sami.

— A więc, pani — podjął d'Orbec — wypełniłem, spodziewam się, co do joty twoje rozkazy, nie szukając nawet ich powodów. Wyraziłaś życzenie, aby moja przyszła małżonka przedstawiona została dzisiaj królowej; Colombe jest tu ze swym ojcem; teraz jednak, gdy wykonał twój rozkaz, wyznam, że pragnąłbym go pojąć; czy to będzie tak dużo; gdy poproszę o krótkie wyjaśnienie?

— Jesteś mi najbardziej oddany spośród przyjaciół, d'Orbec; całe szczęście, że dużo mi jeszcze pozostaje do zrobienia dla ciebie, a i to nie wiem, czy zdołam się kiedykolwiek wywdzięczyć: spróbuję jednak. Urząd królewskiego skarbnika, który ci dałam, jest tylko kamieniem węgielnym, na nim chcę zbudować twoją fortunę.

— Pani! — rzekł na to d'Orbec, do samej ziemi się kłunijając,

— Będę więc z tobą całkowicie szczerą; ale przedtem niech ci powinszuję. Widziałam przed chwilą twoją Colombe: jest doprawdy czarująca; odrobinę nieporadna, ale to jej dodaje uroku. Między nami jednak mówiąc, na próżno starałam się zrozumieć, znając cię, i nie pojmuję nadal, w jakim celu ty, człek poważny, przezorny i raczej nie zaślepiony, jak wnoszę, na punkcie młodości i urody, zawierasz to małżeństwo; powiadam: w jakim celu, bo niechybnie coś się za tym musi kryć, a nie należysz do ludzi zdających się na przypadek.

— Cóż począć, pani! Trzeba się w końcu ustatkować; a przy tym! ojciec to stary obwieś, który zostawi córce pieniądze.

— Ileż, on ma lat?

— No, jakieś pięćdziesiąt pięć czy sześć.

— A ty, hrabio?

— Och, prawie tyle samo, ale on jest taki zniszczony.

— Zaczynam pojmować i ciebie w tym poznaję. Wiedziałam wszak, żeś ponad pospolite uczucia i że nie wdzięki tej małej cię oczarowały.

— Też coś! Nawet o tym nie pomyślałem, pani; gdyby była szpetna, na jedno by wyszło; jest ładna, tym lepiej.

— Całe szczęście, hrabio, inaczej bym w ciebie zwątpiła.

— A teraz, skoroś już pojęła, pani, moje działanie, czy raczysz powiedzieć...

— Och, to dlatego, że snuję co do ciebie piękne marzenia. Bo chciałabym cię widzieć, wiesz dobrze, d'Orbec, na miejscu Poyeta, którego nie cierpię — powiedziała diuszesa, nienawistnym spojrzeniem obrzucając kanclerza, ciągle spacerującego z konetabłem.

— Co? Pani, jedna z najwyższych godności w królestwie?

— No, czyż ty sam, hrabio, nie jesteś wybitnym mężem? Lecz niestety! Moja władza jest tak niepewna, panuję na skraju przepaści. O, w tej na przykład chwili trawi mnie śmiertelny niepokój. Król wziął sobie za kochankę żonę prostego człowieka, jakiegoś podsędka, niejakiego Feron. Gdyby ta kobieta okazała się ambitna, bylibyśmy zgubieni. Powinnam była i przy tym kaprysie Franciszka wziąć inicjatywę w swoje ręce. Ach, już nigdy nie znajdę takiej jak ta mała diuszesa de Brissac, którą podsunęłam jego królewskiej mości, kobieta łagodna i słaba, dziecko.

Zawsze będę jej żałować: ona nie była groźna, królowi mówiła tylko o mojej doskonałości. Biedna Maria! Przyjęła na siebie cały ciężar mojej pozycji, mnie pozostawiając wszelkie korzyści. Ale ta Feronicha, jak ją nazywają... Na siłę by trzeba od niej odsunąć Franciszka, Ja, niestety! wyczerpałam już cały mój arsenał powabów i pozostała mi jeszcze ostatnia tarcza, przyzwyczajenie.

— Jakże to, pani?

— Mój Boże, tak, zajmuję już tylko umysł, serce jest gdzie indziej; bardzo by mi się przydała, rozumiesz waść, podpora. Gdzie ją znaleźć? Oddaną, szczerą przyjaciółkę, której byłabym pewna. Ach, wynagodziłabym ją taką ilością złota, tyloma honorami! Znajdźże mi ją, d'Orbec. Nie wiesz nawet, jak blisko u naszego władcy stoją król i mężczyzna i dokąd mężczyzna może powieść króla. Gdyby nas było dwie, nie rywalki, lecz wspólniczki, nie dwie kochanki, lecz przyjaciółki; gdyby jedna władała Franciszkiem, a druga Franciszkiem Pierwszym, Francja by do nas należała, hrabio, i to kiedy! gdy Karol Piąty sam wpada w nasze sieci, gdy będzie można nałożyć na niego dowolny okup i wykorzystać jego nieostrożność dla zabezpieczenia sobie na wszelki wypadek wspaniałej przyszłości. Wyłożę ci moje zamiary, d'Orbec. Przyjdzie— taki dzień, kiedy ta Diana, która tak ci się podoba, nie będzie już mogła zawładnąć naszą fortuną, a rycerz Francji będzie mógł się stać... Ale oto i król.

Taki był sposób bycia pani d'Etampes: rzadko wyjaśniała do końca, pozwalała się domyślać; zasiewała w umysłach postanowienia i koncepty, pozwalała działać naturalnej chciwości, ambicji, podłości, po czym umiała w porę przerwać. Wielka to sztuka, którą należałoby polecić wielu poetom i niezliczonym kochankom.

Toteż hrabia d'Orbec, chciwy zysków i honorów, niecny i bezecny, doskonale pojął diuszęsę, gdyż nieraz w czasie rozmowy wzrok Anny kierował się tam, gdzie stała Colombe. Co się tyczy Ascania, to jego prawa i szlachetna natura nie zdołała zgłębić do końca tajemnicy nieprawości i nikczemności, czuł jednak niejasno, iż owa dziwna i posepna rozmowa kryje w sobie straszliwą groźbę dla jego ukochanej, i z przerażeniem przyglądał się pani d'Etampes.

Herold zaanonsował króla i królową. W jednej chwili wszyscy porwali się na nogi odsłaniając głowy.

— Z Bogiem, moi państwo — rzekł wchodząc Franciszek I. — Muszę wam natychmiast powiedzieć wielką nowinę. Nasz drogi brat, cesarz Karol Piąty, w chwili, gdy to mówię, jest w drodze do Francji, o ile już nie przekroczył granic. Przygotujmy się, panowie, by go przyjąć godnie. Nie muszę przypominać mojej wiernej szlachcie, do czego gościnność zobowiązuje Pokąsaliśmy już w obozie Drap d'Or, że potrafimy przyjmować także królów. Za niecały miesiąc Karol Piąty będzie w Luwrze.

— A ja, panowie — odezwała się królowa Eleonora swoim słodkim głosem — z góry wam w imieniu mego brata cesarza dziękuję za przyjęcie, jakie mu zgotujecie.

Odpowiedziano na to okrzykami: „Niech żyje król! Niech żyje królowa! Niech żyje cesarz!”

W tej chwili jakaś podrygująca istota przemknęła między nogami dworzan i zbliżyła się do króla — był to Triboulet.

— Sire — rzekł trefniś — czy pozwolisz łaskawie, że zadedykuję waszej królewskiej mości dzieło, które każę wydrukować?

— Z największą przyjemnością, błażnie — odparł król — ale trzeba jeszcze, bym znał tytuł tego dzieła i wiedział, jak daleko się posunęło.

— Sire, dzieło owo będzie nosić tytuł „Almanach głupców” i zawierać wykaz największych durniów, jakich kiedykolwiek ziemia nosiła. Co do zaawansowania, to wpisałem już na pierwszej stronie imię króla głupców przeszłych i przyszłych.

— A kimże jest ów znamienity konfrater, którego zwiesz moim kuzynem i wybierasz na monarchę? — spytał Franciszek I.

— Karol Piąty, sire — odparł Triboulet.

— Co? Karol Piąty! — zawołał król. — Karol Piąty! A dlaczego on?

— Bo na całym świecie jeden Karol Piąty, więziwszy cię pierwaj w Madrycie, jest na tyle głupi, żeby przejeżdżać przez królestwo waszej wysokości.

— A jeśli bez przeszkód przejedzie przez moje królestwo? — zareplikował Franciszek I.

— Wtedy — odparł Triboulet — obiecuję, że wymażę jego imię, by na to miejsce wpisać inne.

— I czyje to będzie imię? — spytał król.

— Twoje, sire; bo pozwalając mu przejechać, będziesz jeszcze głupszy niż on.

Król wybuchnął śmiechem. Dworzanie mu zawtórowali/Jedna Eleonora zbladła.

— Zaraz więc wstaw moje imię w miejsce cesarskiego — rzekł Franciszek — albowiem dałem słowo szlacheckie i dotrzymam go. Co się tyczy dedykacji, to zgadzam się, a oto cena za pierwszy egzemplarz, jaki się ukaże.

Z tymi słowy Franciszek I wyjął wypchaną sakiewkę i rzucił ją Tribouletowi, który złapał ją w zęby i odbiegł na czworakach warcząc niby pies unoszący kość.

— Pani — odezwał się do królowej prewot Paryża podchodząc z Colombe — wasza królewska mość pozwoli, że skorzystam z tej radosnej chwili, by jej na dobrą wróżbę przedstawić moją córkę Colombe, którą raczyłaś zaliczyć do swych dam dworu.

Dobra królowa zwróciła się z kilkoma słowami powinszowań i otuchy do zmieszanej Colombe, król tymczasem z podziwem się jej przyglądał.

— Słowo szlacheckie, mości prewocie — rzekł z uśmiechem Franciszek I — dopuściłeś się zbrodni zdrady stanu tak długo kryjąc przed nami perłę, która tak doskonale pasuje do wieńca piękności otaczających jej wysokość królową. Żeś nie jest ukaran za ten wiarołomny czyn, mości Robercie, zawdzięczasz milczącemu wstawiennictwu tych pięknych spuszczonej oczu.

Po czym król złożył wytworny ukłon uroczej dziewczynie i z postępującym za nim całym dworem ruszył ku kaplicy.

— Pani — powiedział diuk de Medina-Sidona ofiarowując dłoń diusziesie d'Etampes — przepuścimy, jeśli pozwolisz, ten tłum i zostaniemy nieco w tyle; tu będzie ci wygodniej niż gdziekolwiek indziej wysłuchać te kilka słów, które mam ci do powiedzenia w sekrecie.

— Jestem do dyspozycji, mości ambasadorze — odparła diuszesa. — Nie odchodź, hrabio: możesz wszystko mówić, panie de Medina, przy tym starym przyjacielu, który jest moim drugim ja, i przy tym młodzieńcu, który mówi tylko po włosku.

— Na ich dyskrecji powinno ci zależeć, pani, w równej mierze co mnie, a skoroś ich pewna... Ale otośmy sami i będę zmierzał prosto do celu, bez ogródek i niedomówień. Jak widzisz, pani, jego cesarska wysokość postanowił przejechać przez Francję, a nawet prawdopodobnie wjechał już w jej granice; a przecież wie, iż będzie podążał między dwoma szeregami wrogów; liczy jednak na rycerskość króla; sama doradziłaś mu tę ufność, pani, i zgodzę się z tobą szczerze, że potężniejsza niż ten czy tamten utytułowany minister, masz dość władzy nad Franciszkiem Pierwszym, aby zgodnie ze swą wolą sprawić, iż rada okaże się dobra lub zła, pułapką bądź

gwarancją. Dlaczego byś jednak miała zwrócić się przeciw nam? To nie leży ani w interesie państwa, ani w twoim.

— Skończ, panie; nie wszystko, jak sędzę, powiedziałaś.

— Nie, pani. Karol Piąty jest godnym spadkobiercą Karola Wielkiego i to, czego nielojalny sojusznik mógłby odeń zażądać jako okupu, on chce ofiarować, aby wynagrodzić zarówno gościnność, jak i dobrą radę.

— Cudownie! Taki postępek dowiedzie szlachetności i odwagi.

— Król Franciszek Pierwszy zawsze gorąco pragnął księstwa Mediolanu, pani; i oto prowincję tę, Wieczny przedmiot wojen między Francją a Hiszpanią; Karol Piąty zgodzi się odstąpić swemu szwagrowi w zamian za coroczne opłaty. .

— Pojmuję — odrzekła diuszesa — finanse cesarza, jak wiadomo, są w opłakanym stanie; z drugiej strony dwadzieścia wojen zrujnowało księstwo Mediolanu i jego cesarska moc wcale by się nie zmartwiła przeniesieniem swoich wierzitelności z dłużnika ubogiego na bogatego. Odmawiam, panie de Medina, bo sam rozumiesz, że podobna propozycja jest nie do przyjęcia.

— Ależ, pani, co do tej inwestytury pierwsze, kroki wobec króla już poczyniono i jego królewska moc wydał się uradowany.

— Wiem; lecz ja się nie zgadzam. Jeżeli możesz sobie poradzić beze mnie, panie, tym lepiej dla ciebie.

— Pani, cesarzowi szczególnie zależy na pewności, żeś po jego stronie i wszystko, czego zapagniesz...

— Moje wpływy nie są towarem, który się sprzedaje i kupuje, mości ambasadorze.

— Och, wasza wysokość, kto tak mówi?

— Posłuchaj, panie, twierdzisz, że twój władca pragnie mojego poparcia i między nami mówiąc, ma słuszną rację. Otóż, aby mu je zapewnić, proszę go o mniej, niż on chce ofiarować: słuchaj uważnie, panie ambasadorze. Oto co musi uczynić. Obieca Franciszkowi Pierwszemu nadanie księstwa Mediolanu, a znalazłszy się poza Francją, przypomni sobie o złamanym traktacie madryckim i zapomni o swojej obietnicy.

— Co? Pani, wszak to oznacza wojnę!

— Zaczekajże, panie de Medina. Jego królewska moc będzie w rzeczy samej krzyknął i groził. Wtedy Karol zgodzi się na wyniesienie księstwa Mediolanu, do rangi państwa niepodległego, po czym je podaruje, lecz wolne od opłat. Karolowi Orleańskiemu, drugiemu synowi króla: w ten sposób cesarz, nie wzmocni rywala. To jest warte kilka skudów i tuszę, że nie masz nic przeciwko temu, ekscelencjo. Co się tyczy moich osobistych żądań, jak przed chwilą, powiedziałaś, to jeśli jego cesarska moc przystanie na mój plan. przy naszym pierwszym spotkaniu upuści przede mną jakiś mniej czy bardziej błyszczący kamień, a ja go podniosę, jeśli będzie wart zachodu, i zachowam na pamiątkę sławetnego sojuszu zawartego pomiędzy następcą Cezarów, królem Hiszpanii i Indii, a mną..

Diuszesa d'Etampes nachyliła się do ucha Ascania. którego również przerażały owe mroczne i tajemnicze zamiary, jak diuka de Medina niepokoiły, a hrabię d'Orbec olśniewały.

— To wszystko dla ciebie. Ascanio — rzekła szeptem czeladnikowi.— Aby zdobyć twoje serce, gotowa bym zgubić Francję. I cóż, panie ambasadorze? — podjęła na głos. — Jaka jest twoja odpowiedź?

— Jeden cesarz może podjąć decyzję w sprawie takiej wagi, pani: alisci wszystko przemawia za tym, że zgodzi się na układ, który niemal mnie przeraża, tak wydaje mi się dla nas korzystny.

— Aby choć trochę cię uspokoić, wyznam, iż jest korzystny i dla; mnie. dlatego też podejmuję się sprawić, żeby król go zaakceptował. Mvi kobiety, także prowadzimy własną politykę, głębszą niekiedy niżli wasza.; Lecz mogę przysiąc, że moje zamiary w niczym dla was nie są groźne: bo też zastanów się, panie, co by mogło wam grozić? Oczekując zresztą postanowień Karola Piątego, panie de Medina, możesz być pewien, że ni przepuszczę żadnej okazji, by działać przeciw niemu, i że ze wszystkie sił będę namawiała jego królewską mość. aby go uwięził.

— Coś takiego, pani! I to ma być początek sojuszu?

— Och, mości ambasadorze! Jakże to? Mąż stanu tej miary co ty nie pojmuje, że najważniejsze to odsunąć ode mnie wszelkie podejrzania i, otwarte orędownie za waszą sprawą stałoby się sposobem na zaprzepaszczenie jej? Nie sądzę zresztą, że bym kiedykolwiek powstała zdradzona lub wydana. Pozwól mi być twoją nieprzyjaciółką, panie ambasadorze, pozwól mi występować przeciwko tobie. Co ci zależy? Wiesz przecież, na Boga, co znaczą słowa! Jeżeli Karol Piąty nie zgodzi się na taki układ, powiem królowi: „Sire, zdaj się na moje szlachetne instynkty kobiece. Nie powinienes się cofać przed słusznym i koniecznym odwetem.” A jeżeli cesarz się zgodzi, powiem: „Sire. wierz w mój kobiecey, czyli obłudny spryt; powinienes się uciec do nikczemności.

— Ach! pani — rzekł diuk de Medina składając ukłon diuszecie — jaka szkoda, żeś królową! Byłabyś doskonałym ambasadorem!

Po czym diuk pożegnał się z panią d'Etampes i odszedł, uradowany nieoczekiwanym zwrotem, jaki przyjęły negocjacje.

— Na mnie kolej przemówić jasno i prosto z mostu — rzekła diuszesa do hrabi d'Orbec, kiedy została sama z nim i Ascaniem. — Teraz, hrabio, wiesz o trzech rzeczach: po pierwsze, że dla moich przyjaciół i dla mnie ważne jest, aby moja władza się umocniła i aby nic jej nie groziło; po wtóre, że kiedy to wszystko się już rozegra, nie będziemy musieli się obawiać o przyszłość, że Karol Orleański pójdzie w ślady Franciszka Pierwszego i że księżę Mediolanu, który za moją sprawą księciem zostanie, będzie mi winien większą wdzięczność niż król Francji, za którego sprawą ja się stałam tym, kim jestem; po trzecie, że uroda twojej Colombe wywarła duże wrażenie na jego królewskiej mości. Otóż, hrabio, zwracam się do człowieka wybitnego, który stoi ponad pospolitymi przesądami. Swój los trzymasz w tej chwili we własnych rękach: czy chcesz, aby skarbnik d'Orbec zajął miejsce kanclerza Poyeta. czyli mówiąc konkretnie. Czy chcesz, aby Colombe d'Orbec zajęła miejsce Marii de Brissac?

Ascanio wykonał gest przerażenia, który uszedł uwagi hrabi d'Orbec spoglądającego z podłą złośliwością w głębokie oczy pani d'Etampes.

— Chcę być kanclerzem—rzekł prosto.

— Doskonale! Jesteśmy więc uratowani; ale prewot!

— Ech, co tam! — odrzekł hrabia. — Znajdziesz mu. pani, jakiś dobry urząd; byle tylko był bardziej lukratywny niż zaszczytny, z łaski swojej; odzyskam wszystko, kiedy stary podagryk odejdzie.

Ascanio nie mógł się dłużej powstrzymać.

— Pani! — ozwał się głośno podchodząc bliżej.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, hrabia nie zdążył się zdziwić, obydwie skrzydła drzwi otwarły się bowiem; dwór wracał.

Pani d'Etampes chwyciła gwałtownie Ascania za rękę, cofnęła się szybko z nim i głosem stłumionym, lecz wibrującym rzekła mu na ucho:

— I cóż, młodzieńcze, widzisz teraz, jak się zostaje królewską konkubina i dokąd nieraz wbrew nam prowadzi nas życie?

Umilkła. Pomiedzy jej poważne słowa wtargnął dobry humor i dowcipy króla i dworzan. Franciszek I promieniał — miał przyjechać Karol V. Będą przyjęcia, bale, niespodzianki, piękna rola do odegrania. Cały świat będzie spoglądał na Paryż i jego króla. Troszcząc się o ciekawe przedstawienie, którego wszystkie, nici on, Franciszek I, będzie trzymał, myślał o nim z dziecięcą radością. Taką już miał naturę, że wszystko brał raczej od strony wesołej niż poważnej, dążył głównie do efektu i widział w bitwach turnieje, a w rządzeniu sztukę. Niesłuchanie podatny na idee ryzykowne; dziwne, poetyczne, Franciszek I uczynił ze swego panowania przedstawienie teatralne, a ze świata widownię.

Tego dnia, tuż przed olśnieniem rywala i Europy, jego łaskawość i łagodność były jeszcze bardziej niż zwykle ujmujące.

Toteż Triboulet, jakby uspokojony dobroduszością na twarzy władcy, przyturlał się do jego stóp w chwili, gdy król przekraczał próg.

— Och, sire! — zawołał żałośnie trefniś. — Przyszedłem się z tobą pożegnać, wasza wysokość musi się pogodzić z moim odejściem; toteż płaczę bardziej nad tobą niż nad sobą. Cóż pocznie wasza królewska mość bez swojego Tribouleta, którego tak miłuje!

— Co? Chcesz mnie opuścić, głupcze, kiedy jeden błazen przypada na dwóch monarchów?

— Tak, sire, kiedy dwóch monarchów przypada na jednego błazna.

— Ani mi się waź, Triboulet. Zostaniesz, rozkazuję ci,

— Ach, tak, sire. Powiadom tedy dekretem królewskim pana de Vieille-ville, któremu powiedziałem, co się mówi o jego małżonce, a on za taki drobiazg poprzysiągł, że najpierw pourywa mi uszy, a potem wydrze duszę. v. jeśli w ogóle takową mam, dodał ten bezbożnik, któremu wasza królewska mość powinien wyrwać język za takie bluźnierstwo.

— No, no! — ozwał się król. — Bądź spokojny, mój biedny błaznie, ten, kto by ci odebrał życie, może być pewien, że zawiśnie kwadrans później.

— Och, sire, czy nie byłoby ci wszystko jedno?

— A, co takiego?

— Powieś go kwadrans wcześniej. Wolę tak.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a król głośniejszy od innych. Po czym idąc dalej, natknął się na Piera Strozzi, wysoko urodzonego wygnańca.

— Panie Strozzi — odezwał się doń — dawno już prosiłeś, zdaje mi się, że zbyt dawno, o listy naturalizacyjne; wstyd to dla nas, że walczywszy tak dzielnie w Piemontie w szeregach Francuzów i jako Francuz, za odwagę nie należysz jeszcze do naszej ojczyzny, skoro twoja prawdziwa ojczyzna wyrzekła się ciebie. Dziś wieczorem pan Le Macon, mój sekretarz, prześle ci listy naturalizacyjne. Nie dziękuj, waść; Karol Piąty musi cię widzieć jako Francuza, byś honor zachował, ty i ja... A, to ty, Cellini, nigdy nie przychodzisz z pustymi Rękami: co tam ściskasz pod pachą, przyjacielu? Ale zaczekaj no chwilę; nikt nie powie, na honor, że cię nigdy nie wyprzedziłem w hojności. Panie Le Macon, do listów naturalizacyjnych wielkiego Piera Strozzi dołączysz listy dla mojego przyjaciela Benvenuto i darmo dostarczysz mu je do domu: złotnik nie znajduje równie łatwo pięciuset dukatów jak taki Strozzi.

— Sire — rzekł Benvenuto — składam dzięki waszej Królewskiej mości, lecz proszę o wybaczenie mojej niewiedzy: cóż to jest owe listy, naturalizacyjne? .

— Coś podobnego! — oburzył się z powagą Antoine Le Macon, podczas gdy król śmiał się z pytania jak szalony — to nie wiesz, mistrzu Benvenuto, że listy naturalizacyjne są największym zaszczytem, jaki jego królewska mość może przyznać cudzoziemcowi? Że dzięki nim stajesz się Francuzem?

— Zaczynam pojmować, sire, i składam ci dzięki — rzekł Cellini; — wybacz jednak: z serca byłem już poddanym waszej królewskiej mości, do czego służą tedy owe listy?

— Do czego służą owe listy? — powtórzył Franciszek I nie tracąc dobrego humoru. — Służą, Śenvenuto, do tego, że teraz, gdyś jest Francuzem, mogę cię uczynić panem na Grand-Nesle, co dotąd było mi wzbronione. Panie Le Macon, dołączysz do listów naturalizacyjnych akt całkowitej donacji zamku. Rozumiesz teraz, Benvenuto, do czego służą listy naturalizacyjne?

— Tak, sire, i dzięki, stokrotne dzięki! Można by rzec, iż nasze dusze rozumieją się bez słów, bo łaska, którą mi dzisiaj wyświadczasz, jest niby krok ku dobrodziejstwu, o jakie może cię kiedyś, panie, poproszę, i stanowi niejako jego część.

— Wiesz, co ci obiecałem, Benvenuto. Przynieś mi Jowisza, a potem żądaj.

— Tak. wasza królewska mość ma dobrą pamięć i tuszę, że dotrzyma słowa. Wasza królewska mość może spełnić pragnienie, od którego w pewnym sensie zależy moje życie, a właśnie szlachetnym królewskim instynktem sprawiłeś, panie, iż spełnienie owego pragnienia będzie łatwiejsze.

— Stanie się tak, mój wielki złotniku, jak sobie zyczysz; wcześniej jednak pokażesz nam, co trzymasz w rękach.

— Sire, to srebrna solniczka, tworząca komplet z pucharem i misą.

— Pokaż ją zaraz, Benvenuto

Król jak zwykle z uwagą i w milczeniu obejrzał precudne dzieło, które mu pokazał Cellini.

— Co za głupota! — powiedział wreszcie. — Ależ to bezsensowne! — Jakże to, sire! — wykrzyknął Benvenuto w najwyższym stopniu zawiedziony. — Wasza królewska mość byłby tak niekontent?

— A pewnie, mój panie. Bo też taki piękny pomysł psujesz mi w srebrze: w złocie należało to wykonać, Cellini. i jestem o to na ciebie zły. ale zrobisz solniczkę jeszcze raz.

— Ach, sire — westchnął melancholijnie Behvenuto — nie miej takich ambicji wobec moich marnych robót. Te drogie skarby mojej myśli zgubi, lękam się. bogactwo materii. Dla trwałej chwały lepiej pracować w glinie niż w złocie, sire, a nasze, złotników, nazwiska nie żyją długo. Sire, potrzeby są czasem okrutne, ludzie zawsze chciwi i niepoczytalni; i kto wie, czy wykonana przeze mnie czara, za którą wasza królewska mość dałby dziesięć tysięcy dukatów, nie zostanie przetopiona za cenę dziesięciu skudów?

— No, wiesz! Czyżbyś sądził, że król Francji odda kiedykolwiek w zastaw do Lombardczyków solniczki ze swego stołu?

— Sire, wszak cesarz Konstantynopola zastawił u Wenecjan koronę cierniową Zbawiciela.

— Ale król Francji ją wykupił, mości panie!

— Tak, wiem; pomyśl jednak, panie, o niebezpieczeństwach, o rewolucjach, wygnaniach! Pochodzę z'kraju,skąd Medyceusze po trzykroć zostali wypędzeni i na powrót sprowadzeni, i tylko władcom, którzy jak wasza królewska mość, okrywają się chwałą, nie można odebrać ich własności.

— Nieważne, Benvenuto, nieważne, chcę tę solniczkę mieć ze złota i mój skarbnik jeszcze dzisiaj wyliczy ci na to w złocie tysiąc skudów, starej wagi. Słyszysz, hrabio d'Orbec, jeszcze

dzisiaj, nie chcę bowiem, aby Cellini stracił choć minutę. Żegnaj, Benvenuto, pracuj dalej; król myśli o Jowiszu; żegnajcie, panowie, pamiętajcie o Karolu Piątym.

Podczas gdy Franciszek I szedł po schodach, by dołączyć do siedzącej, już w karecie królowej, której towarzyszył konno, wszczął się tu i ówdzie ruch godny wzmianki.

Benvenuto zbliżył się najpierw do hrabi d'Orbec i rzekł:

— Zechciej mieć to złoto do mojej dyspozycji. mości skarbniku. Będący posłusznym rozkazom jego królewskiej mości, udam się natychmiast do domu po sakwę i za pół godziny zjawię się u ciebie.

Hrabia skłonił się na znak zgody i Cellini wyszedł sam, daremnie rozejrzawszy się pierwej za Ascaniem.

W tym samym czasie Marmagne szeptał coś prewotowi trzymającemu wciąż Colombe za rękę.

— To wspaniała okazja — mówił — biegnę przeto uprzedzić moich ludzi. Ty zaś, panie, powiedz hrabi, żeby zatrzymał jak najdłużej tego Celliniego.

Po czym zniknął, a imć pan d'Estouteville podszedł do hrabi d'Orbec, powiedział mu coś na ucho, a następnie dodał głośno:

— Ja tymczasem, hrabio, odprowadzę Colombe do zamku.

— Dobrze — odparł d'Orbec — i przyjdź mnie wieczorem powiadomić o wyniku, mości prewocie.

Rozeszli się i prewot w rzeczy samej ruszył wolno, z córką drogą ku Petit-Nesle, nie widząc, że podąża za nimi Ascanio, który ani na chwilę nie stracił ich z oczu i z dala spoglądał miłośnie na Colombe.

Król tymczasem wkładał nogę w strzemień; dosiadał ulubionego wierzchowca — wspaniałego alezana, podarunku od Henryka VIII.

— Długą drogę dzisiaj wspólnie przebędziemy — rzekł.

*Piękny i ty konik o kroku udałem*

*Dosiąść cię łatwo, łatwo zeskoczyć.*

— Na honor! Mamy oto dwa pierwsze wersy czterowiersza — stwierdził Franciszek I. — Znajdź ciąg dalszy, no, Marot, albo ty, mistrzu de Saint-Gelais.

Marot podrapał się w głowę, lecz Melin de Saint-Gelais go uprzedził i z niesłychaną prędkością wcale udatnie dodał:

*Chociażeś nie jest Bucefałem,*

*Od Aleksandra większego nośisz,*

Ze wszech stron rozbrzmiały oklaski i król, już w siodle, przesłał dziękczynny gest zręcznemu pocie tak szybko natchnionemu.

Marot zaś wrócił do zamku Navarre bardziej niż zwykle gderliwy.

— Nie wiem, co, tym wszystkim na dworze się stało — zrzędził — ale byli dzisiaj okropni.



## ROZDZIAŁ II

### CZTERY RODZAJE RABUSIÓW

Benvenuto w pośpiechu przeszedł przez Sekwanę i zabrał z domu nie sakwę, jak powiedział hrabia d'Orbec, lecz niewielką kobiałkę, którą we Florencji dała mu jedna z krewniaczek, zakonnica; następnie, jako że pragnął sprawę doprowadzić do końca jeszcze tego samego dnia, a była już druga po południu, nie czekając na Ascania, którego stracił z oczu, ani na robotników, którzy poszli się posilić, ruszył z powrotem na ulicę Froid-Manteau, gdzie mieszkał hrabia d'Orbec, i lubo rozglądał się dość bacznie, po drodze nie ujrzał niczego, co by mogło w nim wzbudzić najmniejszy niepokój.

Kiedy się znalazł u hrabi d'Orbec, ów rzekł mu, iż złotnik nie może zaraz wziąć złota, zważywszy, że należy dopełnić niezbędnych formalności, wezwać notariusza, sporządzić umowę; hrabia tłumaczył się zresztą uprzedzająco grzecznie, bo wiedział, że Cellini 7 natury nie grzeszy cierpliwością, lecz odmowę swą ubrał w formę tak uprzejmą, iż nie było sposobu się rozgniewać i Benvenuto, uwierzywszy w owe przeszkody, pogodził się z czekaniem.

Zapragnął jedynie wykorzystać zwłokę, aby sprowadzić kilku swoich robotników, którzy by mu towarzyszyli w drodze powrotnej i pomogli nieść złoto. D'Orbec ochoczo wysłał do zamku Nesle służącego, żeby ich o tym powiadomił, po czym nawiązał rozmowę na temat prac Celliniego. względów, jakimi darzył go król, na temat wreszcie tego wszystkiego, co by pozwoliło cierpliwie znieść oczekiwanie Benvenuto, tym mniej podejrzliwemu, że nie miał hrabia nic do zarzucenia ani podejrzewał, żeby hrabia miał powód, by być jego wrogiem. Cellini pragnął wprawdzie zastąpić go u boku Colombe, lecz o tym pragnieniu nie wiedział nikt oprócz niego i Ascania. Odpowiadał tedy dość łaskawie na zagadywanie skarbnika.

Następnie trzeba było czasu, aby wybrać złoto o próbie, jakiej życzył sobie król. Notariusz długo nie przychodził. Umowy nie sporządza się w minutę. Słowem, kiedy po wymianie ostatnich uprzejmości Benvenuto zebrał się do powrotu, zaczynało się już ściemniać; zapytał o sługę, którego wysłano po robotników. Ów odparł, iż nie mogli przyjść, lecz że on chętnie poniesie złoto mistrza. W Benvenucie przebudziła się nieufność i odrzucił propozycję, choć była grzeczna.

Wsypał złoto do kobiałki, po czym założył na ramię obydwie pałaki, a ponieważ ramię weszło z trudem, złoto dobrze leżało w koszyczku i niósł je dużo wygodniej aniżeli w sakwie. Pod odzieniem miał dobrą kolczugę z rękawami, u boku zaś krótką szpadę, za pasem sztylet; ruszył przeto w drogę krokiem spiesznym, lecz pewnym. Przed samym wyjściem jednak zdało mu się, iż widzi, jak kilku lokajów szepcze między sobą i z pośpiechem wybiera się gdzieś, lecz udali, że nie idą tą samą drogą co on.

Teraz, kiedy z Luwru do Instytutu Francji idzie się mostem des Arts, Benvenuto miałby doprawdy do przebycia kilka kroków, lecz w tamtych czasach odległość ta stanowiła całą

wyprawę. Należało bowiem, wyszedłszy z ulicy Froid-Manteau, pójść nabrzeżem aż do Châtelet, przejść przez most aux Meuniers, przeciąć Cite ulicą Saint-Barthelemy, dostać się na lewy brzeg mostem Saint-Michel i dopiero pustym nabrzeżem dotrzeć do zamku Grand-Nesle. Nic przeto dziwnego, że w owej epoce złodziejasków i rabusiów Benvenuto, mimo całej swej odwagi, czuł lekki niepokój o tak znaczną sumę jak ta, którą niósł pod pachą. W dodatku jeśli czytelnik raczy wyprzedzić z nami Benvenuta o kilkaset kroków, ujrzy, iż jego niepokój nie był bezzasadny.

Około godziny wcześniej, kiedy zaczął gęstnieć mrok, czterech mężczyzn o niezbyt przyjemnym wyglądzie, owiniętych w szerokie płaszcze, ustawiło się na ulicy des Augustins w pobliżu kościoła. W tym miejscu na brzegu rzeki, absolutnie pustym o tej porze, wznosiły się tylko mury. Stojąc tak, mężczyźni owi spostrzegli jedynie przechodzącego przewoźnika, który odprowadzał Colombe do Petit-Nesle, i pozdrowili go z szacunkiem, jaki się należy władzy.

Z kapeluszymi nasuniętymi na oczy gawędzili z cicha we wnęce utworzonej przez kościół. Dwóch z nich już znamy: to chwaci najęci przez wicehrabię de Marmagne na pechową wyprawę przeciwko Grand-Nesle; nazywali się Ferrante i Fracasso. Ich dwaj towarzysze, zarabiający na życie w taki sam szacowny sposób, zwali się Prokop i Maledent. Ażeby potomni — jak to ma miejsce od trzech tysięcy lat w przypadku starego Homera — nie spierali się o ojczyznę czterech śmiałków, dodamy, że Maledent był Pikardyjczykiem, Prokop Cyganem, a Ferrante i Fracasso przyszli na świat pod błękitnym niebem Italii. Co się tyczy ich tytułów w czasach pokojowych, to Prokop był jurystą, Ferrante pedantem, Fracasso marzycielem, a Maledent durniem. Jak widać, narodowość francuska nie zaślepia nas, gdy chodzi o tego spośród owych czterech ptaszków, który był naszym rodakiem.

W walce wszyscy czterej byli wcielonymi diabłami.

Posłuchajmy teraz przyjaznej i pouczającej rozmowy, jaką ze sobą wiedli. Będziemy się mogli dowiedzieć, co to za ludzie i jakie właściwie niebezpieczeństwa groziły naszemu Benvenuto.

— Wiesz, Fracasso — mówił Ferrante — przynajmniej ten rudzielec wicehrabia nie będzie nam dzisiaj przeszkadzał i będziemy mogli dobyć szpady z pochew, a ten tchórz nie zawoła: W ty! i nie zmusi nas do ucieczki.

— Jasne — odparł Fracasso — ale skoro na nas spada całe niebezpieczeństwo walki, za co wielkie mu dzięki, powinien nam też zostawić całą zdobycz. Jakim prawem ten zrudziały bałwan zostawia dla siebie pięć: set złotych skudów? Pewnie, że pozostałe pięćset to całkiem ładna sumka, Sto dwadzieścia pięć dla każdego, to kwota przyzwoita, a w trudnych czasach zdarzało mi się zabijać za dwa skudy.

— Za dwa skudy! Matko święta! — zawołał Maledent. — No, nie, to już praca za darmo. Nie mów takich rzeczy, kiedy jestem z tobą, mój drogi, bo gdyby to ktoś usłyszał, mógłby nas ze sobą pomylić,

— Cóż chcesz, Maledent! — rzekł Fracasso melancholijnie. — W życiu zdarzają się złe passy i bywają chwile, kiedy by się zabiło człowieka dla kawałka chleba. Ale wróćmy do rzeczy. Tak mi się wydaje, moi drodzy, że dwieście pięćdziesiąt skudów ma dwa razy większą wartość niż sto dwadzieścia pięć. Gdybyśmy zabiwszy owego człeka, nie zgodzili się na rozliczenie z tym złodziejem Marmagne'em?

— Bracie — z powagą odezwał się Prokop — zapominasz, że byłoby to złamanie umowy; byłoby to oszukanie klienta, a we wszystkim trzeba lojalności. Oddamy wicehrabi pięćset talarów, jak ustalono, co do jednego, tak uważam, Ale *distinguamus*; kiedy już je schowa i uzna nas za ludzi uczciwych, nie widzję przeszkód, żeby na niego napaść i mu je odebrać.

-- Przednia myśl! — przyznał stanowczo Ferrante, — Prokop zawsze miał dużo uczciwości połączonej z wielką wyobraźnią.

-- Mój Boże! To stać, że studiowałem trochę prawo — skromnie powiedział Prokop.

— Jednakże — ciągnął Ferrante zwykłym u niego pedantycznym tonem — nie komplikujmy sobie planów. *Recte ad lerminum eamuś*. Niech wicehrabia śpi spokojnie! Przyjdzie jego kolej; na razie chodzi o tego florenckiego złotnika: dla większej pewności zażyczo sobie, żebyśmy się nim zajęli we czwórkę. Ostatecznie jeden mógłby starczyć i zgarnąć złoto, ale gromadzenie pieniędzy jest plagą społeczną, lepiej więc, żeby dochód został podzielony między kilku przyjaciół. Sprzątnijmy go tylko szybko i porządnie, to nie jest zwyczajny człowiek, jak zdążyliśmy się z Fracassem przekonać. Dla większej pewności pogódźmy się więc z tym, *ii*. zaatakujemy go wszyscy razem, powinien już niedługo nadejść. Uwaga! Opanowanie, mocne nogi, dobre oko i baczcie na włoskie pchnięcie, którego nie omieszka wam zadać.

— Wiemy, co to znaczy, Ferrante — rzekł Maledent z pogardliwą miną — otrzymać cios końcem czy ostrzem szpady. Jednego razu w sprawach osobistych wszedłem nocą do pewnego zamku w Burbonii. Ranek zaskoczył mnie, zanim wszystko załatwiłem, z musu więc postanowiłem się ukryć aż do następnej nocy; nic nie wydało mi się lepsze do tego celu od zamkowej zbrojowni: było tam całe mnóstwo panoplii, hełmów, pancerzy, naramienników i nagolenników, tarcz. Wyjąłem drag, który podtrzymywał jedną ze zbroi, wśliznąłem się na jego miejsce i stanąłem tak z opuszczoną przyłbicą, nieruchomy na postumencie.

— To nader ciekawe — przerwał Ferrante. — Mów dalej, Maledent, czy można lepiej wykorzystać czas oczekiwania, jak słuchając opowieści o czynach wojennych? Mów dalej.

— Nie wiedziałem — ciągnął Maledent — że ta przeklęta, zbroja służyła synowi pana zamku do ćwiczeń w robieniu bronią. Ale za chwilę weszło dwóch zuchów dwudziestoletnich, każdy wziął lancę i szpadę i dalejże walić w moją skorupę. Ech, przyjaciele, wierzcie, jeśli chcecie, pod tymi ciosami szpady i lancy ani drgnąłem, stałem prosto i twardo, jakbym był naprawdę z drewna i przymocowany u podstawy. Na szczęście ci dwaj nie grzeszyli siłą. Nadszedł ojciec doradzając, by mierzyli w odsłonięte miejsca mojego pancerza; lecał święty Maledent, mój patron, którego szeptem wzywałem, odwracał ciosy. Wreszcie ten piekielnik ojciec, żeby młodzikom pokazać, jak się podnosi przyłbicę, złapał lancę i jednym ruchem odsłonił moją pobladłą i wykrzywioną twarz. Myślałem, że zgubiony,

— Biedny przyjacielu! — melancholijnie rzekł Fracasso. — Mniej, by wystarczyło.

— Ba! wyobraźcie sobie, oto ujrzawszy mnie, jak powiedziałem, bladego i z wykrzywioną twarzą, byli na tyle głupi, że mnie wzięli za ducha swojego pradziada; i oto ojciec i syn zmykają co sił w nogach, jakby ich diabeł gonił, Słowo daję, cóż miałem począć? Odwróciłem się do nich plecami i zrobiłem jak oni; ale to już nieważne; jak widzicie, jeśli o mnie chodzi, mocno stoję na nogach.

— Owszem, ale w naszym zawodzie najważniejsze, mój przyjacielu — rzekł Prokop — to nie tylko umieć przyjmować ciosy, ale i dobrze je zadawać. Najlepiej, jeśli ofiara pada nie wydawszy nawet krzyku. Kiedyś, w czasie jednej z moich podróży po Flandrii, miałem uwolnić pewnego klienta od czterech bliskich przyjaciół którzy razem podróżowali. Chciał mi najpierw dodać trzech towarzyszy; lecz ja powiedziałem, że albo sam się wszystkiego podejmuję, albo nie podejmuję się wcale. Stało na tym, że postąpię, jak zechcę, i byłem tylko dostarczył cztery trupy, otrzymam poczworną zapłatę. Wiedziałem, jaką drogą podążają: zaczekałem więc na nich w gospodzie, gdzie musieli stanąć.

Gospodarz należał kiedyś do nas: porzucił swój zawód, żeby postać oberżystą, co było sposobem na dalsze skubanie podróżnych bez żadnej obawy; ale nie wyzbył się jeszcze wszystkich uczuć, tak że bez większego trudu wciągnąłem go w moje sprawy w zamian za jedną dziesiątą zapłaty. To ustalwszy, czekaliśmy na naszych czterech kawalerów, którzy wkrótce wyjechali z za zakrętu i stanęli przed gospodą, szykując się do napełnienia tam brzuchów i oporządzenia koni. Oberżysta powiedział im, że jego stajnia jest tak mała, iż muszą tam wchodzić kolejno, inaczej nie ruszą się i będą sobie stale przeszkadzać. Pierwszy, który wszedł, tak długo się nie pokazywał, że drugi, zniecierpliwiony, postanowił zerknąć, co tamten robi. Ale i tego coś długo nie było. Wtedy trzeci z kolei, zmęczony oczekiwaniem, wszedł do stajni, a po jakimś czasie, gdy czwarty dziwił się ich guzdralstwu, mój gospodarz powiedział: Ach, pojmuję, stajnia jest tak mała, więc wyszli tylnymi drzwiami. Te słowa zachęciły ostatniego kawalera do przyłączenia się do swoich kompanów i do mnie, bo jak się domyślicie, byłem w stajni; a ponieważ teraz już nic mi nie mogło zaszkodzić, pozwoliłem temu ostatniemu raz krzyknąć na pożegnanie tego padołu. Czy w prawie rzymskim, Ferrante, nie można by tego nazwać *trucidatio per dhisionem necis!* Ale coś takiego! — przerwał Prokop. — Nasz jegomość ciągle nie nadchodzi! Byle mu się tylko coś nie przydarzyło! Wkrótce będzie całkiem ciemno.

— *Suadentque cadentia sidera somnos* — dodał Fracasso. — A w związku z tym, przyjaciele, baczcie, żeby w ciemnościach ten Benvenuto nie wpadł na fortel, jaki ja sam kiedyś wymyśliłem: to było przy przechadzce na brzegach Renu. Zawsze lubiłem brzegi Renu, pejzaż jest tam zarazem malowniczy i melancholijny. Ren to rzeka marzycieli. Marzyłem zatem na brzegu Renu, a oto co było przedmiotem moich marzeń:

Należało wyprawić na tamten świat pewnego pana nazwiskiem Schreckenstein, o ile dobrze pamiętam. Aliści rzecz nie była łatwa, bo zawsze wychodził w dobrej kompanii. Oto jaki ułożyłem plan:

Odziałem się tak samo jak on i pewnego pochmurnego wieczoru odważnie zacząłem się na niego i jego ludzi. Kiedy zobaczyłem odcinającą się w pustym mroku ich czarną masę, *obscuri sub nocte*, z desperacją rzuciłem się na Schreckensteina idącego nieco na przód; ale zręcznie zerwałem mu najpierw z głowy kapelusz przybrany piórami i zamieniłem się z nim na miejsca, tak że znalazłem się po tej stronie, gdzie on powinien był się znajdować. Po czym ogłuszyłem go uderzeniem rękojeścią szpady i zacząłem krzyżeć w tym zamieszaniu, szczęką stali i krzykach reszty: Do mnie! Do mnie! Bij zbója! Tak że ludzie Schreckensteina rzucili się z furią na swojego pana i zostawili go martwego na placu boju, ja tymczasem wśliznąłem się w zarośla. Zaczny wielmoża mógł sobie przynajmniej powiedzieć, że zginął z ręki przyjaciół.

— Czyn to był zuchwały — przyznał Ferrante — ale gdybym tak rzucił, okiem na minioną młodość, mógłbym znaleźć jeszcze zuchwalszy. Miałem do czynienia, jak ty, Fracasso, z człkiem zawsze dobrze uzbrojonym i eskortowanym. To było w lesie w Abruzzach: miałem się ustawić na drodze jegomościa, więc wspiałem się na olbrzymi dąb, ułożyłem na grubej gałęzi zwisającej nad ścieżką i czekałem marząc. Słońce wschodziło i jego pierwsze promienie padały długimi smugami bladego światła poprzez omszałe gałęzie, powietrze było świeże i rześkie, rozbrzmiewało śpiewem ptaków; naraz...

— Ciii! — przerwał Prokop — słyszę kroki: uwaga! To nasz człowiek. — Dobrze — szepnął Maledent, rzucając dokoła ukradkowe spojrzenie — wszędzie pusto i cicho; szczęście nam sprzyja.

Zastygli w bezruchu i milczeniu: w cieniu zmierzchu nie odróżniłbyś ich ciemnych i groźnych postaci, ale widać było błyszczące oczy, ręce drżące na rapierach, pozę lękliwego

przyczajenia; w półmroku tworzyli grupę zaskakującą i pysznie ustawioną, którą jednego Salwatora Rosy pędzel zdołałby udatnie przedstawić.

Szybkim krokiem nadchodził w rzeczy samej Benvenuto, Benvenuto, który, jak już powiedzieliśmy, powziął pewne podejrzenia i przenikliwym wzrokiem ostrożnie zgłębiał ciemności przed sobą. Przyzwyczajony do mroku, zdołał zresztą dojrzeć na dwadzieścia kroków czterech bandytów wyskakujących z zasadzki i zanim go dopadli, zdążył przysłonić kobiałkę peleryną i ująć szpadę w dłoń. Poza tym z zimną krwią, która go nigdy nie opuszczała, przezornie oparł się plecami o ścianę kościoła, dzięki czemu wszystkich napastników miał przed sobą.

Zaatakowali go gwałtownie; nie było jak uciekać, krzyżeć na nic by się zdało — od zamku dzieliło go jakieś pięćset kroków; Benvenuto nie był jednak nowicjuszem w robieniu bronią; mężnie przyjął atak bandytów.

Gdy tak fechtował, co nie zaprzętało mu głowy, przemknęła mu pewna myśl: ta zasadzka była oczywiście skierowana przeciwko niemu, Benvenuto. Gdyby udało mu się wprowadzić w błąd napastników, byłby uratowany. Jął tedy, pod gradem ciosów, szydzić z ich rzekomej pomyłki.

— Ach, co też wam przyszło do głowy, zuchy? Poszaleliście? Co myślicie zdobyć na biednym żołnierzu? Chcecie moją pelerynę? Kusi was moja szpada! Hej, ty, czekaj! Bacz na uszy, do diaska! Jeśli dybiecie na moją przednią szpadę, trzeba na nią zapracować; ale jak na rabusiów, co nie wyglądają na nowicjuszy, nie macie dobrego nosa, moje dzieci.

I to mówiąc nacierał na nich, zamiast się cofać, nie odstępując jednak od muru więcej niż na krok czy dwa i zaraz znów się o niego opierając, nieustannie kłując szpadą i rąbiąc; postarał się także kilkakrotnie odsłonić, ażeby — jeśli zostali uprzedzeni przez służbę hrabi d'Orbec, która widziała go, jak liczył złoto i wychodził — pomyśleli, iż złota przy sobie nie ma. I w rzeczy samej pewność jego słów i łatwość, z jaką robił szpadą z tysiącem skudów pod pachą, wzbudziły wątpliwość w drabach.

— Coś takiego! Czyżbyśmy się rzeczywiście pomylili. Ferrante? — odezwał się Fracasso.

— Obawiam się, że tak. Tamten wydawał mi się niższy, a jeśli to nawet on, to nie ma złota i ten przeklęty wicehrabia wyprowadził nas w pole.

— Ja i złoto? — zawołał Benvenuto nie ustając po mistrzowsku fechtować. — Ze złota mam tylko pozłacaną miedź rękojeści szpady, ale jeśli chcecie ją zdobyć, moje dzieci, uprzedzam, że drożej zapłacicie, niż gdyby była ze szczerzego złota i należała do kogo innego.

— Do diabła! — oświadczył Prokop. — To naprawdę żołnierz. Czy złotnik szermowałby z taką siłą? Męczcie się, jeśli chcecie, przyjaciele; ja się dla chwały nie biję.

I Prokop pomrukując zaczął się wycofywać, podczas gdy ataki pozostałych osłabły tak z racji wątpliwości, jak i jego odejścia. Benvenuto, nie tak już nękany, skorzystasz tego, by się przebić i skierować ku zamkowi.

posuwając się przed wrogami, ale walczył nadal i dzielnie stawiał im czoła. Przebiegły odyniec wiódł za sobą ogary do legowiska.

— No, chodźcie ze mną, zuchy — mówił Benvenuto — odprowadźcie mnie aż do końca Pre-aux-Clercs, — do Czerwonego Domu, do mojej królowej, która czeka mnie dziś wieczorem, a której ojciec handluje winem. Droga podobno nie jest pewna, nie mam zatem nic przeciw eskorcie.

Po tym żarcie Fracasso również zrezygnował z walki i dołączył do Prokopa.

— Głupcy z nas, Ferrante! — rzekł Maledent. — To wcale nie ten Benvenuto! Ech!

— Ależ tak! To on! — wykrzyknął Ferrante, dostrzegłszy wreszcie kobiałkę napelnioną pieniędzmi na ramieniu Celiiniego, któremu przy zbyt gwałtownym ruchu rozchyliła się nieco peleryna,

Lecz, było za późno. Od zamku dzieliło ich już tylko pięćdziesiąt kroków i Be'nvenuto gromkim głosem jął krzyżeć w ciszy i ciemności: „Do mnie z zamku Nesle! Na pomoc! Do mnie!” Fracasso ledwie zdążył zawrócić, Prokop nadbiec z dala, Ferrante z Maledentem zdwoić wysiłki; oczekujący mistrza robotnicy byli w pogotowiu. Na pierwszy przeto okrzyk otwarła się zamkowa brama i potężny Herman, mały Jehan, Szymon Mańkut i Jakub Aubry wypadli uzbrojeni w piki.

Na ten widok rabusie wzięli nogi za pas.

— Zaczekajcie no, moje dzieciątka! — wołał za uciekającymi Ben-venuto. — Nie chcecie mnie jeszcze kawałek odprowadzić? Och, co za partacze! Nie potrafili jednemu człowiekowi Odebrać tysiąca skudów, które mu ciążyły na ramieniu!

Rabusiom udało się bowiem tylko lekko zadrasnąć w dłoń przeciwnika i uciekali głęboko zawstydzeni, Fracasso zaś zmykał z wrzaskiem. Biedny Fracasso przy ostatnich cięciach stracił prawe oko, przez co pozostał jednooki przez resztę swoich dni, a to jeszcze pogłębiło cięń melancholii stanowiący główną cechę jego myślącej fizjonomii.

— I tak, moje dzieci — rzekł Benvenuto do swych kompanów, skoro kroki rabusiów ucichły w dali — należy się posilić po tak pięknym wyczynie. Chodźcie wszyscy się napić za moje uratowanie, kochani wybawcy! Ale, na Boga! Nie widzę z wami Ascania. Gdzie Ascanio?

W rzeczy samej, jak pamiętamy, Ascanio zostawił mistrza wychodząc z Luwru.

— Ja wiem, gdzie on jest — odezwał się mały Jehan.

— Gdzie, chłopcze? — spytał Benvenuto.

— W głębi ogrodu zamkowego, przechadza się tam od pół, godziny; poszliśmy, student i ja, pogwarzyć z nim, ale prosił, żeby go zostawić samego.

„Dziwne! — pomyślał Benvenuto. — Jak to się stało, że nie usłyszał moich krzyków? Dlaczego nie przybiegł z innymi?

— Nie czekajcie na mnie i posilcie się sami; moje dzieci — powiedział Ceilini do kompanów. — A, jesteś i ty, Katarzyno.

— Och, mój Boże! Co też oni mówią? Że chciano cię zabić, mistrzu. — Tak, tak, coś w tym rodzaju.

— Jezus Maria! — przeraziła się Scorzona.

— To nic, moja mała, to nic — powtórzył Benvenuto, żeby uspokoić nieszczęsną Katarzynę pobladałą jak śmierć. — Teraz trzeba przynieść wina, i to najprzedniejszego, dla tych dzielnych chłopców. Weź od Ruberty klucze do piwnicy, Katarzyno, i sama wybierz,

— Ale nie wychodzisz znowu? — spytała Scorzona.

— Nie, bądź spokojna, idę po Ascania do ogrodu; muszę z nim pomówić o ważnych sprawach.

Towarzysze Scorzony wrócili do pracowni, a Benvenuto ruszył ku furtce ogrodu.

Księżyc właśnie wschodził i mistrz wyraźnie ujrzał Ascania: zamiast się jednak przechadzać, młodzieniec wspinał się po drabinie opartej o mur Petit-Nesle. Znalazłszy się na szczycie, okraczył mur, wciągnął drabinę, spuścił ją po drugiej stronie i znikł.

Benvenuto przetaił ręką oczy, niby człowiek niezdolny uwierzyć w to, co widzi; następnie, podjąwszy błyskawicznie decyzję, udał się prosto do odlewni, wszedł do swej izdebki, wspiał się

na parapet i dobrze odmierzoną skokiem znalazł się na murze Petit-Nesle; i tam, za pomocą winorośli, która wyciągała sękatą gałąź, spuścił się bezgłośnie do ogrodu Colombe; z rana padało i wilgotna ziemia tłumiała kroki Benvenuta.

Przyłożył ucho do ziemi i przez kilka minut bezskutecznie wsłuchiwał się w ciszę. Wreszcie z dali dobiegły go szepty, wskazując kierunek; wstał i po omacku zaczął się ostrożnie posuwać, zatrzymując się co krok. Wkrótce głosy stały się wyraźniejsze. Benvenuto skierował się w stronę, skąd dochodził ich dźwięk; wreszcie, znalazłszy się przy drugiej alejce przecinającej ogród, ujrzał, a raczej domyślił się obecności Colombe odzianej w białą suknię, siedzącej z Ascaniem na ławce, którą już znamy. Młodzi rozmawiali głosem cichym, lecz ożywionym i wyraźnym.

Kryjąc się za kępą drzew, Benvenuto podszedł bliżej i nastawił ucha.

## ROZDZIAŁ III

### SEN NOCY JESIENNEJ

Był piękny jesienny wieczór, spokojny i przejrzysty. Księżyc rozproszył niemal wszystkie chmury, a te, co zostały jeszcze na niebie, przemykały daleko od siebie na granatowym tle usianym gwiazdami. Wokół grupki rozmawiających i słuchających w ogrodzie Petit-Nesle panował spokój i cisza, lecz ich dusze były poruszone i drżące.

— Miła moja — mówił Ascanio, podczas gdy stojący za nim Benvenuto zimny i blady, miał wrażenie, że słucha tych słów nie uszami, lecz sercem — najdroższa, po co się pojawiłem w twoim, życiu? Kiedy już poznasz wszystkie nieszczęścia i obawy, jakie ci przynoszę, będziesz mnie przeklinać, zem, zwiastunem takich wieści.

— Mylisz się, drogi mój — odparła Colombe — cokolwiek powiesz, będę cię błogosławić, bo jesteś dla mnie wysłańcem Boga. Nigdy nie słyszałam głosu mojej matki, ale czuję, że słuchałabym jej, jak słucham ciebie. Mów więc, Ascanio, a jeśli masz mi do powiedzenia rzeczy straszne, trudno! Twój głos sprawi mi nieco pociechy.

— Przywołaj w takim razie na pomoc całą odwagę i wszystkie siły — powiedział Ascanio.

I opowiedział jej, co zaszło w jego obecności między panią d'Etampes i hrabią d'Orbec; wyjawiał cały spisek, stanowiący mieszaninę, zdrady interesów królestwa i planów przeciwko czci dziewczyny; zniósł mękę wyjaśnienia tej duszyczce, ufnej i nie pojmującej zła, haniebnego paktu skarbnika; musiał wytłumaczyć dziewczynie — tak czystej, że, nawet się nie zarumieniła na jego słowa — okrutną finezję w nienawiści i poniżeniu, jaką zraniona miłość natchnęła królewską faworytę. Jedyne, co Colombe mogła dobrze pojąć, to że jej ukochany przepełniony jest odrazą i przerażeniem i ona również — wątpy bluszcz nie mający innego oparcia prócz krzewu, którego się uczepił — przerażała się i zadrzała jak on.

— Przyjacielu — rzekła — trzeba wyjawić mojemu ojcu ten straszliwy plan wymierzony przeciwko mojej czci. Ojciec nie domyśla się naszej miłości, ojciec zawdzięcza ci życie, on cię na pewno wysłucha. Och, bądź spokojny! Wyrwie mnie z rąk hrabi d'Orbec.

— Nic z tego! — krótko odpowiedział na to Ascanio.

— Och, drogi mój! — zawołała Colombe, pojmując, ile wątpliwości zawiera w sobie okrzyk ukochanego. — Och, czyżbyś posądzał mego ojca o tak haniebnny współudział? Żle by to było, Ascanio. Nie, mój ojciec o niczym nie wie, niczego się nie domyśla, jestem pewna, i chociaż nigdy mi nie okazywał zbyt wielkiej czułości, nie chciałby własnymi rękami po- grażyć mnie we wstydzie i nieszczęściu.

— Wybacz, Colombe — podjął Ascanio — ale rzecz w tym, że twój ojciec nie przywykł widzieć nieszczęścia w bogactwach, że tytuł przysłoniłby mu wstyd, że w swej dumie



dworzanina uważałby cię za szczęśliwszą jako kochankę króla niż żonę artysty. Nie powinienem niczego przed tobą skrywać: hrabia d'Orbec powiedział pani d'Etampes, że ręczy za twojego ojca.

— Czy to możliwe, dobry Boże? — zawołała dziewczyna. — Czy kto widział, Ascanio, ojców, którzy sprzedają własne dzieci?

— Widywano to w każdym kraju i w każdej epoce, mój biedny aniele, a zwłaszcza w naszych czasach i w tym kraju. Nie wyobrażaj sobie świata na podobieństwo swojej duszy, a ludzi na obraz twej cnoty. Tak, tak, najlepsze nazwiska Francji oddały królewskiej rozwiązłości. młodość i urodę swoich córek i żon; to rzecz zwyczajna na dworze, i twojemu ojcu, jeśli zechce zadać sobie trud, żeby się usprawiedliwić, nie braknie słynnych przykładów. Wybacz, kochana, że wstrętną rzeczywistością tak bezlitośnie brukam twoją duszę czystą i świętą; ale to konieczne, winienem w dodatku pokazać ci otchłań, w jaką chcą cię zepchnąć.

— Ascanio! Ascanio! — zawołała Colombe kryjąc twarz na ramieniu młodzieńca. — I ojciec mój obraca się przeciwko mnie! Och, na samą myśl

o tym czuję wstyd! Gdzie więc mam szukać schronienia? Och, w twoich ramionach, Ascanio! Tak, tak, ty mnie musisz uratować! Czy rozmawiałeś ze swoim mistrzem, z Benvenuto, takim silnym, dobrym i wielkim, jak

.mówiłeś, którego kocham, dlatego że i ty go kochasz?

— Nie kochaj go, Colombe, nie kochaj! — wykrzyknął Ascanio.

— Dlaczegoż to? — szepnęła.

— Bo on kocha ciebie, bo zamiast przyjaciela, na którego myśleliśmy, że możemy liczyć, mamy wroga, z którym przyjdzie nam walczyć; wroga, słyszysz? I to najstraszliwszego z naszych wrogów. Posłuchaj.

I Ascanio opowiedział, jak w chwili, gdy on zamierzał zwierzyć się ze wszystkiego Benvenuto, Cellini wyjawiał mu swoją miłość idealną

i jak ulubiony rzeźbiarz Franciszka I, dzięki szlacheckiemu słowu, którego król nigdy nie złamał, będzie mógł otrzymać, co tylko zapragnie po odlaniu Jowisza. Otóż, jak wiadomo, tym, o co Benvenuto zamierzał prosić, była ręka Colombe.

— Boże, więc tylko Ty nam pozostałeś — rzekła Colombe, wznosząc swe piękne oczy i białe dłonie do nieba. — Sojusznicy zamieniają się kolejno we wrogów, każda przystań staje się zasadzką. Czyś pewien, że jesteśmy tak zupełnie opuszczeni?

— Och, aż nadto pewien — odrzekł młodzieniec. — Mój mistrz jest dla nas równie niebezpieczny jak twój ojciec, Colombe. Tak, on, on! — zawołał Ascanio składając ręce. — Benvenuto, mój przyjaciel, mistrz, opiekun, ojciec! Boże, a tu muszę go nienawidzić. I to za co, powiedz, Colombe? Za to, że uległ wpływowi, jakiemu ulec musi każdy człowiek wzniosłego ducha, który cię-spotka; dlatego, że kocha cię tak samo jak ja. Jego zbrodnia, koniec końców, jest także *moją*. Tyle że ty mnie kochasz, Colombe. więc jestem rozgrzeszony. Boże mój. co tu począć? Och, od dwóch dni się zastanawiam i sam nie wiem, czy zaczynam go nienawidzić, czy go nadal kocham! On cię miłuje, to prawda; ale i mnie tak miłował! Dusza ma miota się i drży w tym zamęcie niczym trzcina pośród burzy. Co on zrobi? Och, powiem mu najpierw o zamiarach hrabi d'Orbec i może nas od niego uwolni. Ale potem, kiedy staniami twarzą w twarz jako przeciwnicy, kiedy mu powiem, że *jego* uczeń jest mu rywalem... Colombe. jego wszechmocna, niczym przeznaczenie, wola jest może równie jak los ślepa: zapomni o Ascaniu, by myśleć tylko o Colombe, odwróci wzrok od mężczyzny, którego kochał, by widzieć jedynie kobietę, którą kocha, bo czuję, że wybierając między nim a tobą, ja również bym się nie zawahał. Czuję, że bez wyrzutów poświęciłbym przeszłość mojego serca dla przyszłości, ziemię dla nieba! Dlaczego

miałby postąpić inaczej? Jest człowiekiem, a poświęcenie jego miłości byłoby czynem nadludzkim. Będziemy tedy ze sobą walczyć, lecz jakże ja mu się oprę, ja, tak słaby i osamotniony? Och. dajmy temu spokój, Colombe, kiedy nadejdzie dzień, gdy znienawidzę tego, któregom tak bardzo i tak długo kochał, nie chciałbym, powiadam ci. nie chciałbym za żadne skarby świata zadać mu męki, jaką on mnie kiedyś torturował, wyznając mi swoją miłość do ciebie.

Benvenuto tymczasem za drzewem, nieruchomy jak posąg, czuł występujące na czoło krople lodowatego potu, a dłoń zaciskała mu się konwulsyjnie na sercu.

— Biedny Ascanio! Drogi mój — podjęła Colombe — wiele już wycierpiałeś i dużo jeszcze wycierpisz. Patrzmy jednak w przyszłość ze spokojem. Nie wyolbrzymiajmy naszych cierpień, nie jest aż tak źle. Aby stawić czoła nieszczęściu, odwrócić przeznaczenie, jest nas razem z Bogiem troje. Wolałbyś ujrzeć mnie w ramionach Benvenuta niż hrabi d'Orbec, prawda? Ale jeszcze bardziej byś wolał, żebym należała do Boga niż do Benvenuta? Otóż jeśli nie będę twoja, to tylko Boga. zapamiętaj, Ascanio. Twoją żoną na tym świecie lub narzeczoną na tamtym. Oto obietnica, jaką ci czynię i której dotrzym, Ascanio. bądź spokojny.

— Dzięki ci, aniele, dzięki! — rzekł Ascanio. — Zapomnijmy więc o szerokim świecie rozciągającym się dokoła i zaniknijmy nasze życie w tej kępie krzewów, gdzie się znajdujemy, Colombe, nie powiedziałaś mi jeszcze, że mnie kochasz. Niestety, zda się, że jesteś moja, bo nie masz innego wyjścia.

— Zamilcz, Ascanio, zamilcz — powiedziała Colombe — widzisz przecie, że staram się uświęcić moje szczęście czyniąc zeń obowiązek. Kocham cię, Ascanio, kocham!

Benvenuto nic miał już sił, żeby stać; osunął się na kolana, wsparł głowę o pień drzewa; błędny wzrok utkwiał w dali, ucho zaś nastawił ku dwojgu młodym i słuchał całą duszą

— Moja najdroższa — mówił Ascanio — kocham cię i coś mi mówi, że będziemy, szczęśliwi i że Bóg nie zostawi w potrzebie swego najpiękniejszego anioła. Boże mój! W otaczającej cię, Colombe, atmosferze radości zapominam o kręgu cierpień, w który wejdem, gdy cię opuszczę.

— Trzeba jednak myśleć o jutrze — odezwała się Colombe, — Czyńmy co w naszej mocy, Ascanio, aby i Bóg nam pomógł, Byłoby nieuczciwe, jak sądzę, nie powiedzieć twojemu mistrzowi o naszej miłości/może się narazi na wielkie niebezpieczeństwo tocząc walkę przeciw pani d'Etampes i hrabi d'Orbec. To by było niesprawiedliwe; trzeba go o wszystkim uprzedzić, Ascartio.

— Będę ci posłuszny, droga moja, bo czujesz chyba, że każde twoje słowo jest dla mnie rozkazem. Poza tym serce mi także mówi, że masz słuszość zawsze słuszość. Lecz cios, jaki mu zadam, będzie straszny, Oceniam to po sobie. Możliwe, że jego uczucie do mnie przerodzi się w nienawiść, możliwe, że mnie wypędzi. Jakże wtedy stawię czoła ja, cudzoziemiec bez oparcia, bez domu, równie potężnym wrogom jak diuszesa d'Etampes i skarbnik korony? Kto mi pomoże udaremnić zamiary tych straszliwych współników? Kto zechce podjąć ze mną nierówną walkę? Kto mi poda dłoń?

—Ja! — rozległ się za nimi głęboki i pełen powagi głos.

— Benvenuto! — zawołał czeladnik, nie musząc się nawet odwracać. Colombe krzyknęła i spiesznie się podniosła. Ascanio spoglądał na mistrza, nie wiedząc, czy gniew okazać, czy przyjaźń.

— Tak, to ja, Benvenuto Cellini — podjął złotnik. — Ja, którego ani trochę nie kochasz, panienko, ja, którego przestałeś kochać, Ascanio, który jednak pragnie was uratować.

— Co też mówicie? — zawołał Ascanio.

— Mówię, że powinieneś usiąść koło mnie, bo trzeba nam porozmawiać, Nie musicie mi o niczym mówić. Nie straciłem ani słowa z waszej rozmowy. Wybaczcie, że przypadkiem ją podsłuchałem, ale sami pojmujecie: lepiej, żebym o wszystkim wiedział. Mówiliście o sprawach smutnych i dla mnie okrutnych, ale także o przyjemnych. Ascanio czasem miał słuszość, niekiedy się mylił; To prawda, panienko, że walczylibym o ciebie. Ale skoro się kochacie, nie ma o czym mówić, bądźcie szczęśliwi; zabronił ci darzyć mnie miłością, lecz ja cię do tego zmuszę, ciebie oddając jemu.

— Drogi mistrzu!--zawołał Ascanio.

— Bardzo cierpicie, panie — rzekła Colombe składając ręce.

— O, dzięki! — powiedział Benvenuto, któremu oczy zwilgotniały, lecz zdołał się opanować. --Ty widzisz, że cierpię. On by tego nie dostrzegł, niewdzięcznik! Ale kobietom nic nie umyka. Owszem, nie będę kłamał, cierpię! To normalne, wszak tracę ciebie; ale zarazem szczęśliwym, że mogę ci służyć; będziesz mi wszystko zawdzięczać; to mnie trochę pociesza. Myliłeś się, Ascanio: moja Beatrice jest zazdrosna i nie chciała rywalki; to ty, Ascanio, skończysz posąg Hebe. Żegnaj, moje najpiękniejsze marzenie! Ostatnie!

Benvenuto mówił z trudem, głosem ostrym i urywanym. Colombe z wdziękiem się ku niemu nachyliła i kładąc rękę na jego dłoń, rzekła łagodnie:

— Płacz, przyjacielu, płacz.

— Dobrze mówisz — odparł Cellini, wybuchając łkaniem.

Stał tak przez jakiś czas, płacząc bez słowa, wstrząsany wewnętrznym dreszczem; długo hamowane łzy przynosiły ulgę jego silnej naturze. Ascanio i Colombe z szacunkiem patrzyli na ten głęboki ból.

— Wyjąwszy dzień, gdy cię zraniłem, Ascanio, wyjąwszy chwilę, gdy ujrzałem twoją krew, nie płakałem od dwudziestu lat — powiedział już spokojnie. — Ale też cios był straszliwy! Kiedy tak cierpiałem przed chwilą za drzewami, ogarnęła mnie na moment pokusa, by wbić sobie w serce sztylet. Powstrzymało mnie to, że wy mnie potrzebujecie. W ten sposób uratowaliście mi życie. Koniec końców wszystko jest jak należy. Ascanio może ci dać dwadzieścia lat szczęścia więcej niż ja, Colombe. W dodatku to mój syn; będziecie razem bardzo szczęśliwi, a to mnie, jako ojcu, sprawi radość. Benvenuto potrafi zatriumfować nad sobą samym, jak i nad waszymi wrogami. Takie już nasze, twórców, przeznaczenie: cierpieć; a z każdej mojej łzy zrodzi się może jakiś piękny posąg, jak z każdej łzy Dantego wykwił cudny wiersz. Widzisz, Colombe, wracam ku starej miłości, ku mojej ukochanej rzeźbie: ona mnie nigdy nie porzuci. Dobrze zrobiłaś, że kazałaś mi płakać; cała gorycz nagromadzona w sercu wypłynęła ze łzami. Jestem nadal smutny, lecz znów stałem się dobry, a pozbędę się bólu niosąc wam ratunek.

Ascanio ujął jedną dłoń mistrza i ścisnął ją w swoich. Colombe chwyciła , drugą i podniosła do ust. Benvenuto odetchnął głęboko, podniósł głowę i potrząsnął nią.

— No, no — rzekł z uśmiechem — nie zabierajcie mi sił, oszczędzajcie mnie, moje dzieci. Najlepiej, żebyśmy nigdy więcej o tym nie mówili. Odtąd jestem twoim przyjacielem, Colombe, co więcej: będę ci ojcem. Reszta to sen. A teraz pomówmy o tym, co winniśmy począć i o grożących wam niebezpieczeństwach. Słyszałem przed chwilą, jak obmyślaliście projekty i kreślili plany. Jacy wyście młodzi, mój Boże! I żadne z was nie wie, czym jest życie. Naiwnie wystawiacie się, bezbronni, na razy losu i macie nadzieję, że pokonacie zło, chciwość, wszelkie dzikie namiętności swoją dobrocią i uśmiechem! Kochane głupty! Zamiast was ja będę silny,

przebiegły, niewzruszony. Przywykłem do tego, ale Was Bóg stworzył dla szczęścia i spokoju, i będę czuwał, żebyście wypełnili swoje przeznaczenie.

Ascanio, gniew nie porrze zmarszczakami twojego jasnego czoła; Colombe, cierpienie nie zmaci czystych linii twojej twarzy. Wezmę was w swoje ramiona, urocze dzieci o łagodnym spojrzeniu; przeniosę was poprzez wszystkie bagna i niedole życia i wypuszczę całych i zdrowych dopiero w radość; a potem będę patrzył na was i radował się pospołu. Tylko musicie mi ślepo ufać; mam swoje metody działania, gwałtowne, dziwne, które cię może, Colombe, przerażać. Działam podobnie jak artyleria i zmierzam prosto do celu, nie kłopotząc się tym, co spotykam po drodze. Tak, wiem, więcej wagi przykładam do czystości moich intencji niż do moralności metod. Kiedy chcę wymodelować piękną postać, nie przejmuję się, że glina brudzi mi palce. Kończę posąg i myję ręce, ot co. Niech więc, droga panienko, twoja dusza delikatna i lękliwa mnie pozostawi odpowiedzialność za moje czyny przed Bogiem; on i ja dobrze się rozumiemy. Przepawę będę miał niełatwą. Hrabia jest ambitny, przewot chciwy, diuszesa przebiegła. We trójkę są wszechmocni. Jesteś w ich mocy i rękach, a dwoje spośród nich ma do ciebie prawo: trzeba będzie może zastosować podstęp i przemoc. Uczynię wszelako tak, że ty i Ascanio znajdziecie się poza niegodną was walką. I cóż, Colombe, czyś gotowa zamknąć oczy i dać się prowadzić? Kiedy powiem: „Zrób tak”, czy zrobisz? „Zostań tutaj”, czy zostaniesz? „Idź”, czy pójdziesz?

— Co Ascanio na to? — spytała Colombe.

— Colombe — odparł czeladnik — Benvenuto jest dobry i wielki; miłuje nas i wybacza zło, któreśmy mu wyrządzili. Bądźmy mu posłuszni, zaklinam cię.

— Rozkazuj, mistrzu — rzekła Colombe — a będę cię słuchać, jakbyś był wysłannikiem Boga.

— Dobrze, moje dziecko. Mam jeszcze jedną prośbę, która może będzie was trochę kosztować, jednak musicie jej ulec, po czym wasza rola sprowadzi się wyłącznie do czekania i ppzostawienia wszystkiego biegowi wydarzeń i mnie. A żebyście obydwójce mieli jeszcze więcej we mnie wiary, żebyście się nie wahali oddać w ręce człowieka, którego życie zostało może zbrukane, ale serce jest czyste, opowiem wam dzieje mojej młodości. Niestety, wszystkie dzieje są do siebie podobne, a na dnie każdego znajduje się cierpienie. Ascanio, opowiem ci, w jaki sposób Beatrice, anioł, o którym ci mówiłem, wkroczyła w moje życie; dowiesz się, kim była i niewątpliwie mniej się będziesz dziwił, że tak łatwo oddałem cię Colombe, kiedy zobaczysz, że tym poświęceniem zaczynam tylko spłacać dziecku dług łez zaciągnięty u matki. Twoja matka! Święta kobieta, Ascanio! Beatrice znaczy szczęśliwa; Stefana znaczy ukoronowana.

— Zawsze powtarzaliście mistrzu, że kiedyś mi, tę historię opowiecie.

— Tak — podjął Cellini — i nadeszła właśnie chwila, byś ją poznał. Colombe, wzrośnie twoje zaufanie do mnie, kiedy wyjawię wszystkie powody, dla jakich kocham naszego Ascania.

I Benvenuto, ujmując w dłonie ręce swoich dzieci, zaczął opowiadać głosem poważnym i melodyjnym pod migoczącymi na niebie gwiazdami, w spokoju i ciszy pachnącej nocy.

## ROZDZIAŁ IV

### STEFANA

Dwadzieścia lat temu miałem, jak ty teraz, Ascanio, lat dwadzieścia i pracowałem we Florencji u pewnego złotnika nazwiskiem Raffaello del Moro. Był to dobry robotnik i miał niezły gust, ale bardziej lubił wypoczynek niż pracę, z doprowadzającą do rozpaczki łatwością dając się namawiać na przyjemności i byle tylko miał pieniądze, psując robotników swoich. Bardzo często zostawałem sam, w domu, kończąc ze śpiewem jakąś zaczęta robotę. A śpiewałem w tamtych czasach niby nasza Scorzona. Wałkonic z całego miasta przychodzili.rzecz jasna prosić mistrza Raffaela o robotę, a raczej rozrywkę, bo cieszył się opinią zbyt słabego, aby kiedykolwiek, łajać. Tak postępując nie można się wzbogacić; toteż ledwie wiązał koniec z końcem i niebawem stał się najmniej szanowanym we Florencji złotnikiem.

Mylę się. Był pewien konfrater jeszcze mniej wzięty niż on, choć pochodził ze szlacheckiego rodu artystów. Lecz Gismondo Gaddi nie z powodu nieterminowości spłat cieszył się złą sławą, lecz ze względu na niespotykaną nieudolność, a zwłaszcza odrażające skąpstwo. Jako że co tylko mu powierzono, wychodziło z jego rąk chybione lub zepsute, i żaden klient, Chyba cudzoziemiec, nie zaglądał do jego sklepu, ów Gismondo zaczął żyć z lichwy, i pożyczać na ogromny procent synom bogatych rodziców, korzy wcześniej chcieli trwonić spadek. Ten interes szedł lepiej niż tamten, zważywszy, że Gaddi żądał zawsze dobrego zastawu i nie wdawał się w żadną sprawę nie mając gwarancji. Poza tym był, jak sam powiadał, bardzo rozsądny i wyrozumiały: pożyczał wszystkim, rodakom i cudzoziemcom, żydom i chrześcijanom. Nawet świętemu Piotrowi by pożyczył pod zastaw kluczy do Raju; Szatanowi by pożyczył pod zastaw jego dóbr piekielnych.

Czy muszę mówić, że pożyczał mojemu nieszczęsnemu Raffaelowi del Moro, który co dzień zjadał jutrzejszy zarobek i nigdy nie wyzbył się swej nieposzlakowanej uczciwości? Ciągłe ich kontakty w interesach, rodzaj interdymtu, jaki ich dotknął, sąsiedztwo wreszcie zbliżyły dwóch złotników. Raffaela przepełniała wdzięczność za niewyczerpaną uprzejmość, z jaką tamten pożyczał mu pieniądze. Gaddi głęboko szanował dłużnika uczciwego i zgodnego. Jednym słowem, byli najlepszymi w świecie przyjaciółmi i Gismondo za nic by nie odrzucił żadnego z zaproszeń jakimi Raffael del Moro go zasypywał.

Del Moro był wdowcem, lecz miał szesnastoletnią córkę imieniem Stefana.

Stefana, z punktu widzenia rzeźbiarza, nie była piękna, ale na pierwszy rzut oka ujmowała. Pod jej czołem, zbyt wysokim i jak na kobietę nie zanadto gładkim, widać było niejako, że pulsuje myśl. Jej wilgotne, aksa-mitnoczarne oczy napęłniały człowieka szacunkiem i czułością, gdy nań spoglądały. Bursztynowa bladość przysłaniała całą jej twarz mgiełką, którą rozjaśniało, niczym słaby promyk jesiennego poranka, spojrzenie smutne i pociągające. Wspomnę jeszcze o koronie gęstych czarnych włosów i dłoniach królowej.

Stefana trzymała się na ogół pochylona niby lilia przygięta porywistym wiatrem. Rzekłbyś, posąg Melancholii. Kiedy się prostowała, kiedy ożywiały się jej piękne oczy, rozdymały nozdrza, kiedy— wyciągniętym ramieniem wydawała rozkaz, można by ją wielbić niczym archanioła Gabriela. Przypominała ciebie, Ascanio, wyjąwszy jej słabość i cierpienie. Nigdy dusza nieśmiertelna nie objawiła się, mniemam, wyraźniej, jak w tym kruchym ciele, pięknym i gibkim. Del Moro, który równie bał się córki, jak ją kochał, miał zwyczaj mawiać, że złożył do grobu tylko ciało żony, a Stefana jest duchem zmarłej.

Byłem w tamtym czasie młodzieńcem zuchwałym, płochym, niespokojnym, Kochałem przede wszystkim wolność; energia mnie rozsądzała i całą werwę trawiłem w nedorzecznych awanturach i szalonych miłostkach. Pracowałem wszelako tak, jak się bawiłem, z pasją, i mimo humorów, byłem jeszcze najlepszym robotnikiem Raffaela i jedynym w domu, który zarabiał trochę grosza. Lecz to, co robiłem dobrze, robiłem jakby instynktownie i przypadkiem. Gorliwie studiowałem starożytnych. Całymi dniami trwałem pochylony nad płaskorzeźbami i posągami z Aten i Rzymu, robiąc ich studia ołówkiem i dłutem, a nieustanne obcowanie z wielkimi rzeźbiarzami starożytności dało mi czystość i niezawodność formy! naśladowałem jednak udatnie, lecz nie tworzyłem. Wszelako powtarzam, byłem bezsprzecznie i bez trudu najrzęczniejszym i najpracowitszym robotnikiem spośród towarzyszków del Moro. Toteż skrytym pragnieniem drogiego mistrza było, jak się później dowiedziałem, wydać swą córkę za mnie.

Ja jednak, dając słowo, nie dbałem o rodzinę, pragnąłem niezależności, zapomnienia i przestrzeni; całymi dniami przebywałem poza domem; wracałem wykończony, a jednak w ciągu kilku godzin doganiałem i wyprzedzałem innych robotników Raffaela; o jedno słowo stawałem do walki, od jednego spojrzenia się rozkochiwałem. Piękny byłby ze mnie mąż!

Zresztą wzruszenie, które odczuwałem przy Stefanie, niczym nie przypominało tego, jakie we mnie wzbudzały ładne kobiety przy Porta del Prato albo Borgo Pinti, Onieśmiała mnie prawie; gdyby mi ktoś powiedział, że kocham ją inaczej jak starszą siostrę, wybuchnąłbym śmiechem. Kiedy wracałem z którejs z moich eskapad, nie śmiałem na Stefanę podnieść oczu. Mało, że była surowa, była jeszcze smutna. Kiedy zaś przeciwnie, zmęczony lub w porywie zapału zostawałem w domu, szukałem Stefany, jej łagodnego spojrzenia i słodkiego głosu; uczucie, jakim ją darzyłem, miało w sobie jakąś powagę i świętość, z czego nie zdawałem sobie dobrze sprawy, ale co mnie pociągało. Bardzo często w trakcie hałaśliwych zabaw przemykała mi przez głowę myśl o Stefanie i wtedy mnie pytano, dlaczego popadam w zamyślenie; niekiedy, dobywając szpady czy sztyletu, wymawiałem jej imię jako mej patronki i zauważyłem, że zawsze, gdy tak się stało, wychodziłem z walki bez draśnięcia. Lecz owo słodkie uczucie do drogiego dziewczęcia, pięknego, niewinnego i czulego, tkwiło w głębi mego serca niczym w sanktuarium.

Jeśli o nią chodzi, to pewne jest, że chłodna i pełna godności względem moich leniwych towarzyszków, wobec mnie była wyrozumiała i dobra. Przychodziła czasem posiedzieć w pracowni przy ojcu i pochylony nad moją robotą, czułem na sobie jej spojrzenie. Byłem dumny i szczęśliwy z powodu tego wyróżnienia, nawet go sobie nie tłumacząc. Jeśli któryś z robotników, aby mi się grubiańsko przypodobać, mówił, iż córka mistrza jest we mnie zakochana, przyjmowałem to z taką złością i oburzeniem, że więcej do tego nie wracał.

Pewien wypadek, jaki przydarzył się Stefanie, uzmysłowił mi, jak bardzo utkwiała mi w sercu.

Kiedys będąc w pracowni nie cofnęła dość szybko swej małej białej rączki i niezręczny robotnik, pijany, jak sądzę, skaleczył ją w mały i serdeczny palec u prawej ręki. Biedna dziewczyna krzyknęła, po czym, jakby rozgniewana, że wyrwał się jej okrzyk, aby nas uspokoić,

uśmiechnęła się, lecz dłoń miała całą zakrwawioną. Myślę, że zabiłbym tego robotnika, gdybym nie był jej w pełni oddany.

Gismondo Gaddi, świadek wydarzenia, powiedział, że zna chirurga po sąsiedzku i pobiegł po niego. Ten konował założył Stefanie opatrunek i co dzień przychodził go zmieniać; był jednak na tyle głupi i niedbały, że w ranę wdała się gangrena. Wtedy ten osioł oświadczył stanowczo, że mimo jego wysiłków Stefana według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie mieć prawe ramię okaleczone.

Raffaello del Moro był już wtedy w zbyt wielkiej biedzie, aby pozwolić sobie na innego medyka; ale po oświadczeniu tego dumia nie strzymałem: popędziłem do swojej izdebki, opróżniłem mieszki zawierający wszystkie moje oszczędności i pobiegłem do Jacopa Rastellego z Perugii, chirurga papieskiego i najzręczniejszego praktyka w całej Italii. Na moje usilne prośby i że suma, którą mu ofiarowywałem, była pokaźna, przyszedł zaraz mówiąc: „Ech, zakochani!...” Zbadawszy ranę zapewnił, że ręczy, iż za dwa tygodnie Stefana będzie się posługiwała prawą ręką tak samo jak lewą. Miałem ochotę uściskać szacownego medyka. Opatrzył chore palce i Stefana wkrótce, poczuła ulgę. Ale kilka dni później trzeba było usunąć zgorzel z kości.

Stefana poprosiła, żebym był przy zabiegu, aby jej dodać odwagi, a mnie samemu jej brakowało i doprawdy serce truchlało mi w piersi. Mistrz Jacopo posługiwał się dużymi narzędziami, co sprawiało Stefanie straszliwy ból.

Nie mogła powstrzymać jęków, które echem się we mnie odzywały. Zimny pot ściekał mi z czoła.

Wreszcie ta męka stała się ponad moje siły: toporne narzędzia torturujące delikatne paluszki torturowały mnie samego. Podniosłem się, błagając mistrza Jacopa, by przerwał zabieg i zaczął z pół kwadransa.

Zszedłem do pracowni i tam, jakby natchniony dobrym duchem, sporządziłem instrument ze stali, mały i cienki, który ciął jak brzytwa. Wróciłem do chirurga, a on władał nożykiem z taką łatwością, że droga mi chora prawie wcale nie czuła bólu. W pięć minut wszystko było skończone, a dwa tygodnie później Stefana dała mi do ucałowania rękę, którą jej, jak powiedziała, uratowałem.

Nie zdołałbym jednak odmalować przejmujących wzruszeń, przez jakie przeszedłem patrząc na cierpienia mojej biednej Zrezygnowanej, jak ją czasami nazywałem.

Rezygnacja stanowiła bowiem jakby jej wrodzoną cechę. Stefana nie była szczęśliwa; zepsucie i niefrasobliwość ojca sprawiały jej przykrość; za jedyną pociechę miała religię; jak wszyscy nieszczęśliwi była pobożna. Bardzo często, kiedy zaglądałem do kościoła, bom zawsze miłował Boga, widziałem gdzieś na uboczu Stefanę, jak się modliła płacząc.

We wszystkich kłopotach, w jakie aż nadto często wpędzało ją niedbalstwo mistrza del Moro, niekiedy uciekała się do mnie z ufnością i godnością, które mnie wprawiały w zachwyt. Droga dziewczyna mówiła z prostotą ludzi szlachetnych: „Benvenuto, proszę, żebyś pracował w nocy i skończył ten relikwiarz albo tę misę, bo nie mamy już ani grosza

Wkrótce weszło w zwyczaj, że pokazy wałem jej każdą skończoną robotę, a ona mnie poprawiała i radziła ze szczególnym znanstwem. Samotność i cierpienie rozszerzały i uszlachetniały jej myśl bardziej, niżby można sądzić. Jej słowa, zarazem proste i głębokie, pozwoliły mi odgadnąć niejeden sekret sztuki i często otwierały przede mną nowe perspektywy.

Pamiętam, raz pokazałem jej model medalu, który miałem grawerować dla pewnego kardynała, przedstawiający z jednej strony głowę owego kardynała, a z drugiej Jezusa idącego po

morzu i wyciągającego rękę do świętego Piotra z napisem naokoło: *Quare dubitasti?* Dlaczego zwątpiłeś?

Stefanie podobał się portret, który był podobny i udany. Potem długo i w milczeniu przyglądała się tematowi.

— Twarz Chrystusa jest idealnie piękna — rzekła wreszcie — i gdyby to był Apollo czy Jowisz, nie znalazłabym żadnego zarzutu., Ale Jezus jest nie tylko piękny, jest boski; ta twarz ma wspaniałą czystość rysunku, lecz gdzie jest dusza? Podziwiam człowieka, ale szukam Boga. Pomyśl, Benvenuto, żeś nie tylko artystą, jesteś też chrześcijaninem. Widzisz, moje serce często krwawiło, a to znaczy, że wątpiło; i ja także, wyszedłszy z przygnębienia, widziałam Jezusa wyciągającego do mnie rękę, słyszałam, jak mówi do mnie wzniosłe słowa: „Dlaczego zwątpiłaś?” Och, Benvenuto, twój obraz nie jest tak piękny jak on sam. Na jego boskiej twarzy widniał równocześnie smutek zmartwionego ojca i łagodność wybaczonego władcy. Jego czoło promieniało, a usta się uśmiechały; był nie tylko wielki, był dobry.

— Poczekaj, Stefano — rzekłem.

Starłem to, co zrobiłem, i w kwadrans potem na jej oczach zacząłem na nowo twarz Chrystusa.

— Czy tak?—zapytałem pokazując jej medal.

— O, tak! — odparła ze łzami w oczach. — Takim właśnie widywałam Zbawcę w godzinach rozpacz. Tak, teraz go poznaję po miłosiernym i majestatycznym wyrazie. Wiesz, Benvenuto, radzę ci, żebyś zawsze tak robił: zanim weźmiesz w rękę wosk, musisz mieć myśl; masz narzędzie, postaraj się o wyrazistość; masz materię, szukaj duszy; niech twoje palce będą zawsze poddane umysłowi, pamiętaj.

Oto jakie rady dawało mi to nadzwyczaj rozumne szesnastoletnie, dziewczę. Kiedy zostawałem sam, rozmyślałem nad tym, co mi powiedziała, i przyznawałem, że miała słuszność. W ten sposób wzięła w rzy, oświeciła § mój instynkt. Mając formę, starałem się osiąść ideę i tak złączyć ideę z formą, ażeby wyszły spod moich rąk jednolite i zespolone, niczym Minerwa wyskoczyła cała w zbroi z głowy Jowisza.

Mój Boże! Jakże wspaniała jest młodość i jak potężne są jej wspomnienia! Colombe, Ascanio, ten piękny wieczór, który spędzamy razem, przypominał mi wszystkie wieczory, jakie spędziłem siedząc obok Stefany na ławce przed domem jej ojca; patrzyła w niebo, ja patrzyłem na nią, Minęło| już dwadzieścia lat, a zda mi się, że to było wczoraj; wyciągam rękę! i myślę, że to jej dłoń: a to wasze dłonie, moje dzieci. Co Bóg czyni, czyni dobrze.

Och, bo wystarczyło, że ją widział, jasną w białej sukni, a czułem,! jak spokój spływa w moją duszę. Częstośmy się rozstawali nie zamieniwszy ze sobą ani słowa, a przecież z tej niemej rozmowy unosiłem najrozmaitsze piękne i dobre myśli, które czyniły mnie lepszym i większym.

Wszystko to się jednak skończyło, jak kończy się każde szczęście na| tym świecie.

Raffaello del Moro nie mógł już popaść w większą nędzę. Winien był swemu zacnemu sąsiadowi Gismondowi Gaddiemu-dwa tysiące dukatów| i nie wiedział, jak mu je zwrócić. Ta myśl doprowadzała poczciwca do i paczy. Pragnął uratować przynajmniej córkę i zwierzył się jednemu z robotników z zamiaru wydania jej za mnie, niewątpliwie po to, żeby ów mi o tym powiedział. Ale był on z tych durniów, co to ich sponiewierałem| kiedy niczym oszczerstwo rzucili mi w twarz braterskie uczcie Stefany *di* mnie. Bydlak nie pozwolił nawet skończyć Raffaelowi.



— Zrezygnujcie z tego zamiaru, mistrzu — powiedział mu — wasza propozycja zostanie odrzucona, ręczę za to.

Złotnik był dumny, uznał, iż gardzę nim z powodu ubóstwa i nie powiedział na ten temat ani słowa więcej.

W jakiś czas później Gismondo Gaddi i zażądał długu, a kiedy Raffaelo poprosił go o jeszcze trochę czasu, rzekł:

— Oddajcie mi rękę swej córki, która jest mądra i oszczędna, a będziemy kwita.

Del Moro uniósł się radością. Gaddi uchodził za nieco może skąpego, nieco gwałtownego i nieco zazdrosnego, lecz był majątny, a nędzarze — niestety! — bogactwo szanują najwyżej i pożądamy go najbardziej. Kiedy Raffaelo powiedział o tej nieoczekiwanej propozycji córce, nic się nie odezwała: tylko wieczorem, kiedyśmy po spędzonym na ławce wieczorze wstawali, żeby wrócić do domu, Stefana rzekła:

— Wiesz, Benvenuto, Gismondo Gaddi poprosił mnie o rękę i ojciec dał przyzwolenie.

Po tych prostych słowach odeszła, a ja się poderwałem jak za naciśnięciem sprężyny. Po czym ogarnięty gniewem wyszedłem z Florencji i zacząłem się błąkać po polach.

Tej nocy, kiedy to raz biegłem jak obłąkany, to znów leżałem na trawie zanosząc się płaczem, tysiące myśli szalonych, rozpaczliwych, gniewnych tłoczyło mi się w głowie.

— Ona, Stefana, żoną tego Gismonda! — mówiłem sobie, kiedy przychodząc nieco do siebie próbowałem zebrać myśli — Ta świadomość przejmuję mnie dreszczem i ją także przybija i przeraża, a ponieważ niewątpliwie wołałaby mnie, tak, na pewno, milcząco odwołuje się do mojej przyjaźni, do mojej zazdrości. Och, jasne, że jestem zazdrosny, i to wściekle; czy mam jednak do tego prawo? Gaddi jest ponury i gwałtowny, ale bądźmy sprawiedliwi wobec samego siebie: jaka kobieta byłaby ze mną szczęśliwa? Czyż nie jestem tak samo porywczy, nieobliczalny, niespokojny, co rusz wplątany w niebezpieczne spory i haniebne miłostki? Czy potrafiłbym się opanować? Nie, nigdy: póki krew będzie z wrzeniem płynęła w moich tyłach, stale będę trzymał rękę na sztylcie i jedną nogą stał poza domem.

. Biedna Stefana! Przyprawię ją o łzy i cierpienie, będę ją oglądał bladą i zwiędniętą, zniechęconą siebie, zniechęconą ją jako żywy wyrzut sumienia. Umrze z tego, i to ja ją zabiję. Nie, czuję to, nie jestem, niestety! stworzony do czystych i spokojnych radości życia rodzinnego; trzeba mi wolności, przestrzeni, burz, wszystkiego prócz monotonii i spokoju szczęścia. Mój Boże, złamałbym w niezręcznych mych dłoniach ten delikatny i kruchy kwiat. Zameczałbym tę drogą istotę, cudowną duszę moimi biuźnierstwami; a własne życie, własne serce wyrzutami sumienia. Czy jednak będzie szczęśliwa z Gaddim? Bo i po co ona go poślubia? Było nam tak dobrze! Ostatecznie los i duch 'artysty, o czym Stefana wie, nie godzą się z tymi ciasnymi i ciężkimi więzami, z mieszczańskimi wymogami rodziny, Trzeba by się pożegnać ze wszystkimi marzeniami o Sławie, wyrzec się przyszłości nazwiska, zrezygnować ze sztuki, która żyje Wolnością i siłą. Czymże jest twórca uwięziony przy domowym ognisku? Powiedzcie, o, Dante Alighieri! Michale Aniele, mój mistrzu! Jakżebyście się śmiali widząc swojego ucznia, jak kołysze dzieci c'Vy prosi żonę o wybaczenie! Nie, zdobądźmy się na odwagę wobec siebie, bądźmy szlachetni wobec Stefany: w smutku zostanę sam z marzeniami i przeznaczeniem!

Jak widzicie, moje dzieci, nie staram się pokazać lepszym, niż byłem. Moje postanowienie zawierało trochę egoizmu, ale też dużo głębokiego i szczerego uczucia do Stefany, a mój szal wydawał się uzasadniony.

Nazajutrz wróciłem do pracowni w miarę spokojny, Stefana również wyglądała na spokojną, była tylko bledsza niż zazwyczaj. I tak minął miesiąc. Pewnego wieczoru, gdyśmy się rozstawali, Stefana powiedziała:

— Za tydzień, Benvenuto, będę żoną Gismonda Gaddiego.

Ponieważ nie od razu odeszła, tym razem starczyło mi czasu, by na nią spojrzeć. Stała posepna z ręką na sercu, zgięta pod ciężarem cierpienia. Jej piękny uśmiech był tak smutny, że płakać się chciało. Spoglądała na mnie z bólem, ale bez wyrzutu. Mój anioł, gotów opuścić ziemię, zdawał się ze mną żegnać. Stała tak, niema i bez ruchu, z minutę, po czym weszła do domu.

Miałem jej więcej na tym świecie nie zobaczyć. Tym razem znów wybiegłem z miasta z odkrytą głową, lecz nie wróciłem tam ani nazajutrz, ani za dwa dni, dopóty szedłem, aż dotarłem do Rzymu. Zostałem pięć lat w Rzymie, zacząłem zdobywać sławę, zyskałem; przyjaźń papieża, miałem pojedynki, miłostki, sukcesy artystyczne, ale nie byłem zadowolony, czegoś mi brakowało. Pośród tego burzliwego życia nie minął nawet jeden dzień, żebym nie skierował oczu ku Florencji. Nie przespałem jednej nocy, żeby nie ujrzeć we śnie bladej i smutnej Stefany stojącej na progu ojcowskiego domu i spoglądającej na mnie. Po pięciu latach otrzymałem z Florencji list czarno zapieczętowany. Czytałem go tyle razy, że znam jego treść na pamięć.

Oto on:

*Benvenuto, niedługo umrę. Benvenuto, kochałam cię.*

*Oto o czym marzyłam. Znalam cię równie dobrze jak ty sam: przeczułam siłę, jaka w tobie tkwi i kiedyś uczyni cię wielkim. Twój geniusz,, który wyczytałam z twojego szerokiego czoła, twój żarliwy wzrok, pełne pasji gesty narzucały tej, co będzie nosiła twoje nazwisko, poważne obowiązki.; Zgadzałam się na nie. Szczęście miało dla mnie doniosłość misji. Byłabym' nie tylko twoją żoną, Benvenuto, lecz także przyjaciółką, siostrą, matką. Twoje wzniosłe życie należy do wszystkich, wiedziałam o tym, zabrałabym . zeń tylko prawo pocieszania cię w strapieniach, podtrzymywania na duchu w chwilach zwątpienia. Byłbyś wolny, przyjacielu, zawsze i wszędzie. Od: dawna przywykłam do bolesnych dla mnie okresów twojej nieobecności, do wszystkich wymogów twojej werwy, do wszelkich kaprysów twojej duszy lubującej się w burzach. Wielki charakter ma wielkie potrzeby. Im dłużej orzeł unosi się w przestworzach, tym dłużej musi potem odpoczywać na ziemi. Lecz kiedy byś się już wyrwał z gorączkowych marzeń sennych twojego geniuszu, po przebudzeniu odnajdywałabym mojego wspaniałego Benvenuta, tego, którego kocham, tego, który by tylko do mnie jednej należał! Nie uczyniłabym ci nigdy wyrzutu za godziny zapomnienia, bo nie byłoby w nich nic dla mnie obelżywego. A wiedząc, żeś zazdrosny jak każdy człowiek szlachetnego serca, zazdrosny niczym biblijny Bóg,.kiedy by cię nie było przy mnie, pozostawiałabym z dala od spojrzeń ludzkich, w samotności, którą lubię, czekając na ciebie i modląc się za ciebie.*

*Tak by wyglądało moje życie.*

*Gdy zobaczyłam, że mnie opuszczasz, ulegając woli Boga i twojej zamknęłam oczy i podporządkowałam swój los obowiązkowi; ojciec nakazy-wał mi małżeństwo, które ratowało go przed hańbą, posłuchałam. Mąż mój był twardy, surowy, bezlitosny; nie zadowalała go moja uległość, domagał się miłości przerastającej moje siły i brutalnie mnie karał za bezwiedny smutek. Pogodziłam się z tym. Byłam, mam nadzieję, żoną godną i czystą, ale zawsze smutną, Benvenuto. Bóg mnie jednak na tym świecie nagroził dając mi syna. Pocałunki dziecka przez cztery lata nie pozwalały mi odczuć zniewag, razów, a na koniec biedy! Bo pragnąc zbyt wiele*

zarobić, mąż mój został zrujnowany i zmarł przeszłego miesiąca z tego powodu. Niech Bóg mu wybaczy, jak i ja wybaczam!

Teraz ja umrę, dzisiaj, za godzinę,— z nadmiaru cierpień, i ceduję ci mojego synka, Benvenuto.

Może tak właśnie jest najlepiej. Kto wie, czy moja kobieca słabość sprostaby roli, jaką sobie u twego boku narzucalam? On, mój Ascanio (jest do mnie podobny), będzie silniejszym i bardziej uległym towarzyszem twojego życia; będzie cię kochał lepiej, jeśli nie bardziej. Nie jestem o niego zazdrosna.

I proszę, uczynić dla mojego dziecka to, co ja bym zrobiła dla ciebie.

Żegnaj, przyjacielu, kochałam cię i Kocham, powtarzam to bez wstydu i wyrzutów u progu wieczności, bo miłość ta była święta. Żegnaj! Bądź wielki, a ja będę szczęśliwa, i podnieś czasem oczy ku niebu, bym cię ujrziała.

Twoja Stefana

A teraz Colombe, Ascanio, czy będziecie mi ufać i czyście gotowi zrobić, co poradzę?

Młodzi odparli jednym głosem.

## ROZDZIAŁ V

### POSZUKIWANIA

Nazajutrz po tym, jak w ogrodzie Petit-Nesle przy świetle gwiazd; opowiedziana została powyższa historia, pracownia BerwenUta miała od samego rana zwyczajny wygląd. Mistrz pracował nad solniczką ze złota, którego tak dzielnie bronił przed czterema rabusiami zamierzającymi mu je odebrać razem z życiem. Ascanio rzeźbił lilię dla pani d'Etampes. Jakub Aubry, ospale rozłożony na krześle, zadawał tysiące pytań Celliniemu, on mu zaś nie odpowiadał, zmuszając studenta do udzielania sobie odpowiedzi. Pagolo zerkał spod oka na Katarzynę zajęta jakąś kobiecą robótką. Herman i reszta robotników szlifowali, kuli, zgrzewali, cyzelowali, a piosenka Scorzony rozweselała pracowity spokój. 'W Petit-Nesle za to daleko było do spokoju. Colombe zniknęła. Panowało tam poruszenie; wszyscy szukali, nawoływali; jejmość Perrine pokrzykiwała, a prewot, po którego w pośpiechu posłano, próbował z lamentów niewiasty wyłowić jakąś wskazówkę mogącą go naprowadzić na ślad zaginionej, prawdopodobnie uciekinierki.

— A więc, moja Perrine, powiadasz, że wczoraj wieczorem, kilka chwil po moim odejściu, widziałaś ją ostatni raz?— wypytywał prewot.

— Niestety, tak, panie. Jezus Maria, straszne rzeczy! Biedne dziecko, wydawała się trochę smutna, pozdejnowała te wszystkie dworskie fatałaszkę; włożyła prostą białą suknię... wszyscy święci, zmiłujcie się! A potem powiedziała do mnie: „Moja Perrine, wieczór taki ładny, przejdę się po mojej alejce.” Mogła być siódma wieczorem. Ta pani — rzekła Perrine wskazując na Pulcherię, sługę daną jej do pomocy, a raczej na przełożoną ---ta pani, jak zwykle, poszła już do swego pokoju, niewątpliwie aby zająć się przygotowaniem cudnych toalet, które tak pięknie sposobi, a ja zabrałam się do szycia w komnacie na dole. Nie wiem, jak długo tam pracowałam', możliwe, że wreszcie biedne zmęczone oczy zamknęły mi się mimowolnie i że zapomniałam o świecie.

— Jak zwykle — wtrąciła cierpko Pulcheria.

— W każdym razie — podjęła Perrine nie racząc odpowiedzieć na niecne oszczerstwo — koło dziesiątej podniosłam się z fotela i poszłam do ogrodu zobaczyć, czy Colombe się tam nie zasiedziała. Zawołałam, ale nikogo nie było; pomyślałam wtedy, że poszła już do swego pokoju i położyła się nie budząc mnie, jak to się wiele razy drogiej dziewczynie zdarzało. Na miłosierdzie boskie! Kto by pomyślał!... Ach, mości prewocie, zapewniam, że nie poszła za kochankiem, lecz za uwodzicielem. Wychowałam ją w zasadach...

— A rano? — niecierpliwie przerwał prewot. — Co było rano!

— Rano, kiedy zobaczyłam, że nie schodzi, Matko Boska, wspomóż nas!

— Do diabła z twoimi litaniami! — zawołał imć pan d'Estouteville. — Opowiadaj wszystko jasno i bez tych całych jeremiad. No więc rano?

— Ach, panie prewocie, nie możesz mi zabronić płakać, dopóki się jej nie znajdzie. Rano, panie, niespokojna, że jej ciągle nie ma (to był taki ranny ptaszek!), zapukałam do jej drzwi, żeby ją obudzić, a ponieważ nie odpowiadała, otworzyłam. Pokój był pusty. Łóżko nie było nawet rozścielone. Wtedy zaczęłam krzyczeć, wołać, straciłam głowę, i jakże mam tu nie płakać!

— Moja Perrine — odezwał się surowo prewot — czy wpuszczałaś tutaj kogoś pod moją nieobecność?

— Wpuścić tutaj kogoś! Coś podobnego! — odparła ze wszelkimi oznakami zdumienia zacna niewiasta, drażliwa na tym punkcie. — Czyż nie, zabroniłeś mi, panie? Od kiedy to pozwalam sobie nie wykonywać twoich poleceń? Obcy tutaj! Też coś!

— Na przykład ten Benvenuto, który śmiał uznać moją córkę za piękną, nie próbował cię przekupić?

— Phy! Niechby raczej próbował dostać się na księżyc; ładnie bym go przyjęła, nie ma co!

— Nigdy więc nie wpuszciałaś do Petit-Nesle mężczyzny, młodego mężczyzny?

— Młodego mężczyznę! Na miłość boską, młodego mężczyznę! A dlaczego nie samego diabła?

— Co to w takim razie za greczny młodzian — wtrąciła się Pulcheria — który z dziesięć razy stukał do bramy, odkąd tutaj jestem, i któremu tyleż razy zamknęłam drzwi przed nosem?

— Greczny młodzian? Coś ci się przywidziało, moja droga; chyba że to był hrabia d'Orbec. Ach, mój Boże, już wiem: mówisz może o Ascaniu. Ascaiao, wiesz, panie, ten chłopiec, co ci uratował życie. Tak, w rzeczy samej, dałam mu do naprawy srebrne spinki do butów. Ale on młodym mężczyzną, ten czeladnik! Załóż lepiej okulary, moja duszko. Co więcej, niech te mury powiedzą, czy go tu kiedykolwiek widziały.

— Dosyć, — surowo przerwał prewot. — Jeśliś zawiodła moje zaufanie, Perrine, przysięgam, że mi za to zapłacisz! Idę do tego Benvenuta; Bóg wie, jak mnie ten gbur przyjmie; ale tak trzeba,

Benvenuto, wbrew wszelkimi oczekiwaniom, niezwykle miło powitał prewota. Widząc jego opanowanie, swobodę w zachowaniu i uprzejmość, imć pan d'Estouteville nie śmiał nawet wspomnieć o swoich podejrzeniach. Powiedział za to, że jego córka Colombe, przerażony się niedorzecznie poprzedniego dnia, ogarnięta paniką uciekła niby obłąkana; że być może bez wiedzy samego Benvenuta znalazła schronienie w Grand-Nesle albo że przechodząc przez posiadłość, żeby się ukryć gdzie indziej, zemdliała. Słowem, tak niezręcznie jak tylko można, kłamał.

Cellini jednak przyjął grzecznie te wszystkie opowiadki i wybiegi, a przynajmniej udał, że w nie wierzy. Co więcej, z całego serca użalił się nad prewotem oświadczając mu, że byłby rad mogąc zwrócić córkę ojcu, który zawsze dziecko swe otaczał wzruszającą i godną szacunku czułością i przywiązaniem. Uciekiniarka, jego zdaniem, popełniła więc wielki błąd i powinna jak najszybciej wrócić pod tak pewne i łagodne skrzydła. Wreszcie, na dowód szczerości zainteresowania, jakim darzył imć pana Roberta, oddał się do jego dyspozycji, by go wspomóc w poszukiwaniach nie tylko w Grand-Nesle, ale także wszędzie indziej.

Prewot, częściowo przekonany i tym bardziej wzruszony pochwałami, że w duchu czuł, iż nic w pełni na nie zasługuje, zaczął wraz z Benvenutem skrupulatnie poszukiwania w swej dawnej posiadłości, której wszelkie zakamarki znał doskonale. Toteż nie minął ani jednych drzwi nie otworzywszy ich, żadnej szafy nie zajrzawszy do środka, żadnego kufra nie rzuciwszy do wnętrza, niby mimochodem, spojrzenia. Kiedy przejrzał każdy zakamarek zamku, poszedł do ogrodu, przebiegł zbrojownię, odlewnię, piwnice, stajnie, uważnie wszystko zbadał. Przez cały

czas trwania poszukiwań; Benvenuto, wiemy danej obietnicy, pomagał jak mógł, podając kolejno klucze, wskazując tu korytarz, ówdzie gabinet zapomniane przez imć pana d'Estouteville, Wreszcie w obawie, żeby uciekinierka nie przebiegała z sali; do sali, poradził mu, by stawiać na warcie jednego ze służby w każdym: pomieszczeniu, które opuszczali.

Po dwóch godzinach daremnych poszukiwań imć pan d'Estouteville, pewien, że niczego nie pominął i skonfundowany uprzejmością gospodarza, opuścił Grand-Nesje, na odchodnym Benvenutovi stokrotnie dziękując i przeprasząc.

— Gdybyś chciał wrócić, panie — rzekł złotnik — i gdybyś musiał wznowić tutaj poszukiwania, mój dom stoi przed tobą otworem o każdej, porze, jak gdyby do ciebie należał; masz do tego zresztą prawo, waszmość: czyż nie podpisaliśmy traktatu, w którym zobowiązujemy się żyć jak dobrzy sąsiedzi?

Prewot podziękował Benvenutovi, a ponieważ nie wiedział, w jaki sposób odwzajemnić jego uprzejmość, więc wychodząc nie mógł się nachwalić olbrzymiego posągu Marsa, nad którym artysta, jak już wspominaliśmy, właśnie pracował! Cellini oprowadził gościa dokoła i uprzejmie zwrócił mu uwagę na zadziwiające proporcje posągu; miał on bowiem, dwadzieścia stóp wysokości, a u podstawy obwód wynosił blisko dwadzieścia kroków.

Imć pan d'Estouteville odchodził mocno strapiony: był przekonany, że skoro nie znalazł córki w Grand-Nesle, to schroniła się, gdzieś w mieście. W tamtych jednak czasach miasto było już wystarczająco duże, by wprawić w kłopot nawet samego szefa policji. Porwano ją czy też uciekła? Padła ofiarą przemocy czy ustąpiła z własnej woli? Co do tego nie miał żadnej pewnej wskazówki. Uczepił się zatem nadziei, że w pierwszym wypadku Colombe zdoła uciec, w drugim zaś zdecyduje się sama na powrót. Czekał tedy dosyć niecierpliwie, po sto razy dziennie wypytując jejmość Perrine, która spędzała czas na przyzywaniu wszystkich świętych i nadal się zaklinała na wszystkich bogów, że nikogo nie wpuszczała do domu, a tym samym nie powzięła, podobnie jak imć pan d'Estouteville, żadnych podejrzeń co do Ascania.

Minął jeden dzień i następny bez jakichkolwiek wieści. Prewot rozesłał wtedy wszystkich swoich agentów, czego dotąd nie uczynił, aby nie rozgłaszać wydarzenia, co dla jego opinii miało wielkie znaczenie. Co prawda dał im tylko rysopis bez nazwiska, a ich poszukiwania prowadzone były rzekomo z zupełnie innego powodu; i jakkolwiek nie zaniedbał żadnego źródła tajnych informacji, cała akcja spelzła na niczym.

Rzecz jasna, nigdy nie był dla córki ojcem czułym i serdecznym, nie rozpacział przeto, lecz gniewem się unosił, a zamiast serca cierpiała jego miłość własna; z oburzeniem myślał o pięknej partii, jaka głupiej dziewczynie przejdzie *mote* koło nosa, a ze złością o drwinach i szyderstwach, jakimi dwór przyjmie to niemile wydarzenie.

W końcu jednak należało się przyznać do nieszczęścia narzeczonemu Colombe. Hrabia d'Orbec zasmucił się tym zupełnie jak kupiec, któremu oznajmiono, że jego towary uległy uszkodzeniu. Drogi hrabia był filozofem i obiecał swemu szacownemu przyjacielowi, że jeśli wieść się zbyt nie rozejdzie, małżeństwo dojdzie do skutku; po czym, jako że należał do ludzi umiętych skorzystał z okazji, wyzyskał sytuację i szepnął prewotowi słówko o planach pani d'Etampes wobec Colombe.

Prewot był olśniony zaszczytem, jaki mógł go — spotkać; jego troska wzrosła z tego powodu w dwójnasób i przeklinał niewdzięcznicę, która uciekła przed tak znamienitym i pięknym losem.

Darujemy czytelnikowi rozmowę, jaka się po zwierzeniu hrabi d'Orbec wywiązała między dwoma starymi dworakami; poprzestańmy tylko na stwierdzeniu, że boleść i nadzieja przyjęły w niej charakter dziwnie wzruszający. A jako że nieszczęście zbliża ludzi, teść i zięć rozstali się

bardziej niż kiedykolwiek związani, nie mogąc się jeszcze pogodzić z rezygnacją z przeczuwanej tak wspaniałej przyszłości.

Ustalono, że wydarzenie to zatai się przed wszystkimi; diuszesa d'Etam-pes była jednak zbyt bliską przyjaciółką i zbyt zainteresowaną współpracowniczką, aby jej nie dopuścić do sekretu.

I dobrze się stało, gdyż diuszesa bardziej wzięła sobie sprawę do serca niżli ojciec i mąż, a jak wiadomo była w stanie lepiej niż ktokolwiek inny poinformować prewota i przeprowadzić poszukiwania.

Wiedziała bowiem o miłości Ascania do Colombe, zmusiła go niejako do obecności przy całym spisku; młodzieniec, widząc, że cześć ukochanej jest w niebezpieczeństwie, porwał się może na rozpaczliwy krok; lecz Ascanio przecież sam jej powiedział, że Colombe wcale go nie kocha, zatem nie kochając go, nie powinna była się na coś takiego zgodzić. Diuszesa d'Etampes zaś wystarczająco знаła tego, którego w pierwszej chwili podejrzewała, aby wiedzieć, że nigdy by się nie zdobył na stawienie czoła pogardzie i opprowi ukochanej; a jednak, mimo tego rozumowania, chociaż! jej zdaniem najprawdopodobniej Ascanio nie był winny, instynkt zazdrosnej! kobiety jej mówił, że Colombe należy szukać właśnie w zamku Nesle i że przede wszystkim trzeba się upewnić co do Ascania.

Pani d'Etampes nie mogła wszakże powiedzieć przyjaciółom, skąd ma tę pewność, musiałyby bowiem wyznać im wtedy, że kocha Ascania i że przez tę namiętność w chwili nierozwagi dała poznać młodzieńcowi wszystkie swoje zamiary wobec Colombe. Zapewniła ich więc tylko, że bardzo by się rozczarowała, gdyby Benvenuto nie okazał się winnym, Ascanio współnikiem, a Grand-Nesle kryjówką, Prewot daremnie się bronił, zaklinał, że wszystko widział, wszystko przejrzał, wszystko obszedł — diuszesa nie ustąpiła, miała ku temu swoje racje i tak bardzo się upierała, że w końcu zasiała wątpliwości w głowie imię pana Roberta, który był wszak pewien, iż szukał dobrze.

— Wezwę zresztą sama Ascania — dodała diuszesa — zobaczę się z nim, wypytam go, możesz być spokojny, panie prewocie.

—Och, zbyt dobra jesteś, pani — rzekł prewot.

—A ty zbyt głupi — mruknęła diuszesa przez zęby.

Po czym odprawiła obu.

Zaczęła rozmyślać o tym, jak by tu wezwać czeladnika, ale nie zdążyła] podjąć decyzji, kiedy zaanonsowano Ascania; wychodził zatem naprzeciw pragnieniom pani d'Etampes; był chłodny i spokojny.

Pani d'Etampes obrzuciła go wzrokiem zaiste przenikliwym —rzekłbyś, chce wejrzeć w głąb jego serca; Ascanio zdawał się wcale tego nie] zauważać.

-r Pani — powiedział z ukłonem — przyszedłem ci pokazać lilię! prawie skończoną; brakuje tylko kropli rosy wartości dwóch tysięcy skudów, którą obiecałaś mi dostarczyć.

— A jak tam twoja Colombe? — spytała pani d'Etampes w odpowiedzi. — Jeśli mówisz, pani, o pannie d'Estouteville — odparł z powagą Ascanio — to na klęczkach będę błagał, abyś więcej nie wymawiała przy mnie jej imienia. Tak, pani, zaklinam cię pokornie i usilnie, aby ten temat między nami więcej nie wracał, bardzo proszę!

— Ho, ho! Uraza! — rzekła diuszesa, ani na chwilę nie spuszczać, przeszywającego wzroku z Ascania.

— Jakiekolwiek uczucie mną kieruje i gdybym nawet miał narazić się na twoją niełaszkę, pani, ośmielam się odmawiać odtąd prowadzenia z tobą rozmowy na ten temat. Poprzysiągłem sobie,

że wszystko, co tylko ma związek z tym wspomnieniem, umarło dla mnie i pogrzebane zostało w moim sercu

„Czyżbym się pomyliła? — pomyślana diuszesa. — Czyżby Ascanio nie był w to zamieszany? Czyżby ta dziewczuszka poszła z dobrej woli albo z musu za jakimś innym uwodzicielem i będąc stracona dla moich ambitnych zamiarów, przysłużyła się ucieczką mojej miłości?”

Po czym podjęła:

—Ascanio, prosisz, żebym więcej p niej nie mówiła; ale czy pozwolisz przynajmniej, żebym mówiła o sobie? Jak widzisz, ulegam twojej prośbie; ale kto wie, czy ten drugi temat rozmowy nie będzie ci jeszcze mniej miły niżli pierwszy? Kto wie...

— Wybacz, że ci przerywam, pani — wtrącił młodzieniec — ale dobroć, z jaką raczyłaś wysłuchać mej prośby, ośmiela mnie, by cię błagać o jeszcze jedno. Choć pochodzę ze szlacheckiego rodu, jestem tylko ubogim, prostym chłopcem wychowanym w mroku pracowni złotniczej, i oto nagle z tego artystycznego odosobnienia — przeniesiony zostałem wśród najwyższych, wmieszany w losy monarchii, mając, ja, słaby, wielmożów za wrogów, króla za rywala; i to jakiego króla, pani! Franciszka Pierwszego, czyli jednego z najpotężniejszych władców chrześcijańskich. Nagle otarłem się o najznamienitsze nazwiska i najgłośniejsze kariery; kochałem beznadziejnie i zostałem pokochany bez wzajemności! I to przez kogo, wielki Boże! Przez na ziemi! Wszystko to wzburzyło mnie i wyprowadziło z równowagi; wszystko to mnie oszołomiło, zdruzgotało, przytłoczyło, pani! Jestem przerażony niczym karzeł, który się obudził wśród olbrzymów; myśli mi się płaczą, sam już nie wiem, co czuję; gubię się pośród tych okrutnych nienawiści, bezlitosnych miłości, chlubnych ambicji. Pani, pozwól mi odetchnąć, za—  
. klinam cię; pozwól rozbitkowi przyjść do siebie, ozdrowieńcowi nabrać sił; czas, mam nadzieję, ułoży wszystko w moirń sercu i życiu. Czasu, pani, daj mi czasu, i na litość, patrz na mnie dzisiaj tylko jako na artystę, który przyszedł cię spytać, czy zrobiona przezeń lilia podoba ci się.

Diuszesa utkwiała w Ascaniu spojrzenie pełne niedowierzania i zdziwienia; nie podejrzewała, że ten młodzieniec, dziecko jeszcze, może mówić takim tonem, zarazem poetycznym, poważnym i surowym; toteż poczuła się moralnie zmuszona posłuchać go i prawiać już tylko o lilii, pochwaliła Ascania i doradziła mu to i owo, obiecując, że uczyni, co tylko się da, aby wkrótce posłać duży diament, który dopełni jego dzieła. Ascanio podziękował i pożegnał się z wyrazami wdzięczności i szacunku.

— Czy to Ascanio? — powiedziała sobie pani d'Etampes, kiedy odszedł. — Wydaje mi się postarzały o dziesięć lat. Co mu nadaje tę niemal majestatyczną powagę? Czy cierpienie? A może szczęście? Jest szczery czy idzie za wskazówkami tego przekłętego Benvenuto? Czy gra, jak wytrawny artysta, wielką rolę, czy też idzie za głosem własnej natury?

Anna nie, zdołała się oprzeć — dziwne oszołomienie, które ogarniało tych, co walczyli z Benvenuto Cellinim, zaczynało, powoli i ją opanowywać mimo jej siły ducha, postawiła na czatach ludzi, aby baczyli na Ascania i śledzili go, kiedy, rzadko co prawda, wychodził; nie przyniosło to jednak nic nowego. Wreszcie pani d'Etampes wezwała przewota i hrabię d'Orbec i tak, jak kto inny by rozkazał, poradziła im, aby spróbowali raz jeszcze niespodziewanie przeszukać zamek Nesle.

Posłuchali jej; lecz Benvenuto, choć go zaskoczyli przy pracy, przyjął ich obu jeszcze lepiej, aniżeli samego przewota poprzednim razem. Rzekłbyś, widząc go tak swobodnym i uprzejmym, że ich obecność nie ma dlań zupełnie nic obelżywego. Przyjaźnie opowiedział hrabi d'Orbec o zasadzce, jaką na niego zastawiono, kiedy kilka dni wcześniej wyszedł od niego ze złotem; tego



samego dnia, podkreślił, kiedy zniknęła panna d'Estouteville. Jak poprzednio zaofiarował się towarzyszyć swym gościom i pomóc przewotowi w odzyskaniu praw ojcowskich, rozumiejąc doskonale jego święte obowiązki. Był szczęśliwy, że zastali go jeszcze w domu i może pełnić honory, albowiem tego samego dnia, za dwie godziny, ma wyruszyć do Romorantin, dzięki życzliwości Franciszka I znalazłszy się w liczbie artystów, którzy mieli wyjechać cesarzowi naprzeciw.

Wydarzenia polityczne toczyły się bowiem równie szybko jak w naszej opowieści. Karol V, ośmielony publiczną obietnicą swego rywala i tajemnym przyrzeczeniem pani d'Etampes, znajdował się już w odległości kilku dni drogi od Paryża. Wyznaczono poselstwo mające po niego wyjechać i d'Orbec z przewotem rzeczywiście zastali Celliniego w stroju podróżnym.

— Jeśli z całą eskortą opuszcza Paryż — rzekł szeptem d'Orbec do przewota — to najprawdopodobniej nie on porwał Colombe i nie mamy tu już nic do roboty.

— Mówiłem ci to, hrabio, przed przyjściem — odparł przewot.

Chcieli być jednak całkiem pewni, zaczęli więc drobiazgowo badanie. Benvenuto początkowo chodził za nimi i oprowadzał, ale widząc, że ich oględziny stają się nazbyt szczegółowe, poprosił, by pozwolili mu pozostawić ich samych i, ponieważ wyjeżdża za pół godziny, wydać jeszcze dyspozycje robotnikom, zważywszy, że po powrocie chce zastać ukończone wszystkie przygotowania do odlewu Jowisza.

Benvenuto udał się w rzeczy samej do pracowni, rozdzielił pracę robotnikom, poprosił ich, by słuchali Ascania jak jego samego, jemu szepnął na ucho kilka słów po włosku, pożegnał się ze wszystkimi i przygotował do wyjazdu z zamku. Osiodłany koń, trzymany przez małego Jehana, czekał na pierwszym dziedzińcu.

W tej chwili Scorzona podeszła do Benvenuta i odciągnęła go na stronę:

— Czy wiesz, mistrzu — rzekła poważnie — że twój wyjazd stawia mnie w bardzo trudnym położeniu?

— Jakże to, moje dziecko?

— Pagolo coraz bardziej mnie kocha.

— Ach, doprawdy?

— I bez ustanku mówi mi o swojej miłości.

— A co mu odpowiadasz?

— Cóż, jak kazałeś, mistrzu, mówię mu, że zobaczymy i że wszystko się może jakoś ułożyć.

— Bardzo dobrze!

— Jak to bardzo dobrze? Czyżbyś nie wiedział, Benvenuto, że on traktuje poważnie to wszystko, co mówię, i że podejmuję wobec tego człowieka prawdziwe zobowiązania? To już dwa tygodnie, jak mi nakazałeś, co mam robić, czyi nie?

— Zdaje się, że tak; już nie pamiętam.

— Ale ja mam lepszą pamięć. Otóż przez pierwsze pięć dni odpowiadałam mu łagodnymi upomnieniami: miał próbować się przemóc i przestać mnie kochać. Przez następne pięć dni słuchałam go w milczeniu, i to już była ryzykowna odpowiedź—ale tak mi nakazałeś i byłam ci posłuszna. Wreszcie przez pięć ostatnich dni ograniczałam się do mówienia mu o moich zobowiązaniach wobec ciebie, wczoraj zaś, mistrzu, doszło do tego, że prosiłam go, aby był wyrozumiały, a on domagał się ode mnie wyznań.

— A, skoro tak, to co innego — powiedział Benvenuto.

— No, wreszcie! — odetchnęła Scorzona.

— Tak, teraz posłuchaj, moja mała. Przez pierwsze trzy dni mojej nieobecności pozwolisz mi sądzić, że go kochasz; potem będziesz mieć następne trzy dni, żeby mu wyznać miłość.

— Co? I to ty mi mówisz, Benvenuto? — wykrzyknęła Scorzona, urażona zbyt wielkim zaufaniem, jakie mistrz w niej pokładał.

— Bądź więc spokojna. Co masz sobie do zarzucenia, skoro ja cię do tego upoważniam?

— Mój Boże, nic, wiem — rzekła Scorzona. — Stojąc jednak ciągle między twoją obojętnością a jego uczuciem, Bóg wie; czy nie skończy się na tym, że naprawdę go pokocham.

— Ech, w sześć dni! Nie czujesz się na siłach pozostać obojętna przez sześć dni?

— Owszem! Daję ci te sześć dni, tylko nie zostań przypadkiem tydzień.

— Nie bój się, moje dziecko, wróć na czas. Żegnaj, Katarzyno.

— Żegnaj, mistrzu — powiedziała Scorzona, dając się, uśmiechając i płacząc jednocześnie.

Podczas gdy Benvenuto udzielał Katarzynie ostatnich pouczeń, wrócili prewot i d'Orbec.

Pozostawieni samym sobie i mając swobodę ruchów z zapamiętaniem oddali się poszukiwaniom; zbadali strychy, przetrząsnęli piwnice, opukali wszystkie mury, przesunęli każdy mebel; porozstawiali za sobą służbę, zażarci niczym wierzycciele, cierpliwi jak myśliwi: po stokroć wracali w te same miejsca, po dziesięciokroć badali to samo z pasją straży, która ma dokonać aresztowania, a gdy skończyli, wracali zaczerwienieni i ożywieni niczego nie znaleźli.

— I cóż, panowie? — rzekł do nich Benvenuto, dosiadając konia. — Nie znaleźliście nic, prawda? Trudno! Rozumiem, to bolesne dla dwóch tak czułych jak wasze serce, lecz mimo całego zainteresowania, jakim darzę wasze cierpienie, i pragnienia, by wspomóc was w poszukiwaniach, muszę wyjechać. Pozwólcie zatem, że was pożegnam. Jeżeli zajdzie potrzeba, żebyście weszli do Grand-Nesle pod moją nieobecność, nie krępujcie się, czujcie się jak u siebie. Wydałem dyspozycje, by dom stał przed wami otworem. Jedyne, co mnie pociesza, gdy was zostawiam w takim niepokoju, to że spodziewam się dowiedzieć po powrocie, iż znaleźliście, ty, panie prewocie, ukochaną córkę, a ty, hrabio, piękną narzeczoną. Bywajcie, panowie! — A odwracając się do swoich towarzyszy stojących na pod jeździe, oprócz Ascania, który niewątpliwie wcale nie dbał o to, żeby się znaleźć twarzą w twarz ze swoim rywalem, rzekł: — Żegnajcie, moje dzieci. Jeśli pod moją nieobecność pan prewot zapragnie odwiedzić po raz trzeci zamek, nie zapomnijcie przyjąć go jak dawnego gospodarza tego domu.

Po tych słowach mały Jehan otworzył bramę i Benvenuto spinając konia ruszył galopem.

— Widzisz sam, mój drogi, że głupcy z nas — odezwał się hrabia d'Orbec do prewota. — Kiedy ktoś porwał dziewczynę, nie wyjeżdża do Romorantin z całym dworem!

## ROZDZIAŁ VI

### KAROL V W FONTAINEBLEAU

Nie bez wielkich wahań i strasznych obaw Karol V stanął na francuskiej ziemi, gdzie powietrze i ziemia były mu niejako wrogię, której uwięzionego króla haniebnie potraktował i której delfina być może — o to go przynajmniej oskarżano — otruił. Europa spodziewała się po Franciszku I strasznego odwetu, kiedy tylko jego rywal sam wejdzie mu w ręce. Ale zuchwałość Karola, wielkiego hazardzisty zastawiającego monarchie, nie pozwoliła mu się cofnąć, i gdy tylko teren zręcznie przebadano i przygotowano, odważnie przekroczył Pireneje.

Posiadał bowiem na dworze francuskim oddanych przyjaciół i uważał, że ma trzy gwarancje: ambicję pani d'Etampes, zarozumiałość konetabla Anne de Montmorency i rycerskość króla.

Widzieliśmy, jak i dlaczego diuszesa chciała mu się przysłużyć. Co się tyczy konetabla, to zupełnie inna rzecz. Niebezpieczeństwem dla mężów stanu wszystkich krajów i wszystkich czasów jest sprawa sojuszków. Polityka, tak w tym punkcie, jak i w wielu innych, sprowadzona do tego, że podobnie jak medycyna, opiera się tylko na przypuszczeniach, myli się — niestety! — bardzo często, badając symptomy podobieństw między ludami i ryzykując użycie remediów przeciw nienawiści między narodami. Otóż dla konetabla sojusz z Hiszpanią stał się obsesją. Wbił sobie w głowę, że w tym leży ratunek dla Francji i gwoli ukontentowania Karola V, który na przestrzeni ćwierćwiecza przez dwadzieścia lat prowadził wojnę z władcą konetabla, Montmorency mało dbał o to, że wywoła niezadowolenie innych sojuszników, Turków i protestantów, i że nie wykorzysta najwspanialszych okazji, jak ta, która oddawała Franciszkowi I Flandrię.

Król miał do konetabla ślepe zaufanie. Podczas ostatnich działań wojennych przeciw cesarzowi Montmorency rzeczywiście wykazał niesłychaną wręcz energię i powstrzymał wroga; co prawda odbyło się to za cenę ruiny całej jednej prowincji; co prawda przeszkodą dla nieprzyjaciół stała się pustynia; co, prawda wymagało to spustoszenia jednej dziesiątej Francji. Wszelako tym, co najbardziej imponowało królowi, była wyniosła szorstkość ministra i jego niewzruszony upór, które mogły się wydać przebiegłą i nieposzlakowaną niezłomnością komuś o umyśle powierzchownym. Sprawilo to, że Franciszek I słuchał tego wielkiego uwodziciela ludzi — jak go zwie Brantome — z uległością równą obawie, jaką budzi w maluczkich okrutny kaznodzieja, który przeplata swoje modlitwy wieszaniem ludzi. Karol V mógł tedy z absolutną pewnością liczyć na programową przyjaźń konetabla. Jeszcze bardziej mógł polegać na rycerskości swego rywala. Franciszek I posuwał się bowiem w swej szlachetności aż do głupoty. „W moim królestwie — powiedział — nie płaci się kopytkowego jak na moście, a ja nie sprzedaję gościnności.” I przebiegły Karol V mógł się zdać na słowo króla-szlacheica.

Niemniej, skoro cesarz wjechał na terytorium Francji, nie mógł stłumić w sobie trosk i obaw; na granicy spotkał dwóch synów króla przybyłych na jego spotkanie, a przez całą drogę

obsypywano go uprzejmościami i honorami. Lecz podstępny monarcha drżał na myśl, że te wszystkie pozory serdeczności kryją być może zasadzkę. „Zdecydowanie źle się sypia — mawiał — w obcym kraju.” Na wydawanych dla niego balach pokazywał twarz niespokojną i zatroskaną, a w miarę jak się posuwał w głąb kraju, stawał się coraz to smutniejszy i bardziej ponury.

Za każdym razem, gdy odbywał wjazd do jakiegoś miasta, zastanawiał się podczas uroczystych przemówień i pod łukami triumfalnymi, czy to właśnie miasto stanie się jego więzieniem; a potem stwierdzał w duchu: „Ani to, ani żadne inne, cała Francja' jest mi więzienną celą; wszyscy ci nadskakujący dworzanie są moimi strażnikami.” I z godziny na godzinę rósł dziki strach tygrysa, któremu zdawało się, że jest w klatce i wszędzie widzi kraty.

Pewnego dnia podczas konnej przejażdżki Karol Orleański, uroczy figlarz — który skwapliwie starał się być uprzejmym i dzielnym, jak przystało na syna Francji, zanim umarł na dżumę niczym człowiek prosty — wskoczył z ręcznikiem na konia za cesarzem i chwyciwszy go w pół, zawołał z dziecięcą radością: „Tym razem, panie, jesteś moim więźniem”. Karol V zbladł jak śmierć i omal nie zemdlął.

W Chatellerault nieszczęsny więzień z urojenia spotkał Franciszka I, który go powitał po bratersku, a nazajutrz w Romorantin przedstawił mu cały swój dwór, waleczną i wytworną szlachtę — chlubę kraju, artystów i uczonych — chlubę króla. Bale i niespodzianki zaczęły się w najlepsze. Cesarz był wobec wszystkich uprzejmy, ale w duchu drżał i wyrzucał sobie ciągle nierozwagę. Od czasu do czasu, aby sprawdzić, czy jest wolny, wychodził o świcie z zamku i gdzie spędził noc, i z zadowoleniem widział, że poza dddawanymi mu honorami nie krępowano swobody jego ruchów; skąd mógł jednak wiedzieć, czy nie jest pilnowany z daleka? Niekiedy, niby dla kaprysu, burzył ustalony porządek i zmieniał trasę ku wielkiej rozpaczy Franciszka I, którego te zachcianki zmuszały do poniechania przygotowanych ceremonii.

Kiedy cesarz znalazł się o dwa dni drogi od Paryża, z przerażeniem przypomniał sobie, czym był Madryt dla króla Francji. Stolica musiała im się wydać najbardziej szacowną, a zarazem najpewniejszym więzieniem dla cesarza. Zatrzymał się przeto i poprosił króla, aby natychmiast jechali do Fontainebleau, o którym tyle słyszał. Niweczyło to wszystkie plany Franciszka I, był jednak nazbyt gościnnie, aby okazać swoje rozczarowanie, spieszenie zawezwał więc do Fontainebleau królową i jej damy.

Obecność jego siostry Eleonory i zaufanie, jakie pokładała w prawości swego małżonka, uśmierzyły nieco obawy cesarza. Wszelako Karol V, choć chwilowo uspokojony, nigdy nie poczuł się dobrze u Franciszka I: Franciszek I był zwierciadłem przeszłości, Karol V zaś typem przyszłości. Władca czasów nowożytnych nie dość pojmował średniowiecznego bohatera; nie było możliwe, aby zrodziła się sympatia pomiędzy ostatnim z rycerzy i pierwszym z dyplomatów.

Co prawda do tego tytułu w ostateczności mógłby sobie rościć pretensje Ludwik XI, naszym jednak zdaniem władca ów był nie tyle chytrym dyplomatą, co gromadzącym wszystko skąpcem.

W dniu przyjazdu cesarza odbyło się w lasach Fontainebleau polowanie. Polowanie było jedną z największych przyjemności Franciszka I. Karola V tylko zmęczyło. Niemniej Karol skwapliwie skorzystał z kolejnej okazji, aby się przekonać, czy nie jest więźniem: przepuścił myśliwych, sam rzucił się w bok i jechał, dopóki się nie zabłąkał; widząc jednak, że jest samotny pośród lasu, wolny niczym wicher przemykający wśród gałęzi, wolny jak chmurki gonione wiatrem, uspokoił się niemal całkowicie i zaczął powoli odzyskiwać dobry nastrój. Resztki obaw wypłynęły mu jednak na twarz, kiedy znalazłszy się w miejscu spotkania ujrzał, jak Franciszek I idzie ku niemu, jeszcze rozgrzany łowami, z zakrwawionym oszczepem w dłoni. Wojownik spod Marignano i Pawii ujawniał się także w królewskich rozrywkach.

— Hola, bracie mój! Wesel się! — rzekł Franciszek I do cesarza biorąc go po przyjacielsku pod ramię, kiedy obaj władcy zsiadli z koni u bram pałacu, i poprowadził go Galerią Diany, pyszniąca się obrazami Rossa i Primaticcia. — Na Boga! Jesteś zatroskany, jak ja byłem w Madrycie. Ale ja, przyznaj sani, drogi bracie, miałem powody, bo byłem twoim więźnieniem, podczas gdy tyś moim gościem, wolny i w przededniu zwycięstwa. Ciesz się więc razem z nami, jeśli już nie z balów, zbyt, błahych bez wątpienia dla tak wielkiego jak ty polityka, to przynajmniej na myśl o tym, że poskromisz tych flamandzkich piwoszy, którym się marzy odrodzenie gminy... Albo zapomnij raczej o buntownikach i myśl tylko o zabawie z przyjaciółmi. Czy mój dwór ci się nie podoba?

— Jest wspaniały, bracie — odparł Karol V — i zazdroszczę ci go. Ja również mam dwór, widziałeś, ale dwór to poważny i surowy, ponure zgromadzenie mężów stanu i generałów, jak Lannoy, Pescaire, Antonio de Leyra. Ale ty, oprócz wojowników i polityków, oprócz takiego Montmorency czy Dubellaya, oprócz uczonych, oprócz takiego Budee'go, Duchatela, Lascarisa, masz też poetów i artystów: Marota, Jeana Goujon, Primaticcia, Benvenuta, a zwłaszcza urocze kobiety: Małgorzatę z Nawarry, Pianę de Poitiers, Katarzynę Medycejską i wiele innych, i zaczynam doprawdy wierzyć, bracie, że chętnie bym zamienił moje kopalnie złota na twoje pola kwiatów.

— Och, pośród tych kwiatów nie ujrzałeś jeszcze najpiękniejszego — prostodusznie rzekł Franciszek I bratu Eleonory.

— Nie, i umieram z chęci podziwiania tego cudu — przyznał cesarz, który w napomknieniu króla domyślił się pani d'Etampes. — Odtąd jednak wierzę, że prawdę powiadają, iż najpiękniejsze na świecie królestwo należy do ciebie, drogi bracie.

— Ale za to do ciebie najpiękniejsze hrabstwo, Flandria, i najpiękniejsze księstwo, księstwo Mediolanu.

— Pierwszego się zrzekłeś w przeszłym miesiącu — z uśmiechem powiedział cesarz — i za to ci dziękuję; ale pragniesz drugiego, czyż nie?

— Och, kuzynie, litości! — odrzekł na to Franciszek I. — Nie mówmy dzisiaj o sprawach poważnych: po rozkoszach wojny, wyznam ci, najbardziej nie lubię sobie przeszkadzać w rozkoszach zabawy.

— Rzec w tym — podjął Karol V z miną skapca, który rozumie konieczność zapłacenia długu — że księstwo Mediolanu nade wszystko sobie ukochałem, a dając ci je, jakby mi serce z piersi wyrwano.

— Powiedz: oddając mi je, bracie, słowo będzie właściwsze i złagodzi może twój smutek. Ale teraz nie o to chodzi, teraz mamy się bawić; o Mediolanie pomówimy później.

— Prezent czy restytucja, dany czy oddany — rzekł cesarz — niemnie będziesz miał jedną z najwspanialszych na świecie seniorii, bo będziesz ją miał, bracie, to postanowione, i dotrzymam moich zobowiązań wobec ciebie równie wiernie, jak ty dotrzymujesz swoich względem mnie.

— Ech, mój Boże! — zawołał Franciszek I, zaczynając się niecierpliwi tym ciągłym wracaniem do spraw poważnych. — I czegoż to tak żałujesz bracie? Czyż nie jesteś królem Hiszpanii, cesarzem Niemiec, hrabią Flandri i panem, czy to przez wpływy, czy dzięki mieczowi, całej Italii, od stóp Alp aż po krańce Kalabrii?

— Ale ty masz Francję — rzekł Karol V z westchnieniem.

— A ty masz Indie i ich bogactwa; masz Peru i kopalnie.

— Ale ty masz Francję!

— Masz cesarstwo tak rozległe, że słońce nigdy nad nim nie zachodzi

— Ale ty masz Francję!... Co by powiedział wasza wysokość, gdybym zerkał na ten diament królestw równie miłośnie jak ty pożadasz Mediolan| perły księstw?

— Widzisz, mój bracie — rzekł poważnie Franciszek I — w zasadniczych kwestiach kieruje się raczej instynktem niż rozumem; ale tak jak w twoim kraju mówi się: „Nie tykaj królowej”, tak ja ci powiadam: „Nie tykaj Francji”.

— Dobry Boże, czyż nie jesteśmy kuzynami i sojusznikami? — odparł Karol V.

— Niewątpliwie — przytaknął Franciszek I — i tuszę, iż odtąd nic nie zamąci tego pokrewieństwa i sojuszu.

— I ja mam taką nadzieję — przyznał cesarz. — Wszelako — ciągnął ze swoim pożądlivym uśmiechem i obłudnym spojrzeniem — czy mogę odpowiadać za przyszłość i przeszkodzić na przykład mojemu synowi Filipowi poważnie się z twoim synem Henrykiem?

— Waśń dla nas nie będzie groźna — odparł Franciszek I — jeśli po Auguście nastąpi Tyberiusz.

— Cóż znaczy władca! — rzekł Karol V ożywiając się. — Cesarstwo zawsze będzie cesarstwem, a Rzym Cezarów był zawsze Rzymem, nawet kiedy Cezarowie byli Cezarami już tylko z nazwy.

— Tak, tylko że cesarstwo Karola Piątego nie jest cesarstwem Oktawiana, bracie mój — powiedział Franciszek, zaczynając się zapalać. — Pawia to piękna bitwa, lecz nie Akcjum; poza tym Oktawian był bogaty, a ty, mimo indyjskich bogactw i peruwiańskich kopalni, finanse masz wyczerpane, jak wiadomo. W żadnym banku nie chcą ci już pożyczać, ani na trzynaście, ani na czternaście od sta; twoje nie otrzymujące żołdu wojska musiały rabować Rzym, żeby żyć, a teraz, gdy Rzym jest już doszczętnie splądrowany, zaczynają się buntować.

— Ty za to, bracie — odciął się Karol V — odstąpiłeś królewskie posiadłości, jak wiem, i jesteś zmuszony obchodzić się oględnie z Lutrem, żeby niemieccy książęta pożyczali ci pieniądze.

— Nie wspominając — podjął król — że twoje Kortezy wcale nie są takie potulne jak senat, podczas gdy ja się mogę poszczycić tym, że na zawsze uwolniłem władców spod kurateli.

— Bacz, żeby twój parlament nie rozciągnął jednak któregoś pięknego dnia nad tobą pieczy.

Dyskusja się ożywiła, dwaj władcy coraz bardziej się zapalali, dawna nienawiść, która ich tak długo dzieliła, zaczynała się znowu rozjatrzać. Już Franciszek I miał zapomnieć o gościnności, a Karol V o ostrożności, kiedy król Francji pierwszy sobie przypomniał, że jest u siebie.

— No, nie, słowo szlachcica, bracie! — podjął naraz ze śmiechem — coś mi się zdaje, do krośset! że się pokłócimy. Mówiłem przecież, że nie powinniśmy rozmawiać o sprawach poważnych i że trzeba zostawić dyskusje naszym ministrom, a dla siebie zachować przyjaźń. No, ustalmy raz na zawsze, że ty będziesz miał świat oprócz Francji i więcej do tego nie wracajmy.

— I oprócz księstwa Mediolanu, bracie — dodał Karol, spostrzegając popełnioną nieostrożność i natychmiast się opanowując — bo Mediolan jest twój. Obiecałem ci go i obietnicę powtarzam.

Na te wzajemne zapewnienia o przyjaźni otworzyły się drzwi galerii i ukazała się pani d'Etampes. Król wyszedł jej naprzeciw i podprowadził ją do cesarza, który widząc diuszese po raz pierwszy, świadom tego, co zaszło między nią i panem de Medina, przyglądał się jej, gdy szła, najprzenikliwszym ze swoich spojrzeń.

— Bracie — odezwał się król z uśmiechem — czy widzisz tę piękną damę?

— Nie tylko ją widzę — odparł Karol V — ale i podziwiam!

— A czy wiesz, czego ona pragnie?

— Czy którejs z moich Hiszpanii? Z chęcią jej podaruję.

— Nie, nie, bracie, to nie, to.

— A cóż takiego?

— Chce, żebym cię zatrzymał w Paryżu, dopóki nie podrzesz traktatu madryckiego i nie potwierdzisz czynami słowa, któreś mi właśnie dał.

— Jeśli rada jest dobra, należy jej posłuchać — odparł cesarz kłaniając się diuszecie, zarówno po to, aby ukryć nagłą bladość, jaką te słowa sprowadziły na jego twarz, jak i po to, by dopełnić wymogów kurtuazji.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej na ten temat, a Franciszek I nie zdołał dojrzeć skutku, jaki wywołały jego słowa rzucone ze śmiechem, które Karol V stale był gotów brać na poważnie, gdyż znowu otwarły się drzwi i galerię wypełnili dworzanie.

Kiedy na pół godziny przed obiadem zebrało się owo towarzystwo wytworne, dowcipne i zepsute, scena, jaką opisaliśmy przy okazji wizyty w Luwrze, powtórzyła się niemal co do joty. Byli tam ci sami mężczyźni i kobiety, ci sami dworzanie i służba, Miłosne spojrzenia i nienawistne łypnięcia okiem wymieniano zatem jak zwykle, a szyderstwa i uprzejmości szły swoim normalnym trybem.

Karol V, ujrawszy wchodzącego Anne de Montmorency, którego słusznie uważał za swojego najpewniejszego sojusznika, wyszedł mu naprzeciw i na uboczu rozmawiał z nim i z diukiem de Medina, swoim ambasadorem.

— Podpiszę, co tylko zechcesz, mości konetablu — mówił cesarz, znając uczciwość starego żołnierza; — Przygotuj mi akt cesji księstwa Mediolanu i, na świętego Jakuba! choć to najwspanialszy klejnot w mojej koronie, podpiszę ci bezwarunkowe zrzeczenie się go.

— Pismo! — oburzył się konetabl, gorąco odrzucając środek ostrożności, w którym przejawiała się nieufność. — Pismo, sire! Co też wasza wysokość powiada? Pismo niepotrzebne, sire, niepotrzebne: twoje słowo, to wszystko. Czyż jadąc do Francji miałeś, miłościwy panie, jakoweś pismo i sądzisz, że nasze zaufanie do ciebie będzie mniejsze niżli twoje do nas?

— Słusznie mówisz, panie de Montmorency — odparł cesarz wyciągającdoń rękę — słusznie.

Konetabl się oddalił!

— Głupiec z niego! — odezwał się cesarz. — On tak samo politykuje, mój Medina, jak krety ryją ziemię: na ślepo.

— A co z królem, sire? — spytał Medina.

— Król jest zbyt dumny ze swej wielkości, aby nie być pewnym naszej. Bezmyślnie pozwoli nam odjechać, Medina, a my przezornie każemy mu poczekać. Kazać czekać, mości panie — ciągnął Karol V — nie znaczy nie dotrzymać obietnicy, lecz tylko ją odroczyć.

— A pani d'Etampes? — spytał Medina,

— Co do niej, jeszcze zobaczymy — rzekł cesarz, zsuwając i wsuwając wspaniałą pierścień, który nosił na kciuku lewej ręki, ozdobiony cudownym diamentem. — Ach, przydałoby mi się z nią spotkać.

Podczas gdy cesarz i jego minister szybko zamieniali szeptem te słowa, diuszesa drwiła bezlitośnie z wielkiego Martnagne'a w obecności imć pana d'Estouteville, a to w związku z jego nocnymi czynami.

— Czyżby to o twoich ludziach, panie de Marmagne — mówiła — Benvenuto opowiadał każdemu po kolei tę oto zadziwiającą historię? Zaatakowany przez czterech zbójców i mając tylko jedną rękę do obrony, sprawił, że go ci panowie najzwyczajniej w świecie odstawili do domu. Czyś był wśród tak dzielnych zuchów, wicehrabio?

— Pani — odparł skonfudowany nieszczęsny Marmagne — to niezupełnie tak się odbyło, a Benvenuto trochę przesadza.

— Tak, tak, nie wątpię, że wyolbrzymia i upiększa nieco w szczegółach, lecz sedno jest prawdziwe, wicehrabio, sedno jest prawdziwe; a w tej materii sedno to podstawa.

— Pani — odparł Marmagne — obiecuję, że się zemszczę i że tym razem bardziej mi się poszczęści.

— Wybacz, wicehrabio, lecz nie zemścić się masz, a nową rozgrywkę zacząć. Cellini, jak mi się zdaje, dwie pierwsze tury wygrał.

— Tak, dzięki temu, że mnie przy tym brakło — mruknął Marmagne coraz bardziej zakłopotany. — Bo moi ludzie skorzystali, że mnie nie było, i uciekli, nędznicy!

— Och — odezwał się przewot — radzę ci, Marmagne, pogodzić się z przegraną: nie masz do Celliniego szczęścia.

— Tuszę, skoro tak, że możemy się nawzajem pocieszać — rzekł na to Marmagne — bo jeśli do faktów dowiedzionych dodać krążące pogłoski, do zdobycia Grand-Nesle zniknięcie jednej z mieszkańek zamku, to ten Cellini, mości panie d'Estouteyille, tobie również nie przyniósł szczęścia. A ponieważ zaiste ci się nie wiedzie, drogi przewocie, złotnik podobno żywo się zajmuje powodzeniem twojej rodziny.

— Panie de Marmagne! — zawołał gwałtownie przewot, wściekły, że jego nieprzyjemne rodzicielskie przejścia zaczynają być znane. — Panie de Marmagne, później mi wyjaśnisz, co przez to rozumiesz.

— Och, panowie, panowie — zmitygowała ich diuszesa — nie zapominajcie, proszę, że ja tu jestem. Obaj się mylicie. Panie .prewocie, ten, kto tak źle szuka, nie powinien robić wyrzutów temu, kto tak źle znajduje. Panie de Marmagne, w kłęsce należy się jednoczyć przeciw wspólnemu wrogowi, a nie sprawiać mu przyjemność widokiem pokonanych mordujących się nawzajem. Przechodzimy do jadalni; panie de Marmagne, podaj mi ramię. Cóż, skoro mężczyźni i ich siła nie dają rady Celliniemu, zobaczymy, czy okaże się równie niepokonany wobec kobiecych podstępów. Zawsze uważałam, że sojusznicy to tylko kłopot i lubiałam prowadzić wojnę sama. Niebezpieczeństwa są wprawdzie większe, ale przynajmniej nie trzeba z nikim dzielić chwały zwycięstwa.

— Impertyneń! — powiedział Marmagne. — Spójrz, pani; jak poufale rozmawia z naszym wielkim królem! Można by pomyśleć, że to szlachcic, podczas gdy jest tylko nędznym rzeźbiarzem!

— Co też ty mówisz, wicehrabio! Ależ to szlachcic, i to najlepszy, jaki może być! — roześmiała się diuszesa. — Czy znasz tak wiele naszych najstarszych rodów, które by się wywodziły od wodza Juliusza Cezara i które by miały trzy kwiaty lilii i szlak domu andegaweńskiego w herbie? Sami widzicie, panowie, że nie król dodaje splendoru rzeźbiarzowi rozmawiając z nim: przeciwnie, rzeźbiarz czyni zaszczyt królowi, zwracając się do niego.

Franciszek I i Cellini w rzeczy samej gawędzili właśnie z tą poufałością, do jakiej wielcy tego świata przyzwyczaili artystę wybranego przez niebiosa.

— Cóż, Benvenuto? — mówił król. — Jak tam się przedstawia nasz Jowisz?

— Przygotowuję odlewanie, sire — odparł Benvenuto.



— I kiedyż to przystąpisz do tego wielkiego dzieła?

— Zaraz po moim powrocie z Paryża, sire.

— Weź naszych najlepszych odlewników; Cellini, nie zaniedbaj niczego, żeby wszystko się udało. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, wiesz, gdzie mnie szukać.

— Wiem,, miłościwy panie, żeś największym, najszlachetniejszym i najbardziej wspaniałomyślnym królem na ziemi — odparł Benvenuto — ale dzięki pensji, jaką mi każesz wypłacać, jestem bogaty; Co się tyczy operacji, o którą łączysz się niepokoić, sire, to jeśli pozwolisz, zdam się tylko na siebie w przygotowaniu jej i przeprowadzeniu. Nie ufam żadnemu francuskiemu odlewnikowi, nie żeby byli niezręczni, ale bałbym się że z patriotyzmu nie zechcą oddać swej wprawy na usługi artysty pochodzącego zza Alp. A przyznam się, sire, iż zbyt wiele znaczy dla mnie udany Jowisz, abym pozwolił, żeby kto inny przykładął do niego ręki.

— Brawo, Cellini! Brawo! — zawołał król. — Tak mówi tylko prawdziwy artysta.

— Poza tym — dodał Benvenuto — chcę mieć prawo do przypomnienia obietnicy, jaką wasza królewska mość mi złożył.

— Słusznie, wierny przyjacielu. Jeżeli nas zadowolisz, mamy ci coś podarować. Nie zapomnieliśmy o tym, Gdybyśmy zresztą zapomnieli, to zobowiązanie owo podjęliśmy w obecności świadków. Prawda. Montmorency? Prawda, Poyet? A konetabl i kanclerz przypomną nam o danym słowie.

— Och; bo też wasza królewska mość ani się pewno domyśla, jakiej wartości nabrało dla mnie to słowo od dnia, kiedyś mi je dał.

— I zostanie dotrzymane, mości panie, zostanie dotrzymane. Ale oto otwierają podwoje. Do stołu, panowie!

I Franciszek I podszedł do Karola V, po czym ruszyli na czele orszaku znamienitych biesiadników. Ponieważ obydwu skrzydła drzwi były otwarte, dwaj władcy weszli równocześnie i usiedli naprzeciw siebie: Karol V między Eleonorą i panią d'Etampes, Franciszek I między Katarzyną Medycejską i Małgorzatą z Nawarry.

Posiłek był wesoły, a jadło wyśmienite. Franciszek I w swoim żywiole na zabawach, balach i przyjęciach, bawił się po królewsku i śmiał się niby dzieciak ze wszystkich opowieści, jakimi go raczyła Małgorzata z Nawarry; Karol V zaś nadskakiwał pani d'Etampes i zasypywał ją komplementami; inni rozprawiali o sztuce, polityce.

Przy deserze, jak zwykle, paziowie wnieśli przybory do obmycia rąk; wtedy pani d'Etampes wzięła dzban i misę przeznaczone dla Karola V z rąk służącego, który je przyniósł, podobnie jak uczyniła Małgorzata z Nawarry dla Franciszka I; następnie diuszesa wlała wodę z dzbana do misy i zgodnie z hiszpańską etykietą, przyklękając na jedno kolano podała misa cesarzowi. Ten zamoczył czubki palców i patrząc na swą piękną i wysoko urodzoną służkę, z uśmiechem spuścił do misy wspomniany wcześniej cenny pierścień.

— Najjaśniejszy panie, zgubiłeś pierścień — powiedziała Anna zanurzając swoje śliczne paluszki w wodzie i delikatnie ujmując nimi klejnot, który podała Karolowi V.

— Zachowaj ten pierścień, pani — rzekł z cicha cesarz. — Jest w zbyt pięknych i szlachetnych rękach, żebym go miał zabierać. — Po czym dodał jeszcze ciszej: — To zaliczka na poczet księstwa Mediolanu.

Diuszesa uśmiechnęła się i umilkła. Do jej stóp upadł kamyk, tyle że ten kamyk wart był milion.

Kiedy przechodzą z jadalni do salonu, a z salonu do sali balowej, pani d'Etampes zatrzymała Benvenuto, którego tłum przyniósł w jej pobliże.

— Mości Cellini — rzekła podając mu pierścień, dowód sojuszu między nią i cesarzem — bądź łaskaw doręczyć ten diament Ascaniowi, aby ozdobił nim moją lilię: to kropla rosy, którą mu obiecałam.

— I doprawdy spadła z palców Jutrzenki, pani — odparł artysta z kpiącym uśmiechem i przesadną galanterią.

A przyjrząwszy się pierścieniowi, poczuł dreszcz radości, rozpoznał bowiem diament, który oprawił był ongiś dla papieża Klemensa VII i osobiście wręczył go od najwyższego kapłana wielkiemu cesarzowi.

Żeby Karol V pozbył się takiego klejnotu, i to na rzecz kobiety, cesarz i pani d'Etampes musieli niechybnie zawrzeć jakieś tajemne porozumienie, sekretny pakt, podejrzany sojusz.

Podczas gdy Karol V spędza w Fontainebleau dni i noce na zmianę to przerażony, to znów ufny, podczas gdy kluczy, intryguje, draży, knowa, obiecuje, cofa słowo, znowu obiecuje, rzućmy okiem na Grand-Nesle i zobaczmy, czy nie dzieje się coś nowego pośród mieszkańców pozostałych w zamku:

## ROZDZIAŁ VII

### WIDMO MNICHA

W całym domu panowało głębokie poruszenie; widmo mnicha, ów niesamowity dawny gospodarz klasztoru, na którego ruinach wyrósł zamek Amaury, straszy znowu od trzech czy czterech dni. Jejmość Perrine widziała go, jak przechadzał się nocą po ogrodzie Grand-Nesle odziany w długi biały habit, a chodził krokiem nie zostawiającym śladu i nie powodował najmniejszego szmeru.

W jaki sposób jejmość Perrine, mieszkająca w Petit-Nesle, zdołała ujrzeć widmo mnicha spacerujące o trzeciej nad ranem po ogrodzie Grand-Nesle? Aby to wyjaśnić, musimy się dopuścić straszliwej niedyskrecji, lecz autor jest przede wszystkim kronikarzem i czytelnik ma prawo znać najbardziej intymne szczegóły z życia osób, które wprowadziliśmy na scenę, zwłaszcza kiedy te szczegóły mają rzucić tak jasne światło na ciąg dalszy naszej opowieści.

Jejmość Perrine po zniknięciu Colombe, po odejściu Pulcherii, teraz już niepotrzebnej, i po wyjeździe prewota stała się absolutną panią Petit-Nesle; bo, jak już mówiliśmy, ogrodnik Raimbault dla oszczędności najmowany był wraz z pomocnikiem przez imię pana d'Éstouteville tylko na dniówkę. Jejmość Perrine królowała zatem niepodzielnie nad Petit-Nesle, lecz, była władczynią osamotnioną; tak że przez cały dzień śmiertelnie się nudziła, a w nocy umierała ze strachu.

Pomyślała wszakże, iż przynajmniej w dzień można temu nieszczęściu zaradzić: przyjazne stosunki z Rubertą otwierały przed nią bramy Grand-Nesle. Poprosiła, by mogła odwiedzać sąsiadki i pozwolenie na to skwapliwie jej dano.

Odwiedzając jednak sąsiadki jejmość Perrine stykała się, rzecz jasna, także z sąsiadami. Perrine była niewiastą trzydziestosześcioletnią, lecz przyznawała się do lat dwudziestu dziewięciu. Korpulentna, zażywna, świeża jeszcze, zawsze uprzejma, wzbudzała sensację wchodząc do pracowni, gdzie kuło, przycinało, dłutowało, waliło młotem, rzeźbiło tuzin towarzyszków doceniających rozkosze życia, lubujących się w grze w niedziele, w winie w niedziele i dni świąteczne, a w płci nadobnej zawsze. Toteż trzech z naszych starych znajomych po paru dniach dosięgła ta sama strzała. Byli to: mały Jehan, Szymon Mańkut i Niemiec Herman.

Co się tyczy Ascania, Jakuba Aubry i Pagola, to zdołali ująć urokowi, jako że Uczucia ulokowali już gdzie indziej.

Pozostali towarzysze mogli oczywiście poczuć pierwsze iskierki owych ogni greckich, lecz niewątpliwie sami zdali sobie sprawę ze swego niskiego stanu i zanim owe iskierki przerodziły się w pożar, wylali na nie wodę swej pokory. ,'

Mały Jehan kochał na sposób Cherubina, to znaczy był przede wszystkim zakochany w miłości. Jejmość Perrine, rozumie się, była kobietą zbyt rozsądną, aby odwzajemnić taki błędny ogień.

Szymon Mańkut mógł zagwarantować pewniejszą przyszłość i płomień wydawał się trwalszy, wszelako jejmość Perrine najeżała do 'osób bardzo przesądnych.

Perrine widziała, jak Szymon zegnał się lewą ręką; sądziła, że będzie zmuszony podpisać kontrakt ślubny również lewą ręką. A była przekonana, że znak krzyża wykonany lewą ręką służy raczej zgubie niż zbawieniu duszy, podobnie jak nikt by jej nie wyperswadował, iż kontrakt ślubny podpisany lewą ręką może się przyczynić do czegoś innego niż unieszczęśliwienie dwojga ludzi. Jejmość Perrine tedy, nie wspominając o powodach swej niechęci, przyjęła pierwsze awanse Szymona Mańkuta w taki sposób, że odjęła mu wszelką nadzieję na przyszłość.

Pozostał Herman. O, Herman to co innego.

Herman nie był zalotnikiem jak mały Jehan ani człowiekiem upośledzonym przez naturę jak Szymon Mańkut; z całej osoby Hermana biła uczciwość, dobroduszość, które przypadły do serca jejmości Perrine. Co więcej, Herman zamiast mieć rękę lewą po stronie prawej, a prawą po lewej, posługiwał się tak dzielnie jedną i drugą, że zdawał się mieć dwie ręce prawe. Był to w dodatku wspaniały mężczyzna wedle potocznych wyobrażeń. Wybór jejmości Perrine padł zatem na Hermana.

Wszelako jak wiadomo, Herman posiadał celadoniczną naiwność. Spowodowało to, że pierwszy arsenał sposobów jejmości Perrine, to znaczy mizdrzenie się, tulenie ust, przewracanie oczami, zupełnie zawiódł wobec wrodzonej nieśmiałości poczciwego Niemca. Poprzestawał na gapieniu się na jejmość Perrine wybałuszonymi oczami; tylko że, niczym ślepcy z Ewangelii, *ocufos habebat et nori videbat*, a jeśli nawet widział, to czcigodną damę w całości, nie dostrzegając żadnych szczegółów. Wówczas jejmość Perrine wystąpiła, z propozycją przechadzek, czy to ulicą des Augustins, czy to , po ogrodach Grand iPetit-Nesle, a na każdy spacer na towarzysza wybierała sobie Hermajna. Uszczęśliwiała to Hermana na, duszy. Jego wielkie germańskie serce zwiększało, o pięć czy sześć liczbę uderzeń na minutę, kiedy jejmość Perrine wspierała się na jego ramieniu; Wszelako, czy to odczuwając pewne trudności w wysłowieniu się po, francusku, czyli też doznając największej przyjemności, gdy słuchał przedmiotu swych .skrywanych myśli, dość że jejmość Perrine czadko wyciągała z niego coś więcej ponad te dwa' sakramentalne zdania: „Dzień dobry, pannę Perrine" i „Do widzenia, panno Perrine", które Herman wypowiadał zazwyczaj w odstępnie dwóch godzin jedno od drugiego — pierwsze, gdy ujmował ramię jejmości Perrine, drugie, gdy je puszczał. A lubo nazwanie jej panną wielce pochlebiało jejmości Perrine i choć było coś niezwykle przyjemnego w tym, że mogła mówić przez całe dwie godziny bez obawy, iż ktoś jej wpadnie w słowo, wolałaby, żeby jej monolog został przerwany przynajmniej przez parę wykrzykników, które mogłyby jej dać jakieś statystyczne pojęcie o postępach czynionych w sercu swego milczącego towarzysza przechadzek.

Owe postępy wszelako, choć nie wyrażone słowem ani wypisane na fizjonomii, były rzeczywiste; ogień płonął w sercu poczciwego Niemca i podsycany codziennie obecnością jejmości Perrine, stawał się prawdziwym wulkanem. Herman zaczynał wreszcie zauważać względy, jakimi obdarzała go jejmość Perrine, i czekał tylko na odrobinę więcej, aby się oświadczyć. Jejmość Perrine pojęła jego wahanie.. Jednego wieczoru, rozstając się z nim, ujrzała .go tak wzburzonym, że uznała za dobry zaiste uczynek uściśnięcie mu ręki. Herman, nie posiadając się z radości, odpowiedział podobnie; ku jego wielkiemu wszakże zdziwieniu jejmość Perrine wydała donośny okrzyk. Herman w swoim upojeniu nie wyliczył sobie siły uścisku. Sądził, że im mocniej ściśnie, tym dokładniejsze będzie pojęcie o gwałtowności jego uczucia, i omal nie zgniótł dłoni nieszczęsnej niewiasty.

Na jej krzyk Herman osłupiał; lecz *jejmość* Perrine, w obawie, że odbierze mu odwagę w chwili, gdy się decydował na pierwszy krok, zmusiła się do uśmiechu i rozklejając zlepione palce, rzekła:

— To nic, to nic, drogi panie Hermanie, to naprawdę nic.

— Stokrotnie przepraszam, panno Perrine — mitygował się Niemiec — ale to dlatego, że bardzo mocno cię kocham i uścisnąłem cię tak, jak kocham! Stokrotnie przepraszam!

— Nie ma za co, mości Hermanie, nie ma za co. Twoja miłość jest, mam nadzieję, uczciwą miłością, za którą kobieta nie musi się rumienić.

— O Boże! — powiedział Herman. — Tak myślę, panno Perrine, że moja miłość jest uczciwa; tylko że nie śmiałem ci o tym dotąd powiedzieć: ale skoro słowo już padło, kocham cię, kocham cię, panno Perrine.

—> A ja, mości Hermanie — rzekła Perrine mizdrząc się — myślę, że mogę ci powiedzieć, bo uważam cię za przyzwoitego kawalera, niezdolnego zhańbić biedną kobietę, że... Och, Boże mój, jak ja to powiem?

— Och, powiedz, powiedz, pani! — zawołał Herman.

— No więc... Och, czynię błąd, wyznając ci to.

— *Nein! Nein!* Nie czynisz błędu! Powiedz!

— No cóż, wyznam ci, że nie pozostałam obojętną na twoje uczucie.

— Do kroćset! — wykrzyknął Niemiec przepelniony radością.

I oto pewnego wieczoru, kiedy Julia z Petit-Nesle odprowadziła po przechadzce swojego Romea aż do podjazdu w Grand-Nesle i wracała samotnie, spostrzegła, mijając furtkę ogrodu, wspomnianą już białą zjawę, która, zdaniem czcigodnej niewiasty, mogła być tylko widmem mnicha. Zbędnym byłoby dodawać, że *jejmość* Perrine wróciła ledwie żywa ze strachu i zabarykadowała się w swoim pokoju.

Nazajutrz z samego rana cała pracownia została powiadomiona o nocnej zjawie. *Jejmość* Perrine powiedziała jednak tylko o samym fakcie, uznawszy za zbędne rozwódzić się nad szczegółami.

Ukazało jej się widmo mnicha. To wszystko. Na próżno ją wypytywano — nie zdołano z niej nic więcej wydobyć.

Przez cały dzień w Grand-Nesle rozprawiano tylko o widmie mnicha. Jedni wierzyli w ukazanie się zjawy, inni z tego drwili. Ascanio zajął stanowisko przeciwko zjawie i został przywódcą stronnictwa niedowiarków.

Stronnictwo niedowiarków składało się z małego Jehana, Szymona Mańkuta, Jakuba Aubry i Ascania.

Stronnictwo wierzących składało się z Ruberty, Scorzony, Pagola i Hermana.

Wieczorem wszyscy zebrali się na drugim dziedzińcu Petit-Nesle. *Jejmość* Perrine, wypytywana z rana o historię widma mnicha, poprosiła, żeby jej dano czas na zebranie wspomnień, a gdy zapadła noc, oznajmiła, iż jest gotowa opowiedzieć tę przerażającą legendę. *Jejmość* Perrine знаła się na inscenizacji niczyini współczesny dramaturg i wiedziała, że opowieść o duchu traci cały swój efekt, gdy się ją opowiada w blasku słońca, za to efekt ów wzrasta w dwójnasób w ciemnościach.

Audytorium składało się z Hermana siedzącego po jej prawicy, z *jejmości* Ruberty siedzącej po jej lewicy, z Pagola i Scorzony siedzących obok siebie oraz z Jakuba Aubry leżącego na trawie między swymi dwoma przyjaciółmi, małym Jehanem i Szymonem Mańkutom. Co się

tyczy Ascania, to oświadczył, iż tak mało go obchodzą wszystkie te babskie opowieści, że nie chce ich nawet słuchać,

— A więc — odezwał się Herman po chwili ciszy, kiedy to każdy się sadowił, żeby wygodnie słuchać — a więc, panno Perrine, opowiesz nam historię widma mnicha?

— Tak — odparła jejmość Perrine — ale muszę was uprzedzić, że to przerażająca historia i może pora nie jest najlepsza, aby jej teraz słuchać; ponieważ jednak wszyscyśmy pobożni, choć są tu niedowiarki ale jest przecie z nami pan Herman zdolny przegonić samego szatana, gdyby się pojawił, opowiem wam tedy wszystko.

— Wybacz, panno Perrine, ale jeśli przyjdzie tu szatan, to muszę powiedzieć, że nie można na mnie liczyć: mogę się bić z ludźmi ile tylko zechcesz, ale nie z diabłem.

— W takim razie ja się z nim rozprawię, jeśli się zjawi, panno Perrine — rzekł Jakub Aubry. — Dalejże więc bez obawy.

— Czy w twojej opowieści występuje węglarz, panno Perrine? — spytał Herman.

— Węglarz? — zdziwiła się. — Nie, drogi panie.

— To nic, wszystko jedno.

— A dlaczego węglarz?

— Bo w niemieckich opowieściach zawsze był węglarz. Ale nieważne, to i tak będzie piękna legenda. Zaczynaj, panno Perrine, zaczynaj.

— Musicie wiedzieć — rzekła jejmość Perrine — że niegdyś w miejscu, gdzie się teraz znajdujemy, zanim jeszcze wybudowano zamek Nesle, znajdował się klasztor, a w nim mieszkali mnisi, sami najpiękniejsi mężczyźni, z których najmniejszy był wzrostu mości Hermana.

— Do diaska! To ci klasztor! — zawołał Jakub Aubry.

— Nie pdzywajże się, gaduło! — uciszyła go Scorzona.

— Tak, tak, nie odzywaj się gaduło — zawtórował jej Herman.

— Już nic nie mówię — rzekł student. — Opowiadajcie dalej, Perrine.

— Przeor, imieniem Enguerrand — ciągnęła Perrine — był szczególnie pięknym mężczyzną. Wszyscy mieli brody czarne i połyskliwe, oczy czarne i lśniące; ale przeor miał brodę czarniejszą niż inni i oczy bardziej błyszczące; przy tym czcigodni braciszkuwie w pobożności i umartwieniach nie mieli sobie równych, a posiadali jeszcze głosy tak melodyjne i słodkie, że ludzie z okolic oddalonych o całe mile przybywali do klasztoru tylko po to, żeby posłuchać, jak śpiewają nieszpory. Tak przynajmniej mnie to opowiadano.

— Biedni mnisi! — rzekła Ruberta.

— Ciekawe! — powiedział Jakub Aubry.

— Niezwykle! — oświadczył Herman.

— Pewnego dnia — podjęła jejmość Perrine połączona dowodami uznania, jakie wzbudzała jej opowieść — przyprowadzono do przeora pięknego młodzieńca, który pragnął jako nowicjusz wstąpić do klasztoru; nie miał jeszcze brody, ale za to wielkie oczy, czarne jak węgiel, i długie lśniące włosy, ciemne niczym heban, tak że przyjęto go bez trudności. Piękny młodzieniec powiedział, że zwie się Antonio i poprosił przeora, aby, go zatrzymał do swoich usług, na co don Enguerrand przystał bez oporu. Mówiłam o głosach, a jaki świeży i melodyjny głos miał Antonio! Kiedy w następną niedzielę usłyszano jego śpiew, wszyscy byli oczarowani, choć głos ten miał w sobie coś, co człowieka poruszało urzekając zarazem, brzmiała w nim jakaś nutka, która budziła w sercu myśli raczej światowe niżli religijne; wszyscy zakonnicy byli jednak tak

niewinni, że tylko obcy doznali owego dziwnego wrażenia. Don Enguerrand zaś, niczego takiego nie doświadczywszy, był tak oczarowany głosem Antonia, że młodzieniec miał odtąd sam jeden śpiewać responsoria w antyfonie na zmianę z organami.

Zachowanie młodego nowicjusza było zeszłą wzorowe i służył przeorowi ! z niewiarygodnym zapałem i gorliwością. Jedyne, co mu można było zarzucić, to jego wieczne roztargnienie; zawsze i wszędzie śledził przeora płomiennym wzrokiem. Don Enguerrand pytał go: — Czemu się przyglądasz, Antonio?

— Przyglądam się tobie, ojcze — odpowiadał młodzieniec.

— Patrz lepiej w modlitewnik, Antonio. I czemu się znowu przyglądasz?

— Tobie, ojcze.

— Antonio, patrz na obraz Matki Boskiej. Czemu się dalej przyglądasz?

— Tobie, ojcze.

— Patrz, Antonio, na krzyż, do którego się modlimy.

Poza tym don Enguerrand zaczynał spostrzegać, czyniąc rachunek sumienia, że od czasu przyjęcia Antonia do klasztoru nachodziły go częściej niż przedtem występne myśli. Nigdy wcześ niej nie grzeszył więcej niż siedem razy w ciągu dnia, co jak wiadomo, jest liczbą grzechów dla świętych, niekiedy nawet na próżno, roztrząsał swe postępowanie, znajdował raptem, rzecz niesłychana, pięć czy sześć grzechów; ale teraz suma codziennych grzechów dochodziła do dziesięciu, dwunastu, a niekiedy nawet do piętnastu. Próbował się poprawić następnego dnia: czcigodny mąż modlił się, pościł, biczował. Niestety, wszystko na próżno! Im dalej, tym rachunek stawał się większy. Doszedł w końcu do dwudziestu grzechów. Nieszczęsny don Enguerrand nie wiedział już, co począć; czuł, że wbrew swej woli skazuje się na potępienie i zauważał (spostreżenie, które każdego innego by pocieszyło, lecz w nim jeszcze większy budziło strach), że jego najcnotliwsi mnisi podlegali takiemu samemu wpływowi, wpływowi dziwnemu, niesłychanemu, niepojętemu, nieznanemu; do tego stopnia, że ich spowiedź, która 'niegdyś trwała dwadzieścia minut, pół godziny, najwyżej godzinę, zabierała teraz całe godziny. Musiano przesunąć na później porę wieczery.

Tymczasem wielka wrzawa, jaka od miesiąca szerzyła się po okolicy, dotarła wreszcie do mnichów; pan pobliskiego zamku stracił córkę o imieniu Antonia; Antonia zniknęła pewnego pięknego wieczoru, zupełnie tak samo jak zniknęła moja biedna Colombe; tyle że jestem pewna, że Colombe jest aniołem, podczas gdy wygląda na to, że ta Antonia była opętana przez diabła. Nieszczęsny pan szukał wszędzie uciekiniarki, tak samo jak pan prewot szukał Colombe. Pozostało mu jeszcze odwiedzić, klasztor, a wiedząc, że zły duch, ażeby łatwiej ujść poszukiwaniom, niekiedy się przewrotnie kryje wśród mnichów, kazał przez swojegojalmużnika poprosić don Enguerranda o pozwolenie na przetrząśnięcie klasztoru. Przeor jak najuprzejmiej wyraził zgodę. Być może dzięki tym poszukiwaniom uda mu się odkryć, na czym polega owa magiczna władza, jaka od miesiąca ciążyła nad nim i pozostałymi braćmi. Cóż. poszukiwania nie przyniosły jednak skutku i kasztelan miał już odjechać, bardziej niż kiedykolwiek zrozpaczony, kiedy przed nim i przed don Enguerrandem przeszli wszyscy mnisi udający się do kaplicy na wieczorne nabożeństwo. Spoglądał na nich machinalnie, kiedy naraz przy ostatnim wydał głośny okrzyk:

— Na Boga! To Antonia! Moja córka!

Antonia, bo to ona była istotnie, pobladła jak lilia.

— Co tutaj robisz w duchownym odzieniu? — spytał kasztelan.

— Co tu robię, ojcze? — rzekła Antonia. — Kocham don Enguerranda.

— Opuść w tej chwili ten przybytek, nieszczęsna! — zawołał kasztelan.

— Wyjdę stąd tylko martwa, ojczy — odparła Antonia.

I po tych słowach, mimo okrzyków kasztelana, wbiegła za mnichami do kaplicy i zajęła swoje zwykłe miejsce w stalli. Przeor stał jak sparaliżowany. Nie posiadający się z gniewu kasztelan chciał iść za córką, lecz don Enguerrand uprosił go, aby nie bezcześcił świętego miejsca takim skandalem i zaczął końca nabożeństwa. Ojciec zgodził się i wkroczył za don Enguerrandem do kaplicy.

Przyszła pora na antyfonę i organy, podobne głosowi Boga, majestatycznie ją zapowiadały. Cudowny śpiew, lecz przesiąknięty ironią, gorzki, przerażający, odpowiedział dźwiękom wspaniałego instrumentu: był to śpiew Antonii, i serca wszystkim zabiły. Znow się ozwały organy, spokojne, poważne, podniosłe i zdało się, że chcą zmiażdżyć swą niebiańską wspaniałością gorzkie dźwięki urągające im z ziemi. I jakby przyjmując wyzwanie, akcenty w głosie Antonii wzniosły się jeszcze gwałtowniej, jeszcze rozpaczliwsze, bardziej niż kiedykolwiek bezbożne. Wszyscy czekali oszołomieni, co też wyniknie z tego niezwykłego dialogu, z wymiany bluźnierstw i modlitw, z dziwnej walki Boga z Szatanem, i oto w ciszy pełnej drżenia niebiańska muzyka wybuchła tym razem niczym grzmot przy końcu bluźnierczego wersetu i na wszystkie pochylone głowy oprócz jednej wylała potoki swego gniewu, Było to podobne do grzmiącego głosu, jaki usłyszą grzesznicy w dzień sądu ostatecznego. Antonia mimo wszystko próbowała jeszcze walczyć, lecz tym razem jej śpiew przerodził się w przenikliwy krzyk, straszliwy, rozdzierający, podobny do śmiechu potępieńca, po czym upadła błada i sztywna na posadzkę kaplicy. Kiedy ją podniesiono, była martwa.

— Jezus Maria! — wykrzyknęła jejmość Ruberta.

— Biedna Antonia! — westchnął prostodusznie Herman.

— Figlarka! — mruknął Jakub Aubry.

Reszta słuchaczy zachowała milczenie, tak mocno nawet niedowiarków wzięła we władanie przerażająca opowieść jejmości Perrine, tylko Scorzona otarła łzę, a Pagolo uczynił znak krzyża.

— Kiedy przeor — podjęła opowieść jejmość Perrine — ujrzał wysłannika piekieł tak unicestwionego boskim gniewem, uwierzył, nieszczęsny, że jest na zawsze uwolniony od podstępów kusiciela; tu wspomnieć jednak wypada, iż nie wziął pod uwagę swego gościa, ponieważ, popełnił nieostrożność udzielając schronienia opętanej przez diabła. Toteż następnej nocy, ledwie zasnął, obudził go brzęk łańcuchów: otworzył oczy, instynktownie zwrócił je ku drzwiom, ujrzał, że same się otwierają, a jednocześnie jakaś zjawa, odziana w biały habit nowicjusza, podeszła do jego posłania, ujęła go za rękę i krzyknęła: „Jestem Antonia! Antonia, która cię miłuje! I Bóg dał mi nad tobą zupełną władzę, boś' zgrzeszył, jeśli nie czynem, to, przynajmniej myślą." I co noc o północy, jakby z zemsty, przerażające widmo pojawiała się, niewzruszone i wierne, tak że w końcu don Enguerrand postanowił odbyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej i ze szczególnej łaski Boga umarł w chwili, gdy ukląkł przed Świętym Grobem.

Antonia na tym jednak nie poprzestała. Przerzuciła się wtedy na wszystkich mnichów bez wyjątku, a ponieważ rzadko się trafia taki, co by wcale nie zgrzeszył, kolejno odwiedzała każdego nocą, jak nieszczęsnego przeora, budząc ich gwałtownie i wołając niesamowitym głosem: „Jestem Antonia! Antonia, która cię miłuje!”

I przezwano ją widmem mnicha.

Jeśli będziecie kiedyś szli ulicą i szary albo biały kaptur ujrzyście za sobą, wracajcie co żywo do domu: to widmo mnicha, które szuka ofiary.



Kiedy zburzono klasztor, by na jego miejscu postawić zamek, wszyscy myśleli sobie, że pozbyto się widma mnicha, zdaje się jednak, że upodobał sobie to miejsce. Pojawiał się od czasu do czasu..I oto, niech Bóg nam wybaczy! nieszczęsny potępieniec znów się pokazał.

— Niech Bóg nas strzeże przed jego złościwością!

— Amen! — rzekła jejmość Perrine żegnając się.

— Amen! — rzekł Herman z drżeniem.

— Amen! — rzekł Jakub Aubry ze śmiechem.

I wszyscy słuchacze powtórzyli „Amen!” tonem odpowiadającym wrażeniu, jakiego doznali.

## ROZDZIAŁ VIII

### CO WIDAĆ NOCĄ Z CZUBKA TOPOLI

Nazajutrz, czyli w dniu, kiedy cały dwór miał wrócić z Fontainebleau. z kolei jejmość Ruberta oznajmiła temu samemu audytorium! że ma im do powiedzenia coś iście rewelacyjnego.

Toteż, jak łatwo się domyślić, po tak intrygującej zapowiedzi wszyscy zebrali się o tej samej porze i w tym samym miejscu.

Czuli się tym swobodniej, że Benvenuto napisał do Ascania, iż zostanie jeszcze dwa, trzy dni, aby przygotować salę, gdzie zamierza ustawić swojego Jowisza, którego miał odlewać natychmiast po swoim powrocie.

Prewot zaś zjawił się tylko na chwilę w Petit-Nesle, żeby spytać, czy nie dowiedziano się czegoś o Colombe. Kiedy mu jednak jejmość Pomne odpowiedziała, iż rzeczy mają się tak samo, *zaraz wrócił do Chatelet.*

Mieszkańcy Petit i Grand-Nusle cieszyli się zatem całkowitą swobodą, ponieważ obaj gospodarze byli nieobecni.

Co się tyczy Jakuba Aubry, to chociaż miał tego wieczoru spotkanie z Gervaise, ciekawość przemogła miłość, a raczej miał nadzieję, iż opowieść Ruberty. krótsza niż jejmości Perrine. skończy się na tyle wcześnie, że zdąży i usłyszeć opowieść, i przybyć na umówioną godzinę na spotkanie.

Oto co miała do powiedzenia Ruberta:

Opowiadanie jejmości Perrinc błąkało się jej cały czas po głowie, a kiedy wróciła do swej izdebki, drżała na całym ciele, żeby — mimo świętych relikwii, jakie miała u wezglowia posłania — duch Antonii do niej nie przyszedł.

Ruberta zabarykadowała drzwi, lecz mizerna to była ochrona: stara służąca zbyt dobrze znała obyczaje duchów, aby nie wiedzieć, że nie ma przed nimi zamkniętych drzwi. Chętnie by mimo to zabarykadowała także okno wychodzące na ogród Grand-Nesle, lecz pierwszy właściciel zapomniał założyć okiennice, a obecny uznał za zbędne obciążać się tym wydatkiem.

Wisiały tam oczywiście zazwyczaj zasłony; tym rażeni jednak, pechowo, zasłony oddano do prania.

Okno chroniła więc tylko zwykła szyba, przezroczysta jak powietrze, któremu broniła wstępu.

Ruberta *po powrocie do izby* zajrzała poci łóżko, przeszukała wszystkie szafy i nie omieszkała zajrzeć do każdego kąta. Wiedziała, że diabeł niewiele zajmuje miejsca, kiedy skurczy ogon. wciągnie pazury i rogi. i że Asmodeusz siedział nie wiadomo ile lat skulony w butelce.

Izba była zupełnie pusta, nigdzie najmniejszego śladu widma mnicha.

Ruberta położyła się więc nieco uspokojona, niemniej zostawiła zapaloną lampę. Ledwie znalazła się w łóżku, zerknęła na okno i ujrzała przeogromny cień rysujący się w ciemnościach i przysłaniający jej światło gwiazd; o księżycu nie było mowy: wchodził właśnie w ostatnią kwadrę.

Pocziwa Ruberta zadrżała z przerażenia i już miała krzyknąć albo walić pięścią, kiedy przypomniała sobie olbrzymi posąg Marsa wznoszący się akurat przed jej oknem. Natychmiast skierowała z powrotem oczy, które zdążyła już odwrócić, na fałszywą zjawę i dokładnie rozpoznała kontury boga wojny. Uspokoilo ją to nieco i postanowiła zasnąć.

Wszelako sen, ów skarb biedaka — tak często przedmiot zazdrości bogacza — nie słucha niczyich rozkazów. Wieczorem Bóg otwiera mu bramy niebieskie, a kapryśnik odwiedza, kogo mu się spodoba, lekceważąc tych, co go przyzywają, stukając do drzwi tych, co się go nie spodziewają. Ruberta długo go wzywała, lecz jej nie usłyszał.

Wreszcie koło północy zmęczenie wzięło górę. Powoli zmysły pocziwej służącej stawały się coraz bardziej ociążałe, myśli, na ogół nie najlepiej ze sobą powiązane, zerwały się z niewidocznej nitki, która je razem trzymała i rozproszyły się niczym paciorki różańca. Jedynie jej serce, pobudzane niepokojem, jeszcze dalej czuwało, lecz i ono w końcu zasnęło: została tylko lampa.

Jak wszystko jednak co ludzkie, lampa także dotarła do swego kresu w dwie godziny po tym, jak Ruberta zamknęła oczy, pograżając się we śnie sprawiedliwego. Lampa, pod pozorem, że skończył jej się olej, zaczęła przygasać, potem zaskwierczała, następnie bardzo jasno błysnęła, a wreszcie zgasła.

Dokładnie w tej chwili Rubertę dręczył okropny sen: śniło jej się, że wracając wieczorem od jejmości Perrine zauważyła za sobą widmo mnicha; na szczęście jednak Ruberta, wbrew zwyczajom ludzi śniących, odzyskała nogi piętnastoletniej panienki i uciekła tak szybko, że widmo mnicha, choć zdawało się ślizgać, a nie stapać po ziemi, dotarło za nią tylko po to, aby ujrzyć zamykające mu się przed nosem drzwi zamku. Ruberta usłyszała wtedy — ciągle we śnie — jak zjawa się skarży i stuka do drzwi. Ale, rzecz jasna, nie było jej śpieszno otworzyć; zapaliła lampę, wbiegła po schodach przeskakując po cztery stopnie, weszła do swej izdebki, położyła się do łóżka i zgasła lampę.

Lecz akurat w chwili, gdy gasiła lampę, ujrzała głowę widma za szybą: wspięło się jak jaszczurka po murze i próbowało wejść przez okno. Ruberta słyszała we śnie, jak paznokcie ducha drapią o szyby.

Rozumie się, że nawet najtwardszy sen nie ostoi się przed takim koszmarem-. Ruberta przebudziła się więc z włosem zjeżonym, wilgotnym od lodowatego potu. Otworzyła oczy, błędne i przerażone, i mimo woli skierowała je na okno. I Wtedy wydała straszliwy krzyk, bo oto co ujrzała.

Ujrzała głowę olbrzymiego Marsa, a z jego oczu, nosa, ust i uszu dobywał się ogień.

W pierwszej chwili pomyślała, że jeszcze śpi i że to ciąg dalszy jej snu; ale uszczypnęła się aż do krwi, aby sprawdzić, że jest przebudzona, przeżegnała się, zmówiła w myśli trzy *Pater* i dwa *Ave*, a potworne zjawisko nie zniknęło.

Ruberta znalazła dość sił, by wyciągnąć rękę, chwycić kij od miotły i z całej siły zastukać w sufit. Na górze spał Herman i miała nadzieję, że mocarny Niemiec, obudzony tym wezwaniem, przybiegnie jej z pomocą.

Daremnie jednak Ruberta stukała — Herman nie dał znaku życia.

Zmieniła przeto kierunek i zamiast stukać w sufit, żeby obudzić Hermana, zastukała w podłogę, aby obudzić Pagola.

Pagolo spał pod Ruberta, jak Herman spał nad nią; ale Pagolo okazał się równie głuchy jak Herman i jejmość Ruberta na próżno stukała — ani słychno, ani dychu.

Dała sobie przeto spokój z pionem, a zajęła się poziomem; Ascanio z nią sąsiedował, więc zastukała kijem od miotły w dzielącą ich ścianę.

Ale u Ascania także panowała głucha cisza, podobnie jak u Pagola i Hermana. Było oczywiste, że żadnego nie ma w zamku. Rubercie przemknęła myśl, że widmo mnicha wszystkich trzech porwało. \ Ponieważ zaś myśl ta wcale jej nie niosła uspokojenia, Ruberta, coraz bardziej przerażona i przekonana, że nikt już jej nie może przyjść z porriocą, postanowiła nakryć się z głową i czekać.

Czekała tak godzinę, półtorej, może dwie, a ponieważ nie słyszała żadnego dźwięku, nabrała nieco śmiałości, odchyliła lekko pościel, odważyła się zerknąć jednym okiem, potem drugim. Wizja zniknęła. Głowa Marsa zgasła, wszystko znów pograżone było w ciemnościach.

Choć owa cisza i ciemność działały uspokajająco, rozumie się, że Ruberta poróżniła się ze snem na całą resztę nocy. Biedna niewiasta przeleżała więc nadstawiając ucha i szeroko otwierając oczy aż do chwili, gdy pierwszy brzask, wślizgujący się przez szyby, zapowiedział jej, że pora duchów minęła.

Oto co opowiedziała Ruberta, i trzeba przyznać ku chwale narratorki, że jej opowieść wstrząsnęła słuchaczami może nawet bardziej niż ta z poprzedniego wieczoru; wrażenie wywarła głębokie, zwłaszcza na Hermanie i jejmości Perrine, Pagolu i Scorzonie. Dwaj panowie przepaszali, że nie słyszeli Ruberty, lecz głosem tak drżącym i z takim zakłopotaniem, że Jakub Aubry się roześmiał. Jejmość Perrine zaś i Scorzona nie pisnęły ni słówka. Poczzerwieniwały tylko najpierw, a zaraz potem tak pobladły, że gdyby było jasno i gdyby można śledzić na twarzy odbicie tego, *co* się działo w ich duszach, można by mniemać, że w niecałe dziesięć sekund umrą z apopleksji, a zaraz potem że skonąją z wycieńczenia.

— A więc, moja Perrine — odezwała się Scorzona, która pierwsza się opanowała — utrzymujecie, żeście widzieli widmo mnicha, jak spacerowało po ogrodzie Grand-Nesle?

— Jak ciebie widzę, drogie dziecko — potaknęła jejmość Perrine.

— A wy, Ruberto, widzieliście, jak płonęła głowa *Marsa*?

— Dotąd ją widzę.

— No, proszę — stwierdziła jejmość Perrine — przeklęty duch wybrał sobie głowę posągu na siedzibę, a ponieważ ostatecznie zjawia musi spacerować jak normalny człowiek, w pewnych godzinach schodzi na dół, pospaceruje, a kiedy się zmęczy, wraca do głowy. Bóstwa i duchy, widzicie, rozumieją się jak łyse konie: wszyscy do kupy wzięci to mieszkańcy piekieł, a ten okropny sztuczny bóg całkiem zwyczajnie udziela gościny okropnemu widmu mnicha.

— Tak myślisz, panno Perrine? — spytał prostoduszny Niemiec.

— Jestem pewna, mości Hermanie, jestem pewna.

— Aż gęsia skórka mnie oblatuje, daję słowo! — mruknął Herman drżąc.

— Wierzysz zatem w chichy, Herman? — spytał Aubry.

— Tak. wierzę.

Jakub wzruszył ramionami, ale wzruszając ramionami postanowił zgłębić tę tajemnicę. Była to najłatwiejsza rzecz w świecie dla niego, który wchodził do zamku i zeń wychodził, jakby był domownikiem. Ustalił przeto w duchu, że z Gervaise zobaczy się następnego dnia, a tego

wieczoru zostanie w Grand-Nesle aż do dziesiątej; o dziesiątej pożegna się ze wszystkimi, uda, że wychodzi, zostanie w obrębie murów zamku, wdrapie się na topolę i stamtąd, ukryty w gałęziach, zawrze znajomość z duchem.

Wszystko się potoczyło zgodnie z planem studenta. Kiedy opuszczał pracownię — nikt go nie odprowadził, jak to było we zwyczaju — trzasnął głośno bramą zamkową, żeby myślano, iż wyszedł, po czym żwawo podbiegł do topoli, uczeplił się najniższej gałęzi, wciągnął się na nią na rękach i w jednej chwili znalazł się na czubku drzewa. Będąc tam, miał dokładnie na wprost głowę posągu i widział zarazem Grand i Petit-Nesle, w ogrodach zaś i na dziedzińcach nic nie mogło ujść jego spojrzeniu.

Podczas gdy Jakub Aubry sadowił się na swojej grzędzie, w Luwrze, którego wszystkie okna jaśniały, odbywało się wielkie przyjęcie. Karol V zdecydował się wreszcie opuścić Fontainebleau i zaryzykował przyjazd do stolicy i jak już powiedziano, dwaj władcy wrócili tego właśnie wieczoru do Paryża.

Tutaj jeszcze jeden wspaniały bal czekał cesarza. Była wieczerza, widowisko i bal. Gondole oświetlone kolorowymi lampionami prześlizgiwały się po Sekwanie z muzykantami na pokładzie i równo stawały naprzeciw owego słynnego balkonu, z którego trzydzieści lat później Karol IX miał strzelać do swego ludu, podczas gdy łodzie, całe przybrane kwiatami, przewoziły z jednego brzegu rzeki na drugi gości przybywających z przedmieścia Saint-Germain do Luwru albo wracających do Saint-Germain.

Do zaproszonych należał, rzecz jasna, wicehrabia de Marmagne.

Jak już powiedzieliśmy, wicehrabia de Marmagne, wielki nicpoń, płowowłosy i różanolicy, rościł sobie pretensje do miana uwodziciela; otóż wydało mu się, że ładniutka hrabina, której mąż przebywał właśnie w sabaudzkiej armii, popatrzyła na niego w szczególny sposób; zatańczył z nią przeto i odniósł wrażenie, iż dłoń tancerki nie była nieczuła na uścisk jego ręki'. Słowem, widząc, że dama myśli jego opuszcza Luwr, wyobraził sobie po spojrzeniu, jakie mu rzuciła na odchodnym, iż jeśli, niby Galatea, ucieka ku wierzbom, to w nadziei, że będzie ścigana. Marmagne rzucił się więc po prostu w pościg za damą, a ponieważ mieszkała gdzieś przy końcu ulicy Hautefeuille, kazał się przewieźć z Luwru do wieży Nesle i (podążał dalej brzegiem rzeki, by ulicą Grands-Augustins dotrzeć do ulicy Saint-André. kiedy naraz usłyszał, że ktoś za nim idzie.

Dochodziła pierwsza w nocy. Księżyc, jak pamiętamy, wchodził w ostatnią kwadrę, tak że noc była dość ciemna. A wśród nielicznych zalet, w jakie natura wyposażyla, Marmagne'a, odwaga, o czym wiemy, nie grała głównej roli. Jął się tedy niepokoić owym dźwiękiem kroków, który zdawał się być echem jego własnego kroku, i otulając się szczelniej płaszczem i instynktownie kładąc dłoń na rękoności szpady, przyspieszył,

Na nic mu się jednak zdało zdwojenie ręczności; zdążające za nim kroki dostosowały się *unisono* do jego i zdały się go nawet doganiać, tak że w chwili gdy mijał kościół Augustianów, poczuł, że go towarzysz drogi dopadnie, jeśli on, przeszedłszy już od kroku zwykłego do przyspieszonego, nie zmieni teraz kroku przyspieszonego na krok biegacza. Już miał wcielić w czyn to ostateczne wyjście, kiedy do dźwięku kroków dołączył się dźwięk głosu.

— Do diaska, mój panie! — ozwał się ów głos. — Dobrze czynisz! przyspieszając marszu, miejsce nie jest przyjemne, zwłaszcza o tej porze, bo właśnie tutaj, o czym niewątpliwie wiesz, zaatakowano mojego czcigodnego przyjaciela Benvenuto, niezwykłego artystę, który w tej chwili przebywa w Fontainebleau i ani się domyśla, co się u niego dzieje; ale skoro idziemy tą samą drogą, jak mi się zdaje, możemy iść równym krokiem, a jeśli spotkamy rzezimieszków, będą

musieli się dobrze zastanowić, zanim się do nas dobiorą. Proponuję ci więc bezpieczeństwo mojej kompanii, jeśli pozwolisz, bym dostał zaszczytu twojej.

Po pierwszych słowach Marmagne poznał przyjazny głos, a usłysząwszy nazwisko Benvenuta Celliniego, przypomniał sobie gadatliwego studenta, który już kiedyś dostarczył mu tak użytecznych informacji dotyczących! Grand-Nesle. Zatrzymał się przeto gdyż towarzystwo Jakuba Aubry dawało mu podwójną korzyść. Student po pierwsze będzie mu eskortą, a po drugie, eskortując go, udzieli może na temat wroga nowych informacji, te zaś nienawiść pozwoli mu wykorzystać. Przywitał się więc tym razem ze studentem jak najuprzejmiej.

— Witaj, młody przyjacielu — rzekł Marmagne w odpowiedzi na poufale słowa, jakie w ciemnościach skierował doń Aubry. — Co to mówiłeś o drogim Benvenucie, którego miałem nadzieję spotkać w Luwrze, a który jak ten, ponurak został w Fontainebleau?

— Do kroćset! A to ci szczęście! — zawołał Jakub Aubry — Jakże, więc to, ty, drogi wicehrabio... de... Zapomniałeś mi powiedzieć swoje nazwisko albo ja zapomniałem je sobie przypomnieć. Wracasz z Luwru? I jakże tam było? Pięknie, gwarnie, wytwornie, miłośnie? Biegniemy na schadzkę, co? Ach, ty pożeraczu serc!

— Ależ z ciebie jasnowidz, mój drogi — rzekł Marmagne z zarozumiałą miną. — Owszem, wracam z Luwru, gdzie król łaskawie ze mną rozmawiał i gdzie jeszcze bym był, gdyby pewna urocza hrabineczka nie dała mi do zrozumienia, że woli samotność od tego tłumu. A ty, panie studento, skąd wracasz? No?

— Skąd ja wracam? — powtórzył Aubry wybuchając śmieciem. — Że też mi przypomniałeś! Mój drogi, widziałem zaiste dziwne rzeczy! Biedny Benvenuto! Och, na honor, nie zasłużył sobie na to!

— A co takiego się przydarzyło naszemu przyjacielowi?

— Przede wszystkim musisz wiedzieć, że podczas gdy ty wracasz, wicehrabio, z Luwru, ja wracam z Grand-Nesle, gdzie spędziłem dwie godziny uczepony gałęzi zupełnie jak papuga.

— Do diabłu! Pozycja nie należy do wygodnych!

— Co tam! Nieważne! Nie żałuję, że ścierpłem, bo widziałem takie rzeczy, drogi wicehrabio, takie rzeczy, że jak tylko o tym pomyślę, duszę się ze śmiechu.

I Jakub wybuchnął śmiechem tak jowialnym i szczerym, że choć Marmagne nie wiedział jeszcze, o co chodzi, nie mógł się powstrzymać, żeby mu nie zawtórować. Ponieważ jednak nie znał przyczyny wesołości studenta, wicehrabia przestał się oczywiście pierwszy śmiać.

— A teraz, młody przyjacielu, skoro uległem twojej wesołości i śmiałem się w dobrej wierze — rzekł Marmagne — czy mogę się dowiedzieć, cóż

\to za niesłychane rzeczy wprawiają się w radość? Wiesz, że należę do oddanych Benvenutovi, chociaż nigdy cię nie spotkał u niego, zważywszy, że moje zajęcia niewiele czasu pozwalają mi poświęcać towarzystwu i że tę odrobinę czasu wolę, wyznam ci szczerze, oddawać moim kochankom niż przyjaciołom. Niemniej prawdą jest, że co dotyczy jego, dotyczy i mnie. Drogi Benvenuto! Powiedźże więc, co się dzieje w Grand-Nesle pod jego nieobecność. Ciekawi mnie to, przysięgam, bardziej, niż zdolnym wyrazić.

— Co tam się dzieje? — powiedział Aubry. — Nie, nie, to tajemnica.

— Tajemnica wobec mnie! — oburzył się Marmagne. — Tajemnica wobec mnie, który tak szczerze lubi Benvenuta i który nie dalej jak dziś wieczorem dystansował pochwały, jakimi obsypywał go król. O, nieładnie! — zakończył z urażoną miną.

— Gdybym był pewien, że nie piśniesz o tym nikomu, mój drogi — jakże się do diabła, zwiesz, przyjacielu? — wyjawilibym ci wszystko, bo przyznaję, jest mi równie spieszo jak trzecinom króla Midasa opowiedzieć całą historię.

— No więc gadaj, gadaj! — ponaglił Marmagne.

— Nie powiesz nikomu?

— Nikomu, przysięgam!

— Słowo szlachezca!

— Wyobraź sobie więc... Ale, mój drogi... mój drogi przyjacielu, znasz historię o widmie mnicha, prawda?

— Tak, coś słyszałem. Duch, który nawiedza Grand-Nesle, jak powiadają.

— No właśnie. Jeśli zatem o tym wiesz, mogę ci powiedzieć resztę. Wyobraź sobie, że jejmości Perrine...

— Służce Golombe?

— Właśnie. No, no, ale widzę, żeś naprawdę przyjacielem domu. Wyobraź sobie więc, że jejmości Perrine podczas nocnej przechadzki, jaką odbywają dla zdrowia, wydawało się, że widzi, jak w ogrodzie Grand-Nesle spaceruje widmo mnicha, podczas gdy w tym samym czasie jejmość Ruberta... Znasz jejmość Ruberte, przyjacielu?

— Czy to nie stara służąca Celliniego?

— Właśnie. Podczas gdy jejmość Ruberta w czasie bezsennej nocy ujrzała, że świecą się „oczy, nos i usta wielkiego posągu Marsa, który widziałeś w ogrodzie Grand-Nesle.

— Tak, to prawdziwie dzieło sztuki! — przyznał Marmagne.

— Dzieło sztuki, to. właściwe słowo. Cellini tylko takie robi. Otóż; te dwie czcigodne osoby (mówię o jejmości Perrine i Rubercie) ustaliły między sobą, iż owe dwie zjawy to jedno i że duch, który się przechadza po ogrodzie nocą w odzieniu mnicha, o pianiu kogutów wchodzi do głowy Marsa, kryjówki godnej potępieńca, i tam się smaży w takim ogniu, że aż płomienie wydobywają się oczami, nosem i uszami posągu.

— Co za bajki mi tu opowiadasz, drogi przyjacielu! — rzekł Marmagne nie wiedząc, czy student kpi, czy mówi poważnie,

— Bajkę o duchu, nic innego.

— Czy tak rozumny młodzian jak ty — powiedział Marmagne — może wierzyć w podobne bzdury?

— Ależ nie, ja w to nie wierzę — zaprotestował Jakub Aubry, — I oto dlaczego zapragnąłem spędzić noc na topoli, żeby rzecz wyjaśnić i zobaczyć, cóż to za duch, który wprawia cały zamek w poruszenie. Udałem przeto, że wychodzę, ale zamiast zatrzaskać bramę Grand-Nesle za sobą, zamknąłem ją przed sobą, nie zauważony przez nikogo przemknąłem się w ciemnościach, dotarłem do upatrzonej topoli i pięć minut później byłem już Usadowiony pośród jej gałęzi, dokładnie na wysokości głowy posągu Marsa. ] zgadnij, przyjacielu, co ujrzałem.

— Jakże mam zgadnąć?

— Słusznie, trzeba by jasnowidzem być, żeby takie rzeczy odgadnąć. Najpierw ujrzałem, jak otwierają się drzwi, główne drzwi zamku, wiesz, które?

— Tak, tak, wiem — powiedział Marmagne.

— A więc ujrzałem, że drzwi się otwierają i ktoś wystawia nos na zewnątrz, żeby zobaczyć, czy na dziedzińcu nie ma nikogo. Tym kimś był Herman, to wielkie Niemczyko.

— Tak, Herman, wielkie Niemczysko — powtórzył Marmagne.

— Kiedy się upewnił, że dziedziniec jest pusty, kiedy się porozglądał na wszystkie strony, nie spojrzawszy rzecz jasna na drzewo, na którym, jak się domyślasz, daleki był od podejrzenia mojej osoby, wtedy wyszedł całkiem zamknął za sobą drzwi, zszedł po stopniach na dziedziniec, ruszył prosto ku Petit-Nesle i w jego bramę trzykrotnie zastukał. Na ten znak jakaś kobieta wyszła z Petit-Nesle i otworzyła mu furtkę. Tą kobietą była jejmość Perrine. nasza przyjaciółka, która widać przepada za spacerami pod gołym niebem w towarzystwie naszego Goliata.

— Doprawdy? Och. biedny prewot!

— Zaczekaj, zaczekaj, to nie wszystko! Patrzyłem za nimi. jak wchodzi do Petit-Nesle. gdy naraz po mojej lewej usłyszałem skrzyp ramy okiennej. Odwracam się. a tu, okno się otwiera i widzę Pagola; to ci nicpoń ? niego! Kto by się po nim tego spodziewał, przy tych jego zapewnieniach, klepanych *Pater* i *Ave* ? Zobaczyłem tedy Pagola, który rozejrzawszy się równie jak Herman ostrożnie, przeszedł przez balustradę, zsunął się po rynnie i z balkonu na balkon schodził w dół ku oknu... no, zgadnij, czyjemu, wicehrabio?

— A czy ja wiem? Ku oknu od pokoju jejmości Ruberty.

— Aha, akurat! Po Scorzony, ot co! *Do* Scorzony, ulubionego modela Benvenuta: pyszna czarnulka, na honor! Sam pomyśl, co za obwieś, wicehrabio!

— W rzeczy samej, zabawne to — przyznał Marmagne. --I to już wszystko, coś widział?

— Zaczekaj jeszcze, zaczekaj, mój drogi! Najlepsze trzymam na ostatek, delicje na deser , zaczekaj. jeszcześmy do tego nie doszli, ale już niebawem, bądź spokojny.

— Słucham — rzekł Marmagne. — Słowo daję. drogi przyjacielu, trudno o coś zabawniejszego!

— Czekaj, czekaj! Patrzyłem więc za moim Pagolem, jak szedł z balkonu na balkon ryzykując, że skręci sobie kark, gdy dobiegł mnie inny dźwięk spód drzewa, na które się wspiałem. Spuściłem wzrok z góry na dół i oto ujrzałem Ascania. jak skradającym się krokiem wychodził z odlewni.

— Ascania, ulubionego ucznia Benvenuta?

— Jego. jego, mój drogi. Wygląda jak niewiniątko, co to tylko aureolkę nad nim zawiesić. Tak, tak. i wierz. tu człowieku pozorom!

— A w jakim celu wychodził Ascanio?

— No właśnie, w jakim celu! Óto nad czym się przede wszystkim zastanowiłem; ale niebawem nie miałem się już nad czym zastanawiać, bo Ascanio, upewniwszy się wprzód, jak Herman i Pagolo. że nikt go nie widzi, zabrał z odlewni długą drabinę, oparł ją na ramionach Marsa i zaczął na nią wchodzić. Ponieważ drabina znajdowała się dokładnie po stronie przeciwnej do tej, po której ja byłem, straciłem go z oczu w połowie jego wspinaczki, aż tu w chwili, gdy próbowałem odgadnąć, co mogło się z nim stać, ujrzałem naraz, że zaświeciły się oczy posagu.

— Co też wygadujesz! — zawołał Marmagne.

— Szczerą prawdę, przyjacielu, i przyznam się, że gdybym nie znał wszystkich wcześniejszych wydarzeń, co to wiesz, chyba nie poczułbym się zbyt pewnie. Widziałem jednak, jak Ascanio mi znikł, i domyślałem się, że to za jego właśnie sprawą zapaliło się to światło.

— Ale co miał do roboty Ascanio o tej porze w głowie Marsa?



— A, właśnie, ja też nad tym medytowałem, a ponieważ nikt mi nie mógł powiedzieć, postanowiłem sam wyjaśnić rzecz. Wytrzeszczyłem tedy oczy najszerzej jak mogłem i udało mi się przez oczy posągu dojrzeć ducha, tak, tak! odzianego na biało, ducha kobiety, u którego stóp Ascanio przykląkł z szacunkiem niby przed świętym obrazkiem. Niestety madonna stała plecami do mnie, nie mogłem zatem ujrzeć jej twarzy, zobaczyłem za to szyję. Ho, ho, piękne szyje mają duchy, drogi wicehrabio! Szyja łabędzia, wyobraź sobie, biała jak śnieg. Toteż Ascanio patrzył na zjawę z takim uwielbieniem, niegodziwiec! z takim uwielbieniem, że doszedłem do przekonania, iż duch jest po prostu kobietą. I co ty na to, mój drogi? Ha! Figiel przedni! Ukryć lubą w głowie posągu!

— Tak, tak, to oryginalne — przyznał Marmagne śmiejąc się i zastanawiając jednocześnie. — Bardzo oryginalne, w rzeczy samej. A nie domyślasz się, co to za kobieta?

— Na honor! Nie mam najmniejszego pojęcia; a ty, wicehrabio?

— Ja też nie. A co uczyniłeś, kiedyś już to wszystko zobaczył?

— Ja? Zacząłem się tak śmiać, że straciłem równowagę i gdybym się nie zatrzymał na gałęzi, skręciłbym sobie kark. Ponieważ zaś nie miałem tam nic więcej do oglądania, a z powodu upadku znalazłem się już w połowie drogi, zszedłem tedy całkowicie, bezszelestnie dotarłem do bramy, i wracałem do domu śmiejąc się w samotności, kiedy spotkałem ciebie, a ty mnie zmusiłeś, żebym ci to opowiedział. I teraz trzeba, żebyś mi poradził. No, przecie należysz do przyjaciół Benvenuta, jak powinienem się wobec niego zachować? Jeśli chodzi o jejmość Perrine, to jego to nie obchodzi: droga jejmość jest osobą dorosłą, a co za tym idzie, panią sobie; ale co się tyczy Scorzony, Wenery zamieszkującej głowę Marsa, to inna rzecz.

— I chciałbyś znać moje zdanie na temat tego, co powinieneś dalej uczynić?

— Tak, na honor! Jestem mocno zakłopotany, drogi... drogi... Ciągle zapominam twoje nazwisko.

— Moim zdaniem należy zachować milczenie. Tym gorzej dla ludzi, którzy są na tyle głupi, żeby pozwolić się oszukiwać. A teraz, drogi Aubry, dziękuję ci za miłą kompanię i przyjemną pogawędkę bo oto jestem na ulicy Hautefeuille, a — zwierzenie za zwierzenie — tutaj właśnie mieszka przedmiot moich westchnień.

— Żegnaj słodki, drogi, wspaniały przyjacielu — rzekł Jakub Aubry ściskając wicehrabi dłoń. — Życzę powodzenia i niechaj Kupido nad tobą czuwa!

Rozstali się i Marmagne ruszył ulicą Hautefeuille, a Aubry poszedł ulicą Poupee, by dojść do ulicy de la Harpe, gdzie znajdowało się jego mieszkanie.

Wicehrabia skłamała pechowemu studentowi twierdząc, iż absolutnie się nie domyśla, kim może być damski duch, którego na kolanach adorował Ascanio. Pierwszą jego myślą było, że mieszkanką Marsa jest nie kto inny jak Colombe, a im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w swoim przekonaniu. I oto Marmagne mający, jak już powiedziano, pretensje zarówno do prewota, jak i do hrabi d'Orbec i Celliniego, znalazł się w przykrym położeniu, bo nie mógł dokuczyć jednemu, nie sprawiając przyjemności drugim. Gdyby bowiem wszystko przemilczał, d'Orbec i prewot byłiby dalej w kłopotcie, ale za to Benvenuto by się cieszył. Gdyby przeciwnie, wyjawiał porwanie, Benvenuto by rozpaczał, lecz prewot i d'Orbec odzyskaliby, pierwszy córkę, drugi narzeczoną. Postanowił tedy przemyśleć rzecz dogłębnie, póki, nie wpadnie na rozwiązanie najkorzystniejsze dla siebie;

Niezdecydowanie Marmagne'a nie trwało długo; wiedział, nie znając prawdziwych przyczyn, o zainteresowaniu, jakie pani d'Etampes przejawiała wobec zaślubin hrabi d'Orbec z Colombe. Pomyślał, że wieść ta pozwoliłaby mu odzyskać u diuszesy w zakresie bystrości to, co stracił w

zakresie odwagi; postanowił przeto, że nazajutrz zjawi się u niej a rana przy wstawaniu i wszystko jej opowie, a powzięte postanowienie wykonał akuratnie.

Dzięki jednemu z owych szczęśliwych przypadków, które niekiedy tak dobrze służą złym uczynom, wszyscy dworzanie przebywali w Luwrze, gdzie asystowali Franciszkowi I i cesarzowi, a u pani d'Etanipes przy jej wstawaniu znaleźli się tylko dwaj najwierniejsi, to znaczy prewot i hrabia d'Orbec, kiedy zaanonsowano wicehrabię de Marmagne.

Wicehrabia powitał z uszanowaniem diuszese, ona zaś na pozdrowienie odpowiedziała ledwie jednym z tylko jej właściwych uśmiechów, w których potrafiła pomieścić zarazem dumę, przychylność i pogardę. Marmagne'ja wszelako nie zaniepokoił ów uśmiech — widywał go wszak już wcześniej na ustach diuszesy nie tylko skierowany pod jego adresem, ale i pod, adresem wielu innych. Znał zresztą sposób na przekształcenie jednym *słowem* owego uśmiechu pogardliwego, w pełen uroku.

— I cóż, panie d'Estouteville — rzekł do prewota — córką marnotrawna nie wróciła jeszcze do domu?

— Znów stroisz sobie żarty, wicehrabio! — zawołał poczerwieniały z gniewu imć pan d'Estouteville z grożącym gestem.

— Och, nie obrażaj się, czcigodny przyjacielu, nie obrażaj się — odparł Marmagne. — Mówię tak, bo jeśli nie odnalazłeś jeszcze swojej uroczej Colombe, ja wiem, gdzie uwiła sobie gniazdko.

— Ty, wicehrabio? — wykrzyknęła diuszesa z jak najbardziej przyjaznym wyrazem twarzy. — Gdzie? -Szybko, szybko, błagam, drogi Marmagne, mów zaraz.

— W głowie posągu. Marsa, który stoi u Benvenuta w ogrodzie.

## ROZDZIAŁ IX

### MARS I WENUS

Czytelnik, podobnie jak Marmagne, niewątpliwie odgadł prawdę, choćby mu się w pierwszej chwili wydała bardzo dziwna. Właśnie głowa kolosa służyła Colombe za kryjówkę. Mars gościł Wenus, jak powiedział Jakub Aubry. Po raz drugi dzieło Benvenuto wpływało na jego życie, człowiek przyzywał na pomoc artystę i wkładał w posąg nie tylko myśl i geniusz, ale także swój los. W posagu ukrył ongiś, jak wiemy, przybory do ucieczki; teraz Ukrywał wolność Colombe i szczęście Ascania.

Znalazłszy się jednak już tak daleko, winniśmy, dla większej jasności, cofnąć się nieco w przeszłość.

Kiedy Cellmi skończył opowieść o Stefanie, nastąpiła chwila ciszy. Benvenuto zapatrzył się w swe wspomnienia, niekiedy przerażająco, zawsze burzliwe, i pośród cieni osób znamienitych bądź nieokrzesanych, które pojawiły się w jego życiu, widział melancholijną i pogodną twarz Stefany, zmarłej w wieku dwudziestu lat. Ascanio ze zwieszoną głową próbował sobie przypomnieć poblądłe rysy kobiety, co pochylona nad kołyską często go w dzieciństwie budziła roniąc łzy na jego rumianą buzię. Colombe zaś z tkliwością patrzyła na tego Benvenuto, którego inna kobieta, jak ona młoda i czysta, tak bardzo niegdyś kochała: w tej chwili głos jego brzmiał łagodnie jak u Ascania i między tymi dwoma miłującymi ją mężczyznami instynktownie czuła się tak bezpieczna, jak dziecko na kolanach matki.

— I cóż — zapytał Benvenuto po krótkim milczeniu — czy Colombe zda się na człowieka, któremu Stefana powierzyła Ascania?

— Tyś mi ojcem, on bratem — odparła Colombe z nieśmiałym i pełnym godności wdziękiem, wyciągając do nich dłonie — i ślepo na was obu polegam, abyście mnie strzegli dla małżonka.

— Dziękuję — rzekł Ascanio — dziękuję, moja ukochana, że wierzysz w niego.

— Obiecujesz zatem we wszystkim być mi posłuszną, Colombe? — spytał Benvenuto.

— Obiecuję — odrzekła.

— Słuchajcie więc, moje dzieci. Zawsze żywiłem przekonanie, że człowiek może wszystko, ale pod warunkiem, że ma do pomocy Boga w niebie i czas na ziemi. Aby cię uratować przed hrabią d'Orbec i hańbą, aby cię oddać mojemu Ascaniowi, potrzebuję czasu. Colombe, a za kilka dni masz zostać żoną hrabi. Przede wszystkim więc trzeba odwlec ten sromotny związek, prawda moja sestro, córko? W naszym smutnym życiu zdarzają się chwile, kiedy trzeba się dopuścić grzechu, aby zapobiec zbrodni. Czy będziesz dzielna i stanowcza? Czy kochając miłością tak czystą i oddaną, znajdziesz w sobie nieco odwagi? Odpowiedz.

— Ascanio niech za mnie odpowie — rzekła Colombe z uśmiechem, odwracając się do młodzieńca. — Niechaj on mną rozporządza.

— Możecie być spokojny, mistrzu; Colombe będzie dzielna — odrzekł Ascanio.

— Colombe, czy zechcesz w takim razie, pewna naszej prawości i własnej niewinności, opuścić śmiało ten dom i iść z nami?

Ascanio uczynił gest zdziwienia, Colombe zamilkła na chwilę spoglądając na Celliniego i Ascania, po czym wstała i rzekła z prostotą:

— Gdzie mam iść?

— Colombe! Colombe! — zawołał Benvenuto wzruszony, taką ufnością — jesteś szlachetną i świętą istotą, a przecież za sprawą Stefany trudno mnie zadowolić. Wszystko zależało od twojej odpowiedzi. Tera jesteśmy uratowani, lecz nic ma chwili do stracenia. To ostateczna godzina! Bóg nam ją daje, skorzystajmy z tego; podaj mi rękę, Colombe, i chodźmy.

Dziewczyna spuściła welon, jakby przed samą sobą chciała ukryć mieniec, po czym ruszyła za mistrzem i Ascaniem. Furtka między Petit i Grand-Nesle była zamknięta, lecz w zamku tkwił klucz. Benvenuto otworzył ją bezgłośnie.

Dotarłszy do furtki, Colombe się zatrzymała.

— Zaczekajcie chwilę — rzekła wzruszonym głosem.

I na progu tego domu, który opuszczała, ponieważ przestał być dla niej miejscem dość pewnym, dziewczyna uklękła i pomodliła się. Modlitwa ta pozostała między nią i Bogiem; niewątpliwie prosiła jednak Stwórcę aby ojciec wybaczył jej to, co zamierzała uczynić. Potem wstała spokojna i silna i ruszyła dalej za Cellinim. Ascanio ze wzburzeniem w sercu szedł za nimi w milczeniu, miłośnie kontemplując jej białą suknię pomykając; w ciemnościach. Przeszli tak przez ogród Grand-Nesle; śpiewy i śmiechy wieczerzających robotników — bo, jak pamiętamy, w zamku świętowano -dobiały beztrudnie i radosne aż do nich, niespokojnych i przejętych jak to zazwyczaj bywa w najważniejszych chwilach życia.

Znalazłszy się u stóp posągu, Benvenuto zostawił na chwilę Colombe, udał się do odlewni i zaraz na powrót się zjawił z długą drabiną, którą oparł o kolosa. Księżyc, niebieski strażnik, oświetlał całą tę scenę swym bladym światłem; mistrz, upewniwszy się, że drabina dobrze stoi, przyklął na jedno kolano przed Colombe. Wzruszający zaiste szacunek łagodzi jego władcze spojrzenie.

— Moje dziecko — rzekł do niej — obejmij mnie ramionami i mocno się trzymaj.

Colombe usłuchała bez słowa i Benvenuto podniósł ją jak piórko.

— Niechaj brat — rzeki do nadchodzącego Ascania — pozwoli ojcu zanieść na górę ukochaną córkę.

I krzepki złotnik, obarczony cennym ciężarem, zaczął się wspinać po drabinie z równą lekkością, jakby niósł ptaka. Colombe, z uroczą główką wsparta, na ramieniu mistrza, spoglądała przez welon na męską i życzliwą twarz swego zbawcy i czuła, że przepelnia ją do niego ufność jak do ojca. tego zaś, nieszczęsna, niestety! nie zdołała dotąd doświadczyć. Co się tyczy zaś Celliniego, to ów człowiek z żelaza miał tak potężną wolę, że trzymał w ramionach tę, dla której dwie godziny wcześniej oddałby życie, i ręka mu nie zadrżała, serce nie przyspieszyło uderzeń, żaden z jego stalowych mięśni nie drgnął. Nakazał sercu spokój i serce posłuchało.

Kiedy dotarł do szyi posągu, otworzył małe drzwiczki, wszedł do głowy Marsa i postawił tam Colombe.

Wnętrze olbrzymiej głowy Marsa, wysokiego na blisko sześćdziesiąt stóp, tworzył niewielki okrągły pokoik, mogący mieć jakieś osiem stóp średnicy i dziesięć wysokości; światło i powietrze dostawały się tam otworami oczu, nosa, ust i uszu. Pokoik ten wykonał Cellini, kiedy

pracował nad głową; przechowywał tam narzędzia, którymi się co dzień posługiwał, aby nie wnosić ich i znosić po pięć czy sześć razy dziennie; często zabierał też ze sobą jedzenie, nakrywał stół ustawiony pośrodku tej niezwyklej jadalni, tak że nie opuszczał rusztowania nawet na poranny posiłek. Ta innowacja, tak dla niego wygodna, spodobała mu się; po stole przeniósł tam niewielkie łóżko i ostatnio nie tylko posilał się w głowie Marsa, ale także odbywał tam sjęstę. Zupełnie naturalne przeto, że przyszło mu do głowy, aby przenieść Colombe do najpewniejszej przecież kryjówki, jaką mógł jej ofiarować.

Tutaj musisz zostać, Colombe — rzekł, Benvenuto — i trzeba ci się, moje dziecko, pogodzić z tym, że wychodzić będziesz tylko nocą. Czekaj w tej kryjówce, pod okiem Boga i pod strażą naszej przyjaźni, na wynik moich starań. Jowisz — dodał z uśmiechem, czyniąc aluzję do obietnicy króla — dokończy, spodziewam się, dzieła, które Mars zaczął. Nie rozumiesz mnie, ale ja wiem, co chcę przez to powiedzieć. My za sobą mamy Olimp, a ty Raj. Nie ma mowy, żeby nam się nie powiodło! No, uśmiechnij się, Colombe, jeśli nie do terażniejszości, to przynajmniej do przyszłości. Mówię poważnie, że trzeba mieć nadzieję. Czekaj więc z ufnością, jeśli nie we mnie, to przynajmniej w Boga. Byłem kiedyś w więzieniu surowszym niż twoje, wierz mi, i nadzieja pomniejszała moją niewolę. Odtąd, aż do dnia zwycięstwa, nie ujrysz mnie, Colombe. Twój brat Ascanio, nie tak podejrzewany i mniej strzeżony niż ja, będzie do ciebie przychodził i nad tobą czuwał; jemu też powierzam przekształcenie tej izdebki rzemieślnika w celę mniszki. A teraz, gdy cię opuszczam, zapamiętaj dobrze moje słowa: uczyniłaś, ufna i dzielna, wszystko, coś mogła uczynić; reszta to już moja sprawa. Pozostaje nam teraz dać pole działaniom Opatrzności. I posłuchaj.

Cokolwiek by się stało, myśl o jednym: nawet gdyby ci się zdawało, że jesteś w najrozpaczliwszym położeniu albo gdybyś się w takim rzeczywiście znalazła, gdyby nawet u stóp ołtarza pozostało ci tylko powiedzieć owo straszliwe „Tak”, które by cię na zawsze złączyło z hrabią d'Orbec, nie zwątp w swego przyjaciela, Colombe; nie zwątp w swojego ojca, moje dziecko; licz na Boga i na nas; zjawię się na czas, ręczę za to. Czy, będziesz mieć tę wiarę i zdecydowanie? Powiedz, czy będziesz je mieć?

— Tak — odparła dziewczyna pewnym głosem.

— Dobrze — podjął Cellini — a teraz żegnaj; zostawiam cię samą; w malutkiej samotni; kiedy wszyscy się pokładą, Ascanio przyniesie ci wszystko, co trzeba. Żegnaj, Colombe.

Wyciągnął dłoń do Colombe, lecz ona podsunęła mu czoło, jak zwykła! była robić ojcu. Benvenuto zadrżał, jednakowoż przecierając dłonią oczy i poskramiając zarazem myśli cisnące mu się do głowy i namiętności, jakie wrzały w jego sercu, złożył na jej czystym czole jak najbardziej rodzicielski i pocałunek, szepcząc:

— Żegnaj, córko Stefany.

Po czym żwawo zszedł do czekającego nań Ascania i obaj spokojnie! poszli do robotników, którzy przestali jeść, ale nie przestali pić.

Nowe życie, niezwykle, niesłychane, zaczęło się wtedy dla Colombe, a ona była zeń zadowolona niczym z życia królowej.

Oto jak została urządzona powietrzna izdebka:

Jak wiadomo, znajdował się tam już stół, Ascanio doniósł niski taboret pokryty aksamitem, weneckie lustro, biblioteczkę złożoną z książek religijnych wskazanych przez Colombe, krucyfiks — cudo sztuki rzeźbiarskiej, oraz srebrny wazon — również dzieło mistrza — w którym co noc zmieniano kwiaty.

Tyle mogła pomieścić biała skorupa, skrywająca tak wiele niewinności i wdzięku.

Colombe, za radą Ascania, zazwyczaj sypiała w dzień, żeby mimowolny, ruch jej nie zdradził; budziła się, gdy gwiazdy na niebie rozbłyskiwały i słowik zaczynał kłaskać, klękała na posłaniu i długo trwała pogrążona; w żarliwej modlitwie; potem robiła toaletę, czesała swe piękne, długie włosy i marzyła. Wtedy do posągu przystawiano drabinę i Ascanio stukał do drzwiczek. Jeśli Colombe zdążyła już zrobić toaletę, otwierała przyjacielowi, który zostawał z nią aż do północy. O północy, jeżeli pogoda była ładna, Colombe schodziła na dół; Ascanio wracał wtedy do Grand-Nesle, żeby! się kilka godzin przespać, a Colombe odbywała nocną przechadzkę, wracając do rozmyślań ze swej alejki, o wiele bliższych teraz rzeczywistością. Po dwóch godzinach biała zjawa wracała do swojej uroczej kryjówki, gdzie; czekała świtu wachając kwiaty zebrane, aby rozsiewały swą woń w jej słodkim gniazdku, i słuchając śpiewu słowików w Petit-Nesle i piania kogutów na Pre-aux-Cfercs.

Przed samym świtem Ascanio wracał znów do ukochanej i przynosił jej żywność zręcznie podebraną Rubercie przy pomocy Celliniego. Wtedy zaczynały się miłe i urocze pogawędki, wspominki zakochanych, plany małżeńskie. Niekiedy Ascanio w milczeniu kontemplerował swoje bóstwo, a Colombe uśmiechnięta pozwalała mu się sobie przyglądać. Często rozstawali się, nie zamieniwszy ni słowa; ale wtedy właśnie najwięcej sobie mówili. Czyż w sercu każde z nich nie nosiło tego, co drugie mogłoby mu powiedzieć plus to, czego serce nie wyraża, a co Bóg wyczytuje?

Cierpienie i samotność w młodym wieku mają to do siebie dobrego, że czyniąc duszę lepszą i większą, zachowują ją także świeżą. Colombe, panna dumna i poważna, była jednocześnie dziewczyną wesołą i figlarną; zdarzały się więc, oprócz dni, kiedy marzyli, dni, kiedy się śmiali, dni, kiedy bawili się niczym dzieci, i — rzecz zadziwiająca! — nie te dni, a raczej noce — bo, jak wiadomo, młodzi odwrócili naturalny porządek — najszybciej mijały. Miłość, jak wszystko, co promienieje, potrzebuje ciemności, aby jaśniej błyszczeć.

Nigdy Ascanio jednym nawet słowem nie przestraszył nieśmiałej i czystej dziewczyny, która nazywała go bratem. Byli sami, kochali się; ale właśnie dlatego, że byli sami, lepiej czuli obecność Wszechmocnego, gdyż byli bliżej nieba, i właśnie dlatego, że się kochali, szanowali swe uczucie niczym bóstwo.

Jak tylko zorza zaczynała lekko złocić dachy domów, z wielkim żalem Colombe żegnała przyjaciela, lecz w taki sposób, w jaki Julia żegnała Romea — przyzywając go po dziesięciokroć. Zawsze jedno lub drugie zapomniało o czymś bardzo ważnym; trzeba się było jednak w końcu rozstać i Colombe — aż do chwili, kiedy, około południa, polecała się Bogu i zasypiała anielskim snem — zostawała sama ze swymi marzeniami, nasłuchiwała zarazem swoich myśli szepczących jej w sercu i ptaków śpiewających pod lipami jej dawnego ogrodu. Rozumie się, że Ascanio odchodząc zabierał ze sobą drabinę.

Colombe co rano kruszyła na ustach posągu odrobinę chleba dla ptaków; śmiałe złodziejaszki przyfruwały po chleb i z początku zaraz szybko odlatywały; lecz powoli się oswoiły. Ptaki rozumieją dusze panien, skrzydlate jak i one. Zostawały więc dłużej i śpiewem odpłacały się Colombe za dawany im posiłek. Znalazł się nawet zuchwały szczygieł, który zapuścił się do wnętrza izdebki i przywykł jeść z ręki dziewczyny rano i wieczorem. A ponieważ noce zaczynały być coraz chłodniejsze, jednego razu pozwolił się złapać młodej więźniarce, która przytuliła go do piersi, gdzie spał do rana mimo odwiedzin Ascania, mimo przechadzki Colombe. Dobrowolny jeniec nie omieszkał wrócić nazajutrz i każdego kolejnego wieczora. O świcie zaczynał śpiewać. Colombe go wtedy brała, dawała ucałować Ascaniowi, po czym zwracała mu wolność.

Tak toczyło się życie Colombe w głowie posągu.

Dwa tylko wydarzenia zakłóciły jego spokojny bieg — były nimi dwie wizyty prewota. Za pierwszym razem Colombe nagle się przebudziła, słysząc głos swego ojca; to nie był sen: ojciec znajdował się w ogrodzie, na dole, a Benvenuto do niego mówił:

— Pytasz, co to za kolos, panie d'Estouteville? To posąg Marsa, który jego królewska mość Franciszek Pierwszy łaskawie zamówił dla Fontainebleau. Taki sobie klejnocik na sześćdziesiąt stóp, jak widać, raptem tyle!

— Okazały i ładny — odparł imć pan d'Estouteville. — Idźmy jednak dalej, nie tego szukam.

— To by było zbyt łatwe do znalezienia. I odeszli.

Colombe na kolanach, z wyciągniętymi rękami, miała chęć zawołać: „Ojcze, ojczu, tu jestem!” Starzec szukał córki, może ją oplakiwał; lecz myśl o hrabi d'Orbec, lecz ohydne zamiary pani d'Etampes, lecz wspomnienie rozmowy słyszanej przez Ascania sparaliżowały jej poryw. Toteż nie doznała już tego uczucia przy drugiej wizycie, kiedy głos odrażającego hrabi przyłączył się do głosu prewota,

— Co za dziwny posąg, a zrobiony niby dom! — powiedział d'Orbec zatrzymawszy się u stóp kolosa. — Jeśli przetrzyma zimę, jaskółki będą tu sobie mogły pozakładać na wiosnę gniazda.

Przed południem tego samego dnia, kiedy to sam głos narzeczonego takim przerażeniem napełnił Colombe, Ascanio przyniósł jej list od Celliniego. .

*Drogi dziecko — pisał Benvenuto — muszę wyjechać, ale bądź spokojna, zostawiam wszystko przygotowane, aby cię uwolnić i uszczęśliwić. Słowo . dane przez króla zapewnia mi powodzenie, a jak wiesz, król nigdy słowa nie złamał. Dzisiaj wyjedzie także twój ojciec. Nie martw się. Miałem teraz tyle czasu, ile potrzebowałem. Jeszcze raz powiadam ci zatem, droga córko, gdybyś siała w progu kościoła, gdybyś klęczała przed ołtarzem gotowa wymówić słowa wiążące na zawsze, pozwól działać przeznaczeniu; Opatrzność, przysięgam, wmiesza się w porę. Do zobaczenia. Twój ojciec.*

*Benvenuto Cellini*

List ów, który napełnił radością Coiombe, podsycając w niej nadzieję, sprawił na nieszczęście, że w młodych obudziło się groźne poczucie bezpieczeństwa. Młodość nie zna uczuć umiarkowanych; przerzuca się od rozpaczki do niesłychanej ufności; niebo jest dla niej zawsze albo przysłonięte chmurami burzowymi, albo jarzące się lazurem. Uspokojeni podwójnie i nieobecnością prewota, i listem Celliniego, zaniedbali odtąd środków ostrożności, bardziej zważali na miłość niżli na przezorność. Coiombe nie baczyła już tak starannie, gdzie kieruje kroki, i została spostrzeżona przez jejmość Perrine, która szczęściem widziała w niej tylko widmo mnicha. Ascanio zapalił lampę .nie zaciągnąwszy zasłon i światło dostrzegła Ruberta. Opowieści obu niewiast rozbudziły ciekawość Jakubie Aubry i hiedyskretny student, podobny Horacemu ze „Szkoly żon” Moliera, wyjawil rzecz akurat temu, przed kim należało wszystko ukryć. Skutek tych zwierzeń znamy.

Wróćmy zatem do pałacu Etampes.

Kiedy spytano Marmagno'a, jak doszedł do tak cennego odkrycia, nie chciał nic mówić i robił tajemnicze miny, Prawda okazała się zbyt prosta i niewielkie w jej świetle były zasługi za jej zbadanie: wolał dać do zrozumienia, że wielu było trzeba podstępów i walk, aby dojść do tak wspaniałych i zdumiewających wyników. Diusza, jak powiedziano, promieniała; chodziła tam i z powrotem, wypytywała, wicehrabię; wreszcie mają tą małą buntowniczkę, która napędziła tyle trwogi! Pani d'Etampes. pragnęła osobiście pojechać do zamku Nesle, upewnić się co do szczęścia swych przyjaciół. Zresztą po tym, co się stało, po ucieczce, a raczej porwaniu Colombe,

nie można było zostawić dziewczyny w Petit-Nesle. Diuszesa się tym zajmie; zabierze ją do pałacu Etampes; potrafi ją upilnować, i *to* lepiej niż służba i narzeczony; będzie ją tam trzymała jako rywalkę i Colombe, jak widać, strzeżona będzie dobrze.

Diuszesa rozkazała przynieść lektykę.

— Rzec w zasadzie została utrzymana w tajemnicy — rzekła pani d'Etampes do prewota. — A ty, drogi hrabio, nie jesteś wszak człowiekiem, który by się przejmował eskapadą młodej panny? Nie widzę zatem nic, co by przeszkodziło w zawarciu małżeństwa i zrealizowaniu naszych zamiarów.

— Och, pani — wyrzekł z głębokim ukłonem uradowany imć pan d'Estouteville.

— Na tych samych warunkach, czy tak, pani? — spytał d'Orbec.

— A jakże, na tych samych warunkach, drogi hrabio. Co się tyczy Benvenuta — ciągnęła diuszesa — winnego lub współwinnego podłego porwania, bądź spokojny, drogi hrabio, pomścimy się przy okazji własnej zemsty.

— Ale mówiono mi, pani — wtrącił Marmagne — że król w swoim artystycznym entuzjazmie podjął wobec niego, gdyby udał się odlew Jowisza, takie zobowiązania, że wystarczy, aby sobie czegoś zażyczył, a życzenia jego będą spełnione.

— Bądź spokojny, nad tym ja czuвам — odparła diuszesa. — Szykuję mu na ten dzień niespodziankę, o jakiej ani myśli. Zdajcie się więc na mnie i pozwólcie mi się wszystkim zająć.

Było to najlepsze, co można uczynić; już dawno diuszesy nie widziano tak pełnej werwy, zapału, uroku. Radość biła od niej wbrew jej woli. Wysłała spiesznie prewota po pachołków i wkrótce prewot, d'Orbec i Marmagne, poprzedzani strażnikami, stanęli u bramy zamku Nesle z podążającą w pewnej odległości za nimi panią d'Etampes, która, drżąc z niecierpliwości i co chwila wysuwając głowę z lektyki, zaczęła na ulicy.

Była to pora obiadu robotników i Ascanio, Pagolo, mały Jehan oraz kobiety znajdowali się chwilowo sami w Grand-Nesle. Benwnuta spodziewano się dopiero nazajutrz wieczorem lub za dwa dni z rana, Ascanio, który powitał przybyłych, sądził, że chodzi o trzecią rewizję, a ponieważ w tej materii otrzymał był od mistrza wyraźne rozkazy, nie stawiał żadnego oporu, a przeciwnie, przyjął ich jak najuprzejmiej.

Prewot, jego przyjaciele i pachołcy ruszyli prosto ku odlewni.

— Otwórz no te drzwi, młodzieńcze — rzekł d'Estouteville do Ascania. Serce czeladnika ścisnęło jakoweś straszliwe przeczucie. Mógł się jednak mylić, a jako że najmniejsze wahanie zdolne było wzbudzić podejrzenia, bez mrugnięcia podał prewotowi klucz.

— Brać tę drabinę — rozkazał prewot pachołkom.

Pachołkowie rozkaz wykonali i prowadzeni przez imć pana d'Estouteville pomaszerowali prosto do posągu. Znalazszy się tam, prewot osobiście ustawił drabinę i szykował się do wejścia na nią; lecz Ascanio, blady z gniewu i przerażenia, postawił stopę na pierwszym szczeblu.

— Co zamierzacie, panowie? — zawołał. — Ten posąg jest dziełem mojego mistrza; opieka nad nim została mnie powierzona i uprzedzam, że pierwszy, kto podniesie na niego rękę w jakimkolwiek celu, zginie!

I dobył zza pasa cienki i ostry sztylet, tak doskonale jednak zahartowany, że ostrze od jednego ciosu przebijało złotego talara.

Prewot dał znak i pachołcy zbliżyli się ku Ascaniowi z nastawionymi pikami. Ascanio rozpaczliwie się opierał, zranił dwóch ludzi; był jednak bezradny sam przeciwko ośmiu, nie licząc, prewota, Marmagne'a i hrabi. Musiał ulec został zwałony z nóg, związany, zakneblowany,



a przewot jął wstępować na drabinę, za nim zaś, w obawie przed jakąś niespodzianką, dwóch strażników.

Colombe wszystko widziała i słyszała; ojciec znalazł ją zemdloną; widząc, że Ascanio upadł, sądziła, że nie żyje.

Ogarnięty na ten widok bardziej gniewem niżli niepokojem, przewot brutalnie zarzucił ją sobie na swe silne ramię i zszedł na dół; po czym wszyscy wyszli na ulicę wraz z pachółkami prowadzącymi Ascania, któremu d'Orbec przyglądał się z uwagą. Pagolo widział mijającego go towarzysza i ani drgnął. Mały Jehan znikł. Jedna Scorzona, nie rozumiejąc nic z tego, co się działo, próbowała im zagrozić drogę z krzykiem:

— Cóż to za najście, mości panowie? Dlaczego zabieracie Ascania? Kim jest ta kobieta?

Lecz w tej chwili zasłona, która kryła twarz Colombe, odchyliła się i Scorzona poznała model posągu Hebe.

Usunęła się wtedy na bok, blada z zazdrości, i nie dodając już ni słowa przepuściła przewota, jego przyjaciół, pachółków i tych, których ze sobą zabierali.

— A to co znowu? Dlaczego znęcaliście się nad tym młodzieńcem? — spytała pani d'Etampes, widząc Ascania związanego, zakneblowanego, i całego we krwi. — Rozwiązać go! Rozwiązać!

— Pani — rzekł przewot — ten człowiek stawiał nam rozpaczliwy opór: zranił dwóch moich ludzi; jest niewątpliwie współnikiem swego mistrza, i sądzę, że winniśmy go rychło odstawić w pewne miejsce.

— Poza tym — odezwał się d'Orbec do diuszesa półgłosem — on jest tak podobny do włoskiego pazia, com go u ciebie, pani, widział i co był przy całej naszej rozmowie, że gdyby nie był inaczej odziany i nie mówił językiem, którego, jak mnie zapewniłaś, nie rozumie, na honor! pani, przysiągłbym, że to on!

— Masz słuszność, mości przewocie — rzekła żywo diuszesa, odwołując rozkaz uwolnienia Ascanja. — Masz słuszność, ten młodzieniec może się okazać niebezpieczny. Upewnij się zatem co do niego.

— Więźnia do Chatelet — rozkazał przewot.

— A my — rzekła diuszesa, u której boku złożono ciągle zemdloną Colombe — my, panowie, do pałacu Etampes!

Chwilę później na ulicy rozbrzmiały kopyta galopującego konia.

Był to mały Jehan: gnał powiadomić Celliniego o tym, co zaszło w zamku Nesle.

Ascanio zaś został wtrącony do Chatelet nie widziawszy diuszesa i nie wiedząc o jej udziale w wydarzeniu, które niweczyło jego wszelkie nadzieje.

## ROZDZIAŁ X

### DWIE RYWALKI

Oto spełniło się życzenie pani d'Etampes, która odkąd usłyszała o Colombe, tak bardzo pragnęła ją zobaczyć: nieszczęsne dziewczę miała przy sobie zemdlone.

Toteż przez całą drogę zazdrosna diuszesa nie odrywała od niej wzroku. Oczy Anny gorzały gniewem widząc urodę Colombe, przyglądała się każdemu szczegółowi jej krasoty, analizowała każdy rys, oceniała kolejno każdy przymiot bladej dziewczyny znajdującej się teraz w jej mocy i w zasięgu ręki. Stały się oto twarzą w twarz dwie kobiety, które pożyły tej samej miłości, walczyły o to samo serce. Jedna nieprzyjazna i wszechmocna, druga słaba, lecz kochana; jedna w blasku przepychu, druga w blasku młodości; jedna ze swą namiętnością, druga z niewinnością. Rozdzielane dotąd tyloma przeszkodami, spotkały się wreszcie i zderzyły, i ciężka aksamitna suknia diuszesy, ciążyła, gniotąc ją, na prostej białej sukience Colombe.

Choć Colombe była zemdlona, twarz Anny pokrywała nie mniejsza bladość. Niewątpliwie milczące przyglądanie się dziewczynie doprowadzało do rozpaczliwej pychy i niweczyło nadzieje; bo podczas gdy mimowolnie szeptała: „Nie okłamano mnie, ona jest piękna, bardzo piękna!”, jej dłoń, trzymająca rękę Colombe, ścisnęła ją konwulsyjnie, tak że dziewczyna; przytomniejąc pod wpływem bólu, przysła do siebie i otworzyła swe wielkie oczy ze słowami:

— Och, pani, sprawiasz mi ból!

Jak tylko pani d'Etampes ujrzała, że Colombe otwiera oczy, puściła jej rękę.

Uczucie bólu wyprzedziło niejako u dziewczyny powrót do świadomości. Wykrzyknąwszy raczej niż wypowiedziawszy te słowa, przez kilka sekund przyglądała się diuszecie ze zdumieniem, nie będąc w stanie zebrać myśli. Wreszcie po chwili rzekła:

— Kim jesteś, pani, i dokąd mnie zabierasz? — I naraz, cofając się, zawołała: — Tyś diuszesa d'Etampes! Pamiętam cię, pamiętam!

— Milcz — odezwała się Anna rozkazująco. — Milcz; za chwilę zostaniemy same i wtedy będziesz mogła, się dziwić i krzyknąć do woli.

Słowom tym towarzyszyło spojrzenie twarde i wyniosłe, lecz Colombe jej własna duma, a nie owo spojrzenie, nakazała milczeć. Zamknęła się.

przeto w sobie, dopóki nie przybyły do pałacu Etampes, a gdy się tam znalazły, na znak diuszesy poszła za nią.

Kiedy rywalki zostały same i stanęły twarzą w twarz, przez minutę czy dwie mierzyły się nawzajem wzrokiem, lecz z całkiem różnym wyrazem twarzy: Colombe była spokojna, gdyż nadzieja pokładana w Opatrzności i wiara w Benvenuta ją wspierały; Annę rozwścieczał ów spokój, lecz gniew jej, choć widoczny we wzburzeniu rysów, jeszcze nie wybuchał, liczyła bowiem na swą wszechmocną wolę i władzę, by złamać tę słabą istotę.

Ona też pierwsza przerwała milczenie.

— I cóż, moja mała przyjaciółko? — rzekła jej tonem, który mimo serdeczności słów nie pozostawiał wątpliwości co do zjadliwości myśli. — Wróciłaś oto pod rodzicielską opiekę! Doskonale, pozwól jednak, że najpierw powinszuję ci odwagi: jesteś.., zuchwała jak na swój wiek, moje dziecko.

— Bo mam za sobą Boga, pani — odparła Colombe z prostotą.

— O jakim bogu mówisz, moja panno? Ach, o Marsie bez wątpienia — powiedziała diuszesa z impertynenckim mrugnięciem, z którego tak często miała okazję robić użytek na dworze.

— Znam tylko jednego Boga, pani, Boga dobrego, opiekuńczego, wiecznego, Boga, który nakazuje miłosierdzie bogatym i pokorę wielkim. I biada tym, co nie znają tego Boga, bo kiedyś On z kolei ich nie będzie znał.

— Dobrze, dobrze, moja panno! — rzekła diuszesa. — Sytuacja jest sprzyjająca, by prawić morały, i powinszowałabym ci stosownych słów, gdyby nie to, że wolę sądzić, iż pragniesz usprawiedliwić swój bezwstyd bezczelnością.

— Doprawdy, pani — odparła Colombe bez cienia urazy, lecz nieznacznie wzruszając ramionami — wcale nie próbuję się przed tobą usprawiedliwiać nie wiedząc na razie, jakie masz prawo, by mnie oskarżać. Gdy zapyta mnie mój ojciec, odpowiem z szacunkiem i smutkiem. Jeśli będzie mi czynił wyrzuty, postaram się usprawiedliwić; ale do tej pory wasza wysokość musi znieść moje milczenie.

— Pojmuję, przeszkadza ci mój głos i wołałabyś pewnie zostać sama ze swoimi myślami, aby marzyć o tym, którego miłujesz?

— Żaden dźwięk, choćby najbardziej natrętny, nie może mi przeszkodzić myśleć o nim, pani, zwłaszcza kiedy dotknęło go nieszczęście.

— Śmiesz więc przyznać, że go kochasz?

— Na tym właśnie polega różnica między nami: ty, pani, kochasz go, nie śmiąc tego wyznać.

— Bezczelna! — zawołała diuszesa. — Chyba mnie obrażasz.

— Ależ nie — ze słodyczą odparła Colombe — nie obrażam cię, pani, tylko ci odpowiadam, ponieważ mnie do tego zmuszasz. Zostaw mnie samą z moimi myślami, a ja cię zostawię z twoimi zamiarami.

— Ach, tak! Skoro mnie do tego zmuszasz, dziecko, skoro uważasz się za dość silną, by ze mną walczyć, skoro wyznajesz swoje uczucie, i ja wyznam swoje; ale wyznając miłość, wyznam także mą nienawiść. Owszem, kocham Ascania, a ciebie nienawidzę! Ostatecznie dlaczego mam przed tobą udawać, przed tobą, której mogę wyjawić wszystko, bo twoim słowem, cokolwiek byś powiedziała, nikt nie da wiary: tak, kocham Ascania.

— W takim razie żal mi cię, pani — odparła łagodnie Colombe — bo Ascanio kocha mnie.

— To prawda, Ascanio kocha ciebie; ale dopuszczę się przemocy, jeśli zdołam, kłamstwa, jeśli będzie trzeba, zbrodni, jeśli okaże się konieczna, byle tylko pozbawić cię tej miłości, słyszysz? Jestem Anna d'Heilly diuszesa d'Etampes.

— Pani, Ascanio będzie kochał tę, która go będzie kochała lepiej.

— No, nie, coś podobnego! — zawołała diuszesa rozgniewana takim zadufaniem. — Myślałby kto, że jej miłość jest jedyna na świecie i że żadna inna nie może się jej równać!

— Tego nie powiedziałam. Skoro ja tak kocham, inne serce może kochać tak samo; wątpię tylko, żeby tym sercem było twoje, pani.

— A cóż dobrego dla niego uczynisz, no, powiedz, ty, która pysznisz się miłością, jakiej moja nie jest zdolna dorównać? Co dla niego dotąd poświęciłaś? Swoje życie w zapomnieniu, nudę samotności?

— Nie, pani, mój spokój.

— Nad co go przedłożyłaś? Nad śmieszne uczucie hrabi d'Orbec?

— Nie, pani, nad posłuszeństwo dziecka względem ojca.

— Co możesz mu dać? Możesz go uczynić bogatym, potężnym, srogim?

— Nie, pani, mam nadzieję uczynić go szczęśliwym.

— Och, a ja — rzekła diuszesa — ja to zupełnie co innego i o wiele więcej mogę uczynić; dla niego wyrzekam się uczucia króla; bogactwa, tytuły, zaszczyty składam u jego stóp; rządy nad królestwem mu oddaję.

— Tak, to prawda — z uśmiechem przyznała Colombe — twoja miłość, pani, daje mu wszystko, co nie jest miłością,

— Dosyć, dosyć tego obelżywego porównywania! — zawołała gwałtownie diuszesa czując, że krok po kroku traci *teren*.

Na chwilę zapadło milczenie, które Colombe zdawała się wytrzymywać bez zakłopotania, podczas gdy pani d'Etampes zmieszanie swe skrywała pod widocznym gniewem. Jednakże rysy jej stopniowo się rozluźniły, łagodniejszego wyrazu nabrała twarz, którą promyk życzliwości, prawdziwej czy udawanej, powoli zaczął lekko rozjaśniać. Wreszcie pierwsza na powrót przystąpiła do walki, by powodowana pychą, za wszelką cenę zakończyć ją zwycięstwem.

— A powiedz, Colombe — rzekła głosem niemal przyjaznym — gdyby ci powiedziano: „Poświęć dla niego swoje życie”, co byś uczyniła?

— Och, z radością bym je oddała!

— Ja także! — zawołała diuszesa z akcentem, który świadczył jeśli nie o szczerości poświęcenia, to przynajmniej o sile uczucia. — A cześć — ciągnęła — poświęciłabyś tak jak życie?

— Jeśli przez cześć rozumiesz, pani, moją reputację, to tak; ale jeżeli cześć oznacza dla ciebie cnotę, nie.

— Jak to? Czyś nie jest jego? Czyż nie jest twoim kochankierem?

— Jest moim narzeczonym, to wszystko.

— Och, ona go nie kocha — podjęła diuszesa — nie kocha go! Nad niego przedkłada cześć, puste słowo:

— A gdyby ci powiedziano, pani — rzekła na to Colombe zirytowana mimo swej łagodności — gdyby ci powiedziano: Zrezygnuj dla niego z tytułów, z wielkości; poświęć dla niego króla, ale nie w tajemnicy, bo to by było zbyt łatwe, tylko publicznie; gdyby ci powiedziano: Anno d'Heilly diuszesa d'Etampes, opuść dla jego prostej pracowni złotnika swój pałac, bogactwa, dworzan?

— Odmówiłabym w jego własnym interesie — odparła diuszesa, jakby nie była zdolna skłamać pod przenikliwym i głębokim spojrzeniem, jakim się jej przypatrywała rywalka.

— Odmówiłabyś, pani?

— Tak.

— Ach, ona go nie kocha! — zawołała Colombe. — Od niego woli honory, chimery!

— Ale powiadam ci przecie, że dla niego pragnę zachować swoją pozycję! — oburzyła się diuszesa, rozgniewana nowym triumfem rywalki. — Powiadam ci, że pragnę zachować zaszczyty, aby je z nim dzielić! Wszyscy mężczyźni wcześniej czy później to lubią.

— Owszem — odparła Colombe z uśmiechem — lecz Ascanio nie jest jednym ze wszystkich mężczyzn.

— Zamilcz! — po raz wtóry krzyknęła rozzłoszczona Anna tupiąc nogą.

Przebiegła i potężna diuszesa nie zdołała zyskać przewagi nad dziewczyną, którą, jak sądziła, uda jej się przerazić samym podniesieniem głosu. Colombe na gniewne czy ironiczne pytania zawsze odpowiadała ze spokojem i prostotą wprawiającymi w z mieszanie panią d'Etampes, Diuszesa czuła, że ślepy impuls nienawiści skierował ją na fałszywą drogę. Zmieniła przeto taktykę: nie spodziewała się, prawdę powiedziawszy, ani takiej urody, ani takiego rozumu, a nic mogąc złamać rywalki, postanowiła ją zaskoczyć.

Colombe zaś, jak widzieliśmy, wcale nic przeraził dwukrotny wybuch gniewu, którego diuszesa nie zdołała opanować; zamknęła się tylko w chłodnym i pełnym godności milczeniu. Lecz pani d'Etampes, w związku z przyjętym właśnie nowym planem, podeszła do niej z czarującym uśmiechem i przyjaźnie ujęła jej dłoń.

— Wybacz mi, moje dziecko — rzekła — zdaje się, że mnie trochę poniosło: nie trzeba mi tego mieć za, złe; tak dużą masz nade mną przewagę, że moja zazdrość jest całkiem normalna. Cóż, z pewnością jak wszyscy uważasz mnie za złą kobietę. Ale doprawdy, to los mój jest zły, nie ja. Wybacz mi więc; skoro tak się już złożyło, żeśmy obie pokochały Ascania, to nie powód, żeby się nienawidzić. Ty zresztą, którą Ascanio wyłącznie kocha, masz obowiązek być wyrozumiałą. Bądźmy jak siostry, czy chcesz? Porozmawiajmy szczerze, a ja się postaram wymazać z twojej pamięci złe wrażenie, jakie mój bezsensowny gniew może zostawił.

— Pani! — powiedziała Colombe z rezerwą, cofając dłoń gestem instynktownej niechęci; po czym dodała: — Mów, proszę, słucham.

— Och. — odezwała się pani d'Etampes z wesołą miną, jakby doskonale pojmowała rezerwę dziewczyny — bądź spokojna, mała dzikusko, nie proszę cię o przyjaźń nie dając gwarancji. Widzisz, ażebyś dokładnie wiedziała, kim jestem, abyś mnie znała tak dobrze, jak ja znam siebie, opowiem ci w dwóch słowach moje życie. Moje serce w niczym nie przypomina moich dziejów, tak, a często na nas, nieszczęsne kobiety zwane wielkimi damami, rzuca się oszczerstwa. Ach, zazdrość niesłusznie nas oczernia, kiedy litość powinna by się nad nami użalić. A na przykład ty, moje dziecko, jak mnie oceniasz? No, szczerze. Jako kobietę upadłą, prawda?

Colombe wykonała *gest* wyrażający zakłopotanie, jakie pytanie to w niej budziło.

— Ale skoro mnie doprowadzono do upadku — ciągnęła pani d'Etampes — to czy to w końcu moja wina? Ty, Colombe, miałaś szczęście, nie gardź zbyt tymi, co cierpiały; żyłaś dotąd w czystej samotności, obyś się nigdy nie dowiedziała, co znaczy być wychowaną dla ambicji; bo tym, co są przeznaczone na tę mękę, podobnie jak ofiarom, które przyozdabiano kwiatami, pokazuje się tylko jasną stronę życia. Nie chodzi o to, żeby kochać, ale żeby się podobać. W ten sposób od wczesnych lat moje starania miały zmierzać tylko do oczarowania króla; urodę Bóg daje kobiecie, aby ją wymieniła na prawdziwą miłość, a mnie zmuszono do zamiany na tytuł: z piękna uczynili pułapkę. A teraz powiedz, Colombe, czymże ma się stać dziecko zabrane w wieku, kiedy nie wie jeszcze, *co to* dobro i zło i któremu się mówi: dobro to zło, zło to dobro? Toteż, widzisz, kiedy inni rozpaczają nade mną, ja nie rozpaczam. Bóg mi może wybaczy, bo nikogo nie było u mego boku, aby mi o Nim powiedzieć, I cóż miałam począć sama, słaba, bez oparcia? Podstęp i kłamstwo były mi chlebem powszednim. Nie zostałam jednak

stworzona do tej okropnej roli, a dowodzi tego fakt, że pokochałam Ascania; dowodem jest i to, że czując, iż pokochałam, doznałam zarazem szczęścia i wstydu. Powiedz teraz, drogie niewinne dziecko, czy mnie rozumiesz?

— Tak — naiwnie odparła Colombe, wprowadzona w błąd fałszywą otwartością.

— A więc będziesz mieć litość nade mną! — zawołała diuszesa. — Pozwolisz mi kochać Ascania z dala, w samotności, beznadziejnie; w ten sposób nie będę twoją rywalką, ponieważ on mnie kochał nie będzie; a wtedy w zamian ja, znająca ten świat, jego podstępny, zasadzki, łajdactwa, zastąpię ci *utraconą* matkę, będę cię prowadziła, uratuję. Widzisz teraz, że możesz się na mnie zdać, skoro już znasz moje życie. Dziecko, w którego sercu sieje się kobiece namiętności, oto cała moja przeszłość. Moje obecne życie sama widzisz: to hańba, zem jawną kochanką króla. Moja przyszłość to miłość do Ascania, nie jego uczucie, bo jak sama powiedziałaś, a i ja to sobie często powtarzałam, AScanio nigdy mnie nie pokocha; ale właśnie dlatego, że miłość ta pozostanie czysta, i ja będę oczyszczona. A teraz na ciebie kolej, żebyś mówiła, żebyś była szczerą, wszystko mi powiedziała. Opowiedz mi swoje życie, drogie dziecko.

— Moja historia, pani, jest krótka, a przede wszystkim prosta — rzekła Colombe — Da się ją streścić w trzech słowach. Kochałam, kocham i będę kochać: Boga, mego ojca, Ascania: Tyle tylko że w przeszłości moja miłość do Ascania, którego wtedy nie znałam, była marzeniem; teraz jest cierpieniem; na przyszłość jest nadzieją.

— Doskonale — powiedziała diuszesa, tłumiąc w sercu zazdrość i powstrzymując napływające do oczu łzy. — Lecz nie bądź tylko połowicznie szczerą, Colombe. Co teraz poczniesz? Jak stawisz czoła, ty, dziecko jeszcze, dwóm ludziom o woli równie potężnej jak twojego ojca i hrabi d'Orbec? Nie mówiąc już, że król cię zobaczył i pokochał.

— Och, mój Boże! — szepnęła Colombe.

— Ponieważ jednak ta namiętność była dziełem diuszesy d'Etampes, twej rywalki, Anna d'Heilly, twoja przyjaciółka, uwolni cię od niej; nie przejmujmy się przeto królem; lecz pozostaje twój ojciec, pozostaje hrabia. Oni nie wyrzekną się tak łatwo ambicji jak Franciszek Pierwszy banalnego uczucia.

— Och! Nie bądź; pani, dobra połowicznie — zawołała Colombe. — Uratuj mnie przed innymi, jak mnie ratujesz przed królem.

— Znam tylko jeden sposób — rzekła diuszesa, zdając się zastanawiać.

— Jaki? — spytała Colombe.

— Ale on cię przerazi, nie zechcesz go wykorzystać.

— Och, jeśli potrzebna tylko odwaga, mów, pani.

— Podejdź tu i posłuchaj — poprosiła diuszesa przyjaźnie, pociągając Colombe na składane krzeselko przy swoim fotelu i obejmując ją ramieniem. — Nie przeraż się tylko pierwszych słów, jakie powiem.

— Więc to takie straszne? — zapytała Colombe.

— Twoja cnota jest surowa i bez skazy, moja droga, żyjemy jednak, niestety! w czasach i w świecie, gdzie ta uroczą niewinność to tylko kolejne zagrożenie, bo wydaje cię bezbronną na pastwę nieprzyjaciół, których nie możesz zwalczać bronią, jaką oni się posługują, by cię atakować. Cóż, przezwycięż siebie, zstąp z wysokości swoich marzeń i zniż się do poziomu rzeczywistości. Powiedziałaś przed chwilą, że dla Ascania poświęciłabyś swoją reputację. Nie proszę cię o tyle, pozornie poświęć tylko wierność w imię jego miłości. Próbować walczyć samej i słabej z przeznaczeniem, marzyć, ty, szlachecka córka, o małżeństwie z czeladnikiem złotnika, to szaleństwo! Uwierz radzie szczerzej przyjaciółki: nie sprzeciwiaj im się, pozwól sobą kierować,

pozostań w duszy czystą narzeczoną, żoną Ascania, ale rękę swą oddaj hrabi d'Orbec. Jego ambitne zamiary wymagają tylko, byś nosiła jego nazwisko; zostawszy jednak hrabiną d'Orbec, z łatwością pokrzyżujesz haniebne plany, bo wystarczy, byś podniosła głos i poskarżyła się. A któż ci teraz przyzna rację w twoich zmaganiach? Nikt; nawet . ja nie mogę ci pomóc występując przeciw słusznym prawom twego ojca, gdyby zaś trzeba tylko pokrzyżować zamysły twego męża, zobaczyłabyś, jak działam. Zastanów się nad tym. Aby zostać panią siebie, bądź posłuszną; aby stać się niezależną, udaj, że wyrzekasz się wolności. Wtedy, silna myślą, że Ascanio jest twoim prawowitym mężem, a związek z każdym innym to świętokradztwo, uczynisz, co ci podyktuje serce, i twoje sumienie ucichnie, a świat, w którego oczach pozory będą zachowane, przyzna ci rację.

— Pani! Pani! — szepnęła Colombe wstając i wyrrywając się z objęć diuszesa, która próbowała ją zatrzymać. — Nie wiem, czym cię dobrze zrozumiała, ale zdaje się, że radzisz mi hańbę! .

— Co ty mówisz! — zawołała diuszesa.

— Mówię, że cnota nie jest tak subtelna, pani; mówię, że wstyd mi za twoje sofizmaty; mówię, że pod pozorną przyjaźnią, pod którą skrywa się twoja nienawiść, widzę zastawioną na mnie pułapkę. Chcesz, bym straciła cześć w oczach Ascania, prawda? Bo wiesz dobrze, że Ascanio nigdy nie pokocha albo przestanie kochać kobietę, którą gardzi!

— A tak, owszem! — wybuchła wreszcie diuszesa. — Bo mam już dość noszenia maski! Ach, nie chcesz wpaść w pułapkę, jaką na ciebie zastawiam, powiadasz! Świetnie! Wpadniesz w takim razie w przepaść, ku której cię popycham! Posłuchaj: czy chcesz, czy nie, poślubisz hrabię d'Orbec!

— W takim wypadku gwałt, jakiego ofiarą padnę, będzie mi usprawiedliwieniem, a ulegając, o ile ulegnę, nie zbezczeszczę wiary mego serca.

— A więc będziesz próbowała walczyć?

— Wszelkimi sposobami, jakie są dostępne nieszczęsnej dziewczynie. Uprzedzam cię, pani, będę mówiła „Nie” do samego końca. Włożysz moją rękę w dłoń tego człowieka, a ja powiem „Nie”! Zaciągniesz mnie przed ołtarz, powiem „Nie”! Rzucisz mnie na kolana przed księdzem, i wobec księdza powiem „Nie”!

— To nie ma znaczenia! Ascanio i tak będzie sądził, że zgodziłaś się na małżeństwo, jakie zawrzesz.

— Toteż mam nadzieję, że go nie zawrę, pani.

— A na czyjaż ty pomoc liczysz?

— Na Boga w niebie i na pewnego człowieka na ziemi.

— Lecz ten człowiek został uwięziony!

— Ten człowiek jest wolny, pani.

— Któż to taki?

— Benvenuto Cellini.

Diuszesa zazgrzytała zębami słysząc nazwisko swego największego śmiertelnego wroga. Ale w chwili, gdy miała powtórzyć to imię straszliwie przy tym złorzecząc, paż uchylił portiery i zaanonsował króla.

Diuszesa zerwała się i z uśmiechem na ustach wybiegła naprzeciw Franciszkowi I, którego poprowadziła do swej komnaty, dając służbie znak, aby pilnowano Colombe.

## ROZDZIAŁ XI

### BENVENUTO OSACZONY

W godzinę po uwięzieniu Ascania i zabraniu Colombe Benvenuto Cellini jechał stępą ulicą des Augustins: rozstał się z królem i jego dworem, których przez całą drogę zabawiał tysiącnymi historiami, jakie tylko on potrafił prawić, przemieszanymi z opowieściami o własnych przygodach; kiedy jednak został sam, pogrążył się w zadumie: krotochwilny gawędziarz przemienił się w człowieka głęboko zamyślonego. Ręka wolno puściła cugle, a pochylona głowa medytowała; rozmyślał o odlewie Jowisza, od którego zależało, oprócz artystycznej chwały, szczęście drogiego mu Ascania; brząz burzył się przeto w jego głowie, nim zawrzał w piecu. Na zewnątrz był jednak Benvenuto spokojny.

Kiedy dotarł do wrót zamku, zatrzymał się na chwilę, zdziwiony, że nie słyszy stuku młotów: ciemna budowla stała cicha i posepna, jak, by nie było tam żywego ducha; mistrz zastukał dwa razy na próżno; dopiero za trzecim razem Scorzona wyszła mu otworzyć.

— Ach, to ty, mistrzu! — zawołała na widok Celliniego. — Że też nie przyjechałeś dwie godziny wcześniej!

— A co się stało? — Spytał Benvenuto.

— Byli tu prewot, hrabia d'Orbec i diuszesa d'Etampes.

— I co dalej?

— Zrobili rewizję.

— No i?

— Znaleźli Colombe w głowie Marsa.

— Niepodobna!

— Diuszesa zabrała Colombe do siebie, a prewot kazał odprowadzić Ascania do Chatelet.

— Ha! Ktoś nas zdradził! — zawołał Benvenuto, bijąc się w czoło i tupiąc nogą. Po czym, jako że zawsze pierwszym odruchem tego człowieka była zemsta, puścił konia, by sam poszedł do stajni, i biegnąc ku pracowni zakrzyknął:

— Wszyscy do mnie! Do mnie! Chwilę później robotnicy stali przed nim.

Każdy musiał przejść regularne przesłuchanie, lecz nikt nie miał najmniejszego pojęcia nie tylko o kryjówce Colombe, ale i o tym, w jaki sposób wrogowie dziewczyny zdołali ją odkryć: nie znalazł się nikt, z Pagolem włącznie — na którego w pierwszej chwili padło podejrzenie Benvenuta — kto by się nie uniewinnił w sposób nie pozostawiający mistrzowi wątpliwości. Rozumie się, że ani przez chwilę podejrzenia nie skupiły się na poczciwym Hermanie ani musnęły Szymona Mańkuta.

Widząc, że od tej strony nie ma się o co mścić ani niczego się nie dowie, Benvenuto natychmiast podjął błyskawiczną decyzję i upewniwszy się, że szpada dobrze wisi u boku, a



sztylet łatwo wychodzi z pochwy, rozkazał wszystkim być na swoich miejscach, ażeby mógł ich zastać w razie potrzeby. Wyszedł następnie z pracowni, szybko minął podjazd i wybiegł na ulicę.

Tym razem jego twarz, krok i ruchy nosiły znamię wielkiego wzburzenia. Tysiące myśli bowiem, tysiące planów, tysiące cierpień kotłowało mu się i kłębiło w głowie. Zabrakło mu oto Ascania w chwili, kiedy był najbardziej potrzebny, gdyż do odlewania Jowisza wszystkich czeladników nie było nadto. Colombe została zabrana; a otoczona przez wrogów mogła stracić odwagę. Pogodna i wzniosła ufność, która była jej niczym szaniec przeciwko czarnym myślom i niecznym zamiarom, osłabnie może i opuści ją wobec tyłu knowań i gróźb.

Pośród tego wszystkiego pewne wspomnienie kołatało mu się gdzieś na dnie myśli. Pamiętał, jak to pewnego dnia uprzytamniał Ascaniowi możliwość okrutnej zemsty ze strony diuszesy d'Etampes, a Ascanio odparł wtedy z uśmiechem: „Nie ośmieli się mnie zgubić, bo ja ją zgubię jednym słowem.” Benvenuto chciał poznać tę tajemnicę; lecz Ascanio wtedy rzekł: „Dzisiaj, mistrzu, byłoby to zdradą. Poczekaj do dnia, kiedy będzie to tylko środek obrony.”

Cellini zrozumiał takt ucznia i czekał. Ale teraz musiał zobaczyć się z Ascanicem. Do tego przeto celu trzeba mu było najpierw zmierzać.

U Benvenuta decyzja następowała natychmiast po pragnieniu. Za ledwie pomyślał, że musi zobaczyć Ascania, a już stukał do bramy Chatelet. Okienko się otwarło i odzwierny zapytał Celliniego, kim jest. Za nim stał w cieniu jakiś mężczyzna.

— Nazywam się Benvenuto Cellini — odparł złotnik.

— Czego sobie życzysz? — ciągnął odzwierny.

— Chcę się zobaczyć z więźniem trzymanym tutaj.

— Jak on się zwie?

— Ascanio.

— Ascanio jest w areszcie odosobnionym i nie może się z nikim widywać.

— A dlaczego Ascanio jest w areszcie odosobnionym?

— Ponieważ został oskarżony o zbrodnię, która pociąga za sobą karę śmierci.

— To dodatkowy powód, żebym się z nim zobaczył! — zawołał Benvenuto.

— Szczególną rządysz się logiką, panie Cellini — zabrzmiał szyderczy głos mężczyzny ukrytego w cieniu — której się nie uznaje w Chatelet.

— Któż to się śmieje, kiedy pytam? Kto kpi, kiedy proszę? — wykrzyknął Benvenuto.

— Ja — odparł głos — ja, Robert d'Estouteville, prewot Paryża. Na każdego przychodzi kolej, panie Cellini. Każda walka składa się z rozgrywki i rewanżu. Ty wygrałeś pierwszą rundę, ja drugą. Ty mi bezprawnie zabrałeś zamek, ja ci zgodnie z prawem zabrałem czeladnika. Nie chciałeś mi oddać, co moje, bądź spokojny, ja ci nie zwrócę tego, co twoje. Takiś dzielny i przedsiębiorczy, masz armię oddanych towarzyszków; no, dalejże, mój ty zdobywco cytadel! Dalej, zdobywco murów! Dalej, wyrwibramo! Przyjdź i zdobądź Chatelet! Czekam!

Po tych słowach okienko się zawarło.

Benvenuto wydał dziki ryk i rzucił się na masywne wrota, lecz mimo połączonego wysiłku jego rąk i nóg brama pod uderzeniami nawet nie drgnęła.

— Dalej, przyjacielu, stukaj sobie, stukaj! — zakrzyknął prewot z drugiej strony bramy. — Narobisz tylko hałasu, a jeśli będzie zbyt duży, baczność straż! baczność lucznicy! Ach, Chatelet to nie zamek Nesle; należy do miłościwie nam panującego króla i zobaczymy, czy będziesz we Francji większym panem niżli król.

Benvenuto rozejrzał się dokoła i dostrzegł na ulicy wyrwany kamień, który dwóch przeciętnej siły mężczyzn z trudem by podniosło. Podeszedł prosto do gładu i zarzucił go sobie na ramię z równą łatwością, jak dziecko podnosi zwykły kamień bruku.

Uczyniwszy jednak kilka kroków, pomyślał, że gdy wyważy bramę, natknie się dalej na straż i że ta droga mogłaby jego z kolei zaprowadzić prosto do więzienia; do więzienia w chwili, gdy wolność Ascania zależała od jego swobody. Upuścił więc głaz, który od samego ciężaru zagłębił się na kilka cali w ziemię.

Prewot niewątpliwie obserwował go przez jakiegoś niewidocznego judasza, bo znów rozległ się wybuch śmiechu.

Benvenuto co sił w nogach oddalił się od tego miejsca, aby nie ulec chęci roztrzaskania sobie głowy o tę przeklętą bramę.

Udał się prosto do pałacu Etampes.

Nie wszystko będzie jeszcze stracone, skoro nie mogąc zobaczyć się z Ascaniem, porozmawia przynajmniej z Colombe. Być może Ascanio w miłosnych wynurzeniach wyznał narzeczonej tajemnicę, której nie chciał wyjawić swemu mistrzowi.

Z początku wszystko szło dobrze; brama pałacu była otwarta, minął dziedziniec i wszedł do sieni, gdzie stał rosły lokaj z galonami na wszystkich szwach, wielkolud szeroki na cztery stopy, a wysoki na sześć.

— Ktoś ty, panie? — spytał złotnika mierząc go od stóp do głów.

W każdej innej sytuacji Benvenuto odpowiedziałby na jego bezczelne spojrzenie zwyczajnym u niego wybuchem, lecz tym razem chodziło o to, by zobaczyć Colombe, uratować Ascania; opanował się tedy.

— Jestem Benvenuto Cellini, złotnik florencki — odparł.

— Czego sobie życzysz?

— Zobaczyć się z panną Colombe.

— Panna Colombe nie przyjmuje.

— A dlaczegoż to nie przyjmuje?

— Ponieważ jej ojciec, pan Robert d'Estouteville, prewot Paryża, oddał ją pod pieczę jej wysokości diuszesy d'Etampes, przykazując, by nad nią czuwano.

— Ale ja jestem przyjacielem.

— Tym bardziej jesteś podejrzany, panie.

— Powiadam ci, że muszę się z nią zobaczyć — rzekł Benvenuto, zaczynając się unosić. .

— A ja ci powiadam, panie, że się z nią nie zobaczysz — odrzekł lokaj.

— Czy przynajmniej diuszesa d'Etampes przyjmuje?

— Jej wysokość również nie przyjmuje.

— Nawet mnie, swojego złotnika?

— Ciebie panie tym bardziej niż kogokolwiek innego.

— A więc mam zakaz wstępu?

— No właśnie — przytaknął sługa — trafiłeś, panie, w samo sedno.

— Czy wiesz, przyjacielu, że jestem człowiekiem wyjątkowym — rzekł z kolei Benvenuto z owym przerażającym śmiechem, który zwykle poprzedzał jego wybuchy gniewu — i że tum właśnie, gdzie nie chcą mnie wpuścić, ja wchodzę?

— A jak to robisz, panie, he? Powiedz, sprawisz mi przyjemność.

— Kiedy na przykład są drzwi, a przed nimi taki jak ty huncwot...

— I co dalej? — spytał lokaj.

— Otóż — ciągnął Benvenuto. wcielając słowa w czyn — odtrącam huncwota i wyważam drzwi.

Równocześnie od jednego uderzenia pięści Benvenuto lokaj potoczył się parę kroków dalej, a złotnik kopnięciem wyważył drzwi,

— Na pomoc! — wołał lokaj. — Na pomoc!

Lecz rozpaczliwy krzyk nieboraka był zbędny; przechodząc z sieni na przedpokoje. Benvenuto stanął przed sześcioma lokajami, którzy zdawali się tam na niego czekać.

Domyślił się, że diuszesa d'Etampes dowiedziała się o jego powrocie i że w związku z tym podjęte zostały te wszystkie środki ostrożności.

W każdej innej sytuacji Benvenuto, uzbrojony jak teraz w szpadę i sztylet, rzuciłby się na fagasów i bez trudu by się z nimi rozprawił, lecz dopuszczenie się przemocy w pałacu królewskiej metresy mogło mieć opłakane skutki. Po raz drugi *przeto*, wbrew jego zwyczajom, rozsądek wziął górę nad gniewem i Cellini pewien, że może przynajmniej dostać się do króla — do którego jak wiadomo miał wstęp o każdej porze — wepchnął z powrotem do pochwy na wpół dobytą szpadę, odstąpił i co krok się zatrzymując, niby cofający się lew, przebył powoli, sień, potem dziedziniec i ruszył w stronę Luwru.

Tym razem odzyskał spokojny wygląd i szedł miarowym krokiem, lecz spokój ów był tylko, pozorny: grube krople potu perliły mu się na czole i narastał w nim posepny gniew, tym dotkliwszy zadając mu ból, im bardziej starał się go opanować. Nie było bowiem nic wstrętniejszego dla jego pory wczej natury jak strata czasu, jak nędzna przeszkoda w postaci Zamkniętych drzwi, jak prostackie odprawienie go przez bezczelnego sługusa. Ludzie silni, którym myśl jest posłuszna, największą rozpacz odczuwają, kiedy daremnie próbują pokonać materialny opór. Benvenuto oddałby dziesięć lat życia za to, żeby go ktoś potracił, i podnosił od czasu do czasu głowę, a wbijając swój straszliwy wzrok w mijających go ludzi, zdawał się im mówić: No? Jest tu jakiś nieszczęśnik zmęczony życiem? Jeśli tak, niech się do mnie zwróci, jestem człowiekiem, którego potrzebuje! Kwadrans później Benvenuto wszedł do Luwru i zatrzymał się w sali paziów, prosząc o natychmiastową rozmowę z jego królewską mością. Chciał opowiedzieć wszystko królowi, odwołać się *do* jego prawości, a jeżeli nie uzyska zgody na uwolnienie Ascania, błagać przynajmniej o widzenie z nim; przez całą drogę rozmyślał o tym, co powinien królowi powiedzieć, a jako że Benvenuto rościł sobie pretensje do miana mówcy, z góry już był kontem z przygotowanej krótkiej przemowy. Całe to bowiem zamieszanie, straszne wieści, jakie go nagle doszły, doznane zniewagi, przeszkody, których nie zdołał pokonać, wszystko to rozpałiło krew w żyłach popędliwego artysty: w głowie mu szumiało, serce waliło, dłonie drżały. Sam nie wiedział, co za gorące wzburzenie podwaja energię jego duszy i ciała; cały dzień życia koncentruje się niekiedy w jednej tylko minucie.

W takim to stanie Cellini zwrócił się do pazia z prośbą o pozwolenie na wejście do króla.

— Król nie przyjmuje — odparł młodzian.

— Nie poznajesz mnie? — zdziwił się Benvenuto.

— Przeciwnie, doskonale poznaję.

— Nazywam się Benvenuto Cellini i jego królewska mość mnie zawsze przyjmuje,

— Właśnie dlatego, panie, że zwiesz się Benvenuto Cellini — odrzekł paź — nie możesz wejść.

Benvenuto stał osłupiały.

— A, to ty, panie de Terms? — ciągnął młodzieniec, zwracając się do jakiegoś dworzanina, który przyszedł równocześnie ze złotnikiem. — Proszę wejść, proszę, hrabio de la Faye; bardzo proszę, markizie des Pres.

— A ja? Co --ze mną? — zawołał Benvenuto blednąc z gniewu.

— Z tobą, panie? Przed dziesięcioma minutami król wracając powiedział: Jeśli ten zuchwały Florentczyk tu się pojawi, ma, się dowiedzieć, że nie chcę go widzieć, i poradźcie mu, żeby był posłuszny, jeśli nie pragnie mieć możliwości porównania Chatelet z zamkiem Świętego Anioła.

— Tylko cierpliwości! Spokojnie! — szepnął głucho Benvenuto. —, Bo, na Boga! nie przywykłem, żeby mi królowie kazali czekać! Watykan nie jest gorszy od Luwru, a Leon Dziesiąty od Franciszka Pierwszego, *j* a jednak nie czekałem u bram Watykanu, nie czekałem przed drzwiami Leona Dziesiątego; ale rozumiem: król był u pani d'Etampes, tak, tak, król wraca od swej metresy, uprzedziła go do mnie. Tak, na pewno tak; cierpliwości dla Ascania! Cierpliwości dla Colombe!

Jednakże mimo tego chlubnego postanowienia, by uzbroić się w cierpliwość, Benvenuto musiał się wesprzeć o kolumnę; serce mu się rozdzie— rało, nogi ugiwały się pod nim. Ten ostatni afront nie dość że dotykał jego dumy, ale jeszcze ranił jego przyjaźń. Duszę miał przepełnioną goryczą i rozpaczą, a zwarte usta, posępny wzrok, zaciśnięte dłonie świadczyły o rozmiarach jego cierpienia.

Po minucie wszelako przyszedł do siebie, jednym potrząśnięciem głowy odrzucił opadające na czoło włosy i wyszedł krokiem energicznym i zdecydowanym. Wszyscy, co się tam znajdowali, patrzyli z niejakim szacunkiem, jak odchodzi.

Jeżeli Benvenuto wyglądał na spokojnego, to tylko dzięki niesłychanej sile woli, bo w rzeczywistości był bardziej zagubiony i przerażony niż osaczony jelen. Przez jakiś czas kroczył ulicą nie wiedząc, dokąd zmierza, nie widząc nic poza mgłą, słysząc tylko szum krwi w uszach, sam siebie zapytując — jak to bywa, gdy człowiek jest pijany — czy śpi, czy też czuwa. W ciągu jednej godziny po raz trzeci odprawiano go z niczym. Jemu, Benvenuto, ulubieńcowi książąt, papieży i królów po raz trzeci zamknięto drzwi przed nosem, jemu, Benvenuto, przed którym obydwie skrzydła drzwi się otwierały, gdy tylko rozbrzmiewały jego kroki. A jednak mimo potrójnego afrontu nie miał prawa dać upustu gniewowi: musiał kryć rumieniec i zataić wstyd, dopóki nie uratuje Colombe i Ascania. Mijali go ludzie, beztroscy, spokojni lub zaafetowani, i zdawało mu się, że każdy czyta z jego czoła potrójną zniewagę, jakiej niedawno doznał. Była to chyba jedyna chwila w jego życiu, kiedy ta wielka dusza, upokorzona, zwątpiła w samą siebie.' Wszelako po kwadransie ucieczki na oślep, błędnej, bezładnej, Cellini wejrzał w siebie i podniósł głowę: opuściło go przygnębienie i na powrót ogarnęła gorączka.

— Nuże! — zawołał na głos, tak był zamyślony, tak dusza pożerała jego ciało — nuże, daremnie depczą człowieka! Nie zdołają zgnieść artysty. Dalej, rzeźbiarzu, niechaj żałują swoich czynów podziwiając twoje dzieło; dalej, Jowiszu! Udowodnij, żeś ciągle nie tylko królem bogów, ale i władcą ludzi.

I kończąc wymawiać te słowa, Benvenuto, niejako pchnięty impulsem silniejszym od niego, skierował się ku Tournelles, dawnej rezydencji królewskiej, którą zamieszkiwał stary konetabl Anne de Montmorency.

Popędliwy Cellini musiał czekać godzinę na swoją kolej, zanim dostał się do królewskiego ministra-żołnierza, obleganego przez tłum dworzan i petentów; wreszcie wprowadzono go do konetabla.

Anne de Montmorency był mężczyzną roslym, lekko zaledwie przygiętym przez wiek, zimnym, sztywnym i chudym, o żywym spojrzeniu, rozkazującym sposobie mówienia; wiecznie gderał i nigdy nie widziano, żeby był w dobrym humorze. Poczuliby się pewnie upokorzony, gdyby ktoś ujrzał, że się śmieje. Jak to się stało, że ten mrukliwy starzec spodobał się ujmującemu i pełnemu wdzięku władcy rządzącemu podówczas Francją? Można to sobie wytłumaczyć jedynie prawem kontrastu: Franciszek I posiadał tajemnicę odprawiania zadowolonymi tych, którym odmawiał; konetabl, przeciwnie — tak postępował, że ci, których zadowalał, odchodzili rozgniewani. Miernych raczej talentów, wzbudzał w królu zaufanie swoją żołnierską stanowczością i dyktatorską powagą.

Kiedy Benvenuto wszedł, konetabl przechadzał się, jak to miał we zwyczaju, wzdłuż i wszerz komnaty. Na przywitanie Celliniego odpowiedział skinieniem głowy; po czym zatrzymując się raptownie i wbijając w niego swój przenikliwy wzrok, spytał:

— Kim jesteś, panie?

— Benvenuto Cellini.

— Twoja profesja?

— Królewski złotnik — odparł artysta, zdziwiony, że pierwsza odpowiedź nie oszczędziła mu drugiego pytania.

— A, tak, prawda — mruknął konetabl. — Poznaję cię, mości Cellini. I cóż, czego pragniesz, o co prosisz? Żeby coś zamówił? Jeśliś na to liczył, marnujesz czas, uprzedzam. Na honor! Zupełnie nie pojmuję tego upodobania do sztuki, jakie się dzisiaj wszędzie panoszy. Rzekłbyś, epidemia, która dosięgła każdego oprócz mnie. Nie, rzeźba to żadną miarą nie moja rzecz, mości,, złotniku, słyszysz? Zwróć się przeto do innych i zegnaj. — Benvenuto się poruszył. — Ech, na Boga! — ciągnął konetabl. — Niech cię to nie wprawia w rozpacz; nie braknie ci dworaków, którzy będą małpować króla, i ignorantów, co będą pozować na znawców. Jeśli o mnie chodzi, to posłuchaj bacznie: ja trwam przy swoim fachu, czyli prowadzeniu wojny, i sto razy bardziej wolę, powiadam ci, porządną wieśniaczkę, która mi co dziesięć miesięcy rodzi chłopaka, a więc żołnierza, od złego rzeźbiarza, co to traci czas na robienie kopami poczciwców z brązu, służących tylko do tego, aby rosły ceny armat.

— Ekscelencjo — odezwał się Benvenuto, który wysłuchał tych herezji z cierpliwością dziwiącą jego samego — nie przyszedłem, by rozprawiać o sprawach sztuki, lecz honoru.

— A, skoro tak, to co innego. Czego sobie życzysz? Mów szybko, panie. — Czy pamiętasz, ekscelencjo, jak to jednego razu jego królewska mość powiedział przed tobą, że w dniu, kiedy mu dam posąg Jowisza odlany z brązu, spełni prośbę, jaką mu przedłożę, i że ciebie, ekscelencjo, i kanclerza Poyeta zobowiązuje do przypomnienia mu o tej królewskiej obietnicy, w razie gdyby o niej zapomniał?

— Pamiętam. I cóż?

— Otóż, ekscelencjo, zbliża się chwila, kiedy będę cię błagał, abyś ty miał dobrą pamięć zamiast króla. Czy twoja pamięć będzie dobra?

— I z tym przychodzisz, panie? — zawołał konetabl. — Przeszkadzasz mi tylko dlatego, żeby prosić o zrobienie czegoś, co jest moim obowiązkiem?

— Ekscelencjo!

— Jesteś pan impertynent, mości Cellini. Zapamiętaj sobie, że konetabl Anne de Montmorency nie potrzebuje, żeby mu przypomniano, iż ma być człowiekiem prawym. Król mi kazał pamiętać za niego, a nie przyganiając mu, równie przezornym winien być częściej; i tak będzie, nawet gdyby jemu miało się to nie podobać. Zegnaj, mistrzu Cellini, kto tam następny?

Po czym konetabl odwrócił się tyłem do Benvenuta i dał znak, że można wprowadzić kolejnego petenta.

Benvenuto zaś skłonił się konetablowi, którego szorstka szczerość wcale mu nie była przykrą, i ciągle ożywiony tym samym rozgorączkowaniem, pchany tą samą żarliwą myślą, stawiał się u kanclerza Poyeta, mieszkającego w pobliżu, przy bramie-Saint-Antoine.

Kanclerz Poyet i Anne de Montmorency, wiecznie niezadowolony, opancerzony od stóp do głów, tworzyli parę zupełnych przeciwieństw tak moralnych, jak i fizycznych. Kanclerz był grzeczny, wykwinny, przebiegły, otulony w futra ginął niejako w gronostajach; widać było tylko szpakowatą łysawą głowę, bystre i niespokojne oczy, wąskie wargi i białą dłoń. Miał w sobie może tyle samo co konetabl prawości, lecz mniej szlachetności.

I tutaj Benvenuto znów czekał pół godziny. Lecz był nie do poznania: przyzwyczajał się do czekania.

— Ekscelencjo — rzekł, kiedy go wreszcie wprowadzono — przychodzę, by ci przypomnieć słowo króla dane mi w twojej obecności, a którego uczynił cię nie tylko świadkiem, ale i rękojmą.

— Wiem, o czym mówisz, mości. Benvenuto — przerwał mu Poyet — i gotowym, jeśli sobie życzysz, przypomnieć jego królewskiej mości jego obietnicę; muszę cię jednak uprzedzić, że zgodnie z prawem niczego nie możesz się spodziewać, zważywszy, iż zobowiązanie ustne i pozostawione do twojego uznania nie jest ważne przed trybunałem i nigdy nie będzie równoznaczne z dokumentem; wynika stąd, że jeśli król spełni twoje żądania, to będzie to wynikało jedynie z jego łaskawości i prawości szlachcica.

— Tak właśnie to pojmuję, ekscelencjo — odparł Benvenuto — i proszę cię tylko, panie, abyś w stosownym czasie i miejscu wypełnił polecenie, jakie wydał ci król, resztę pozostawiając dobrotliwości miłościwego pana.

— Doskonale — rzekł Poyet — i z takim zastrzeżeniem, drogi panie, wierz mi, że do twojej dyspozycji.

Benvenuto rozstał się przeto z kanclerzem z głową nieco spokojniejszą, lecz krwią nadal wzburzoną, dłońmi ciągle rozpalonymi. Jego myśl, podniecona zniecierpliwieniem, obelgami i gniewem, tak długo hamowana, wypłynęła wreszcie na szerokie wody; czas i przestrzeń przestały istnieć dla umysłu, który przepelniała, i podczas gdy Benvenuto wracał do domu wielkimi krokami, jawiła mu się w jakimś promiennym upojeniu Stefana, domostwo Raffaela del Moro, zamek Świętego Anioła i ogród Colombe. Czuł zarazem w sobie nadludzką siłę, zdało mu się, że żyje w innym świecie.

Ogarnięty takim właśnie dziwnym podnieceniem wrócił do zamku Nesle.

Wszyscy robotnicy czekali na niego, jak im rozkazał.

— Bierzemy się do odlewania Jowisza, moje dzieci! Do roboty! — zawołał od progu i pobiegł do pracowni.

— Witajcie, mistrzu — powiedział Jakub Aubry, który radośnie podśpiewując wszedł za Cellinim. — Nie widzieliście mnie ani słyszeli! Od pięciu minut idę za wami ulicą i wołam; szliście tak szybko, aż się zadyszałem. Ale co to wam wszystkim? Ponurzyście niby sędziowie.

— Bierzemy się za odlew! — ciągnął Benvenuto nie odpowiadając Jakubowi, którego jednak dostrzegł kątem oka i usłyszał jednym uchem. — Uda nam się! Bóg miłosierny. Ach, przyjacielu — mówił urywanymi zdaniem zwracając się to do Jakuba, to do swych towarzyszków — ach, drogi Jakubie, co za smutna nowina czekała na mnie po powrocie i jakże wykorzystali moją nieobecność!

— Co wam jest, mistrzu? — wykrzyknął Aubry naprawdę zaniepokojony wzburzeniem Celliniego i głębokim smutkiem czeladników.

— Najpierw, moje dzieci, naznoście drewna jodłowego. Wiecie, że od pół roku je zbieram. Co mi jest, mój Jakubie? A to, że Ascanio uwięziony w Chatelet, a Colombe, córka przewota, którą on kocha, wiesz, ta czarująca dziewczyna, znajduje się w rękach diuszesy d'Etampes, swego wroga; znaleźli ją w posagu Marsa, gdzie ją ukryłem. Ale my ich uratujemy. Hejże! Hola! Herman, dokąd to? Drewno nie jest w piwnicy, lecz w składzie!

— Ascanio uwięziony! — krzyknął Aubry. — Colombe uprowadzona!

— Tak, tak, jakiś niecny szpieg ich wyśledził, biedne dzieci, i wydał tajemnicę, którą nawet przed tobą ukryłem, drogi Jakubie. Ale niech ja go dopadnę!... Do roboty, moje dzieci! Do roboty! To nie wszystko. Król nie chce mnie widzieć, mnie, którego nazywał przyjacielem. I wierz tu w przyjaźń ludzi! Co prawda królowie nie są ludźmi: są królami. Tak że daremnie stawilem się w Luwrze, nie zdołałem do niego dotrzeć, nie udało mi się zamienić z nim ani słowa. Ach, mój posąg przemówi za mną. Ruszcie się, przyjaciele, i nie traćmy ni minuty. Ta kobieta, która znieważa nieszczęsną Colombe! Niecny przewot, który ze mnie szydzi! Dozorca, który torturuje Ascania! Och, co za straszne przywidzenia dzisiaj miałem, drogi Jakubie. Widzisz, oddałbym dziesięć lat życia temu, kto by zdołał dotrzeć do więźnia, porozmawiać z nim i przynieść mi tajemnicę, za której pomocą poskromiłbym tę pyszną diuszese; bo Ascanio jest w posiadaniu tak wielkiej tajemnicy, rozumiesz, i nie zgodził mi się jej zawierzyć, szlachetny! Ale obojętne, nie obawiaj się, Stefano, nie obawiaj się o swoje dziecko, będę go bronił aż do ostatniego tchu i uratuję! Tak, uratuję! Ach, zdrajca, co nas sprzedał, gdzież on jest! Udusiłbym go własnymi rękami! Byłem przeżył jeszcze trzy dni, Stefano, bo zdaje mi się, że ogień, co mnie pali, trawi moje życie! Och, gdybym tak umarł nie dokończywszy odlewu Jowisza! Do roboty, dzieci! Do roboty!

Po pierwszych słowach Benvenuta Jakub pobladł straszliwie, bo podejrzewał, że to on jest przyczyną tego wszystkiego. Później, w miarę jak Benvenuto mówił, podejrzenie zamieniło się w pewność. I wtedy niewątpliwie jakiś plan zakiełkował mu w głowie, znikł bowiem bez słowa, podczas gdy rozgorączkowany Cellini zmierzał ku odlewni, wiodąc za sobą robotników, i wołał jak oszalały:

— Do roboty, moje dzieci! Do roboty!

## ROZDZIAŁ XII

# O TRUDNOŚCIACH, JAKICH DOŚWIADCZA UCZCIWY CZŁOWIEK, ABY ZOSTAĆ UWIĘZIONYM

Nieszczęsny Jakub Aubry wyszedł zrozpaczony z Grand-Nesle: nie było cienia wątpliwości, że to on, nieumyślnie, zdradził sekret Ascania. Ale kto jego z kolei zdradził? Na pewno nie ów śmiały wielmoża, którego nazwiska nie znał; szlachcic, też coś! To na pewno ten łajdak Henriet, chyba żeby to był Robin albo Charlot, albo Guillaume. Prawdę mówiąc biedak gubił się w domysłach; opowiedział bowiem o wszystkim tuzinowi bliskich przyjaciół, a wśród nich odnaleźć winnego nie było łatwo; ale to nieważne! Pierwszym, prawdziwym, jedynym zdrajcą był on, Jakub Aubry; niecny szpieg, którego oskarżał Benvenuto, to on. Zamiast zamknąć tajemnicę w sercu na siedem spustów, rozgadał ją w dwudziestu miejscach, przez swój przeklęty długi język spowodował zgubę Ascania, brata. Jakub rwał włosy z głowy, Jakub okładał się pięściami, Jakub obrzucał się najohydniejszymi wyzwiskami i nie znajdował inwektyw dość niktzemnych, by nazwać, jak na to zasłużyło, swoje haniebne zachowanie.

Wyrzuty sumienia stały się tak dokuczliwe i wprawiły go w takie rozgoryczenie, że chyba po raz pierwszy w życiu Jakub zaczął się zastanawiać. Ostatecznie jeśli już głowę będzie miał łysą, pierś posiniaczoną, a sumienie w strzępach, wcale to nie pomoże w uwolnieniu Ascania: za wszelką cenę należało naprawić wyrządzone zło, zamiast tracić czas na rozpaczanie.

Pocziwy Jakub zapamiętał te oto słowa Benvenuta: „Oddałbym dziesięć lat życia temu, kto by zdołał dotrzeć do Ascania, pomówić z nim i przynieść mi tajemnicę, za której pomocą poskromiłbym tę pyszną diuszese. I, jak powiedzieliśmy, wbrew swoim zwyczajom zaczął się zastanawiać. W wyniku refleksji doszedł do wniosku, że należy się dostać do Chatelet. Gdy już tam będzie, na pewno jakoś dotrze do Ascania.

Benvenuto jednak na próżno próbował wejść tam jako odwiedzający; i rzecz jasna, Jakubowi nawet do głowy nie przyszła śmiała myśl spróbowania tego, co się mistrzowi nie udało. Skoro wszakże niemożliwe było dostać się w odwiedzin, nic łatwiejszego — przynajmniej student tak sądził — jak znaleźć się tam jako więzień: więc tak właśnie wejdzie; potem, kiedy już się zobaczy z Ascaniem, kiedy Ascanio wszystko mu zwierzy, kiedy nie będzie miał co szukać w Chatelet, wyjdzie stamtąd i uda się do Benvenuta jako posiadacz zbawczego sekretu — nie żeby się domagać dziesięciu przyobiecanych lat życia, lecz aby się wypowiedzieć mistrzowi ze zbrodni i prosić o przebaczenie.

Zachwycony bujnością swej wyobraźni i dumny z ogromu oddania, ruszył ku Chatelet.

— Zaraz, zaraz — rozważał, śmiałym krokiem idąc ku więzieniu będącemu przedmiotem jego pragnień — trzeba się zorientować dokładnie J w sytuacji, co nie wydaje mi się łatwe, zważywszy, że cała ta historia wygląda mi na równie poplątaną jak wełna Gervaise, kiedy daje mi motek trzymać, a ja chcę ją pocałować. Zaraz, jak to tam było? Ascanio kochał Colombe,



córkę prewota, i dobrze. Ponieważ prewot chciał ją wydać za hrabię d'Orbec, Ascanio ją porwał, i bardzo dobrze; a jak ją już porwał, nie, wiedząc, co zrobić z miłym dziewczątkiem, schował je w głowie Marsa, *optime*. Kryjówka była, daję słowo! cudowna, i musiał się znaleźć jakiś bydlak... no, zostawmy to: do siebie wrócę później. A zatem wyglądałoby na to, że dzięki moim wskazówkom prewot odzyskał córkę i wsadził do więzienia Ascania. Ależ prostak ze mnie dubeltowy! Tak, ale tu właśnie sprawa się gmatwa..Skąd się w tym wszystkim wzięła diuszesa d'Etampes? Ona nie znosi Colombe, którą wszyscy lubią. Dlaczego? Ach, mam! Niektórej kpinki towarzyszków, zakłopotanie Ascania, kiedy się mówiło o diuszecie... pani d'Etampes zagięła parol na Ascania i rzecz jasna, nie cierpi rywalki. Jakubie, drogi przyjacielu, jesteś wielkim nędznikiem, ale i całkiem bystrym młodzianem. No tak, ale jak to może być, żeby Ascanio miał w rękach sposób na zgubienie diuszesy? Dlaczego w tym całym zamieszaniu króli się pojawia tam i na powrót z niejaką Stefana? Dlaczego Benvenuto co rusz wzywa Jowisza, co widzi mi się zbyt pogańskim wezwaniem jak katolika? Do diabła! Nic a nic nie pojmuję! Ale niekoniecznie muszę wszystko rozumieć. Wyjaśnienie jest w celi Ascania: najważniejsze przeto, żeby mnie wtrącono do więzienia. Resztę wymyślę później.

Z tymi słowy Aubry, dotarłszy do celu swej wędrówki, zastukał zuchwale do bramy Chatelet. Okienko się otwarło i ktoś szorstkim głosem zapytał, czego Jakub chce; pytającym był więzienny odźwierny.

— Chcę celę w waszym więzieniu — odparł Aubry ponurym głosem,

— Celę! — powtórzył odźwierny zdumiony.

— Tak, celę, najciemniejszą i najgłębszą; nawet na taką nie zasługuję.

— A to dlaczego?

— Bo wielki ze mnie zbrodniarz.

— A jaką to zbrodnię popełniłeś, mój panie?

— No właśnie, jaką zbrodnię popełniłem? — zastanowił się Jakub, nie pomyślawszy wcześniej o przygotowaniu sobie odpowiedniej zbrodni; a ponieważ mimo komplementów, jakie sobie chwilę przedtem prawił: lotność wyobraźni nie była jego mocną stroną, powtórzył: — Jaką zbrodnię?

— Tak, jaką zbrodnię? — ponowił pytanie odźwierny.

— Zgadnijcie — rzekł Jakub. Po czym dodał do siebie: — Ten chwyt powinien się lepiej znać na zbrodniach niż ja, zacznie mi wyliczać, a ja sobie wybiorę.

— Morderstwo? — spytał odźwierny.

— Ach, coś podobnego! — zawołał student, którego sumienie się buntowało na samą myśl o tym, że ktoś mógł go wziąć za mordercę. — Za kogo mnie uważacie?

— Rabunek? — ciągnął odźwierny.

— Rabunek? No, nie! Też coś!

— No to coś w końcu zrobił, mój panie? — zniecierpliwiał się odźwierny. — Nie wystarczy podawać się za przestępcę, trzeba jeszcze powiedzieć, jakie się przestępstwo popełniło.

— Ale mówię przecie, że ostatni ze mnie łotr, nędznik, mówię, że zasłużyłem na łamanie kołem, na szubienicę!

— Za co? Za co? — pytał niewzruszenie odźwierny. — Za co? O, właśnie, zdradziłem przyjaźń.

— To nie jest zbrodnia — oznajmił odźwierny. — Dobranoc. — I zamknął okienko.

— To nie jest zbrodnia? To nie zbrodnia? Więc co to jest?

I Aubry obiema dłońmi ujął kołatkę i w najlepsze ją łomotać w bramę.

— Co tam się dzieje? — dobiegł z wnętrza Chatelet inny głos,

— To jakiś wariat, chce wejść do Chatelet — rzekł odzwierny.

— Jeśli to wariat, to jego miejsce jest nie w Chatelet, lecz w szpitalu.

— W szpitalu! — krzyknął Jakub uciekając co sił w nogach. — W szpitalu! Do diaska! Nie tam mam sprawę. Chcę się znaleźć w Chatelet, a nie w szpitalu. Zresztą do szpitala wsadza się żebraków i dziadów, a nie ludzi, którzy, jak ja, mają w kieszeni trzydzieści paryskich groszy. W szpitalu! Widzieliście tego łajdaka odzwiernego, twierdzi, że zdrada przyjaciela to nie zbrodnia! A więc żeby dostąpić zaszczytu zamknięcia w więzieniu, trzeba albo zamordować, albo ukraść. Ale tak myślę,, dlaczego nie miałbym uwieść jakiejś panny? Tak, tylko którą? Gervaise?... — i mimo strapienia student zaczął się pokładać ze śmiechu. — Cóż, ostatecznie — rzekł — nie miało to miejsca, ale mogłoby się stać. Hejże, oto mam zbrodnię: uwiódłem Gervaise!

I Jakub Aubry skierował kroki ku domowi dziewczyny, wbiegł po sześćdziesięciu stopniach prowadzących do jej mieszkania i wpadł znienacka do izdebki, gdzie w zalotnym negliżu wdzięczna gryzетка prasowała fatalaszki,

— Ach! — uroczo zakrzyknęła Gervaise. — Ach, panie, aleś mnie przestraszył!

— Gervaise, droga Gervaise — zawołał Jakub podchodząc do kochanki z otwartymi ramionami. — Musisz mi ratować życie, moje dziecko.

— Zaraz, zaraz — rzekła Gervaise, posługując się żelazkiem niby tarczą — czego sobie życzysz, panie włóczęgo? Trzy dni się nie pokazywałeś.

— Źle zrobiłem, Gervaise, o, ja nieszczęśliwy. Ale dowodem mej miłości jest to, że w rozpaczę przychodzę do ciebie. Powtarzam, Gervaise, musisz mnie ratować.

— Tak, rozumiem, upiłeś się w jakimś szynku, a potem pokłóciłeś.. Ścigają cię, chcą wsadzić do więzienia, a ty przychodzisz prosić biedną Gervaise, żeby ci udzieliła gościny. Nic z tego, mój panie, idź sobie do więzienia i zostaw mnie w spokoju.

— Tego właśnie pragnę, moja mała, chcę iść do więzienia, ale ci nędznicy nie chcą mnie tam przyjąć.

— Och, mój Boże! Jakubie — rzekła dziewczyna ze współczującym gestem — czyś ty oszalał?

— No właśnie: mówią, że zwariowałem i chcą mnie oddać do szpitala, a ja przecież chcę się znaleźć w Chatelet!

— Chcesz iść do Chatelet? A po co, Aubry? Chatelet to okropne więzienie. Ludzie mówią, że jak się tam wejdzie, to nie wiadomo, kiedy człowieka wypuszczą.

— Ale ja muszę się tam znaleźć, muszę! — zawołał student. — Tylko tak można go uratować.

— Kogo uratować?

— Ascania.

— Kogo? Ascania? Tego pięknego młodzieńca, ucznia twojego przyjaciela Benvenuta?

— Właśnie jego, Gervaise. Siedzi w Chatelet, i to z mojej winy.

— Wielki Boże!

— Tak że — ciągnął Jakub — muszę i ja się tam znaleźć, muszę| go uratować.

— A dlaczego siedzi w Chatelet?

— Bo kochał córkę przewota i uwiódł ją.

— Biedny chłopiec! Jakże, więc za to wsadzają do więzienia?

— Tak, Gervaise. I teraz rozumiesz: trzymał ją w ukryciu; ja znajduję kryjówkę i riiczym głupiec, niczym łajdak, niegodziwiec, opowiadam o tym wszystkim naokoło.

— Oprócz mnie! — zawołała Gervaise. — Tak, to cały ty!

— Nie opowiedziałem ci tego, Gervaise?

— Ani słowa. Wobec innych toś gadatliwy, ale nie wobec mnie. Kiedy przychodzisz tutaj, to tylko po to, żeby mnie pocałować, wypić albo! pospać, nigdy żeby porozmawiać. Zapamiętaj sobie, mój panie, że kobieta lubi rozmawiać.

— No, a co teraz robimy, moja mała? — rzekł Jakub. — Rozmawiamy,! jak mi się zdaje.

— Tak, bo jestem ci potrzebna.

— To prawda, że mogłabyś mi oddać wielką przysługę.

— Jaka?

— Mogłabyś powiedzieć, że cię uwiodłem.

— No pewnie, łobuzie, że mnie uwiodłeś.

— Ja! — zawołał Jakub zdumiony. — Ja ciebie uwiodłem?

— A tak, to odpowiednie słowo; zostałam uwiedziona, mój panie, niegodnie uwiedziona twoimi pięknymi słówkami, kłamliwymi obietnicami.

— Pięknymi słówkami, kłamliwymi obietnicami?

— Tak. Nie mówiłeś, że jestem najpiękniejszą dziewczyną w całym Saint-Germain-des-Pres?

— Dalej tak twierdzą.

— Nie mówiłeś, że jeśli cię nie pokocham, umrzesz z miłości?

— Myślisz, że tak mówiłem? Dziwne, nie przypominam sobie.

— Jeżeli zaś pokocham cię, to się ze mną ożenisz?

— Gervaise, tego nie powiedziałem, nigdy!

— Powiedziałeś to, mój panie.

— Nigdy, nigdy, nigdy, Gervaise. Ojciec kazał mi złożyć przysięgę jak Hamilkar Hannibalowi.

— Jaka?

— Kazał mi przysiąc, że umrę kawalerem jak on.

— Och! — zawołała Gervaise, z ową właściwą kobietom cudowną łatwością przyzywając łyzy na pomoc słowom. — Ach! Wszyscy są tacy sami; obietnice nic ich nie kosztują, a kiedy już uwiodą biedną dziewczynę, nie pamiętają, co obiecywali. Toteż teraz ja przysięgam, że po raz ostatni dałam się nabrać.

—r I dobrze robisz, Gervaise — przyznał student.

— I pomyśleć — zawołała gryzетка — że są prawa przeciwko złodziejom, rabusiom i rzezimieszkom, a nie ma przeciwko łobuzom, którzy gubią młode dziewczęta.

— Są, są, Gervaise — pocieszył ją Aubry.

— Są? — spytała Gervaise.

— A jakże, widzisz przecie, że wsadzili biednego Ascania do Chatelet za to, że uwiodł Colombe.

— ! dobrze zrobili — oświadczyła Gervaise, która utraty czci nigdy jeszcze nie odczuła tak dotkliwie jak od chwili, kiedy zyskała pewność, że Jakub Aubry postanowił nie dać jej w zamian swego nazwiska. — Tak, dobrze zrobili, i chciałabym, żebyś się znalazł razem z nim w Chatelet.

— Mój Boże, tego właśnie najbardziej pragnę — zawołał student — i jak już mówiłem, moja biedna, liczę na ciebie.

— Liczysz na mnie?

— A tak.

— Kpisz, niewdzięczniku.

— Nie kpię, Gervaise. Powiadam, że gdybyś miała dość odwagi...

— Jakiej odwagi?

— Żeby oskarżyć mnie przed sędzią. — O co?

— Że cię uwiodłem. Ale nigdy się nie odważysz. — Co? Nie odważę się? — oburzyła się Gervaise. — Nie odważę się powiedzieć prawdy?

— Ale pomyśl, że trzeba złożyć przysięgę, Gervaise.

— Złożę.

— Przysięgniesz, że cię uwiodłem, ja?

— Tak, tak, po stokroć tak!

— A więc wszystko w porządku — rzekł zadowolony student. — Bo wiesz, bałem się; przysięga to rzecz poważna.

— Tak, w tej chwili mogę przysiąc i poślę cię do Chatelet, mój panie.

— Dobrze!

— I spotkasz się tam z tym swoim Ascaniem.

— Cudownie!

— I będziecie mieć dość czasu, aby razem pokutować.

— Tego właśnie pragnę.

— Gdzie jest sędzia?

— W Pałacu Sprawiedliwości.

— Idę tam.

— Idźmy razem, Gervaise.

— Tak, idźmy razem; w ten sposób nie trzeba będzie czekać na karę.

— Służę ramieniem, Gervaise — rzekł student.

— Chodźmy, mój panie — powiedziała gryzetka.

I ruszyli ku Pałacowi Sprawiedliwości takim samym krokiem, jakim zwykli chadzać w niedziele na Pré-aux-Clercs albo na wzgórze Montmartre.

W miarę jednak jak się zbliżali od świątyni Temidy, jak Aubry poetycznie nazywał tęże budowlę, Gervaise wyraźnie zwalniała kroku; doszedłszy do schodów, z pewnym trudem pokonała stopnie; wreszcie przed drzwiami sędziego nogi zupełnie odmówiły jej posłuszeństwa i student poczuł, że wsparła się całym ciężarem na jego ramieniu..

— Cóż to, Gervaise? — spytał. — Czyżby odwagi ci nie stawało?

— Nie — odparła Gervaise — tylko że sędzia...o tak onieśmiela.

— To taki sam człowiek jak inni, do diaska!

— Tak. ale trzeba *mu* będzie opowiadać różne rzeczy...

— No to mu opowiesz.

— Ale trzeba będzie przysiąc.

— Więc przysięgniesz.

— Jakubie — spytała Gervaise — czy jesteś pewien, że mnie uwiodłeś? — Do kroćset! Czy jestem pewien! — oburzył się Jakub. — Sama to zresztą powtarzałaś przed chwilą.

— Tak, prawda; ale dziwne, wydaje mi się, że teraz patrzę na wszystko zupełnie inaczej niż jeszcze chwilę temu.

— No, proszę — rzekł Jakub — i już ustępujesz; wiedziałem, że tak będzie.

— Jakubie, drogi mój — zawołała Gervaise — odprowadź mnie do domu.

— Gervaise, Gervaise, nie to mi obiecywałaś.

— Jakubie, nie będę ci robiła żadnych wyrzutów, już nic ci nie powiem. Kochałam cię, bo mi się podobałeś, ot co.

— No, tak, tego się bałem — westchnął student. — Ale już za późno.

— Jak to za późno?

— Przyszłaś tu, żeby mnie oskarżyć, więc mnie oskarżysz.

— Nigdy, Jakubie, nigdy! Wcale mnie nie uwiodłeś, to ja byłam zalotna, Jakubie.

— No, proszę! — wykrzyknął student.

— Zresztą — dodała Gervaise spuszczać wzrok — można być uwiedzioną tylko raz.

— Jak to raz?

— Tak, kiedy się kocha pierwszy raz.

— No, ładnie! A ty mi wmawiałaś, żeś nigdy dotąd nie kochała!

— Jakubie, zabierz mnie do domu.

— O, co to, to nie! — odmówił Jakub zrozpaczony i odmową Gervaise, i powodem, z jakiego wynikała. — Nie nie!

I zastukał do drzwi sędziego.

— Co robisz? — wykrzyknęła Gervaise.

— Widzisz przecie: stukam.

— Wejść! — rozległ się nosowy głos.

— Nie chcę wchodzić! — sprzeciwiła się Gervaise, czyniąc wszelkie wysiłki, aby wyjąć rękę spod ramienia studenta. — Nie wejdę!

— Wejść! — powtórzył ten sam głos, lecz donośniej.

— Jakubie, będę krzyczała, wołała! — ostrzegła Gervaise.

— No, proszę wejść! — po raz trzeci ozwał się ów głos, bliżej, i jednocześnie drzwi się otworzyły.

— Czego sobie życzycie? — spytał wysoki, chudy człowiek odziany na czarno; na sam jego widok dreszcz przebiegł Gervaise od stóp do głów.

— Ta panienska — powiedział Jakub — chce wnieść skargę przeciwko łobuzowi, który ją uwiodł.

I wepchnął Gervaise do ciemnej, brudnej i szkaradnej izby, która pełniła rolę przedsionka prowadzącego do sędziowskiego gabinetu. Jednocześnie jak za naciśnięciem sprężyny drzwi się zamknęły.

Gervaise cicho krzyknęła, częściowo ze strachu, częściowo z zaskoczenia, i usiadła, a raczej osunęła się na krzesło stojące pod ścianą.

Jakub zaś, w obawie, żeby go dziewczyna nie zawołała lub nie pobiegła za nim, uciekł korytarzami — znanymi tylko studentom, bakałarzom i procesującym się — na dziedziniec Saint-Chapelle, po czym spokojniej już doszedł do mostu Saint-Michel, którym Gervaise musiała wracać.

Pół godziny później ujrzał ją.

— I co? — spytał wybiegając jej naprzeciw. — Jak to się odbyło?

— Ach! — odparła Gervaise. — Zmusiłeś mnie doprawdy do wielkiego kłamstwa; mam jednak nadzieję, że Bóg mi to wybaczy z racji intencji.

— Biorę to na siebie — pocieszył ją Aubry, — No, mów, jak to się odbyło?

— Żebym to ja wiedziała — rzekła Gervaise. — Było mi tak wstyd, że ledwie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Wiem tylko, że pan sędzia mnie przesłuchiwał i że na jego pytania odpowiadałam raz tak, a raz nie; nie jestem tylko pewna, czy odpowiadałam jak należy.

— O, nieszczęsna! — zawołał Jakub. — Zaraz się okaże, że ona siebie; oskarżyła, iż mnie uwiodła.

— O, nie! — zaprzeczyła Gervaise. — Nie sądzę, żeby aż do tego doszło.

— A mają przynajmniej mój adres, żeby mnie mogli pozwać? — spytał student.

— Tak — szepnęła Gervaise — dałam im.

— No to dobrze — uradował się Aubry — miejmy teraz nadzieję, że Bóg dokona reszty.

I odprowadziwszy dziewczynę do domu i pocieszywszy ją najlepiej, jak; potrafił w nagrodę za wniesioną fałszywą skargę, Jakub wrócił do siebie pełen wiary w Opatrzność.

I w rzeczy samej, czy to za sprawą Opatrzności, czy też przypadek wszystkim się zajął, nazajutrz Aubry otrzymał pozew, który nakazywał mu jeszcze! tego dnia stawić się przed sędzią.

Pozew spełniał najgorętsze marzenia Jakuba, a jednak — do tego stopnia sprawiedliwość napawa szacunkiem — poczuł, czytając pismo, jak przebiegł go dreszcz. Dodajmy jednak spieszenie, że pewność, iż ujrzy Ascania, pragnienie uratowania przyjaciela, którego on zgubił, rozproszyły szybko u naszego studenta ów odruch słabości.

Na wezwaniu widniała godzina dwunasta, a była dopiero dziewiąta; pobiegł przeto do Gervaise którą zastał równie podnieconą jak poprzedniego dnia.

— I co? — spytała.

— O, proszę! — zawołał Jakub triumfującym głosem, wymachując trzymanym w rękę papierem pokrytym zawijasami.

— Na którą?

— Na dwunastą. Tyle się doczytałem.

— Nie wiesz zatem, o co jesteś oskarżony?

— Ależ o to, że cię uwiodłem, jak sądzę, moja mała.

— Nie zapomnisz, że sam tego chciałeś?

— Jakże, gotów jestem z góry podpisać, że ty wcale na to nie chciałaś przystać.

— I nie będziesz mi miał za złe, że cię posłuchałam?

— Przeciwnie, będę ci jak najbardziej wdzięczny.

— Cokolwiek by się stało?

— Cokolwiek by się stało.

— Mówię o tym zresztą tylko dlatego, że zostałam zmuszona.

— Niewątpliwie.

— A jeśli w zdenerwowaniu powiedziałam co innego, niż zamierzałam, wybaczysz mi?

— Nie tylko ci wybaczę, moja droga, moja boska Gervaise, ale już ci wybaczam.

— Ach! — westchnęła Gervaise. — Ach, ty łobuzie, takimi właśnie słówkami mnie zgubiłeś!

Jak widać, nie ma najmniejszej wątpliwości co do tego, że Gervaise została uwiedziona.

Dopiero kwadrans przed dwunastą Jakub przypomniał sobie, iż jest wezwany na dwunastą. Pożegnał się z Gervaise, a jako że odległość była niemała, ruszył biegiem. Południe biło na zegarze, kiedy zastukał do drzwi sędziego.

— Wejść! — zawołał ten sam nosowy głos.

Zaproszenia nie trzeba było powtarzać i Jakub Aubry, z uśmiechem na ustach, wysoko podniesioną głową i czapką zsunietą na ucho. wkroczył do wysokiego mężczyzny w czerni.

— Jak nazwisko? — spytał ów.

— Jakub Aubry — odparł student,

— Kim jesteś?

— Bakalarzem.

— Czym się zajmujesz?

— Uwodzeniem młodych panien.

— A, to przeciwko tobie wniesiona została wczoraj skarga przez... przez...

— Przez Gervaise-Perrette Popinot.

— No właśnie, usiądź tu, mój panie, i czekaj na swoją kolej. Jakub usiadł, jak mu człowiek w czerni kazał, i czekał.

Pięć czy sześć osób w różnym wieku, o różnym wyglądzie i płci czekało jak i on, a ponieważ przyszły przed nim, wchodziły, rzecz jasna, wcześniej. Tyle że jedni wychodzili sami, i byli to niewątpliwie ci, przeciwko którym nie posiadano wystarczających dowodów, podczas gdy inni opuszczali sędziego w towarzystwie czy to oficera policji, czy to dwóch strażników prefektury. Jakub gorąco pragnął znaleźć się w położeniu tych ostatnich, bo prowadzono ich do Chatelet, gdzie on tak bardzo chciał się znaleźć.

Wreszcie wezwano Jakuba Aubry, studenta.

Jakub poderwał się natychmiast i wbiegł do gabinetu sędziego z miną tak radosną, jakby chodziło o miłą partyjkę dla uciechy.

W gabinecie sędziego znajdowało się dwóch mężczyzn: jeden wyższy, w głębszej czerni, chudszy i bardziej kanciasty niż ten z poczekalni — co jeszcze pięć minut wcześniej Jakub uznałby za niemożliwe: był to pisarz; drugi gruby, okrągły, mały, puciołowaty, o wesołym oku, uśmiechniętych ustach, dobrodusznej fizjonomii: był to sędzia.

Uśmiechy Jakuba i sędziego skrzyżowały się i student był gotów ucisnąć dłoń sędziemu, tak wielką poczuł sympatię do czcigodnego urzędnika.

— He, he, hel... — ozwał się sędzia patrząc na bakalarza.

— Daję słowo! Tak, mości sędzio — odparł student.

— W rzeczy samej wyglądasz mi na chwata — podjął tamten. — No, panie łobuzie, weź stółek i siadaj.

Jakub wziął stołek, usiadł, założył nogę na nogę i zakołysał nią radośnie.

— Tak! — rzekł sędzia zacierając dłonie. — Zobaczymy, mości pisarzu, zeznanie strony pozywającej.

Pisarz wstał i dzięki wysokiemu wzrostowi dosięgnął, zakreślając łuk, drugiego końca stołu, skąd, spośród stosu papierzysek, wydobyl akta sprawy Jakuba Aubry.

— Proszę — rzekł pisarz.

— Zobaczymy, kto to wnosi skargę? — spytał sędzia.

— Gervaise-Perrette Popinot — odparł pisarz.

— Zgadza się — powiedział student, potakująco kiwając głową — całkowicie się zgadza..

— Niepełnoletnia — dodał pisarz — dziewiętnaście lat.

— Co? Niepełnoletnia? — zawołał Aubry.

— Tak wynika z jej oświadczenia.

— Biedna Gervaise! — szepnął Aubry. — Słusznie mówiła, że była tak stropiona, iż nie wiedziała, co mówi; mnie powiedziała, że ma dwadzieścia dwa lata. Niech będzie te dziewiętnaście lat.

— A więc — odezwał się sędzia —jesteś, mój zuchu, oskarżony o uwiedzenie niepełnoletniej. He. he. he!

— He, he. he! — zawtórował Aubry. dzielając wesołość sędziego,

— W okolicznościach obciążających — ciągnął pisarz, włączając swój; skrzekliwy głos do radosnych głosów sędziego i studenta.

— W okolicznościach obciążujących — powtórzył sędzia.

— Do diabła! — odezwał się Jakub. — Byłbym kontent mogąc poznać owe okoliczności obciążające.

— Jako że powódka, od sześciu miesięcy była nieczuła na wszystkie, próby, na wszelkie zaloty...

— Od sześciu miesięcy? — przerwał Jakub. — Wybacz, panie pisarzu, ale to chyba pomyłka.

— Od sześciu miesięcy, tak jest' napisane! — podjął człowiek w czerni; tonem nic dopuszczającym sprzeciwu.

— No dobrze, niech będzie od sześciu miesięcy — przystał Jakub. — Lecz doprawdy Gervaise słusznie mówiła, że...

— Rzezony Jakub Aubry, doprowadzony do ostateczności jej obojętnością, zagroził...

— Ho, ho! — wykrzyknął Jakub.

— Ho, ho!,— zawtórował mu sędzia.

— Jednakże — ciągnął pisarz — rzezona Gervaise-Perrette Popinot nie traciła głowy i odwagi, tak że zuchwalec poprosił o wybaczenie w zamian za jego skrucę.

— No, no! — mruknął Jakub.

— No, no! — odezwał się sędzia.

— Biedna Gervaise! — ciągnął do siebie student wzruszając ramionami. — Gdzież ona miała głowę?

— Wszelako — podjął pisarz — skrucza ta była udawana, nieszczęściem powódka, w swej niewinności i nieświadomości, dała się na ową skrucę nabrać i pewnego wieczoru, kiedy



niebacznie przyjęła poczęstunek, jaki jej ofiarował oskarżony, rzeczony Jakub Aubry domieszał jej do wody...

— Do wody? — przerwał student.

— Powódka oświadczyła, że nigdy nie pija wina — kontynuował pisarz. — Rzeczony Jakub Aubry domieszał jej do wody jakiegoś trunku oszałamiającego.

— Coś takiego, mości pisarzu! — oburzył się student. — Cóż ty, u diabła, czytasz?

— Zeznanie powódki.

— Niemożliwe! — oświadczył Jakub.

— Tak jest napisane? — spytał sędzia.

— Tak jest napisane — potaknął kancelista.

— Proszę dalej.

— Właściwie — rzekł do siebie Aubry — im bardziej będę winny, tym pewniej dołączę do Ascania w Chatelet. Niech będzie upicie, Proszę dalej, mości pisarzu.

— Przyznajesz się więc, mój zuchu? — spytał sędzia.

— Przyznaję się — rzekł student. — To ci hultaj! — powiedział sędzia wybuchając śmiechem i zacierając ręce.

— Tak że — ciągnął pisarz — nieszczęsna Gervaise, straciwszy świadomość, wyznała w końcu uwodzicielowi, że go kocha.

— Ooo! — zdziwił się Jakub.

— Szczęściarz z obwiesia! — mruknął sędzia, którego małe oczka błyszczały.

— Ależ w tym wszystkim — wykrzyknął Aubry — nie ma przecież ani krzty prawdy!

— Przeczysz?

— Oczywiście.

— Proszę napisać — rzekł sędzia — że oskarżony oświadcza, iż nie poczuwa się do winy za żaden z zarzutów, jakie mu się imputuje-

— Zaraz, zaraz! — zawołał student pomyślawszy, że skoro wszystkiemu zaprzeczy, to nie zostanie uwięziony.

— A więc nie wszystkiemu zaprzeczasz, mości Aubry? — spytał sędzia.

— Przyznaję, że coś w tym prawdy jest, lecz nie w formie, a w istocie rzeczy.

— Och, skoroś już się przyznał, mój panie, do oszałamiającego napitku — rzekł sędzia — możesz też wyznać ciąg dalszy.

— Właściwie — zaczął Jakub — skoro się przyznałem do napoju oszałamiającego, przyznaję się, mości kancelisto, przyznaję się... Doprawdy — dodał do siebie — Gervaise słusznie mówiła, że...

— To jeszcze nie wszystko... — wtrącił pisarz.

— Jak to nie wszystko?

— Zbrodnia, jakiej oskarżony dopuścił się wobec panny Gervaise, miała straszne skutki. Nieszczęsna Gervaise zorientowała się, że będzie matką.

— Och, tym razem — wykrzyknął Jakub — to już za wiele!

— Wypierasz się pan ojcostwa? — spytał sędzia.

— Nie tylko wypieram się ojcostwa, ale też przeczę, jakoby Gervaise była brzemienna.

— Proszę zapisać — powiedział sędzia — że ponieważ oskarżony wypiera się nie tylko ojcostwa, ale też przeczy, jakoby powódka była brzemienna, w tym względzie przeprowadzone zostanie dochodzenie.

— Zaraz, zaraz! — zawołał Jakub, rozumiejąc, że jeśli Gervaise zostanie uznana winną kłamstwa w jednym punkcie, to całe misterne rusztowanie runie. — Zaraz, Gervaise na pewno powiedziała tak, jak imć pan pisarz przeczytał?

— Dosłownie tak powiedziała — odparł pisarz. — Ha, skoro tak powiedziała — ciągnął Aubry

działa... no cóż!

— No cóż? — spytał sędzia.

— No cóż! Widać tak jest.

— Proszę zapisać, że oskarżony przyznaje się do wszystkich głównych punktów oskarżenia.

Kancelista zapisał.

— Do kroćset! — rzekł sobie student. — Jeśli Ascanio zasłużył na tydzień Chatelet tylko i wyłącznie za to, że się zalecał do Colombc, to ja, który oszukałem Gervaise, upiłem ją, uwiodłem, mogę liczyć na co najmniej trzy miesiące więzienia. Ale, daję słowo! chciałem mieć pewność. Powinszuję zresztą Gervaise. Do diaska! Nie żałowała sobie, a Joanna d'Arc jest niczym w porównaniu z nią.

— A zatem — przerwał mu sędzia — przyznajesz się, mój panie, do przestępstw, o jakies został oskarżony?

— Przyznaję się, panie sędzio — odparł Jakub bez wahania — przyznaję się; do tych i do innych jeszcze, jeśliś ciekaw. Jestem wielkim winowajcą, mości sędzio, proszę mnie przeto nie oszczędzać.

— Bezwstydnny obwieś! — mruknął sędzia tonem, jakim komediowy wujaszek mówi do siostrzeńca. — Bezwstydnny obwieś, no!

I wielką, okrągłą głowę, obrzękłą i czerwoną, pochylił na piersi i pograżył się w głębokim rozmyślanii; po kilku minutach medytacji, podnosząc głowę i wyciągając palec wskazujący u prawej ręki, rzekł:

— Zważywszy, zważywszy, pisz, mości pisarzu, zważywszy, że niejaki Jakub Aubry, student palestry, przyznał się do uwiedzenia panny Gervaise-Perretfe Popinot posługując się obietnicami i fałszywymi wyznaniem miłości, Skazuje się rzeczzonego Jakuba Aubry na dwadzieścia paryskich groszy kary, na staranie o dziecko, jeśli będzie płci męskiej, oraz na zapłacenie kosztów sądowych.

— A więzienie? — zawołał Aubry.

— Jak to więzienie? — spytał Sędzia.

— No, więzienie. Czy przypadkiem nie mam być skazany na karę więzienia? — Nie

— Nie zamkniecie mnie w Chatelet jak Ascania?

— Kto to jest Ascanio?

— Ascanio to uczeń mistrza Benvenuto Celliniego.

— I co on takiego zrobił?

— Uwiódł dziewczynę.

— Jaką dziewczynę?

— Pannę Colombe d'Estouteville, córkę przewota Paryża.

— No i co?

— No i powiadam, że to niesprawiedliwe, skoro popełniliśmy obaj takie samo przestępstwo, różnicować karę. Jakże to tak! Jego wsadzacie do więzienia, a mnie skazujecie na dwadzieścia paryskich groszy grzywny! Więc nie ma już na tym świecie sprawiedliwości?

— Przeciwnie — odparł sędzia — właśnie dlatego, że sprawiedliwość jest, i to sprawiedliwość dobrze pojmwana, tak zostało postanowione.

— Co takiego?

— Ano tak; jest honor i honor, mój ty nicponiu; honor panny dobrze urodzonej wart jest więzienia; honor gryzетки wart jest dwadzieścia groszy. Jeśliś chciał się znaleźć w Chatelet, trzeba było się zwrócić do księżnej, a wszystko by się gładko potoczyło.

— Ależ to okropne! Niemoralne! Karygodne! — zawołał student.

— Drogi przyjacielu — odezwał się sędzia — zapłać grzywnę i idź już sobie.

— Nie zapłacę grzywny i nie ruszę się stąd.

— W takim razie wezwę dwóch pachołków i każę cię odprowadzić do więzienia, dopóki nie zapłacisz.

— Tego właśnie chcę.

Sędzia wezwał dwóch strażników.

— Odprowadzić tego hultaja do Grands-Carmes.

— Do Grand-Carmes! — wykrzyknął Jakub. — A dlaczego nie do Chatelet?

— Dlatego, że w Chatelet nie siedzi się za długi, zrozum, przyjacielu; dlatego, że Chatelet jest królewską fortecą i trzeba popełnić zaiste wielkie przestępstwo, żeby się tam znaleźć. Do Chatelet! Jeszcze czego, mój panku, już ja ci pokażę Chatelet!

— Zaraz, zaraz — rzekł Aubry — chwileczkę.

— Co znowu?

— Skoro nie wsadzicie mnie do Chatelet, to płacę.

— A jeśli płacisz, to nie ma o czym mówić. Odejdźcie, panowie strażnicy, odejdźcie, ten młodzian płaci.

Pachołcy wyszli, a Jakub odliczył z mieszka dwadzieścia paryskich groszy i ułożył je rządkiem na biurku sędziego.

— Proszę sprawdzić, czy jest, co się należy — polecił sędzia.

Pisarz podniósł się i aby wypełnić otrzymane polecenie, wygiął się tak, że opisujące półkole jego ciało, które zdawało się posiadać właściwość wydłużania się w nieskończoność, opasywało stół i leżące na nim papiery; tak stojąc, z nogami na ziemi i obydwoma rękami na biurku sędziego, wyglądał zupełnie jak żałobna tęcza.

— Jest, co się należy — rzekł.

— Odejdź więc, nicponiu — rzekł sędzia — i zrób miejsce innym; sprawiedliwość nie może się zajmować wyłącznie tobą. No, idź.

Jakub wiedział, że nie ma tu już czego szukać, odszedł przeto zrozpaczony.

## ROZDZIAŁ XIII

### W KTÓRYM JAKUB AUBRY OSIĄGA EPICKĄ WIELKOŚĆ

— Coś podobnego — mówił do siebie student wychodząc z Pałacu Sprawiedliwości i machinalnie idąc mostem aux Moulins, który prowadził niemal do samego Chatelet; — coś podobnego! Ciekaw jestem, co powie Gervaise, kiedy się dowie, że jej honor oszacowany został na dwadzieścia paryskich groszy! Powie, że byłem niedyskretny, że ujawniłem tajemnice, po czym wydrapie mi oczy. Ale kogóż to widzę!

Tym, kogo zobaczył student, był paż owego tak uprzejmego pana, któremu Jakub przywykł był zwierzać swe tajemnice i którego uważał za swego najbliższego przyjaciela. Chłopiec stał oparty o poręcz nad rzeką i zabawiał się podrzucaniem kamyków.

— Do diaska! — rzekł sobie Jakub. — Spada mi jak z nieba. Przyjaciel, którego nazwiska nie znam, i który wydaje mi się jak najlepiej widziany u dworu, będzie może w stanie wsadzić mnie do więzienia. Doprawdy Opatrzność zsyła mi jego pazia, aby powiedział, gdzie mogę go znaleźć, zważywszy, że nie znam ani jego nazwiska, ani adresu.

I aby skorzystać z tego, co uważał za łaskawość losu, Aubry podszedł do pazia, ten zaś także go poznając, chwycił kolejno w rękę trzy podrzucane kamyki i skrzyżowawszy nogę prawą na lewej, czekał na studenta z ową drwiącą miną, tak charakterystyczną dla korporacji, do której miał zaszczyt przynależać.

— Witaj, mości paziu — zawołał Aubry z daleka, kiedy uznał, że młodzian go usłyszy.

— Witaj, mości studencie — odparł chłopiec. — Co tu porabiasz?

— Daję słowo! Skoro już mam ci powiedzieć, szukałem czegoś, co zdaje się znalazłem, bo oto natknąłem się na ciebie; szukałem adresu mojego wspaniałego przyjaciela, hrabi... barona... wicehrabi... adresu twojego pana.

— Chciałbyś go widzieć? — spytał paż.

— Nawet zaraz, jeśli możliwe.

— Stanie się wedle twego życzenia, bo właśnie wszedł do przewota.

— Do Chatelet? -

— Wkrótce stamtąd wyjdzie.

— Szczęśliwy, że może wchodzić do Chatelet, kiedy chce; ale w takim razie musi być blisko z mości Robertem d'Estouteville ten mój przyjaciel wicehrabia... hrabia... baron...

— Wicehrabia...

— Mój przyjaciel wicehrabia... de... powiedz no — ciągnął Aubry, pragnąc skorzystać z okazji i wreszcie poznać nazwisko przyjaciela — wicehrabia de...

— Wicehrabia de Mar...

— Ach! — krzyknął naraz student widząc, że ten, na którego czekał, pojawił się w bramie, i nie pozwalając dokończyć paziowi. — Ach, drogi wicehrabio, jesteś nareszcie. Szukam ciebie, właśnie ciebie, czekam.

— Witam, witam — rzekł Marmagne, wyraźnie niezadowolony ze spotkania. — Witaj, mój drogi. Chętnie bym z tobą pogawędził, lecz, niestety, niezmiernie się spieszę. A zatem żegnam.

— Zaraz, zaraz! — zawołał Jakub, kurczowo czepiając się ramienia rozmówcy. — Do diabła, chwileczkę, nie odejdziesz przecież ot, tak! Mam do ciebie ogromną prośbę.

— Ty?

— Tak, ja; a prawo boskie mówi, jak wiesz, że przyjaciele winni sobie pomagać.

— Przyjaciele?

— A jakże; czyś nie jest moim przyjacielem? Bo cóż buduje przyjaźń? Zaufanie. Otóż ja pokładam w tobie absolutne zaufanie: opowiadam ci o wszystkich moich sprawach, a także o sprawach innych.

— Żałowałeś tego kiedyś?

— Nigdy, przynajmniej jeśli chodzi o ciebie, wicehrabio; ale nie z każdym sprawy tak się przedstawiają. Jest w Paryżu pewien człowiek, którego szukam i z pomocą bożą kiedyś znajdę.

— Drogi mój — przerwał mu Marmagne, domyślając się, kogo to Aubry, szuka — powiedziałem, że się bardzo spieszę.

— Ale zaczekaj, mówię przecie, że mógłbyś mi oddać przysługę...

— Mów więc szybko.

— Dobrze jesteś widziany u dworu, prawda?

— Cóż, moi przyjaciele tak twierdzą.

— Masz więc jakieś wpływy?

— Moi wrogowie mogliby o tym coś powiedzieć.

— A zatem, drogi hrabio... drogi baronie... drogi...

— Wicehrabio.

— Wprowadź mnie do Chatelet.

— W jakim charakterze?

— W charakterze więźnia po prostu.

— W charakterze więźnia? Zaiste dziwne pragnienie!

— Cóż chcesz, taki już jestem.

— A w jakim celu chcesz się znaleźć w Chatelet? — spytał Marmagne, domyślając się, iż owo pragnienie studenta kryje w sobie jakąś nową tajemnicę, którą mógłby wykorzystać.

— Komu innemu bym słowa nie pisał, drogi przyjacielu — odparł Jakub — przekonałem się bowiem na własnej skórze, a raczej na skórze Ascania, że trzeba umieć milczeć. Ale ty, wicehrabio, to co innego. Wiesz dobrze, że przed tobą niczego nie skrywam.

— Skoro tak, to mów szybko.

— Wprowadzisz mnie do Chatelet, jeśli ci powiem?

— Natychmiast.

— A więc, przyjacielu, wyobraź sobie, że byłem tak nieostrożny, że zwierzyłem się nie tylko tobie, iż widziałem uroczą pannę w głowie Marsa.

— I co?

— Rozum mi wywiało! Mózg przeniecony! Rozgadali wszystko do tego stopnia, że doszło to do uszu prewota; ponieważ zaś prewotowi kilka dni wcześniej zginęła córka, domyślił się, że to ona właśnie tam się ukrywa. Uprzedził tego d'Orbeca i diuszese d'Etampes; przyszli przeszukać Grand-Nesle, kiedy Cellini przebywał w Fontainebleau. Zabrali Colombe, a Ascania wsadzili do więzienia.

— Hmm.

— Dokładnie tak było, jak mówię, mój drogi. A kto tym wszystkim kierował? Niejaki wicehrabia de Marmagne.

— Lecz ciągle nie mówisz — przerwał wicehrabia, z niepokojem słysząc, że jego nazwisko nieustannie powraca na usta studenta — dlaczego chcesz się dostać do Chatelet.

— Nie pojmujesz?

— Nie.

— Uwięzili Ascania.

— Tak.

— Zaprowadzili go do Chatelet.

— I owszem.

— Ale nie wiedzą jednej rzeczy, o której nie wie nikt oprócz diuszesy d'Etampes, Benvenuta i mnie, a mianowicie że Ascanio jest w posiadaniu pewnego liściku, pewnego sekretu, mogącego zgubić diuszese. I cóż, teraz pojmujesz?

— Tak, co nieco. Ale pomóż mi, mój drogi.

— Widzisz, wicehrabio — ciągnął Aubry, coraz bardziej wielkopański ton przyjmując — chcę się dostać do Chatelet, dotrzeć do Ascania, wziąć ten list lub poznać tajemnicę, wyjść z więzienia, udać się do Benvenuta i wymyślić razem z nim jakiś sposób, żeby zatriumfowała cnota Colombe i miłość Ascania, ku wielkiej kontuzji wszystkich Marmagne'ów, d'Orbeków, prewotów, diuszesy d'Etampes i całej tej klikki.

— Niezwykle pomysłowe — przyznał Marmagne. — Dzięki za zaufanie, drogi bakałarzu. Nie będziesz tego żałował.

— Obiecasz mi zatem protekcję?

— Po co?

— Ależ żeby się dostać do Chatelet, jak cię prosiłem.

— Możesz na mnie liczyć.

— Zaraz?

— Zaczekaj tu na mnie.

— Tutaj?

— W tym miejscu właśnie.

— A ty gdzie idziesz?

— Po nakaz zatrzymania cię.

— Ach, przyjacielu! Drogi baronie, najdroższy wicehrabio! Ale jak myślisz, może powinieneś mi podać swoje nazwisko i adres na wypadek, gdybym cię potrzebował?

— To zbędne, zaraz wracam.

— Tak, tak, wracaj szybko; a jeśli, spotkasz gdzieś po drodze tego przekłętą Marmagne'a, powiedz mu...

— Co takiego? — spytał wicehrabia.

— Powiedz mu, że coś sobie poprzysiągłem.

— Co?

— Że zginie z mojej ręki.

— Bywaj, przyjacielu — zawołał wicehrabia. — Bywaj, i czekaj tu.

— Do zobaczenia! — odparł Aubry. — Czekam, Ach, zaiste jesteś prawdziwym przyjacielem, człowiekiem, na którym można polegać, i bardzo bym chciał wiedzieć...

— Żegnaj, mości studencie — odezwał się paż, który przez całą rozmowę trzymał się na uboczu, a teraz ruszał za swoim panem.

— Żegnaj, mości paziu — rzekł Aubry. — Ale, ale, zanim się rozstaniemy, jeszcze coś.

— Co znowu?

— Kim jest ów szlachetny pan, którego barwy masz zaszczyt nosić?

— Ten, z którym przez kwadrans rozmawiałaś?

— Tak.

— Którego zwiesz swoim przyjacielem?

— Tak.

— Nie wiesz, jak się zwie?

— Nie. .

— Ależ to...

— Pan bardzo znany, prawda?

— I owszem.

— Wpływowy?

— Po królu i diuszecie d'Etampes on właśnie może wszystko.

— Ach!... I powiadasz, że jak się nazywa?

— Nazywa się wicehrabia... Ale oto odwraca się i woła mnie. Wybacz...

— Wicehrabia de...

— Wicehrabia de Marmagne.

— Marmagne! — wykrzyknął Jakub. — Wicehrabia de Marmagne! Ten młody pan jest wicehrabią de Marmagne!

— We własnej osobie.

— Marmagne! Przyjaciel prewota, d'Orbeca i diuszesy d'Etampes!

— Ten sam.

— I wróg Benvenuto Celliniego!

— A jakże.

— Ach! — wykrzyknął Aubry, niczym w świetle błyskawicy widząc przeszłość. — Teraz wszystko rozumiem! Ach! Marmagne! Marmagne!

I ponieważ student był bez broni, ruchem szybkim niczym myśl złapał krótką szpadę pazia za rękojeść, wyrwał ją z pochwy i rzucił się w pogoń za Marmagne'em wołając:

— Stój!

Na pierwszy okrzyk zaniepokojony Marmagne obejrzał się, a widząc, że Jakub goni ze szpadą w ręku, domyślił się, iż został wreszcie odkryty. Były tylko dwa wyjścia: uciec albo zaczekać. Otóż Marmagne ani nie był na tyle odważny, żeby zaczekać, ani na tyle tchórzliwy,

żeby uciec. Wybrał więc wyjście pośrednie i rzucił się ku domowi, którego brama stała otworem, w nadziei, że bramę ową zamknie; na jego nieszczęście jednak bramę przytrzymał przy murze łańcuch — nie zdołał go odzepić, tak że goniący za nim Aubry wtargnął na podwórze, zanim wicehrabia zdążył dopaść schodów.

— Ach! Marmagne! Przeklęty wicehrabio! Szpiegu zakazany! Rabusiu tajemnic! Ach, to ty! Wreszcie cię znam, mam cię. Łap za broń, nędzniku! Łap za broń!

— Mój panie — rzekł na to Marmagne, próbując go zaskoczyć wielkopańskim tonem — liczysz na to, że wicehrabia de Marmagne uczyni zaszczyt studentowi Jakubowi Aubry krzyżując z nim szpadę?

— Jeśli wicehrabia de Marmagne nie uczyni zaszczytu Jakubowi Aubry krzyżując z nim szpadę, to student Jakub Aubry będzie miał zaszczyt przebić ciało wicehrabi de Marmagne.

I aby nie pozostawić żadnych wątpliwości temu, do którego pogroźkę kierował, Jakub przyłożył koniec szpady do piersi wicehrabi i przez kaftan ukłuł go lekko żelazem.

— Morderca! — krzyknął Marmagne. — Na pomoc! Morderca!

— Och, krzycz sobie do woli — odparł Jakub. — Przystaniesz krzyczeć, zanim tu ktoś przyjdzie. Najlepsze, co możesz zrobić, wicehrabio, to bronić się. Dobądź więc szpady, dobądź szpady!

— Dobrze, skoro chcesz — zawołał wicehrabia. — Poczekaj, zaraz zobaczysz!

Marmagne, co się dało zauważyć, nie grzeszył odwagą; ale jak wszyscy szlachcice w tych rycerskich czasach, otrzymał pewną edukację wojenną. Co więcej, uchodził nawet za niezłego szermierza. Powiadano co prawda, że ta opinia miała mu raczej oszczędzić przykrych starć, w jakie mógł się wdać, aniżeli szczęśliwie kończyć te, w które się wplątał. Niemniej widząc, iż Jakub mocno na niego napiera, dobył szpady i przyjął postawę zgodnie z wszelkimi regułami sztuki.

Wszelako tak jak zręczność Marmagne'a uznano między dworzanami, tak zręczności Jakuba Aubry nie kwestionowano pośród studentów uniwersytetu i klerków palestry. Stąd już przy pierwszym cięciu obaj wrogowi zorientowali się, że mają do czynienia z silnym przeciwnikiem; tyle że Marmagne miał w jednym wielką przewagę. Ponieważ Aubry zabrał szpadę pazia, była ona o sześć cali krótsza od szpady wicehrabi: nie jest to wielka niedogodność w razie obrony, ale bardzo niekorzystne w przypadku ataku.

I w rzeczy samej, Marmagne był wyższy o sześć cali od studenta i zbrojny w szpadę o pół stopy dłuższą, toteż wystarczyło, żeby mu machał końcem żelaza koło nosa, aby utrzymać dystans, podczas gdy Aubry daremnie atakował, robił finty i wypady — wicehrabia, nie musząc się nawet o krok cofać, lecz dosuwając nogę prawą, do lewej, znajdował się poza jego zasięgiem. W związku z tym już dwa, trzy razy, mimo gwałtownej parady, długa szpada wicehrabi musnęła pierś studenta, podczas gdy on, robiąc nawet najgłębszy wypad, przesywał tylko powietrze.

Aubry pojął, że jest zgubiony, jeśli będzie kontynuował tę zabawę, i aby przeciwnik nie przejrzał planu, jaki właśnie obmyślił, nadal atakował i parował zwykłymi paradami i fintami, nieznacznie cal po calu posuwając się do przodu; kiedy uznał, że jest już dosyć blisko, odkrył się niby to przez nieuwagę. Marmagne wtedy zrobił wypad; Aubry, przewidziawszy to, wykonał paradę z zasłoną, po czym wykorzystując, że szpada przeciwnika znajdowała się dwa cale nad jego głową, wśliznął się pod żelazo skokiem robiąc jednocześnie wypad, i to tak zręcznie a szybko, że krótka szpada pazia zniknęła aż po gardę w piersi wicehrabi.

Marmagne wydał przenikliwy krzyk świadczący o powadze rany: po czym opuszczając rękę poblądł, upuścił szpadę i runął jak długi.



W tej właśnie chwili, zwabiony krzykami Marmagne'a, gestami pazia i widokiem zgromadzenia, jakie się utworzyło przed bramą, nadbiegł patrol straży, a ponieważ Aubry trzymał jeszcze w ręku zakrwawioną szpadę, aresztowano go.

Aubry początkowo zamierzał stawiać opór; ponieważ jednak dowódca patrolu zawołał głośno: — Rozbroić tego łotra i odprowadzić do Chatelet — oddał szpadę i poszedł do więzienia, o co tak się ubiegał, wielbiąc wyroki Opatrzności, która spełniła jednocześnie dwa jego najgorętsze pragnienia: pozwoliła mu się zemścić na Marmagne'u i znaleźć bliżej Ascania.

Tym razem nie czyniono żadnych trudności z przyjęciem go do królewskiej fortecy; jedynie, ponieważ — jak się zdaje — chwilowo cierpiała na nadmiar lokatorów, odźwierny odbył z dyrektorem więzienia długą rozmowę, aby ustalić, gdzie zamknie się nowo przybyłego: wreszcie dwie czcigodne osobistości chyba się dogadały, albowiem odźwierny dał znak Jakubowi, aby za nim poszedł, sprowadził go po trzydziestu dwóch stopniach, otworzył drzwi, wepchnął go do ciemnej celi i zasunął za nim rygle.

## ROZDZIAŁ XIV

# O TRUDNOŚCIACH, JAKICH DOŚWIADCZA UCZCIWY CZŁOWIEK, ABY SIĘ WYDOSTAĆ Z WIĘZIENIA

Student stał przez chwilę oszołomiony szybkim przejściem ze światła w ciemność; gdzie się znajdował? Nie wiedział. Czy był blisko czy daleko od Ascania? Tego również nie wiedział. W korytarzu, którym przyszedł, spostrzegł tylko, oprócz drzwi otwartych dla niego, dwoje innych drzwi; lecz pierwszy krok do celu już uczynił — był pod tym samym dachem co jego przyjaciel.

. Ale że nie mógł wiecznie tkwić w jednym miejscu, a w drugim końcu celi, to znaczy jakieś piętnaście kroków przed sobą, widział nieco światła wpadającego przez okienko, ostrożnie przeto wyciągnął nogę z instynktownym zamiarem dojścia do jaśniejszego miejsca; gdy jednak uczynił drugi krok, brakło *mu* jakby raptem ziemi pod stopami; stoczył się po trzech czy czterech schodach i niewątpliwie z rozpędu byłby sobie rozbił głowę o mur, kiedy naraz nogi zaplątały mu się w jakąś przeszkodę, przez co się w tejże chwili zatoczył. Dzięki temu wyszedł z wypadku z kilkoma stłuczeniami.

Przeszkoda, która niechcący oddała studentowi przysługę, wydała głośny jęk.

— Przepraszam — odezwał się Jakub, wstając i grzecznie zdejmując берет. — Proszę o wybaczenie, bo zdaje się, że wszedłem na kogoś czy na coś, a na tak niestosowną rzecz nigdy bym sobie nie pozwolił, gdybym dobrze widział.

— Wszedłeś, mój panie — rozległ się głos — na to, co przez sześćdziesiąt lat było człowiekiem, a co na wieki stanie się trupem.

— W takim razie — odparł Jakub — jeszcze bardziej żałuję, że przeszkodził wam w chwili, gdyście bez wątpienia, jak winien uczynić każdy dobry chrześcijanin, robili rachunki z Bogiem.

— Moje rachunki z Bogiem są wyrównane, mości studencie; nagrzeszyłem jak człowiek, ale wycierpiałem się jak męczennik i mam nadzieję, że Bóg, ważąc moje grzechy i cierpienia, uzna, iż waga cierpień przewyższa wagę grzechów.

— Amen — rzekł Aubry — i życzę wam tego z całego serca. Ale jeśli nie trudzi was to chwilowo, drogi mój towarzyszu — powiadam drogi, bo tuszę, iż nie chowacie do mnie urazy za ów drobny wypadek, któremu zawdzięczam zawarcie z wami znajomości; a więc, jeśli was to nie trudzi powiedzcie no, po czym poznaliście, że student?

— Po twoim odzieniu, a zwłaszcza po kałamarzu zawieszonym u pasa w miejscu, gdzie szlachcic nosi sztylet.

— Poznaliście po odzieniu, po kałamarzu? Coś takiego, drogi towarzyszu, powiedzieliście przecie, jeśli się nic mylę, że właśnie konacie?

— Żywię nadzieję, że wreszcie osiągnąłem kres moich cierpień; tak, spodziewam się dzisiaj zasnąć na ziemi, a obudzić jutro w niebie.

— Nie mam nic przeciwko temu — rzekł na to Jakub — zważcie jeno, że sytuacja, w jakiej się w tej chwili znajdujecie, nic jest z tych, kiedy to człowiek lubi sobie dworować.

— A kto powiedział, że sobie dworuję? — szepnął umierający z głębokim westchnieniem.

— Jakże to! Powiadacie, żeście mnie poznali po odzieniu, po kałamarzu u pasa, a ja na próżno patrzę, nawet własnych rąk nie widzę.

— To zgoła możliwe — odparł więzień — kiedy jednak pobędzieszp jak ja piętnaście lat w celi, twoje oczy będą widziały w ciemnościach równie dobrze, jak niegdyś widziały w pełnym świetle dnia.

— Niechaj mi je raczej diabeł wydrapie, niżbym miał się tego, nauczyć! — zawołał Jakub. — Piętnaście lat! Piętnaście lat siedzicie w więzieniu?

— Piętnaście albo szesnaście, może więcej, może mniej; dawno już przestałem liczyć dni i mierzyć czas.

— Popełniliście tedy jakoweś straszliwe przestępstwo — wykrzyknął Aubry — że was tak bezlitośnie ukarano?

— Jestem niewinny — odparł więzień.

— Niewinny! — zawołał przerażony Aubry. — No wiesz, drogi towarzyszu, zwróciłem wam już przecie uwagę, że chwila nie jest stosowna na żarty.

— A ja odpowiedziałem, że wcale nie żartuję.

— Ale to jeszcze mniej stosowna pora na kłamstwa, zważywszy, że żart to po prostu igraszka umysłu, która nie uwłacza ani niebu, ani ziemi, podczas gdy kłamstwo jest grzechem śmiertelnym, który obciąża duszę.

— Nigdy nie skłamałem.

— Jesteście niewinni i od piętnastu lat siedzicie w więzieniu?

— Piętnaście lat, może więcej, może mniej, już mówiłem.

— Coś takiego! — zawołał Jakub. — I ja jestem niewinny!

— Niech cię tedy Bóg strzeże — odparł konający.

— Jak to, niech Bóg mnie strzeże?

— A tak, bo winny może mieć nadzieję, że zostanie mu przebaczone; niewinny nigdy!

— Bardzo to głębokie, przyjacielu, 'co mówicie; ale wiecie, to wcale nie jest pocieszające.

— Mówię tylko prawdę.

— No dobrze — podjął Jakub — ale chyba macie jakiś grzeszek na sumieniu; powiedzcie tak między nami.

I Jakub, który w rzeczy samej zaczynał rozróżniać w ciemnościach przedmioty, wziął stołek, przeniósł go w pobliże legowiska umierającego i wybrawszy miejsce, gdzie ściany tworzyły kąt, ustawił tam taboret i usiadł na tym jakby zaimprovizowanym fotelu najwygodniej jak mógł.

— Ha, milczycie, przyjacielu, nie ufacie mi. Cóż, rozumiem!; piętnaście lat celi musiało was uczynić nieufnym. No tak, ja się nazywam Jakub Aubry, mam dwadzieścia dwa lata, jestem studentem, coście zauważyli — tak przynajmniej twierdzicie. Miałem pewne powody, które tylko mnie dotyczą, żeby dać się zamknąć w Chatelet; jestem tu od dziesięciu minut; dostąpiłem zaszczytu zawarcia z wami znajomości; oto całe moje życie; i teraz znacie mnie tak. samo jak ja

znam siebie; kolej na was przyjacielu, opowiadajcie.— Jestem — rzekł więzień — Etienne Raymond.

— Etienne Raymond — szeptem powtórzył Jakub — nic mi tonie mów.

— Przede wszystkim — rzekł człowiek, który się przedstawił — byłeś dzieckiem, kiedy z woli Boga zniknąłem z powierzchni ziemi; po drugie, zajmowałem tam tak niewiele miejsca i czyniłem tak mało hałasu, że nikt nawet nie spostrzegł mojej nieobecności.

— Ale coście w końcu robili? Kim byliście?

— Byłem zaufanym konetabla de Bourbon.

— Och! I jak on zdradziliście państwo! Skoro tak, to już się nie dziwię.

— Nie. Nie zgodziłem się zdradzić mojego pana, to wszystko.

— No i co? Jakże się to stało?

— Byłem w Paryżu w pałacu konetabla, on zaś mieszkał wtedy w swoim zamku w Bourbon-PArchambaut. Jednego dnia przybył do mnie kapitan jego straży z listem od jego wysokości. W liście tym otrzymałem rozkaz natychmiastowego wydania posłańcowi zapieczętowanej paczuski, którą znajdę w sypialni diuka, w małej szafeczce u wezgłowia jego łoża. Poprowadziłem kapitana do sypialni, podszedłem do wezgłowia, otwarłem szafkę, paczuska była we wskazanym miejscu, oddałem ją posłańcowi, a on zaraz odjechał. W godzinę później dowodzeni przez oficera żołnierze przyszli do mnie z Luwru, rozkazali otworzyć sypialnię i pokazać sobie szafkę znajdującą się u wezgłowia łoża. Uczyniłem, co kazali, otworzyli szafkę, lecz daremnie szukali: a szukali właśnie paczuski dopiero co zabranej przez posłańca diuka.

— Do diabła! — szepnął Aubry, który zaczynał się żywo wczuwać w położenie swego towarzysza niedoli.

— Oficer obrzucił mnie okropnymi pogroźkami, na które nie odpowiadałem inaczej, jak tłumacząc, że nie wiem, czego ode mnie żąda; bo gdybym powiedział, że niedawno oddałem paczkę posłańcowi diuka, mogliby za nim pojechać i dogonić go.

— Do kroćset! — przerwał Aubry. — Sprytnie, i postąpiliście jak dobry i wierny sługa.

— Wtedy oficer kazał dwóm żołnierzom mnie pilnować, a sam z pozostałymi dwoma wrócił do Luwru. Po półgodzinie przyszedł z powrotem z rozkazem odstawienia mnie do zamku Pierre-en-Scise w Lyonie; zakuli mi nogi w kajdany, związali ręce, wrzucili do karetki, po bokach posadzili żołnierzy. Pięć dni później znalazłem się w więzieniu, które, trzeba przyznać, było o wiele mniej ciemne i surowe niż to; ale to nieważne — szepnął konający — więzienie to zawsze więzienie i w końcu przywykłem do tego, jak i do innych.

— Hmm! — chrząknął Jakub — to dowodzi, żeście filozof.

— Minęły trzy dni i trzy noce — ciągnął Etienne Raymond. — Wreszcie czwartej nocy obudził mnie lekki szmer; otworzyłem oczy; drzwi się uchylały; weszła zawoalowana kobieta w towarzystwie strażnika więziennego; strażnik postawił na stole lampę i na znak mojego nocnego gościa pokornie wyszedł; wtedy ona zbliżyła się do mojego legowiska i odsłoniła twarz: krzyknąłem.

— No i kto to był? — spytał Aubry, ochoczo przysuwając się do opowiadającego.

— Była to sama Ludwika Sabaudzka, była to diuszesa d'Angouleme we własnej osobie; była to regentka Francji, matka króla.

— Ho, ho! — mruknął Jakub. — I czegoż to ona szukała u takiego szaraczka jak wy?

— Przyszła po ową zapieczętowaną paczuszkę, którą dałem posłańcowi diuka, a która zawierała listy miłosne napisane przez nieostrożną diuszese do człowieka teraz przez nią prześladowanego.

— Patrzcie, patrzcie! — szepnął Aubry przez zęby. — To ci historia diabelnie podobna do historii diuszesy d'Etampes i Ascania.

— Cóż, wszystkie historie szalonych i zakochanych księżniczek są do siebie podobne — odparł więzień, zdający się mieć równie czuły słuch, jak wzrok przenikliwy. — Tylko biada maluczkiemu, którzy zostaną w to zamieszani.

— Zaraz, zaraz, zwiastunie nieszczęść! — zawołał Aubry. — Co wy, u diabła, gadacie? Ja także jestem zamieszany w historię szalonej i zakochanej diuszesy!

— Ha, skoro tak, to pożegnaj się z dniem, pożegnaj się ze słońcem, pożegnaj się z życiem.

— A idźcie do diabła z tymi waszymi prorocत्वami! Co ja znacę w tym wszystkim? Nic ja jestem zakochany, lecz Ascanio.

— A czy ja byłem zakochany? — podjął więzień. — Ja, o którego istnieniu dotąd nawet nie wiadomo? Nie, ale ja się znalazłem między jałową miłością i owocną zemstą, mnie zniszczyło zderzenie tych uczuć.

— Tam do kata!, — wykrzyknął Jakub. — Nie jesteście zabawny, mój pocziwczu. Ale wróćmy do diuszesy, bo właśnie dlatego, że wasza opowieść przyprawia mnie o strach, niezwykle mnie ciekawi.

— Chciała więc te listy, jak powiedziałem. W zamian za .listy obiecywała mi zaszczyty, godności, tytuły; żeby je dostać z powrotem, gotowa by znowu wyłudzić czterysta tysięcy skudów od jakiegoś nowego Semblahcaya, choćby za swą uprzejmość miał zapłacić na szafocie.

Odpowiedziałem jej, że nie mam tych listów, że ich wcale nie widziałem, że nie wiem, o czym mówi.

Wtedy po obietnicach nastąpiły pogroźki; ale tak samo nie mogła mnie przestraszyć, jak nie zdołała oczarować, bo powiedziałem prawdę. Listy oddałem wszak posłańcowi mojego pana.

Wyszła wściekła, po czym przez cały rok ani słowa o tym nie usłyszałem. Po roku wróciła i powtórzyła się ta sama scena. Tym razem ja ą prosiłem, błagałem, żeby mnie kazała uwolnić. Zaklinałem ją na imię mojej żony, na głowy dzieci; wszystko na próżno: musiałem oddać listy lub umrzeć w więzieniu.

Pewnego dnia znalazłem w chlebie pilnik.

Mój szlachetny pan przypomniał sobie o mnie; niewątpliwie będąc nieobecny, jako wygnaniec, uciekinier, nie mógł mnie uwolnić ani prośbą, ani siłą. Przysłał do Francji swego sługę, który ugodził się ze strażnikiem, że ten przekaże mi pilnik mówiąc, kto go przysłał.

Przepiłowałem jeden pręt w oknie. Z prześcieradeł ukręciłem sznur; spuściłem się na dół, ale dotarłszy do końca sznura, daremnie szukałem stopą ziemi; skoczyłem wzywając imię Boga i złamałem sobie nogę; nocny ront znalazł mnie zemdlonego.

Przewieziono mnie wtedy na zamek ChAlons-sur-Saone. Przebywałem tam blisko dwa lata; po dwóch latach moja prześladowczyca znów się pojawiła w więzieniu. Listy, ciągle te listy ją sprowadzały. Tym razem była w towarzystwie oprawcy; rozkazała mnie przepytac; było to wszakże zbędne okrucieństwo, diuszesa niczego nie zyskała, niczego nie mogła zyskać. Nie wiedziałem nic ponad to, że oddałem te listy posłańcowi diuka.

Pewnego dnia znalazłem na dnie dzbana z wodą sakiewkę pełną złota: to nadal mój szlachetny pan pamiętał o swoim nieszczęsnym słudze.

Przekupiłem strażnika, a raczej nędznik udał, że daje się przekupić; o północy przyszedł otworzyć mi drzwi celi. Wyszędłem. Ruszyłem za nim korytarzami; już czułem powietrze ludzi żywych; już myślałem, że jestem wolny; naraz rzucili się na nas siepacze i związali nas obu. Mój przewodnik udał, że wzruszyły go moje prośby, aby przywłaszczyć sobie złoto, które u mnie widział; potem zdradził mnie, aby otrzymać nagrodę obiecaną donosicielom.

Przewieziono mnie do Chatelet, do tej celi.

I tutaj po raz ostatni widziałem Ludwikę Sabaudzką: przysłała z katem.

Bliskość śmierci nie większy wywarła skutek niżli obietnice, pogrożki, tortury. Kat związał mi ręce; na hak zarzucił sznur, a sznur założył na szyję. Stale odpowiadałem to samo, dodając, że prześladowczym spełnia moje pragnienie zezwalając mi umrzeć, tak pogrążało mnie w rozpacz życie w niewoli.

Niewątpliwie to właśnie ją powstrzymało. Wyszła, a za nią kat.

Odtąd już jej nie zobaczyłem. Co się stało z moim szlachetnym diukiem? i Co się stało z okrutną diuszesa? Nie wiem, bo od tej pory, a to już chyba z piętnaście lat, ani słowa nie zamieniłem z żywą istotą.

— Obydwoje nie żyją — odparł Jakub.

— Nie żyją! Mój szlachetny diuk nie żyje! Ależ byłby jeszcze młody, miałby zaledwie pięćdziesiąt dwa lata! Jak umarł?

— Został zabity podczas oblężenia Rzymu i prawdopodobnie... Jakub miał dodać: przez jednego z moich przyjaciół; ugryzł się jednak

w język pomyślawszy, że mogłoby to zmrozić stosunki między nim a starcem. Jak wiadomo, Aubry stawał się rozważny.

— Prawdopodobnie...? — podjął starzec.

— Przez pewnego złotnika, niejakiego Benvenuto Celliniego.

— Dwadzieścia lat temu przekląłbym mordercę; dzisiaj mówię w duchu: Niechaj morderca będzie błogosławiony! Czy sprawili przynajmniej pogrzeb godny mojego szlachetnego diuka?

— A jakże: wystawili mu grobowiec w katedrze w Gaecie, a na grobowcu owym widnieje epitafium mówiące, że wobec tego, który tam spoczywa, Aleksander Wielki był tylko nicponiem, a Cezar psotnikiem.

— A ona?

— Jaka ona?

— No, moja prześladowczyni?

— Też nie żyje; zmarła dziewięć lat temu.

— Ano tak. Pewnej nocy ujrzałem w więzieniu modlącą się na klęczkach zjawę. Krzyknąłem, cień znikł. To ona przysłała prosić mnie o przebaczenie.

— Sądzicie więc, że w chwili śmierci wybaczyła?

— Dla zbawienia jej duszy ufam, że tak było.

— Ale w takim razie powinni by cię uwolnić.

— Może poleciała to uczynić; lecz ja tak niewiele znaczę, że w tym wielkim nieszczęściu zapomniano o mnie.

— A więc w chwili śmierci i wy jej przebaczyście?

— Podnieś mnie, młodzieńcze, chcę się pomodlić za obydwójce.

I konający, uniesiony przez Jakuba, jedną modlitwę odmówił za swojego protektora i prześladowczynię, za tego, który pamiętał o nim w przyjaźni, i za tę, która nigdy go nie zapomniała w nienawiści: za konetabla i regentkę.

Więzielnia miała słuszość. Oczy Jakuba zaczynały przywykać do ciemności: widział w mroku twarz umierającego. Był to piękny starzec, wychudły z powodu cierpień, o siwej brodzie i łysej głowie: głowa, o jakiej marzył Domenichino pracując nad „Komunią świętego Hieronima”.

Skończywszy modlitwę, starzec westchnął i osunął się na legowisko: zemdłał.

Jakub myślał, że już nie żyje. Podbiegł jednak do dzbanka, nabrał wody w dłoń i spryskał mu twarz. Umierający przyszedł do siebie.

— Dobrze uczyniłeś, żeś mi pomógł, młodzieńcze — rzekł starzec — a oto nagroda.

— Co to jest? — spytał Aubry.

— Sztylet — odparł Starzec.

— Sztylet! W jaki sposób ta broń znalazła się w waszych rękach?

— Posłuchaj: pewnego dnia strażnik przynosząc mi chleb i wodę postawił latarnię na taborecie, który przypadkiem znajdował się przy ścianie. Z muru wystawał jeden kamień, a na nim wryte było nożem kilka liter. Nie zdążyłem ich przeczytać.

Rękami zdrapałem jednak trochę ziemi, zmieszałem ją z wodą, tak że powstało błoto, i zrobiłem odcisk liter; odczytałem: *Ultor*.

Co miało znaczyć owo słowo „Mściciel”? Wróciłem do kamienia. Próbowałem go poruszyć. Chwiał się jak ząb w dziąśle. Uzbroiwszy się w cierpliwość, wielokrotnie powtarzając wysiłki, zdołałem wyrwać go z muru. Włożyłem zaraz dłoń w dziurę, jaka została po kamieniu, i znalazłem ten sztylet.

I wówczas prawie już pogrzebane pragnienie wolności naszło mnie z powrotem, postanowiłem za pomocą sztyletu wydrążyć przejście do sąsiedniej celi i z człowiekiem, który ją zajmuje, obmyślić plan ucieczki. A gdyby nawet nic z tego nie wyszło, to drażnienie ziemi, przebicie muru stanowiło jakieś zajęcie; a skoro posiedzisz, jak ja, dwadzieścia lat w celi, młodzieńcze, zobaczysz, jakim straszliwym wrogiem jest czas.

Jakuba przebiegł dreszcz od stóp do głów.

— I wprowadziliście zamiar w czyn? — spytał.

— Tak, i to z większą łatwością, niż myślałem. Od dwunastu, może piętnastu lat, jak tu jestem, nikt nie podejrzewa, że mógłbym uciec; pewnie nawet nie wiedzą już, kim jestem. Pilnują mnie tak samo jak tego łańcucha, który zwisa z pierścienia. Konetabl i regentka nie żyją; tylko oni o mnie pamiętali; komu teraz powiedziałoby coś nazwisko Etienne Raympnd? Nikomu.

Aubry poczuł, że na czoło występuje mu pot, gdy pomyślał o zapomnieniu, w jakie poszło to stracone życie.

— I co dalej? — spytał. — Co dalej

— Cóż — odparł starzec — od ponad roku drążę ziemię i zdołałem przekopać pod murem przejście, przez które człowiek może się przecisnąć.

— Ale co robiliście z ziemią wydobytą z dziury?

— Rozsiewałem ją niby piasek po celi i udeptywałem.

— A gdzie ten otwór?

— Pod moim łóżkiem. Od piętnastu lat nikt nie wpadł na to, żeby je przesunąć. Strażnik schodzi do mojej celi tylko raz dziennie. Kiedy on odchodził, drzwi się zamykały, kroki cichły,

odsuwałem łóżko i zabierałem się do roboty; potem, gdy zbliżała się godzina jego przyjścia, przesuwałem łóżko na swoje miejsce i kładłem się na nim.

Przedwczoraj położyłem się, żeby więcej nie wstać; byłem u kresu sił; dzisiaj jestem u kresu życia. Witam cię serdecznie młodzieńcze, łatwiej przy tobie będzie mi umierać, a ja w zamian uczynię cię moim dziedzicem.

— Waszym dziedzicem! — zdziwił się Aubry.

— A jakże. Zostawię ci ten sztylet. Uśmiechasz się. Jaki cenniejszy spadek może ci pozostawić więzień? Ten sztylet oznacza może wolność.

— Macie słuszość — przyznał Jakub — i dziękuję wam. A dokąd prowadzi to przejście?

— Nie dotarłem jeszcze do końca, byłem jednak niedaleko. Wczoraj w celi obok słyszałem głosy.

— Do diabła! I sądzicie... — rzekł Jakub.

— Sądzę, że kilka godzin pracy wystarczy, byś dokończył mojego dzieła.

— Dzięki — powiedział Aubry — stokrotne dzięki.

— A teraz księdza. Chciałbym bardzo księdza — rzekł starzec.

— Zaczekaj, ojcze, zaczekaj — powiedział Jakub. — Niemożliwe, żeby nie spełnili takiej prośby człowieka umierającego.

Podbiegł do drzwi bez potknięcia tym razem, gdyż oczy przywykły mu do ciemności, i zaczął w nie kopać i walić pięściami. Strażnik po chwili zszedł.

— Czego hałasujesz? — spytał. — Co chcesz?

— Starzec, który jest ze mną, umiera — rzekł Jakub. — Prosi o księdza. Odmówicie jego prośbie? .

— Hmm — mruknął strażnik. — Nie wiem, czemu każdy z nich domaga się księdza. Dobrze, przyjdzie tu zaraz jakiś.

Rzeczywiście, dziesięć minut później zjawił się ksiądz z wiatykiem poprzedzany dwoma diakonami niosącymi jeden krzyż, a drugi dzwonek.

Podniosły widok stanowiła spowiedź tego męczennika, który miał do wyjawienia tylko zbrodnie innych ludzi, a zamiast prosić o przebaczenie dla siebie, modlił się za swoich nieprzyjaciół.

Choć Jakub Aubry nie był specjalnie wrażliwy, upadł jednak na kolana i przypomniał sobie dziecięce modlitwy, choć sądził, że ich już nie pamięta.

Kiedy więzień skończył się spowiadać, ksiądz pochylił się przed nim i to on poprosił go o błogosławieństwo.

Starzec uśmiechnął się promiennie, jak uśmiechają się wybrani, wyciągnął jedną dłoń nad głowę duchownego, drugą nad Jakuba, głęboko westchnął i osunął się na plecy.

To westchnienie było ostatnim.

Ksiądz odszedł tak samo, jak przyszedł, poprzedzany dwoma diakonami, i cela, przez chwilę rozjaśniona chwiejnym blaskiem świec, znów pogrążyła się w ciemności.

Jakub został sam z nieżyjącym.

Dosyć *to* smutna była kompania, zwłaszcza ze względu na myśli, jakie budziła. Człowiek, który tam leżał, znalazł się niewinnie w więzieniu, został w nim dwadzieścia lat, a wychodził zeń tylko dlatego, że śmierć, ten wielki wyzwoliciel, po niego przyszła.



Toteż wesoły student sam siebie nie poznawał: po raz pierwszy stanął w obliczu ponurej ostatniej myśli, po raz pierwszy wejrzał w piekące tragedie żywota i spokojne głębie śmierci.

Wreszcie w jego duszy zaczęła się budzić myśl egoistyczna: myślał o sobie, niewinnym jak ten człowiek, lecz jak i on wciągniętym w tryby królewskich namiętności, które kruszą, pożerają, niszczą ludzkie istnienia. Ascanio i on mogą wszak zniknąć tak samo, jak zniknął Etienne Raymond; kto o nich pomyśli?

Może Gervaise.

Na pewno Benvenuto Cellini.

Gervaise jednak mogła tylko lać łzy; Benvenuto zaś, wielkim głosem domagając się listu będącego w posiadaniu Ascania, sam przyznawał się do bezsilności.

I jako jedyna szansa wybawienia, jedyna nadzieja, pozostał mu tylko spadek po zmarłym — stary sztylet, który zawiódł już oczekiwania dwóch poprzednich właścicieli. Jakub ukrył był sztylet na piersi. Sięgnął teraz gwałtownie ręką, by się upewnić, że dalej tam jest.

W tej chwili drzwi się otwarły — zabierano zwłoki.

— Kiedy dostanę coś do jedzenia? — spytał Jakub. — Jestem głodny.

— Za dwie godziny — odparł strażnik. I student został sam w celi.

## ROZDZIAŁ XV

### UCZCIWA KRADZIEŻ

Aubry spędził te dwie godziny jak przykuty do stołka, tak bardzo aktywność umysłu wprawiała w bezruch jego ciało.

O zapowiedzianej godzinie strażnik więzienny zszedł, nalał świeżej wody, zostawił chleb; to właśnie w Chatelet nazywano obiadem.

Jakub pamiętał, co mu powiedział umierający: że drzwi celi otwierają się tylko raz na dobę; długo jeszcze siedział jednak w tym samym miejscu nie wykonując żadnego ruchu w obawie, że wydarzenie tego dnia może coś zmienić w zwyczajach więzienia.

Niebawem ujrzał przez okienko, że zaczyna zapadać *noc*. Miniony dzień przyniósł mu doprawdy wiele wrażeń. Z rana przesłuchanie u sędziego; w południe pojedynek z Marmagne'em; o pierwszej więzienie; o trzeciej śmierć więźnia, a teraz pierwsza próba uwolnienia. . Niewiele takich dni człowiek może naliczyć w swoim życiu.

Jakub podniósł się, podszedł do drzwi i posłuchał, czy nikt nie nadchodzi; następnie, aby nie spostrzeżono na kaftanie śladów ziemi, zdjął, tę część swego odzienia, odsunął łóżko i odkrył przejście, o którym mówił jego towarzysz.

Jak wąż wśliznął się do ciasnego korytarzyka; mógł on mieć około ośmiu stóp głębokości, a prowadząc pod murem, wychodził po drugiej jego stronie.

Już po pierwszym uderzeniu sztyletem Aubry w rzeczy samej poznał . po dźwięku, jaki ziemia wydała, że wkrótce osiągnie cel, to znaczy otworzy sobie wyjście w jakimś miejscu. Lecz gdzie to będzie? Trzeba by chyba być jasnowidzem, żeby odgadnąć.

Niemniej dalej energicznie rył, czyniąc możliwie najmniej hałasu. Tylko od czasu do czasu niczym górnik wychodził ze swej jamy, żeby rozsypać w celi ziemię, która by w końcu zatarasowała korytarz; potem znów wślizgiwał się do przejścia i na powrót podejmował pracę.

Podczas gdy Aubry pracował, Ascanio ze smutkiem rozmyślał o Colombe.

On także, jak wiadomo, znalazł się w Chatelet; i jego, tak jak Jakuba, wrzucono do celi. Jednakże czy to przypadkiem, czy z polecenia diuszesy, cela owa nie była tak pusta jak cela studenta, a w związku z tym wygodniejsza.

Lecz co znaczyło dla Ascania nieco więcej lub mniej wygody? Cela pozostawała celą; uwięzienie — rozłąką. Brakowało mu Colombe bardziej niż słońca, bardziej niż wolności, bardziej niż życia. Zamknąć z nim Colombe, a cela stanie się miejscem rozkoszy, zaczarowanym pałacem.

Bo też ostatnimi czasy życie nieszczęsnego chłopca było tak słodkie! W dzień marząc o ukochanej, nocą spędzając z nią czas, nigdy nic pomyślał, że to szczęście może się skończyć. Toteż choć niekiedy żelazna dłoń niepokoju ścisnęła mu serce, on niczym człowiek, któremu

grozi niebezpieczeństwo, lecz nie wie, kiedy na niego runie, szybko odsunął od siebie wszystkie obawy dotyczące przyszłości, aby zażywać rozkoszy teraźniejszości.

A teraz, był w celi, sam, daleko od Colombe, być może jak on zamkniętej, być może uwięzionej w jakimś klasztorze, skąd będzie mogła wyjść tylko przez kaplicę, gdzie zastanie człowieka, którego z musu miała poślubić.

Dwie ogromne namiętności czuwały u bram więzienia obojga młodych: miłość pani d'Etampes strzegła Ascania, ambicja hrabi d'Orbec — Colombe.

Toteż kiedy znalazł się w celi, Ascanio poczuł się smutny i przybity: miał wrażliwą naturę, która musi się, wspierać na kimś o mocnej konstytucji; był kwiatem kruchym i wdzięcznym, chylącym się przy najmniejszej burzy, a prostującym się dopiero w ożywczych promieniach słońca.

Gdyby do więzienia wtrącono Berwcuta, w pierwszym rzędzie postarałby się obejrzeć drzwi, opukać mury, posłuchać, jak dźwięczy ziemia pod tupnięciem, aby się upewnić, czy jego żywy i wojowniczy umysł nie trafi gdzieś na szansę ratunku. Ascanio usiadł na łóżku, spuścił głowę na piersi i wyszeptał imię Colombe. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że można by jakimkolwiek sposobem uciec z celi zakratowanej i otoczonej murami grubości sześciu stóp.

Cela jego, jak już wspominaliśmy, była zresztą nie tak pusta i wygodniejsza niż cela Jakuba; znajdowało się tam łóżko, stół, dwa krzesła i stara rogóżka; poza tym na kamiennym występie, niewątpliwie w tym celu wykonanym, stał pałacy się kaganek. Celę ową niewątpliwie przeznaczono dla uprzywilejowanych.

Wielka także była różnica w jedzeniu; zamiast chleba i wody przynoszonej raz dziennie naszemu studentowi, Aseanio otrzymywał dwa posiłki — zaszczyt ten równoważyła przykrość dwukrotnego widywania strażnika więziennego: posiłki te, trzeba przyznać ku chwale filantropijnych władz Chatelet, nie były całkiem niesmaczne.

Ascanio tym drobiazgiem niewiele się zajmował; należał do mężczyzn wrażliwych, zniewieściałych, zdających się pożywiać zapachem i rosą. Nieustannie pogrążony w myślach, zjadł kęs chleba, popił łykiem wina i nadal rozmyślał o Colombe i Benvenucie Cellinim; o Colambe jako o tej.

którą darzył całym swym uczuciem, o Cellinim jako o tym, w którym pokładał całą nadzieję.

Dotąd bowiem Ascanio nigdy się nie zajmował kłopotami i szczegółami egzystencji; Benvenuto żył za nich dwóch; on, Ascanio, poprzestawał na oddychaniu, na marzeniu o jakimś pięknym dziele sztuki, na kochaniu Colombe. Był niby owoc, który rośnie na silnym drzewie i z niego czerpie wszystkie soki.

I choć w położeniu się znalazł niepokojącym, gdyby w chwili, kiedy go aresztowano, kiedy go prowadzono do Chatelet, mógł się zobaczyć z Benvenutem i gdyby Benvenuto ściskając mu dłoń powiedział: „Bądź spokojny, Ascanio, czuwam nad tobą i nad Colombe”, to jego zaufanie do mistrza było tak wielkie, że pokrzepiony tą jedną tylko obietnicą, bez obaw czekałby chwili, skoro więzienie się przed nim otworzy, pewien, iż musi się otworzyć mimo bram i krat, które się nieoczekiwanie za nim zamknęły.

Nie zobaczył się jednak z Cellinim, Cellini nie wiedział, że jego ukochany uczeń, syn Stefany, jest więźniem; trzeba było całego dnia, aby go powiadomić o tym w Fontainebleau, zakładając, że komuś przyszłoby to do głowy; następny dzień, aby przybyć do Paryża, a w ciągu dwóch dni wrogowie zakochanych mogli bardzo wyprzedzić ich obrońcę.

Toteż Ascanio spędził resztę dnia i noc po aresztowaniu bezsennie to spacerując, to siedząc, to rzucając się znów na łóżko, które —co świadczyło, jak wielkimi więźnia otaczano względami

— zasłano białą pościelą. Przez cały ten dzień, noc i przedpołudnie następnego dnia nie zaszło nic nowego, pomijając regularne wizyty strażnika przynoszącego posiłki.

Około drugiej po południu — tak przynajmniej więzień sądził na podstawie własnej rachuby czasu — zdało mu się, że słyszy w pobliżu rozmowę: pomruk głuchy, niewyraźny, w którym nie dało się rozróżnić słów, ale niewątpliwie pochodzący od człowieka. Ascanio wsłuchał się i ruszył w kierunku, skąd pochodził dźwięk: dobiegał z kąta celi. Cichutko przyłożył ucho najpierw do muru, potem do podłogi: dźwięk zdawał się dobiegać spod ziemi.

Ascanio miał zatem sąsiadów oddzielonych najwyraźniej tylko cienką ścianą albo podłogą.

Po około dwóch godzinach szmer ten ucichł i wszystko znów się pogrążyło w ciszy.

Potem blisko północy na nowo rozległ się hałas, tym razem jednak innej natury. Nie był to już szmer rozmowy dwóch osób, lecz odgłosy głuchych i szybkich uderzeń, jakby kamieniarz walił młotem. Dźwięk ten dochodził z tego samego kąta, nie ustawał ani na sekundę i ciągle się przybliżał.

Chociaż Ascania bardzo zaprzętały własne myśli, hałas ten wydał mu się godzien uwagi, toteż siedział ze wzrokiem utkwionym, w miejsce, skąd dobiegał. Musiało być już daleko po północy, lecz mimo nieprzespanej poprzedniej nocy, Ascanio nie myślał nawet o śnie.

Hałas trwał nieprzerwanie; ponieważ nie była to pora normalnej pracy, nabrał pewności, że jakiś więzień przygotowuje sobie ucieczkę. Ascanio uśmiechnął się ze smutkiem na myśl, że nieszczęśnik, któremu przez chwilę może zda się, iż jest na wolności, zmieni tylko celę.

Wreszcie dźwięki rozległy się już tak blisko, że Ascanio złapał kaganek i wrócił z nim w miejsce, skąd dochodziły; niemal w tej samej chwili w najdalszym kącie celi uniosła się ziemia i wyrzuszenie, pękając, ukazało ludzką głowę.

Ascanio wydał okrzyk zdziwienia, potem radości, któremu odpowiedział okrzyk nic mniej wymowny. Głowa ta należała do Jakuba Aubry.

Chwilę później dzięki pomocy, jaką Ascanio udzielił gościowi składającemu mu wizytę w tak dziwny i niespodziewany sposób, przyjaciele padli sobie w ramiona.

Rozumie się, że pierwsze pytania i odpowiedzi były nieco chaotyczne; wreszcie jednak, wskutek wymiany słów bez ładu i składu, zdołali nieco uporządkować myśli i rzucić trochę światła na wydarzenia. Przy czym Ascanio niewiele miał do powiedzenia, za to dużo chciał usłyszeć.

Aubry opowiedział mu więc wszystko: jak on, Jakub, wrócił do zamku Nesle równocześnie z Benvenutem, jak się niemal razem dowiedzieli o aresztowaniu Ascania i zabranii Colombe, jak Benvenuto pobiegł do pracowni niby oszalały, wołając: „Odlewamy! Do roboty!”, a on, Aubry, udał się do Chatelet. Wtedy to się rozstali i student nie wiedział już nic więcej na temat tego, co od tej chwili zaszło na zamku Nesle.

Lecz po wspólnej Iliadzie nastąpiła Odyseja. Jakub opowiedział Ascaniowi o swoim rozczarowaniu, kiedy pojął, że nikt go nie chce zamknąć w więzieniu; o wizycie u Gervaise, o jej skardze wniesionej u sędziego, o strasznym przesłuchaniu, którego jedynym owocem była grzywna w wysokości dwudziestu paryskich groszy, grzywna tak upokarzająca honor Gervaise; wreszcie o swoim spotkaniu z wicehrabią de Marmagnac w momencie, gdy stracił nadzieję, że zdoła się dostać do więzienia; potem jeszcze o wszystkim, co go spotkało aż do chwili, gdy nie wiedząc, do jakiej celi trafi, rozbił głową skorupę ziemi, jaka mu została do przebiccia, i dostrzegł w świetle kaganek Ascania.

Przyjaciele znów padli sobie w ramiona.

— A teraz — odezwał się Jakub — słuchaj, Ascanio, bo nie mam czasu do stracenia.

— Najpierw jednak — powiedział Ascanio — powiedz mi o Colombe. Gdzie ona jest?

— Colombe? Nie mam pojęcia. Chyba u pani d'Etampes.

— U pani d'Etampes! — wykrzyknął Ascanio. — U swojej rywalki!

— A więc to prawda, co mówili o miłości diuszesa do ciebie? Ascanio się zarumienił i wyjąkał kilka niezrozumiałych słów.

— Och, nie ma się o co rumienić! — zawołał Aubry. — Do kroćset Diuszesa! I to diuszesa, która jest kochanką króla! Że też mnie się tak przygoda nie trafi. No, dobrze, ale wracajmy do rzeczy.

— Tak — zgodził się Ascanio — wracajmy do Colombe.

— Ba! Pewnie, że dotyczy to Colombe. Chodzi o pewien list.

— Jaki list?

— O list, który ci diuszesa d'Etampes napisała.

— A kto ci powiedział, że mam list od diuszesa d'Etampes?

— Benvenuto Cellini. .

— Dlaczego ci powiedział?

— Ponieważ ten list jest mu potrzebny, niezbędny, ponieważ podjąłem mu się go przynieść, ponieważ wszystko, co dotąd uczyniłem, robiłem po to, by go dostać.

— Ale co Benvenuto chce z nim zrobić? — spytał Ascanio.

— Ach, na honor! Nie mam pojęcia i to mnie nie obchodzi. Powiedział. „Potrzebny mi ten list.” Odparłem: „Dobrze, zdobędę go.” Po to dałem się zamknąć do więzienia; jestem tu, więc daj mi go, a ja go już dostarczę Benvenutovi. Hejże! Co ci to?

Pytanie to zostało spowodowane nagłym spochmurnieniem twarzy Ascania. — Cóż, mój drogi, daremnie się trudziłeś — odparł.

— Jak to? — zawołał Aubry. — List, nie masz już listu?

— Mam go tu — rzekł Ascanio, kładąc dłoń na kieszeni kaftana.

— No, całe szczęście. Daj mi go więc, żebyśmy go posłał Benvenutovi.

— List zostanie u mnie, Jakubie.

— A to dlaczego?

— Bo nie wiem, co zamierza z nim zrobić Benvenuto.

— Chce go wykorzystać, żeby cię uratować.

— I zgubić może diuszesa d'Etampes. Aubry, nie przyłożę ręki do zgubienia kobiety.

— Ależ ta kobieta chce ciebie zgubić! Ta kobieta cię nienawidzi; nie, nieprawda, ta kobieta cię uwielbia.

— I chcesz, żebym w zamian za to uczucie...

— Ależ to zupełnie tak, jakby cię nienawidziła, skoro ty jej nie kochasz; zresztą to wszystko przez nią.

— Jak to przez nią?

— A tak, przecież to ona kazała cię zamknąć, to ona zabrała Colombe.

— Kto ci to powiedział?

— Nikt. A kto by to miał twoim zdaniem urządzić?

— Ależ prewot, hrabia d'Orbec, Marmagne, któremu, jak się przyznałeś, wszystko powiedział.

— Ascanio! Ascanio! — zawołał zrozpaczony Aubry. — Sam się gubisz!

— Wolę sam być zgubiony, niż się dopuścić podłego czynu.

— Ależ to nie jest podły czyn, skoro podejmuje się tego Beiwenuto.

— Posłuchaj, Aubry — rzekł Ascanio — i nie miej do mnie urazy za to, co ci powiem. Gdyby na twoim miejscu był Benvenuto, gdyby to on mi powiedział: „Pani d'Etampes jest twoim wrogiem, to ona kazała cię aresztować, ona zabrała Golombe, ona ją trzyma, ona chce ją zmusić do uległości; mogę uratować Colombe tylko za pomocą tego listu”, kazałbym mu przysiąc, że listu nie pokaże królowi i dałbym mu go. Lecz Benvenuto tutaj nie ma, nie mam żadnej pewności, że jestem prześladowany przez diuszese. Twoje ręce to nie jest dla tego listu odpowiednie miejsce, Jakubie; wybaczone, ale sam przyznałeś, żeś skończył narwaniec.

— Przysięgam, Ascanio, że ostatni dzień sprawił, iż postarzałem się o dziesięć lat.

— Możesz list zgubić lub w dobrych zamiarach, o czym wiem, wykorzystać go w sposób zgoła nieprzewidziany; list zostanie u mnie,

— Przyjacielu — zawołał Jakub — zastanów się tylko, sam Benvenuto powiedział, że tylko on może cię uratować.

— Benvenuto i bez niego mnie uratuje; Benvenuto ma słowo króla, że w dniu, kiedy Jowisz zostanie odlany, mistrz może żądać, czego chce.

I gdy sądziłeś, że Benvenuto oszalał, ponieważ wołał: „Do odlewu! Do roboty!”, Benvenuto zaczął mnie ratować.

— A jeśli odlew się nie uda? — spytał Aubry.

— To nam nie grozi — odparł z uśmiechem Ascanio.

— Ale podobno zdarza się to najlepszym odlewnikom Francji.

— Najlepsi odlewnicy Francji są tylko terminatorami przy Cellinim.

— Jak długo może trwać odlewanie?

— Trzy dni.

— A ile czasu trzeba, żeby pokazać posąg królowi?

— Następne trzy dni.

— Sześć, siedem dni w sumie, jak widzę. A jeśli w tym czasie pani d'Etampes zmusi Colombe do poślubienia hrabi?

— Pani d'Etampes nie ma do Colombe żadnych praw. Colombe stawi opór.

— Owszem, ale prewot ma do niej prawa jako do swojej córki, miłośnicy pan ma do niej prawa jako do swojej poddanej; jeśli prewot i król rozkażą...

Ascanio straszliwie pobladł.

— Jeżeli w chwili, gdy Benvenuto poprosi o uwolnienie cię, Colombe będzie już żoną innego, co zrobisz z tą swoją wolnością?

Ascanio przesunął dłonią po czole, by zetrzeć pot, który wystąpił po iłowach studenta, drugą zaś sięgnął do kieszeni, by dobyć z niej zbawczy list; lecz w chwili, gdy Jakub sądził, że już ustąpi, potrząsnął głową, jakby chciał przepędzić niezdecydowanie.

— Nie! — powiedział. — Nie! Tylko Benvenuto. Mówmy o czym innym.

A słowa te wypowiedział tonem, który jasno wskazywał, że przynajmniej w razie zbędnym byłoby nastawać.

— Skoro tak — rzekł Aubry z miną świadcząca, iż podjął w duchu jakąś ważną decyzję — skoro tak, przyjacielu, jeśli mamy mówić o czym innym, równie dobrze możemy pomówić jutro

z rana albo w ciągu dnia, zwłaszcza że bardzo się lękam, iż zostaniemy tu dłużej. Przyznam, że jestem dość zmęczony dzisiejszymi przeżyciami i nocną pracą, toteż z chęcią bym nieco wypoczął. Zostań więc tutaj, ja wracam do siebie. Gdybyś miał ochotę się ze mną zobaczyć, zawołaj. Tymczasem połóż rogóżkę na dziurze, którą ci tu zrobiłem, żeby nam nie odcięto drogi. Dobranoc! A ponieważ noc przynosi dobre rady, mam nadzieję, że jutro rano okażesz się rozsądniejszy.

Z tymi słowami, nie słuchając już uwag Ascania, który chciał go jeszcze zatrzymać, Jakub wsunął naprzód głowę w korytarz i na czworakach wrócił do swej celi. Ascanio zaś, idąc za radą przyjaciela, ledwie nogi studenta zniknęły w otworze, przesunął rogóżkę w kąt celi. Przejście zatem, jakie łączyło obie cele, było zasłonięte.

Następnie rzucił kaftan na jedno z krzeseł stanowiących razem ze stołem i kagankiem wyposażenie celi, wyciągnął się na łóżku i lubo nękany niepokojem, zaraz zasnął, gdyż zmęczenie fizyczne pokonało udręki myśli.

Aubry za to, miał iść w ślady Ascania, chociaż potrzebował co najmniej w równym stopniu snu, usiadł na stołku i jał się głęboko zastanawiać, co, jak czytelnik wie, było tak sprzeczne z jego zwyczajami, że oczywiście się stało, iż obmyśla jakieś ważne posunięcie.

Bezruch studenta trwał około kwadransa, po czym Jakub wstał powoli i krokiem człowieka, którego wszystkie wahania się rozwiały, podszedł do otworu w ziemi, wśliznął się znów do niego, lecz tak ostrożnie i zachowując tym razem tak głęboką ciszę, że kiedy dotarł do przeciwnego końca i uniósł głową rogóżkę, z radością spostrzegł, iż jego przybycie nie obudziło przyjaciela.

Tego tylko Jakub pragnął; toteż z jeszcze większymi środkami ostrożności niż dotąd podjęte, powoli wyszedł z podziemnego korytarza, wstrzymując oddech zbliżył się do krzesła, gdzie leżał kaftan Ascania. i ze wzrokiem utkwionym w śpiącego, uchem nastawionym na najlżejszy szmer, wyjął z kieszeni cenny list tak upragniony przez Celliniego i włożył do koperty bilecik od Gervaise, złożony w sposób identyczny jak list diuszesy, w nadziei, że dopóki Ascanio go nie otworzy, będzie sądził, iż nadal jest w posiadaniu liściku pięknej Anny d'Heilly.

Następnie tak samo bezszelestnie wrócił ku rogóżce, podniósł ją, wśliznął się w otwór i zniknął niby duchy przepadające w zapadniach Opery.

Był najwyższy czas, bo ledwie się znalazł w swojej celi, usłyszał, jak u Ascania otwierają się drzwi i rozlega się głos jego przyjaciela, wołającego tonem człowieka nagle przebudzonego:

— Kto tam?

— Ja — odparł słodki głos — nie obawiaj się, przyjaciółka. Ascanio, na wpół ubrany, jak wiemy, podniósł się na dźwięk, tego głosu,

który wydał mu się znajomy, i w świetle kaganka ujrzał zawołaną kobietę. Kobieta podeszła do niego wolno i odsłoniła twarz. Nie pomylił się — kobietą ową była pani d'Etampes.

## ROZDZIAŁ XVI

### W KTÓRYM ZOSTAJE DOWIEDZIONE, ŻE LIST GRYZETKI, KIEDY SIĘ GO PALI, DAJE TYLE SAMO OGNIA I POPIOŁU CO LIST DIUSZESY

Na ruchliwej twarzy pięknej Anny d'Heilly widniała mieszanina współczucia i smutku, która zwiódła Ascania i utwierdziła go w przekonaniu — zanim jeszcze diuszesa otworzyła usta — że jest całkowicie niewinna nieszczęściu, jakiego on i Colombe padli ofiarą.

— Ty tutaj, Ascanio! — odezwała się melodyjnym głosem. — Ciebie, któremu pragnęłam dać pałace, spotykam w więzieniu!

— Ach, pani! — zawołał młodzieniec. — Więc to prawda, że nie przyłożyłaś ręki do prześladowań, jakie nas dotknęły?

— Podejrzewałeś mnie, Ascanio? — odparła diuszesa. — W takim razie słusznie mnie nienawidzisz, i pozostaje mi tylko milcząca skarga, że tak słabo mnie zna ten, którego ja poznałam tak dobrze.

— Nie, nie, pani — rzekł Ascanio. — Powiedziano mi, że to ty wszystkim kierowałaś, lecz nie chciałem w to uwierzyć.

— Cóż, Ascanio, nie kochasz mnie, wiem, ale przynajmniej twoja nienawiść nie jest niesprawiedliwa. Miałaś słusność; nie tylko niczym nie kierowałam, ale także o niczym nie wiedziałam. To prewot, pan d'Estoute-ville, zasłyszawszy nie wiem gdzie o tym, opowiedział wszystko królowi i otrzymał od niego rozkaz aresztowania ciebie i zabrania Colombe.

— I Colombe jest u ojca? — żywo spytał Ascanio.

— Nie — odparła diuszesa, — Colombe jest u mnie.

— U ciebie, pani? — zawołał młodzieniec. — Dlaczego u ciebie?

— Ona jest naprawdę piękna, Ascanio — szepnęła diuszesa — i rozumiem, że wolisz ją od wszystkich kobiet świata, choćby najbardziej kochająca ofiarowywała ci najbogatsze księstwo.

— Kocham Colombe, pani — powiedział Ascanio — a wiesz, że człowiek woli miłość, owo bogactwo niebios, od wszystkich dóbr ziemskich.

— Tak, Ascanio, tak, kochasz ją ponad wszystko. Przez chwilę miałam nadzieję, że twoje uczucie jest zwykłą miłością. Pomyliłam się. Tak, widzę teraz — dodała z westchnieniem — że wasza rozłąka byłaby sprzeciwianiem się woli boskiej.

— Ach, pani! — zawołał Ascanio składając dłonie. — Bóg dał ci moc połączenia nas. Bądź wielka i szlachetna, pani, do samego końca, i uczynь szczęśliwymi dwoje dzieci, które będą cię kochały i błogosławiły do kresu życia.



— No, tak, poddam się, Ascanio — rzekła diuszesa. — Owszem, gotowam mieć nad wami pieczę, bronić was: ale niestety! Być może w tej chwili jest już za późno!

— Za późno! Co to znaczy, pani? — wykrzyknął Ascanio.

— Być może, Ascanio, w tej chwili ja sama jestem zgubiona.

— Zgubiona? Dlaczego, pani?

— Dlatego, że cię kochałam.

— Że mnie kochałaś! I ty zgubiona przeze mnie?

— Tak, byłam nieostrożni i jestem zgubiona przez ciebie; zgubiona za to, że do ciebie pisałam.

— Jakże to? Nie pojmuję cię, pani.

— Nie pojmujesz, że tprewot, mając w ręku rozkaz króla, polecił szczegółową rewizję w zamku Nesle? Nie pojmujesz, że ta rewizja, której celem jest znalezienie wszelkich dowodów twojej miłości do CoHimbe, odbędzie się głównie w twoim pokoju?

— A zatem? — dopytywał się niecierpliwie Ascanio.

— A zatem — ciągnęła diuszesa — jeśli w twoim pokoju znajdą ten list w chwili zapomnienia napisany, jeśli rozpoznają, że pochodzi ode mnie, jeśli pokażą go królowi, którego już oszukiwałam i którego wkrótce chciałam dla ciebie zdradzić, nie pojmujesz, że w tej chwili stracę całą władzę? Nie pojmujesz, że nie zdołam niczego uczynić dla ciebie ani dla Colombe? Nie pojmujesz, że będę zgubiona?

— Och, uspokój się, pani — zawołał Ascanio — nic ci nie grozi; ten list jest tutaj, ani na chwilę się z nim nie rozstałem.

Diuszesa odetchnęła i na jej twarzy w miejsce niepokoju pojawiła się radość.

— Nie rozstałeś się z nim, Ascanio! — zawołała ona z kolei. — Nie rozstałeś się! Powiedz, jakiemu to uczuciu zawdzięczam, że się tym szczęśliwym listem nie rozsiałeś?

— Przezorności, pani — szepnął Ascanio.

— Przezorności! Znów się więc pomyliłam! Mój Boże! A przecież powinna bym pewna być, przekonana. Przezorności! Cóż, skoro tak — powie-działa z takim wyrazem twarzy jakby się przewycięzała — ponieważ pozostaje mi tylko podziękować ci za przezorność, Ascanio, czy sądzisz, że przezornie jest, powiedzieć, trzymać go przy sobie tutaj, gdzie w każdej chwili może ktoś przyjść, przeszukać cię siłą; czy znajdujesz zatem, jak powiadam, przezornym trzymać list, który jeśli poznają, kto go na-pisał — pozbawi możliwości pomocy dla ciebie i Colombe jedyną, osobę mogącą was uratować?

— Pani — rzekł Ascanio swym łagodnym głosem i z owym odcieniem melancholii, jakiej doznają zawsze serca czyste, kiedy zmusza się je do, powątpiewania — nie wiem, czy zamiar uratowania Colombe i mnie nosisz tak samo w swoim sercu, jak masz go na ustach; nie wiem, czy nie przywiodło cię tu jedynie pragnienie odzyskania tego listu, który, jak powiedziałaś, może cię zgubić; nie wiem wreszcie, czy odzyskawszy go, z protektorki, za jaką się podajesz, nie staniesz się na powrót naszym wrogiem; wiem natomiast, pani, że ten list jest twój, że do ciebie należy, że od chwili, gdy się go domagasz, ja nie mam prawa go zatrzymywać.

Ascanio wstał, podszedł do krzesła, gdzie leżał jego kaftan, włożył rękę do kieszeni i wyciągając list, który diuszesa na pierwszy rzut oka poznała po kopercie, rzekł:

— Oto, pani, upragniony przez eiebie list; nie będąc mnie pomocnym, tobie może zaszkodzić. Zabierz go. podrzyj, zniszcz. Uczyniłem, co do mnie należało; ty zrobisz, co zechcesz.

— Och, Ascanio. masz doprawdy szlachetne serce! — zawołała diuszesa w porywie, jaki niekiedy zrodzi się nawet na dnie najbardziej zepsutej duszy.

— Ktoś idzie, pani! Uważaj! — ostrzegł Ascanio.

— Masz słuszość — rzekła diuszesa.

I słysząc rzeczywiście dźwięk zbliżających się kroków, żywo wyciągnęła rękę ku kagankowi podsuwając papier do płomienia, który go zajął i w jednej chwili pożarł. Nie wypuściła listu, dopóki ogień nie sięgnął niemal jej palców, a spopielona w trzech czwartych kartka opadła wirując; kiedy dotknęła ziemi, była zupełnie spalona; jednakże diuszesa przydeptała jeszcze popiół.

W tej chwili w drzwiach ukazał się prewot.

— Powiedziano mi, pani. że jesteś tutaj — rzekł z niepokojem na twarzy, spoglądając kolejno to na diuszese, to na Ascania — pospieszyłem zatem oddać się na twoje rozkazy. Czy potrzebujesz czego ode mnie lub od moich ludzi?

— Nie. mój panie — odparła diuszesa, nie potrafiąc ukryć głębokiej, radości, jaka wypływała jej na twarz. — Niemniej dziękuję za pośpiech i dobre chęci. Przyszłam tylko po to, aby wypytać tego młodzieńca, któregoś kazał aresztować, i upewnić się, czy istotnie jego wina jest tak wielka, jak mówiono.

— I jakiz jest wynik? — spytał prewot tonem, w którym przebijała lekka ironia.

— Wina Ascania jest mniejsza, niż myślałem. Przykazuje ci zatem. panie, byś go otoczył jak największym staraniem. Przede wszystkim biedny chłopiec ma okropną celę. Nie mógłbyś mu dać innej?

— Zaraz jutro zobaczymy, pani, bo jak wiesz, twoje życzenia są dla mnie rozkazem. Czy masz jeszcze inne polecenia i czy chcesz dalej prowadzić przesłuchanie?

— Nie, mości prewocie — odrzekła Anna — wiem już wszystko, czego chciałam się dowiedzieć.

Z tymi słowy diuszesa wyszła z celi, rzucając Ascaniowi ostatnie spojrzenie pełne wdzięczności i uczucia.

Prewot wyszedł za nią i drzwi się za nimi zamknęły.

— Do diaska! — szepnęła Jakub Aubry. który nie tracił ani słowa z rozmowy diuszesy i Ascania. — Do diaska! Był najwyższy czas.

Kiedy bowiem Marmagne odzyskał przytomność, przede wszystkim zatroszczył się o to, aby powiadomić diuszese, iż otrzymał ranę, być może śmiertelną, przed śmiercią pragnie jednak wyjawić jej pewien wielkiej dla niej wagi sekret. W tym celu diuszesa zaraz doń przybyła. Marmagtie powiedział jej wówczas, że został zaatakowany i zraniony przez pewnego studenta, niejakiego Jakuba Aubry, który starał się dostać do Chatelet, by się porozumieć z Ascaniem i doręczyć Celliniemu jakiś list będący w posiadaniu Ascania. Diuszesa wszystko pojęła i przeklinając swą namiętność — za jej to bowiem przyczyną znów przekroczyła zwykłe swe granice ostrożności — pospieszyła, choć była godzina druga w nocy, do Chatelet, kazała się zaprowadzić do celi więźnia i tam odegrała przed Ascaniem scenę właśnie opowiedzianą, której zakończenie — tak przynajmniej sądziła diuszesa — było zgodne z jej życzeniem, lubo Ascanio nie dał się całkiem oszukać.

Jak powiedział Jakub Aubry, był najwyższy czas.

Student wykonał wszakże dopiero połowę zamierzenia, a oczywiście najtrudniejsza część pozostawała jeszcze do zrobienia. Miał list, o mało nie zniszczony na zawsze; ażeby jednak list ów nabral rzeczywistej wartości, musiał się znaleźć nie w rękach Jakuba, lecz Celliniego.

Aubry jednak siedział w więzieniu, i to na dobre, a od swojego poprzednika dowiedział się, że nie jest rzeczą łatwą wyjść z Chatelet, skoro już raz człowiek się tam dostał. Był więc, należy przyznać, w położeniu koguta, co to znalazł perłę — wielce zakłopotany tym, co ma zrobić, z takim bogactwem.

Próbować ucieczki siłą było niemożliwe. Zbrojny w sztylet, Jakub mógł oczywiście zabić strażnika, który przynosił posiłek, zabrać mu klucze i odzienie; lecz pomijając, że ten ostateczny sposób budził wstęt w poczciwym z natury studencie, to na dodatek nie zapewniał mu należytego bezpieczeństwa. Istniało dziesięć szans na jedną, że zostanie rozpoznany, pozbawiony cennego listu i zamknięty z powrotem w celi.

Wykorzystanie do ucieczki zręczności było jeszcze mniej pewne. Cela wchodziła jakieś osiem, dziesięć stóp pod ziemię, grube kraty zamykały okienko, przez które wpadały jedyne promienie światła, jakie się tam mogły przedostać. Trzeba by miesięcy, aby wyrwać jeden pręt, a gdyby go już nawet wyrwał, gdzie uciekinier trafi? Na dziedziniec o nieprzebranych murach i tam niechybnie zostanie znaleziony następnego dnia rano.

Pozostawało przekupstwo; ale dzięki wydanemu przez sędziego wyrokowi, przyznającemu Gervaise dwadzieścia paryskich groszy za utratę czci, całą fortunę więźnia stanowiła teraz suma dziesięciu groszy paryskich, suma niewystarczająca, aby skusić najmarniejszego strażnika w najpodlejszym więzieniu, a co dopiero mówić o dozorczy w królewskiej fortecy.

Jakub był więc, jak widać, w nie lada kłopotcie.

Od czasu do czasu jednakże jakaś zbawcza myśl wydawała się przewijać mu przez głowę, lecz niewątpliwie pociągała — za sobą skutki wielkiej wagi, bo za każdym razem, gdy powracała z uporem dobrego pomysłu.

twarz Jakuba wyraźnie pochmurniała i z jego piersi dobywały się westchnienia świadczące, że nieszczęsny młodzian toczy gwałtowną walkę wewnętrzną.

Walka owa była tak gwałtowna i trwała tak długo, że przez całą noc Jakub ani pomyślał o śnie: spędził czas to się przechadzając, to siadując, to stając. Po raz pierwszy zdarzyło mu się, że czuł po to, aby myśleć; Jakub nigdy dotąd nie spędził nocy na czuwaniu w celu innym jak hulanka, gra lub miłość.

O brzasku wszakże wyglądało na to, że walka studenta ustała, zakończona niewątpliwie zwycięstwem jednej ze stron, bo Jakub wydał z siebie westchnienie jeszcze żałośniejsze niż którekolwiek z wydanych dotąd i rzucił się na łóżko jak człowiek całkowicie zdruzgotany.

Zaledwie się położył, usłyszał kroki na schodach. Kroki zbliżyły się. w zamku zazgrzytał klucz, załomotały rygle, drzwi się obróciły na zawiasach i w progu stanęło dwóch urzędników sprawiedliwości: jednym był sędzia, drugim jego pisarz.

Przykrość wizyty została złagodzona przyjemnością, jakiej doznał Jakub poznając dwóch starych znajomych.

— Ha. ha! Młodzieńcze — odezwał się sędzia, również poznając Jakuba — a więc znowu cię spotykam i jak widzę, udało ci się dostać do Chatelet! Do licha! To ci dopiero chwat! Uwodzisz panny i dziurawisz młodych wielmożów! Ale tym razem uważaj, do diaska! Życie szlachcica jest droższe niż cześć gryzетки i nie wywiniesz się za dwadzieścia paryskich groszy.

Choć słowa sędziego napawały strachem, ton, jakim zostały wymówione, uspokoił nieco więźnia. Ten człek o jowialnym obliczu, w którego ręce Jakub miał szczęście wpaść, wyglądał na

tak poczciwego, że wydawało się, iż nic złego nie można się po nim spodziewać. Co prawda nie da się tego samego powiedzieć o kanceliście, przy każdej pogroźce sędziego kiwającym z aprobatą głową. Już po raz wtóry Jakub widział razem tych dwóch ludzi i choć nieco obaw budziła w nim niepewna sytuacja, w jakiej się znalazł, nie potrafił się powstrzymać, by nie poczynić w duchu filozoficznych spostrzeżeń na temat kaprysów losu, który popuścił wodze fantazji i związał ze sobą tych osobników tak różnych fizycznie i z usposobienia.

Zaczął się przesłuchanie. Jakub niczego nie skrywał; oświadczył, że rozpoznał w wicehrabim człowieka, który go już kilkakrotnie zdradził, wyrwał szpadę paziowi i wyzwał Marmagne'a, a on przyjął wyzwanie; wicehrabia i student zmagali się przez chwilę; potem wicehrabia upadł. Więcej Aubry nie wiedział.

— Nic więcej nie wiesz! Nic więcej nie wiesz! — mruczał sędzia, dyktując jednocześnie kanceliście. — Do diaska! Jest trochę podobnych tobie, jak mi się zdaje, i twoja sprawa jest jasna jak słońce, tym bardziej że wicehrabia de Marmagne to jeden z wielkich faworytów pani d'Etampes. Zdaje się też, że poleciała cię już modlitwom, dzielny młodzieńcze.

— Do diaska! — zaklął student, zaczynając się niepokoić. — Powiedz, panie sędzio, czy sprawa wygląda tak źle, jak powiadasz?

— Gorzej, przyjacielu, gorzej! Zważywszy, że nie mam zwyczaju straszyć moich klientów. Upprzedzam cię jednak, bo gdybyś zamierzał podjąć jakieś dyspozycje...

— Podjąć dyspozycje! — zawołał student. — Powiedz no, panie sędzio, sądzisz, że moje życie jest zagrożone?

— Z pewnością — odparł sędzia — z pewnością. Jakże! Na samym' środku ulicy atakujesz szlachcica, zmuszasz go, żeby się bił, przebijasz, na wylot szpadą i jeszcze — pytasz, czy twoje życie jest zagrożone! Tak, przyjacielu, tak; i to bardzo zagrożone.

— Ale takie spotkania zdarzają się wszak codziennie, a nie słyszałem, żeby zbyt wielu winnych ścigano.

— Owszem, wśród szlachty, młody przyjacielu. Och, jeśli dwaj szlach-| cice mają życzenie obcinać sobie głowy, to prawo ich stanu i król nie ma tu nic do gadania; ale gdyby któregoś dnia prostaczkom przyszło na myśl bić się ze szlachtą, to ponieważ prostaczków jest dwadzieścia razy więcej niżli szlachty, wkrótce szlachty by nie stało, a szkoda.

— A jak myślisz, panie sędzio, ile dni może potrwać mój proces?

— Pięć, sześć mniej więcej.

— Co? — zawołał Jakub. — Tylko pięć albo sześć?

— A jakże, to sprawa całkiem jasna: jest człowiek, który umiera, ty się przyznajesz, żeś go zabił, sprawiedliwości staje się zadość; jeśli jednak -dodał sędzia nadając swej twarzy jeszcze bardziej pobłażliwy wyraz — dwa czy trzy dni więcej sprawią ci przyjemność...

— I to wielką.

— Cóż, przeciągniemy spisywanie akt i zyskamy na czasie. Właściwie, poczciwy z ciebie chłopiec i cieszyłbym się, mogąc coś dla ciebie zrobić.

— Dzięki, panie sędzio.

— A teraz powiedz — podjął sędzia wstając — czy masz może jakąś prośbę.

— Chciałbym się widzieć z księdzem, czy to możliwe?

— Owszem, masz do tego prawo.

— W takim razie, panie sędzio, proszę, żeby mi go przysłano.

— Spełnię twoją prośbę. Nie miej do mnie urazy, młody przyjacielu.

— Jakże! Przeciwnie, będę wdzięczny.

— Panie studencie — odezwał się półgłosem podchodząc do Jakuba kancelista — czy byłbyś tak łaskaw wyświadczyć mi przysługę?

— Z chęcią — odparł Jakub — o co chodzi?

— Bo to masz pewnie przyjaciół, krewnych, którym zamierzasz zostawić wszystko, co posiadasz.

— Przyjaciół? Mam tylko jednego, a i to jest w więzieniu jak ja, Krewnych? Mam tylko kuzynów, i to kuzynów bardzo dalekich. Mów tedy, mości pisarzu, mów.

— Bo to widzisz, panie studencie, jestem biednym ojcem rodziny i mam pięcioro dzieci.

— No i?

— *Ño i* nigdy mi się w zawodzie nie poszczęściło, choć wykonuję go, co sam możesz zaświadczyć, skrupulatnie i uczciwie. Wszyscy moi konfratry biją mnie na głowę.

— A to dlaczego?

— Dlaczego? Ach, powiem ci.

— No?

— Bo mają szczęście.

— Ach, tak.

— A dlaczego mają szczęście?

— Właśnie miałem o to zapytać, mości pisarzu.

— I to też ci wyjawię, panie studencie.

— Sprawisz mi przyjemność.

— Mają szczęście... — Pisarz zniżył jeszcze o pół tonu głos. — Mają szczęście, bo noszą w kieszeni kawałek sznura, na którym kogoś powieszono: rozumiesz?

— Nie.

— Słabyś coś na umyśle. Spisujesz testament, prawda?

— Ja testament? A po co?

— Do diaska! Żeby się twoi spadkobiercy nie procesowali. No więc ujmij w testamencie, że niejaki Marc-Boniface Grimoineau, pisarz pana sędziego, może się domagać od kawałka twojego sznura.

— Aha.— odezwał się Jakub zduszonym głosem. — Tak, rozumiem.

— I spełnisz moją prośbę?

— Jakże by nie!

— Młodzieńcze, pamiętaj, coś mi obiecał. Wielu przed tobą zobowiązywało się do tego samego; ale jedni umarli bez testamentu, inni źle napisali moje nazwisko, Marc-Boniface Grimoineau, tak że doszło do zwady; inni wreszcie, którzy byli winni, mój panie, dają słowo! bardzo winni, zostali uniewinnieni i dali się powiesić gdzie indziej; tak że już naprawdę zaczynałem rozpaczać, kiedyś ty nam wpadł w ręce.

— Dobrze, mości pisarzu, dobrze — rzekł Jakub — tym razem śpij spokojnie, jeśli zostanie powieszony, sprawa będzie załatwiona.

— Będziesz, panie studencie, będziesz, nic łudź się.

— No, co tam, Grimoineau? — odezwał się sędzia.

— Już idę, panie sędzio, już idę. A więc ustalone, panie studencie?

— Ustalone.

— Słowo honoru? — Słowo przestępcy!

— No — mruknął pisarz odchodząc — myślę, że tym razem wreszcie się uda. Zaniosę dobrą nowinę żonie i dzieciom.

I ruszył za sędzią, który wyszedł, dobrodusznie go besztając, że tak długo kazał na siebie czekać.

## ROZDZIAŁ XVII

### W KTÓRYM WIDZIMY, ŻE PRAWDZIWY PRZYJACIEL ZDOLNY JEST W SWYM ODDANIU POSUNĄĆ SIĘ AŻ DO OŻENKU

Kiedy Aubry został sam, pograżył się w jeszcze głębszym niż przedtem zamyśleniu; bo też przyznajmy — rozmowa z sędzią dała mu wielce rozległy temat do zastanowienia. Dodajmy jednak spieszenie, że gdyby ktoś mógł czytać w jego myślach, ujrzałby, iż położenie Ascania i Colombe, położenie zależne od listu, który on miał w swoich rękach, zajmowało pierwsze miejsce pośród jego trosk, i zanim pomyślał o sobie — czym zamierzał się zająć w swoim czasie — myślał o nich.

Medytował tak już blisko pół godziny, gdy znów otwarły się drzwi jego celi i na progu stanął strażnik.

— Czy to ty chciałeś widzieć księdza? — spytał mrukliwie.

— Oczywiście, że ja — odparł Jakub.

— Niech mnie diabli porwą, jeśli pojmem, po co im wszystkim ten 'przeklęty mnich — mruknął strażnik. — Ale wiem jedno, że nie dadzą

człowiekowi ani pięciu minut spokoju. No, wchodź, ojcze — ciągnął odsuwając się, by dać przejście księdzu — a spraw się szybko.

Po czym zamknął drzwi ciągle coś mrużąc i zostawił przybyłego z więźniem sam na sam.

— Czy to ty mnie wzywaleś, synu? — spytał ksiądz.

— Tak, ojcze — odparł student.

— Chcesz się wypowiedzieć?

— Niezupełnie, pragnę porozmawiać z ojcem po prostu o sprawach sumienia.

— Mów, synu — rzekł ksiądz sadowiąc się na stołku — i jeśli mój skromny rozum może ci pomóc w znalezieniu drogi...

— Właśnie prosiłem, aby ojciec przyszedł, żeby spytać o radę.

— Słucham cię.

— Ojcze — zaczął Aubry — jestem wielkim grzesznikiem.

— Cóż — ozwał się duchowny — szczęśliwy przynajmniej ten, kto się przyznaje.

— Ale to nie wszystko, nie tylko jestem wielkim grzesznikiem, jak powiedziałem, ale w dodatku innych nakłoniłem do grzechu.

— Czy można jakoś naprawić krzywdy, któreś uczynił?

— Myślę, że tak, ojcze. Osoba, którą pociągnąłem za sobą w otchłań grzechu to niewinna dziewczyna.

— Uwiodłeś ją zatem? — spytał ksiądz.

— Uwiodłem, tak, ojcze, to odpowiednie słowo.

— I chcesz naprawić krzywdę?

— Taki przynajmniej mam zamiar.

— Jest na to tylko jeden sposób.

— Dobrze wiem, i dlatego właśnie tak długo nie mogłem się zdecydować. Gdyby były dwa sposoby, wybrałbym ten drugi.

— Pragniesz ją zatem poślubić.

— Zaraz, zaraz, nie! Nie chcę kłamać; nie, ojcze, ja nie pragnę, ja się z tym godzę.

— Lepsze byłoby uczucie czyste, więcej oddania.

— Cóż chcesz, ojcze, są ludzie stworzeni do małżeństwa i inni, stworzeni do życia w kawalerskim stanie. Celibat był moim powołaniem i przysięgam, gdyby nie położenie, w jakim się znalazłem...

— Mój synu, ponieważ zawsze możesz wrócić do dobrych chęci, powiem tylko, że im wcześniej, tym lepiej.

— A wcześniej, kiedy to może być? — spytał Aubry.

— Ha, ponieważ to małżeństwo *in extremis* — rzekł ksiądz — dostaniemy konieczne dyspensy i myślę, że pojutrze...

— Niech więc będzie pojutrze — z ciężkim westchnieniem przystał student.

— A ona, panna?

— Co?

— Zgodzi się?

— Na co?

— Na małżeństwo.

— Do diaska! Czy się zgodzi? I to z wdzięcznością. Niecodziennie otrzymuje takie propozycje.

— Nie będzie zatem żadnych przeszkód?

— Żadnych.

— Rodzice z twojej strony?

— Nieobecni.

— Z jej strony?

— Nieznani.

— Jej nazwisko?

— Gervaise-Perrette Popinot.

— Czy mam jej zanieść tę wiadomość?

— Gdybyś zechciał to zrobić, ojcze, byłbym ci doprawdy wdzięczny.

— Jeszcze dzisiaj zostanie uprzedzona.

— A powiedz, ojcze, czy mógłbyś jej na przykład doręczyć liścik?



— Nie, mój synu, my, którzy poświęcamy się służbie więziennej, składamy przysięgę, że nigdy nikomu nie przekazemy żadnej wieści wcześniej, jak po śmierci więźnia. Wtedy co tylko zapragniesz.

— Dzięki, ale to zbędne; pozostanmy zatem przy małżeństwie — szepnął Jakub. — Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

— Nie, chyba tylko to, że gdyby powątpiewano w prawdziwość tego, co pragnę uczynić, i gdyby czyniono jakieś trudności ze spełnieniem mojej prośby, na poparcie można szukać u pana sędziego skargi rzeczony Ger-vaise-Perrette Popinot, która udowodni wymiarowi sprawiedliwości, że nie twierdzą niczego, co by się nie zgadzało z prawdą.

— Zdaj się na mnie, już ja usunę wszelkie przeszkody — rzekł ksiądz, który, jak mu się zdawało, dostrzegł w zamierzonym czynie Jakuba Aubry nie entuzjazm, lecz ustępstwo wobec konieczności — a za dwa dni...

— Za dwa dni...

— Przywrócisz cześć tej, której jej pozbawiłeś.

— Trudno! — szepnął student z głębokim westchnieniem.

— Dobrze, dobrze, synu — rzekł ksiądz — im więcej poświęcenie nas kosztuje, tym jest miłsze Bogu.

— Do licha! — zawołał student. — W takim razie Bóg powinien mi być bardzo wdzięczny; idź już, ojczy, idź.

Nie bez gwałtownych bowiem oporów wobec samego siebie Jakub podjął takie postanowienie; jak powiedział kiedyś do Gervaise, po ojcu odziedziczył wstręt do małżeństwa, i dopiero trzeba było przyjaźni do Ascania, świadomości, że to on go zgubił, a i to wszystko okraszone najpiękniejszymi przykładami oddania starożytnych, by go doprowadzić do takiego poświęcenia.

Jednakże, powie może czytelnik, co ma wspólnego ślub Gervaise i Jakuba ze szczęściem Ascania i Colombe i w jaki sposób Aubry poślubiając swoją kochankę zdoła uratować przyjaciela?

Na to mógłbym czytelnikowi odpowiedzieć, że brak mu bystrości. Cc prawda czytelnik mógłby z kolei mnie odpowiedzieć, że nie ma obowiązku jej posiadać.

Niechaj tedy czytelnik będzie łaskaw przeczytać do końca ten rozdział który mógłby sobie podarować, gdyby miał bardziej wnikliwy umysł.

Kiedy ksiądz odszedł, Aubry, nie mając już możliwości się wycofać wydał się spokojniejszy: taka jest właściwość decyzji, nawet najstraszniejszych — po nich następuje ukojenie; umysł, który toczył bój, zażywa wytchnienia, serce, które walczyło, staje się otepiałe.

Jakub trwał przeto w wytchnieniu i otepieniu aż do chwili, gdy usłyszawszy w celi Ascania hałas, uznał, że spowodował go dozorca przynosząc) posiłek, co było gwarancją spokoju przez najbliższych kilka godzin. W związku z tym zaczął jeszcze parę minut, po czym stwierdziwszy, że żaden dźwięk nie mąci ciszy, wszedł do korytarza, przebył go jak zwykle i głowę uniósł rogiżkę.

Cela Ascania pogrążona była w najgłębszych ciemnościach.

Aubry zawołał półgłosem; nikt nie odpowiedział: cela świeciła zupełną pustką.

Pierwszym uczuciem, jakiego doznał Jakub, była radość: Ascanio jest wolny, a jeśli Ascanio jest wolny, to on nie musi... Lecz zaraz przypomniał sobie usłyszani w przeddzień dyspozycję,

aby przeniesiono Ascania do celi wygodniejszej. Wypełniono polecenie pani d'Etampus; hałas, który student słyszał, wiązał się z przeniesieniem Ascania.

Nadzieja, jakiej Aubry doświadczył, była tedy olśniewająca, ale też trwała krótko jak błyskawica.

Opuścił rogózkę i tyłem wrócił do swojej celi. Odebrano mu wszelki pociechę, nawet obecność przyjaciela, dla którego się poświęcał.

Nie pozostało mu zatem nic innego jak rozmyślanie. Jednakże Jakub tak długo już rozmyślał, skutek zaś owych myśli był tak dotkliwy, że wołał ułożyć się do snu.

Rzucił się przeto na łóżko, a ponieważ miał wielkie braki we śnie, mimo dręczących go trosk niebawem głęboko zasnął.

Śniło mu się, że jest skazany na śmierć i powieszony; ponieważ jednak przez nieudolność kata sznur został źle naoliwiony, powieszenie nie było całkowite; niemniej zaraz go pochowano. Jakub we śnie zaczynał już zjadać własne ręce, jak to się w takich wypadkach praktykuje, kiedy pisarz, któremu zależało na zdobyciu kawałka sznura, przyszedł, by go zabrać, otworzył grób, gdzie leżał Jakub, i zwrócił mu zarazem życie i wolność.

Niestety! Był to tylko sen i kiedy student się przebudził, jego życie było mocno narażone na szwank, a Wolność całkiem odebrana.

Minał wieczór, noc i dzień bez żadnych odwiedzin oprócz wizyty dozorca. Jakub próbował go wypytywać, lecz nie było sposobu, żeby wydusić z niego choć słowo.

W środku nocy, kiedy Jakub pogrążony był w pierwszym śnie, usłyszał, że drzwi się obracają na zawiasach i naraż się przebudził. Choćby więzień najmocniej spał, dźwięk otwieranych drzwi wyrывa go zawsze ze snu.

Student usiadł na łóżku.

— Wstań i ubierz się — rozkazał twardy głos dozorca, za którego plecami lśniły w blasku pochodni halabardy dwóch strażników prefektury.

Druga część rozkazu była zbędna; ponieważ na łóżku Jakuba nie znajdowało się żadne prześcieradło i brakowało jakiegokolwiek przykrycia, położył się w ubraniu.

— Gdzie mnie zabieracie? — spytał jeszcze trochę zaspany.

— Coś taki ciekawy? — odparł dozorca.

— Chciałbym jednak wiedzieć — rzekł student.

— Dobra, dobra, bez gadania, ruszaj za mną. Wszelki opór na nic by się zdał — więzień usłuchał.

Dozorca szedł przodem, za nim Jakub, orszak zamykali dwaj strażnicy.

Jakub rozglądał się wokół z niepokojem, którego nie próbował nawet skrywać: bał się nocnej egzekucji; jedno go tylko uspokajało: nie widział księdza ani kata.

Po dziesięciu minutach Aubry znalazł się w pierwszym pomieszczeniu, do którego wprowadzono go po zamknięciu w Chatelet; tam jednak, zamiast go poprowadzić do furty, na co przez chwilę liczył — tak bardzo nieszczęścia czynią człowieka podatnym na złudzenia — przewodnik otworzył drzwi ukryte w rogu i wkroczył w korytarz wewnętrzny; korytarz ów prowadził na dziedziniec.

Pierwszą rzeczą, jaką Aubry uczynił znalazłszy się na dziedzińcu, gdy poczuł świeże powietrze i ujrzał niebo, było odetchnąć pełną piersią. Dobre i to, nie wiedział wszak, kiedy taka okazja się powtórzy.

Potem, zauważywszy po drugiej stronie dziedzińca gotyckie okna czternastowiecznej kaplicy, zaczął się domyślać, w czym rzecz.

Kronikarska wierność prawdzie każe nam powiedzieć, że na tę myśl siły go omal nie opuściły.

Wszelako w głowie mu błysnęło wspomnienie Ascania i Colombe, a wielkość pięknego czynu, jakiego miał dokonać, wsparła go w strapieniu.

Szedł przeto krokiem dość zdecydowanym ku świątyni; gdy stanął w progu, wszystko stało się jasne.

Przy ołtarzu znajdował się ksiądz; w prezbiterium czekała kobieta: była nią Gervaise.

W połowie drogi do prezbiterium Jakub spotkał się z zarządcą Chatelet.

— Wyraziłeś życzenie, żeby przed śmiercią przywrócić cześć pannie, której jej pozbawiłeś — rzekł zarządca. — Prośba była uzasadniona i stanie się jej zadość.

Zamglily się oczy studenta; dotknął jednak dłonią listu pani d'Etampes i nabrał na nowo odwagi.

— Och, biedny Jakubie! — zawołała Gervaise rzucając się studentowi w ramiona. — Och, kto by pomyślał, że godzina, której tak pragnęłam, wybije w podobnych okolicznościach!

— Cóż chcesz, droga moja — odparł Jakub, tuląc ją do piersi — Bóg wie, kogo ma ukarać, a kogo nagrodzić; zdajmy się na jego wolę.

Po czym szeptem, wsuwając jej w dłoń list pani d'Etampes, dodał: — Dla Benvenuta, do rąk własnych!

— Hmm — chrząknął zarządca spieszenie podchodząc do młodej pary — co to się dzieje?

— Nic. Mówię Gervaise, że ją kocham.

— Ha, ponieważ, jak wszystko na to wskazuje, nie będzie miała okazji przekonać się, czy jest inaczej, protesty są zbędne. Podejdźcie do ołtarza i sprawcie się szybko.

Aubry i Gervaise bez słowa zbliżyli się do czekającego na nich duchownego. Znalazłszy się przed nim, uklękli. Zaczęła się msza.

Jakub z ochotą by zamienił kilka słów z Gervaise, która też płonęła chęcią wyrażenia mu swej wdzięczności; lecz dwaj strażnicy umieszczeni po bokach baczyli na ich gesty i śledzili każde słowo. Całe szczęście, że niewątpliwie w chwili litości zarządca pozwolił im się uściskać, dzięki czemu list przeszedł z rąk Jakuba w ręce Gervaise. Gdyby tę chwilę przegapił, nadzór nad małżonkami uczyniłby poświęcenie studenta daremnym.

Ksiądz otrzymał z pewnością odpowiednie instrukcje, skrócił bowiem bardzo kazanie. Być może uznał także, iż zbędnym jest dawać szumne zalecenia małżeńskie i ojcowskie człowiekowi, który za dwa, trzy dni ma być powieszony.

Gdy kazanie się skończyło, błogosławieństwo zostało dane, a msza odprawiona, Aubry i Gervaise łudzili się, że choć na chwilę pozostaną sam na sam, tak się jednak nie stało. Mimo łkań Gervaise, która wprost tonęła we łzach, strażnicy ich rozdzielili.

Młodym starczyło jednak czasu, aby zamienić spojrzenia. Wzrok Jakuba mówił: Pamiętaj o moim poleceniu. Oczy Gervaise odpowiedziały: Bądź spokojny, załatwię to jeszcze tej nocy, najpóźniej jutro.

Po czym poprowadzono ich w przeciwne strony. Gervaise została dwornie odstawiona do bramy wyjściowej. Jakuba uprzejmie odprowadzono do celi.

Wchodząc tam, student wydał westchnienie głębsze niż którekolwiek z tych, jakie wydał, odkąd znalazł się w więzieniu: był żonaty!

W ten oto sposób, niby nowy Kurcjusz Jakub Aubry z oddaniem rzucił się w otchłań małżeństwa.

## ROZDZIAŁ XVIII

### ODLEWANIE POSĄGU

A teraz, za pozwoleniem czytelników, opuśćmy na chwilę Chateiet i wróćmy do zamku Nesle.

Na krzyki Benvenuta nadbiegli robotnicy i podążyli za nim do odlewni.

Wszyscy wiedzieli, jaki mistrz jest przy robocie; ale nigdy nie widzieli na jego twarzy takiego żaru, w oczach takiego ognia; gdyby ktoś mógł odlać jego w chwili, gdy sam zabierał się do odlewu Jowisza, dałby światu najpiękniejszy posąg geniusza sztuki.

Wszystko było gotowe, a woskowy model, osłonięty glinianą skorupą, opasany żelaznymi obręczami, otoczony piecem czekał na swe narodziny. Drewno także było już ułożone; Benvenuto podłożył pod nie ogień w czterech miejscach, a ponieważ było to drewno sosnowe, które artysta od dawna kazał suszyć, ogień rozlał się szybko po całym piecu i forma niebawem stała się środkiem ogromnego paleniska. Przetehlinami zaczął wtedy wypływać wosk, a forma się wypalała; równocześnie robotnicy kopali wielką jamę w pobliżu pieca, gdzie miał być przetopiony metal, gdyż Benvenuto nie chciał tracić ani chwili, a gdy tylko forma się wypali, pragnął przystąpić do odlewu.

Półtora dnia wosk wypływał z formy; półtora dnia, a tymczasem robotnicy pełnili na zmianę wachty niczym marynarze na okręcie wojennym, Benvenuto zaś czuwał, krążąc koło pieca, dorzucając drewna, zagrzewając czeladników. Wreszcie ujrzał, że wszystek wosk wypłynął, a forma jest doskonale wypalona był to drugi etap jego dzieła; ostatni stanowiło przetopienie brązu i odlanie posągu.

Gdy miano do tego przystąpić, robotnicy, nie pojmując owej nadludzkiej siły i wściekłej pasji Celliniego, chcieli, żeby zażył kilkugodzinnego odpoczynku, ale to oznaczało o kilka godzin dłuższą niewolę Ascania i prześladowanie Colombe. Benvenuto odmówił przeto. Wydawał się zbudowany z takich samych metali jak brąz, z którego miał uczynić boga.

Kiedy więc wykopano jamę, obwiązał formę dobrymi linami i za pomocą specjalnie w tym celu sporządzanych kołowrotów podniósł ją jak najostrożniej, zawiesił nad jamą i wolno opuścił, aż się znalazła na dnie; potem zaczął formę utwierdzać, pokrywając ją wykopali z jamy ziemią, którą ugniatał warstwami, a w miarę jak dosypywał ziemi, umieszczał przetehliny, to jest kanaliki z wypalanej glinki. Wszystkie te przygotowania pochłonęły resztę dnia. Zapadła noc; Benvenuto od czterdziestu ośmiu godzin nie spał, nie kładł się, nie siadał. Robotnicy go zaklinali, Scorzona besztala, lecz on nie chciał tego nawet słuchać; zdawała się go ożywiać jakaś nadprzyrodzona siła, a na błagania i besztania, odpowiadał wydając każdemu robotnikowi polecenie głosem suchym i twardym, jakim dowódca wojska rozkazuje żołnierzom.

Benvenuto pragnął zacząć odlewanie natychmiast; pełen werwy artysta, który zawsze pokonywał przeszkody, jął sprawdzać swą władcą moc na samym sobie, niezwykle utrudzony,

nękany zmartwieniami, trawiony gorączką, rozkazywał swemu ciału działać, a żelazne ciało było mu posłuszne, podczas gdy jego towarzysze musieli kolejno odchodzić, tak jak ranni w bitwie żołnierze opuszczają szeregi i udają się do ambulansu.

Piec odlewczy był gotów; Benvenuto kazał go napełnić odpadkami miedzi i innych kruszców, ułożonymi warstwami w taki sposób, aby płomień mógł przechodzić między nimi, a metal stopił się szybko i dokładnie. Podłożył ogień tak samo jak w pierwszym palenisku i niebawem, ponieważ stos składał się z drewna sosnowego, spływająca zeń żywica w połączeniu z łatwo palącym się drewnem dały taki płomień, że wzniosł się wyżej niż wszyscy się spodziewali i jął lizać drewniany dach odlewni, który zaraz się zajął. Na ten widok, a zwłaszcza czując żar ognia, wszyscy robotnicy z wyjątkiem Hermana się cofnęli; lecz Herman i Benvenuto wystarczyli, by sprostać zadaniu: Ujęli w dłonie siekiery i zaczęli podcinać drewniane słupy wspierające dach. Chwilę, później płonący dach runął. Wtedy Benvenuto i Herman bosakami dorzucili płonące szczątki do paleniska, co jeszcze zwiększyło siłę ognia, i metal zaczął się topić.

W tym jednak miejscu swego dzieła Benvenuto poczuł, że jest u kresu sił. Od blisko sześćdziesięciu godzin nie spał, od dwudziestu czterech nie jadł, a przez cały czas był duszą akcji, osią całego przedsięwzięcia. Ogarnęła go straszliwa gorączka; znikły mu z twarzy rumieńce, a pojawiła się śmiertelna bledność. W powietrzu tak rozpalonym, że nikt nie mógł obok niego wytrzymać, on czuł, że członki mu drżą i zęby szczękają, jakby się raptem znalazł wśród śniegów Laponii. Towarzysze spostrzegli, w jakim jest stanie, podeszli bliżej; chciał się jeszcze opierać, przeczyć porażce, bo dla niego ustąpienie nawet wobec tego, co niemożliwe, było hańbą; wreszcie jednak musiał się przyznać, że czuje słabość. Na szczęście topienie dobiegało końca: reszta była sprawą mechaniczną, łatwą do wykonania. Wezwał Pagola; Pagola nie było w pobliżu. Aliści na krzyki towarzyszy, którzy chórem go nawoływali, Pagolo się zjawił; poszedł się pomodlić, twierdził, o szczęśliwe zakończenie odlewu.

— Nie czas się modlić! — krzyknął Benvenuto. — Stwórca powiedział: Praca, jest modlitwą. Teraz pora na pracę, Pagolo. Słuchaj, czuję, że umieram; ale czy umrę, czy nie, mój Jowisz musi się narodzić. Pagolo, przyjacielu, tobie powierzam kierowanie odlewem, pewien, że skoro zechcesz, zrobisz to równie dobrze jak ja. Pojmujesz, metal będzie wkrótce gotów; nie możesz się omylić co do stopnia rozgrzania. Kiedy szczerwieje, każesz wziąć Hermanowi i Szymonowi Mańkutowi po żelaznym drągu. Ach. Boże mój, co to ja mówiłem? Tak. Niech wybiją czopy w palenisku. Wtedy metal popłynie, a jeśli ja umrę, powiecie królowi, że obiecał mi się odwdziżyć i że wy przychodzicie o to prosić w moim imieniu, i że to... to... Och, mój Boże, zapomniałem! O co to ja chciałem prosić króla? Ach, tak... Ascanio... pan na Nesle... Colombe, córka prewota... d'Orbec... pani d'Etampes... Och, tracę zmysły!

I Benvenuto zachwiał się i osunął w ramiona Hermana, który jak dziecko zaniósł go do jego pokoju, Pagolo zaś, kierujący odlewaniem, wydawał rozkazy, by praca dalej biegła swoim trybem.

Benvenuto wprawdzie nie oszalał, lecz okrutne majaki jęły go dręczyć. Z pomocą nadbiegła mu Scorzona, która niechybnie, jak Pagolo, zanosila modły; Benvenuto zaś nie przestawał wołać:

— Umieram! Umrę! Ascanio! Ascanio! Co się stanie z Ascaniem? Tysiączne majaki kłębiły mu się bowiem w głowie: Ascanio, Colombe, Stefana, wszyscy rośli przed jego oczami niby zjawy rozplywali się jak cienie. Po czym pośród tych przywidzeń przemykali zakrwawiony złotnik Pompeo, którego zabił ciosem sztyletu, i poczylił z Sieny ustrzelony z arkebuz. Mieszały mu się przeszłość i teraźniejszość. To Klemens VII trzymał Ascania w więzieniu, to znów Kosma I chciał zmusić Colombe do poślubienia hrabi d'Orbec. Potem zwracał się do diuszesy Eleonory sądząc, że zwraca się do pani d'Etampes; błagał, groził. I śmiał się w twarz

zapłakanej Scorzonie: mówił jej, żeby baczyła, aby Pagolo nie skręcił sobie karku biegając jak kot po gzymsach. A po tych chwilach szalonego podniecenia następowały momenty zupełnego załamania, kiedy mogło się zdawać, że umiera.

Agonia ta trwała już trzy godziny: Benvenuto był właśnie w stanie otępienia, kiedy naraz do pokoju wpadł z krzykiem Pagolo, blady, przerażony:

— Ratujcie, wszyscy święci! Mistrzu, wszystko przepadło i tylko pomoc z nieba może nas uratować.

Choć przybity, konający, nieprzytomny, Benvenuto odczuł te słowa niby ostry sztylet wbity w samo serce. Zaslona okrywająca jego świadomość pękła i niby Łazarz wstający na głos Chrystusa, podniósł się na łóżku mówiąc:

— Kto powiedział, że wszystko stracone, skoro Benvenuto jeszcze żyje?

— To ja, mistrzu — rzekł Pagolo.

— Po dwakroć niktzemny! — wykrzyknął Behvenuto. — A zatem ciągle będziesz mnie zdradzał! Ale bądź spokojny, wszyscy święci, których przyzywałeś, wesprą człeka pocziwego i ześlą karę na zdrajców...

W tejże chwili rozległy się zawodzenia robotników:

— Benvenuto! Benvenuto!

— Jestem! Jestem! — odparł artystą, wybiegając z pokoju blady, lecz w pełni sił i rozumu. — Jestem! I biada tym, co się nie spiszą!

Dwoma susami Benvenuto znalazł się w odlewni; zastał tam wszystkich robotników, przedtem pełnych zapału, teraz oniemiałych i przybitych. Nawet Herman zdawał się padać ze zmęczenia; olbrzym chwiał się na nogach i musiał się oprzeć o stojący jeszcze słup od dachu.

— Słuchajcie wszyscy — zawołał Benvenuto gromkim głosem, wpadając między nich niby piorun — nie wiem jeszcze, co się stało, ale klnę się na duszę moją, z góry ręką, że jest na to rada. Bądźcie tedy posłuszni teraz, kiedy jestem przy robocie; niechaj posłuszeństwo będzie bierne, bo pierwszego, co się zawaha, zabiję, tyle dla niegodziwych. Pocziwym powiem jedno: wolność, szczęście Ascania, waszego towarzysza, którego tak lubicie, zależy od naszego sukcesu. Dalejże! Do roboty!

Z tymi słowy Benvenuto podszedł do pieca, aby osobiście stwierdzić, co się stało. Zabrakło drewna i metal wystygł, tak że, jak się fachowo mówi, stężał w ciasto.

Benvenuto natychmiast stwierdził, że wszystko da się naprawić; niewątpliwie Pagolo zaniedbał nadzoru i w tym czasie ciepło pieca zmalało; trzeba było przywrócić ognioni uprzednią siłę, trzeba było przywrócić kruszec do stanu płynnego.

— Drewna! — zarządził Benvenuto. — Drewna! Szukajcie wszędzie, gdzie je można znaleźć; biegnijcie do piekarzy i płaćcie za nie, jeśli trzeba, od funta; poznoście z domu wszystko aż po ostatnią strużynę. Wyłam drzwi Petit-Nesle, Herman, jeśli jejmość Perrine nie zechce ci otworzyć; brać wszystko, jesteśmy w kraju wroga. Drewna! Drewna!

I pierwszy dając przykład, Cellini chwycił za siekierę i silnymi uderzeniami jął ciąć dwa stojące jeszcze słupy, które niebawem runęły wraz z resztką dachu, a Benvenuto natychmiast je cisnął w ogień; tymczasem robotnicy wracali ze wszystkich stron z naręczami drewna.

— Czy gotowicie mnie teraz słuchać? — zakrzyknął Cellini.

— Tak! Tak! — rozbrzmiewało ze wszystkich stron. — Tak, rozkazuj, a będziemy robić, póki nam starczy tchu.

— Wybierzcie tedy dąb i rzucajcie najpierw tylko drewno dębowe do paleniska; dębina daje silniejszy ogień, przez co szybciej temu zaradzimy.

Zaraz też w palenisko sypnął się deszcz dębiny, aż Benvenuto musiał krzyknąć, że już dosyć.

Siłą swego ducha zdołał zarazić innych; jego rozkazy, gesty, wszystko pojmowano i wykonywano w jednej chwili. Tylko Pagolo od czasu do czasu mruczał przez zęby:

— Chcesz dokonać rzeczy niemożliwych, mistrzu, kusisz Boga.

Na to Cellini odpowiadał spojrzeniem, które mówiło: Bądź spokojny, między nami nie wszystko skończone.

Wszelako, mimo ponurych przewidywań Pagola, metal zaczynał ponownie topnieć, aby zaś topnienie przyspieszyć, Benvenuto dorzucał od czasu do czasu kilka funtów ołowiu, mieszając ołów, miedź i brąz długą żelazną sztabą, tak że, posługując się jego własnym wyrażeniem, strupiejszały metal zaczynał wracać do życia. Na ten widok Benvenuto, radosny, przestał odczuwać gorączkę i słabość: on również zmartwychwstawał.

Wreszcie kruszec jął wrzeć i kipieć, Benvenuto natychmiast otworzył ujścia formy i rozkazał wybić czopy pieca, co w tej samej chwili wykonano; ale jak gdyby aż do samego końca to ogromne dzieło miało być pojedynkiem Tytanów, po wybiciu czopów Benvenuto spostrzegł, że nie tylko metal nie spływa dość szybko, ale że najpewniej go nie wystarczy. Nawiedzony tedy myślą ostateczną, jakie tylko artystów nachodzą, rzekł:

— Połowa zostaje tutaj, żeby dorzucać do ognia, reszta za mną!

I z pięcioma robotnikami pobiegł do zamku; chwilę później wszyscy wrócili obładowani naczyniami ze srebra i cyny, sztabami metalu, nie dokończonymi misami. Benvenuto dał przykład i każdy po kolei wrzucał swój cenny ładunek do pieca, który w jednej chwili wchłonął w siebie brąz, ołów, srebro, gęsi cynowe, cudownie wykonane przedmioty z taką samą obojętnością, z jaką by pochłonął artystę, gdyby i on tam się rzucił.

Jednakże dzięki dorzuceniu paliwa brąz się zupełnie rozpuścił i jakby naprawiając swe chwilowe wahanie, zaczął płynąć pełną strugą. Nastąpiła wtedy chwila pełnego niepokoju oczekiwania, która przerodziła się niemal w przerażenie, kiedy Cellini spostrzegł, że wszystek brąz, jaki spływał, nie sięga do ujścia formy: wsunął tedy do formy długą tyczkę i poczuł, że metal nie doszedłszy do końca odlewu, dosięgnął jednak głowy Jowisza.

Padł wtedy na kolana i podziękował Bogu; dzieło, mające przynieść ratunek Ascaniowi i Colombe, dobiegło końca; czy Bóg pozwoli teraz, aby było doskonałe?

O tym Benvenuto mógł się przekonać dopiero następnego dnia.

Noc, jak nietrudno zgadnąć, pełna była niepokoju; i choć tak utrudzony, Benvenuto ledwie się chwilę przespał. A i to sen ów nie przyniósł mu wytchnienia. Zaledwie przymknął oczy, w miejsce przedmiotów rzeczywistych pojawiały się wyimaginowane. Widział Jowisza, pana niebios, króla olimpijskiej urody, poskręcane go niczym jego syn Wulkan. Niczego we śnie nie pojmował. Czy była to wina formy? A może odlewu? Czy on popełnił błąd w sztuce? Czy też los zakpił sobie z artysty? Na ten widok pierś mu wzbierała, w skroniach gwałtownie pulsowało i budził się z walącym sercem i spotniałym czołem. Przez chwilę jeszcze trwał w zwątpieniu, nie potrafiąc w majaczeniach swego umysłu oddzielić prawdy od ułudy. Wreszcie przypomniał sobie, że Jowisz spoczywa jeszcze w formie niby dziecko w łonie matki. Przywoływał na myśl wszystkie środki ostrożności, jakie podjął. Zaklinał się Bogu, że pragnął nie tylko wykonać piękne dzieło, ale i spełnić dobry uczynek. Po czym spokojniejszy znów zasypiał pod ciężarem nie ustępującego zmęczenia, które, zdawało się, nigdy go już nie opuści, i znów opadały go sny równie szalone i przerażające jak wcześniej.



Nadszedł wreszcie dzień i Benvenuto strząsnął z siebie resztki snu; w jednej chwili był na nogach i ubrany; sekundę później już się znalazł w odlewni.

Brąz był oczywiście jeszcze za ciepły, aby go odslaniać; lecz Celliniemu tak spieszno było ujrzeć, czego ma się obawiać albo na co liczyć, że nie mógł wytrzymać i zaczął odkrywać głowę. Gdy podniósł rękę nad formą, był tak blady, że wyglądał, jakby miał zaraz umrzeć.

— Jeszcześ niezdrow, mistrzu? — rozległ się głos, po którego akcencie Benvenuto poznał, że należy do Hermana. — Lepiej, żebyś został w łóżku.

— Mylisz się, Hermanie — odparł Benvenuto, zdziwiony, że Niemiec tak wcześnie wstał — bo we własnym łóżku mam umrzeć. Ale po co ty wstałeś o tej porze?

— Spacerowałem — odparł Herman, czerwieniąc się po białka oczu. — Bardzo lubię spacerować. Chcesz, bym ci pomógł, mistrzu?

— Nie, nie! — krzyknął Benvenuto. — Niech mi nikt nie dotyka formy! Czekaj!

I zaczął powoli odslaniać górę posagu. Cudowny przypadek sprawił, że kruszcu starczyło w sam raz. Gdyby Cellini nie wpadł na pomysł dorzucenia sreber, talerzy i mis, brakłoby metalu i głowa by się nie udała.

Na szczęście głowa wyszła, i to cudownie piękna.

Ten widok zachęcił Benvenuta do odsłonięcia kolejnych części posagu. Powoli forma odpadała niby skorupa i Jowisz, od stóp do głów oswobodzony z pęt, ukazał się majestatyczny, jak przystało na króla Olimpu. W żadnym miejscu brąz nie sprawił przykrew niespodzianki artyście, a kiedy ostatni kawał gliny odleciał, rozległ się okrzyk podziwu robotników, bo kolejno i w milczeniu schodzili się do Celliniego, który zbyt pogrążony w myślach, jakie udane dzieło w nim budziło, nawet nie spostrzegł ich obecności.

Na okrzyk ten, z niego czyniący teraz bóstwo, Benvenuto podniósł głowę i z dumnym uśmiechem rzekł:

— Ha, teraz się okaże, czy król Francji ośmieli się odmówić pierwszej prośbie, jaką zanieś przed niego człowiek, który wykonał taki posąg.

Po czym, jakby okazując skrucę za ten pierwszy poryw pychy, leżącej wszak całkowicie w jego naturze, padł na kolana i złożony ręce zaniósł dziękczynną modlitwę.

Kiedy kończył się modlić, nadbiegła Scorzona mówiąc, że pani Jakubowa Aubry prosi o rozmowę w cztery oczy, bo ma list od męża, który chce oddać tylko Benvenutowi.

Benvenuto kazał sobie dwa razy powtórzyć jej nazwisko, nie wiedział bowiem, że student był w posiadaniu prawowitej małżonki.

Niemniej ruszył spełnić prośbę przybyłej, pozostawiając czeladź dumną i urosła w pychę w cieniu chwały mistrza.

Przyglądając się wszakże dziełu z bliska, Pagolo spostrzegł, że w pięcie boga jest pewna niedokładność — widać z jakiegoś powodu metal nie dotarł do samego dna formy.

## ROZDZIAŁ XIX

### JOWISZ I OLIMP

Tego samego dnia, gdy Benvenuto wyjął swój posąg z formy, dał znać Franciszkowi I, że jego Jowisz jest odlany, pytając, kiedy sobie władca życzy, aby król Olimpu pokazał się oczom króla Francji.

W odpowiedzi Franciszek I rzekł, że jego kuzyn i on w najbliższy czwartek mają polować w Fontainebleau, Benvenutovi pozostaje tedy przewiezienie na ten dzień posągu do wielkiej galerii pałacu.

Odpowiedź była sucha. Nie budziło wątpliwości, że za sprawą pani d'Etampes król mocno się uprzedził do swego ulubionego artysty.

Lecz na te słowa, czy to z ludzkiej pychy, czy to pokładając ufność w Bogu, Benvenuto krótko rzekł z uśmiechem:

— Dobrze.

Nadszedł czwartek, Cellini kazał załadować Jowisza na wóz i konno sam z nim jechał, nie opuszczając go ani na chwilę w obawie, żeby mu się nie przytrafiło jakieś nieszczęście. W czwartek o dziesiątej dzieło artysty było w Fontainebleau.

Patrząc na Benvenuta, choćby tylko przelotnie, dostrzegało się, że nosi w sobie jakąś szlachetną dumę i promienną nadzieję. Sumienie artysty mu podszeptywało, iż stworzył dzieło sztuki, a serce prawego człowieka, że spełni dobry uczynek. Był więc podwójnie zadowolony i głowę nosił wysoko jak ten, kto nie żywiąc nienawiści, nie doznaje obaw. Król zobaczy Jowisza i z pewnością znajdzie go pięknym; Montmorency i Poyet przypomną mu dane słowo; będzie przy tym cesarz i cały dwór; Franciszkowi I nie pozostanie przeto nic innego, jak dotrzymać słowa.

Pani d'Etampes, nie z taką błogą radością, lecz z równym zapałem pełnym żaru, snuła własne plany: zatriumfowała w pierwszym starciu, jakie Benvenuto chciał wywołać przychodząc do niej i do króla; pierwsze niebezpieczeństwo minęło, czuła jednak, że następne czai się w obietnicy uczynionej Celliniemu i pragnęła je za wszelką cenę odwrócić. Przyjechała więc dzień przed Cellinim do Fontainebleau i poczyniła swoje przygotowania z ową wielką kobietą przebiegłością, która u niej równała się niemal geniuszowi. Cellini powinien to niebawem odczuć.

Zaledwie przekroczył próg galerii, gdzie Jowisz miał być wystawiony, dosięgnął go cios, poznał dłoń, która go zadała, i na chwilę oniemiał.

Galeria ta, olśniewająca obrazami Rossa, już odwracającymi uwagę od jakiegokolwiek innego dzieła sztuki, w ciągu ostatnich trzech dni ozdobiona została posągami przysłanymi z Rzymu przez Primaticcia, a to znaczy, że cuda rzeźby antycznej, wytwory uświęcone dwudziesto-wiekowym podziwem znalazły się tam, wychodząc zwycięsko z każdego porównania, pokonując każdego rywala. Ariadna, Wenus, Herkules, Apollo, Jowisz nawet, wielki Jowisz olimpijski,

figury idealne, marzenia geniusza, wieczność wykuta w brązie tworzyły niby nadludzkie konsylium, któremu dorównać byłoby bluźnierstwem, stanowiły niby najwyższy trybunał, przed którego oceną każdy artysta winien drżeć.

Nowy Jowisz wślizgujący się obok tamtego, Benvenuto rzucający rękawicę Fidiaszowi — stanowiło to jakby profanację i świętokradztwo, a choć Benvenuto był świadom własnej wartości, cofnął się o trzy kroki.

W dodatku te nieśmiertelne posągi zajęły, do czego miały prawo, najlepsze miejsca: dla biednego Jowisza Cejliniego pozostały tedy jedynie ciemne kąty, gdzie się dochodziło minawszy, starożytne bóstwa pod ich nieruchomym i majestatycznym spojrzeniem.

Stojący w progu galerii Benvenuto, przybity, z pochyloną głową, obejmował pomieszczenie wzrokiem zarazem smutnym i oczarowanym.

— Panie Le Macon — rzekł do towarzyszącego mu sekretarza króla — chcę, muszę natychmiast zabrać mojego Jowisza; uczeń nie będzie konkurował z mistrzami; dziecko nie będzie walczyło z przodkami: moja duma i skromność mi tego wzbraniają.

— Benvenuto — odparł sekretarz króla — uwierz szczeremu przyjacielowi; jeśli to uczynisz, zgubisz się. Mówiąc między nami, pewne osoby spodziewają się po tobie tego zwątpienia, które zostanie przyjęte jako przyznanie się do nieudolności. Na próżno przekażę twoje tłumaczenie królowi, miłośniwy pan z niecierpliwością czeka na twe dzieło i nie będzie chciał niczego słuchać, a nakłaniany przez panią d'Etampes, bezpowrotnie pozbawi cię swoich względów. Na to pewne osoby liczą, obawiam się. Benvenuto, nie z martwymi, lecz z żyjącymi twoja walka jest niebezpieczna.

— Słusznie mówisz, mości sekretarzu — zgodził się złotnik — i pojmuję cię. Dzięki, żeś mi przypomniał, iż nie mam w tym wypadku prawa do poczucia godności.

— Rad z tego jestem, Benvenuto. Ale posłuchaj jeszcze jednej przestrogi: pani d'Etampes jest dzisiaj nazbyt miła, aby nie zamyślać jakiejś perfidii; wyciągnęła cesarza i króla na przechadzkę po lesie z neodpartym wdziękiem i ukontentowaniem; lękam się, żeby nie znalazła jakiegoś sposobu, aby ich tam zatrzymać do zmroku.

— Tak pan sądzisz? — zawołał Benvenuto blednąc. — Ależ w takim razie przepadłem, bo mój posąg będzie widziany w sztucznym świetle, które odbierze mu połowę piękna.

— Miejmy nadzieję, że się mylę — rzekł Antoine Le Macon — i czekajmy na bieg wypadków.

Cellini zaczął przeto czekać w pełnej drżenia obawie. Ustawił swojego Jowisza możliwie najlepiej, lecz nie skrywał przed sobą, że o zmierzchu posąg wywoła mierne wrażenie, a po ciemku będzie wyglądał całkiem źle. Nienawiść diuszesy obliczyła wszystko równie dokładnie jak wiedza *tteij* biarza: piękna Anna odgadła w roku 1540 metodę dziewiętnastowiecznej krytyki.

Benvenuto z rozpaczą spoglądał na wędrujące coraz niżej po horyzoncie słońce, chciwie nasłuchiwał wszelkich głosów z zewnątrz. Oprócz służby, w pałacu nie było nikogo.

Wybiła godzina trzecia: od tej chwili intencje pani d'Etampes stały się oczywiste, a jej sukces niewątpliwy. Benvenuto osunął się zdruzgotany na fotel. Wszystko przepadło: najpierw jego sława. Ta gorączkowa walka, w której omal życia nie stracił, o której zdążył zapomnieć. Bo miała go powieść do zwycięstwa, przyniesie mu tylko wstyd. Z bólem spoglądał na swój posąg — zawisły już wokół niego nocne cienie i linie nie wydawały się tak czyste.

Naraz przyszła mu do głowy boska myśl, wstał, zawołał małego Jehana, którego ze sobą przywiózł, i żwawo wybiegł. Nie rozlegał się jeszcze żaden dźwięk zwiastujący powrót króla. Benvenuto pospieszył do miejscowego stolarza i przy pomocy tego człowieka i jego czeladzi w

niecałą godzinę sporządził dębowy cokół niezbyt rzucający się w oczy, zaopatrzone w cztery rolki, które obracały się niczym kółka.

Drżał teraz, żeby dwór jeszcze nie wrócił; lecz o piątej był gotów, noc zapadała, a pałac nadal nie ujrzał swych koronowanych gospodarzy. Pani d'Etampes, gdziekolwiek była, musiała czuć się zwyciężczynią.

Benvenuto kazał niebawem ustawić posąg wraz z piedestałem na prawie niewidocznym cokole. Jowisz w lewej ręce trzymał kulę ziemską, a w prawej, nieco wzniesionej nad głową, piorun, którym zdawał się miotać: pośród płomienia gromu złotnik ukrył świecę.

Zaledwie skończył te przygotowania, gdy zabrzmiały fanfary, anonsując powrót króla i cesarza. Benvenuto zapalił świecę, kazał stanąć małemu Jehanowi za posągiem, którego zupełnie zasłaniał, i nie bez silnego bicia serca czekał na przyjście króla.

Dziesięć minut później oba skrzydła drzwi się otworzyły i pojawił się Franciszek I wespół z Karolem V. Za nimi delfin, jego małżonka, król Nawarry, cały dwór; na końcu szli prewot, jego córka i d'Orbec. Colombe była biała i przybita; kiedy jednak ujrzała Benvenuta, podniosła głowę i uśmiech pełen najwyższej ufności pojawił się na jej, ustach i rozjaśnił twarz. Cellini rzucił jej spojrzenie, które mówiło: Bądź spokojna; cokolwiek się stanie, nie rozpaczaj, ja czuwam.

W chwili kiedy drzwi się otworzyły, mały Jehan na znak mistrza pchnął lekko posąg, a on sunął powoli na przenośnym cokole i zostawiając starożytnych w tyle, niejako wyszedł królowi naprzeciw, ruchomy i jakby ożywiony, Wszystkie oczy skierowały się natychmiast w jego stronę. Łagodny blask świecy padający z góry dawał o wiele lepszy efekt aniżeli światło dnia.

Pani d'Etampes zagryzła usta.

— Wydaje mi się, sire — rzekła — że pochlebstwo jest nieco przesadzone i że to król ziemski powinien, być wyjść na spotkanie króla niebios.

Król uśmiechnął się, lecz widać było, że owo, pochlebstwo przypadło mu do gustu: jak to miał we zwyczaju, zapomniał o artyście dla jego dzieła i oszczędzając posągowi połowy drogi, podszedł doń i długo przyglądał mu się w milczeniu. Karol V, chociaż ongiś w przyływie dobrego humoru przygarnął pędzel Tycjana, a z natury był lepszym politykiem niżli artystą, oraz dworzanie, którzy nie mieli prawa wyrazić własnej opinii, w skupieniu czekali na zdanie Franciszka I, aby się wypowiedzieć. Na chwilę zapadła niepokojąca cisza; a Benvenuto i diuszęsa zamienili spojrzenia przepełnione nienawiścią. Po czym naraz król zawołał:

— Jest piękny! Bardzo piękny! I przyznam, że przeszedł moje oczekiwania.

Wszyscy wtedy rozplnęli się w zachwytach i pochwałach, cesarz pierwszy.

— Gdyby zdobywano artystów tak jak miasta — rzekł do króla — natychmiast wypowiedziałbym ci wojnę, kuzynie, aby podbić tego.

— Ale przez to — przerwała rozgniewana pani d'Etampes — nie widzimy wszak tych pięknych posągów starożytnych, które są nieco dalej; a przecież warte są chyba trochę więcej niż te wszystkie nowoczesne straszidła.

Król zbliżył się tedy do rzeźb starożytnych, oświetlonych od dołu blaskiem pochodni, który całą górną ich część pozostawiał w mroku; wyglądały niewątpliwie mniej efektownie niż Jowisz.

— Fidiasz jest niedościgniony — rzekł król — ale i w wieku Franciszka Pierwszego i Karola Piątego może się zdarzyć taki Fidiasz jak w wieku Peryklesa.

— Och, należałoby przyjrzeć się temu za dnia — z goryczą rzekła Anna. — Wydawać się nie znaczy być; sztuczka ze światłem nie równa się sztuce. Co zresztą znaczy ta zasłona? Czyżby skrywała przed nami jakąś wadę? Przyznaj się, mistrzu Cellini:

Była to bardzo lekka tkanina, narzucona na Jowisza, aby dodać mu dostojęstwa. .

Benvenuto stał do tej pory obok posągu, nieruchomy, milczący i na pozór równie zimny jak on; lecz na te słowa diuszesa uśmiechnął się pogardliwie, jego czarne oczy zabłysły i z zuchwałością pogańskiego artysty silną dłonią zerwał zasłonę.

Benvenuto spodziewał się, że diuszesa wybuchnie.

Ale naraz, niewiarygodnie nad sobą panując, jęła się uśmiechać z przerażającą łagodnością i łaskawie wyciągnawszy dłoń do Celliniego, zaskoczonego taką zmianą, rzekła głośno tonem rozpieszczonego dziecka:

— Cóż, omyliłam się: jesteś wielkim rzeźbiarzem, Cellini; wybaczone krytyki, podaj mi rękę i bądźmy odtąd przyjaciółmi: zgoda?

Po czym dodała szeptem i nieskończenie wymownie:

— Zastanów się nad tym, o co króla poprosisz, Cellini. Niechaj to nie będzie małżeństwo Colombe i Ascania, inaczej, przysięgam, Ascania, Colombe i ty, wszyscy jesteście zgubieni!

— A jeśli o co innego poproszę — rzekł Benvenuto tym samym tonem --czy pomożesz mi, pani?

— Tak — zgodziła się żywo — i przyrzekam, że o cokolwiek poprosisz król się na to zgodzi.

— Nie muszę prosić o małżeństwo Colombe i Ascania — rzekł wtedy Benvenuto — bo ty sama o to poprosisz, pani. Diuszesa uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Cóż wy tam sobie tak szepczecie? — spytał Franciszek I.

— Jej wysokość diuszesa d'Etampes raczyła mi przypomnieć — odparł Benvenuto — że wasza królewska mość obiecał spełnić moją prośbę, jeśli będzie kontent.

— A obietnica ta została złożona, sire — odezwał się konetabl podchodząc bliżej — w mojej i kanclerza Poyeta obecności. Zobowiązałeś nawet obu nas, panie, żeby ci przypomnieć...

— Tak, mości konetablu — przerwał król z zadowoloną miną — tak, jeśli sam nie będę pamiętał; ale doskonale pamiętam, słowo szlachcica!, Jak więc widzisz, twoja interwencja, choć mi jest miła, stała się bezużyteczna. Obiecałem Benvenutovi, czego tylko zażąda po odlaniu Jowisza. Czy tak, konetablu? Dobrze pamiętam, mości kanclerzu? Na ciebie kolej, Cellini, jestem na twoje rozkazy, prosząc wszelako, byś mniej myślał o swej zasłudze, która jest ogromna, a więcej o naszej władzy, która jest ograniczona, z jednym zastrzeżeniem: naszej korony i kochanki.

— Cóż, sire — rzekł na to Cellini — skoro wasza królewska mość jest tak dobry dla swego niegodnego sługi, poproszę jedynie o ulaskawienie pewnego nieszczęsnego studenta, który wdał się w awanturę przed Chaltelet z wicehrabią de Marmagne i broniąc się, przeszył wicehrabię szpadą.

Wszystkich zadziwiła skromność prośby, a panią d'Etampes szczególnie: zaskoczona spojrziała na Benvenuta, sądząc, że się przesłyszała.

— Do kroćset! — zawołał Franciszek I. — Prosisz zatem, abym skorzystał z mojego prawa łaski, bo wczoraj słyszałem, jak samemu kanclerzowi mówiono, że za to należy się stryczek.

— Och, sire — zawołała diuszesa — zamierzałam sama ci o tym młodzieńcu wspomnieć. Miałam wieści od Marmagne'a, czuje się lepiej i kazał mi powiedzieć, że to on szukał zwady i że student... Jakże on się zwie, mistrzu Benvenuto?

— Jakub Aubry, wasza wysokość.

— I że student — ciągnęła żywo pani d'Etampes — absolutnie tu nie zawinił; toteż miast zganić Benvenuto lub spierać się z nim, sire, spełnij szybko jego prośbę, żeby nie zaczął sobie wyrzucać, iż o tak drobną rzecz prosił.

— Dobrze, mistrzu — powiedział król — niechaj się spełni, czego sobie życzysz, a ponieważ kto szybko daje, ten daje po dwakroć, niech rozkaz wypuszczenia owego młodzieńca na wolność wysłany zostanie jeszcze dzisiaj. Czy słyszysz, mości kanclerzu?

— Tak, sire, i rozkaz waszej królewskiej mości będzie wykonany.

— Co się zaś tyczy ciebie, mistrzu Benvenuto — rzekł Franciszek I to przyjdź w poniedziałek do Luwru, a zajmiemy się pewnymi szczegółami, których od jakiegoś czasu mój skarbnik względem ciebie zaniedbał.

— Ależ, sire, wasza królewska mość wie, że wstęp do Luwru...

— Dobrze, dobrze. Osoba, która rozkaz wydała, uchyli go. To było zarządzenie wojenne, a ponieważ wokół siebie masz tylko przyjaciół, wszystko wraca do stanu pokoju.

— Pozwól, sire — odezwała się diuszesa — skoro spełniasz prośby, spełnij i moją, całkiem drobną, choć nie udało mi się stworzyć Jowisza.

— Jowisza nie — rzekł półgłosem Benvenuto — ale często udawałaś, pani, Danae.

— A cóż to za prośba? — przerwał Franciszek I, który nie dosłyszał epigramu Celliniego. — Mów, moja diuszeso, i bądź pewna, że uroczysta okazja nie ma wpływu na moje pragnienie sprawienia ci przyjemności.

— Wasza królewska mość powinien uczynić łaskę panu d'Estouteville i podpisać w najbliższy poniedziałek umowę ślubną mojej młodej przyjaciółki panny d'Estouteville z hrabią d'Orbec.

— Och, nie będzie to żadna łaska — odparł król — to przyjemność, którą samemu sobie przygotowuję, a i to jeszcze, klnę się, będę twoim dłużnikiem.

— A więc postanowione, sire? W poniedziałek? — spytała jeszcze diuszesa.

— W poniedziałek — potwierdził król.

— Czy wasza wysokość — podjął Benvenuto półgłosem — nie żałuje, że na taką uroczystość nie zostanie skończona ta piękna lilia, którą zamówiła u Ascania?

— Niewątpliwie będę żałować — odrzekła diuszesa — ale to zgoła niemożliwe, Ascanio jest w więzieniu.

— Owszem, lecz ja jestem wolny — powiedział Benvenuto — skończę ją i przyniosę waszej wysokości.

— Och, na honor, jeśli to zrobisz, to powiem...

— Co powiesz, pani?

— Powiem, że przemiły z ciebie człowiek, panie Benvenuto.

I wyciągnęła do Benvenuta dłoń, a on z jak najwytworniejszą miną, spojrzeniem poprosiwszy przedtem króla o pozwolenie, złożył na niej pocałunek.

W tejże chwili rozległ się cichy okrzyk.

— Co się stało? — spytał król.

— Sire, proszę waszą królewską mość o wybaczenie — rzekł prewot — lecz moja córka źle się poczuła.

— Biedactwo! — szepnął Benvenuto. — Sądzi, że ją zdradziłem!

## ROZDZIAŁ XX

### MAŁŻEŃSTWO Z ROZSĄDKU

Benvenuto chciał wracać jeszcze tego samego wieczoru, lecz król tak nastawał, że nie zdołał się wymówić od pozostania w pałacu aż do ranka następnego dnia.

Zresztą z jemu charakterystyczną lotnością i szybkością decyzji ustalił, iż nazajutrz nastąpi rozwiązanie intrygi dawno już zaczętej. Była to osobna sprawa i chciał się od niej uwolnić, zanim całkowicie odda się Ascaniowi i Colombe.

Został więc na wieczery, a nawet na obiedzie następnego dnia i dopiero koło południa, pożegnawszy się z królem i z panią d'Etampes, ruszył w drogę w towarzystwie małego Jehana.

Obaj dosiadali doskonałych wierzchowców, tymczasem, wbrew swym zwyczajom, Benvenuto wcale konia nie poganiał. Było oczywiste, że chce wrócić do Paryża na pewną ustaloną godzinę. W rzeczy samej, dopiero około siódmej wjechał na ulicę de la Harpe.

Co więcej, zamiast udać się prosto do zamku Nesle, zastukał do drzwi jednego ze swych przyjaciół, niejakiego Guida, medyka z Florencji; a kiedy upewnił się, że lekarz jest w domu i że można u niego zjeść wieczerzę, rozkazał małemu Jehanowi, aby wrócił sam, powiedział, że mistrz został w Fontainebleau i wróci dopiero nazajutrz, i aby był gotów otworzyć mu bramę, gdy tylko Benvenuto w nią zastuka. Mały Jehan natychmiast wyruszył, obiecując Celliniemu wykonać jego polecenia.

Podano wieczerzę, ale Cellini, nim zasiadł do stołu, spytał gospodarza, czy nie zna jakiegoś uczciwego i zmyślnego notariusza, którego mógłby sprowadzić, aby sporządził pewną prawomocną umowę. Gospodarz zaproponował mu swego zięcia. Natychmiast po niego posłano.

W pół godziny później, gdy kończyli wieczerzać, notariusz przyszedł. Benvenuto wstał zaraz od stołu, zamknął się z nim na osobności i kazał mu sporządzić umowę ślubną z pozostawionym miejscem na wpisanie nazwisk. Następnie, gdy ją raz jeszcze przeczytali, by się upewnić, że nie zawiera nic, co by ją mogło unieważnić, Benvenuto szczerze zapłacił notariuszowi, schował umowę do kieszeni, pożyczył od przyjaciela drugą szpadę, dokładnie tej samej długości co tego własna, wsunął ją pod płaszcz i ponieważ noc już całkiem zapadła, ruszył w kierunku zamku Nesle.

Znalazłszy się przed bramą raz tylko uderzył kołatką. I choć stuknięcie było lekkie, brama natychmiast się otwarła. Mały Jehan czuwał.

Cellini wypytał go: robotnicy się posilali i spodziewali się mistrza dopiero nazajutrz. Cellini przykazał chłopcu, aby nie pisał słowa, że mistrz już wrócił, skierował się ku pokojowi Katarzyny, do którego miał klucz, wszedł tam cichutko, zamknął za sobą drzwi, ukrył się za zasłoną i czekał.

Kwadrans później na schodach rozległy się lekkie kroki. Drzwi znów się otwały i weszła Scorzona z kagankiem w rękę; wyjęła klucz z zewnątrz, zamknęła drzwi od wewnątrz, postawiła kaganek na kominku i usiadła w wielkim fotelu tak obrócona, że Benvenuto widział jej twarz.

Twarcz ta, ku wielkiemu zdziwieniu Benvenuta, ongiś tak otwarta, wesola, jasna, stała się smutna i zamyślona.

A wszystko dlatego, że biedna Scorzona doznawała czegoś w rodzaju wyrzutów sumienia.

Widzieliśmy ją wcześniej szczęśliwą i beztroską: ale wówczas Benvenuto ją kochał. Dopóki czuła tę miłość, a raczej życzliwość w sercu kochanka, dopóki w jej marzeniach niby złocisty obłoczek unosiła się nadzieja, że kiedyś zostanie żoną rzeźbiarza, dopóty serce swe utrzymywała na wysokości oczekiwań, oczyściła się z przeszłości miłością; ale odkąd spostrzegła, że to, co zwiedziona pozorami brała za pasję u Benvenuta, było najwyżej kaprysem, żegnała się kolejno ze swymi nadziejami; uśmiech Benvenuta, który sprawił, że owa zwiędnięta duszyczka ponownie rozkwitła, oddalił się od niej i duszyczka po raz wtóry straciła świeżość.

Wraz z dziecięcą radością ulotniła się z niej powoli dziecięca niewinność; dawne nawyki, wspomagane nudą, powoli brały górę. Świeżo pomalowany mur zachowuje kolory w słońcu, lecz traci je na deszczu: Scorzona, porzucona przez Celliniego dla jakiejś nieznannej kochanki, trwała przy nim jedynie resztką dumy. Pagolo od dawna się do niej zalecał; powiedziała Celliniemu o tej miłości sądząc, że wzbudzi tym jego zazdrość. Ta ostatnia nadzieja okazała się złudna; Cellini, miast zabronić jej widywania Pagola, rozkazał, by go przyjmowała. Od tej pory poczuła się zupełnie zgubiona; od tej pory z dawną obojętnością powierzyła swe życie przypadkowi i pozwoliła, by niczym opadnięty liść, niósł ją wiew wydarzeń.

Wtedy to Pagolo zatriumfował nad jej obojętnością. Ostatecznie Pagolo był młody; Pagolo, wyjąwszy jego obłudną minę, był przystojnym chłopcem, Pagolo był zakochany i nieustannie jej powtarzał, że ją kocha, podczas gdy Benvenuto w ogóle przestał jej to mówić. Te dwa słowa „Kocham cię” to mowa serca, a serce musi, z mniejszym lub większym żarem, nawiązać z kimś dialog.

Toteż w chwili bezczynności, rozczarowania, może uludy, Scorzona powiedziała Pagolowi, że go kocha; powiedziała mu to, nie darząc go prawdziwą miłością; powiedziała mu to nosząc obraz Celliniego w sercu i jego imię na ustach.

I zaraz potem pomyślała, że może kiedyś, zmęczony ową nieznaną i bezpłodną pasją, mistrz wróci do niej, a stwierdziwszy, że mimo jego własnych poleceń, jest stała, wynagrodzi ją za oddanie, choć nie poślubieniem jej — co do tego dziewczyna straciła wszelkie złudzenia — lecz jakimś ostatkiem szacunku i litości, które ona będzie mogła uznać za nawrót dawnego uczucia.

Te właśnie myśli powodowały, że Scorzona była smutna, wprawiały ją w zadumę, rodziły wyrzuty sumienia.

Lecz milcząca i rozmarzona, drgnęła naraz i podniosła głowę: na schodach rozległ się lekki szmer, a zaraz potem włożony do zamka klucz szybko się obrócił i drzwi się otwały.

— Po coś tu przyszedł i kto ci dał klucz, Pagolo? — zawołała Katarzyna zrywając się na nogi. — Do tych drzwi są tylko dwa klucze: jeden mój, drugi Celliniego.

— A, moja droga — rzekł Pagolo ze śmiechem — kapryśna jesteś. Raz otwierasz człowiekowi te drzwi, kiedy indziej zamykasz je przed nim; skoro zaś chce wejść siłą, do czego koniec końców niejako go upoważniłaś, grozisz, że zaczniesz krzyczyć i wołać o pomoc. W takim więc wypadku człowiek używa podstępów.

— Och, powiedz, że ukradłeś Celliniemu ten klucz niepostrzeżenie; powiedz, że on nie wie, że go masz, bo gdyby on ci go dał, umarłabym ze wstydu i smutku.



— Uspokój się, piękna Kasiu — rzekł Pagolo, dwukrotnie przekręcając w zamku klucz i siadając naprzeciw dziewczyny, którą także zmusił, aby usiadła. — Tak, Benvenuto już cię nie kocha, to prawda; ale on jest niby skąpiec, co to posiadając skarb spoczywający bezużytecznie, nikomu się do niego nie pozwoli zbliżyć. Ten klucz sam sobie zrobiłem. Kto może dużo, może też mniej; złotnik stał się ślusarzem. Sama widzisz, że cię; Kocham, Katarzyno, skoro moje ręce, przyzwyczajone do osadzania kwiatów z pereł i diamentów na łożyskach ze złota, raczyły obrobić nikczemny kawałek żelaza. Co prawda, ty niedobra, ten nikczemny kawałek żelaza to klucz, a klucz otwiera bramy raj.

Po tych słowach Pagolo chciał ująć dłoń Katarzyny, lecz ku wielkiemu zdziwieniu Benvenuta, który nie tracił jednego słowa, jednego gestu z tej sceny, Katarzyna go odepchnęła.

— A to co? — odezwał się Pagolo. — Długo jeszcze ten kaprys będzie trwał?

— Widzisz, Pagolo — rzekła Katarzyna z akcentem tak głębokiego smutku, że przeniknęła serce Benvenuta do głębi — wiem dobrze, że jeśli kobieta raz uległa, nie ma już prawa odmówić; ale jeśli ten, dla którego poddała się słabości, to mężczyzna szlachetny, i jeśli kobieta mu powie, że była szczerą, bo straciła głowę, lecz się pomyliła, obowiązkiem tego mężczyzny jest, wierz mi, nie wykorzystywać więcej owej chwili zapomnienia. I ja właśnie ci to mówię, Pagolo: uległam ci, chociaż cię nie kochałam, kochałam innego, kochałam Benvenuta. Gardzić mną możesz, powinieneś nawet, ale nie zwracaj mi dłużej głowy.

— Ach, tak! — powiedział Pagolo. — Cudownie to załatwiasz; po tym, jak kazałaś mi tyle czasu czekać na względy, które mi teraz wypominasz, sądzisz, że zwrócę ci słowo, coś mi je ostatecznie dała bez przymusu? Nie. A kiedy pomyślę, że wszystko co robisz, robisz dla Benvenuta, dla człowieka dwa razy od ciebie starszego, dla człowieka, który cię nie kocha, gardzi tobą, traktuje cię jak kurtyzanę...

— Przestań, Pagolo, przestań! — zawołała Katarzyna z rumieńcem wstydu, zazdrości i gniewu wypływającym na twarz. — To prawda, że Benvenuto przestał mnie kochać, ale kochał mnie kiedyś, a ciągle mnie szanuje.

— To dlaczego cię nie poślubił, skoro ci to obiecał?

— Obiecał? Nigdy, Nie, nigdy mi Benvenuto nie obiecywał, że zostanę jego żoną; bo gdyby mi obiecał, dotrzymałby słowa. Ja pragnęłam się wspinać tak wysoko; siła pragnienia sprowadziła nadzieję; a kiedy nadzieja wstąpiła w moje serce, nie zdołałam jej ukryć, wyszła na zewnątrz, chwaliłam się nadzieją tak samo, jak człowiek chwali się tym, co rzeczywiste. Nie, nie, Pagolo — ciągnęła Katarzyna ze smutnym uśmiechem, opuszczając dłoń w ręce czeladnika — nie, Benvenuto nigdy mi niczego nie obiecywał.

— 'I widzisz, Katarzyno, jakaś ty niewdzięczna! — zawołał Pagolo, ujmując dłoń dziewczyny i biorąc za nawrót uczucia to, co było znakiem przygnębienia. — Ja ci obiecuję, ofiarowuję to wszystko, czego Benvenuto, jak sama przyznajesz, nigdy ci nie obiecał, nigdy nie ofiarował, ja ci jestem oddany, Kocham cię, a ty mnie odtrącasz, podczas gdy jemu, co cię zdradził, niechybnie powtórzyłabyś, gdyby tu był, to wyznanie, któreś mnie uczyniła, a teraz tego żałujesz, mnie, co cię miłuję.

— Och, gdyby tu był — zawołała Scorzona. — wspomniałbyś, Pagolo, żeś go zdradził przez nienawiść, podczas gdy ja zdradziłam z miłości, i skryłbyś się pod ziemię.

— A to dlaczego? — zdziwił się Pagolo, któremu odległość, dzieląca go, jak sądził, od Benvenuta, dodawała odwagi. — Dlaczego, jeśli łaska? Czy mężczyzna nie ma prawa być kochanym przez kobietę, jeśli ona nie należy do innego? Gdyby tu był, powiedziałbym, mu: Porzuciliście, zdradzili Katarzynę, która tak was kochała. Najpierw oddała się rozpacy, a potem

na swej drodze spotkała dobrego i dzielnego chłopca, on docenił jej wartość, pokochał ją, obiecał jej to, czego wyście jej nigdy nie chcieli obiecać, to znaczy, że ją poślubi. On teraz dziedziczy wasze prawa, do

niego ta kobieta należy. I jak, Katarzyno, co by miał do powiedzenia twój Cellini?

— Nic — rozległ się za rozplómiętym Pagolem twardy męski głos. — Zupełnie nic.

I silna dłoń, spadająca mu w tej chwili na ramię, ostudziła naraz całą jego elokwencję i rzuciła go na ziemię, równie bladego i drżącego, jak zuchwały był nieco wcześniej.

Widok był niezwykle: Pagolo na kolanach, blady i zestrachany; Scorzona na wpół podniesiona i wsparta na poręczach fotela, nieruchoma, milcząca i podobna do posągu Zdumienia; wreszcie Behyenuito, stojący ze skrzyżowanymi ramionami, z jedną ręką na szpadzie w pochwie, w drugiej dzierżąc nagą szpadę, na wpół ironiczny, na wpół grozący.

Przez chwilę panowała przerażająca cisza, Pagolo i Scorzona trwali oniemiałymi pod spojrzeniem padającym spod zmarszczonych brwi mistrza.

— Zdrada! — szepnął upokorzony Pagolo. — Zdrada!

— Tak, zdrada z twojej strony, nędzniku! — odparł Cellini.

— Chciałeś go widzieć, Pagolo — odezwała się Scorzona — i oto jest.

— Tak, jest — przyznał czeladnik, zawstydzony, że tak go potraktowano przed kobietą, której chciał się podobać — ale on jest Uzbrojony, a ja bezbronny.

— Przyniosłem ci broń — rzekł Cellini, cofając się o krok i rzucając do stóp Pagola szpadę trzymaną w lewej dłoni.

Pagolo spojrział na szpadę, lecz ani drgnął.

— No, 'dalej, podnieś szpadę i wstań — przynaglił Cellini. — Czekam.

— Pojedynek?. — szepnął czeladnik szcękając ze strachu zębami. — Czy dorównuję wam siłą, aby się z wami pojedynkować?

— Wobec tego — rzekł Cellini przerzucając broń do drugiej ręki — będę się bił lewą ręką, co wyrówna szansę.

— Bić się z wami, moim dobroczyńcą! Z wami, któremu wszystko zawdzięczam! Nigdy! — zawołał Pagolo.

Pogardliwy uśmiech zjawiał się na ustach Benvenuta, Scorzona zaś cofnęła się o krok, nie próbując nawet ukryć niesmaku wypływającego jej na twarz.

— Trzeba było o moim dobrodziejstwie pamiętać, zanim zabrałeś mi kobietę, którą powierzyłem pieczy twojej i Ascania — rzekł Benvenuto — Za późno odzyskujesz pamięć. Stawaj, Pagolo! Stawaj!

— Nie, nie! — wyszeptał tchórz, cofając się na klęczkach.

— Skoro nie chcesz walczyć jak człowiek odważny — oznajmił Benvenuto — w takim razie ukaram cię jak winnego.

I schował szpadę do pochwy, dobył sztyletu z nieprzeniknioną twarzą, której nie poruszyło żadne uczucie gniewu czy litości, postąpił krokiem wolnym, lecz stanowczym ku czeladnikowi.

Scorzona z krzykiem rzuciła się między nich lecz Benvenuto, bez gniewu, jednym ruchem, ruchem nieodpartym, jaki wykonałby posąg z brązu wyciągając ramię, odsunął dziewczynę, która pólżywa opadła na fotel. Benvenuto szedł dalej w stronę Pagola, ten zaś cofał się, aż stanął przy ścianie. Wtedy mistrz się doń przybliżył i przystawiając mu sztylet do gardła, rzekł:

— Poleć duszę Bogu, zostało ci pięć minut życia.

— Łaski! — zawołał Pagolo zduszonym głosem. — Nie zabijajcie mnie! Łaski! Łaski!

— Co? — zdumiał się Cellini. — Znasz mnie przecie a znając mnie uwiodłeś kobietę, która do mnie należała; wiem wszystko, wszystko odkryłem i ty liczysz na to, że ci daruję! Kpisz, Pagolo, kpisz!

I Benvenuto sam zaniósł się na te słowa śmiechem; lecz śmiech to był przejmujący i straszny, a od niego dreszcz przebiegł czeladnika, aż do szpiku kości.

— Mistrzu! Mistrzu! — zawołał Pagolo, czując, że czubek sztyletu kłuje go w gardło. — To nie ja, to ona! Tak, to ona mnie sprowokowała.

— Zdrada, tchórzostwo i oszczerstwo! Wyrzeźbię kiedyś grupę tych trzech potworów — rzekł Benvenuto — i z wyglądu będzie to ohydne. Ona cię sprowokowała; nędzniku! Zapominasz chyba, że byłem tu i wszystko słyszałem!

— Och, Benvenuto — wyszeptła Katarzyna składając ręce — prawda, że wiesz, że on kłamie?

— Tak — odparł Benvenuto — wiem, że kłamie mówiąc to, podobnie jak kłamał twierdząc, że gotów cię poślubić; ale bądź spokojna, zostanie ukarany za te dwa kłamstwa.

— Tak, tak, ukarajcie mnie, mistrzu — wykrzyknął Pagolo — ale miłosiernie! Ukarajcie mnie, lecz nie zabijajcie!

— Kłamałeś mówiąc, że to ona cię sprowokowała?

— Tak, tak, kłamałem, to ja jestem winny. Kochałem ją jak szaleniec, a wy wiecie, mistrzu, do czego może doprowadzić miłość.

— Kłamałeś mówiąc, żeś gotów ją poślubić? — Nie, nie, mistrzu, to nie było kłamstwo!

— Kochasz więc naprawdę Scorzonę?

— O, tak, kocham ją! — mówił Pagolo, pojawiając się, że jedynym sposobem, aby wobec Celliniego okazać się mniej winnym, jest przypisać przewinę wielkości uczucia. — Tak, kocham ją.

— I twierdzisz, że nie kłamałeś proponując jej małżeństwo? — Nie kłamałem, mistrzu.

— Poślubiłbyś ją?

— Gdyby nie należała do was, tak.

— W takim razie bierz ją sobie, oddaję ci ją.

— Co też wy powiadacie? Dworujecie sobie, prawda?

— Nie, nigdy nie mówiłem poważniej, a jeśli wątpisz, spójrz na mnie.

Pagolo rzucił ukradkiem spojrzenie na Celliniego i w całej jego postawie zobaczył, że lada chwila sędzia może się stać katem; spuścił przeto z jękiem głowę.

— Ściągnij ten pierścień z palca, Pagolo — powiedział Benvenuto — i włóż go na palec Katarzyny.

Pagolo wykonał pierwszą część polecenia mistrza. Benvenuto gestem nakazał Scorzonie podejść. Podeszła.

— Wyciągnij rękę, Katarzyno — rzekł Benvenuto. Posłuchała.

— No, dalej — ponaglił Cellini. Pagolo wsunął pierścień na jej palec.

— A teraz — powiedział Cellini — kiedy zaręczyny mamy za sobą, przejdźmy do zaślubin.

— Do zaślubin! — szepnął Pagolo. — Nie zawiera się małżeństwa ot, tak: potrzebny jest notariusz, ksiądz.

— Potrzebna jest umowa — oświadczył Cellini, wyjmując kontrakt który kazał sporządzić.  
— Mam tu gotową umowę, trzeba tylko wpisać nazwiska.

Położył dokument na stole, wziął pióro i podając je Pagolowi, rzekł:

— Podpisz. No, podpisz.

— — Ach, wpadłem w pułapkę — szepnął czeladnik.

— He? Co znaczy — rzekł Benvenuto nie podnosząc głosu, lecz z pobrzmiewającym w nim groźnym akcentem — w pułapkę? I gdzie tu widzisz pułapkę? Czy to ja ci kazałem przyjść do pokoju Katarzyny? Czy to ja ci poradziłem powiedzieć jej, że chcesz ją poślubić? Pojmij ją przeto za żonę, Pagolo, a kiedy zostaniesz jej mężem, role się odwrócą: jeżeli przyjdę do niej, ty będziesz musiał mi grozić, ja zaś będę się bał.

— Och! — zawołała Scorzona, od wielkiego lęku przechodząc do szalonej wesołości i pokładając się ze śmiechu na myśl, jaką zrodziły w niej słowa mistrza.. — Och, ależ by to było zabawne!

Pagolo, wyzbywszy się nieco strachu przez obrót, jaki przyjęła pogroźka Celliniego i wybuch śmiechu Scorzony, zaczął jaśniej rozpatrywać rzeczy. Stało się dlań oczywiste wtedy, że strachem chciano go zmusić do ożenku, o który niewiele dbał; wydało mu się przeto, że byłoby to zbyt tragiczne zakończenie komedii i jał wierzyć, iż przy odrobinie stanowczości zdoła się z tego może mniejszym kosztem wywikłać.

— Tak — szepnął, przekładając na słowa radość Scorzony — tak, przyznaję, byłoby to bardzo zabawne; na nieszczęście jednak do tego nie dojdzie.

— Co? Nie dojdzie? — zawołał Benvenuto równie zdumiony jak lew, który widzi sprzeciwiającego mu się lisa.

— Nie, nie dojdzie — powtórzył Pagolo. — Wolę umrzeć. Zabijcie mnie, mistrzu.

Ledwie wymówił te słowa, gdy Benvenuto jednym susem znalazł się przy nim. Pagolo ujrzał błysk sztyletu, rzucił się w bok, i to tak szybko i szczęśliwie, że przeznaczony mu cios musnął zaledwie ramię, a żelazo pchnięte silną dłonią złotnika zagłębiło się na dwa cale w boazerię.

— Zgadzam się! — zawołał Pagolo. — Łaski! Mistrzu, zgadzam się. Jestem gotów na wszystko.

I podczas gdy mistrz z trudem wrywał sztylet, który pod boazerią napotkał mur, Pagolo podbiegł do stołu, gdzie leżał kontrakt, żywo chwycił pióro i podpisał. Cała ta scena rozegrała się tak szybko, że Scorzona nie miała czasu się w nią wmieszać.

— Dziękuję, Pagolo — rzekła ocierając łzy, które przerażenie wycisnęło jej z oczu, i powstrzymując zarazem lekki uśmieszek — dziękuję za zaszczyt, jakiś łaskaw mi uczynić; ale skoro poważnie sobie wszystko wyjaśniamy, posłuchaj: przed chwilą ty nie chciałeś mnie, teraz ja nie chcę ciebie. Nic mówię tego, aby cię upokorzyć, Pagolo, lecz cię nie kocham i wolę żeby wszystko zostało po staremu.

— Skoro tak — powiedział Benvenuto z największym spokojem skoro nie chcesz go, Katarzyno, to czeka go śmierć.

— Ale przecież to ja odmawiam! — zawołała Katarzyna.

— Umrze — powtórzył Benvenuto. — Nikt nie powie, że zostałem przez kogoś znieważony i że ten ktoś nie poniósł kary. Jesteś gotów, Pagolo?

— Katarzyno! — zawołał czeladnik. — Katarzyno, na miłość boską, miej litość nade mną! Katarzyno, kocham cię! Zawsze cię będę kochał! Katarzyno, podpisz! Zostań moją żoną, błagam cię na klęczkach!

— No, Katarzyno, decyduj się szybko — ponaglił Benvenuto.

— Och, mistrzu — rzekła nadąsana Scorziona — to ja cię tak kochałam, inne miałam marzenia, a tyś dla mnie taki surowy? Ale mój Boże! — zawołała naraz szalona dziewczyna, znów wpadając ze smutku w radość — popatrz tylko, Benvenuto, jak żałośnie wygląda ten nieszczęsny Pagolo! Och, nie bądź już taki ponury, Pagolo, bo nigdy się nic zgodzę, żebyś został moim mężem. Nie, doprawdy, zabawnie tak wyglądasz!

— Najpierw mnie uratuj, Katarzyno — powiedział Pagolo — a potem, jeśli chcesz, będziemy się śmiać.

— Cóż, biedaku... Skoro tak bardzo tego pragniesz...

— Tak, bardzo! — zawołał Pagolo.

— Wiesz, kim byłam, i wiesz, kim jestem?

— Tak, tak, wiem.

— Nie oszukuję cię zatem?

— Nie.

— Nie żałujesz za bardzo?

— Nie, nie!

— W takim razie przybij. Zabawne, wcale się tego nie spodziewałam. Ale trudno, jestem twoją żoną!

Po czym wzięła w rękę pióro i podpisała — jak przystało pełnej szacunku żonie, poniżej podpisu męża.

— Dziękuję, droga Kasiu, dziękuję! — zawołał Pagolo. — Zobaczysz, jaka będziesz szczęśliwa.

— Jeśli zaś złamię to przyrzeczenie — odezwał się Cellini — to gdziekolwiek będę, powiadom mnie, Katarzyno, a osobiście się zjawię, aby mu o tym przypomnieć.

Z tymi słowy Cellini, ze wzrokiem utkwionym w czeladnika, powoli wpełznął sztylet do pochwy, po czym wziął umowę opatrzoną dwoma podpisami, starannie złożył ją na czworo i schował do kieszeni, a zwracając się do Pagola z ową właściwą mu wielką ironią, rzekł:

— A teraz, przyjacielu, chociaż ty i Scorziona jesteście prawowitym małżeństwem wobec ludzi, nie zostaliście jeszcze sobie zaślubieni przed Bogiem i dopiero jutro Kościół uświęci wasz związek. Do tego czasu twoja obecność tutaj byłaby sprzeczna z wszelkimi prawami ludzkimi i boskimi. Dobranoc, Pagolo.

Pagolo zbladł jak śmierz; ponieważ jednak Benvenuto władczy gestem pokazywał mu drzwi, czeladnik wycofał się powoli.

— Tylko ty, Benvenuto, możesz mieć takie pomysły — rzekła Katarzyna śmiejąc się jak szalona. — Ale posłuchaj, Pagolo — zawołała w chwili, gdy młodzian otwierał drzwi — pozwalam ci teraz odejść, bo tak jest słusznie; możesz być jednak spokojny, przysięgam na Najświętszą Panią że jak tylko będziesz moim mężem, to każdy mężczyzna, nawet sam Benvenuto, znajdzie we mnie tylko uczciwą żonę.

A kiedy drzwi się zamknęły, powiedziała wesoło:

— Och, Benvenuto, dajesz mi męża i uwalniasz mnie dzisiaj od jego obecności. Zawsze to coś: winienieś mi w końcu to zadośćuczynienie.

## ROZDZIAŁ XXI

### WZNOWIENIE DZIAŁAŃ WOJENNYCH

Trzy dni po scenie, którą właśnie opowiedzieliśmy, w Luwrze szykowałą się scena zupełnie innego rodzaju.

Nadszedł poniedziałek, dzień wyznaczony na podpisanie umowy. Była jedenasta przed południem. Benvenuto wyszedł z zamku Nesle, ruszył prosto do Luwru i z niepokojem w sercu, lecz krokiem zdecydowanym wstąpił po głównych schodach.

W sali, gdzie go najpierw wprowadzono, zastał prewota i hrabię d'Orbec, konferujących w kącie z notariuszem. Colombe, blada i zastygła w posąg, siedziała po drugiej stronie nie widząc niczego. Oddalono się oczywiście od niej, aby niczego nie usłyszała, i biedna dziewczyna, ze spuszczoną głową i niewidzącym spojrzeniem, została tam, gdzie wcześniej usiadła.

Cellini przeszedł mimo i nad jej pochyloną głową wyrzekł tylko:

— Odwagi! Jestem tutaj.

Colombe poznała jego głos, podniosła głowę z okrzykiem radości. Zanim zdążyła jednak o cokolwiek swego obrońcę zapytać, on już wszedł do sąsiedniej komnaty. Straż podniosła przed złotnikiem haftowaną portierę i Cellini znalazł się w gabinecie króla.

Nie trzeba było nic ponad te słowa nadziei, by odwaga na nowo ożyła w sercu Colombe: nieszczęsna dziewczyna czuła się opuszczona, a co za tym idzie, zgubiona. Imć pan d'Estouteville przyciągnął ją tu półżywą mimo głębokiej wiary w Boga i Benvenuta: gdy odchodziła, serce jej ogarnęła nawet taka rozpacz, że zapomniawszy o dumie, błagała panią d'Etampes, by pozwoliła jej wstąpić do klasztoru, obiecując w zamian zrezygnować z Ascania, byle tylko oszczędzono jej hrabi d'Orbec. Diuszesa nie chciała jednak zwycięstwa połowicznego; aby mogła osiągnąć swój cel, trzeba było, żeby Ascanio uwierzył w zdradę ukochanej, toteż Anna twardo odrzuciła prośby biednej Colombe. Wtedy dziewczyna wstała wspomniawszy, że Benvenuto przykazał jej, by była silna i spokojna, nawet przed ołtarzem, i z odwagą, mąconą jednak chwilami słabości, pozwoliła się powieźć do Luwru, gdzie król w południe miał podpisać umowę ślubną.

I tam na nowo siły na chwilę ją odeszły, gdyż pozostały jej tylko trzy szanse: że Benvenuto nadejdzie, że uda jej się wzruszyć prośbami serce Franciszka I albo że umrze z bólu.

Benvenuto przyszedł, Benvenuto powiedział, żeby nadzieja jej nie opuszczała, Colombe odzyskała całą odwagę.

Cellini, wszedłszy do gabinetu króla, zastał tam tylko panią d'Etampes; tego właśnie pragnął; prosiłby o pozwolenie ujrzenia jej, gdyby się tam nie znajdowała.

Diuszesa troskała się o swoje zwycięstwo, a przecież spaliwszy ten fatalny list, i to własnoręcznie, była przekonana, że nie ma się już czego lękać; upewniona jednak co do swej

mocy, ze strachem zgłębiała niebezpieczeństwa swej miłości. Z diuszesa zawsze tak było: kiedy problemy związane z ambicją cichły, zaczynały ją pożerać namiętności serca. Złożona z pychy i namiętności, marzyła, by uczynić Ascania wielkim dając mu szczęście; lecz Ascanio, co diuszesa spostrzegła, choć szlacheckiego pochodzenia (rodzina Gaddich należała do dawnych patrycjuszów florenckich), nie pragnął innej chwały prócz tej, którą zyskać może swą sztuką. Jeżeli światały mu jakieś nadzieje, to w postaci misy o czystych kształtach, dzbana czy posągu; jeśli pożądał diamentów i pereł, owych ziemskich bogactw, to aby osadzając je w złocie, stworzyć z nich kwiaty piękniejsze niżli te, które niebiosą skrapiają rosą; tytuły, zaszczyty były dlań niczym, skoro nie wynikały z jego własnego talentu, skoro nie nagradzały jego własnej sławy; cóżby robił w czynnym i ożywionym życiu diuszesy ów do niczego nieprzydatny marzyciel? Przy pierwszej burzy delikatna roślina zostałaby złamana wraz z rozwiniętymi już kwiatami i owocami, które zapowiadała. Być może ze zniechęcenia, może z obojętności dałby się wciągnąć w zamiary królewskiej kochanki; lecz, cień bladej i melancholijny, żyłby tylko wspomnieniami. Wreszcie Ascanio objawiał się diuszecie takim, jakim był w istocie: postacią niezwykłą i czarującą, ale pod warunkiem, że żył będzie zawsze w atmosferze czystej i spokojnej; był uroczym chłopcem, który nigdy nie stanie się mężczyzną. Mógł się poświęcić uczuciom, nigdy ideałom; zrodzony dla wzajemnego wylewnego okazywania uczuć, zostałby pokonany strasliwym ciosem wydarzeń i walk. Był niewątpliwie mężczyzną, jakiego potrzebowała pani d'Etampes dla swej miłości, ale nie takiego potrzebowała dla zaspokojenia swych ambicji.

W takich diuszesa pogrążona była refleksjach, kiedy wszedł Benvenuto; od krążących po głowie myśli czoło jej spochmurniało.

Dwoje nieprzyjaciół zmierzyło się wzrokiem; jednaki ironiczny uśmiech pojawił się równocześnie na ich wargach; zamienili podobne spojrzenia, wskazujące obojgu, że każde gotowe jest do walki, a walka będzie okrutna,

„No— myślała Anna — ten przynajmniej jest twardym przeciwnikiem, którego pokonać to sama przyjemność, przeciwnikiem godnym mnie. Ale doprawdy dzisiaj jego szansę są niewielkie i moja zasługa w pokonaniu go nie będzie taka duża.”

„Zaiste, wasza wysokość — myślał Cellini — jesteś niezwykłą kobietą i niejedna walka z mężczyzną sprawiła mi mniejszy kłopot niż ta, którą podjąłem przeciwko tobie. Toteż bądź spokojna, walcząc z tobą tępą bronią, do walki rzucę cały arsenał.”

Przez chwilę trwało milczenie, kiedy to obie strony prowadziły taki właśnie monolog. Diuszesa pierwsza przerwała ciszę.

— Jesteś akuratny, mistrzu Cellini — rzekła. — Jego królewska mość w południe dopiero ma podpisać umowę hrabi d'Orbec; jest ledwie kwadrans po jedenastej. Pozwól, że usprawiedliwię miłościwego pana: to nie on się spóźnia, lecz ty przyszedłeś za wcześnie.

— Szczęśliwy jestem, pani, że przyszedłem za wcześnie, ponieważ niecierpliwości mej zawdzięczam zaszczyt spotkania sam na sam z tobą, zaszczyt, o który usilnie bym prosił, gdyby przypadek nie wyszedł naprzeciw moim pragnieniom.

— Hejże! Benvenuto! — rzekła diuszesa. — Czyżby niepowodzenia uczyniły z ciebie pochlebę?

— Moje niepowodzenia? Nie, pani; niepowodzenia innych. Zawsze osobliwie dbałem, aby pochlebiać pokonanym; oto zaś dowód, pani.

Z tymi słowami Cellini wyjął spod płaszcza złotą lilię Ascania, którą skończył dopiero tego ranka. Diuszesa krzyknęła ze zdumienia i radości. Nigdy równie cudowny klejnot nie zachwycił

jej spojrzenia, nigdy żaden z kwiatów rosnących w czarodziejskich ogrodach *Tysiąca i jednej nocy* nie olśnił tak spojrzenia peri lub wróżki.

— Ach! — zawołała diuszesa wyciągając rękę do kwiatu — obiecałeś mi ją, Benvenuto, ale przyznam się, że nie bardzo na to liczyłam.

— Dlaczego nie polegałaś na mym słowie, pani? — spytał z uśmiechem Cellini. — To dla mnie zniewaga.

— Och, gdyby twoje słowo obiecywało mi zemstę w miejsce uprzejmości, byłabym twej punktualności pewniejsza.

— A kto powiedział, że nie chodzi o jedno i drugie? — ciągnął Benvenuto cofając dłoń, tak że nadal on trzymał lilię.

— Nie pojmuję — rzekła diuszesa.

— Czy nie sądzisz, pani — powiedział Benvenuto pokazując drżący na dnie kielicha kwiatu diament, który diuszesa otrzymała, jak pamiętamy, dzięki niecnej szczodrości Karola V — że wprawiony jako kropla rosy zadatek za pewien układ, który ma oderwać księstwo Mediolanu od, Francji, ładnie wygląda?

— Mówisz zagadkami, drogi złotniku; na nieszczęście król zaraz nadejdzie i nie mam czasu ich odgadywać.

— W takim razie podpowiem ci, pani. Będzie to stare przysłowie: *Verba volant, scripta manent*. Co znaczy: słowa ulatują, pismo pozostaje.

— I tutaj grubo się mylisz, mości złotniku, pismo jest spalone: nie sądz, że mnie zatrwożysz, co by ci się udało z dzieckiem, i oddaj mi lilię, która do mnie należy

— Jedną chwilkę, pani, muszę cię przedtem uprzedzić, że będąc w moich rękach talizmanem, w twoich lilia moc tę straci. Moje dzieło jest cenniejsze, niż myślisz. Tam, gdzie gawiedź widzi jeno klejnot, my, artyści, kryjemy jeszcze niekiedy myśl. Chcesz, pani, bym ci ową myśl pokazał?... Spójrz, nic łatwiejszego, wystarczy nacisnąć tę niewidoczną sprężynę. Łodyga, jak widzisz, uchyla się, a na dnie kielicha znajdujemy nie zzerającego kwiat robaka, jak to się zdarza w prawdziwych kwiatach albo niektórych fałszywych sercach, lecz coś podobnego, choć może gorszego: hańbę diuszesy d'Etampes spisana jej własną ręką, przez nią podpisana.

I mówiąc to, Benvenuto nacisnął sprężynkę, otworzył łodygę i z lśniącej korony wyjął list. Rozwinął go następnie powoli i pokazał diuszecie, pobladłej z gniewu i oniemiałej z przerażenia.

— Ani trochę się tego nie spodziewałaś, pani, prawda? — podjął Benvenuto z zimną krwią, składając z powrotem list i wsuwając go w lilię. — Gdybyś lepiej знаła moje zwyczaje, pani, mniej by cię to zaskoczyło; rok temu ukryłem drabinę w posążku; miesiąc, temu ukryłem pewną pannę w posągu, a cóż dzisiaj mogłem wsunąć do kwiatka? Co najwyżej kartkę papieru, i to właśnie uczyniłem.

— Ależ ten list — zakrzyknęła diuszesa — ten haniebny list własnoręcznie spaliłam! Widziałam płomień, dotknęłam popiołu!

— A przeczytałaś, pani, bilet, któryś spaliła?

— Nie! Nie! Gdzie ja miałam rozum! Nie przeczytałam!

— A szkoda, bo wiedziałabyś teraz, że list gryzетки może dać tyle samo ognia i popiołu co list diuszesy.

— A więc oszukał mnie niegodziwy Ascanio?

— O, pani, hamuj się! Nie waz się podejrzewać tego niewinnego chłopca, który zresztą nawet cię oszukując nie użyłby tej samej broni, jakiej ty przeciwko niemu używałaś. O, nie,



wcale, cię nie oszukał: on by nie ratował własnego życia, życia Colombe za pomocą oszustwa. Nie, on sam został oszukany,

— Przez kogo? Mów.

— Przez pewnego młodzieńca, studenta, tego, co zranił twojego totumfackiego, wicehrabię de Marmagne, przez niejakiego Jakuba Aubry, o którym wicehrabia musiał ci coś napomknąć.

--Tak — wyszeptła diuszesa — Marmagne mówił wszak, że ten student, ten Aubry, starał się dotrzeć do Ascania, aby mu zabrać list.

— I wtedy właśnie ty, pani, zjawiłaś się u Ascania; lecz studenci, jak, wiesz, pani, są żwawi, i nasz, Jakub zdążył cię wyprzedzić. Kiedy ty wychodziłaś z pałacu Etampes, on się wślizgiwał do celi swego przyjaciela, a kiedy ty tam wchodziłaś, on wychodził.

— Ależ ja go nie widziałam, nikogo nie widziałam!

— Człowiek nie myśli o tym, żeby wszędzie zajrzeć; gdybyś o tym pomyślała, pani, podniosłabyś rogowkę, a pod nią ujrzałabyś otwór prowadzący do sąsiedniej celi..

— Ale Ascanio? Co na to Ascanio?

— Kiedy weszłaś do celi, pani, Ascanio spał, prawda?

— Tak.

— No właśnie, kiedy on spał, Aubry, któremu odmówił wcześniej wydania tego listu, wyjął go z kieszeni jego kaftana, a. na tym miejscu umieścił list do siebie. Wprowadzona w błąd przez kopertę, sądziłaś, pani, że palisz liścik diuszesy d'Etampes, Lecz niestety, spaliłaś epistołę panny Gervaise-Perrette Popinot.

— Ach, ten Aubry, który ranił Marmagne'a, ten prostak, który omal nie zamordował szlachcica, drogo zapłaci za swoją zuchwałość; jest w więzieniu, został skazany.

— Jest wolny, pani, i głównie tobie swą wolność zawdzięcza.

— Jak to?

— To nieszczęsny więzień, o którego ułaskawienie wraz ze mną prosiłaś, pani, miłościwego pana.

— Och, gdzie ja miałam rozum! — szepnęła diuszesa zagryzając, wargi. Po czym bacznie spojrzawszy na Benyenuta, spytała urywanym głosem: — Czego żądasz za ten list?

— Sądzę, że dałem ci to już do zrozumienia, pani.

— Jestem niedomyślna, mów.

— Poprosisz króla o rękę Colombe dla Ascania.

— Coś takiego! — rzekła Anna z wymuszonym śmiechem. — Słabo znasz diuszese d'Etampes, mości złotniku, jeśliś liczył na to, że moja miłość ulegnie pogrożce.

— Odpowiedziałas, pani, nie zastanowiwszy się przedtem.

— Jednakże podtrzymuję odpowiedź.

— Pozwól, pani, że usiądę i pogawędzimy chwilę bez ogródek — rzekł Benvenuto z ową nadzwyczajną poufałością właściwą ludziom wielkim. — Ja jestem tylko prostym rzeźbiarzem, ty zaś wielką diuszesa, pozwól sobie jednak powiedzieć, że mimo dzielącego nas dystansu jesteśmy stworzeni, aby się zrozumieć. Nie przybieraj, pani, tych swoich królewskich min, to zbędne; moim zamiarem nie jest znieważać cię, lecz uświadomić, więc twoja duma nie ucierpi, ponieważ w grę nie wchodzi twa godność.

— Jesteś doprawdy niezwykłym człowiekiem — przyznała Anna śmiejąc się wbrew sobie. — No to mów, słucham.

— Mówiłem więc, wasza wysokość — podjął chłodno Benvenuto — że mimo różnic majątkowych, nasza pozycja jest prawie taka sama i że moglibyśmy się dogadać, a nawet sobie pomóc. Oburzyłaś się, kiedy zaproponowałem, żebyś zrezygnowała z Ascania; wydało ci się to niemożliwe i bezsensowne, a przecież ja ci dałem, pani, dobry przykład.

— Przykład?

— Owszem, tak jak ty kochasz Ascania, tak ja kochałem Colombe.

— Ty?

— Ja. Kochałem ją, jak tylko raz w życiu mi się zdarzyło. Oddałbym za nią moją krew, życie, duszę, a przecież zostawiłem ją Ascaniowi.

— Cóż za bezinteresowna namiętność — zakpiła diuszesa.

— Och, nie bierz pani, mojego bólu za temat. do szyderstwa; nie kpij z moich obaw. Cierpiałem bardzo, lecz jak widzisz, zrozumiałem, że to dziewczątka nie jest dla mnie, tak samo jak Ascanio nie jest dla ciebie. Posłuchaj uważnie, pani: obydwójce jesteśmy — jeśli to porównanie nie razi cię zbyt — jesteśmy ludźmi wyjątkowymi i dziwnymi, którzy wiedzą inne życie, inaczej odczuwają i rzadko udaje nam się bliżej przestawać z bliźnimi. Obydwójce służymy, pani, potężnemu i okrutnemu bóstwu, którego kult uszlachetnił nasze serca i stawia nas ponad resztą ludzkości. Dla ciebie, pani, ambicja jest wszystkim; dla mnie — sztuka. Lecz nasze bóstwa są zazdrosne i choć się temu opieramy, panują nad nami zawsze i wszędzie. Tyś pragnęła Ascania niby korony; ja pragnąłem Colombe niby Galatei. Tyś kochała jak księżna, ja zaś jak artysta; tyś prześladowała, ja cierpiałem. Och, nie myśl pani, że cię w duchu oskarżam: podziwiam twoją werwę i podoba mi się twa zuchwałość. Niechaj prostaczkowie myślą o tym, co chcą: z twojego punktu widzenia wzniosłym jest poruszyć w posiadach świat, aby uczynić miejsce dla przedmiotu miłości. Dostrzegam w tym niezrównaną i wielką namiętność, a jestem za nieugiętym charakterem zdolnym do owych heroicznych zbrodni; ale jestem także za charakterami nadludzkimi, bo wszystko, co umyka przewidywaniom, wszystko, co wychodzi ponad przeciętność, mnie pociąga. I oto kochając Colombe stwierdziłem, pani, że moja pyszna i dzika natura nie pasowałaby do jej czystej, anielskiej duszyczki. Colombe pokochała Ascania, mojego niewinnego i wdzięcznego ucznia. Rozkazałem tedy zamilknąć mojemu uczuciu, a ponieważ się opierało, przywołałem na pomoc boską sztukę i we dwójkę uciszyliśmy krnąbrną miłość i przykuliśmy ją do ziemi. Potem rzeźba, moja prawdziwa i jedyna kochanka, położyła na mym czole swe gorące usta i doznałem pewnej pociechy. Uczyn jak ja, wasza wysokość, pozwól tym dzieciom przeżywać anielską miłość i daj im spokój w ich raju. Naszą dziedziną jest ziemia z jej cierpieniami, walkami, uniesieniami. Na ból szukaj lekarstwa w ambicji; obalaj monarchie dla zabawy; igraj z władcami i możnymi dla wytnienia. Tak będzie dobrze, a ja przyklasnę temu i pochwałę. Ale nie niszczy spokoju i radości dwojga niewiniątek, które darzą się tak uroczym uczuciem pod okiem Stwórcy.

— Kim jesteś naprawdę, mistrzu Benvenuto? Nie znałam cię — rzekła diuszesa ze zdziwieniem. — Kim jesteś?

— Wielkim mężem, prawdziwym bogiem! Tak jak ty, pani, jesteś wielką kobietą — śmiejąc się powiedział złotnik ze zwykłą u niego prostotą — a jeśliś ty mnie nie znała, widzisz, że miałem nad tobą dużą przewagę: ja ciebie, pani, znałem.

— Być może — przyznała diuszesa — uważam wszelako, że wielkie kobiety kochają lepiej i mocniej niż wielcy mężowie, bo gardzą Waszymi nadludzkimi wyrzeczeniami i potrafią osłaniać ukochanych ze wszech sił aż do ostatniej chwili.

— A więc nadal pragniesz Colombe pozbawić Ascania?

— Nadal pragnę mieć go dla siebie.

— Dobrze! Skoro jednak nie chcesz ustąpić z własnej woli, miej się na baczności! Mam ciężką rękę i potrafię sprawić, żebyś w zamęcie bitewnym trochę pokrzyżała. Dobrze się zastanowiłaś, prawda? Zdecydowanie odmawiasz zgody na związek Ascania i Colombe?

— Zdecydowanie — odparła diuszesa.

— Skoro tak, to na stanowiska! — zawołał Berivenuto — Bitwa się rozpoczyna.

W tej chwili otworzyły się drzwi i zaanonsowano króla.

## ROZDZIAŁ XXII

### MAŁŻEŃSTWO Z MIŁOŚCI

Ukazał się Franciszek I podając ramię Dianie de Poitiers, z którą wyszedł od chorego syna. Diana jakimś nienawistnym instynktem przeczuła mgliście, że jej rywalce grozi upokorzenie, i nie chciała opuścić tak miłego jej widowiska.

Król natomiast niczego się nie domyślał, niczego nie widział, niczego nie podejrzewał; wierzył, że pani d'Etampes i Benvenuto zupełnie się pogodzili, a ponieważ wchodząc ujrzał ich razem, i to blisko siebie, pozdrowił oboje równocześnie, jednym uśmiechem i jednym skinieniem głowy.

— Witaj, moja królowo piękności; witaj, mój królu sztuki — rzekł. — O czym to gawędziliście? Wyglądacie obydwójce na poruszonych.

— Och, sire, mówiliśmy o polityce — odparł Benvenuto.

— A jakież to temat zgłębiała wasza mądrość? Powiedz, proszę.

— Kwestię, którą w tej chwili wszyscy się zajmują, sire — ciągnął złotnik.

— A, księstwo Mediolanu.

— Tak, sire.

— No i co powiecie na ten temat?

— Nasze zdania się różniły, sire: jedno z nas twierdziło, że cesarz mógłby cię pozbawić księstwa Mediolanu, a dając je twemu synowi Karolowi, uwolnić się od obietnicy.

— A które z was tak twierdziło?

— Zdaje się, że pani d'Etampes. Diuszesa śmiertelnie zbladła.

— Gdyby cesarz to uczynił, byłaby to niecna zdrada! — oświadczył Franciszek I. — Ale on tego nie zrobi.

— W każdym razie jeśli tego nie zrobi — odezwała się Diana włączając się do rozmowy — nie będzie to znaczyło, jak powiadają, że tak mu nie doradzano.

— Kto? — zawołał Franciszek I. — Do kroćset! bardzo bym chciał wiedzieć, kto!

— Przebóg! Nie irytuj się tak, sire — rzekł Benvenuto. — Rozważaliśmy to tak samo, jak rozważalibyśmy każdą inną sprawę, i były to tylko przypuszczenia wysuwane przez nas w rozmowie: nietędy z nas politycy, z jej wysokości i ze mnie, sire. Jej wysokość, wszak w każdym calu kobietę, nazbyt pochłaniają toalety, choć to zgoła zbędne, aby się miała zajmować czym innym; mnie zaś, sire, artystę, nazbyt pochłania sztuka, abym się miał o co innego troszczyć. Prawda, wasza wysokość?

— Rzecz w tym, drogi Cellini — stwierdził król — że każde z was posiada zbyt piękną cząstkę, aby czegokolwiek innym zazdrościć, nawet księstwa Mediolanu. Jej wysokość diuszesa d'Etampes jest królową dzięki swej piękności, a tyś królem dzięki swemu geniuszowi.

— Królem, sire?

— Tak, królem, i chociaż nie masz jak ja w herbie trzech lili, trzymasz w dłoni jedną, która wydaje mi się piękniejsza niż jakakolwiek inna rozkwitła, w najpiękniejszym promieniu słońca lub na najpiękniejszej tarczy herbowej.

— Nie do mnie ta lilia należy, sire, lecz do pani d'Etampes, która zamówiła ją u mojego ucznia Ascania; tylko że ponieważ on nie mógł jej dokończyć, ja rozumiejąc, iż jej wysokość pragnęłaby mieć tak cenny klejnot w swoich rękach, przystąpiłem do dzieła i skończyłem kwiat, całą duszą pragnąc uczynić zeń symbol pokoju, jaki poprzysięgliśmy sobie kiedyś w Fontainebleau wobec waszej królewskiej mości.

— Jest cudna — rzekł król wyciągając po lilię dłoń.

— Prawda, sire? — odparł Benvenuto, naturalnym ruchem odsuwając kwiat. — I zasługuje na to, aby jej wysokość hojnie nagrodziła młodego artystę, którego kwiat jest dziełem.

— Taki mam zamiar — przyznała pani d'Etampes — i mam dla niego nagrodę mogącą wzbudzić w królu zazdrość.

— Wiesz jednak, pani, że owa nagroda, choć tak cenna, wcale nie jest tą, o której on marzy. Cóż chcesz, pani: my, artyści, jesteśmy kapryśni i często coś, co jak powiadasz, wzbudziłoby w królu zazdrość, przez nas traktowane jest nieledwie z pogardą.

— Będzie musiał jednak — odezwała się pani d'Etampes z wypływającym jej na twarz rumieńcem gniewu — zadowolić się tym, co mu ofiaruję, bo jak ci już powiedziałam, mistrzu Benvenuto, tylko w ostateczności zgodzę się na co innego.

— Cóż, powiesz mi, czego on tak bardzo pragnie — rzekł król do Benvenuta, znowu wyciągając rękę po piękną lilię — i jeśli nie będzie to zbyt trudne; postaramy się rzecz załatwić.

— Przyjrzyj się z uwagą temu klejnotowi, sire — powiedział Benvenuto wkładając łodygę kwiatu w dłoń króla. — Przypatrz się wszystkim szczegółom, a zobaczysz, miłościwy panie, że każda nagroda jest poniżej ceny, na jaką zasługuje podobne dzieło.

Mówiąc to Benvenuto utkwiał przenikliwy wzrok w diuszesa, lecz ona tak nad sobą panowała, że bez mrugnięcia patrzyła, jak lilia przechodzi rąk artysty w ręce króla.

— To doprawdy cudowne — powiedział król. — Ale gdzie znalazłeś ten przepyszny diament, od którego jarzy się kielich pięknego kwiatu?

— To nie ja go znalazłem, sire — odparł niewinnym tonem Cellini — Jej wysokość dostarczyła go mojemu uczniowi.

— Nie widziałem u ciebie tego diamentu, diuszeso — zauważył król. — Skąd więc pochodzi?

— Pewno stąd, skąd pochodzą wszystkie diamenty, sire, z kopalni w Gudzaracie albo w Golkondzie.

— Och, ten diament ma całą historię — odezwał się Benvenuto, i jeśli wasza królewska mość chce ją poznać, mogę opowiedzieć. Znamy się z tym diamentem od dawna, bo już po raz trzeci przechodzi przez moje ręce. Najpierw osadziłem go w tiarze naszego Ojca Świętego, gdzie prezentował się doprawdy cudownie; potem na rozkaz Klemensa Siódmego osadziłem go w mszale, który jego świątobliwość podarował cesarzowi Karolowi Piątemu; następnie, ponieważ cesarz Karol Piąty pragnął mieć stale przy sobie, niewątpliwie jako ostateczną rezerwę, ów

diament wart ponad milion, wprawilem mu go w pierścień, sire. Czy nie zauważyłeś go, miłościwy panie, na palcu swego kuzyna cesarza?

— Owszem, przypominam sobie! — zawołał król. — Tak, przy naszym pierwszym spotkaniu w Fontainebleau miał go na palcu. W jaki sposób diament znalazł się u ciebie, pani?

— Tak, powiedz, pani — podchwyciła Diana z oczami błyszczącymi radością — w jaki sposób diament tej wartości przeszedł z rąk cesarza w twoje?

— Gdyby tobie, pani, takie pytanie postawiono — odcięła się diuszesa — odpowiedzieć byłoby ci łatwo, zakładając wszelako, że pewne rzeczy wyznajesz nie tylko swojemu spowiednikowi.

— Nie odpowiedziałaś na pytanie króla, pani — przypomniała Diana de Poitiers.

— Tak — poparł ją Franciszek I — w jaki sposób ten diament znalazł się w twoich rękach?

— Zapytaj o to, sire, mości Benvenuto — odrzekła pani d'Etampes, rzucając wrogowi ostatnie wyzwanie, — Benvenuto ci powie.

— Mów tedy — przykazał król — i to już, znużyło mnie czekanie.

— Cóż, sire — zaczął Cellini — muszę wyznać waszej królewskiej mości, że na widok tego diamentu naszły mnie, jako i ciebie, panie, dziwne podejrzenia. To było w czasie, gdy pani d'Etampes i ja byliśmy nieprzyjaciółmi; byłbym wtedy zatem rad, gdybym odkrył jakiś sekrecik, który mógłby ją zgubić w oczach waszej królewskiej mości. Wszcząłem tedy śledztwo i dowiedziałem się.

— Dowiedziałeś się?...

Benvenuto rzucił szybkie spojrzenie na diuszese i ujrzał, że się uśmiecha. Leżący w jej charakterze opór spodobał mu się, zamiast więc jednym ciosem zakończyć rozgrywkę, postanowił ją jeszcze przedłużyć, niby atleta pewien zwycięstwa, który spotkawszy jednak godnego siebie przeciwnika, chce olśnić widzów całą swoją siłą i zręcznością.

— Dowiedziałeś się?... — powtórzył król.

— Dowiedziałem się, że po prostu kupiła go od Żyda Manassesa. Tak, sire, potraktuj to jako wskazówkę dla siebie: wygląda na to, że od przyjazdu do Francji twój cesarski kuzyn tak po drodze rozrzucił pieniądze, iż musiał w końcu zastawić swoje diamenty i że pani d'Etampes z królewską wspaniałością zbiera to, czego cesarskie ubóstwo nie zdoła zachować.

— Ach, słowo szlachcica! to doprawdy zabawne — zawołał Franciszek I, podwójnie połączony: w swej próżności kochanka i zazdrości króla. — Ale tak myślę, piękna pani — dodał zwracając się do diuszesy — że musiałaś się zrujnować dokonując tego zakupu, i zaiste do nas należy doprowadzenie do porządku twoich finansów. Przypomnij, żeśmy ci dłużni równowartość tego diamentu, bo jest naprawdę tak piękny, że zależy mi, abyś nie otrzymałszy go z rąk cesarza, dostała go przynajmniej od króla.

— Dziękuję, Benvenuto — rzekła półgłosem diuszesa. — Zaczynam wierzyć, że jak utrzymywałeś, zostaliśmy stworzeni, aby się rozumieć.

— Co mówisz? — spytał król.

— Och, nic takiego, sire, tłumaczę się przed jej wysokością z owego pierwszego podejrzenia, które mi łaskawie wybacza, co jest z jej strony tym szlachetniejsze, że lilia sprawiła, iż obok pierwszego zrodziło się następne.

— Jakież to? — zaciekawiał się Franciszek I, podczas gdy Diana, która pełna nienawiści, nie dała się zwieść owej komedii, pożerała wzrokiem swą triumfującą rywalkę.

Diuszesa d'Etampes zorientowała się, że jej niezmordowany przeciwnik nie skończył jeszcze, i lekki obłok obawy przemknął przez jej czoło; ku chwale Anny dodać jednak należy, że zaraz znikł. Co więcej, skorzystała z zamyślenia, jakie słowa Celliruego wywołały u Franciszka I, by podjąć próbę odzyskania lilii, którą ciągle trzymał król; lecz Benvenuto całkiem naturalnie wszedł między diuszesa i króla.

— Jakie? Och, przyznam, że było tak niecne — rzekł z uśmiechem — iż nie wiem, czy nie powinienem się za nie rumienić i czy zbrodni mojej nie powiększyłoby jeszcze bezwstydne wyznanie go, Oświadczam więc, że musiałbym otrzymać wyraźny rozkaz od waszej królewskiej mości, bym się ośmielił..

— Śmiało, Cellini, rozkazuję ci — oświadczył król.

— Cóż, z naiwną pychą artysty wyznam najpierw — podjął Cellini — że byłem zdumiony iż pani d'Etampes powierzyła czeladnikowi robotę, którą mistrz byłby szczęśliwy i dumny dla niej wykonać. Czy pamiętasz mojego czeladnika Ascania, sire? To młody i gładki kawaler, mógłby pozować do Endymiona, daję słowo!

— I co dalej? — ponaglił król, zmarszczywszy brew na myśl o podejrzeniu, jakie go ubodło w serce.

Tym razem jasne było, że mimo całego panowania nad sobą pani d'Etampes przeżywa katusze. Przede wszystkim w oczach Diany widziała perfidną ciekawość, a poza tym świadoma była że o ile Franciszek I wybaczyłby jej może zdradę króla, o tyle na pewno by nie darował niewierności względem kochanka. Benvenuto tymczasem, jakby nie dostrzegając jej obaw, ciągnął:

— Myślałem zatem o urodzie Ascania i o tym — wybaczenie, dostojni panie, wszystko, co w tej myśli może być uwłaczającego dla Francuzów, ale przywykłem do czynów naszych włoskich księżniczek, które w miłości, trzeba przyznać, są doprawdy niezbyt oporne — myślałem więc, że uczucie nic nie mające wspólnego ze sztuką.

— Mistrzu — ostrzegł Franciszek I marszcząc brwi — bacz, co teraz powiesz.

— Toteż z góry prosiłem o darowanie mojej zuchwałości i błagałem, aby wolno mi było zmilczeć.

— Jestem świadkiem — wtrąciła się Diana — że ty sam, sire, rozkazałeś mu mówić; a teraz, skoro zaczął...

— Zawsze może przerwać — rzekła diuszesa d'Etampes — jeśli wie, że to, co ma być powiedziane, jest kłamstwem.

— Mogę przestać, jeśli sobie życzysz, pani — podjął Benvenuto. — Wiesz dobrze, że wystarczy, byś rzekła jedno słowo.

— Ale ja chcę, żeby mówił dalej. Masz słuszość, Dianio, są rzeczy, które się domagają, aby je dokładnie zgłębić. Mów dalej, mów, Benvenuto — nakazał król, jednym spojrzeniem obejmując rzeźbiarza i diuszesa.

— Snułem przypuszczenia na całego, aż tu niewiarygodne odkrycie otworzyło przede mną nowe widoki.

— Jakie odkrycie? — zawołali jednym głosem król i Diana de Poi-tiers.

— Rozwlekam się — szepnął Cellini do diuszesy.

— Sire — ozwała się ona — nie musisz trzymać w ręku tej lilii, aby słuchać długiej opowieści mistrza. Miłościwy, panie, przywykłeś dzierżyć berło, i to silną dłońią, tak że boję się aby ten delikatny kwiat nie złamał się w twych palcach.

I równocześnie diuszesa, z uśmiechem jej tylko właściwym, wyciągnęła rękę, by zabrać klejnot.

— Wybacz, wasza wysokość — powiedział Cellini — ponieważ jednak lilia owa odgrywa w mej opowieści dużą rolę, pozwolisz, że aby do opowieści dołączyć pokaz...

— Lilia odgrywa ważną rolę w historii, którą nam opowiadasz, mistrzu! — zawołała Diana de Poitiers, ruchem szybkim jak myśl wyrrywając z rąk króla kwiat. — Skoro tak, to pani d'Etampes ma słuszość, bo o ile tylko historia ta choć w części jest taka, jak podejrzewam, to lepiej, żeby lilia znalazła się w moich rękach niż w twoich, sire, gdyż umyślnie czy nie, może się zdarzyć, że w nieopanowanym ruchu wasza królewska mość ją złamie.

Pani d'Etampes straszliwie pobladła, zdawało jej się bowiem, że oto jest zgubiona; chwyciła gwałtownie dłoń Benvenuto, usta jej się rozchyliły, by przemówić, ale niewątpliwie przemagając się, puściła dłoń artysty i zamknęła usta.

— Mów, co masz do powiedzenia — szepnęła z zaciśniętymi zębami — mów... — Po czym dodała tak cicho, że jeden Benvenuto mógł ją usłyszeć: — Jeśli masz śmiałość.

— Tak, mów, i zważaj na słowa, mistrzu — powiedział król.

— A ty, pani, zważaj na swe milczenie — szepnął Cellini.

— Czekamy! — ponagliła Diana, nie mogąc dłużej opanować niecierpliwości.

— Otóż wyobraź sobie, sire, wyobraź sobie, pani, że Ascanio i jej wysokość diuszesa d'Etampes prowadzili korespondencję.

Diuszesa spojrzała po sobie, potem dookoła, czy nie ma pod ręką jakowejś broni, którą mogłaby razić złotnika.

— Prowadzili korespondencję? — powtórzył król.

— Tak, prowadzili korespondencję; a co lepsze, w owej korespondencji między jej wysokością i ubogim czeladnikiem była mowa o miłości.

— Dowody, mistrzu! Masz na to dowody, spodziewam się! — zawołał rozgniewany król.

— Ależ tak, sire, mam — przytaknął Benvenuto. — Wasza królewska mość rozumie, że nigdy bym sobie nie pozwolił na takie podejrzenia, gdybym nie miał, dowodów.

— Skoro je masz, daj mi w tej chwili — zażądał król.

— Mówiąc, że je mam, skłamałem; ty, miłościwy panie, miałeś je przed chwilą.

— Ja? — wykrzyknął król.

— A teraz ma je pani de Poitiers.

— Ja? — zawołała Diana.

— Owszem — ciągnął Benvenuto, który między gniewem króla oraz nienawiścią i przerażeniem dwóch najwyżej postawionych dam monarchii zachował w pełni opanowanie i swobodę. — Tak, bo dowody są w lilii.

— W lilii! — zawołał król, odbierając Dianie kwiat i obracając klejnot na wszystkie strony z uwagą, która tym razem z miłością do sztuki nie miała nic wspólnego. — W lilii?

— Tak, sire, w lilii — potwierdził Benvenuto. — Ty, pani, wiesz, że tam są — dodał znaczącym tonem zwracając się do ciężko oddychającej diuszesy.

— Zgoda — szepnęła — Colombe nie poślubi hrabi d'Orbec. — To nie wszystko — mruknął Cellini. — Ascanio musi poślubić

Colombe.



— Nigdy! — sprzeciwiła się pani d'Etampes.

Tymczasem król obracał w palcach nieszczęsną lilię z niepokojem i gniewem tym dotkliwyszymi, że nie śmiał ich otwarcie wyrazić.

— Dowody są w lilii! W tej lilii! — powtarzał. — Ależ ja tu nic nie widzę.

— To dlatego, że wasza królewska mość nie zna sekretu, który ją otwiera.

--Tu jest sekret! Pokaż mi go, mój panie, w tej chwili, inaczej... I uczynił ruch, jakby łamał kwiat; obydwie kobiety krzyknęły. Król się powstrzymał.

— Och, sire, wielka by to była szkoda! — zawołała Diana. — To takie urocze cacko. Daj mi je, sire, a rękę, że jeśli jest skrytka, ja ją znajdę.

I delikatnymi a zręcznymi, palcami, palcami kobiecymi, którym nienawiść dodała jeszcze czułości dotyku, przesunęła po wszystkich wypukłościach kwiatu, zbadła każde zagłębienie, diuszesa d'Etampes zaś, bliska omdlenia, śledziła niemal błędnym wzrokiem jej bezowocne na razie próby. Wreszcie czy to przypadkiem, czy za sprawą przeczucia, Diana natrafiła na odpowiednie miejsce łożyski.

Kwiat się otworzył.

I znów obydwie równocześnie krzyknęły: jedna z radości, druga z przerażenia. Diuszesa rzuciła się, by wyrwać lilię z rąk Diany; lecz Benvenuto zatrzymał ją jedną ręką. W drugiej pokazując list, który ukradkiem wyjął był ze skrytki. Szybki rzut oka na kielich lilii upewnił Annę, że nic tam nie ma.

— Zgadzam się na wszystko — wyszeptła zdruzgotana, nie mając już sił, aby wytrzymać taką walkę.

— Na Biblię? — spytał Cellini.

— Na Biblię!

— I cóż, mistrzu — odezwał się zniecierpliwiony król — gdzie te dowody? Widzę skrytkę wielce zręcznie wykonaną w lilii, ale skrytka jest pusta.

— A tak, sire, jest pusta — przyznał Benvenuto.

— Lecz mogło tam coś być — rzekła Diana..

— Słusznie mówisz, pani — przytaknął Benvenuto.

— Mistrzu! — zawołał król przez zaciśnięte zęby — czy wiesz, że niebezpiecznie by było ciągnąć dalej ten żart i że silniejsi od ciebie żalowali, iż igrali z moim gniewem?

— Toteż byłbym doprawdy w rozpacz, gdybym się na to naraził, sire — oświadczył Benvenuto nie tracąc głowy — lecz nie ma nic takiego, co by do tego mogło doprowadzić, a wasza królewska mość nie wziął, mam nadzieję, poważnie moich słów. Czyż śmiałybym tak beztrąsko wnieść tak poważne oskarżenie? Pani d'Etampes może ci, panie, pokazać listy, które zawierała owa lilia, jeśliś ich ciekaw. Rzeczywiście mowa w nich o miłości, lecz o miłości mojego Ascania do pewnej szlachetnie urodzonej panny, o miłości, która na pierwszy rzut oka może się wydać szalona i nierealna; ale mój Ascanio, będąc prawdziwym artystą, pomyślał, że piękny klejnot nie jest mniej wart od pięknej panny, zwrócił się przeto do pani d'Etampes jako do swej opatrności, a z kwiatu tego uczynił posłańca. Jak wiesz, sire, Opatrzność może wszystko; i nie będziesz o nią zazdrosny, mniemam, ponieważ czyniąc dobro, jej wysokość sprawia, że dzielisz z nią zasługi. Oto klucz do tajemnicy, sire, a jeśli wybiegi, którymi się zabawiałem, uraziły cię, miłościwy panie, wybac, proszę,

pamiętając o cennej dla mnie i wielce znaczącej poufałości, do jakiej raczyłeś mnie dotąd dopuszczać.

Owa niby akademicka oracja zmieniła wymowę sceny. W miarę jak Beiwenuto mówił, czoło Diany pochmurniało, czoło pani d'Etampes się wy pogadzało, a król odzyskał humor i uśmiechał się. Kiedy zaś Cellini skończył, władca rzekł: .

— Wybacz, moja piękna pani, stokrotnie przepraszam, że choć przez chwilę cię podejrzewałem. Powiedz, co mogę zrobić, by odkupić moją winę i zasłużyć na wybaczenie?

— Spełnić, o co jej wysokość diuszesa d'Etampes poprosi, tak samo jak wasza królewska mość spełnił już moją prośbę.

— Mów w moim imieniu, mistrzu Cellini, ponieważ wiesz, czego pragnę — odezwała się diuszesa, wywiązując się z obietnicy lepiej, niżby Benvenuto mógł przypuścić.

— Cóż, sire, skoro jej wysokość mnie powierza Wyrażenie jej życzeń, wiedz, że jej pragnieniem jest, aby twoja wszechmocna władza wkroczyła w uczucia Ascania.

— I owszem! — zaśmiał się król. — Z całego serca zgadzam się przyczynić do szczęścia miłego czeladnika. Nazwisko ukochanej?

— Colombe d'Estouteville, sire.

— Colombe d'Estouteville! — zdumiał się Franciszek I.

— Sire, proszę pamiętać, że to jej wysokość diuszesa d'Etampes prosi o tę łaskę.

— No, pani, dołącz się do moich próśb — dodał Benvenuto, znów wysuwając z kieszeni rozek listu — bo jeśli dłużej będziesz milczała, jego królewska mość gotów pomyśleć, że prosisz o to z czystej przychylności do mnie.

— Czy to prawda, że pragniesz tego związku, pani? spytał król.

— Tak, sire — szepnęła pani d'Etampes — pragnę tego... bardzo. Przysłówek dorzucony został na widok znowu wysuniętego z kieszeni listu.

— Nie wiem jednak — podjął Franciszek I — czy przewot zgodzi się na zięcia bez nazwiska i majątku.

— Przede wszystkim, sire — rzekł Cellini — przewot, jako wierny poddany, nie będzie miał z pewnością innej woli jak wola króla. Dalej, Ascanio nie jest bez nazwiska. Nazywa się Gaddo Gaddi, a jeden z jego przodków był podestą Florencji. Jest wprawdzie złotnikiem, lecz w Italii paranie się sztuką nikomu nie przynosi ujmy. Gdyby nawet zresztą nie należał do starej szlachty, to ponieważ pozwoliłem sobie wpisać jego nazwisko ha dekrecie nadającym tytuł, który wasza królewska mość kazał mi przesłać, byłby świeżo upieczonym szlachcicem. Och, nie sądź, sire, że to wyrzeczenie jest z mej strony poświęceniem. Nagradzając jego, jakbyś mnie po dwakroć nagradzał. Stało się więc, sire, Ascanio jest oto panem na zamku Nesle, a ja nie pozwolę, aby mu zabrało pieniędzy; będzie mógł, jeśli zechce, porzucić złotnictwo i kupić kompanię lansjerów albo, urząd na dworze; zadbam o to z własnej kieszeni.

— A my, rzecz jasna, postaramy się — rzekł król — aby ta szlachetność nie nadszarpnęła zbyt twojej sakiewki.

— A więc, sire... — powiedział Benvenuto.

— Zgoda na Ascania Gaddo Gaddi, pana na zamku Nesle! — zawołał król, śmiejąc się na całe gardło, w tak świetny humor wprowadziła go pewność co do wierności pani d'Etampes.

— Pani — odezwał się półgłosem Cellini — nie możesz zostawić w Chatelet pana na zamku Nesle. To było dobre dla Ascania.

Pani d'Etampes przywołała oficera straży i szeptem powiedziała mu kilka słów, na których końcu padło:

— W imieniu króla!

— Co robisz, pani? — zaciekawiał się Franciszek I.

— Nic takiego, sire — odpowiedział Cellini. — Jej wysokość posyła po pana młodego.

— Gdzie?

— Tam, gdzie pani d'Etampes, znając królewską dobroć, prosiła go, aby czekał na łaskawość waszej królewskiej mości.

Kwadrans później drzwi komnaty, gdzie czekali Colombe, prewot, hrabia d'Orbec, ambasador Hiszpanii i niemal wszyscy wielmoże z dworu, z wyjątkiem Marmagne'a jeszcze przykutego do łóżka, otworzyły się. Herold zawołał:

— Król!

Franciszek I wszedł podając ramię Dianie de Poitiers, a za nim Benvenuto, który jedną ręką podtrzymywał diuszese d'Etampes, a drugą Ascania, obydwójce równie bladych.

Na głos herolda wszyscy dworzanie się odwrócili i na chwilę zastygli w osłupieniu, widząc tę niezwykłą grupę. Colombe omal nie zemdląła.

Zdumienie jeszcze wzrosło, kiedy Franciszek I, każąc stanąć rzeźbiarzowi przed sobą, rzekł na głos:

— Mistrzu Benvenuto, zajmij na chwilę nasze miejsce i weź naszą władzę; mów, jakbyś był królem, i niechaj cię słuchają jak króla.

— Uważaj, sire — rzekł na to złotnik — aby się utrzymać w twej roli, będę doprawdy wspaniała.

— Dalej, Benvenuto — zaśmiał się król — każdy przejaw wspaniałości będzie pochlebstwem.

— Doskonale, sire, to mi się podoba, i będę cię sławił, dopóki sił mi starczy. Nie zapominajcie przeto wy, co mnie słuchacie — ciągnął — że przez moje usta przemawiał będzie król. Panowie notariusze, czy przygotowaliście umowę, którą jego królewska mość raczy zaraz podpisać? Wpiszcie zatem nazwiska małżonków.

Obaj notariusze ujęli pióra i przygotowali się do wpisania nazwisk na obu umowach — jedna miała pozostać w archiwum korony, druga zaś u nich.

— Z jednej strony — mówił dalej Benvenuto — szlachetnie urodzona i dostojna panna Colombe d'Estouteville.

— Colombe d'Estouteville — machinalnie powtórzyli notariusze, podczas gdy zebrani słuchali w największym zadziwieniu.

— Z drugiej — ciągnął Benvenuto — szlachetnie urodzony i bardzo dostojny Ascanio Gaddi, pan na zamku Nesle.

— Ascanio Gaddi! — wykrzyknęli chórem prewot i d'Orbec.

— Rzemieślnik! — z boleścią w głosie dodał prewot, odwracając się do króla.

— Ascanio Gaddi, pan na zamku Nesle — ciągnął niewzruszenie Cellini — któremu jego królewska mość nadaje listy naturalizacyjne i urząd intendenta królewskich zamków.

— Jeżeli jego królewska mość tak każe, będę posłuszny — rzekł prewot — wszelako...

— Ascanio Gaddi — dalej mówił Benvenuto — którego rozwadze jego królewska mość poddaje przyznanie imię panu Robertowi d'Estouteville, prewotowi Paryża, tytułu szambelaria.

— Sire, gotów jestem podpisać — zgodził się d'Estouteville, wreszcie pokonany.

— Mój Boże! mój Boże! — szepnęła Colombe osuwając się na krzesło. — Czy ja śnię?

— A ja? — zawołał d'Orbec. — Co ze mną?

— Co się tyczy ciebie, panie — rzekł Cellini, nadal sprawując królewską władzę — łaskawie daruję ci śledatwo, którego przeprowadzenie miałbym prawo rozkazać na temat twojej konduity. Wyrozumiałość jest zaletą królów, podobnie jak szczodrość, prawda, sire? Ale oto proponowarfe umowy, podpisujemy, panowie, podpisujemy!

— Cudownie gra rolę monarchy! — zawołał Franciszek I, szczęśliwy niby król na urlopie.

Po czym podał pióro Ascaniowi, ten zaś podpisał drżącą ręką i sam przekazał pióro Colombe, po którą pełna dobroci pani de Poitiers poszła i teraz ją podtrzymywała. Dłonie zakochanych zetknęły się i obydwójce omal nie zemdleli.

Potem przyszła kolej na panią de Poitiers, diuszese d'Etampes, ta zaś podała pióro prewotowi, prewot hrabi d'Orbec, a d'Orbec ambasadorowi Hiszpanii,

Pod tymi słynnymi nazwiskami Cellini wyraźnie i zamasyście wpisał swoje. Nie był wszakże tym, który najmniej poświęcał.

Podpisawszy umowę, ambasador Hiszpanii podszedł do diuszesy.

— Czy nasze plany nadal są w mocy, pani? — spytał.

— Ech, mój Boże! — rzekła diuszesa. — Róbcie sobie, co chcecie. Co mnie obchodzi Francja! Co mnie obchodzi cały świat!

Diuk zgiął się w Ukłonie.

— A więc — gdy wrócił na swoje miejsce powiedział doń jego siostrzeniec, młody dyplomata, jeszcze niedoświadczony — w zamiarach cesarza leży, że nie król Franciszek Pierwszy, lecz jego syn będzie księciem Mediolanu?

— Ani jeden, ani drugi — odparł ambasador.

Tymczasem składano resztę podpisów. Kiedy Już wszyscy umieścili swoje nazwiska u dołu szczęścia Ascania i Colombe, Benvenuto podszedł do króla i przyklękając na jedno kolano przed nim, rzekł:

— Wydawszy rozkazy jako król, przychodzę prosić cię, miłościwy panie, jako pokorny i wdzięczny sługa. Czy wasza królewska mość raczy mi przyznać ostatnią łaskę?

— Mów, Benvenuto, mów — powiedział Franciszek I, bo hojnie spełniając prośby spostrzegął, że jest to, zważywszy wszystko, akt władzy, w którym król znajduje największe zadowolenie. — No, mów, czego sobie życzysz?

— Wrócić do Italii, sire.

— Co to ma znaczyć? — zawołał król. — Chcesz mnie opuścić, kiedy tyle dzieł masz mi jeszcze zrobić? Nie zgadzam się.

— Sire — prosił Benvenuto — wróć, przysięgam. Ale pozwól mi teraz wyjechać, pozwól mi zobaczyć ojczyznę, potrzebuję tego w tej chwili. Nie będę mówił, jak bardzo cierpię — ciągnął zniżając głos i ze smutkiem potrzęsając głową. — Bardzo jednak cierpię od bólu, którego nie zdołałbym opisać, i tylko powietrze ojczyzny może zabliznić moje zranione serce. Jesteś wielkim, szlachetnym władcą, panie, i miłuję cię. Wróć, sire, pozwól mi jednak jechać, abym wyzdrowiał tam w słońcu, Zostawiam ci Ascania, moją myśl, i Pagola, moją dłoń; będą zaspokajać twoje marzenia artystyczne aż do mojego powrotu, a kiedy otrzymam pocałunek wiatru Florencji, mojej ojczyzny, wróć do ciebie, mój królu, i tylko śmierć nas później rozłączy.

— Jedź zatem — ze smutkiem zgodził się Franciszek I. — Sztuka musi być wolna jak ptak. Jedź.

I król wyciągnął do Benvenuta dłoń, a on ją ucałował z żarliwą wdzięcznością. Odchodząc, Benvenuto znalazł się przy diuszecie.

— Czy bardzoś na mnie zła, pani? — spytał wsuwając jej w dłoń fatalny list, który, niby magiczny talizman, sprawił, że stały się rzeczy niewiarygodne.

— Nie — odparła diuszesa, szczęśliwa, że go wreszcie odzyskała — nie, choć walczyłeś, mistrzu takimi metodami...

— Też coś — rzekł Benvenuto — tylko cię nimi, pani, straszylem. Sądzisz, że bym je wykorzystał?

— Przebóg! — zawołała diuszesa nagle doznając olśnienia. — Oto co znaczy uważać cię za podobnego do mnie!

Następnego dnia w kaplicy Luwru odbył się ślub Ascania z Colombe i mimo wymogów etykiety, młodzi otrzymali zezwolenie, aby Jakub Aubry z żoną asystowali przy ceremonii. Była to wielka łaska, przynajmniej jednak, że biedny student w pełni sobie na nią zasłużył.

## ROZDZIAŁ XXIII

### MAŁŻEŃSTWO Z KONIECZNOŚCI

Tydzień później Herman uroczystie poślubił jejmość Perrine, która wniosła mu w posagu dwadzieścia tysięcy funtów turońskich oraz pewność, że zostanie ojcem.

Dodajmy śpiesznie, że bardziej ta właśnie pewność wpłynęła na decyzję poczciwego Niemca niż owe dwadzieścia tysięcy funtów turońskich.

Wieczorem w dniu ślubu Ascania i Colombe, mimo nalegań młodych, Benvenuto wyjechał do Florencji. Tam właśnie odlał posąg Perseusza, który dotąd stanowi jedną z ozdób Starego Pałacu i który stał się być może jego najpiękniejszym dziełem dlatego właśnie, że powstał, gdy artysta cierpiał najbardziej.

KONIEC